



SALAMANDRA

KOŚCIANA
GÓRA

Eliot Pattison

Kontynuacja powieści
Mantra czasu
oraz *Woda omywa kamień*



PATTISON ELIOT
Inspektor Shan 03: Kosciana
gora

ELIOT PATTISON
Przełożył Norbert Radomski
DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ
2003

Tytuł oryginału Bone Mountain

Copyright © 2002 by Eliot Pattison All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2003

Redaktor Grzegorz Dziamski

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce Piotr Chojnacki

Wydanie I

ISBN 83-7301-357-1

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74

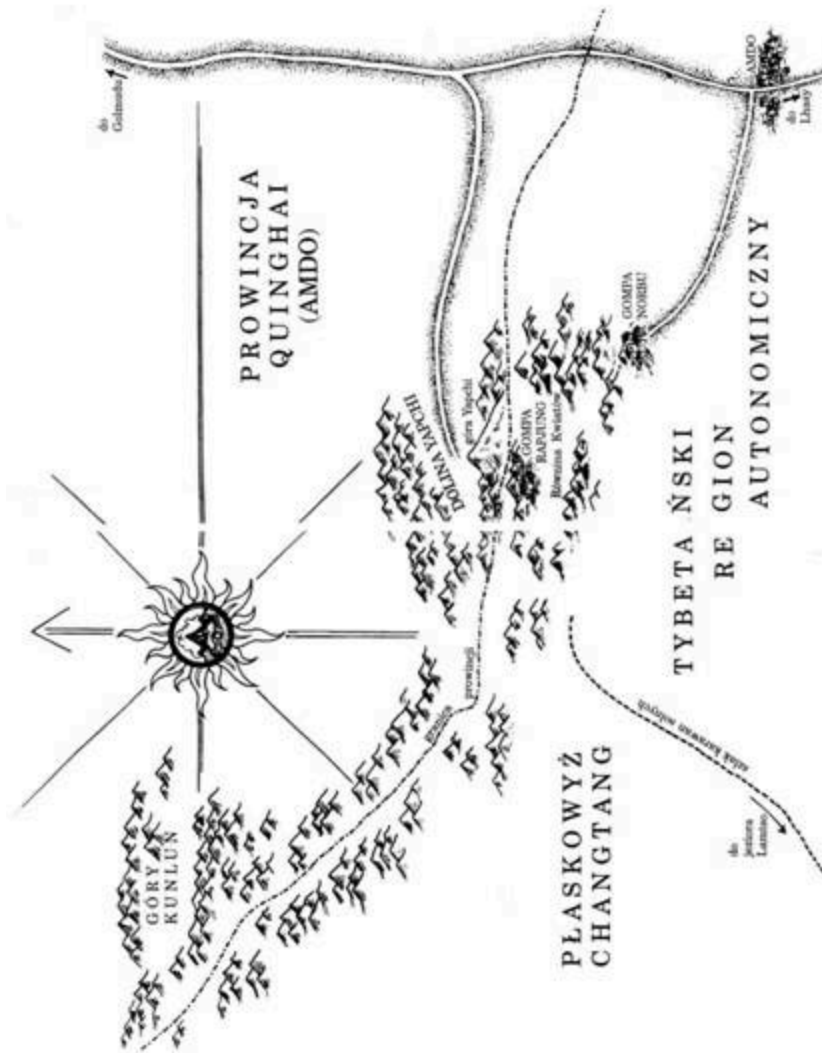
e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Fotoskład: Z.P. Akapit, Poznań, ul. Czernichowska 50B, tel. 87-93-888

Mojej matce





Podziękowania

Inspirację do napisania tej książki oraz wiele zawartych w niej informacji zawdzięczam prowadzonym od dwudziestu lat cichym, poufnym rozmowom z Tybetańczykami i Chińczykami, którzy często podejmowali ryzyko, jedynie się ze mną kontaktując. Na zawsze pozostanę ich dłużnikiem. Wyrazy wdzięczności za mądre przewodnictwo i wierne wsparcie należą się Natashy Kern, Michaelowi Denny'emu i Kate Parkin. Szczególne podziękowania winien jestem także Edowi Stacklerowi i Lesley Kellas Payne.

Część pierwsza

SÓL

Rozdział pierwszy

–Przesiej piach, żeby oddzielić nasiona wszechświata.

Głos, który dotarł poprzez noc do Shana Tao Yuna, brzmiał jak szmer wiatru w trawie.

–Pozwól, by padły na pierwotny grunt, i daj im wykiełkować – mówił lama.

Shan przeniósł wzrok z białego piasku w swojej dłoni ku świetlistemu półksiężycowi. Wiedział, że Gendun, jego nauczyciel, ma na myśli jego własny pierwotny grunt, podłoże, na którym kiełkowała jego dusza, coś, co nazywał miejscem początku Shana. Jednak w noc taką jak ta nie mógł się pozbyć wrażenia, że to właśnie Tybet jest prawdziwym pierwotnym gruntem, że ta rozległa, odludna kraina była miejscem początku całego świata, miejscem, gdzie planeta i ludzkość nigdy nie przestały się formować, gdzie najwyższe góry, najsilniejsze wiatry i najtwardsze dusze zawsze ewoluowały razem.

Trzy metry dalej, na brzegu rzeki, Lokesh, stary przyjaciel i dawny współwięzień Shana, mruczał cicho, przesuwając w palcach paciorki różańca. Mantra, którą powtarzał, była niemal nieodróżnialna od szmeru wody. Shan wciągnął w płuca wonny dym gałązek jałowca, które przynieśli nad rzekę, by je spalić, i przyglądał się, jak ponad odległą poświatą w dolnej części nieba, jedynym śladem ośnieżonych gór obrzeżających horyzont, przelatuje meteor. Miał wrażenie, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby dotknąć księżyca. Jeśli na ziemi istniał czas i miejsce wzrastania dusz, musiało to być właśnie tu i teraz: tej chłodnej, rozświetlonej księżycem wiosennej nocy na tym górskim pustkowiu.

Przyglądał się, jakby z oddalenia, jak Gendun delikatnie rozprostowuje mu palce i unosi jego dłoń w stronę księżyca, po czym

znów ściąga ją w dół i obraca w nadgarstku, by zsypać z niej piasek do małego, glinianego słoika, który przynieśli ze swej odległej o piętnaście kilometrów pustelni.

–Lha gyal lo – szepnął ktoś za plecami Shana drżącym ze wzruszenia głosem. Był to Shopo, opiekun pustelni. – Niech zwyciężą bogowie.

Przybyli nad rzekę o zmierzchu, ale dopiero teraz, po dwóch godzinach spędzonych przez lamów i Lokesha na rozmowie z nagami, wodnymi bóstwami, Gendun uznał, że Shan może przystąpić do zbierania białego piasku.

–Lha gyal lo! – zawtórował mu głośniejszy stojący za nimi na stoku jeden z czterech dropków, tybetańskich pasterzy, którzy towarzyszyli im w wyprawie nad rzekę, a teraz stali na straży, nerwowo obserwując pograżającą się w mroku okolicę. Gendun i Shopo byli nielegalnymi mnichami odprawiającymi zakazany rytuał, a patrolujący ten teren żołnierze stali się ostatnio agresywni.

Shan zorientował się, że jego dłoń, nie wiedzieć jak i kiedy, ponownie znalazła się w wodzie, a gdy ją wyciągnął, znów była wypełniona białym piaskiem. W świetle księżyca zobaczył, jak oczy Lokesha rozszerzyły się i rozbłysły podnieceniem, gdy powoli powtarzając gesty, które pokazał mu Gendun, omył piasek blaskiem księżyca i przesyłał go z dłoni do słoika.

Twarz Genduna, wygładzona przez czas niczym kamień w rzece, pokryła się zmarszczkami uśmiechu.

–Każda z tych drobin jest esencją góry – powiedział lama, gdy dłoń Shana po raz kolejny zanurzyła się w wodzie – wszystkim, co pozostaje, gdy góra zrzuci swą powłokę.

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy Shan dziesiątki razy słyszał te słowa podczas nocnych wypraw po różnobarwne piaski zbierane z miejsc znanych jedynie Shopo i pasterzom. W swoim czasie każdy z potężnych szczytów, które okalały horyzont, zostanie zredukowany do takiego ziarenka, wyjaśniał Gendun, i tak stanie się ze wszystkimi górami, z wszystkimi kontynentami, z wszystkimi planetami. Wszystko skończy się tak, jak się zaczęło, w drobnych nasionach wszechświata, a ludzkość w całej swej chwale nigdy nie zdoła dorównać potędze zamkniętej w jednym ziarenku piasku. Słowa te, jak wiedział Shan, były nauką o przemijaniu, a także sposobem okazania szacunku nagom, od których pożyczali piasek.

W uszach czuł odległe dudnienie, a księżyc zdawał się jeszcze bardziej przybliżyć do ziemi, kiedy zaczerpnął kolejną garść. Nagle jego dłoń, zmierzająca w stronę glinianego naczynia, zastygła. Ciszę rozdarł gorączkowy krzyk.

–Mik iada! Uważajcie! Uciekajcie! – To wołał jeden z dropków trzymających straż na szczycie wzgórza. – Ogień! Zgaście ogień!

Shan usłyszał chrzęst żwiru osuwającego się ze stoku pod czyimiś stopami. Uniósł wzrok i w świetle księżyca ujrział sylwetki dwóch mężczyzn. W tej samej chwili uświadomił sobie, że dudnienie nie rozlega mu się w głowie. Jego źródło stanowił helikopter, nadlatujący nisko i szybko, jak było zwyczajem pilotów Urzędu Bezpieczeństwa podczas rajdów na obozowiska Tybetańczyków.

Jeden z wartowników, noszący czarną wełnianą czapkę, dobiegł na brzeg rzeki i chwycił Lokesha za ramię, ale że starzec się nie ruszył, przyskoczył do Shana i szarpnął go za kołnierz.

–Mieście iść załatać tego boga! – wrzasnął. – Musimy uciekać!

Shan posłusznie podniósł się na nogi. Ciarki przebiegły mu po plecach, gdy spojrzał najpierw na helikopter, potem na lamów, którzy uśmiechnęli się tylko, nie przerywając składanego rzece hołdu. Gendun i Shopo przywykli do tego, że nawet podczas najprostszych aktów pobożności wisi nad nimi groźba więzienia. I jeśli nawet Shan i dropkowie byli zaniepokojeni wzmożoną presją bezpieczeństwa, jedno tylko zaprzętało uwagę Genduna: tajemnica dojrzewających i wzrastających w siłę dusz.

–Jeśli to bezpieczeństwo, wysadzą żołnierzy na wzgórzach, żeby nas otoczyć! – burczał wartownik, rozrzucając nogą ich nie wielkie ognisko. – Będą mieli karabiny maszynowe i urządzenia do patrzenia po ciemku!

Shan przyjrzał mu się nieufnie. Mężczyzna w czarnej czapce miał zbyt dobre jak na pasterza pojęcie o chińskiej broni i taktyce. Shan uświadomił sobie nagle, że widzi tego człowieka po raz pierwszy, że nie należy on do ich eskorty.

Gendun w odpowiedzi położył palec na ustach, po czym wskazał na wodę.

–Tu są nagowie – zauważył cicho.

–Piasek nie przyda nam się na nic, jeśli cię aresztują -szepnął Shan, kładąc mu dłoń na ramieniu.

–Tu są nagowie – powtórzył lama.

–To tylko piach – zaprotestował nieznajomy, rzucając niespokojne spojrzenie na zbliżający się helikopter. Bezpieka miała własne metody nauczania o przemijaniu.

Gdy Gendun znów odwrócił się ku wodzie, Lokesh spiesznie podszedł do nieznajomego i odciągnął go od lamy.

–Tworzymy z tego piasku coś wspaniałego – szepnął mu.

Zarost na jego twarzy bielił się w świetle księżyca. Położył dłonie na ramionach młodego Tybetańczyka, by się upewnić, że go słucha, i spojrzał mu w oczy. – Kiedy skończymy – wyjaśnił poważnym, ufnym tonem – nasze dzieło odmieni świat.

Mężczyzna w czarnej czapce włączył latarkę, kierując snop światła na twarz Lokesha, jak gdyby nie był pewien, czy dobrze usłyszał słowa starca, lecz gdy warkot helikoptera wzrósł do apogeum, pospiesznie zgasił światło i rzucił się na ziemię. Chwilę później maszyna zniknęła. Przemknęła tuż nad szczytem wzgórza, leciała jednak zbyt szybko, by wysadzić ludzi.

Nieznajomy ponownie zapalił latarkę i mrucząc pod nosem, spojrzał oskarżycielsko na pozostałych wartowników, którzy ze zmieszanymi lub wręcz zawstydzonymi minami skupili się za Lokeshem. Po kolei oświetlił twarz każdego z nich i w końcu zatrzymał wiązkę światła na Shanie. Przez chwilę przyglądał mu się, marszcząc brwi.

–Mieście odnieść pewien przedmiot – odezwał się zniecierpliwiony do Lokesha. Wciąż świecił Shanowi w oczy.

–To prawda – przyznał Lokesh. – Przygotowujemy się do podróży – dodał, wskazując obu lamów, którzy w dalszym ciągu przemawiali do bystrej, mrocznej rzeki.

–Przygotowujecie się? – powtórzył drwiąco mężczyzna. – Coście robili przez te dwa miesiące? Nie przygotowujecie się, tylko zapuszczacie korzenie! Zgubicie nas!

Shan stanął obok Lokesha, odpychając w dół latarkę nieznajomego.

–Ci, którzy przynieśli nam ten przedmiot, zgodzili się, że to lamowie zdecydują, w jaki sposób należy go zwrócić. – Wiedział już teraz, że młody Tybetańczyk, podobnie jak ci, którzy zanieśli święty przedmiot do pustelni Shopo, jest purbą, członkiem tybetańskiego ruchu oporu.

–Chcesz powiedzieć, że Drake się zgodził.

–Drakte jest jednym z was – odrzekł Shan. On i Lokesh poznali Drakego niecały rok wcześniej, kiedy pomagał więźniom w obozie pracy, w którym odbywali karę. To właśnie on przed dwoma miesiącami odszukał ich i zaprowadził do ukrytej pustelni Shopo. – Wyruszymy, kiedy lamowie i Drake będą gotowi. On ma przyjść i pokazać nam drogę. Jeszcze parę dni, nie więcej.

–Nie mamy tych paru dni – burknął purba. – I nie spodziewajcie się Drakego. On nie dotrzymuje terminów.

–Zniknął? – Shan zauważył wybrzuszenie pod kurtką nieznanego, na wysokości pasa, i zerknął na Genduna. Gdyby lamowie zorientowali się, że ten człowiek ma broń, kazaliby mu odejść.

Purba wzruszył ramionami.

–Nie pojawił się tam, gdzie mu kazano.

–I ty jesteś tu zamiast niego?

–Nie. Ale miałem nadzieję, że znajdę go w tej pustelni. Mam dla niego wiadomość. I przyniosłem coś, o co prosił – dodał z irytacją. – Powiedział, że lamowie tego potrzebują. Oświadczył, że jeśli nie zgodzimy się tego sprowadzić, pójdzie po to sam, nawet do Indii, jeżeli będzie trzeba. – Purba zdjął z ramienia długi, wąski worek i wyjął z niego półmetrowej długości bambusową rurę. Lokesh sięgnął po nią z entuzjazmem.

–Co to za wiadomość? – zapytał Shan.

Nieznanomy nie odpowiedział od razu. Wskazał palcem na jednego z pasterzy, a następnie na szczyt wzgórza, z którego wartownicy obserwowali leżącą po drugiej stronie grzbietu drogę. Pasterz rzucił się w górę zbocza.

–W Amdo zabito człowieka. Miejscowego urzędnika – powiedział Purba, mając na myśli najbliższe, oddalone o sto sześćdziesiąt kilometrów osiedle ludzkie. – Bezpieka będzie przeczesywać wzgórza i aresztować ludzi. Gdy rozpoczną przesłuchania, dowiedzą się o pustelni. – Znow zerknął spode łba na lamów. – Możecie twierdzić, że to, co robicie, jest święte, ale oni nazwą to zbrodnią przeciwko państwu. – Zrobił krok w stronę Genduna, jak gdyby raz jeszcze chciał spróbować odciągnąć go od rzeki, ale pasterz w kamizelce z owczego runa zastąpił mu drogę, unosząc ostrzegawczo dłoń.

–Zdajecie sobie chociaż sprawę, jakie to niebezpieczne? –

Purba na przemian to zaciskał, to otwierał pięści. Wyglądał, jakby gotował się do bójki. – Nikt nie wspominał, że będziecie w taki sposób włóczyć się po górach. Możecie wszyscy trafić do więzienia. I za co? Nie pokonacie Chińczyków piaskiem i modłami.

Lokesh wydał ochryply dźwięk, w którym Shan rozpoznał śmiech.

–Znam już chińskie więzienia – oświadczył stary Tybetańczyk. – Niekiedy piasek i modlitwy to jedyna metoda.

Purba utkwiał w Shanie zgorzkniałe spojrzenie.

–Ty jesteś tym słynnym Chińczykiem, który pomaga Tybetańczykom. Wiesz, w czym rzecz, a jednak pozwalasz im na to.

Shan obejrzał się na Genduna i Shopo.

–Gdyby ci lamowie poprosili mnie, żebym wskoczył do rzeki z kieszeniami pełnymi kamieni – powiedział cicho – podziękowałbym im i zrobiłbym to.

–Lha gyal lo – szepnął pasterz w kamizelce, jakby chciał go do tego zachęcić.

Lokesh dotknął ramienia bojownika.

–Komuś tak młodemu trudno pojąć te sprawy – stwierdził stary Tybetańczyk. –

Powinieneś pójść z nami do pustelni i zobaczyć to.

–W przeciwieństwie do Drakiego trzymam się rozkazów -uciał purba. – Jestem potrzebny gdzie indziej.

Lokesh uniósł bambusową rurę.

–Więc spójrz teraz – zaproponował, wyciągając z niej zwinięty w rulon materiał. Gdy go rozprostował, Shan zobaczył,

że jest to stara thanka, jedno z malowideł na tkaninie przedstawiających święte postaci i symbole buddyzmu tybetańskiego.

Kiedy padło na nią światło latarki purby, mężczyzna skrzywił się i cofnął o krok. Jeden z wartowników jęknął głośno.

Był to wizerunek gniewnego bóstwa opiekuńczego o głowie byka, z wieńcem ludzkich czaszek na szyi, otoczonego przez miecze, włócznie i strzały, trzymającego w dłoni puchar wypełniony krwią. U jego stóp leżały skóry, które zdarł ze swoich ofiar. Lokesh przyjrzał się malowidłu z uśmiechem satysfakcji, po czym skinął na purbę, żeby się zbliżył.

–Spójrz uważnie – powiedział, wskazując straszliwy łeb bóstwa. – To właśnie robimy. Tak zwyciężamy bez przemocy. To tak ten przedmiot zostanie zwrócony, tak bóstwo zostanie naprawione. Bo tym on się staje.

–Kto? – zapytał purba. W jego gniewnym głosie zabrzmiała nuta zakłopotania.

Shanowi zdawało się, że w nikłym świetle dostrzega zaskoczenie na twarzy Lokesha, jak gdyby odpowiedź była oczywista. Stary Tybetańczyk wskazał najpierw przystrojone czaszkami gniewne bóstwo, potem Shana.

–Nasz przyjaciel. Nasz Shan.

Jego słowa uciszyły purbę i dropków niczym zakłęcie. Wszyscy zerknęli niespokojnie na Shana, on zaś spojrzał na Lokesha, oczekując wyjaśnienia. Starzec jednak tylko uśmiechnął się do niego wyczekująco, jakby ofiarował mu wielki dar i spodziewał się jakiejś reakcji.

Nagle powietrze przeszył kolejny rozpaczliwy okrzyk. Wartownik ze szczytu wzgórza pędził na łeb, na szyję w dół.

–Patrol! Pałkarze! – wołał, mając na myśli funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Purba i Shan pognali na wzgórze i parę chwil później spoglądali w dół na oddalony o kilometr transporter, sunący wolno w ich stronę.

–Musieli nas wypatrzeć z tego helikoptera – stwierdził purba. – W zeszłym miesiącu dzięki noktowizorom wytropili starego pustelnika, który wychodził tylko nocami, żeby się modlić.

Shan wyczuł narastającą w głosie bojownika zajadłość i przeszedł go dreszcz.

Nad rzeką trzej dropkowie skupili się wokół lamów zwróceniu twarzami na zewnątrz, jakby szykowali się, żeby odeprzeć pałkarzy swoimi kijami pasterskimi. Czwarty dropka, w kamizelce z

owczego runa, stał nieco dalej, wpatrzony w czarną wodę. Gdy purba zdecydowanie ruszył ku lamom, pasterz w kamizelce obrócił się gwałtownie i rzuciwszy się na niego, powalił go na ziemię, po czym równie nagle odskoczył. W

dłoni trzymał duży pistolet.

–Ty głupcze! – krzyknął purba. – Trzeba ich zabrać! Nie damy rady pałkarzom!

Pasterz wpatrywał się w pistolet z zawstydzoną miną. Trzymał broń niezdarnie, za sam uchwyt, nie dotykając języka spustowego.

–Widzisz go? – odezwał się, wskazując głową Genduna, który trwał pogrążony w rozmowie z rzeką. – Moja matka mieszka w namiocie przy pustelni. Nazywa go Lamą Czystej Wody. A wiesz dlaczego? Nie tylko dlatego, że nigdy nie zarejestrował się u sukinsynów z Urzędu do spraw Wyznań, ale i dlatego, że złożył śluby przeszło pięćdziesiąt lat temu, jeszcze przed inwazją. Zanim Chińczycy splądrowali nasz kraj i odmienili go na zawsze. On nigdy nie wyemigrował, nigdy nie dostał się w ich ręce. Jego słowa są nieskażone, jak twierdzi moja matka, bo płyną ze źródła, którego Chińczycy nigdy nie odkryli. – Mężczyzna mówił powoli, z zachwytem w głosie, jakby zapomniał o patrolu pałkarzy. Obok niego dwaj pasterze uklękli na brzegu rzeki i zaczęli zbierać kamyki.

–Muszę mieć swój pistolet – warknął purba, wciąż jeszcze leżąc na ziemi. Był przerażony, zauważył Shan. Przywiązani do tradycji Tybetańczycy nienawidzili czasem purbów nie mniej niż Chińczyków. – Musimy ich stąd zabrać.

Pasterz pokręcił głową.

–Chińczycy zmarnowali mi życie – powiedział głucho. – Nie pozwolili mi pójść do szkoły. Nie pozwolili mi podróżować. Nie pozwolili mi podjąć pracy. Jestem jak karłowaty krzew, który nigdy nie wyrośnie, ale on, Lama Czystej Wody, góruje nad okolicą niczym ostatnie drzewo z wykarczowanego lasu. – Zerknął na Genduna z uśmiechem, po czym znów zwrócił wzrok ku purbie. Jego twarz stwardniała. – Oto, jak chronimy ta kich ludzi – oświadczył, rzucając pistolet w czarne wody rzeki. Dwaj pasterze, którzy klęczeli na brzegu, podnieśli się i stanęli obok niego. Jak i on wyciągnęli z kieszeni proce. – Wiemy od

innych, jak się to robi. Rozbijemy im latarki i zarzucimy ich kamieniami. Jeżeli dopisze nam szczęście, nie zobaczą nas. Chińscy żołnierze nocami dostają stracha. Słyszeli opowieści o demonach. – Spojrzał na thankę, wciąż trzymaną przez Lokesha, a potem na Shana. – Lamowie muszą nappełnić słoik – wyjaśnił purbie. – Potem odprowadzisz ich z powrotem. Mój młodszy brat zna drogę – dodał, wskazując stojącego na uboczu pasterza. – Jeśli nie zatrzymamy patrolu, ty najlepiej będziesz wiedział, jak wymknąć się żołnierzom. – Uniósł procę. Zadrżała mu dłoń. – Załataj boga – rzucił Shanowi nagłym szeptem, po czym wraz ze swymi towarzyszami rozpląnął się w ciemnościach.

Gdy Shan pomógł purbie wstać, mężczyzna z mieszaniną gniewu i podziwu na twarzy spojrzął w mrok, w którym zniknęli pasterze.

–Ten przedmiot... – odezwał się tępym głosem. – Słyszałem, że to po prostu zwykły kamień.

Wydarzenia tej nocy prześladowały Shana podczas długiej powrotnej wędrówki do pustelni i nie opuszczały go, gdy leżał niespokojnie na swym pośłaniu, nie mogąc

zasnąć. Tuż przed świtem poszedł do lhakang, niewielkiej kaplicy pustelni, i usiadł ze skrzyżowanymi nogami pod ołtarzem. Przed stojącym wśród maślanych lampek spękany drewniany posążek Buddy leżał długi na piętnaście centymetrów kanciasty kamień o zaokrąglonej od przodu powierzchni, na której widniało niewyraźne czerwone kółko, blada pozostałość po wymalowanym tu niegdyś oku. Zwykły kamień. Ale to właśnie z jego powodu dropkowie ryzykowali życie poprzedniej nocy. To on był przyczyną, dla której Lokesh oświadczył, że Shan staje się gniewnym bóstwem, przyczyną, dla której purbowie denerwowali się, że Shan i jego przyjaciele marnują czas w pustelni, przyczyną, dla której zadali sobie tyle trudu, żeby sprowadzić go tutaj.

Shan i Lokesh powoli wracali z pielgrzymki na górę Kailas w południowo-zachodnim Tybecie. Szli mało uczęszczanymi drogami, niekiedy odważali się wsiąść na godzinę lub dwie do jednej

z ciężarówek zmierzających ku centralnym regionom kraju. Pewnej nocy samochód, którym jechali, zatrzymał się raptownie przed stojącym w poprzek drogi zaprzęgiem. Zza pobliskich skał wyskoczyło kilku młodych ludzi, jednak zamiast rzucić się na kierowcę, popędzili ku platformie ciężarówki i obstawili ją, nim Shan i Lokesh zdążyli dotknąć stopami ziemi. Shan momentalnie rozpoznał wśród nich Drakego, wysokiego, szczupłego Tybetańczyka z czołem naznaczonym blizną w kształcie podwójnej pętli, pamiątką po palce funkcjonariusza prewencji Urzędu Bezpieczeństwa.

–Szukaliśmy was – oświadczył Drake, przyglądając im się z irytacją, jak gdyby Shan i Lokesh rozmyślnie go unikali.

–Byliśmy na pielgrzymce – wyjaśnił pogodnie Lokesh. – Wracamy do domu, do Lhadrung.

–Nie, nie wracacie – odparł stanowczo purba. Porozmawiał przez chwilę z kierowcą, wręczył mu khatę, szal ofiarny, i kiedy mężczyzna odjechał pospiesznie, skierował ich ku mniejszej ciężarówce, która wynurzyła się spomiędzy skał.

Przez trzy dni przemierzali surowe góry i doliny na północny zachód od Lhasy. Ominęli miasto Shigatse, telepiąc się drogami niewiele lepszymi od pożłobionych koleinami polnych traktów, potem jechali na północ, przez maleńkie, ubogie wioski, ku rozległemu dzikiemu płaskowyżowi Czangtang obejmującemu północną część środkowego Tybetu, aż wreszcie skręcili na wschód przy górniczym miasteczku Doba. Wiezorami, gdy siadywali wokół ogniska, Drake opowiadał o swym ukochanym płaskowyżu i o tysiącach innych spraw, ani razu jednak nie wspomniał, dlaczego ich zatrzymał i dokąd zmierzają. Czwartego dnia, kiedy w jakimś wąwozie wyjechali im na spotkanie konni dropkowie prowadzący dwa luzaki, Drake przyglądał się mającemu z nimi odjechać Shanowi z dziwną tęsknotą w oczach.

–Zrób to dla nas wszystkich – powiedział mu przy rozstaniu. – Kiedy nadejdzie czas, przyjdę po ciebie – obiecał i Shanowi zdało się, że dostrzega w jego oczach iskierkę przyjaźni.

Jechali z dropkami przez dwa następne dni, ale nie dowiedzieli się od nich niczego na temat celu podróży. Wreszcie, wspiąwszy się na wysoki, smagany

wiatrem grzbiet górski ujrzeli,

w dole, w niewielkiej dolinie, skupisko walących się zabudowań z ubitej ziemi i kamienia. Trzy największe prowizorycznie naprawiono za pomocą sklejki, blachy i tektury. W niedużym kamiennym budynku, który mieścił lhakang, spotkali Genduna. Siedział wraz z lamą w średnim wieku oraz nieznaną mniszką przy ołtarzu, przed obtłuczonym kamiennym okiem. Ślęczał nad długimi, wąskimi, nie zszywanymi stronicami tradycyjnej księgi. Gendun, którego Shan widział ostatnio dobrze ponad cztery miesiące temu setki kilometrów stąd, w górach Kunlun na zachodzie, przywitał go pogodnym uśmiechem i wskazał obu gościom miejsce obok siebie, jak gdyby się ich spodziewał. Dopiero przeszło dwie godziny później, gdy przygotowywano dla nich posiłek z prażonego jęczmienia i maślaną herbatę, Gendun przedstawił im Shopo i Nymę, krępa, może trzydziestoletnią kobietę. Nyma powitała ich wylewnie.

–Tak długo czekaliśmy! – zawołała. – Wreszcie przyszlście! Wszystkie te lata... – westchnęła.

–Lata? – zdziwił się Shan, przyglądając się jej szorstkiej twarzy i silnym ramionom. Gdyby nie mnisia szata, mógłby ją wziąć za zwykłą pasterkę. – Purbowie znaleźli nas dopiero tydzień temu.

Mniszka, śmiejąc się, wskazała na lhakang.

–Minęły dziesiątki lat, odkąd je straciliśmy... zostało skradzione i wywiezione z Tybetu jako trofeum.

–Oko? – zapytał Shan, przypominając sobie, co widział na ołtarzu. – Ten obtłuczony kamień?

Nyma żywo pokiwała głową. Wspinała się na palce i opadała na pięty, ledwie panując nad emocjami.

–Oko bóstwa strzegącego naszej doliny. Dopiero pięć lat temu powróciło do Tybetu i dopiero parę tygodni temu zostało uwolnione z Lhasy – powiedziała, jak gdyby kamień trzymano w więzieniu. – Wiedzieliśmy, że on musi odzyskać oko, zawsze wiedzieliśmy, że ono w końcu wróci. Jednak nikt nie miał pojęcia, jak je sprowadzić. Teraz mamy ciebie. Co on teraz zobaczy... – dodała złowieszczo. – Co on wtedy zrobi...

Tego pierwszego wieczora, gdy zjedli, Shopo wyjaśnił, że przed trzema miesiącami, nim jeszcze wieść o odzyskaniu oka

dotarła do doliny Yapchi, skąd pochodziło, tamtejsza wyrocznia oznajmiła, że oko może zwrócić jedynie pewien Chińczyk o czystym sercu. Gendun zmierzał właśnie do Lhadrung, gdy dotarła do niego ta wiadomość, i natychmiast zboczył z drogi, żeby odszukać tych, którzy rozważali słowa wyroczni. Wiedział, kim musi być ów Chińczyk.

Shan nie naciskał na Tybetańczyków, żeby opowiedzieli mu o kamieniu. Historia oka musiała odsłonić się we własnym tempie, na swój własny sposób. Dawno już zdążył się przekonać, że tego, co dla Tybetańczyków najważniejsze, zazwyczaj nie sposób ująć w słowa, a jeśli nawet takie słowa istnieją, niechętnie są wypowiedane. Dla ludzi takich jak Gendun i Lokesh słowa były zdradliwymi, niedoskonałymi tworem pozwalającymi jedynie na najbardziej niepewne porozumienie pomiędzy

ludźmi. Jeśli oko było naprawdę ważne, nie uczyliby Shana, czym jest ono samo, ale jak o nim powinien myśleć, gdzie powinien je umiejscowić w swym szczególnym obrazie świata.

Mimo to Shan sądził, że po tygodniach obcowania z nim będzie lepiej rozumiał, czym ono jest. Kamienne oko jednak zdawało się drwić sobie z niego, wciąż dręczyło boleśnie tę część jego dawnego ja, która nie chciała umrzeć, inspektora, który nie umiał powstrzymać się od pytań. Dlaczego Tybetańczycy byli gotowi oddać życie za ten kamień?

Na zewnątrz rozległ się podniecony okrzyk, potem drugi. W jednej chwili Shan znalazł się przy drzwiach. Ze wzgórza nad kaplicą niemłoda już kobieta, która wraz z bratem czuwała nad pustelnią, wskazywała ponad dachami na przeciwległy stok. Kilku spośród dropków, którzy rozbili obóz dwieście metrów dalej, podjęło okrzyk. Shan popędził na tyły budynku i ku swej uldze spostrzegł znajomą postać w długiej brązowej szacie.

Była to Nyma, która przed tygodniem opuściła pustelnię, żeby przynieść cynobrowy piasek, który można było znaleźć jedynie na dnie pewnego źródła u stóp górskiego lodowca. Mniszka schodziła ze wzgórza, obracając się i kołysząc. Nie sądziła, by ktokolwiek mógł ją widzieć, uświadomił sobie Shan, i tańczyła. Tańczyła, jak się domyślał, z radości, że przynosi ostatni z potrzebnych im rodzajów piasku.

Uśmiech nie schodził z twarzy Nymy, gdy dziesięć minut później mieszkańcy pustelni usiedli z nią na kocu wokół woreczka z piaskiem, który przyniosła z lodowca.

–Strumień był zamarznęty – powiedziała, wyjaśniając, dlaczego jej wyprawa trwała kilka dni dłużej, niż się spodziewano. – Tak więc usiadłam i czekałam. – Powoli, uroczyście uniosła ręce, żeby zdjąć okrągłą czapeczkę zakrywającą upięte wokół głowy warkocze, położyła ją na ziemi, po czym splotła dłonie na podołku. – Na drugi dzień przyszedł ciepły wiatr i lód zaczął topnieć. Trzeciego dnia zobaczyłam, że zrobiła się w nim dziura, akurat tej wielkości, że mogłam przełożyć przez nią rękę.

Shan przyjrzał się trzem mężczyznom siedzącym z nimi w kręgu. Na twarzy Lokesha gościł uśmiech, krzywy od wielu lat, odkąd but pałkarza złamał Tybetańczykowi szczękę. Przeniósł wzrok z Lokesha na pogodne oblicze Genduna, który z powagą skinął głową Nymie, a potem Shanowi, jakby dla potwierdzenia, że tak, to będzie tej nocy, tak, mimo zamętu szalejącego w całym Tybecie tu, w tym ich cichym, odległym zakątku, wszystko odbywa się w harmonii ze wszechświatem.

Obok nich, w wyświechtanej bordowej szacie, siedział Shopo, który od dwudziestu lat, kiedy to zmuszono go do opuszczenia klasztoru, opiekował się nielegalną pustelnią.

–Wszystko ułożyło się tak, jak powinno – zauważył pogodnie.

Wkład Nymy był doskonałym zwieńczeniem ich starań, które podkreślił jeszcze szacunek, jaki okazała górom. Nie zabrała cynobrowego piasku, ale czekała, aż lód stopnieje, czekała, aż góra sama odda go w jej ręce.

Shopo sięgnął po woreczek i z czią przesypał jego zawartość do glinianego słoja. Gdy unosił naczynie ku niebu, zza rogu najbliższego budynku wyłonił się

Tenzin, wysoki mężczyzna o pociągłej, posępnej twarzy, taszcząc na ramieniu wielki skórzany worek. Był jednym z mieszkańców pustelni i właśnie przynosił całodzienny zbiór jaczego łajna, którego używali jako opału. Tenzin spojrzął tępo na gliniany słoik, ujmując dłonią gau, srebrny relikwiarzyk na amulet lub modlitwę, które nosił na szyi, po czym skinął głową i ruszył w stronę szopy, gdzie gromadził opał.

–Lha gyal lo! – radośnie wykrzyknął Shopo ku niebu. – Niech zwyciężą bogowie! – Zamknął słoik w dłoniach, wstał z koca i poszedł ku przysadzistej kamiennej budowli mieszczącej pół tuzina cel medytacyjnych oraz lhakang pustelni. Shan i pozostali ruszyli za nim. Złożywszy milczący ukłon Buddzie na ołtarzu pod tylną ścianą kaplicy, Shopo postawił słoik na cedrowej desce, na której stało już dziesięć podobnych naczyń oraz kilka długich, wąskich lejków z brązu, po czym z nabożną czcią odwrócił się ku pokrywającemu środek kamiennej posadzki wielobarwnemu kręgowi dwumetrowej średnicy.

Był to Wadźrabhairawa, Diamentowy Pogromca, jedna z najrzadszych form misternych piaskowych mandali, które od wieków stanowiły element tybetańskiego rytuału. Shan w pierwszej chwili ze zgrozą słuchał wyjaśnień Genduna, że istota, którą przywołują, jest jednym z najstraszliwszych gniewnych bóstw opiekuńczych, teraz zaś przyglądał się, jak dropka z grymasem przerażenia przystaje na widok starej thanki z przedstawieniem Diamentowego Pogromcy, którą Lokesh powiesił w kaplicy. Ktoś mógłby stąd wywnioskować, że Shan i jego przyjaciele wkroczyli na ścieżkę demonów i zniszczenia, lecz Shan wiedział już, że owe budzące grozę obrazy służą mnichom jako symbole wyższych prawd, i nauczył się widzieć w tych wizerunkach nie okrucieństwo, ale nadzieję. Diamentowy Pogromca był formą, którą przybierała mądrość, żeby stawić czoło Panu Śmierci, gdy usiłował on porwać ludzi, nim zdążyli osiągnąć oświecenie.

Początkowo Shan i Nyma każdego dnia godzinami przysłuchiwali się, jak Gendun odmalowuje słowami złożoną mandalę, centymetr po centymetrze odtwarzając z pamięci jej wygląd. Wreszcie przed miesiącem Shopo i Gendun nakreślili kredą na kamiennej posadzce zawile linie, wytyczając główne zarysy koła. Od czasu, gdy Gendun brał udział w usypywaniu takiej mandali pod kierunkiem dziewięćdziesięcioletniego wówczas lamy, minęło już trzydzieści lat, lecz wciąż znakomicie pamiętał jej liczne elementy. Mandala zawierała dziesiątki symboli, każdy wykonany z ziarenek piasku nanoszonych po kilka za pomocą chakpy, wąskiego, kilkunastocentymetrowej długości lejka. W istocie każdy

przedstawiony obiekt, a nawet każdy kolor, był symbolem, z każdym symbolem zaś związana była nauka. Shan spoglądał na widniejący pośrodku symboliczny pałac, podzielony na cztery części. W białej, wschodniej ćwiartce znajdowało się Koło Dharmy, w żółtej, południowej – spełniające życzenia klejnoty, w czerwonej, zachodniej – lotos czystości, a w zielonej, północnej – płonący miecz.

Kwadrans później, podniesiony na duchu radosnym nastrojem Tybetańczyków, Shan wymknął się na łączkę otoczoną przez górujące nad budynkami skały, gdzie w minionych tygodniach spędzał długie godziny na medytacjach. Gendun chciałby zapewne, aby poświęcił ten ostatni dzień rozmyślaniom nad tajemnicą barwnych

piasków, ale Shan poczuł się nagle zbyt pełen życia, zbyt zadowolony z tego, że po latach udręki nareszcie znalazł dla siebie miejsce w świecie.

Gdy przyglądał się chmurom, pozwalając, by zadowolenie wyparło lęk, jaki odczuwał, siedząc przed odłupanym kamieniem, odkrył, że jest dziwnie nerwowy. Gdyż tej nocy, zamiast napełniać chakrę dla Genduna, gdy lama będzie usypywał mandalę, sam miał przyjąć napełniony lejek z jego rąk, żeby nakreślić zarysy obłoków i gór na obrzeżu kręgu.

Godzinami lamowie uczyli go, jak ułożyć ręce i nastroić umysł do nakładania piasku, póki nie poczuł, że jego prowadząca narzędzie dłoń nie tyle tworzy dzieło sztuki, ile wznosi piaskową modlitwę. Potem wspólnie ćwiczyli usypywanie płynnego falistego wzoru, który Shan miał odmalować białym piaskiem na obwodzie koła.

–Naśladuj tor, jaki skowronek zakreśla w locie – wyjaśnił Gendun, nawiązując do długiego, eleganckiego łuku pomiędzy jednym a drugim uderzeniem skrzydeł ptaka, po czym wyraził zdumienie na widok dziwnej mieszanki podniecenia i smutku, którą dostrzegł na twarzy Shana.

–To nic – wyszeptał Shan po chwili, kiedy opuściła go fala wspomnień. Niemal tymi samymi słowami, niemal tym samym tonem ojciec opowiadał mu niegdyś o ptakach i wierzbach na wietrze, gdy kreśląc pędzlem w powietrzu, uczył go stawiać pierwsze chińskie znaki.

Nagle Shan uświadomił sobie, że ktoś siedzi obok niego. Odwróciwszy wzrok od chmur, spojrzał na pogodną twarz Genduna.

–Czeka nas wędrówka przez góry – odezwał się lama. Siedział obok Shana ze skrzyżowanymi nogami, w pozycji lotosu, jak gdyby przeniósł się tu prosto z celi medytacyjnej. W ten sposób pytał Shana, czy jest gotów, nie do pracy nad mandalą, ale do podróży, która miała rozpocząć się potem, gdyż właśnie z uwagi na tę podróż trudzili się nad mandalą. Tak jak inni mogliby przygotowywać się do uciążliwej wyprawy, metodycznie gromadząc zapasy i studiując mapy, lamowie w tym samym celu metodycznie wzmacniali siły Shana, Lokesha i Nymy obrazami Diamentowego Pogromcy. Albo może, jak niepokojąco zasugerował Lokesh, przygotowywali Shana do odegrania jego roli.

–Jestem gotowy, rinpocze – odparł Shan, używając tytułu, który nadawano darzonym czcią nauczycielom.

Oczy Genduna rozbłysły, gdy lama spojrzał uważnie na Shana. Zazwyczaj nie potrzebowali słów, żeby się wzajemnie zrozumieć.

–I trzeba będzie troszczyć się o coś więcej niż tylko o łajno jaków – dodał. Shan z zakłopotaniem przyglądał się swemu nauczycielowi.

–Myślałem, że Tenzin tu zostaje, rinpocze – powiedział wreszcie. Przez całe dwa miesiące, odkąd go poznał, Tenzin nie odezwał się ani słowem, ale Shan wiedział, co kryje się za smętną, złamaną postawą tego człowieka i ostrzeżeniami dropków, żeby trzymał się z dala od dróg. Tybetańczyk był uciekinierem z obozu, jeszcze jednym zbiegiem próbującym powrócić do życia, na nowo odnaleźć w sobie iskrę, którą tak wielu tak długo usilnie starało się zgasić.

–On idzie na północ. Ktoś umarł.

Z twarzy Shana znikły resztki uśmiechu.

–Nie – dodał szybko Gendun. – Nie w ten sposób – powiedział, mając na myśli, że nie chodzi tu o jedno z owych brutalnych przestępstw, których tajemnice uparcie odkrywał dawny Shan. – To nie ma nic wspólnego z kamieniem ani kimkolwiek z nas. On po prostu wybiera się na północ, a ja martwię się o niego.

Choć Tenzin zazwyczaj jadał wraz z nimi i dzielił ich obowiązki, trzymał się od Shana na dystans, nie dając mu się bliżej poznać. Mimo że spędzili razem całe tygodnie, wciąż był dla Chińczyka zagadką równie wielką jak na początku. W pierwszej chwili Shan uznał jego sposób bycia za rezerwę związaną z dziwnie arystokratyczną aurą, jaką roztaczał, nawet kiedy dźwigał worek z łajnem. Niejeden raz zastanawiał się, czy Gendun lub Shopo nałożyli na tego człowieka pokutę za jakiś postępek. Zdarzało się, że tacy ludzie dopuszczali się przemocy, żeby móc uciec. Gendun raczej nie potępiłby go za zabicie obozowego strażnika, ale martwiłby się, że ów czyn przyniesie zgubne skutki jego wewnętrznemu bóstwu. Wysoki, milczący Tybetańczyk wychodził każdego dnia o świcie ze swoim skórzanym workiem i wracał o zmierzchu, wypełniwszy go łajnem jaków, skromnym plonem całodziennej pracy. I mimo że znosił po worku dziennie, zdołał zapełnić jedną z mniejszych szop aż po sufit.

–Pomogę mu, jeśli tylko będę wiedział jak, rinpocze.

Gendun skinął głową.

–Czasem martwię się, że on zniknie nam z oczu. – Lamie nie chodziło o to, że Tenzin ich opuści, ale że pogrążywszy się w głębokiej medytacji podczas wędrówki po zdradliwym terenie, może nie wiedzieć, co go otacza. Zdarzało się, że mnisi łamali nogi, a czasem nawet karki, idąc samotnie przez góry.

Shan przyjrzał się swemu nauczycielowi. Gendun wiedział o posępnym Tybetańczyku coś, o czym Shan nie miał pojęcia, albo przynajmniej wyczuwał coś, czego Shan nie potrafił dostrzec. Tenzin nie pomagał usypywać mandali, ale z dziecięcą fascynacją śledził, jak powstaje, niezmiernie służąc Gendunowi i Shopo herbatą i napełniając kaganki masłem przynoszonym w bukłakach przez dropków. Shan nigdy nie widział, żeby Tenzin medytował czy okazywał zainteresowanie tym, co Tybetańczycy mogliby nazwać jego wewnętrznym buddą, przypomniał sobie jednak, że przynosił codziennie zaledwie jeden worek łajna. Na jego wypełnienie wystarczyłyby dwie lub trzy godziny. Czy Tenzin resztę dnia medytował wśród górskich szczytów? Raz, przypomniał sobie Shan, po tym, gdy Shopo dokładnie im wyjaśnił, jak rozmawiać z rzecznymi nagami, Tenzin wrócił do pustelni z

czarnym piaskiem do mandali i z czią wręczył go Gendunowi. Innym razem Shan natknął się na niego w środku nocy przy mandali – stał z oczyma pełnymi łez, z dłonią uniesioną nad wizerunkiem mnicha pustelnika.

–Kiedy odrośnie mu język, będzie lepiej – powiedział lama. – Jeszcze parę miesięcy, być może.

Tak właśnie Gendun określał milczenie ludzi złamanych jak Tenzin, tak właśnie

wyraził się o posępnym milczeniu samego Shana w pierwszych tygodniach po jego zwolnieniu z obozu. Gdy ów człowiek wreszcie odnajdzie w sobie tę iskrę, która była Tenzinem z okresu przed uwięzieniem, przed torturą obozu, płomień jego ducha dosięgnie języka i pozwoli mu znów rozmawiać ze światem. Być może, pomyślał Shan, dlatego właśnie Gendun prosił go, aby czuwał nad Tenzinem, gdyż i on, zanim spotkał lamów, składał się jedynie z niemych, bezładnie połączonych okruchów.

„Przesiej piach, żeby oddzielić nasiona wszechświata”. Słowa te rozbrzmiewały echem w umyśle Shana, gdy cztery godziny później siedział przy mandali ze słojem białego piasku u stóp. Słońce zaszło już i rozpoczęła się ostatnia noc pracy. Jego ramię lekko niczym piórko musnął czubek palca.

–Już czas – oświadczył Gendun. Z rękawa swej bordowej szaty wyciągnął chakpę i podał ją Shanowi.

Shan zawahał się. Z mrocznego korytarza prowadzącego do sali dobiegał go jęk wiatru zawodzącego wśród zmurszałych kamiennych murów pustelni. Zlewał się on w niesamowity duet z mantrą nuconą cicho przez Lokesha, siedzącego obok Tenzina pod ścianą za ich plecami. Shan powoli uniół dłoń, by wziąć z rąk Genduna smukłą chakpę wypełnioną białym piaskiem. Lama podał mu drugi, pusty lejek, służący do wytrząsania piasku z pierwszego. Shan zerknął na chwilę w stronę małego drewnianego ołtarza, ku obtłuczonemu oku, po czym, z przelotnym poczuciem winy, odwrócił się znów do Genduna. Oko spoczywało na swoim miejscu, obserwując ich nieustannie. Ale jednym z elementów dyscypliny, jaką Gendun narzucił Shanowi, było odsunięcie od

siebie wszelkich myśli o tajemniczym oku, całkowite skoncentrowanie się na mandali. Od owego pierwszego dnia w pustelni nikt już nie mówił nic na temat oka, oprócz Lokesha, który z powagą szepnął mu pewnej nocy, że nie powinien się martwić, gdyż każde miejsce, w którym przebywać będą Gendun i kamień, zostanie uświęcone. Lokesh zdawał się uważać czekającą ich podróż za pielgrzymkę, w której święci ludzie zwrócą święty kamień, i najwyraźniej był przekonany, że cały świat się rozstąpi, żeby pielgrzymi mogli dotrzeć do celu bez przeszkód.

Shan przyglądał się, jak Nyma usypuje płomień zewnętrznego kręgu mandali, a gdy mniszka skończyła, pochylił się, by nakreślić cieniutką linią białego piasku kontur obłoku. Opuścił ku ziemi napelnioną chakpę, potem pustą, ale szybko je uniół. Trzęsły mu się ręce. Nikt się nie odezwał. Przez chwilę zbierał się w sobie, utkwivszy wzrok w widniejącym pośrodku mandali symbolicznym czterobramnym pałacu, siedzibie mądrości i współczucia. Gdy jego dłonie się uspokoiły, zaczął stukać w chakpę z piaskiem, usypując białą strużkę na obrzeżu kręgu. Uderzające o siebie metalowe lejki wydawały odgłos brzęczy niczym cichy, stłumiony dzwonek, dźwięk, który stał się częścią ich conocnego rytuału, każdym brzęknięciem obwieszczając dodanie paru następnych drobin do miniaturowego wszechświata, który tworzyli lamowie.

Skończywszy, dał znak Nymie, która miała teraz nanieść drzewo cynobrem, po czym wstał i odszedł od kręgu, obawiając się odetchnąć głębiej nad delikatnym piaskowym obrazem. Odwróciwszy się, spostrzegł, że obok Lokesha siedzi w kucki

jakiś nieznajomy, który rozmawia z nim podnieconym, choć ściszym głosem. Mężczyzna miał na sobie wybrudzoną czapę z owczego runa oraz chubę, kożuch z owczej skóry, ulubiony strój koczowników zamieszkujących owe odludne tereny, nie był to jednak żaden z dropków z obozowiska nad pustelnią.

Na widok Shana nieznajomy wstał, wytrzeszczając oczy, i oskarżycielsko dźgnął palcem w jego stronę. Przy tym ruchu rozchyliła mu się chuba, ukazując długi nóż za pasem. Gdy Shan podszedł bliżej, Lokesh, ściskając różaniec w dwóch palcach, żeby nie stracić rachuby, wstał i wolną ręką przygiął w dół ramię mężczyzny.

–Oszalałeś – mruknął obcy. Gdy wykręcał się Lokeshowi, czapa spadła mu z głowy, ukazując ogoloną czaszkę. Shan, patrząc na silną, kościstą twarz mężczyzny, jego gładką czaszkę i długie, cienkie wąsy, uświadomił sobie, że nieznajomy nie jest jednym z miejscowych pasterzy. Był to członek najbardziej chyba opierającego się Pekinowi tybetańskiego plemienia Goloków, zasiedlającego północno-wschodnie rubieże. – To Chińczyk! – warknął Golok.

Shan zerknął niespokojnie ku mandali. Nyma i lamowie nie zwracali na mężczyznę najmniejszej uwagi.

–To Shan – zaoponował Lokesh, wciąż trzymając nieznajomego za ramię, jakby się obawiał, że rzuci się na jego przyjaciela. – Człowiek, który tego dokona.

Intruz zerknął z ukosa na Lokesha, a następnie z uwagą przyjrzał się Shanowi. Jego gniew przygasł, ustępując miejsca szyderstwu.

–Nie wydaje mi się. To on ma załatać boga? Przecież to kryminalista. Twardy jak stal, powiadają. Znienawidzony przez wszystkich Chińczyków.

Lokesh spojrzał przepaszająco na Shana.

–Nie kryminalista. Więzień. Cztery lata lao gai – dodał, mówiąc o obozie pracy przymusowej. Aż do zeszłego roku zarówno Shan, jak i Lokesh odbywali karę w 404. Ludowej Brygadzie Budowlanej, jednym z okrytych najgorszą sławą obozów w chińskim systemie niewolniczym.

–Dla mnie – oświadczył Golok, obrzuciwszy spojrzeniem połataną kurtkę Shana, jego sponiewierane buty robocze i wystrzępiony koniec popękanej paska ze sztucznej skóry, który zwisał mu u spodni – on wygląda jak sklepikarz. Zbankrutowany sklepikarz – dodał, szyderczo świdrując Shana wzrokiem, po czym marszcząc brwi, rozejrzał się po obecnych. – Tu powinni być purbowie, bojownicy. Wy nie macie żadnych szans. Nie masz o tym pojęcia – powiedział wyniośle, odwróciwszy się znów do Shana. – Możesz zginąć jak nic. Lepszy od ciebie próbowali i stracili życie.

Shan bez słowa odwzajemnił spojrzenie Goloka. Jeśli on, który nie był purbą, znał ich tajne plany, jak wielu jeszcze, zastanawiał się, wie, że zamierzają zwrócić obtłuczone oko? Dlaczego ten człowiek zdawał się wiedzieć więcej niż on? I dlaczego, skoro najwyraźniej był tu intruzem, pełniący straż dropkowie wpuścili go do pustelni?

Lokesh westchnął.

–Tak – odezwał się, jakby słyszał już takie ostrzeżenia. Ujął Goloka za ramię i pociągnął go na środek sali. – Powinieneś obejrzeć święty krąg – oświadczył

cierpliwie. Zabrzmiało to niczym zalecenie lekarza i Shan uznał, że nieznajomy musi być jednym z owych zgorzkniałych, przepełnionych gniewem Tybetańczyków, których starsi pasterze sprowadzali do pustelni, żeby przyglądali się powstawaniu mandali i rozmyślali nad władzą, jaką współczucie może mieć nad nienawiścią i lękiem.

Golok spojrział na mandalę, przekrzywiając głowę pod osobliwym kątem, jak gdyby dopiero teraz zauważył piaskowy krąg i siedzących przy nim lamów. Zmarszczył brwi i opadł na kolana, w niechętnym hołdzie skłaniając na krótko czoło do podłogi. Gdy wstawał, jego wzrok padł na ołtarz. Wydawszy pomruk zaskoczenia, szybkim krokiem okrążył mandalę i stanął przed obtłuczonym okiem, po czym usiadł w kucki, żeby mu się przypatrzeć. Wydawał się o wiele bardziej zainteresowany tym kawałkiem skały niż lamami czy mandalą.

Podczas lat spędzonych w obozie Shan miał okazję poznać Goloków. A raczej nie, nie miał okazji ich poznać, gdyż żaden z nim nie rozmawiał, rzucali mu jedynie milczące, nienawistne spojrzenia, jakie rezerwowali dla swych wrogów. Nawet Tybetańczycy w większości ich unikali, gdyż Golokowie od stuleci mieli niechlubną opinię dzikich bandytów. Próbowaliby zabić Shana, gdyby nie chronili go mnisi, z którymi dzielił obozowy barak. Słyszał, co zrobili dwóm innym chińskim więźniom: jednego znaleziono na własnej pryczy ze śrubokrętem wbitym w mózg, drugi został wykastrowany zaostrożoną łyżką. W pierwszych dniach pobytu w obozie pracy Shan chętnie przyjąłby śmierć z rąk takich ludzi. Ale to był inny Shan, inne wcielenie – pekiński Shan, wtrącony do obozu, pragnął jedynie uwolnić się od nieustannego bólu i strachu, który owładnął nim po ciągnących się tygodniami przesłuchaniach bezpieki.

Gendun odwrócił się i spojrział wyczekująco na Shana. Nyma skończyła pracę nad drzewem w piaskowym kręgu. Shan wrócił na swoje miejsce obok lamy i przyjął chakpę, ponownie wypełnioną białym piaskiem. Zamknął na chwilę oczy, pochylił się i zaczął postukiwać w lejek, tym razem kreśląc kontury trzech falujących gór. Pracował w milczeniu. Nyma i lamowie siedzieli, kontemplując niemal ukończoną mandalę. Wiatr zawodził nad dachem pustelni. Migotały płomyki maślanych lampek. Szeptana mantra Lokesha niczym wiatr to przybierała na sile, to cichła. Skupił całą swą istotę na wysypujących się z chakpy ziarnkach piasku. Białe jak świeżo spadły śnieg, białe jak bóstwa mieszkające wśród chmur, zdawały się jarzyć. Wreszcie, skończywszy, Shan wyprostował się, wstał i znów usiadł obok Lokesha i Tenzina, podczas gdy Shopo ujął chakpę z niebieskim piaskiem, z którego miał powstać mnich siedzący wśród gór usypanych przez poprzednika.

Shan usilnie starał się skoncentrować wyłącznie na mandali. Ale Golok kręcił się teraz niespokojnie w głębi kaplicy, to zerkając na obtłuczone oko, to znów wpatrując się w niego. Shan wiedział, o czym myśli ten człowiek. Sam od tygodni zadawał sobie to pytanie. Dlaczego właśnie ja? „Ponieważ znasz obyczaje demonów, które nie chcą dopuścić, by nasze bóstwo znów przejrzało na oczy”, odparła Nyma, gdy ją o to zapytał. Jak uświadomił sobie ze smutkiem, miała na myśli to, że zna metody działania chińskich władz. „To twoja nagroda”, dodała. „Ludzie wiedzą, że

przywróciłeś równowagę, gdy naruszyła ją przemoc. Wiedzą, że odnajdujesz to, co zostało zagubione”.

„Ale miejscowi muszą przecież wiedzieć, gdzie jest miejsce oka”, zagadnął ją Shan pewnego ranka, gdy razem wybrali się po wodę. „Nie”, odparła, spoglądając na niego ze smutkiem. „Odkąd bóstwo zostało oślepienie, wycofało się daleko w góry”. Dolina Yapchi, którą zamieszkiwało od stuleci, miała przeszło trzy kilometry długości i półtora kilometra szerokości. Z trzech stron otaczały ją potężne łańcuchy górskie, podziurawione przez rozpadliny i jaskinie. Bóstwo mogło przebywać wszędzie.

Jeszcze cztery razy Shan ujmował w dłoń chakpę z białym piaskiem, jeszcze cztery razy kreślił kontury obłoków i gór, po

czym przyglądał się, jak inni dodają kolejne elementy mandali. Czas płynął wolno. Tenzin w milczeniu zapalał nowe laseczki kadzidła. Przez krótką chwilę o blaszany dach kaplicy bębnił grad. Lokesh wciąż szeptał mantrę, nie milknąc ani na moment, aż zdawało się, że jej szmer jest po prostu jednym z odgłosów wiatru. Golok usadowił się ze skrzyżowanymi nogami przed ołtarzem, raz po raz obracając i przekrzywiając głowę, jak gdyby szukał miejsca, z którego najlepiej widać oko.

Ale Shan nie pozwolił, by rozpraszało go osobliwe zachowanie Goloka. Z nieoczekiwaną radością próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuł się tak szczęśliwy. Musiało to być jeszcze w czasach, zanim uwięziono go w lao gai, zanim został mianowany generalnym inspektorem Ministerstwa Gospodarki, zanim poślubił wysokiej rangi funkcjonariuszkę partyjną i zaczął pracować dla władz w Pekinie. To była ważna noc, uświadomił sobie, noc swego rodzaju inicjacji, noc odkryć. Noc, kiedy wszyscy, mówiąc słowami Lokesha, byli bliscy swym wewnętrznym bóstwom. Noc, kiedy mógł sobie powiedzieć z całym przekonaniem, że w całym wszechświecie tu właśnie jest to jedno miejsce, przeznaczone dla niego, tu, pośród lamów, którzy potrafili zapomnieć, że miliony Tybetańczyków zginęły z ręki jego chińskich rodaków, potrafili zapomnieć, że niemal wszystkie ich cenne klasztory zniażdżył but Pekinu, potrafili zapomnieć, że po pięćdziesięciu latach od inwazji wciąż żyją w okupowanym kraju, potrafili zapomnieć o wszystkich cierpieniach, gdyż tu, na tym odludziu, w tej zapomnianej, smaganej wiatrem pustelni, kilka ocalałych pobożnych dusz pracowało nad mandalą poświęconą współczuciu i mądrości. A teraz, kreśląc ziarnkami piasku ostatnie jej detale, wkroczyli w doskonałą godzinę tej doskonałej nocy.

Gdy uniósł wzrok ku oczom Genduna, na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Być może zbyt wiele doszukiwał się w ich upartym dążeniu, żeby zwrócić oko, być może chodziło jedynie o to, by utrwalić takie chwile, ochronić lamów i tradycję, przechować ziarno. Nagle wydało mu się, że nie ma nic ważniejszego pod słońcem niż to, żeby oddać bóstwu jego oko.

Gendun odwrócił głowę, zwracając ucho w stronę zewnętrznej ściany. Wiatr przybrał na sile – zawodził teraz przeciągłym,

głuchym tonem o dziwnie metalicznym podźwięku. Shan wyczuł nagły ruch i oderwawszy wzrok od mandali, spostrzegł, że Golok lekko się unosi, spoglądając czujnie na drzwi. Przeciągły dźwięk powtórzył się, choć tym razem był nieco niższy.

Shan usłyszał dobiegający z korytarza tupot stóp. Stary pasterz, który pilnował pustelni, wybiegł na zewnątrz.

Pasterz i jego siostra czuwali na zmianę, jedno w pustelni, drugie na zachodnich wzgórzach, skąd rozpościerał się widok na dolinę, stanowiącą ich jedyne połączenie z zewnętrznym światem, uzbrojeni nie w strzelby, lecz w stary, wyszczerbiony dungchen, długą, przypominającą róg alpejski trąbę, jakich używano w świątyniach. Nowy dźwięk, uświadomił sobie Shan, nie był odgłosem wiatru, ale trąbiącego na alarm dungchenu. Golok, zaciskając dłoń na rękojeści długiego noża, zerwał się i popędził ku drzwiom. Shan wstał i niepewnie zrobił krok w tym samym kierunku. Lokesh przerwał mantrę i przekrzywił głowę, nasłuchując, po czym rzucił Shanowi znużone spojrzenie i znów podjął recytację, tyle że nieco szybciej. Dźwięk rogu rozległ się raz jeszcze, bardziej natarczywie, ale lamowie nie dali po sobie poznać, że go słyszą. Mogli zjawić się pałkarze. Mogli mieć karabiny. Mogli mieć pałki i elektryczne biczki na bydło, jakich używali do poskramiania tybetańskich tłumów. Mogli odwieźć ich wszystkich w kajdanach do obozu lao gai, gdzie Gendun i Shopo, jako nielegalni mnisi, z pewnością odsiedzieliby co najmniej pięć lat. Nic z tego jednak nie mogło ograbić lamów z tej radosnej chwili. Ich mandala była niemal gotowa.

Golok wrócił, dysząc ciężko, i chwycił Shopo za ramię, usiłując go odciągnąć od mandali. Lama jednak ani drgnął, jak gdyby zapuścił korzenie w kamiennych płytach posadzki. Golok mruknął gniewnie i zabrał się do Genduna, również bez skutku. Shan, nasłuchując, zrobił krok w stronę drzwi. Spodziewał się metalicznego dudnienia helikoptera, a może nawet ciężkich kroków pałkarzy. Nie aresztowaliby go jako nielegalnego mnicha, ale jako uciekiniera z lao gai, gdyż jego zwolnienie z obozu w Lhadrung było jedynie nieoficjalnym aktem dobrej woli miejscowego dygnitarza. Pałkarzom wystarczyłoby sprawdzić numer wytatuowany na jego przedramieniu, by się przekonać, że chociaż

w Pekinie skazano go na lao gai, nigdy nie zatwierdzono jego uwolnienia.

Gdy róg umilkł, Shan spojrzał na Goloka, który zaklął zdezorientowany. Z oczu wzyrało mu przerażenie, wciąż zaciskał dłoń na rękojeści noża. Shan stał przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego Golok po prostu nie uciekł, po czym podszedł do Lokesha i powoli usiadł ze skrzyżowanymi nogami, zmuszając się do patrzenia na mandalę. Lamowie wciąż nad nią pracowali. Wkrótce znów miała przyjść pora na biały piasek Shana.

Nagle pasterz, który pilnował korytarza, pojawił się znowu, zdyszany, ale wyraźnie zadowolony. Golok, już spokojniejszy, wycofał się w cień pod ścianą, nie odrywając jednak ręki od noża. Za pasterzem do kaplicy weszła krępa kobieta pełniąca straż na wzgórzach, za nią zaś, chwilę później, przytrzymując się futryny drzwi, wsunął się wysoki, szczupły mężczyzna.

Przybysz oparł się o ścianę i ze ściągniętą mocno twarzą rozglądał się po sali. Shan po nieregularnej bliźnie nad oczyma poznał, że to Drake, purba, który przekazał jego i Lokesha dropkom, obiecując, że po nich wróci. Drake, który, jak głosiły słuchy, zaginał. Ale był to blady, wycieńczony Drake, bez twardego,

dumnego błysku, który Shan zawsze dotąd widział w jego oczach.

–On nadchodzi – odezwał się Drake ochryłym, napiętym głosem. – Nie ma czasu. – Młody Tybetańczyk wydawał się półżywy ze zmęczenia. Przycisnął prawą dłoń do brzucha i ruszył w stronę mandali, kręcąc głową na wszystkie strony, jak gdyby kogoś szukał. Spojrzał w cień, w którym siedział Tenzin, i przystanąwszy na chwilę, przeniósł wzrok na Shana. – Bierzcie oko – wyrzucił z siebie między krótkimi, urywanymi oddechami. – Bierzcie oko i uciekajcie.

Nyma westchnęła, nie przerywając pracy. Kreśliła właśnie niebieskim piaskiem zarys góry. Shan zauważył jednak, że Gendun przygląda się Draktemu, przechylając na bok głowę, ze skupieniem w oczach, jakby dostrzegł w purbie coś, czego nie pojmował.

Lokesh wstał i zrobił krok w stronę Drakego, purba jednak powstrzymał go, wyciągnąwszy rękę.

–Jemu jest wszystko jedno, kto zginie – jęknął. – Chce znaleźć kamień. On zabija to, czym sam jest. Zabija modlitwy. Widziałem, jak zabija. Nikt nie zdoła go powstrzymać. Po prostu uciekajcie – powtórzył. Jego głos brzmiał niczym szloch. – To wszystko, co możecie teraz zrobić. Ratujcie oko. Ratujcie siebie. – Przy ostatnich słowach spojrzał żałośnie na Shana. – Przykro mi – jęknął, jakby był mu coś winien.

Shan, zmrożony jego słowami, nie wiedząc, co robić, wstał i podszedł do skraju świętego kręgu. Miał właśnie wyciągnąć rękę i podeprzeć purbę, zaproponować mu czarkę herbaty na uboczu, gdzie mogliby spokojniej porozmawiać o jego obawach, gdy nagle kobieta stojąca przy drzwiach wydała zduszony okrzyk i opadła na kolana, pochylając głowę do podłogi. Golok jęknął i rzucił się na drugą stronę kręgu, ku ołtarzowi. Nyma uniosła wzrok i krzyknęła cicho. Z zapomnianej chakpy sypał się na mandalę niebieski piasek.

W drzwiach stała na dwóch nogach jakaś groteskowa istota. Była tak potężnie zbudowana, że wypełniała cały otwór. Jej dzikie oczy spoglądały wściekle na purbę. To człowiek, powiedział sobie Shan, albo coś, co niegdyś było człowiekiem. Tyle razy słuchał tybetańskich opowieści o demonach, tyle razy widział wizerunki gniewnych bóstw, że przez chwilę nie był do końca pewien, czy istota, którą właśnie widzi przed sobą, jest prawdziwa. Dropka, wykrzyknąwszy imię błogosławionej Tary, protektorki wiernych, rzucił się na posadzkę.

Przybysz miał potężną głowę, ludzką, chociaż pocernione policzki i natłuszczone włosy związane w ciasny węzeł na ciemieniu sprawiały, że było w niej coś zwierzęcego. Ramiona miał szersze niż drzwi, musiał więc wejść bokiem. Spod brązowej szaty bez rękawów wystawała ręka, owinięta powyżej łokcia czerwonym sznurem, dzierżąca długi kij, niemal dorównujący grubością ramieniu Shana, zakończony węzlastym sękiem na wysokości barków.

Shopo wstał i wyciągnął przed siebie otwartą dłoń, jakby chciał powitać intruza. Nim jednak zdążył się odezwać, nieznajomy zamachnął się kijem i wymierzył Draktemu cios w brzuch, wrzeszcząc przy tym na niego. Wykrzykiwał słowa szybko, tak donośnie, że zagłuszył szum wiatru. Dropkowie zasłonili

uszy. Stare szkoły tybetańskiego buddyźmu uczyły, że istnieją źli magowie, którzy

znają potężne zaklęcia mogące zniewolić człowieka, jeśli je usłyszy.

Ale olbrzym o czarnym obliczu zdawał się nie zauważać dropków ani lamów. Wciąż wrzeszczał na Draktego demonicznym tubalnym głosem, dźgając purbę kijem, okładając go po brzuchu, po ramionach, po udach. Shan na próżno starał się zrozumieć, co przybysz wykrzykuje. Słowa były tybetańskie, ale brzmiały obco dla jego uszu. Być może stwór mówił po starotybetańsku, językiem, w którym spisano najdawniejsze nauki, albo jednym z rozlicznych dialektów używanych w zapadłych regionach Tybetu. Zdołał wyłowić jedynie imię Jamantaki, Pogromcy Pana Śmierci.

Twarz Draktego zszarzała jak popiół. Gniew, który w pierwszej chwili rozbłysł w jego oczach, szybko ustąpił miejsca przerażeniu. Jego dłoń sięgnęła do piersi. Cofał się, próbując uniknąć ciosów kija, aż nagle Nyma wydała stłumiony okrzyk – purba stał na środku ich delikatnej mandali. Shan rozpaczliwie rozejrzał się po sali, szukając czegoś, czym mógłby obronić młodego Tybetańczyka. Drake, z drżącymi wargami, z oczyma utkwionymi w demonie, zaczął recytować mantrę *OM MANI PADME HUM*, wezwanie do Bodhisattwy Współczucia.

Wtem intruz umilkł i tylko wpatrywał się groźnie w Draktego, potrząsając kijem krótkimi, szarpanymi ruchami. Jedynym odgłosem w sali była mantra purby, która jednak zamierała mu na ustach, aż przeszła w ciche skomlenie. Drake zaczął się chwiać, jak na silnym wietrze. Shopo odwrócił się ku młodemu Tybetańczykowi, a on uniósł dłoń, jak gdyby prosił go o pomoc. Ale dłoń, trzęsąc się, opadła powoli i Shopo jęknął. Shan spojrzał tam gdzie lama, na mandalę, i zadrżał. Piaskowe malowidło zmieniało się na ich oczach, jego kolory mieszały się, ciemna chmura rozprzestrzeniała się po zawiłym wzorze, jakby mandala dostała się pod wpływ jakichś złych sił.

Sparaliżowany tym widokiem, niezdolny pojąć nic z tego, co się właśnie wydarzyło, Shan mógł się jedynie tępo przyglądać, gdy najpierw Nyma, a potem dropkowie, krzycząc rozpaczliwie,

wskazywali palcami rozpływającą się mandalę. Nagle, z ukłuciem bólu, zrozumiał. To była krew. Ciemnoczerwona, spływała z prawej nogawki spodni Draktego, rozlewając się wokół jego stóp, pokrywając ich cenne piaskowe dzieło.

Shan niepewnie zrobił krok naprzód, potem następny, wyciągając ręce, żeby podtrzymać Draktego. Purba, jakby wyczuwał jego zamiary, zwrócił ku niemu puste, zdziwione oczy. Chwilę później jednak zachwiał się i opadł na kolana, po czym zwałił się ciężko na twarz z przyprawiającym o mdłości chrupnięciem, gdy jego szczęka uderzyła o kamienną posadzkę.

Shan obejrzał się w stronę drzwi. Demon zniknął.

–Wszystko na nic – głośnie szlochała kobieta. – Jesteśmy zgubieni. – Łzy spływały jej po twarzy, gdy wpatrywała się w mandalę, nad którą pracowali od dwóch miesięcy. Święte malowidło zostało skalane. Mandala była zniszczona. Bóstwa odwrócą się od niej i być może od nich wszystkich.

Lokesh podbiegł do Draktego i uklęknął przy nim. Ujął w dłonie jego głowę. Twarz starego Tybetańczyka zmartwiała. Cichym, pospiesznym szeptem rozpoczął inną mantrę. Wiedział już to, co Shan odgadł, patrząc w szkliste, niewidzące oczy

młodego purby. Drake był martwy.

Rozdział drugi

–Podstawą natury twego umysłu jest świetlistość i pustka -recytował Gendun monotonnym szeptem, siadając obok ciała młodego Tybetańczyka. – Zamieszkuje on jako ogromna przestrzeń światła poza narodzinami i śmiercią. – Rozpoczął odprawianie rytuału bardo w tej samej chwili, w której zobaczył twarz Drakego. Cicho wypowiadał tradycyjne słowa, podczas gdy dwoje dropków z szacunkiem prostowało zwłoki na podłodze. Nie było czasu do stracenia. Tybetańczycy wierzyli, że Drake doświadcza teraz opadania w bezkresną przepaść, pędu wiatru i rozbłysków jaskrawych barw. Nie był przygotowany na rozstanie ze swym ciałem i musiał być zdezorientowany.

–Rinpocze – odezwała się stłumionym głosem Nyma – mandala dla...

Gendun umilkł na chwilę. Przyjrzał się zniszczonej mandali, obtłuczonemu oku, potem Tenzinowi, który podbiegł i uklęknął przy Drake, końcu zatrzymał spojrzenie na martwym mężczyźnie.

–Tu właśnie zaprowadził nas Bodhisattwa Współczucia – oświadczył i podjął rytuał. – Zostawisz za sobą to materialne ciało i poznasz, że twoje życie dobiegło końca – recytował z pa mięci, z niemal zamkniętymi oczyma.

Dropkowie przynieśli koc i ułożyli na nim zwłoki. Gendun, nie przerywając recytacji, szedł obok tych zaimprovizowanych noszy, gdy Lokesh i Tenzin powoli nieśli martwego mężczyznę do sąsiedniej chaty. Nyma zapaliła lampki maślane, a oni, zgodnie z tradycją, posadzili ciało, opierając je o ścianę. Shan siedział obok lamy z sercem wciąż walącym jak młotem, rozpaczliwie starając się zrozumieć, co zaszło. Po chwili wstał i podszedł do

drzwi. Wyjrzał na zewnątrz. Golok i dwaj pasterze krążyli nerwowo wokół zabudowań. Kobieta od dropków wykrzykiwała ostrzeżenia w stronę pobliskiego obozowiska. Shan znów spojrzał do chaty. W nikłym świetle kaganków zdawało się, że Gendun i Drake siedzą pogrążeni w rozmowie.

W kaplicy, przy mandali, Shopo rozpoczął inną ceremonię. Siedząc pomiędzy Lokeshem i Nymą, przemawiał do istot wyobrażonych na piaskowym malowidle, zwracając się do każdej z nich po kolei z cichą, brzmiącą jak przeprosiny modlitwą. Shan siedział z nimi niemal pół godziny; potem, gdy strach znów wziął górę nad oszołomieniem, wyszedł na dwór i stanął w drzwiach drugiej chaty, gdzie Gendun wciąż przemawiał do Drakego. Wpatrywał się w martwego Tybetańczyka, wspominając swoje pierwsze spotkanie z nim, w dolinie Lhadrung, gdzie purba prowadził zbiórkę żywności dla rodzin więźniów. Drake przez kilka lat nosił szaty mnicha, dopóki nie został zmuszony do opuszczenia swej gompy, swego klasztoru, kiedy pekińska centrala Urzędu do spraw Wyznań ustaliła ścisłe limity aktywnych mnichów. W innej epoce Drake spędziłby życie jako mnich, ucząc się i nauczając współczucia. Ale ci, którzy rządzą światem Drakego i Shana, oświadczyli młodemu Tybetańczykowi, że nie wolno mu mieszkać w gompie i czerpać z mądrości lamów.

Shan uświadomił sobie, że popełnił błąd, wierząc w bezpieczeństwo ich ukrytej

pustelni, popełnił błąd, pozwalając, by rytuał sypania mandali aż tak go pochłonał, kiedy tuż-tuż czaiło się niebezpieczeństwo. Być może jego błędem było nawet to, że tak bardzo, aż do obsesji, zawierzył mandali oraz ucieleśnianej przez nią nadziei. Nieraz miał okazję słyszeć, jak la-mowie przekonują ludzi pokroju Draktego, żeby za oręż w swej walce przyjęli współczucie. Większość odpowiadała, że gdyby próbowali bronić swej sprawy jedynie współczuciem, wkrótce ani jeden współczujący nie zostałby przy życiu.

Zreflektował się nagle, że idzie przed siebie jak otępiały. Nogi same zaniósły go na miejsce, gdzie zwykł medytować wśród skał. Chmura przesłoniła księżyc. Oczyma wyobraźni wciąż na nowo oglądał szczegóły tamtej straszliwej sceny: krew Draktego rozlewającą się po mandali, bezradny wzrok, jakim Drake

wpatrywał się w niego. Niespokojnie omiatał spojrzeniem pogrążający się w mroku horyzont, wreszcie wstał i ruszył z powrotem w stronę chaty, gdzie złożono zwłoki, zamierzając wejść do środka. Ale drzwi były zamknięte, a kiedy podszedł bliżej, usłyszał niejedną, lecz dwa głosy recytujące pouczenia dla zmarłego. Drugi głos nie należał ani do Nymy, ani do Lokesha, ani do Shopo, którzy pozostali w kaplicy. Ktoś inny, nieznajomy, dołączył do Genduna. Drugi głos, choć niższy, był niemal echem cichego, wyrobionego głosu lamy – był to głos człowieka dogłębnie zaznajomionego z rytuałem, głos takiego nauczyciela jak Gendun. Shopo powiedział kiedyś, że czasem inni lamowie przychodzą potajemnie, by medytować w pustelni. A może któryś z dropków z obozowiska znał obrzędowy tekst. Shan wycofał się. Nie chciał przeszkadzać. Z jakiejś przyczyny miał wrażenie, że utrudnił Draktemu życie. Nie zamierzał utrudniać mu jeszcze umierania.

O świcie poprosił kobietę od dropków, żeby zabrała go na wzgórze i pokazała mu, gdzie poprzedniej nocy po raz pierwszy spostrzegła Draktego. W szarym świetle poranka wspinał się za nią bez słowa stromą, biegnącą zakosami ścieżką, która łączyła pustelnię ze światem zewnętrznym. Na szczycie kobieta przypadła do ziemi i ostrożnie podczołgała się dalej, żeby rozejrzeć się po leżącej po drugiej stronie wzgórz dolinie, jak gdyby spodziewała się zasadzki. Po długiej chwili podniosła się i skinęła na niego, nie zaczekała jednak, aż do niej dołączy, lecz ruszyła biegiem ścieżką wzdłuż grzbietu, gdzie dwieście metrów dalej, na najwyższym wzniesieniu, piętrzyła się sterta kamieni. Gdy Shan ją dogonił, pracownicy dokładała do niej następne. Głazy leżące na spodzie umieszczono tam przed wiekami, o czym świadczyła pokrywająca je gruba warstwa szarozielonych porostów. Ale w ostatnich tygodniach dropkowie pełniący straż na wzgórzach każdego dnia dodawali do stosu po kilka kamieni, aż podwyższyli go niemal do dwóch metrów, żeby przyciągnąć uwagę miejscowych bóstw. Teraz kobieta, z twarzą ściągniętą troską, w szaleńczym tempie zbierała kamień za kamieniem. W pustelni dropkom nie wolno było trzymać broni, ale przynajmniej mogli podwyższać stos.

Zbliżywszy się, Shan podniósł spory kamień i umieścił go tuż pod wierzchołkiem kopca. Smutny uśmiech rozszczepił szorstką twarz kobiety. Zsunęła w tył bordową plecioną opaskę, którą zawsze nosiła na głowie, po czym w milczeniu schyliła się po kolejny kamień.

–Wciąż mi się wydaje, że to przeze mnie – powiedziała w końcu, z udręczoną miną wpatrując się w dolinę. – Może to właśnie ja sprowadziłam tę istotę, która go zabiła. Zadęłam w róg, kiedy zobaczyłam, że Drake nadchodzi, zanim jeszcze poznałam, że to on. – Spojrzała na instrument, spoczywający na kawałku tkaniny obok kopca. – Może mój dungchen w jakiś sposób przyciągnął jej uwagę.

–Nie – zaoponował Shan, starając się, żeby zabrzmiało to z większą pewnością, niż miał w tej sprawie. – To stworzenie już wcześniej ścigało Drakego, już wcześniej ścigało kamień. Drake przyszedł nas ostrzec. – Ale purba miał przyjść także po to, by wyprawić ich w drogę z kamiennym okiem. Ostatnie słowa młodego Tybetańczyka prześladowały go nie mniej niż obraz jego wsiąkającej w mandalę krwi. Czy Drake przeproszał Shana za coś, co zrobił? Czy za to, że teraz ich podróż była niemożliwa? Być może chodziło o jedno i drugie, gdyż ściągnął na nich demona.

–I zginął przez to – dodała pasterka. Skrzywiła się z bólu i przycisnęła dłoń do piersi, jak gdyby wydarto jej coś z niej. – Znałam Drakego. Urodził się w tym okręgu, w rodzinie pasterzy, zaledwie o dzień drogi stąd. Jego matka była bardzo dumna, że został mnichem. Kiedyś, przed laty, pomagał odbudować tę pustelnię. Zawsze wiedział, czyi krewni zostali uwięzieni, i sprowadzał innych takich jak on, żeby zastąpili ich w gospodarstwie. Przynosił mi nawet wiadomości od mojego syna, który siedzi w więzieniu pod Lhasą za to, że kiedyś, dawno, udzielił schronienia mnichowi. – Dotknęła swej przepaski na głowę, splecionej z bordowego materiału. – Ją też przyniósł mi od niego. Jest zrobiona z szaty pewnego zmarłego mnicha.

Przez chwilę spoglądała w długą dolinę, zalaną blaskiem wschodzącego słońca.

–Ale ta istota, przed którą przyszedł nas ostrzec, nie wyrządziła nam krzywdy – zauważyła nieco zdziwiona. – Po prostu

zabiła go i odeszła. Mogła zabrać kamień, a jednak tego nie zrobiła. Drake powiedział, że ona zabija z powodu kamienia. Widzieliśmy, jak zabiła jego. – Kobieta spojrzała uważnie w oczy Shana. – Ona musiała ukryć się gdzieś w górach. Wróci tu. Teraz, kiedy już wie. Dziś w nocy. Czy ona zabija tylko nocą?

Shan pokręcił smutno głową. Wskazał ręką wylot doliny.

–Jak zauważyłaś Drakego po ciemku? Zatrąbiłaś przecież w róg dlatego, że go zobaczyłaś. Nie było tam nikogo więcej?

–Księżyc był w pierwszej kwadrze. Przesiedziałam z naszymi stadami niejedną taką noc, wypatrując z procą w rękę wilków i panter śnieżnych. Gdy nie ma chmur, przy takim świetle widzę daleko. Zauważyłam, że ktoś nadchodzi. Kiedy dotarł na dno doliny, widziałam go już wyraźnie, gdy szedł przez łąty śniegu. Tylko on jeden. Ale wcześniej jeszcze usłyszałam psy.

–Psy?

–Z głębi doliny. Psy szczekały tam, gdzie dolina zakręca. Nie było ich tam przez wszystkie te tygodnie. – Wskazała odległą o półtora kilometra sporą grupę sterczących skał. – Zaczęłam wypatrywać uważniej. W pierwszej chwili pomyślałam,

że to może Tenzin.

–Tenzin? – zapytał zaskoczony Shan.

–On czasem wędruje po nocach. Wyszedł przedwczoraj i raz w ubiegłym tygodniu. Myślę, że chodzi gdzieś modlić się przy świetle księżyca. Są modlitwy, które powinno się odmawiać tylko nocą, i sprawy, o których najlepiej mówić jedynie do księżyca. – Spojrzała na Shana znacząco, po czym pokręciła głową i znów obróciła wzrok ku dolinie. – Nie przyszło mi do głowy, że to Drake. Gdybym wiedziała, nie trąbiłabym na alarm. On zawsze się zatrzymywał, żeby rozmawiać z napotkanymi psami. Nie czekałyby tak. I znałam jego chód. Zawsze trzymał się prosto, dumnie, jak wojownik. Ale tej nocy zachowywał się jakoś dziwnie. Biegł na widoku w świetle księżyca, raz po raz przystając przy skałach, jakby próbował się ukryć, jak gdyby czaił się na kogoś.

–Albo jakby sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. – Shan odtworzył w pamięci obraz Drakego wchodzącego do sali i intruza

pojawiającego się chwilę później. Nie, purba był wstrząśnięty widokiem olbrzyma z kijem. Nie spodziewał się napastnika, nie podejrzewał, że jest śledzony. Musiał być inny powódzią którego przystawał przy skałach, inne wyjaśnienie jego dziwnego zachowania. – A kiedy wreszcie wspiął się na górę i zobaczył cię, co powiedział?

–Kiedy dotarł na szczyt, poznałam, że to on, i pomachałam mu. Nic nie powiedział, tylko pokazał palcem pustelnię. Zeszłam razem z nim, bo zadęłam w róg i nie chciałam, żeby inni się niepokoiili, żeby myśleli, że coś... – Słowa uwięzły jej w gardle. Opuściła posterunek, by ich zapewnić, że mimo wszystko nie zbliża się żadne niebezpieczeństwo. Ale gdy stąd zeszła, istotnie nadeszło coś groźnego.

–Ta istota... – odezwała się niemal szeptem. – To był potężny demon, skoro potrafił ukazać nam włócznie w takiej postaci.

–Włócznie? On nie miał żadnej włóczni.

–Po prostu jej nie dostrzegłeś, nikt z nas jej nie dostrzegł. Ale wszyscy widzieliśmy, jak zranił Drakego. Demon sprawił, że zobaczyliśmy tylko zwykły kij.

Shan wpatrywał się w kobietę, zastanawiając się nad tym, co powiedziała, dopóki nie zorientował się, że jej oczy patrzą gdzieś nad jego ramieniem. Odwrócił się i ujrzał Shopo wdrapującego się na szczyt wzgórza. Lama kierował się w stronę doliny. Na ramieniu niósł jakiś tobolek.

–Chwała Buddzie – westchnęła smętnie kobieta. – Piasek. – Dotknęła zawieszzonego na szyi gau. – On musi zwrócić piasek nagom, wodnym bóstwom.

–Ale za dnia łatwo może wypatrzeć go jakiś patrol – zauważył z przerażeniem Shan. Zrobił krok naprzód, zastanawiając się, czy nie powinien dogonić i zatrzymać lamy. – Jeszcze go zaaresztują. Czy on nie może poczekać?

Kobieta spojrzała na Shana. Jej zrozpaczone oczy przesunęły się ku górom po drugiej stronie doliny, jak gdyby pytała bóstwa, za co pokarały ją towarzystwem takiego Chińczyka. Pokręciła głową.

–Cała ta krew... I to tuż przed końcem, po tylu tygodniach modlitw. Dobrze chociaż, że mandala nie była jeszcze poświęcona – stwierdziła posępnie, jakby o włos uniknęli jeszcze

poważniejszej katastrofy. Spojrzała w dół na schodzącą ku pustej dolinie samotną postać. – Na koniec Shopo poszedłby podziękować nagom i powiedzieć im, jaką piękną rzecz wykonano z ich daru, jak go użyto, żeby zacząć łątać boga. Pomyśl, co teraz będzie musiał im powiedzieć – szepnęła. Po policzku spłynęła jej łza.

Shan w milczeniu patrzył na oddalającego się lamę.

–Jeżeli tam były psy – odezwał się wreszcie – być może

w nocy u wylotu doliny byli jacyś pasterze. Może ktoś mógłby

ich odszukać i zapytać, co się stało. Ja muszę zostać z Gendunem, ale musimy

wiedzieć, co wydarzyło się tam zeszłej nocy.

Kobieta nie dała po sobie poznać, że go słyszy. Shan odszedł z powrotem ku krętej ścieżce, zostawiając zrozpaczoną pasterkę, która znów zaczęła dokładać kamienie do kopca. Zanim ruszył w dół ku pustelni, przystanął, żeby się przyjrzeć rozległej, surowej okolicy. Za niskim grzbietem gór po przeciwnej stronie doliny widział kolejne pasmo, wyższe, otoczone rozmigotanym powietrzem, z ośnieżonymi szczytami jarzącymi się oślepiającą bielą w porannym słońcu. Tak właśnie się czuł. Nieważne, jak bardzo się starał, jak mozolnie się wspinał, ilekroć pokonał kolejne wzniesienie, osiągnął kolejny etap zrozumienia, silniej związał się ze swymi nauczycielami, natychmiast wyrastała przed nim nowa góra, ukazywała się następna przeszkoda, następna tajemnica stawała mu na drodze. Lokesh nazwał to kiedyś brzemieniem bycia Shanem.

–W tym, co my uważamy za nieuniknione zwroty na ścieżce naszego życia, ty widzisz zagadki, które koniecznie musisz rozwikłać. To jest twój sposób nauki – dodał jego przyjaciel

z nutą zdumienia w głosie. Ale nauka powinna oznaczać uczenie się, zdobywanie nowej wiedzy. A ścieżka Shana zdawała

się wciąż na nowo ukazywać mu, jak wiele nie wie.

Miał się właśnie odwrócić, żeby ruszyć ku pustelni, gdy nagle dostrzegł na dnie doliny jakiś ruch. Drogą mknęła z nieprawdopodobną szybkością, choć pieszo, czarna postać – tak szybko, że Shan znów poczuł ukłucie lęku. Czyżby to było to samo niesamowite stworzenie, które dopadło Draktego w kaplicy? Przykucnął w niskiej trawie i obserwował z niepokojem, jak daleko w dole Shopo zatrzymuje się i patrzy, kto ku niemu

biegnie. Kobieta przy kopcu jęknęła głośno i sięgnęła po róg, niepewnie wpatrując się w czarną postać. Starzy Tybetańczycy opowiadali o tajemniczych lunggompach, którzy potrafili przebiec tysiące kilometrów dziennie, gdyż dzięki ćwiczeniom mieli nadludzką siłę i potrafili nie zważać na zmęczenie.

Biegacz zwolnił na chwilę, mijając Shopo, i na powrót narzucił sobie poprzednie nienaturalne tempo. Wspinał się na wzgórze, na którym stał Shan, kierując się ku pustelni. Pasterka odłożyła róg. Intruz nie skrzywdził ani nawet nie zaczepił lamy z tobołkiem piasku. Shan usiadł na kamieniu przy ścieżce i czekał. Biegacz, ubrany w czarny dres z kapturem, spostrzegł go z piętnastu metrów, zwolnił, po czym podszedł i usiadł naprzeciw niego ze skrzyżowanymi nogami. Po chwili odczepił od paska pod dresem butelkę z wodą, pociągnął krótki łyk i odrzucił kaptur.

Była to młoda Tybetanka o szczupłej twarzy i uważnych czarnych oczach.

–To ty musisz być tym Chińczykiem – odezwała się z powagą, oddychając głęboko, choć nie dysząc, jak powinna była po tak forsownym biegu pod górę. Przez chwilę przyglądała mu się uważnie, po czym uwolniła dwa upięte wokół uszu warkocze i poprawiła je, jakby nagle zatroskała się o swój wygląd. – Szukam Draktego.

–Jesteś purbą – domyślił się Shan.

–Jestem nauczycielką – odpaliła dziewczyna.

–Tu nie ma dzieci – stwierdził spokojnie Shan.

Biegaczka utkwiała w nim zimny, wyzywający wzrok.

–Chińczycy powiedzieli mi: idź na studia, zostań nauczycielką, stań się wzorem dla tybetańskiej młodzieży – powiedziała, gdy bez słowa odwzajemnił jej spojrzenie. – Więc poszłam na studia. Powiedzieli: trenuj biegi, żebyśmy mogli wystawić tybetańskiego długodystansowca do zawodów w Chinach. Więc biegałam. Zdobywałam medale w Pekinie i wróciłam w rodzinne strony, żeby być tą wzorową obywatelką. – Mówiła głośno. Opowiadała tę historię, żeby z niego szydzić. – Zostałam nauczycielką, ale po roku powiedzieli mi: koniec z lekcjami po tybetańsku. Mów tylko po chińsku, używaj tylko chińskich książek. A ja powiedziałam: nie, będę mówić do tybetańskich dzieci w ich

własnym języku. Tak właśnie postępuje wzorowy tybetański obywatel. – Uniosła butelkę i pociągnęła długi łyk. – Pewnego dnia przyszłam do szkoły, a moja klasa miała już nowego, chińskiego nauczyciela. Opróżnili mój gabinet, zabrali nawet wszystkie moje medale. – Spojrzała w dół, na pustelnię, potem znów na Shana. – Ale nie zabrali mi nóg.

–Więc teraz biegasz dla purbów.

–Mogę dotrzeć tam, gdzie nie dostanie się koń ani samochód.

–Purba lunggomba.

Dziewczyna niecierpliwie wzruszyła ramionami i ściągnęła wargi, marszcząc brwi, jak gdyby chciała podkreślić, że jego dowcip nie zrobił na niej wrażenia. Po chwili obejrzała się na szlak, którym przybiegła.

–Ktoś cię ściga? – zapytał Shan.

–Muszę zobaczyć się z Draktem – powtórzyła.

–On... – Shan miał wrażenie, że język mu dziwnie ciąży. Spojrzał na budynki w dole.

Nie czekając, aż Shan dokończy, dziewczyna zerwała się, wciąż trzymając butelkę w dłoni, i zbiegła po stromym grzbiecie długimi skokami antylopy.

Shan dogonił ją w chacie śmierci. Stała oparta o ścianę, z pobladłą twarzą, z rękoma zaciśniętymi na brzuchu, wpatrując się w martwego mężczyznę. Z upuszczonej na ziemię butelki sączyła się strużka płynu. Lokesh i Tenzin siedzieli przy zwłokach z miską wody, z szacunkiem omywając szmatką ręce i nogi Draktego. Brat pełniący straż na wzgórzach pasterki zapalał laseczki kadzidła. Gendun siedział w cieniu, z zamkniętymi oczyma, cicho recytując tekst rytuału bardo.

Shan podniósł butelkę.

–Miałaś dla niego wiadomość? – zapytał niemal szeptem.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Podeszła do zwłok i uklękła.

Powoli wyciągnęła dłoń, jakby chciała dotknąć policzka Drakego, jednak cofnęła ją, zanim jej palce musnęły jego skórę.

–Kto? – zapytała łamiącym się głosem. – Kto widział, jak to się stało? Kto to zrobił? – Jej oczy strzeliły w stronę Shana.

Wszyscy wiedzieli, kto zabija purbów.

–Wszyscy widzieliśmy, jak go zabito – powiedział dropka, wzdrygając się. – Rzucono na niego kłutwę i krew wypłynęła mu z żył.

–Nie – odezwał się Shan. – Nikt nie widział, jak go zabito. Widzieliśmy po prostu, jak umiera. Ktoś przyszedł i uderzył go kijem w brzuch. Ale nie aż tak mocno, żeby wywołać takie krwawienie. – Utkwił wzrok w patrzących zimno oczach dziewczyny, dopóki nie uniosła ręki, żeby otrzeć łzę. – Nasza war-townicza ze wzgórz powiedziała, że Drake dziwnie się zachowywał – dodał ciszej. – Że przystawał raz po raz, idąc przez dolinę. Myślę, że to dlatego, że już wtedy był ranny. – Podeszedł do zwłok. Uklęknął obok Lokesha i uniósł skraj zakrwawionej koszuli. Przedtem, w nocy, był zbyt wstrząśnięty, żeby obejrzeć ciało. Ale teraz musiał zrozumieć, co zaszło. Odchylił połą koszuli, odsłaniając prawą część brzucha. Ziała tam otwarta dziesięciocentymetrowa rana otoczona plamą zakrzepłej krwi. Przypomniał sobie teraz, że gdy nocą pomagał przenieść Drakego na koc, brzuch purby wydawał się dziwnie twardy. Przyczyną był krwotok wewnętrzny.

–Zadźgano go! – jęknęła dziewczyna.

–To nie stało się tej nocy – zauważył Shan, wskazując strzępy nitek sterczących z boków rany, ślad po naprędcie wykonanych szwach. – Tę ranę zadano mu wcześniej. Jest głęboka. – Prowizoryczne szwy pękły, z pewnością wtedy, gdy intruz okładał Drakego kijem.

Z ust dziewczyny wyrwał się rozziewający pół jęk, pół krzyk. Stłumiła go, przygryzając palec.

–W zeszłym roku – odezwała się po chwili drżącym głosem – Drake rozciął sobie rękę, kiedy wspinaliśmy się na skały nad pewną bazą wojskową. – Uklękła i podwinęła lewy rękaw trupa, odsłaniając poszarpaną piętnastocentymetrową bliznę na

przedramieniu. – Śmiał się, kiedy mu radziłam, żeby poszedł do lekarza. Powiedział, że dobrego tybetańskiego lekarza zbyt ciężko znaleźć, a w chińskich szpitalach Tybetańczykom przytrafiają się nieszczęścia. Tak więc zszył ją sam. Bez środków przeciwbólowych. Zwykłą dużą igłą i paroma włosami jaka, które dostał od dropki naprawiającego namiot.

Shan przypomniał sobie, jak słaby wydawał się Drake, gdy wszedł do kaplicy, jak ciężko opierał się o ścianę, nim ruszył niepewnym krokiem na środek sali. Wartownicza mówiła, że przystawał przy skałach, jakby kogoś wypatrywał. On nie wypatrywał, Shan był teraz tego pewien, on odpoczywał, opatrywał ranę, zbierał siły na dalszą drogę do pustelni. Drake sądził, że uwolnił się od napastnika, zdecydował się nawet poświęcić nieco czasu na zszycie rany.

Biegaczka zbliżyła twarz do głowy zmarłego i zdawała się szeptać mu coś do ucha. Gdy się wyprostowała, po policzkach spływały jej strumienie łez. Shan przypomniał sobie, jak poprawiała warkocze, rozmawiając z nim na wzgórzu.

Siedzieli w milczeniu, przyglądając się, jak Lokesh delikatnie omywa ranę z krwi i na powrót przykrywają połą koszuli. Tenzin asystował mu, trzymając miskę z wodą, nagle jednak znieruchomiał i wstrzymując oddech, drżącymi dłońmi odstawił miskę na podłogę, patrząc na martwego mężczyznę. Z twarzą wykrzywioną nagłym bólem odsunął się i oparł plecami o ścianę. Oczy dziewczyny zaszyły łzami. Zdawało się, że zapomniała o obecności pozostałych. Znów uniosła rękę i przesunęła palcem po długiej, wijącej się bliźnie na czole Draktego, położyła dłoń na jego policzku, po czym w roztargnieniu jeszcze raz powiodła palcem po bliźnie. W geście tym było coś intymnego, niczym pieśczoła, którą zmarły mógłby rozpoznać nawet po śmierci.

– Byłbyś wspaniałym lamą – dobiegł Shana jej szept. – Żyłbyś sto lat i pielęgnowałbyś nasze tradycje. – Położyła dłoń na policzku trupa. – Kim będą nasi starcy wtedy, kiedy ty powinienesz być stary? – zapytała zmarłego. Powoli opuściła rękę. Gdy się odwróciła, w jej oczach wciąż jeszcze lśniły łzy, lecz jej głos był chłodny i opanowany. – Co miałeś na myśli, mówiąc, że rzucono na niego klątwę? – zapytała dropkę.

– Demon przyszedł i wypowiedział słowa o wielkiej mocy – odezwał się nagle ktoś za plecami Shana. To Golok stanął w drzwiach chaty. – My wiemy dlaczego – rzucił szyderczo w stronę Lokesha i Genduna. – Dlatego, że nie życzy sobie, by oko znów dostało się w ręce Chińczyka.

Wzrok Shana przesunął się z Goloka na Lokesha, który wydawał się równie zakłopotany tymi słowami jak on sam.

Starzec odpowiedział mu wzruszeniem ramion i spojrzał na mówiącego ze zmarszczonymi brwiami.

– To nie był demon – powiedział. – To dobdob. Gdyby to był demon, wróciłby po kogoś takiego jak ty, kto odzywa się z takim brakiem szacunku przy zmarłym.

Zaskoczony Shan spojrzał na przyjaciela. Nigdy dotąd nie słyszał, by Lokesh zganił kogokolwiek. Golok w odpowiedzi wykrzywił się demonstracyjnie i opuścił chatę.

Omyli ciało najlepiej jak mogli, zapalili więcej lampek maślanych i wyszli na zewnątrz. Shan przystanął na chwilę w drzwiach. Chciał porozmawiać z Gendunem, upewnić się, że będzie gotów uciekać wraz z nimi. Ale lama, wpatrzony w płomień jednej z lampek stojących obok Draktego, nieprzerwanie recytował formuły rytuału bardo. Gendun niemal całe swoje życie spędził w ukrytej, wykutej we wnętrzu góry pustelni. Pierwszego Chińczyka spotkał przed rokiem. Był to Shan. Przed czterema miesiącami po raz pierwszy od dziesiątków lat opuścił swą pustelnię. W zewnętrznym świecie najbardziej gnębiło go – jak ze smutkiem wyznał kiedyś Shanowi – to, że wielu dobrych ludzi umiera, nie przygotowawszy należycie swej duszy, jak gdyby nie traktowali poważnie daru ludzkiego wcielenia.

Shan wyszedł na zewnątrz. Zauważył z ulgą, że Golok siodła niedużego siwego konia. Dropka, ich wartownik, siedział w kucki przy małym ognisku między dwoma

budynkami. Osłonięty od wiatru, ubijał w maselnicy herbatę z masłem. Od czasu do czasu zerkał niespokojnie na wzgórze, gdzie jego siostra wciąż dokładała kamienie do kopca. Lokesh, Shan i biegaczka usiedli wokół niego, kiedy napełniał im czarki.

–Nie rozumiem – zwrócił się Shan do Lokesha. – Wiesz, kim był ten intruz?

Powiedziałeś: dobdob. Nigdy dotąd nie słyszałem tego słowa.

–Nie kim, ale czym on był – odparł Lokesh z szeroko otwartymi oczyma. – To mnich policjant. Dobdob egzekwuje cnotę, egzekwuje szacunek dla lamów. Kiedy byłem chłopcem, każda większa gompa miała swojego dobdoba. Gdy pierwszy raz zobaczyłem jednego z nich, też wydawało mi się, że to potwór. Policzki uczernione popiołem. Szerokie bary. Czasem wkładają

pod szaty specjalne płyty na ramiona, żeby wyglądać na większych, niż są w istocie. Schowałem się wtedy za ojcem, dopóki dobdob nie odszedł. Nie widziałem żadnego co najmniej od czterdziestu lat – dodał z roztargnieniem. Jako były członek rządu dalajlamy Lokesh spędził niemal połowę swego życia w obozie pracy przymusowej. – Oni utrzymywali porządek w wielkich klasztorach. Egzekwowali zarządzenia opata. Pomagali mnichom dotrzymywać ślubów za pomocą kijów i bieży z ogonów jaka. – Uniósł pięść i opuścił ją gwałtownie. – Jeśli nowicjusz niestosownie się odezwał, jedno uderzenie kijem w głowę natychmiast zamykało mu usta.

–Ale tu? – wtrąciła biegaczka. – Zeszłej nocy? To niemożliwe. Oni już nie istnieją.

–To był duch dobdoba – oświadczył dropka, nie z lękiem, lecz ze swego rodzaju podziwem. – Po prostu pojawił się, ukarał Drakego i zniknął, zwyczajem duchów. On nie chce nas tutaj. Następnym razem – zwrócił się ponurym głosem do dziewczyny – następnym razem, kiedy purbowie będą potrzebowali tu wartowników, niech poproszą kogoś innego.

–Duch nie rozplątał mu brzucha – zauważył Shan. – Duch nie zaatakował go i nie ścigał go przez góry.

–Drakte ostrzegł nas, powiedział, że widział, jak on zabija – szepnął pasterz. – Widzieliśmy tego, o kim mówił, a chwilę później on sam już nie żył.

Dziewczyna spojrzała w swoją czarkę.

–To właśnie Drake wpadł na pomysł z biegaczami – powiedziała, jak gdyby wygłaszała mowę pogrzebową. – Namówił mnie, żebym trenowała innych. Siedział w więzieniu za zorganizowanie demonstracji w Lhasie w dzień urodzin dalajlamy. Poznałam go tamtego dnia, śpiewałam z nim pieśni, widziałam, jak pałkarze wloką go ze sobą. Później odwiedziłam go w więzieniu i byłam tam, kiedy wychodził na wolność. Przez pierwszy miesiąc nie robił nic, tylko zdobywał żywność i dostarczał ją rodzinom swoich kolegów z celi. – Uniosła wzrok znad czarki. – Co z nim będzie? – Jej oczy znów zasły łzami.

–Robimy przygotowania. – Dropka pocieszająco położył jej dłoń na ramieniu. – Na szczycie góry jest durtro z widokiem na święte jezioro. Kiedy przyjdzie czas, zabierzemy go tam.

Durtro. Pasterz miał na myśli miejsce podniebnych pochówków, kwaterę zmarłych, gdzie ragyapowie, rozcinacze zwłok, potną ciało i nakarmią nim sępy. Trzy dni po śmierci, po należyтым pobłogosławieniu zwłok, szczątki Drakego zostaną

zniesione do durtro i pocięte na kawałki, by mogły wrócić do kręgu życia. Nawet jego kości zostaną utłuczone na miazgę, którą zjedzą ptaki.

–Nie pozwólcie, żeby dostali go Chińczycy – poprosiła dziewczyna natarczywym, błagalnym tonem. – Nie pozwólcie, żeby się dowiedzieli.

Dropka z powagą skinął głową.

Biegaczka zerknęła na Shana, lecz kiedy odwzajemnił jej spojrzenie, szybko odwróciła wzrok.

–Mam na imię Somo – powiedziała cicho. Były to jej przeprosiny, uświadomił sobie, dawała mu w ten sposób do zrozumienia, że mimo swej opinii o Chińczykach zawierzy mu swo

je imię, ponieważ tak zrobił Drake.

–Ja jestem Shan. Skinęła głową.

–Słyszałam o tobie, kiedy jeszcze siedziałeś w obozie.

–Byłaś z Drake w Lhadrung? – zapytał Shan. Somo pokręciła głową.

–Przeważnie w Lhasie. Większość czasu spędzał właśnie tam albo na północ stąd, tam gdzie się urodził.

–Kiedy ostatni raz byliście razem w Lhasie?

–Prawie trzy miesiące temu – odparła ostrożnie. Minęły przeszło dwa miesiące, odkąd oko zostało sprowadzone do pustelni, a skradziono je z Lhasy parę tygodni wcześniej. – Drake mówił, że w obozie pomagałeś starym lamom, którzy tam siedzieli. Że doprowadziłeś do uwolnienia starego urzędnika z rządu Czternastego.

Lokesh parsknął swym chrapliwym śmiechem i zerknął z rozbawieniem na Shana. Somo przyglądała się im obu przez dłuższą chwilę.

–To ty? – zapytała Lokesha z niedowierzaniem.

Starzec skinął głową.

–Umarłbym w tym obozie – odparł, wciąż z uśmiechem na

twary – ale Xiao Shan znalazł dla mnie inną ścieżkę. – Xiao Shan.

Mały Shan. Lokesh używał niekiedy tego staromodnego chińskiego określenia, jak w czasach, gdy Shan był chłopcem, robili to jego od dawna już nieżyjący wujowie. Shan spojrział w swoją czarękę.

–Ja sam byłem już martwy, a oni przywrócili mnie do życia – powiedział, patrząc na chatę, w której Gendun wciąż siedział przy Drake. Tekst rytuału bardzo miał być recytowany przez dwadzieścia cztery godziny po śmierci purby. W obozie lao gai, ilekroć umarł któryś z więźniów, najstarsi lamowie na zmianę, po cztery godziny, recytowali słowa z pamięci, nie przerywając nawet podczas ciężkiej pracy przy budowie dróg. Zawsze najstarsi, gdyż młodszy mnisi, których edukacja została przerwana przez Chińczyków, nie znali całego obrzędu.

–Nie ma nikogo więcej – odezwał się Lokesh, jakby czytał w myślach Shana. – Ja znam tylko pierwszą godzinę rytuału. Nie mamy ksiąg, z których moglibyśmy czytać pouczenia.

–Słyszałem kogoś jeszcze, w nocy – powiedział Shan. – Nie możemy czekać cały dzień.

–Nie ma nikogo więcej – powtórzył Lokesh.

Shan, zdezorientowany, spojrział na chatę. To była prawda. Nie widział nikogo innego. Czy było to jakieś dziwne echo, czy może Drake usiłował porozumieć się z Gendunem?

–Ale nie możecie tu zostać – zaprotestowała Somo. – Czymkolwiek było to, przed czym Drake chciał was przestrzec... – Spojrzała na Shana. – To zbyt niebezpieczne. To właśnie mówił wam zeszłej nocy.

Jakby w odpowiedzi Lokesh wstał i ruszył ku kaplicy. Shan wszedł za nim do środka. Nyma modliła się przy ołtarzu. Jej nerwowy szept brzmiał niemal tak, jakby spierała się z okiem, leżącym teraz na skraju ołtarza, w pobliżu drewnianej, wyłożonej filcem skrzyneczki, która stała otwarta na podłodze.

Gdy mniszka spostrzegła Shana, rozbliły jej oczy. Podniosła się i spojrzała na niego wyczekująco. Gdy nic nie zrobił, wskazała skrzynkę.

–Boisz się go dotknąć? – zapytał.

–Tak – przyznała bez żenady. – Przesunęłam je chakpą na skraj ołtarza – wyjaśniła, jakby to było wszystko, czego można było od niej oczekiwać.

Lokesh westchnął i pochylił się, żeby podnieść skrzyneczkę. Shan, spoglądając niepewnie na mniszkę, podszedł do ołtarza i włożył do skrzynki obtłuczony kamień. Owinąwszy go dokładnie filcem, stary Tybetańczyk zamknął pokrywkę.

–Ale mamy czas – zauważył Shan. – Rinpocze skończy dopiero późną nocą.

Lokesh nie odpowiedział. Wziął skrzyneczkę i wyszedł z kaplicy. Przy drzwiach stał Golok, który siodłał swego krzepkiego górskiego wierzchowca. Odjeżdżał, a Shan wciąż nie potrafił dociec, po co właściwie ten człowiek tu przybył. Wtem jednak, ku przerażeniu Shana, Golok podszedł do stojącego obok kasztanowatego konia, otworzył jego juki i wyciągnął rękę do Lokesha, w tej samej chwili zaś zza węgła najdalszej chaty wyłonił się Tenzin i jeden z pasterzy. Obaj prowadzili po dwa konie.

–Powinniśmy byli odjechać o świcie – burknął Golok, nie cierpliwie odbierając skrzyneczkę od Lokesha. – Nie słyszeliście? Zabójca nadchodzi, szuka kamienia, tak mówił ten purba. A wy tu siedzicie jak stare baby. – Włożył skrzyneczkę do otwartej sakwy.

Shan spojrział błagalnie na przyjaciela.

–Niewiele z tego rozumiem – rzekł Lokesh, bezradnie wzruszając ramionami. – Ale najwyraźniej pora ruszać w drogę.

–A Gendun? – zaprotestował Shan. – On musi jechać z nami.

Lokesh smutno pokręcił głową.

–Teraz musi zostać z Draktem. Pójdzie do durtro, a potem, jeśli bogowie pozwolą, dołączy do nas. – Odwrócił się i z łęku siodła jednego z koni ściągnął filcowy kapelusz z szerokim rondem, kapelusz podróżny Shana. Podał go przyjacielowi.

–Ja też zostaję z Draktem – oświadczyła dziwnie wyzywająco Somo. – Dopilnuję, żeby wasz lama był bezpieczny. Pasterze z obozu na górze układają wokół pustelni stosy jaczego łajna. Dziś w nocy otoczą nas ogniem.

Gdy dropka podawał Shanowi cugle kasztana, Golok odszedł od swego konia i z rękoma skrzyżowanymi na piersiach utkwiał w nich wymowne spojrzenie, jakby

uważał, że o czymś zapomnieli.

–Miałem otrzymać zapłatę – oświadczył kwaśno. – Przewodnikowi należy się zapłata. Ten chłopak, który zginął, powiedział, że dostanę pieniądze. Na razie nie zobaczyłem ani fena.

Shan spojrział na niego, czując niemiły ucisk w dołku. Golok wyjaśnił wreszcie, dlaczego przybył do pustelni.

–Ja nic nie mam – odparła zdenerwowana Nyma. – Drake też nic nie miał, nic poza starą księgą rachunkową i pasterską procą. – W przytroczonej do pasa sakiewce purby znaleźli sponiewierane rejestry, zapewne księgowo. – To miało chyba znaczyć, że tamci na miejscu...

–Mówiłem Draktemu – przerwał jej Golok. – Bez zarobku ani myślę narażać się na spotkanie z jakimś patrolem.

Somo sięgnęła do torebki na pasku i wyjęła z niej owinięty w filc przedmiot. Wyciągnęła go do Goloka.

–Masz – powiedziała niechętnie. Strząsnęła przykrycie, ukazując misternie zdobioną srebrną bransoletkę wysadzaną lazurytem. – Dostałam ją miesiąc temu od Drakego – dodała. Przeniosła wzrok na Nymę, potem na Shana. – On by nie chciał, żeby coś wam przeszkodziło w podróży. To dlatego... – Nie kończąc zdania, spojrzała na chatę, w której spoczywały zwłoki.

Golok pochwycił bransoletę i przyjrzał się jej, marszcząc brwi.

–Trudno to zamienić na gotówkę, nie zachodząc do jakiegoś pieprzonego miasta – poskarżył się, wpychając bransoletę do kieszeni. – Sporo czasu minie, zanim znów będę w mieście.

Biegaczka jeszcze raz sięgnęła do torebki i wyjęła wielofunkcyjny scyzoryk, wyposażony nawet w składaną z boku łyżkę.

–Przyniosłam to dla Drakego – oświadczyła napiętym głosem, wyciągając go w stronę mężczyzny.

Golok niemal jednym ruchem złapał scyzoryk i cugle swego konia.

–Nie wiemy nawet, jak się nazywasz – odezwał się niepewnie Shan. Zauważył, że w dłoni Somo pojawił się jeszcze jeden przedmiot: mały turkus, który zaczęła obracać w palcach. Kolejny prezent od Drakego, jak się domyślał, prezent, z którym nie zamierzała się rozstać.

–Dremu. – Golok spojrział na niego badawczo spod zmarszczonych brwi. – Moja matka nazywała mnie Dremu – dodał, jakby nosił w życiu wiele różnych imion.

Shan i Lokesh wymienili zatroskane spojrzenia. Dremu były to wielkie niedźwiedzie, które niegdyś swobodnie przemierzały góry Tybetu. Niemal doszczętnie wytępione przez Chińczyków, w tybetańskim folklorze symbolizowały człowieka, który sam sobie wyrządza szkodę nadmierną chciwością. Rozkopując nory swych najczęstszych ofiar, świstaków, wyciągały ogłuszone zwierzęta i rzucały je za siebie, dopóki nie dopełniły dzieła zniszczenia. Z reguły świstaki odzyskiwały zmysły i uciekały, gdy niedźwiedź wciąż jeszcze kopał. Dremu zostawał zwykle z niczym, głodny i rozjuszony jak nigdy. Niekiedy Tybetańczycy nazywali tak Chińczyków.

Gdy Tenzin i Nyma, prowadząc konie, ruszyli w stronę ścieżki, Shan napełnił czarkę herbatą i wszedł do chaty, w której Gendun siedział przy zwłokach. Stał przez chwilę w milczeniu, dopóki lama nie uniósł wzroku i nie przywitał go lekkim skinieniem głowy. Po kolejnej minucie recytacji Gendun wstał i odszedł od trupa. Przyjął czarkę od Shana i upił spory łyk.

–To nie ból czuł na koniec – odezwał się wreszcie, patrząc na ciało. Shan nie słyszał nigdy, żeby ktoś mówił jak Gendun. Lama często wypowiadał się szeptem, ale jego szept był czysty i potężny jak dźwięk wielkiego dzwonu. – Jedyne smutek, że nie dane mu było dokończyć ważnych spraw. Bardzo mu trudno dać za wygraną. – Tybetańczycy wierzyli, że po śmierci czasem przez wiele dni dusza ludzka jest dezorientowana i nie chce pogodzić się z tym, że jej wcielenie dobiegło końca, toteż czasami próbuje ożywić utracone ciało, żeby dokończyć to, co robiła.

–Rinpocze – powiedział Shan – kamienne oko jest już na koniu. – Jego spojrzenie na dłuższą chwilę spoczęło na martwym mężczyźnie. – Ale nie dokonam tego bez ciebie.

–Drakte nauczy się, jak porzucić swe ciało, przyjacielu. Ty musisz zrobić to samo.

–Drakte stracił życie. Ten stwór, ten dobdob, może powrócić. – Shan odwrócił wzrok i wpatrzył się w płomyk jednego z kaganków. Nagle ogarnął go beznadziejny smutek. Zaledwie przed paroma godzinami uznał, że nie ma nic ważniejszego niż zwrócenie kamienia, gdyż podobnie jak Tybetańczycy zaczął widzieć w nim jedno z ziaren, które należało zasiać, by zachować mądrość i współczucie. Ale w chwili, gdy Drakte przybył do kaplicy, wszystko się zmieniło. Mimo że Gendun i Lokesh sprzeciwiliby się temu, argumentując, że Shan zapiera się własnego bóstwa, musiał wyjaśnić tajemnicę śmierci Draktego. Gdyż choć zwrócenie oka było sprawą wielkiej wagi, w grę wchodziło coś jeszcze, coś, w imię czego poświęciłby nawet swoje wewnętrzne bóstwo. Tym czymś było zapewnienie bezpieczeństwa starym Tybetańczykom.

–A mieszkańcy doliny stracili swego boga – odparł nauczyciel. Pozwolił, żeby jego słowa wisiały w powietrzu, dopóki

Shan nie spojrzał mii w oczy. – To będzie twój największy sprawdzian. Patrz przed siebie. Patrz do swego wnętrza. Nie oglądaj się za siebie. Musisz przestać być poszukiwaczem,

którym byłeś, i stać się poszukiwaczem, którym chcesz być.

Wiele razy o tym rozmawiali. Największym duchowym upośledzeniem Shana było jego obsesyjne zainteresowanie tym, co Gendun nazywał ulotnymi, nieistotnymi zagadkami zewnętrznego świata, gdy powinien był zgłębiać zagadkę własnej duszy.

–Musisz przestać być poszukiwaczem faktów i stać się poszukiwaczem prawdy – ciągnął lama. – To w ten sposób naprawia się bóstwa.

–Rinpocze, kiedy skończysz, nie próbuj nas szukać – powiedział nagle Shan. Gendun spojrzał na niego i Shan poczerwieniał. Zabrzmiało to, jakby się targował, jakby błagał Genduna, aby przynajmniej pomyślał o niebezpieczeństwie, które zawsze ignorował. – Musisz wracać do Yerpy – dodał, mając na myśli pustelnię ukrytą we wznoszącej się nad Lhadrung górze, gdzie Gendun był przewodnikiem

duchowym garstki mnichów. – Proszę.

–Moje buty... – Lama wskazał głową swoje stopy w starych, rozpadających się butach roboczych. – Moje buty mają już dosyć – stwierdził, jakby się z nim zgadzał. – Ale najpierw muszę odprowadzić ziemską część Draktego i oddać ją ziemi – powiedział cicho, patrząc przez chwilę na zwłoki, nim znów odwrócił się do Shana. – Niech Bodhisattwa Współczucia czuwa nad wami – szepnął.

Przez drzwi wpadł do chaty zeschnięty brązowy liść. Przyglądali się w milczeniu, jak porwany wiatrem wyfruwa z powrotem na dwór, szybuje między budynkami, po czym wzbija się w górę, nikiąc im z oczu. Obaj wpatrywali się w pustą przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdował. Wreszcie, jak gdyby liść był sygnałem, Gendun odwrócił się ponownie ku zwłokom, rzuciwszy Shanowi krótkie spojrzenie, które wyrażało zarówno troskę, jak i nadzieję.

–Strzeż się pyłu i powietrza – powiedział na koniec i znów zaczął recytować tekst rytuału bardo.

Strzeż się pyłu i powietrza. Było to jedno z ulubionych pożegnań Genduna, przypomnienie, żeby zwracać uwagę jedynie na istotę napotkanych zjawisk.

Lecz gdy Shan dotarł do drzwi, coś kazało mu się odwrócić. Gendun przerwał recytację i powoli przeniósłszy wzrok, odwzajemnił jego spojrzenie. Przez chwilę panowała między nimi nieskalana cisza. Shan zmagął się z przemożnym pragnieniem, żeby usiąść u boku lamy i pozostać tam, póki rytuał nie dobiegnie końca.

–To bóstwo, które znajdziesz, Shan, będzie ci towarzyszyć już zawsze – powiedział cicho Gendun, podkreślając swe słowa kolejnym uważnym spojrzeniem, i znów odwrócił się do Draktego.

Gdy Shan wyszedł z chaty, uświadomił sobie, że uniosły mu się włosy na rękach. Zastygł na chwilę w bezruchu, wpatrując się w swoje rozdygotane dłonie. Powoli, potykając się o własne nogi, ruszył ku swemu koniowi, nie zwracając uwagi na niecierpliwie gesty Goloka, który ponaglał go, żeby dosiadł wierzchowca. Sięgając po cugle, obejrzał się za siebie. W drzwiach kaplicy stała Somo.

–Nie powiedziałaś nam, jaką wiadomość miałaś przekazać Draktemu – powiedział.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

–To sprawy purbów.

–To coś, co dotyczyło oka – stwierdził Shan – skoro przyszłaś z tym tutaj.

–Chodziło o lamów. Bezpieka przeczesuje góry, szukając nie zarejestrowanych lamów.

–Nie. O tym już wiedzieliśmy.

Zerknęła w stronę chaty śmierci, zawahała się, ale podeszła do Shana.

–W porządku. Sądziliśmy, że Drake może o tym nie wiedzieć. Trzeba było go ostrzec, zanim ruszyłby z wami w drogę do tej doliny. Oni kierują się na północ. Oddział z centrali w Lhasie – oświadczyła zagadkowo Somo. – To jest ta wiadomość. Mały oddział. – Przygryzła dolną wargę. – Jeden pluton. To właśnie miałam powiedzieć Draktemu.

–Przepraszam – wykrztusił Shan. Nagle strasznie mu zaschło w gardle. – Nie

rozumiem.

–To chyba oznacza, że musicie się spieszyć. Ten Golok musi znać tajemne ścieżki. – Sposzregła zakłopotanie w oczach Shana i zerknęła na Nymę. – Nikt ci nie mówił o walkach o to stare kamienne oko? Są inni, którzy uważają je za swoją własność. Zabrano im je z Lhasy. Teraz chcą je odzyskać.

–Kto? – zapytał słabo Shan.

Somo znów przygryzła wargę, po czym odpowiedziała powoli, mrozącym krew w żyłach tonem:

–54. Brygada Strzelców Górskich Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Rozdział trzeci

Skierowali się nie na północ, jak spodziewał się Shan, ale na zachód. Wspięli się na wysoki grzbiet po przeciwnej stronie długiej doliny i znów zjechali w dół, zmierzając ku leżącemu za nim kolejnemu łańcuchowi ośnieżonych gór. Na szczycie, tuż przed tym, jak opuścili kryjącą pustelnię dolinę, Shan zatrzymał konia, przyglądając się, jak Dremu rusza naprzód na zwiady. Obejrzał się na wzgórze, gdzie kobieta od dropków wciąż dokładała kamienie do kopca, żeby zapewnić lamom ochronę bóstw. Jego wzrok powędrował ku zabudowaniom. Gendun żył ukryty bezpiecznie w swej tajemnej pustelni w górach koło Lhadrung, dopóki nie dotarł tam Shan. Gdyby nie on, lama być może nigdy nie zostałby narażony na kontakt z zewnętrznym światem.

–Kiedy przyjechaliśmy, zanim zaczęliśmy pracować nad mandalą, rozmawiałem z Shopo – odezwał się obok niego Lokesh. Starzec miał przedziwną zdolność odgadywania nastrojów Shana. – Oni nie znali Genduna. On po prostu przyszedł i usiadł w lhakang. Godzinami kontemplował kamienne oko. Potem wypił herbatę z Shopo i powiedział, że teraz już wie, czym jest oko, i wie, kto je zwróci, z taką pewnością, jakby przeczytał to w księdze, w której zapisana jest przyszłość. Shopo stwierdził, że sam nie jest pewny, ale Gendun nie dał się zbić z tropu. Wiedział, że to musisz być ty. Powiedział, że masz serce nie tylko czyste, ale i wielkie, tak wielkie, że jest dla ciebie ciężarem.

Tak wielkie, że jego ból niemal go obezwładniał. Jeśli zabójca tropił oko, Shan nie miał innego wyjścia, jak tylko zabrać je z dala od lamów. A tylko trzymając się w pobliżu oka, mógł znaleźć zabójcę. Jeśli chciał zapewnić lamom bezpieczeństwo, musiał ich opuścić.

Zerknął z zakłopotaniem na Lokesha, który w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, przechylił się w siodle i jak psotny wujaszek naciągnął Shanowi kapelusz na oczy, po czym odjechał w stronę kępy kwiatów. Tak właśnie podróżował zawsze, nie w linii prostej, ale od kwiatu do kwiatu, od skały do skały, przystając, żeby przyjrzeć się wszelkim ukształtowanym przez naturę formom, jakie przyciągnęły jego uwagę. Shan odwrócił się i spojrzął na Goloka. Jeździec oddalał się tak szybko, że można było sądzić, iż przed nimi ucieka. Nie ufał temu człowiekowi. Ale Drake mu ufał, a przynajmniej Dremu chciał, by Shan i inni wierzyli, że tak było. Dremu wiedział o oku, ale nikt z pozostałych przy życiu nie wiedział nic o nim samym. Drake najwyraźniej go znał, ale skąd? Jedyna logiczna odpowiedź zdawała się brzmieć: z więzienia. Shan

sprawdził wiązanie swych juków, po czym niechętnie popędził konia.

Trzy godziny później dogonili Dremu. Golok czekał na nich na szczycie najniższego wzniesienia drugiego łańcucha gór. Ich wierzchowce wspinały się krętą kozią ścieżką przez łąty śniegu. Powietrze za szczytem wciąż migotało, jak wtedy, gdy Shan przyglądał mu się z oddali. Gdy dotarli na grań, odkrył przyczynę.

–Lha gyal lo! – wykrzyknął z chłopięcą radością jadący tuż za nim Lokesh, wskazując rozległą płaszczyznę turkusowego jeziora, dominujący element rozciągającego się u ich stóp terenu. – Lamtso!

Shan wpatrywał się w odległą wodę. Wyglądała jak podłużny drogi kamień w oprawie z gór. Lamtso było jednym z tybetańskich świętych jezior, którego wody uchodziły za siedzibę potężnych nagów, brzegi zaś stanowiły ulubione miejsce wypasu stad dropków.

Z torby przytroczonej do siodła Golok wyciągnął dużą plastikową butelkę na wodę, jednak wypełnioną nie wodą, lecz bursztynowym tybetańskim piwem jęczmiennym zwanym chang. Nie otwierając jej, przebiegł wzrokiem po twarzach towarzyszy.

–Dziś w nocy śpimy tutaj – oświadczył, wskazując ręką wodę. – Jeżeli utrzymamy odpowiednie tempo – dodał, zerkając spode łba na Lokesha. Umilkł i mrużąc oczy, zapatrzył się w dal

za ich plecami. Idąc za jego przykładem, Shan zwrócił wzrok ku dolinie, którą właśnie przebyli. Ścigała ich mała grupka jeźdźców. Choć może nie był to pościg, zreflektował się, gdyż oni także zatrzymali się i rozproszyli, oglądając się za siebie.

–Ci dropkowie martwią się o ciebie, Chińczyku – powiedział Dremu. – Wydaje im się, że mogą osłonić ci plecy, ale nie

mają pojęcia, jakie kłopoty ściągają sobie na głowę. Ilu Tybetańczyków jesteś wart, towarzyszu? – zapytał, rzucając Shanowi gorzkie spojrzenie, po czym spiął konia do galopu i zniknął za zakrętem szlaku.

Dogonili go po kwadransie. Czekał na nich przy potężnej skale, z nogą na szyi konia. Zdążył już opróżnić prawie pół butelki. Gdy Nyma i Tenzin chcieli go ominąć, Golok ostrzegawczo uniósł dłoń.

–Na waszym miejscu nie robiłbym tego.

–Myślę, że stąd damy już radę trafić do jeziora – oświadczyła niecierpliwie Nyma.

Dremu wskazał małą chmurę pyłu na prowadzącej nad jezioro wyboistej drodze wśród niskich wzgórz. Shan sięgnął do swego worka, wiszącego u siodła, i wyciągnął z niego sponiewieraną lornetkę polową. Przez chwilę wpatrywał się w chmurę. Westchnął i podał szkła mniszce.

–Wojsko! – jęknęła Nyma.

–Jedna ciężarówka – mruknął Golok. – Pięciu, najwyżej dziesięciu żołnierzy.

Czując nagły ucisk w żołądku, Shan śledził wzrokiem zbliżający się pojazd. Wciąż jeszcze dzieliły go od nich przeszło trzy kilometry. Ciężarówka pędziła nie w ich stronę, lecz ku jezioru. Nagle jednak się zatrzymała. Mniszka krzyknęła i pochyliła głowę, jak gdyby chciała się ukryć za karkiem konia.

–Widziałam jakiś błysk. Oni chyba obserwują góry przez

lornetkę!

Golok spojrzał na nią kwaśno.

–Od tego właśnie są żołnierze. To może oznaczać cokolwiek. Być może eskortują inspektora urodzeń. Może jadą zapolować na dzikie kozy. A może szukają czegoś, co im ukradziono

dodał, zerkając znacząco na Shana, po czym sięgnął po lornetkę. – Karoseria jest szara. To wskazywałoby na strzelców górskich – wyrzucił z siebie niczym przekleństwo. – Wolałbym już, cholera, nadzieć się na pałkarzy.

Shan obejrzał się za siebie na szlak, którym przybyli. Lokesh znów został w tyle; zatrzymawszy konia, wpatrywał się w plamy porostów na skale. Od czasu ich pielgrzymki stary Tybetańczyk ze szczególną uwagą szukał samoistnie powstałych znaków Buddy – naturalnych obiektów, które przybrały formę świętego znaku. Niejeden raz pozbywał się tej czy innej sztuki odzieży lub części zapasów ze swego worka, żeby zrobić miejsce dla kamienia z porostem układającym się w zarys buddyjskiego symbolu lub dla kawałka kości przypominającego rytualną ofiarę.

Golok wskazał butelką płamę czerni u podnóża sterczącej skały, kilkadziesiąt metrów dalej. Nyma westchnęła z ulgą i popędziła wierzchowca w tę stronę.

Shan wątpił, czy gdziekolwiek na świecie jest miejsce bardziej obfitujące w naturalne jaskinie niż Tybet. Z pewnością nie znalazłoby się drugiego kraju, gdzie jaskinie odgrywałyby tak wielką rolę w dziejach jego mieszkańców. Były tu pustelnie w jaskiniach, świątynie w jaskiniach, nawet całe gompy. Wierzono, że przed setkami lat Guru Rinpocze, darzony największą czcią spośród pradawnych lamów misjonarzy, pozostawił święte przedmioty i pisma w grotach rozsianych po całym Tybecie. Tybetańczycy w dalszym ciągu poszukiwali zapomnianych jaskiń, które mogły skrywać święte skarby Guru Rinpocze. Poza tym, jak powiadano, pieczary były zasiedlone przez liczne lokalne bóstwa opiekuńcze czuwające nad bezpieczeństwem gór i dolin.

Grota u wylotu była niska i szeroka, szybko jednak zwęziła się do ciasnego tunelu. Konie zdawały się rozumieć, czego się od nich oczekuje, i gdy tylko jeźdźcy zsunęli się z siodła, pobiegły w głąb. Lokesh, dołączywszy do reszty, zaczął pomagać Tenzinowi w luzowaniu popręgów, przemawiając uspokajająco do zwierząt, podczas gdy Golok i Nyma usadowili się na skałach po obu stronach wejścia. Dremu uniół butelkę do ust i pił, głośno przełykając.

–Wiedzieliście, że oko miała przedtem armia – odezwał się Shan do Dremu i Nymy. – Obydwoje o tym wiedzieliście.

–Mówiłem ci – odparł Golok z szerokim uśmiechem, który odsłonił kilka jego żółtobrazowych zębów. Shan jednak usłyszał od niego tylko to, że może zginąć jak nic.

–Dlaczego wojsku miałoby zależeć na starym kamiennym oku? – zapytał Nymę.

–Większość ludzi z północnej części płaskowyżu Czangtang zna tę historię.

–Ja nie znam. Nie jestem pewien, czy Gendun ją zna.

–To dawne dzieje. Z czasów inwazji – odparła niechętnie mniszka.

–Chcesz powiedzieć, że oko zostało zabrane pięćdziesiąt lat temu jako trofeum –

domyślił się Shan, nawiązując do zajęcia Tybetu przez chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą.

–Nie podczas tej inwazji – westchnęła Nyma.

Shan wyczuł za sobą ruch. To Lokesh podszedł do niego.

–Było to wtedy, gdy chińska armia przybyła, żeby wygnać Trzynastego z Tybetu w roku Wodnej Zajęczycy – wyjaśniła Nyma.

Miała na myśli inwazję z początków dwudziestego wieku. W roku 1903, przypomniał sobie Shan, cesarskie wojska wkroczyły do Lhasy, znacząc krwią swój przemarsz przez wschodnie i północne obszary Tybetu, z zamiarem obalenia XIII Dalajlamy.

–Działy się straszliwe rzeczy – ciągnęła mniszka łamiącym się głosem. – Chińscy żołnierze pod dowództwem generała Fenga najeżdżali gompy i żywcem grzebali mnichów, setki mnichów. Rzeźnik Feng, tak go nazywano. Po kilku latach tybetańska armia zorganizowała wreszcie opór i odepchnęła

Fenga. Rozegrała się straszliwa bitwa na Turkusowym Moście w Lhasie, gdzie Tybetańczycy zmusili do odwrotu dywizję Lujun, Armii Nowoczesnej. Jej żołnierze, elita chińskich wojsk, zostali poniżeni i pragnęli odwetu. Ale generałowie odwołali ich do domu, gdyż właśnie umarła cesarzowa wdowa i potrzebne były dodatkowe siły do utrzymania porządku w Pekinie. Chińczycy ciągnęli starym północnym traktem, Changlamem, jak go nazywano, równając z ziemią gompy, mordując wszystkich mnichów

i mniszki, jakich napotkali. – Nyma umilkła, wpatrzona w czarny obłok, który pojawił się na horyzoncie. – Byli na Changlamie, trzysta kilometrów na północ od Lhasy, kiedy dowiedzieli się, że dowódca oddziałów, które ich pokonały w Lhasie, pochodzi z wioski leżącej zaledwie trzydzieści kilometrów na zachód od traktu. Ruszyli do wioski, a gdy zobaczyli, że jej mieszkańcy leczą rannych tybetańskich żołnierzy, ustawili działo i ostrzelali ją. Zachował się tylko jeden dom.

Wstała, wciąż patrząc na szybko zbliżający się czarny obłok. Nagle pochyliła się i przyskoczyła do skały. Golok beknął za nią, unosząc butelkę.

Po chwili Nyma wróciła do jaskini.

–Nie poruszyli się – oświadczyła. – To dobrze, prawda?

Gdy nikt nie odpowiedział, podjęła przerwana opowieść:

–Ta wioska, albo raczej dolina, w której ona leżała, była domem bóstwa Yapchi. Przez setki lat bóstwo zamieszkiwało

w samoistnie utworzonym posągu, głazie w kształcie siedzącego Buddy. W zamierzonych czasach wymalowano na nim dwoje oczu, aby lepiej widziało świat i przypominało mieszkańcom doliny, że nieustannie czuwa.

–I żołnierze zabrali posąg? – zapytał Shan.

–Niezupełnie – odparła smętnie Nyma. – Kiedy skończyli ostrzał, z tybetańskich żołnierzy nie ocalał nikt, gdyż byli zbyt słabi, żeby uciekać. Pozostali przy życiu wieśniacy, około pięć

dziesięciu osób, w większości kobiety, dzieci i starcy, pobiegli na środek doliny, do swego bóstwa. Dowódca chińskiej dywizji parsknął śmiechem i krzyknął do nich, żeby się poddali. Jeśli zgodzą się zostać tragarzami, nieść ich sprzęt do chińskiej granicy, daruje im życie, powiedział. Kiedy odmówili, wybrał dziesięciu żołnierzy i posłał ich z szablami na wieśniaków. Zarzynali ludzi jak kozy, rąbali ich na kawałki, śmiejąc się, jakby to była świetna zabawa. Z rodziny tamtego tybetańskiego oficera nie przeżył nikt.

Odwróciła się nagle i spojrzała w zalegający w głębi pieczary mrok, jak gdyby sądziła, że coś obserwuje ją z wnętrza góry.

–Ocaleli jedynie ci nieliczni, których nie było akurat w wiosce. Parę osób wyruszyło z karawaną nad święte jezioro. A pewna dziewczynka pasła owce na stoku ponad doliną i widziała to wszystko. Ale żołnierze złapali ją, gdy próbowała się przekraść do zwłok. Oficer kazał jej patrzeć, jak rozbija bóstwo młotem na drobne kawałki. Potem zabrał jedyny fragment na tyle duży, żeby można było rozpoznać, co przedstawia. Było to chenyi – powiedziała, używając tybetańskiego słowa oznaczającego prawe oko. – Oficer oświadczył, że to oko było świadkiem rehabilitacji jego dywizji i że zanieś je swemu generałowi jako trofeum.

Umilkła i znów spojrzała na złowieszczą chmurę.

–Kazali tej dziewczynce, żeby odnalazła wśród ciał swoją matkę, po czym przywiązali ją twarzą w twarz do jej zwłok i zostawili. Mnisi z gompy po drugiej stronie góry Yapchi znaleźli ją tam trzy dni później.

Zapadła cisza. Shan patrzył na Nymę. Po jakimś czasie przeniósł wzrok na ciemną chmurę.

–I wasi ludzie zapisali tę historię – odezwał się za jego plecami Lokesh.

–Tą dziewczynką była moja babka. Pomagała ich pogrzebać. My nie zostawiamy zmarłych ptakom. Oddajemy ich ziemi. Babka pomagała złożyć ich do wielkiego grobu. Kiedy byłam mała, siadała tam ze mną i wymieniała mi imiona wszystkich, którzy zginęli.

Golok unosił właśnie do ust butelkę piwa, jednak słysząc te słowa, opuścił ją. Wpatrywał się w nią przez chwilę.

–Sukinsyny – mruknął, jakby chciał w ten sposób pocieszyć mniszkę, po czym schował butelkę.

–Później ludzie śledzili losy kamienia – dodała Nyma. – Przez kilkadziesiąt lat znajdował się w muzeum wojskowym pod Pekinem i pewien człowiek z Yapchi, którego lamowie wyposażyli w specjalne zaklęcia, wybrał się tam, żeby przynieść oko z powrotem. Ale Chińczycy zastrzelili go jako szpiega. Kiedy przyszli komuniści, oko zniknęło. Ale dowiedzieliśmy się, że część oddziałów tej dywizji została wcielona do Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

–54. Brygada Strzelców Górskich – domyślił się Shan.

Nyma skinęła głową.

–Odkąd przeniesiono ją do Tybetu, ludzie nie spuszczała z oka jej żołnierzy.

Następny człowiek z wioski poszedł porozmawiać z dowództwem, ale aresztowali go i trafił do lao gai, gdzie zmarł. Pewna sekretarka widziała kamień cheniy w Lhasie na biurku dowódcy tej brygady, pułkownika, i dała nam znać. Parę miesięcy później wysłaliśmy do Lhasy list, podpisany przez wszystkich mieszkańców wioski, z prośbą, żeby zwrócili oko. Ale jedynym skutkiem było to, że władze odesłały list i nałożyły na nas dodatkowe podatki. Potem, rok temu, podczas defilady z okazji Pierwszego Sierpnia w Lhasie, ten pułkownik kazał przykleić oko taśmą do wieżyczki czołgu. – Pierwszego sierpnia obchodzono w Chinach święto Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. – Żołnierze śmiali się i pokazywali je palcami, szydząc z Tybetańczyków. Ktoś zrobił zdjęcie i przyniósł je nam.

–Purbowie – wtrącił Shan, nie oczekując odpowiedzi. – Drake wykradł oko.

–Myślę, że ktoś inny to zrobił. Nie wiem na pewno. Purbowie wiedzą, jak niebezpieczne może być rozgłaszanie tajemnic. Nie chcemy nic wiedzieć. Ludzie wpadają czasem w ręce Chińczyków, a oni dają im narkotyki, które każdemu rozwiążą język.

–Ale to ty byłaś w Lhasie i sprowadziłaś kamień cheniy do pustelni – podsunął Shan.

Nyma pokręciła głową.

–Ja pracowałam w naszej dolinie – odparła enigmatycznie. – Pewnego dnia nasza wyrocznia powiedziała, że Chińczyk zwróci oko. Myślałam, że to miało znaczyć, że armia w końcu nam je odda. Dopiero później, kiedy rozmawiałam o tym z pewnymi purbami, dowiedziałam się, że oko zostało już odebrane tym, którzy je nam ukradli.

Nasza wyrocznia. Mniszka mówiła tak, jakby każda społeczność wciąż miała własną wyrocznię. Ale Shan nie przypominał sobie, żeby przed przybyciem do pustelni choćby słyszał o jakiegokolwiek współczesnej wyroczni. Nawet Lokesh, tak uparcie trzymający się tradycji, wspominał o wyroczniach jako o czymś z odległej przeszłości.

Mniszka zerknęła niepewnie na czarną chmurę, która wisiała teraz niemal wprost nad nimi. Dremu także obserwował ją podejrzliwym, zaniepokojonym wzrokiem, aż w końcu cofnął się w głąb pieczary.

–Powtórzyłam im, co mówiła wyrocznia. Później Drake odszukał mnie i długo wypytywał na temat oka i wioski. A potem ludzie przyszli i zabrali mnie do pustelni.

Shan przyglądał się Tenzinowi, który podszedł do wylotu jaskini, wpatrując się w dziwną chmurę. Po chwili odwrócił się do Nymy.

–Dlaczego purbom tak bardzo zależy na zwróceniu oka?

Mniszka znów wzruszyła ramionami, rzucając Shanowi karcące spojrzenie. Rozmawiali o sprawach, o których rzadko mówiło się głośno.

–Purbowie walczą o sprawiedliwość – odparła. – A sprawiedliwość wymaga, żeby oko wróciło na swoje miejsce.

Głucho zawył wiatr i poczuli gwałtowny podmuch, po którym pociemniało nagle, jakby zapadła noc. Sypnął grad, z początku drobne ziarenka, po których szybko jednak uderzyły grudki przeszło centymetrowej średnicy. Mniszka spojrzała w niebo, kiwając głową, jakby знаła jakiś sekret burz gradowych. Lokesh zerknął w stronę

tunelu. Prowadził on ku sercu góry, gdzie mogło żyć miejscowe bóstwo ziemi.

Zdarzało się w Tybecie, że grad walił z taką gwałtownością i tak wielkimi bryłami, że w parę sekund niszczył plony, a nawet zabijał ludzi. Tybetańczycy uważali taką śmierć za szczególnie zaszczytną, jak gdyby ofiara została wezwana przez bóstwo nieba w jakimś ważnym celu. Shan wystawił rękę. Czuł ukłucia gradu, ale nie cofał jej, pozwalając, by grudki gromadziły się w zagłębieniu dłoni.

Kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Odwrócił się i ujrzał, że Nyma usiłuje wciągnąć Tenzina do pieczary. Wysoki Tybetańczyk zdjął płaszcz i wyszedł na zewnątrz jedynie w cienkiej koszuli, wystawiając plecy na uderzenia lodowych bryłek. Nagły podmuch cisnął gradem w Shana, kłując go w policzki. Shan otrzepał dłoń i cofnął się w głąb jaskini. Czasami trudno było nie wierzyć w bóstwa ziemi.

Ale, co dziwne, Tenzin wyrwał się mniszce i odszedł jeszcze dalej w burzę.

Uklęknął na ziemi, skulił się, głowę wsunął między

kolana, osłaniając kark dłońmi. Wyglądało to, jakby prosił bóstwa, żeby wymierzyły mu chłostę. Zdawało się, że on również zna jakiś sekret burzy, inny jednak niż ten, o którym wiedziała Nyma. Albo może, pomyślał Shan, sekret, który zrozumiał Tenzin, dotyczył tylko jego.

Gdy mniszka zaczęła szarpać Tybetańczyka za ramię, Shan podbiegł i chwycił go za drugie. Wspólnymi siłami zaciągnęli go do środka. Z początku zdawał się nie zauważać ich uścisku, wreszcie spojrzał na nich nieprzytomnie, wyraźnie zaskoczony. Przez rozdarcia koszuli widać było kilka drobnych czerwonych plamek tam, gdzie lodowe bryłki gradu pokaleczyły mu skórę.

Nyma narzuciła Tenzinowi chubę na ramiona. Nagle Dremu jęknął przerażony, wskazując coś pośród burzy. Przez góry przetoczył się upiorny przeciągły dźwięk i z szarości wyłoniła się widmowa ludzka postać na pędzącym galopem niedużym karym koniu. Jeździec, skulony w siodle, daremnie starał się umknąć przed gradobiciem. Dźwięk, który słyszeli, wydawał koń, rżący z bólu pod tłukącym w niego lodem. Shan kątem oka spostrzegł, że Nyma, wzdrygnąwszy się, cofa się w głąb pieczary.

Pozostali Tybetańczycy natychmiast poszli w jej ślady. Shan jednak zbliżył się do wylotu jaskini, z niepokojem obserwując wierzchowca. Pędząc tak gorączkowo, z jeźdźcem siedzącym bezwładnie w siodle, zwierzę mogło osunąć się w przepaść. Naciągnął głębiej kapelusz i rzucił się w burzę. Koń na jego widok zarżał głośniejszym głosem, gdy Shan wyciągnął ku niemu rękę. Chwilę później, chwyciwszy jedną dłonią za uzdę, Shan biegł z powrotem do kryjówki, prowadząc oszalałe stworzenie.

Jeźdźcem była kobieta, choć trudno było to poznać, bo zadrapania i sińce na twarzy zniekształciły nie do poznania jej rysy. Policzki znaczyły jej smugi zmieszanej z deszczem krwi. Była przytomna, ale miała dzikie, szeroko otwarte oczy, jak jej roztrzęsiony, wstrząsany dreszczem wierzchowiec, który kręcił się wśród pozostałych koni, nie pozwalając się dotknąć.

Po chwili jednak wzrok kobiety padł na Shana. Ścisnęła go za ramię.

–Znalazłam ich. Tych pasterzy, o których pytałeś.

Shan rozpoznał znużony głos i plecioną bordową przepaskę na jej głowie. Była to kobieta od dropków, wartownicza, która wyrzucała sobie, że dopuściła do

Draktego. Lokesh delikatnie otarł krew z jej policzków.

–Byli śmiertelnie przerażeni – wydyszała. – To była tylko para starszych ludzi, z niewielkim stadem i psami. Powiedzieli mi, że nie widzieli Draktego, ale akurat tamtej nocy gościł u nich pewien stary lama i ktoś go zaatakował. – Jej łzy mieszały się z krwią, która wciąż sączyła się z ranek na twarzy. Uśmiechnęła się z wysiłkiem do Lokesha, gdy znów otarł jej policzek, i dodała: – Mówili, że ten lama jest ścigany przez pałkarzy. Tropią go po górach.

–Jaki lama? – zapytał z przerażeniem Shan, pochylając się nad nią. Z pewnością nie miała na myśli Genduna ani Shopo, którzy spędzili tamtą noc w pustelni.

Kobieta pokręciła głową.

–Nie wiem. Ci staruszkowie byli tak przerażeni, że trudno

było ich zrozumieć. Nie chcieli o nim mówić. Widmowy lama, tak go nazwali. Czasem duchy bywają rzeczywiste, powiedzieli. Byli zupełnie roztrzęsieni. Lama zniknął przed świtem. Mężczyzna powiedział, że musieli go zabrać pałkarze. Ale kobieta upierała się, że było inaczej. Twierdziła, że duchy zawsze znikają, kiedy wschodzi słońce.

Wiatr dmuchnął mocniej, świszcząc w załomach skał. Pasterka wpatrywała się w swoją dłoń, na którą spadła kropelka krwi. Shan z zaskoczeniem uniósł wzrok, szukając jej źródła, wtedy jednak kobieta drżącą ręką dotknęła jego policzka. Na jej palcach pojawiły się ślady krwi.

–Jesteś ranny – powiedziała cicho.

–To tylko grad – odparł Shan.

Oczy kobiety rozpozodziły się. Wyjęła z rąk Lokesha szmatkę, którą stary Tybetańczyk ocierał jej twarz, i przytknęła ją do policzka Shana.

–Nic z tego nie rozumiem – ciągnęła. – Ale powiedziałaś, że musisz to wiedzieć. Musiałam cię znaleźć, z powodu niebezpieczeństwa, jakie to może ściągnąć na oko. – Umilkła i znów

ścisnęła go za ramię. – To pałkarze zranili Draktego, na pewno tak było. Nasz Drake mógł walczyć z nimi w obronie lamy. –

Obróciła się, żeby spojrzeć na swego konia. – I to – dodała, wskazując prymitywne drewniane siodło. – Chciałam, żebyś ty to miał. My nie możemy tego trzymać, bo tamci pałkarze są blisko, a poza tym któreś nocy ta istota... – Przełknęła z wysiłkiem ślinę i odwróciła wzrok, jakby nie była w stanie mówić o dobdobie.

Shan wstał i ściągnął z siodła sakiewkę, tę samą, którą Drake przyniósł poprzedniej nocy do pustelni, sakiewkę mieszczącą jego procę i rejestr.

Nagle burza ustała. Powietrze oczyściło się i słońce rozjaśniło jałową okolicę. Ale wzmianka o pałkarzach wisiała nad nimi niczym zapowiedź innej, znacznie groźniejszej burzy.

Nyma zerknęła na Dremu, jakby się spodziewała, że poprowadzi ich w dalszą drogę. Ale Golok gapił się tylko spod opuszczonych powiek to na pasterkę, to na jej konia, to znów na Tenzina. Gdy poczuł na sobie wzrok mniszki, zmusił się do skąpego uśmiechu, po czym wyszedł z lornetką za załom skały.

–Żołnierze klęczą na masce samochodu – oświadczył po chwili. – Może grad rozbił im przednią szybę. Pewnie na dzisiaj dadzą już sobie spokój.

–Ruszajcie – powiedziała błagalnie pasterka. Po policzkach wciąż spływały jej strużki krwi. – Ja będę strzec Shopo i Lamy Czystej Wody.

Tenzin wysypał obok niej stosik jaczego łajna i podpalił go.

Gestem ponagliła ich do odjazdu i niechętnie dosiedli koni.

Gdy pozostali oddalili się, Shan na chwilę zatrzymał wierzchowca.

–Powiedz tym jeźdźcom za nami, żeby wracali – powiedział. – Powiedz im, żeby pomogli chronić lamów.

Kiedy wynurzył się z za skały, ciężarówka odjeżdżała już z powrotem na południe.

–Czy to była 54. Brygada? – zastanowił się na głos.

Dremu chrząknął, lecz nic nie powiedział. Nyma, przygryzając dolną wargę, utkwiała wzrok w ziemi. Golok okrążył ich, obserwując nie okolice jeziora, lecz teren za ich plecami, nim wreszcie ruszył w dół zachodniego zbocza. Shan jechał z tyłu, trzymając się tuż za Lokeshem. Przed sobą mieli żołnierzy, ale

nie było odwrotu, gdyż za nimi podążali pałkarze i rozszalały dobdob.

Godzinę później wjechali na ostatnie z niskich wzgórz, które otaczały jezioro.

Przed nimi roztaczał się nie przesłonięty niczym widok na szeroko rozlane turkusowe wody. Marszczona wiatrem powierzchnia długiego na czterdzieści kilometrów jeziora migotała w słońcu, nadając mu pozór życia. Nyma wskazała w oddali kilka ciemnych, podłużnych plamek rozrzuconych wzdłuż odległego brzegu. Były to wołokowe jurty dropków, którzy sprowadzili swoje owce na bujne wiosenne pastwiska.

Jechali przez łąki gęsto pokryte wiosenną zielenią, rozpryskując niezliczone spływające z gór strumyki, aż w końcu dotarli do jeziora i zsiadli z koni tuż obok wielkiego stada czarno-białych gęsi, które kołysały się na wodzie przy brzegu, połyskując w słońcu białymi łebkami. Gęsi pręgogłowe, jak nazywali je Tybetańczycy. Wiatr ustał i gwar ptaków wypełniał powietrze.

Nagle Lokesh, rozłożywszy ręce, wyskoczył przed Shana i wbiegł w zimne wody jeziora. Śmiejąc się jak dziecko, brnął przez fale, póki woda nie sięgnęła mu kolan.

–Au! Au! Au! – krzyknął w stronę ptaków, po czym z szerokim uśmiechem odwrócił się do Shana. – Tak właśnie moja matka wołała na gęsi. Mówiła zawsze, że to dobry znak zobaczyć tyle gęsi odpoczywających na wodzie. To oznacza, że duchy powietrza są w harmonii z duchami wody.

Jego matka. Lokesh niemal nigdy nie mówił o swojej matce, która zajmowała szczególne, święte miejsce w jego sercu, podobnie jak ojciec w sercu Shana. Matka Lokesha zmarła w 1940 roku, w roku, w którym młody XIV Dalajlama przybył do Lhasy, w roku wielkich uroczystości i triumfu dawnych obyczajów. Wiodła doskonałe życie, powiedział kiedyś Lokesh, i zmarła w doskonałym czasie, gdyż potem nastąpiły lata ciemności i zagłady.

Stary Tybetańczyk pochylił się i opryskał sobie wodą twarz, po czym kiwnął na Shana, żeby przyłączył się do niego. Shan, po krótkim wahaniu, wszedł do jeziora w ślad za przyjacielem.

–Au! Au! Au! – zawołał do gęsi, unosząc ręce.

Lokesh roześmiał się serdecznie.

–Lha gyal lo! – wykrzyknął radośnie ku ptakom.

Shan obmył twarz w lodowatej wodzie, po czym zaczerpnął odrobinę w dłoń, chcąc się napić.

–Nie – przestrzegł go Lokesh, dotykając jego ramienia. – Jest zbyt słona. Napij się ze strumienia.

Shan zlizął kroplę z palca. Jego przyjaciel miał rację. Raz jeszcze rozejrzał się po okolicy. Lamtso było jednym z wielkich bezodpływowych jezior rozrzuconych po wschodniej części płaskowyżu Czangtang, w których gromadziły się sole mineralne i inne substancje wmywane z otaczających je gór.

Golok znalazł sobie głaz i usiadł na nim, popijając chang, Nyma i Tenzin tymczasem zajęli się zbieraniem kamieni, żeby usypać mały kopczyk na cześć nagów, zanim wyruszą w dalszą

drogę.

–Pomyślny początek – powtarzała raz po raz mniszka. Nagle przystanęła, wpatrując się w Tenzina. Niemy Tybetańczyk, którego nie odstępowała od czasu burzy gradowej, układał kamienie z szaleńczą energią. Zatrokana Nyma podeszła do swego konia i poszperawszy w jukach, wydobyła z nich swoją zapasową małą, różaniec. Wyciągnęła ją ku Tenzinowi.

Tenzin spojrzął na paciorki, zdawało się jednak, że nie może skupić na nich wzroku. Jego szczęka poruszała się w górę i w dół, jakby coś w nim próbowało przemówić lub przypomnieć sobie ruchy ust przy wypowiedaniu mantry. Od śmierci Draktego Tybetańczyk stał się jeszcze bardziej nieobecny, jeszcze bardziej pogrążył się w swym dziwnym, skrywanym bólu. Shan wiedział, że tak często bywa z ludźmi, których trzymano za drutami. Coś nagle otwierało drzwi w ich wnętrzu i na nowo przeżywali obozowe koszmary. Nyma wcisnęła różaniec w dłoń Tenzina i gdy Dremu ruszył w dalszą drogę, poprowadziła niemego mężczyznę do konia.

Zaledwie od dwudziestu minut jechali brzegiem jeziora, gdy nagle Dremu zatrzymał konia na szczycie wzgórza i zsunął się z siodła, niespokojnie wpatrując się w dal.

Shan zeskoczył na ziemię i spojrzął w stronę, w którą patrzył Golok. Stał tam biały pojazd, solidny mikrobus w rodzaju tych, którymi przewożono ludzi między tybetańskimi miastami.

Najwyraźniej nadjechał wąską ziemną drogą z południowego wschodu i dopiero co zjechał na wyboisty szlak biegnący równoległe do brzegu jeziora. Na wielkim płaskim kamieniu przed mikrobusem siedziało dwóch mężczyzn, jeden w bordowej szacie mnicha, drugi ubrany jak biznesmen w białą koszulę z krawatem, podczas gdy trzej inni, w mnisich szatach, zmagali się z lewym tylnym kołem pojazdu, które ugrzęzło w błocie.

–Lepiej ich omińmy – ostrzegł Dremu.

Nim jednak Golok dokończył, Shan już zbiegał ze wzgórza.

Siedzący przyglądali mu się obojętnie, gdy zbliżał się do nich.

W kapeluszu z szerokim rondem i obszarpanym płaszczu wyglądał jak przeciętny dropka. Mężczyzna w krawacie, Chińczyk w średnim wieku, świecił łysiną na czubku głowy, a pozostałe włosy, rzadkie i długie po bokach, miał zaczesane do tyłu. Małe czarne oczka, które spoglądały z szerokiej, pulchnej twarzy Chińczyka, zdawały się wypolerowane do połysku jak jego buty. U warg dyndał mu papieros. Tybetańczyk, z którym siedział, miał gęste, równo przycięte włosy, a jego mnisia szata nie przypominała żadnej, jaką Shan widział dotychczas: ozdobiona była złotymi frędzlami, na lewej piersi zaś, nie do wiary, widniał wyhaftowany monogram. Pomiędzy nimi na kamieniu leżała butelka napoju pomarańczowego i coś, co wyglądało na torebkę ziaren słonecznika.

Gdy Shan zbliżył się do kamienia, Chińczyk wypuścił ku niemu długą strugę dymu, jakby chciał go odpędzić. Shan ukłonił się niepewnie i ominął siedzących, zwalniając kroku, żeby przeczytać piętnastocentymetrowej wysokości tybetańskie i chińskie znaki wymalowane na boku mikrobusu. *Nowa wiara na nowe stulecie*, głosiły, pod spodem zaś, mniejszymi literami, widniał jeden z wariantów znajomego hasła: *Budujmy dobrobyt, zrywając okowy feudalizmu*.

Obejrzał się na swych towarzyszy. Lokesh i Nyma ruszyli za nim, Dremu i Tenzin jednak wycofali się, tak że nad wierzchołkiem wzgórza widać było jedynie ich głowy. Nyma zbliżyła się do kamienia, na którym siedzieli mężczyźni, gdy nagle zastygła i zerknęła nerwowo na stok, jak gdyby myślała o ucieczce. Shan spostrzegł niewielki, wymalowany przez szablon napis na drzwiach kierowcy: *Urząd do spraw Wyznań*.

–Krzykacze! – szepnęła ze zgrozą mniszka, podszedłszy do Shana. Było to popularne wśród purbów przezwisko pracowników tego urzędu, nadane im z powodu ostrego tonu, jakim zwykle zwracali się do Tybetańczyków. Niegdyś krzykacze wrzeszczeli na zebraniach krytycznych, które przez lata stanowiły ulubione narzędzie korekcji politycznej. I mimo że zebrania te wypadły z łask Partii, oni pozostali krzykaczami, tyle że wysubtelnili metody, z zapalem wygłaszając Tybetańczykom kazania

o antysocjalistycznych grzechach tradycyjnego buddyzmu.

Shanowi zaschło w gardle. Spojrzał na Chińczyka w krawacie. Tacy jak on dawali i cofali zezwolenia na bycie mnichem lub mniszką; tacy jak on udzielali błogosławieństwa gompom, kierując się prawomyślnością tych zgromadzeń; tacy jak on jednym pociągnięciem pióra otwierali lub zamykali klasztory i przyznawali prawa do praktykowania życia duchowego, jakby byli dworzanami rozdzielającymi łaski władcy.

Nyma wcisnęła kapelusz głębiej na głowę i przysunęła się do Shana. Chuba, którą miała na sobie, ukrywała jej namiastkę mnisiej szaty.

Trzej mnisi starali się uwolnić mikrobus, za jedyne narzędzia mając mały rydel i długą rączkę od lewarka. Dwaj z nich, uwalani błotem, klęczeli przy kole, podczas gdy trzeci, krępy mężczyzna o silnych rękach i szerokich dłoniach robotnika, znosił kamienie ze stoku.

–Na drodze było stado owiec – wyjaśnił, rzucając kamienie obok mikrobusu. Pozostali dwaj, młodszy od niego, rzucili mu ostre spojrzenia, jakby go ostrzegając, żeby się nie odzywał. – Spieszyło im się, więc zjechali z drogi, żeby je ominąć. Nie wiem, co ich bardziej rozzłościło: to, że ugrzęźliśmy, czy te wszystkie owce, które stanęły i gapiły się na nich, kiedy wjechaliśmy w

błoto.

Nyma parsknęła cichym śmiechem, po czym nerwowo obejrzała się na mężczyzn siedzących na kamieniu.

–Kopiąc wokół koła, tylko przewalacie błoto – podpowiedział Lokesh ubrudzonym mnichom. – Koło musi znaleźć oparcie – dodał, wskazując z aprobatą na stos kamieni zebranych przez trzeciego mnicha, po czym ruszył za krępych mężczyzn na wzgórze, by przynieść następne.

Byli objazdową ekipą edukacyjną, wyjaśnił mnich, gdy Shan dołączył do nich na stoku, zapoznając miejscową ludność z programami rządowymi.

–Liczymy pola jęczmienia – dodał.

Shan rozejrzał się dookoła. To była kraina pasterzy. Wątpił, czy w promieniu stu kilometrów ktokolwiek uprawia tu jęczmień.

–Ale jesteście z gompy – zauważył.

–Z Khang-nyi. – Znaczyło to Drugi Dom. – To jedyna gompa w tej okolicy. – Przystanął i spojrzał na mężczyzn siedzących na kamieniu. Wiatr zamarł i otaczał ich kłęb dymu papierosowego. Przez twarz mnicha przemknął taki wyraz, jakby ci dwaj wprawiali go w zażenowanie. Schylił się po kolejny kamień.

–Co to za programy rządowe? – zapytał Shan.

Mnich przyjrzał mu się niepewnie.

–Budujemy dobrobyt, zrywając okowy feudalizmu – odrzekł oficjalnie, jakby recytował mantrę, próbując zapewne zatrzeć wrażenie, jakie mógł odnieść Shan, po czym odszedł z kamieniami w stronę samochodu.

Dziesięć minut później pojazd został uwolniony. Mężczyźni na kamieniu przeciągnęli się leniwie i podeszli do przednich drzwi mikrobusu. Gdy Nyma i Lokesh zaczęli w pośpiechu wspinać się na wzgórze, ten w eleganckiej mnisiej szacie wyciągnął z samochodu plik broszurek i podał jedną Shanowi.

–Czy doszliście do zrozumienia, towarzyszu? – zapytał nagle. Jego oczy patrzyły przenikliwie nad haczykowanym nosem, który nadawał mu jastrzębi wygląd. Jego towarzysz zbliżył się do Shana i z powagą wskazał palcem słowa na okładce broszury: *Pogodny Dobrobyt*.

Shan niepewnie przyglądał się mężczyznom. Przypomniało mu się, jak to przed wielu laty na ulicy w Pekinie zaczepiła go dziewczyna w śnieżnobiałej bluzce i wręczyła mu broszurkę, pytając z powagą: „Czy jesteś wierzący?” Ci ludzie też byli swego rodzaju misjonarzami, z ramienia bezbożnego urzędu sprawującego władzę nad bóstwami Tybetu.

Pogodny Dobrobyt. Wpatrywał się tępo w te słowa. Wyglądało to na okrutny żart z Tybetańczyków. Nagle uświadomił sobie, że człowiek w białej koszuli, krzykacz, przygląda mu się z uwagą.

–To jest ziemia pasterzy – zauważył mężczyzna. – Dropków, jak ich nazywają. – Chyba dopiero teraz zorientował się, że Shan jest Chińczykiem. Jego czarne oczka błędziły bez ustanku w tę i z powrotem, lustrując wznoszące się za nim wzgórza, choć nie poruszał głową.

Shan poczuł, że napinają mu się mięśnie nóg, jakby podświadomie oczekiwał, że krzykacz lada chwila zwinie się niczym wąż i uderzy.

–Wasi kompani ukrywają się przed nami – zauważył niedbałym tonem elegancki mnich. – Bojaźliwi jak szczenięta, uciekają na sam widok samochodu – mówił aksamitnym, wytwornym głosem kaznodziei. – Ci ludzie muszą zrozumieć – dodał, jakby liczył na wsparcie Shana – że potrzebują naszej pomocy. – Wcisnął Shanowi resztę trzymany w ręce broszurek. – Jestem ich opatem. Khodrak Rinpocze.

Shan uzmysłowił sobie, że gapi się na tego człowieka. Nigdy

jeszcze nie słyszał, żeby jakikolwiek mnich sam się nazwał czcigodnym nauczycielem.

–Oni potrzebują naszej opieki – ciągnął Khodrak. – Jesteście instruktorem? – Rząd wysyłał niekiedy pomiędzy koczowników chińskich instruktorów, którzy objeżdżali rozległe pastwiska. – Oni nie rozumieją, o co toczy się gra – mówił dalej, nie czekając na odpowiedź. – Urząd do spraw Wyznań jest kluczem do ich pomyślności. Mylna interpretacja wydarzeń może mieć złe skutki.

Shan nie rozumiał ani słowa z tego, co mówili ci ludzie. Chińczyk w białej koszuli zdradzał zdenerwowanie, niemal wściekłość; opat zdawał się wciągać Shana w jakąś polityczną dyskusję. Obaj zakładali, że mogą mu ufać. W ich świecie Chińczycy nie podróżowali z Tybetańczykami po bezdrożach płaskowyżu Czangtang z własnej woli, zakładali więc, że wypełnia jakieś obowiązki urzędowe.

–Tak daleko od głównych dróg nowiny rozchodzą się wolno – zauważył.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie zaintrygowanym, niepewnym wzrokiem.

–Dyrektor Tuan poniósł straszliwą stratę – odparł Khodrak, wskazując głową swego towarzysza. – Jego zastępca, Chao, został zamordowany w Amdo. Wszyscy musimy dołożyć starań, żeby zapobiec niewłaściwej reakcji.

–Zamordowano wicedyrektora Urzędu do spraw Wyznań? – wolno powiedział Shan, starając się opanować dreszcz. Purba nad rzeką mówił, że zabito urzędnika, nie wspomniał jednak, że chodzi o krzykacza. Była to wiadomość najgorsza z możliwych, wróżąca wprowadzenie stanu wyjątkowego w całym okręgu, gdyż Urząd do spraw Wyznań był ukochanym dzieckiem Pekinu, jego najważniejszym narzędziem politycznym w Tybecie.

Khodrak z powagą skinął głową.

–Zabito go w stajni w pobliżu jego biura. Wicedyrektor Chao jest męczennikiem naszej szlachetnej sprawy. Musicie być czujni. Będą się dziać ważne rzeczy.

Zamordowano wysokiej rangi krzykacza, a w odpowiedzi na to jego przełożony i opat wyruszyli szerzyć propagandę wśród pasterzy. Shan próbował poruszyć wyschniętym na wiór językiem. Uniósł broszurki, które dał mu Khodrak.

–Zrobię, co będę mógł – odparł i oddalił się.

Gdy pozostali wsiedli do mikrobusu, krępy mnich kręcił się jeszcze przez chwilę z tyłu pojazdu, wycierając kępką trawy ubłocone ręce. Shan zaproponował mu szmatkę, którą nosił w tylnej kieszeni jako chustkę do nosa. Mnich odmówił i podziękowawszy skinieniem głowy, nachylił się ku niemu.

–Uważaj na to, co mówią – szepnął konspiracyjnym tonem. – Tak naprawdę opat szuka człowieka z rybą.

Shan spojrzał na niego z zakłopotaniem.

–Masz na myśli zabójcę? Znad jeziora? Rybaka? – To nie miało sensu. Tybetańczycy z tych stron niemal nigdy nie jedli ryb, nigdy nie ośmieliliby się łowić ryb ze świętego jeziora.

–Ostrzeż dropków, ostrzeż moich rodaków – rzucił nagląco mnich i spiesznie dołączył do pozostałych. Nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi, kiedy dyrektor Tuan dodał gazu i mikrobus z rykiem odjechał nadbrzeżną drogą.

Shan patrzył za oddalającym się pojazdem. Czy mnich sugerował, że jakiś człowiek z rybą miał związek z zabójstwem?

Ale Urząd do spraw Wyznań nie zajmował się tropieniem morderstw. To była sprawa Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. A pałkarze ścigali starego lamę. Czyżby sądzili, że lama jest mordercą?

Na szczycie wzgórza dał jedną z broszurek Lokeshowi. W

środku znajdowało się zdjęcie przewodniczącego Komunistycznej Partii Chin, niezdarnie nałożone na sylwetkę pałacu Potala w Lhasie, pod spodem zaś kilka akapitów drobnym drukiem. Dremu wyrwał starcowi broszurę z rąk i, nie otwierając jej, wsadził ją do kieszeni.

–Na podpałkę. Papiery krzykaczy zawsze świetnie się palą.

Shan po kryjomu przejrzał jedną z broszur, zanim złożył ją i schował do kieszeni. Tekst był polemiką na temat ujemnych skutków ekonomicznych poświęcania pieniędzy na odbudowę obiektów religijnych, uzupełnioną przez maleńkie wykresy.

Jeszcze raz zerknął na słowa u góry stronicy: *Pogodny Dobrobyt*. Poniżej widniał pełny oficjalny tytuł kampanii: *Dobrobyt ekonomiczny podstawą religijnej pogody*.

Funkcjonariusze polityczni od dawna uskarżali się, że Tybetańczycy podkopują gospodarkę, przeznaczając nieproporcjonalnie wielką część swych skąpych dochodów na odbudowę gomp. Tam, gdzie datki ograniczono najwyżej do dwóch procent dochodów, jak starano się wykazać na jednym z wykresów, dobrobyt nie kazał długo na siebie czekać.

Shan jeszcze raz spojrzął w kierunku, w którym odjechał mikrobus. Czy doszłście do zrozumienia? zapytał go dziwny mnich w ozdobionej złotymi frędzlami szacie. Shan nie rozumiał niczego. Krępy mnich zdawał się go ostrzegać, sugerując, że Tuan i Khodrak stosowali podstęp, że w rzeczywistości szukali człowieka z rybą. W ciągu wszystkich spędzonych w Tybecie lat Shan nie widział ani jednej ryby.

Wczesnym popołudniem pięcioro jeźdźców wspięło się na wzgórek, skąd roztaczał się widok na długą pofałdowaną równinę, lśniącą białą od soli, którą pokrywała skorupa jej powierzchni. Na środku równiny rozbito cztery białe i trzy czarne jurty, wokół których panował spory ruch. Dremu kazał im czekać,

sam zaś ruszył w stronę obozu. Przyglądali się, jak z jednego z białych namiotów wynurza się mężczyzna w okrągłej czapeczce, wykrzykuje coś do Goloka, po czym schyla się po kamienie i ciska nimi w przybysza. Dremu zawrócił konia i odjechał kłusem.

–Jesteśmy na miejscu – oznajmił zadowolony i skinął na Shana, żeby ruszył przodem ku jurtom.

Był to obóz solarzy, wyjaśnił z podnieceniem Lokesh, gdy zsiadali z koni wśród gromadki dzieci, które rzuciwszy się między wierzchowce, głaskały je po chrapach i pomagały Tenzinowi luzować popręgi. Shan odwiązał swoje juki i przekazał konia rozpromienionej dziewczynce o policzkach wysmarowanych czerwoną maścią doją, stosowaną przez dropków dla ochrony przed wysokogórkim słońcem. Gdy niepewnie podchodził do namiotów, w jego nozdrza uderzył słodkavo-ostry zapach, woń ubijanego jaczego masła.

Kilkoro mężczyzn i kobiet pracowało na połaci soli, rozbijając krótkimi drewnianymi tłuczkami chropowatą skorupę na nierówne kawałki, zgarniane następnie prymitywnymi grabiami na sterty. Inni pakowali sól do barwnych, tkanych woreczków, związywanych po dwa mocnym sznurkiem. Juki, pomyślał Shan, widząc, jak jedna z kobiet je zaszywa. Były jednak zbyt małe dla koni.

Mężczyzna w okrągłej czapeczce, ten sam, który wcześniej krzyczał na Dremu, stał przy klapie białego namiotu pośrodku obozu, z brązowo-białym mastiffem u boku. Gestem zapraszał ich do ogniska, tłącego się w kamiennym kręgu u jego stóp. Shan i Lokesh minęli surowego siwowłosego mężczyznę w wyświechtanej chubie, który z grubym kijem na kolanach przysiadł u wejścia do jednej z jurtt. Obok przywiązanego do palika jaka siedziała kobieta w fartuchu o żywych tęczowych

barwach. Poruszała rączką sterczącą z długiego drewnianego cylindra, dongmy, używanego do mieszania herbaty, masła i soli na tradycyjny tybetański napój. Jej włosy zaplecione były w dziesiątki zakończonych paciorkami warkoczyków, jak od setek lat czesały się pobożne kobiety – sto osiem warkoczy, po jednym na każdy paciorek buddyjskiego różańca. Powitała ich niedbałym, obojętnym skinieniem głowy. Shan, rozejrzawszy się po tej maleńkiej wiosce,

uświadomił sobie, że jest ona w istocie skupiskiem obozów połączonych przez sól.

Mężczyzna stojący przy białym namiocie z uwagą przyglądał się przybyszom zbliżającym się jedno za drugim do ogniska; jego brązowe oczy lśniły wyczekująco. Uniósł czapkę, odsłaniając szopę czarnych, przetykanych siwizną włosów. Na szyi, ponad naszyjnikiem z drobnych turkusów, na którym wisiało wielkie srebrne gau, widać było wyraźne znamię w kształcie pochylonej odwróconej litery U. Nagle jego twarz rozpromieniła się uśmiechem.

–Nyma! – wykrzyknął, gdy mniszka zsiadła z konia i podbiegła ku niemu. – Chwała Buddzie, więc to prawda! – Objęli się mocno. Wreszcie Nyma uwolniła się z uścisku i wskazała Shana. Mężczyzna wyprostował się, poważniejąc raptownie, i przyjrzał mu się z uwagą.

Shan zdjął kapelusz i odwzajemnił jego nieruchome spojrzenie.

–Więc to ty jesteś tym prawym Chińczykiem – zauważył sceptycznie mężczyzna. Niespodziewanie uniósł dłoń i ująwszy podbródek Shana między stwardniały kciuk i palec wskazujący, obrócił jego głowę z lewa na prawo, jakby go do czegoś przymierzał.

–Po prostu Chińczykiem, którego poproszono o pomoc –

odparł obojętnie Shan. Przywykł już do tego, że nie znający go Tybetańczycy witają go szyderstwami.

Mężczyzna zmarszczył brwi, udając rozczarowanie.

–Spodziewałem się kogoś wyższego.

Shan mimo woli rozciągnął usta w uśmiechu.

–Kiedyś trzymał się bardziej prosto – wtrącił się Lokesh, przyjmując ten sam oschły ton, jakiego używał nieznajomy – dopóki nie zmusili go do budowania dróg w lao gai.

Na uwagę Lokesha mężczyzna poważnie skinął głową, po czym złożywszy dłonie wokół ust, zawołał w stronę jednej z pracujących przy solnisku grup, żeby oznajmić przybycie gości.

–Nazywam się Lhandro – powiedział, uśmiechając się, i wskazał gromadkę ludzi zbliżającą się do białego namiotu. – Mieszkańcy doliny Yapchi witają was.

–Yapchi? – zapytał z zaskoczeniem Shan, mimo woli zerkając na juki, w których spoczywało kamienne cheniy. – Ależ to

przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów na północ stąd!

Lhandro nie odpowiedział, uśmiechał się tylko, pozostawiając Nymie prezentację gości. Tymczasem z namiotu wychynął jeszcze jeden człowiek, niosąc dongmę świeżej herbaty. Gdy Tybetańczycy wymieniali powitania, Shan przyglądał się namiotom. Wszystkie były jurtami, wykonanymi w tradycyjnym stylu, ale jedynie te z grubego czarnego wołoku należały do dropków, przez cały rok koczujących na równinach. Białe, płócienne namioty służyły tym, którzy prowadzili osiadły tryb życia i tylko od czasu do czasu obozowali w górach lub na wysokich równinach. Lhandro i jego towarzysze nie byli pasterzami. To byli rongpowie, uświadomił sobie Shan, rolnicy uprawiający ziemię w dolinie Yapchi.

Gdy czarki z pienistą herbatą zostały rozdane, Lhandro

wskazał pokrytą białą skorupą równinę.

–Ludzie z Yapchi przychodzili tu od stuleci. Urzędnicy dali nam małe pudełka chińskiej soli, z pandami na wieczku, i oświadczyli, że kto tu przychodzi, jest niewolnikiem feudalizmu. – Wzruszył ramionami. – Ale od chińskiej soli się słabnie. Powiedzieliśmy, że bardziej smakuje nam sól z Lamtso.

Usiadł w kucki wraz z Nymą i zaczął szeptać do niej konspiracyjnym tonem. Nie były to dobre wieści, zauważył Shan.

Nyma wpatrywała się w wieśniaka z przerażeniem, wypowiedziała coś, co sprawiało wrażenie modlitwy, i zwiesiwszy głowę, ukryła ją w dłoniach. Po chwili najwyraźniej coś sobie przypomniała i teraz to ona z kolei odezwała się ponurym tonem do Lhandra. Twarz rongpy obwisała. Zerknął niespokojnie na Shana. Opowiedziała mu, domyślił się Shan, o śmierci Draktego i o dziwnym ostrzeżeniu, jakie purba rzucił im w ostatnich chwilach życia. Wreszcie, gdy Nyma zaczęła rozmawiać z innymi ze swej wioski, Lhandro, z zachmurzoną twarzą, odszedł i usiadł przy ogniu. Mniszka mówiła teraz na tyle głośno, że Shana dobiegały strzępki zdań. Opowiadała o ich spotkaniu z białym mikrobusem. Jeden z mężczyzn zerwał się i odbiegł, prawdopodobnie po to, by zanieść wiadomość do innych namiotów. Mogli pojawić się krzykacze. Kilkoro łamaczy soli przerwało pracę i pognało do

swoich jurt. Na ołtarzach dropków znajdowały się czasem rzeczy, których krzykacze nie aprobowali. Jedna z kobiet podbiegła do mężczyzny siedzącego z kijem na kolanach, a on zniknął w namiocie, lecz po chwili znów się pojawił i stanął przed nim z kijem u boku niczym wartownik.

Nastoletnia dziewczyna o włosach zaplecionych w dwa warkocze i oczach błyszczących niemal tak jasno jak jej

wysmarowane doją policzki, zbliżyła się do kamiennego kręgu, niosąc mały worek zaciągany sznurkiem. Wyraźnie utykała, a jej lewa noga zdawała się wykręcać pod kolanem. Uśmiechnęła się szeroko do Nymy, która odpowiedziała równie promiennym uśmiechem, po czym obie bez słowa serdecznie się uściskały. Gdy wreszcie odsunęły się od siebie, dziewczyna rzuciła worek na ziemię obok ogniska i otworzyła go. Tenzin zbliżył się i szturchnął zawartość, z aprobatą kiwając głową. Było to łajno na opał. Niemy Tybetańczyk z miną znawcy sięgnął po kawałek, jakby chciał się upewnić, że jest to łajno jaka, najlepsze z tradycyjnych materiałów opałowych dostępnych na wysokim płaskowyżu. W odróżnieniu od łajna owiec lub kóz nie wymagało nieustannej pracy miechów dla podtrzymania płomienia. Tenzin opróżnił worek dziewczyny, sięgnął po własny skórzany wór na opał, zdjął go z siodła jak coś bardzo cennego i odszedł w stronę pastwisk. Shan przyglądał się tajemniczemu mężczyźnie. Można było odnieść wrażenie, że zbieranie łajna stało się życiowym powołaniem uciekiniera, że ów Tybetańczyk o arystokratycznym sposobie bycia postanowił, że jego rolą w społeczeństwie będzie podsycanie ognisk innych ludzi.

Shan spostrzegł, że dziewczyna z dwoma warkoczami także obserwuje Tenzina. Wreszcie jednak odwróciła się i rzuciwszy Shanowi nieśmiałe, ukradkowe spojrzenie, odeszła, kuśtykając, ku mężczyźnie w wyleniałej lisiej czapie, który pięćdziesiąt metrów od obozu kopał łopatą ziemię. Wokół niego usypanych było kilka kopczyków.

–Sądziłem, że sól zbiera się z powierzchni – odezwał się zdziwiony Shan.

Gdy tylko dziewczyna zbliżyła się do kopiającego, mężczyzna podał jej coś, a ona z podnieceniem okręciła się na pięcie i nierównym,

kołyszącym się krokiem pobiegła do namiotu, przed którym trzymał straż stary pasterz.

Lhandro spojrzał tam gdzie on, po czym wskazał ręką w przeciwną stronę. Shan odwrócił się i ujrzał starą kobietę siedzącą na wzgórzu nad obozem.

–Tonde – powiedział rongpa. Słowo to oznaczało święte znaleziska, jakie Tybetańczycy wydobywali niekiedy z ziemi. Mogły to być groty strzał, skorupy garnków lub rzeźby w kształcie rytualnych przedmiotów. Kędyś w obozie lao gai jeden ze współwięźniów Shana znalazł skorodowaną brązową sprzączkę, która, jak oświadczył, należała do Guru Rinpocze, i umieścił ją na specjalnie dla niej zbudowanym ołtarzyku z kartonu.

–Od tysiąca lat święci ludzie pielgrzymowali do tego miejsca. Ta staruszka znalazła wyrzeźbiony w turkusie kwiat lotosu, który, jak twierdzi, ma wielką moc. Wczoraj powiedziała, że nadleciał chiński samolot, a ona przepłoszyła go swoim tonde – oświadczył z powagą, zaraz jednak wzruszył ramionami. – Ale ona jest niemal ślepa od katarakty.

Nasza Anya – dodał po chwili, wskazując głową kulawą dziewczynę – widziała ją, jak wymachuje pięścią ku niebu, i mówi, że to była po prostu gęś, która odłączyła się od stada. Teraz babcia odgraża się, że jeśli zbliżą się tutaj żołnierze, ona ześle na nich następną burzę gradową.

Shan i Lokesh spojrzeli po sobie. Patrol wojskowy, który widzieli po drodze, znajdował się wiele kilometrów od obozu. Mieszkańcy płaskowyżu Czangtang zdawali się mieć jakieś tajemne sposoby rozpowszechniania wiadomości.

–Nie lekceważcie tonde – odezwał się nagle ktoś za ich plecami. Odwróciwszy się, ujrzeli kobietę w tęczowym fartuchu, która przechodziła obok namiotu, przy którym stali, dźwigając skórzane wiadro. – Możliwe, że niektóre są tylko ładnymi

kamykami. Ale inne... – Przyjrzała się uważnie Shanowi i podeszła bliżej. – Powiadają, że mnich, który zniszczył tę chińską górę, miał w rękach właśnie tonde.

–Mnich zniszczył górę? – zdziwił się Shan.

–Daleko na południu, przy granicy z Bhutanem – odparła kobieta, kiwając głową. – To była jedna z wojskowych gór. Ich niewolnicy wydrążyli ją, a potem przyjechali żołnierze ze swymi maszynami. – Miała na myśli jeden z potężnych obiektów wojskowych, przy których często pracowali więźniowie lao gai, którym kazano wykuwać rozległe sieci tuneli w głębi gór, w większości wzdłuż południowej granicy kraju. Niektóre z nich służyły za koszary całym dywizjom, w innych urządzano składy sprzętu, w jeszcze innych wyrafinowane stanowiska nasłuchu i dowodzenia.

–Nafaszerowali tę górę komputerami i nadajnikami, i całym tłumem oficerów. Ale nie wiedzieli, że jednym z więźniów jest stary mnich, który ma tonde należące niegdyś do bóstwa tej góry. Dzięki temu mógł rozmawiać z tym bóstwem i wyjaśnił mu, co się stało. Kiedy bóstwo wreszcie zrozumiało, góra ruszyła do walki – oświadczyła triumfalnie.

Shan spojrzał na nią wyczekująco, ale nie powiedziała nic więcej.

–Było jakieś tąpnięcie – wyjaśnił Lhandro, spoglądając z zażenowaniem na kobietę. – Gazety milczały na ten temat, ale ludzie gadają o tym wszędzie. Zawaliły się tunele, maszyny zostały zniszczone. Zawał odciął część żołnierzy, którzy zginęli, wielu tybetańskich robotników też. Wojsko zostało postawione w stan pogotowia, zgarniało miejscowych na przesłuchania. Ale potem przyjechali specjaliści z Pekinu i stwierdzili, że rozwiercono po prostu niewłaściwą górę. Himalaje są niestabilne, powiedzieli, i coś się przemieściło.

–Niewłaściwa góra – powtórzyła kobieta, znacząco kiwając głową.

Lokesh chrząknął.

–Czego się spodziewają, skoro mają oddziały strzelające do gór?

Shan spojrzał na przyjaciela. Lokesh dziwnie opacznie zrozumiał, czym była brygada strzelców górskich. Shan otworzył usta, żeby wyjaśnić sprawę, nagle jednak uświadomił sobie, że może Lokesh nie jest daleki od prawdy. Niektórzy twierdzili, że w ostatecznym rozrachunku poczynania Pekinu w Tybecie wymierzone są w naturę, gdyż Chińczycy drażyli góry, ogałacali zalesione stoki i rozorywali doliny kopalniami odkrywkowymi.

Shan zapytał Lhandra oraz kobietę w tęczowym fartuchu o działania bezpieki lub wojska na terenach między Lamtso i Lhasą. Wzruszyli ramionami.

–Tylko to, co zwykle – odparł Lhandro. – Kampania Pogodnego Dobrobytu. Krzykacze kręcą się po całym okręgu, liczniejsi niż kiedykolwiek. – Wzruszył ramionami. – To po prostu nowa nazwa starego zjawiska, jak zawsze, inne słowa na to samo. – Chciał przez to powiedzieć, że chodzi po prostu o kolejną kampanię polityczną mającą ograniczyć wpływy buddyźmu.

Kobieta jednak zanosila czasem wełnę do Amdo, najbliższego miasta, i czytała tam gazety. Znany opat uciekał na południe do Indii, ścigany przez połączone siły bezpieki i krzykaczy. Trwała obława na dwóch terrorystów, z których jeden był niedawno przybyłym z zagranicy propagatorem kultu Dalai, drugi zaś słynnym przywódcą ruchu oporu, zwanym Tygrysem, dowódcą purbów, którego widziano w tym rejonie. Żołnierze informowali ludzi, że udzielanie mu pomocy będzie karane więzieniem, oświadczyła, po czym natychmiast odmówiła krótką

modlitwę za tego człowieka. Bohaterowie wojskowi i przodownicy pracy zjeżdżali się do Lhasy na największy od wielu lat pochód pierwszomajowy. Shan przysłuchiwał się uważnie kobiecie, która sypała nowinami i plotkami jak z rękawa. Jednak ani słowem nie wspomniała o kradzieży kamiennego oka ani o zabójcach purbów.

– Czy były jakieś wieści o zamordowanym pracowniku Urzędu do spraw Wyznań? – zapytał wreszcie.

Pytanie to uciszyło wszystkich, którzy je usłyszeli. Zatrwożone twarze zwróciły się ku niemu. – Nazywał się Chao, był z Amdo.

Nyma wynurzyła się z namiotu Lhandra.

– Ja wiem coś o Chao – odparła z niepokojem na twarzy. – Ci krzykacze z Amdo docierają czasem do Yapchi. Tylko on, chodząc po domach, nigdy nie rewidował prywatnych ołtarzyków, nigdy nie kazał ludziom pokazywać, co noszą w swoich

gau. Był Tybetańczykiem, chociaż przyjął chińskie nazwisko.

–

Chińczycy zachęcali do tego tybetańskich studentów.

– Tamten mnich powiedział ci o morderstwie? – zapytał Shan. Przypomniawszy sobie, że od spotkania z pasażerami mikrobusu Nyma stała się niezwykle milcząca. Nie ożywiła się nawet, gdy Lokesh wpadał w zachwyt na widok następnego stad gęsi.

– Bardzo skrótowo – odparła mniszka, nie odrywając oczu od ziemi. – Było bardzo brutalne, bardzo krwawe. Chao został pchnięty nożem w plecy. To się stało przedwczoraj w nocy, na skraju miasta, w warsztacie, który kiedyś służył jako stajnia. Shan spojrział na nią badawczo.

– Czy to ważne?

– Drake został zaatakowany, jak przypuszczam, właśnie

przedwczoraj w nocy – wyjaśnił. – Rana, od której zginął, została zadana wiele godzin wcześniej, nim go zobaczyliśmy, może nawet poprzedniej nocy.

Oczy Nymy wezbrały łzami. Odwróciła się na chwilę, spojrzała na jezioro.

– Nie wiesz tego na pewno – powiedziała.

– Nie – przyznał Shan. Ale był niemal pewien. W swym pekińskim wcieleniu widział wiele ran kłutych.

– Drake? Drake! – usłyszał za plecami zduszony kobiecy okrzyk. Odwrócił się. Stała za nim kobieta w barwnym fartuchu, przyciskała dłonie do ust. – Nasz Drake! – jęknęła głośno i inni dropkowie stłoczyli się wokół niej, gdy cichym, żalobnym głosem przekazywała im smutną nowinę.

Shan cierpliwie odpowiadał na ich pytania na temat śmierci purby, po czym zadał własne.

– Był tu zaledwie tydzień temu – wyjaśniła kobieta – rozmawiał z nami, wypytywał nas, bawił się z dziećmi. Jednego popołudnia zebrał wszystkie dzieci i razem usypali nowy kopiec na wzgórzu.

– Wskazała wzrokiem oddalony o niecały kilometr wysoki trawiasty pagórek zwieńczony niewielkim stosem kamieni. Powoli usiadła na głazie przy ognisku.

– O co wypytywał? Co chciał wiedzieć? – drążył Shan, kucając obok kobiety.

– Pytał, ile mamy owiec i kóz – odparła sztywno. – Kto ma jaki i kto ma kozy. Gdzie są najbliższe pola jęczmienia. Jak wiele paszy ścinamy na zimę.

Jęczmień. Shan spojrział na nią, potem na Lhandra i Nymę. Opat i dyrektor Urzędu do spraw Wyznań liczyli pola jęczmienia. Liczyli je na pastwiskach płaskowyżu Czangtang, gdzie nikt nie uprawiał zbóż. Pobiegnął do swego koca i rozwinął go, szukając sakiewki, którą mimo burzy gradowej przywiozła mu kobieta od

dropków. Wspólnie przekartkowali księgę Draktego, aż pod koniec natrafili na stronę zatytułowaną *Lamtso Gar* – obóz Lamtso – z datą z ubiegłego tygodnia. Była tam rubryka na jęczmień, z zapisem *brak*, oraz inne, na owce, jaki i kozy.

– Ten obóz jest naszym domem przez większą część roku – wyjaśniła kobieta. – Wszyscy inni zjawiają się tu tylko po sól. – Z wyraźną dumą przeciągnęła palcem po rubrykach. Jeden jak, osiemnaście owiec, pięć kóz, wpisał Drake. I dwa psy.

Jeśli nie miało sensu, żeby opat i wysokiej rangi krzykacz zbierali takie dane, jeszcze mniej sensu miało, żeby robił to Drake. Ale on nie tylko gromadził dane, on również je poświadczał. U dołu strony widniały podpisy, pod nimi zaś notatka, która, jak podejrzewał Shan, została dodana później. W ubiegłym roku, zapisał Drake, dwuletnia dziewczynka umarła tu z głodu.

Shan przewertował następne stronicie. Wskazał pytająco tabele, pod którymi zamiast podpisów widniały jedynie krzyżyki lub kółka.

– Nawet ci, którzy nie umieją pisać, musieli złożyć podpis – wyjaśniła kobieta. – Twierdził, że musi mieć dane od każdej rodziny, każdego gospodarstwa. Mówił straszne rzeczy, dopóki nie postawili znaczka – wyszeptała zmieszana.

– Straszne rzeczy?

Kobieta zwiesiła głowę, chyba zawstydzona.

– Był zmęczony i zdenerwowany. To był dobry chłopak.

– Jakie rzeczy? – powtórzył pytanie Shan.

Kobieta utkwiała wzrok w ziemi i szeptała tak cicho, że Shan musiał się nachylić, by ją usłyszeć.

– Mówił: podpiszcie albo wasze dzieci będą was przeklinać, gdy dorosną. – Zadrżała i skrzyżowała ramiona na piersi.

Shan wpatrywał się w nią. Pochwili przeniósł wzrok na rejestr.

Nagle po obozie poniosło się głośnie przekleństwo. Dremu kłął starszawą kobietę, która ciskała w niego kamykami, zachęcając dzieciarnię, żeby poszła w jej ślady. Pogroził jej pięścią, potem

jednak odwrócił się i szybko odszedł ku ognisku. Gdy dotarł do kamiennego kręgu, przystanął, zerknął na Lhandra i schował się za plecami Shana. Lhandro, rongpa o łagodnym głosie, także obrzucał go kamieniami.

–Ten Golok nie jest tu mile widziany – oświadczył sztywno.

–Skoro przyjmujecie mnie... – odezwał się Shan, zaskoczony, nie musiał jednak zadawać oczywistego pytania: dlaczego Lhandro zgodził się gościć Chińczyka, ale przeganiał innego Tybetańczyka?

–Nie mówię o wszystkich Golokach – wyjaśnił Lhandro ciężkim głosem. – Ale klan tego człowieka trudnił się rozbojem. Dawnymi czasy ich banda najeżdżała wiele obozów i wiosek stąd aż do gór w Amdo, skąd pochodzą Golokowie. Napadali na niewinnych ludzi, zabierali im stada i plony.

–Ci bandyci już dawno nie żyją – burknął Dremu. – Bezpieka wyłapała ich i postawiła pod ścianą.

–Czy ten człowiek wciąż jest bandytą? – zapytał Lhandro Shana.

Dremu prychnął pogardliwym śmiechem, jakby chciał powiedzieć: gdybyż tak dobrze mi się wiodło.

–Nie potrzebujesz go – oświadczył Lhandro, gdy Shan nie odpowiedział. – Idziesz do Yapchi z nami.

–Ale purbowie go najęli – wtrąciła się Nyma. – Myślę, że chcieli mieć kogoś, kto zna góry, zna kryjówki, wie, gdzie zagląдают patrole. My nie mamy doświadczenia z pałkarzami.

Drakte to zorganizował – szepnęła z powagą, jakby to przesądzało sprawę.

–Nic nie rozumiem – stwierdził Shan. – Kto jeszcze wybiera się do doliny Yapchi? – Sądził, że ich wyprawa ma być utrzymywana w tajemnicy.

–Czekaliśmy na was – odparł Lhandro, szerokim gestem wskazując biały namiot, pod którym ludzie zaczęli właśnie zaszywać stertę wypełnionych solą worków. – Ci, którzy przyszedli ze mną do obozu solarzy. Pięć osób z Yapchi i czterdzieści owiec. Wyruszamy o świcie. – Jakby chciał rozwiać wątpliwości Shana, rongpa wyciągnął z kieszeni wyświechtaną mapę i rozłożywszy ją, pokazał mu jezioro, wielki błękitny owal na skraju płaskowyżu. Potem przeciągnął po niej palcem, wskazując, którądy

będą szli: wzdłuż brzegu na wschód, a następnie skręcając na północ i przez góry dotrą do Amdo, tybetańskiej krainy nazwanej przez Pekin prowincją Qinghai. Shan przyjrzał się uważnie mapie. Była zdumiewająco szczegółowa. Widniał na niej nawet szeroki na osiemdziesiąt kilometrów pas czerwonej szrafury wzdłuż przeciwległego brzegu Lamtso. Górny skraj mapy opatrzone wielkim napisem. *Nei lou*, tajemnica państwowa. Shau uniósł wzrok na Lhandra, który z wyzwaniem w oczach odwzajemnił jego spojrzenie, a następnie wskazał zakreskowany na czerwono obszar. Napis powyżej głosił: *Strefa zagrożenia toksycznego*.

–Baza wojskowa?

–Nie – westchnął Lhandro. – Gorzej. W tym regionie są tereny, na których testowano specjalną broń. Środki, które wywołują choroby, zatruwające wszystko chemikalia. Niektórzy mówią, że wypróbowywano je na stadach dzikich zwierząt. Inni twierdzą, że na gromadach koczowników, którzy nie poddali się

rejestracji. Ale nikt, nawet wojsko, nie zapuszcza się na zakreskowane tereny. Czasem ludzie znajdują różne rzeczy, jakieś porzucone pociski i zbiorniki albo stado owiec, które padło bez wyraźnego powodu, i wojsko wytycza nową strefę. Stawia tablice ostrzegawcze, czasami też ogrodzenia.

Shan spojrział na Nymę, potem znów na krzepkiego wieśniaka.

–Zaplanowaliście to z purbami? Karawanę z solą?

Lhandro uśmiechnął się.

–Moja wioska co wiosny wysyłała karawanę do Lamtso.

Purbowie dowiedzieli się o tym – wyjaśnił, zerkając na Nymę.

– Stwierdzili, że to będzie najlepszy kamuflaż dla ciebie i dla kamienia. – Odszedł do zaszywających worki z solą.

Nyma poszła między namioty. Rozmawiała z ludźmi cichym, uroczystym tonem, prostując rozwieszane na linkach od namiotów flagi modlitewne. Usiadła obok staruszki z kataraktą i zaczęła z nią odmawiać różaniec. Dremu nieufnie obserwował kręcących się po obozowisku ludzi, którzy albo udawali, że go nie widzą, albo piorunowali go wzrokiem. Wreszcie zaklął i poszedł do swego konia. Shan przypuszczał, że Golok zamierza oporządzić zwierzę, on jednak niespodziewanie skoczył na siodło,

wyjechał z obozu i zniknął wśród wzgórz. Otrzymał już zapłatę. Shan wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

Shan i Lokesh zaczęli przechadzać się po obozie. Shan wypatrywał jakiegokolwiek śladu człowieka z rybą lub czegokolwiek, co mogłoby wyjaśnić zagadkowe ostrzeżenie mnicha. Na chwilę zatrzymali się przy ognisku, gdzie jedna z kobiet piekła słodkie ciasto dla dzieci dropków, wreszcie Lokesh postanowił przyłączyć się do poszukiwań tonde. Stary Tybetańczyk z upodobaniem wypatrywał tych drobnych skarbów

i, jak wielu starszych dropków, których spotykali, starał się zawsze mieć ich przy sobie dziewięć, liczbę uważaną za szczególnie szczęśliwą.

Shan patrzył przez chwilę za Lokeshem, wspinającym się na stok, gdzie kopał mężczyzna w lisiej czapie, po czym wymknął się poza krąg jurt, zamierzając podejść od tyłu do namiotu, przy którym trzymał straż starzec z kijem.

Ale na skraju wody stał Tenzin, wpatrzony żałośnie w przeciwny brzeg. Różaniec, który dostał od Nymy, zwisał mu z bezwładnych dłoni. Shan zawahał się, ale podszedł do niego i usiadł obok na kamieniu. Zdawało mu się, że na twarzy niemego Tybetańczyka dostrzega znów ten sam ból, z jakim wcześniej patrzył na zwłoki Draktego.

– Kiedy siedziałem w obozie – odezwał się Shan po długim milczeniu – w moim baraku był człowiek, którego zamknięto za pobicie oficera bezpieczeństwa. Duszę miał tak udręczoną, że ledwie mógł mówić i wszyscy obawiali się, że odbierze sobie życie. W końcu lamom udało się go nakłonić, żeby opowiedział, co go dręczy. Wyznał wtedy, że zabił Chińczyka, którego przyłapał na kradzieży owiec. Ów Chińczyk pobił do nieprzytomności jego żonę i mierzył do niego z pistoletu. Nikt, nawet jego żona, nie wiedział, że walczyli i że Chińczyk zginął. Ukrył zwłoki i dopiero później uderzył pałkarza, który nie chciał zabrać do samochodu jego rannej żony.

Tenzin spuścił oczy i wbił wzrok w ziemię u stóp Shana.

– Jeden z lamów dał temu człowiekowi kamień i kazał mu skupić się na nim. – Shan wziął do ręki spory kamyk. – Powiedział mu, żeby przeniósł na niego swą winę. Potem kazał mu wrzucić kamień do rzeki. Odtąd ten człowiek był już uleczony.

Tenzin zerknął na kamyk, krótko spojrzawszy Shanowi w oczy, po czym odszedł na parę kroków i podniósł z ziemi ciężki głaz o

niemal trzydziestocentymetrowej średnicy. Przystanął, patrząc znacząco na Shana, cisnął głaz do wody i znów odwrócił się ku niemu, przygważdżając go wzrokiem.

Shan przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie, w końcu jednak, wstrząśnięty, odwrócił wzrok. Co to było? Jaki czyn mógł wyzwolić taką gorycz? Coś nie dawało mu spokoju. Kobieta od dropków wspomniała, że Tenzin opuścił pustelnię nocą w przeddzień śmierci Draktego. Tej nocy, kiedy zamordowano Chao. Spojrzał na kręgi rozchodzące się po wodzie wokół miejsca, gdzie spadł ciężki głaz. Mały kamyczek wystarczył, by przejąć ciężar jednego zabójstwa.

Zostawił Tenzina i podszedł do jurty. Gdy zbliżył się do wejścia, starzec zerknął na niego spod przymrużonych powiek i ostrzegawczo uniósł kij.

–Dziewczyna przyniosła ci tonde – zagadnął niepewnie Shan.

–Nie mnie. Odejdź. To namiot mojej rodziny. Ludzie śpią.

–Pilnujesz ich, kiedy śpią? – Kątem oka Shan dostrzegł kilka zbliżających się spieszenie postaci.

–Zrobiłam herbatę! – krzyknęła z trzydziestu metrów kobieta w barwnym fartuchu, machając na niego, żeby podszedł do ogniska. Ale Shan szybkim ruchem odsunął kij i wszedł do namiotu.

Stara bezzębna kobieta, jedyna osoba w jurcie, jęknęła na jego widok.

–Nie! – krzyknęła i wstała, trzymając w opuszczonej dłoni młynek modlitewny. – Chińczyk!

Shan wyczuł za sobą ruch. Napiął mięśnie, spodziewając się, że zaraz zostanie stąd wywleczony, lecz nagle z cienia w głębi namiotu odezwała się cicho jakaś niewidoczna kobieta.

–On jest przyjacielem lamów – powiedziała i mężczyzna za Shanem przystanął, opuszczając wzniesiony do ciosu kij.

–Nyma? – zapytał Shan, podchodząc do dwóch rozwieszonych filcowych kocy, zza których dobiegł go jej głos. Między kocami ukazała się dłoń, która odsunęła jeden z nich, i Shan, pochyliwszy się, wszedł do mrocznego, ciasnego pomieszczenia.

Nyma siedziała w bladym świetle samotnej lampki maślanej, trzymając dłoń na pościeli trzydziestoparoletniej kobiety. Na twarzy leżącej perliły się krople potu. Oddychała z wysiłkiem. Zdawało się, że próbuje się uśmiechnąć poprzez maskę bólu.

–Lokesh uczył się u lamów uzdrowicieli – napomknął Shan.

–Ona spadła z półki skalnej, trzy dni temu, kiedy uciekała nocą przed patrolem. Myślę, że ma połamane żebra – odparła Nyma.

–W takim razie potrzebuje lekarza – stwierdził z naciskiem Shan. Obok pościeli zauważył oblepiony brudem dzwonek i kilka brudnych paciorków.

–Żadnego lekarza! – krzyknęła starowina, która stanęła przy nich, na powrót zasuważąc koce.

–Tydzień temu byli tu pasterze z okolic na wschód stąd i radzili nam, żebyśmy wystrzegali się nowych lekarzy, ukrywali chorych i nie rozmawiali z żadnym Chińczykiem o jakichkolwiek tybetańskich uzdrowicielach. – Nyma spojrzała na Shana, unosząc brwi, jakby poirytowana. – Nie wiem dlaczego. Nikt właściwie nie wie.

–Ale nie możecie ukrywać kogoś tak ciężko rannego – zaprotestował Shan. – A jeśli ma krwotok wewnętrzny? W szpitalu...

–Nie potrzebujemy tych doktorów. To nie są prawdziwi lekarze – oświadczyła staruszka. Pochyliła się i zacisnęła palce rannej kobiety na małym dzwonku.

Kobieta na pościeli uniosła wzrok, spoglądając na Shana z

bólem i zakłopotaniem w oczach. Shan westchnął.

–Lokesh zna lecznicze zioła – powiedział i mijając starą kobietę oraz czterech pasterzy o ponurych twarzach, opuścił namiot.

Znalazł przyjaciela przy kopczyku świeżej ziemi i opowiedział mu o rannej kobiecie. Lokesh wstał i poszedł do namiotu. Gdy w nim zniknął, Shan odwrócił się i spojrzał badawczo na wznoszące się niespełna kilometr dalej trawiaste wzgórze. Dziesięć minut później stał przy wysokim na półtora metra kamiennym kopcu, który Drake usypał razem z dziećmi. Okrążył kilkakrotnie stertę głazów, wreszcie usiadł, przyglądając się jej.

Drake

miał pilne sprawy, musiał dopinać na ostatni guzik transport kamiennego oka, a jednak poświęcił swój cenny czas, żeby wznieść kopiec dla miejscowych bóstw. I zamierzał powrócić do obozu solarzy w towarzystwie Shana i oka. Shan wstał i przyjrzał się uważnie szerokiemu płaskiemu kamieniowi, który wieńczył kopiec. Podniósł go i położył na ziemi. Wąskie szczeliny pomiędzy leżącymi niżej kamieniami były tak ciemne, że niemal przeoczył sterczący z jednej z nich kawałek brązowego sznurka. Pociągnął go i z cienia wychynął filcowy woreczek. Znajdowała się w nim mała, różaniec o paciorkach z kości słoniowej, misternie rzeźbionych na kształt zwierzęcych główek. Był to cenny zabytek, godny muzealnej gabloty. Dlaczego, zastanawiał się, chowając różaniec z powrotem do woreczka, Drake ukrył go w tym miejscu? Dlatego, że zbyt niebezpiecznie byłoby nosić go przy sobie w następnych dniach? Czy dlatego, że miał go stąd zabrać ktoś inny? Wsunął woreczek do kieszeni.

–To tak właśnie Chińczyk pomaga bóstwom? – usłyszał za sobą bezbarwny głos. Odwrócił się wolno. Dziesięć metrów dalej, na stoku po przeciwnej do obozu stronie wzgórza, siedział na

swym siwku Dremu. Na jego twarzy nie było śladu zaskoczenia, jedynie złośliwe rozbawienie. Podniósł nogę i oparł ją na karku wierzchowca.

Shan w milczeniu umieścił płaski kamień na dawnym miejscu.

–Chcę cię o coś zapytać. Gdzie poznałeś Draktego? Gdzie on cię wynajął? – zapytał Goloka.

–W mieście.

–W Lhasie?

Dremu przyjrzał mu się badawczo spod półprzymkniętych powiek.

–W Lhasie – potwierdził cicho. – Dowiedziałem się tam rzeczy, o których nawet purbowie nie mieli pojęcia.

–Jakich rzeczy?

–W tym kraju można stracić życie, gdy się rozgłasza zbyt wiele tajemnic.

–Albo gdy się jest zbyt skrytym – odpalił Shan. Czy Golok widział bezcenny różaniec? – Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego

Drakte wybrał ciebie do pomocy? Nie jesteś purbą. Nie jesteś mile widziany wśród ludzi z Yapchi.

Dremu wykrzywił usta, jakby słowa Shana sprawiły mu satysfakcję.

Shan przyglądał się Golokowi, który z zaciekawieniem odwzajemnił jego spojrzenie, przeciągając palcem po wąsach, z drugą dłonią na rękojeści noża. Nagle Shan podszedł do dużego głazu, uklęknął i dźwignął go z jednej strony. Skinął na Dremu i wskazał mu kopiec. Golok zmarszczył brwi, ale bez słowa zsiadł z konia i pomógł Shanowi zataszczyć głaz na szczyt kopca. Shan odmówił mantrę do Bodhisattwy Współczucia, a Golok zwiesił głowę z przygnębioną miną. Wrócił do swego konia i odjechał. Shan zmacał różaniec w kieszeni i nagle przypomniał

sobie, że Drake nie miał niczego, czym mógłby zapłacić Golokowi. Czyżby miała być przeznaczona dla Dremu?

Gdy Shan powrócił do obozowiska, Lokesh znów kopał w ziemi.

–Ona teraz śpi. Powiedziałem im, jakie zioła mogą jej dać na uśmierzenie bólu. Zajrzę do niej później – wyjaśnił stary Tybetańczyk.

–Czy powiedzieli, dlaczego nagle zaczęli unikać lekarzy?

Spojrzeni po sobie. Każdy Tybetańczyk znał opowieści o chińskich lekarzach poddających Tybetańczyków wbrew ich woli zabiegom chirurgicznym, zazwyczaj sterylizacji, krążyły nawet historie o Tybetańczykach umierających w zagadkowy sposób pod opieką medyczną Chińczyków. Ale strach tej kobiety miał bardziej konkretną przyczynę. Obcy ludzie przyjechali do obozu, żeby przestrzec przed lekarzami.

Lokesh pokręcił głową.

–Są przerażeni. Krzykacze w tym okręgu nie przebierają w środkach.

Przez kilka minut kopali w milczeniu, Lokesh łopata, Shan płaskim kamieniem.

–Słyszałem, jak rozmawiałeś z Lhandrem i tamtą kobietą o śmierci Drakego – odezwał się nagle Lokesh. – I o tym człowieku, Chao.

Shan spojrzał w oczy starca. Nie dostrzegł w nich pytania, jedynie rozczarowanie.

–Umiemy pracować w czasie burzy – powiedział cicho Lokesh. Było to ich hasło z czasów obozowych, kiedy lamowie nawoływali więźniów, żeby nie zważając na cierpienia i inne przeszkody, wytrwale służyli swym wewnętrznym bóstwom. Shan poczuł, że ma sucho w ustach.

–Obaj widzieliśmy, jak mnisi umierają za drutami tylko

dlatego, że postanowili służyć swym wewnętrznym bóstwom

–
odparł po chwili.

Całą odpowiedzią Lokesha było karcące zmarszczenie brwi.

–A jeśli ten, kto zabił Draktego, ściga nas? – zapytał Shan. –

Jak możemy mu umknąć, jak możemy bezpiecznie dotrzeć z kamiennym okiem do tej doliny, jeżeli nie rozumiemy tego zabójcy?

Lokesh pokręcił głową.

–Odwołując się do naszych bóstw. Tam, gdzie bóstwo wymaga naprawy, nie ma nic ważniejszego. Cała ta praca, którą wykonaliśmy w pustelni, była jak ślubowanie. Jestem związany. A jeśli ten kamień pragnie dla swego ozdrowienia części mojego własnego bóstwa, ofiaruję ją z ochotą.

Shan domyślił się, że słowa przyjaciela są wyzwaniem. Choć Lokesh zwykle wspierał jego poszukiwania prawdy we wszelkich ich formach, tym razem wszystko wyglądało inaczej. Nie było reguł rządzących uzdrawianiem bóstw, ale Lokesh zdawał sobie sprawę, że usiłowanie zrozumienia zabójcy byłoby prawdopodobnie przeciwieństwem próby zrozumienia bóstwa. Pochylił głowę, milcząco przyznając mu rację.

–Jestem związany – szepnął z powagą. – Umiem pracować w czasie burzy.

Kopali dalej, aż nagle Lokesh z triumfalnym okrzykiem podniósł mały szary kamyk.

–Znakomity – oświadczył z satysfakcją, podając go Shanowi.

Shan rozpoznał widoczny w kamieniu kształt. Istotnie było to rzadkie znalezisko.

–Skamieniałość – zauważył. – Trylobit, który żył przed milionami lat, kiedy te tereny pokrywało morze.

Lokesh westchnął z rezygnacją, jak gdyby Shan przeoczył

istotę rzeczy.

–To potężne tonde – powiedział – bo powstało dzięki połączonemu działaniu bóstw wody i ziemi.

Pół godziny później, gdy szli w stronę jeziora, stary Tybetańczyk zatrzymał się, przykładając dłoń do ucha.

–Pieśń – oświadczył – pieśń płynie z ziemi. – Lokesh niezachwianie wierzył, że nieożywiona materia może ożyć, jeśli zamieszka w niej bóstwo. Rozejrzał się dookoła, po czym wskazał na mały pagórek. Ruszyli w tamtą stronę, nasłuchując od czasu do czasu, dopóki nie zatrzymał ich okrzyk Lhandra.

–Zostawcie ją! – ostrzegł człowiek z Yapchi, podbiegając do nich. – Ona musi być teraz sama.

Widząc ich zdziwione miny, położył palec na ustach i poprowadził ich bliżej. Przystanął w miejscu, z którego mogli już dostrzec młodą kobietę siedzącą w płytkim zagłębieniu po drugiej stronie pagórka. Była to Anya, kulawa dziewczyna z dwoma warkoczami i wysmarowanymi na czerwono policzkami. Na jej kolanach spoczywało jagnię. Zwierzę oddychało z wysiłkiem. Język wystawał mu z pyszczka.

–Anya jest sierotą, jak ta owieczka – wyjaśnił Lhandro. – Matkę jagnięcia kilka dni temu zagryzły dzikie psy. Żadna z pozostałych owiec nie ma mleka. Anya próbowała karmić je kozim, ale nie chciało pić. Padnie przed zmrokiem. – Spojrzał na drugi brzeg jeziora. – Ona mówi czasem słowami bóstw.

Słuchali w milczeniu. Dziewczyna śpiewała jagnięciu wysokim głosem, który płynął niczym szept na wietrze. Shan nie mógł zrozumieć słów, ale były uderzająco piękne, miały w sobie coś niesamowitego, a jednak kojącego, tak naturalnego, iż zdawało mu się, że gdyby matka jagnięcia była tu i mogła wyrazić swój smutek, zaśpiewałaby tę pieśń.

Lokesh nastawił ucha i zamknął oczy. Inni, zauważył Shan,

także słuchali. Na porośniętym wiosenną trawą wierzchołku przeciwległego wzgórka siedział Tenzin, smętnie wpatrując się w dziewczynę. Obok niego, z równie żalospną miną, usiadł potężny mastiff. Shan patrzył przez chwilę na dziewczynę, potem przeniósł wzrok na niebo nad jej głową. Gdy ponownie spojrzął na Lokesha, po policzku spływała mu łza, a stary Tybetańczyk skinął głową, jakby chciał powiedzieć: tak, miałem rację, to głos śpiewającego bóstwa.

–Kiedy byłam mała, moja matka tak śpiewała – odezwała się Nyma z za pleców Shana. – Po prostu siadała na skalnym występie i śpiewała. – Mniszka wpatrywała się w dziewczynę. – Kiedy usłyszałam ją po raz pierwszy, sądziłam, że płacze. Ale ona wyjaśniła mi, że próbuje przywołać z powrotem bóstwo Yapchi, powiedzieć mu, że nie zostanie ślepe na zawsze. Kiedy umierała, powiedziała mi, że modli się do bóstwa, żeby jej wybaczyło, bo okłamała je, a ono będzie musiało przywyknąć do swej ślepoty.

–Ale teraz wszystko się zmieni – oświadczył Lhandro, patrząc wymownie na Shana. – Teraz oni będą musieli zrozumieć naszą ziemię.

Shan spojrzął na wieśniaka, nic nie pojmując.

–Oni?

–Ci wszyscy, którzy zapomnieli o jej bóstwach.

–Nie wiem, co...

–Nasza dolina – odparł Lhandro, patrząc nieobecny wzrokiem w stronę odległych gór – jest pełna Chińczyków i cudzoziemców, którzy chcą wytoczyć krew z ziemi.

–Krew? – Shan spojrzął bezradnie na Nymę.

–Krew ziemi – powtórzył Lhandro.

–Ropa naftowa – wyjaśniła mniszka, zniżając głos i spuszcżając oczy, jakby już samo to słowo ją przerażało albo

jakby wstydziła się, że nie powiedziała mu o tym wcześniej. – Oni zniszczyli dom bóstwa, a teraz rozwiercają ziemię. Mówią, że wkrótce znajdą ropę, a wtedy nasza dolina zostanie zniszczona. – Błagalnie spojrzała mu w oczy. – Ale teraz mamy ciebie, Shan – dodała i nadzieja rozświetliła jej twarz. – Ty i bóstwo Yapchi uratujecie naszą ziemię. Sprawicie, że oni odejdą. Rozdział czwarty

Skorupa ziemiska pod Tybetem jest dwukrotnie grubsza niż w jakimkolwiek innym miejscu globu. Shan słyszał o tym dwa razy w życiu. Po raz pierwszy od pewnego profesora z Pekinu, który mówił mu, że ponieważ w Tybecie płyty tektoniczne nałożyły się na siebie, teren nieustannie się podnosi, co wywołuje wiele niebezpiecznych, nieprzewidywalnych zjawisk sejsmicznych. Ale wspomniał mu o tym także stary lama w obozie lao gai, tłumacząc, że z tego właśnie względu w Tybecie moc bóstw ziemi jest silniejsza niż gdziekolwiek indziej na świecie, że korzenie łączące ziemię i jej mieszkańców są znacznie głębsze, że sama ziemia wypowiada się tu bardziej dobitnie.

Gdy następnego ranka ruszali w drogę, Shan przypomniał sobie słowa lamy, gdyż ziemia istotnie wypowiadała się dobitnie. Ponad szczytami na północy przetoczyła się mała, lecz gwałtowna nawałnica, na chwilę spowijając je zasłoną kłębiącego się śniegu, lecz zaraz ucichła, ukazując zalany słońcem stok. Na południu chmury pędziły z wiatrem nad kolejnym pasmem gór, rzucając na ich zbocza smugi cienia, przesuwające się tak szybko, że same góry zdawały się płynąć. A pomiędzy górami, nad rozległym jeziorem, niebo było kobaltowo-błękitne, powietrze zaś przejrzyste i rześkie. Nocą w pobliżu obozu solarzy skupiły się gęsi. Lokesh stał na brzegu i rozmawiał z nimi, a może ze swą matką, machając im na pożegnanie. Stary Tybetańczyk postanowił nie spać tej nocy. Gdy księżyc ukazał się ponad

świętymi wodami, oświadczył niespodziewanie, że czuje silniejszą niż kiedykolwiek bliskość matki i chce jak najdłużej cieszyć się tym doznaniem. Sprawily to gęsi, uznał, i zdecydował, że będzie siedział przy nich całą noc.

Patrzac na przyjaciela sadowiacego się w mroku na jednym z głazów przy brzegu jeziora, Shan postanowil równiez podjac swego rodzaju czuwanie, na szczycie pagórka, w nadziei, że przywoła jedną z owych rzadkich chwil, kiedy łączyl się z ojcem, gdy nagle dobiegala go woń imbiru i słyszał ochryply, gardłowy śmiech rozbrzmiewajacy w jednym z długich, pustych korytarzy swego umysłu. Ale po godzinie dal za wygraną, uświadamiając sobie, że jego ojciec nigdy się nie zbliży, dopóki świadomość Shana opanowana będzie wizją śmierci Draktego. Blask księżyca na jeziorze podzialal najwyraźniej takze na Nymę. Shan zauwazył, że mniszka siedzi parę kroków od niego na białym kamieniu, zasłuchana w chlupot fal. Nie chcąc jej przeszkadzac, zamierzał juz odejść, gdy nagle się odezwala.

–Dawniej nasza wioska kilka razy do roku miewala gości z gomp – powiedziala głucho. – Teraz nikt nie przychodzi. Żaden mnich. Żadna mniszka. Może właśnie w tym rzecz, może oddaliliśmy się tak bardzo, że żadne bóstwo nie troszczy się już o to, by nam pomóc.

Shan nie był pewien, czy Nyma zwraca się do niego, dopóki nie umilkła i nie spojrzala w jego strone.

–Mają ciebie – podsunął skrępowany, podchodząc do niej. Zauwazył, że po raz pierwszy, odkąd ją poznal, rozpuscila włosy. Były długie, niemal do pasa. Z roztargnieniem przeczesywala je palcami.

–Mam na myśli prawdziwych mnichów. Ja nie jestem prawdziwą mniszka – odparła rzeczowo.

Z jakiegoś powodu poczuł się zraniony jej słowami bardziej

niż ona sama.

–Moim zdaniem jesteś prawdziwą mniszką – powiedział.

W świetle księżyca dostrzegł na jej twarzy cień smutnego uśmiechu.

–Nie – westchnęła. – Oni zamknęli klasztor, w którym pobierałam nauki, i odesłali wszystkie prawdziwe mniszki. Nie miałam dokąd pójść. Musiałam wrócić do wioski. – Uniosła

twarz do księżyca. – Kiedy idę do miasta, ubieram się jak uboga wieśniaczka. Nie mam odwagi nosić mnisiej szaty między ludźmi – wyznała księżycowi. – Nie obcinam nawet włosów jak mniszka. Lhandro mówi, że to mogłoby być zbyt niebezpieczne, ze względu na krzykaczy.

–A jaki pożytek byłby z ciebie dla Yapchi, gdyby cię uwięziono? – zapytał Shan, gdyż tak właśnie by się skończyło, jeśli przyłapano by ją na ulicy w szacie mniszki.

Nyma nie odpowiedziała, a może nie usłyszała pytania. Samotna gęś krzyknęła i umilkła. Shan przez długą chwilę spoglądał na odbicie księżyca w tafli jeziora.

–Pamiętam kobietę, która siedziała całymi dniami nad strumieniem, czekając, aż stopnieje lód, żeby wydobyć spod niego garść piasku – powiedział wreszcie. – Ona była mniszką.

–Po prostu zachowywałam się jak mniszka. Potrafię też zachowywać się jak pasterka albo jak wieśniaczka.

Shan usiadł na pobliskim kamieniu.

–Dlaczego jesteś dla siebie taka surowa? – szepnął w nagłym przyływie bezradności.

W całym Tybecie były tysiące ludzi takich jak ona, ludzi, którzy pragnęli zostać mnichami, ale im tego odmówiono. Niektórzy po prostu dali za wygraną, pogodzili się z myślą, że ich marzenie będzie musiało poczekać do kolejnego wcielenia. Inni nie poddawali się, próbując się nauczyć, jak prowadzić życie

mnicha mimo braku nauczycieli i wzorców. „Musisz nosić swoją gompę w sobie”, powiedział kiedyś Gendun do pogrążonego w rozpacz byłego mnicha.

–Czuję się, jakbyśmy cię okłamali! – wybuchnęła Nyma. – Mniszka, krocząca ścieżką współczucia, postąpiłaby inaczej, jestem tego pewna. Nie wiedziałeś, co łączy żołnierzy z kamiennym okiem. Nie powiedzieliśmy ci o Chińczykach i Amerykanach poszukujących ropy w Yapchi. Mogłam powiedzieć ci o ropie w pustelni, ale bałam się, że cię odstraszę. Teraz zabójca idzie naszym tropem, ten szalony Golok obserwuje oko, a ja czuję się winna, że tak cię potraktowaliśmy. I boję się. Drake miał rację, kiedy mówił, że ten demon zabija modlitwy. Nie mogę się modlić, szczerze, z głębi serca, odkąd ta istota weszła do świątyni. Przez cały dzień byłam przerażona. Będą się działy straszliwe rzeczy, czuję to. Na pewno myślisz, że cię zdradziliśmy. Musisz nas uważać za niemądrych i lekkomyślnych. To głupota pozwolić, żeby słowa wyroczni doprowadziły nas do tego.

–Poszedłbym z wami – odparł Shan. – Nawet gdybyś wcześniej powiedziała mi to wszystko, nie zrozumiałbym, ale mimo

wszystko bym poszedł. Gdyby lamowie poprosili mnie, żebym poleciał na księżyc, powiązałbym razem setki gęsi i spróbowałbym tego.

W blasku księżyca Nyma uśmiechnęła się smutno, jak stary, wyrzeźbiony z kości słoniowej posążek Buddy.

–Czy twoja rodzina wciąż mieszka w Yapchi? – zapytał ją Shan po długiej chwili milczenia. Nigdy nie wspominała o swoich związkach z wioską.

–Czasem Lhandra nazywam wujkiem, ale on jest tylko dalekim krewnym. Nie mam żadnej bliższej rodziny. On ma tylko

rodziców. Kiedyś, dawno, miał się ożenić, ale jego narzeczona została wysłana na reedukację i nigdy już nie wróciła. Tam jest dom mojej matki. Mój dom.

Dom. Przez chwilę Shan poczuł wstyd, że zazdrościł mieszkańcom doliny Yapchi, mimo wszystkich niedoli, jakie ich spotkały. Ci ludzie mieli dom i siebie nawzajem, byli zakorzenieni w swej ziemi. On nie miał nikogo poza Lokeshem i Gendunem oraz synem, który wyparł się go i z pewnością uważał za umarłego.

Gdy się obudził, Lhandro, Nyma i Anya wraz z dwoma krzepkimi mężczyznami z Yapchi rozkładali na kocu worki z solą. Gdy Lhandro odliczył czterdzieści par worków, Anya przyprowadziła jedną z owiec i Nyma, z policzkami wysmarowanymi czerwoną maścią doją, zgrabnie nałożyła jedną pakę na grzbiet zwierzęcia, a następnie związała luźne sznurki pod jego brzuchem. Owca zdawała się teraz dźwigać małe szmaciane siodło. Ludzie z Yapchi pracowali szybko: jedni podprowadzali zwierzęta, inni czekali już z wypchanymi workami. Kiedy wszystkie owce, poza jednym silnym, brązowym baranem, zostały objuczone, Nyma przywołała Shana i otworzyła jedyny worek, który wyglądał na pusty. Lhandro podszedł do nich ze skórzanym wiadrzem soli, a mniszka wskazała na trzymaną przez Shana sakwę, którą zabrał z pustelni. Shan zawahał się, ale otworzył ją i podał Nymie. Ona jednak pokręciła głową, jakby wciąż bała się tego, co kryło się w środku, i wskazała worek, do którego Lhandro sypał właśnie garść soli. Shan wyciągnął cedrową skrzyneczkę i włożył ją do worka. Z dziwnym niepokojem przyglądał się, jak Lhandro przysypuje je solą, po czym wyciąga długą igłę i zaczyna zaszywać otwór.

Worek, tkany w wielobarwny wzór, ozdabiało widniejące pośrodku czerwone kółko w białej obwódce. Wyglądało jak

gniewne, czujne oko.

Gdy czerwonooki worek spoczywał już na grzbiecie brązowego barana, Lhandro przepatrzył szlak biegnący brzegiem jeziora na południe, ten sam, którym poprzedniego dnia przybyli Shan i jego przyjaciele. Na wierzchołku najbliższego wzgórza ukazała się samotna, biegnąca drogą postać. Machała do Lhandra. Był to jeden z poznanych poprzedniego dnia przez Shana mieszkańców Yapchi. Mężczyzna wyglądał na wyczerpanego. Trzymał starą, ładowaną od przodu strzelbę. Strzegł ich przez całą noc, pilnując szlaku, uświadomił sobie Shan.

Pozostali mieszkańcy obozu solarzy zebrali się przy drodze wiodącej na północ, z dziwnie poważnymi twarzami przyglądając się Lhandrowi, który zlustrował kolumnę objuczonych owiec oraz swych towarzyszy, po czym skinął głową, dając znak stojącej na czele Anyi. Dziewczyna naciągnęła chubę na ramiona, gwizdnęła na psy i ruszyła nierównym krokiem, nucąc jedną ze swych niesamowitych pieśni. Owce i psy podreptały za nią jak zaczarowane.

–Lha gyal lo! – zawołała jakaś kobieta przy jednym z czarnych namiotów dropków, a inni podjęli ten okrzyk, ku wielkiemu zadowoleniu Lokesha, który radośnie im zawtórował, gdy karawana opuszczała obóz solarzy. Pochód zamykali Tenzin i ludzie z Yapchi, prowadzący objuczone konie.

Odkąd sięgała ludzka pamięć, wieśniacy z Yapchi wysyłali nad jezioro karawany po sól, wyjaśnił Shanowi po drodze Lhandro, mając na myśli nie tylko okres, jaki mógł poznać sam oraz dzięki rodzinnym wspomnieniom, ale całe wieki, aż po czasy, nim jeszcze do Tybetu dotarły nauki Buddy. Ponad dwanaście stuleci. Przez większą część poranka Lhandro szedł obok Shana, opowiadając o tych dawnych karawanach,

wspominając ludzi i wydarzenia sprzed pięćdziesięciu, stu, a nawet pięciuset lat, jakby to było wczoraj. Rolnik z Yapchi o imieniu Saga znalazł kiedyś nad jeziorem umierającego kapłana z Zachodu, jezuitę, i przez tydzień rzeźbił mu na grób krzyż jego boga. Wykuwał go w kamieniu, gdyż w okolicy nie było ani kawałka drewna. Pewnej

zimy, gdy szalała straszliwa zaraza, cała wioska przyszła kąpać się w uzdrawiających wodach jeziora. Innym razem dziki jak, biały niczym śnieg, szedł za karawaną przez całą drogę powrotną, aż wreszcie zatrzymał się na wzgórzu nad wioską, gdzie przez dwadzieścia następnych lat widywano go co rok w dzień urodzin Buddy.

Opowieści te towarzyszyły Shanowi przez cały ranek, gdy ciągnąc kilometrami pustych, porośniętych tylko trawą terenów, zdawali się oddalać od wszelkich zagrożeń. Gdy prowadzili owce wschodnim brzegiem jeziora, a potem długą trawiastą doliną, która wznosiła się ku przełęczy dzielącej pierwsze z pasm górskich, ogarnęło go poczucie, że znalazł się ponad czasem. Co się zmieniło? pomyślał. Tybetańczycy nauczyli go wielu sposobów patrzenia na świat. Jednym z nich było uświadomienie sobie, jak dziwnie większość ludzi pojmuje postęp, a nawet samą cywilizację. On sam bardziej dojrzał jako człowiek w ciągu czterech lat niewolniczej pracy w lao gai niż podczas całych poprzednich trzech dziesiątków lat życia, spędzonych w Pekinie na gromadzeniu mizernych dóbr, przez których pryzmat większość ludzi oceniała sukces życiowy. A teraz, wioząc sól do Yapchi, krocząc obok owiec w towarzystwie pogodnych Tybetańczyków, pod kobaltowym niebem obramowanym zygzakami pokrytych śniegiem szczytów, z całym swym dobytkiem mieszczącym się w zwykłym zaciąganym worku, miał wrażenie, że być może dosięga właśnie samych wyżyn

cywilizacji.

Czy cokolwiek naprawdę zmieniło się od czasu owych pierwszych karawan? zastanawiał się. Pasterze wciąż przemierzali pieszo niegościnnie skaliste tereny; wciąż rozbijali skorupę soli drewnianymi tłuczkami; sypiali w namiotach z włosia jaków i objuczali swe owce workami z solą utkanymi z wełny pochodzącej z ich grzbietów; wciąż cieszyli się słodkim smakiem mleka zwierząt, które pasły się na kwitnących wiosennych łąkach. Nic się nie zmieniło. Albo zmieniło się wszystko, pomyślał smutno, gdy jego wzrok padł na krępego barana dźwigającego worek z czerwonym kółkiem. Gdyż tym razem jedna z owiec niosła oko bóstwa, skradzione przez tych, którzy wymordowali całą wieś. A zabójca szedł tropem oka. Zabójca i pluton strzelców górskich. A może nawet ktoś jeszcze. Im częściej odtwarzał

w myślach ostatnie chwile Draktego, tym usilniej się zastanawiał, czy Drake nie zamierzał ostrzec ich przed kimś innym, nie przed dobdobem. Gdyby wiedział, że dobdob zamierza wyrządzić im krzywdę, lub gdyby na jego miejscu pojawił się pałkarz lub żołnierz, Drake, jakiego znał Shan, rzuciłby się na intruza, aby bronić lamów. Tymczasem purba, widząc dobdoba, stał tylko, zaskoczony nie mniej niż Shan i cała reszta.

Zaczekał na Lokesha, który szedł na końcu karawany.

–Mógł przywołać w myślach obraz tego dobdoba? – zapytał przyjaciela. – Czy to był prawdziwy dobdob, czy ktoś przebrany za niego? – Wiedział z doświadczenia, że zabójca mógł przywdziać tradycyjny kostium, by zastraszyć i dezorientować swe ofiary.

Lokesh spojrział w stronę jałowca rosnącego na szczycie pobliskiego wzgórza, jedyne drzewa w całej okolicy.

–Widzę go. Widzę go nocą, kiedy próbuję zasnąć. Widzę go, kiedy budzę się rano – powiedział z ciężkim sercem i odwrócił się do Shana. – To nie był przebieraniec. To był prawdziwy mnich policjant.

–Ale mówiłeś, że nie widziano ich od dziesiątków lat.

–Ja ich nie widziałem. Ani, jak sądzę, nikt inny. Prawie nikt.

–Dla dobdoba pracownik Urzędu do spraw Wyznań byłby wrogiem – podsunął Shan. Zbieżność wydarzeń nie dawała mu spokoju. Drake i ów człowiek, którego nazywano Chao, zostali prawdopodobnie zaatakowani tej samej nocy.

–To dla krzykacza dobdob byłby wrogiem – sprostował Lokesh i oddalił się, jakby chciał uniknąć dalszych pytań. Mnich, oznaczały jego słowa, prawdziwy mnich, nie widziałby w pracownikach tego urzędu wrogów, tylko ludzi, których świadomość nie rozwinęła się prawidłowo.

Ale prawdziwy dobdob przyjmowałyby rozkazy jedynie od lamy lub starszego rangą mnicha. Czy Drake wzbudził gniew jakiegoś lamy?

Shan kątem oka spostrzegł kobietę w szatach mniszki, idącą w pewnej odległości od karawany ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jakby ledwie zdawała sobie sprawę z obecności tłumu zwierząt i ludzi. Gdy zorientował się, że Lhandro obserwując ją z zatroskaną miną, podszedł do niego.

–Kiedy była z wami – zaczął Lhandro – czy zawsze...? – Przez chwilę szukał odpowiednich słów, wreszcie spojrzał pytająco na Shana. – W zeszłym roku chciała uciec do Indii, znaleźć tam jakiś klasztor. Przekonałem ją, żeby tego nie robiła. Ale teraz obawiam się, że nie miałem racji.

–Zawsze była bardzo pomocna – odparł Shan, nie bardzo wiedząc, o co Lhandro właściwie pyta.

Rongpa odetchnął, jakby z ulgą.

– Miała zaledwie piętnaście lat, kiedy władze zlikwidowały jej klasztor. Była tam od dwóch lat. W tym czasie zmarła jej matka. Nie mogła znaleźć innej gomy, więc zdjęła mnisią szatę i zaczęła doglądać wioskowych owiec. Ale trzy lata później pewnego dnia natknęła się na Anyę leżącą w drgawkach na kamieniu, recytującą stare pisma, których nikt z nas nigdy wcześniej nawet nie słyszał. Wstrząsnęło nią to bardziej niż samą Anyą. Powiedziała, że nasze bóstwo rozpada się na kawałki i na powrót włożyła szatę mniszki. Razem z Anyą zbudowały kapliczkę w małym wąwozie za wioską i chodzą tam medytować godzinami, a nawet całymi dniami. Wciąż mnie pyta, jak mniszka zrobiłaby to czy tamto, wypytuje o czasy, kiedy mnisi zachodzili jeszcze do naszej doliny.

Westchnął i zrobił krok do przodu, gdy Nyma na wołanie Anyi ruszyła w stronę czoła kolumny. Przystanął jednak i znów odwrócił się do Shana.

– Ale już od wielu, wielu lat żaden mnich nie zajrzał do Yapchi. Mój ojciec powiedział jej kiedyś: nie zamartwiaj się szukaniem drogi Bodhisattwy Współczucia, szukaj po prostu drogi Nymy Współczucia. – Uśmiechnął się sztywno i wszedł na głaz, by rzucić okiem na teren za karawaną. Na jego twarzy znów pojawiła się troska.

Pozostali wieśniacy zdawali się jednak nie przejmować ani zabójcą, ani ryzykiem związanym z kamiennym okiem. Poprawiał im się nastrój. Śpiewali pieśni, które od setek lat towarzyszyły karawanom solnym, ucząc niektórych z nich Shana i Lokesha. Gdy w południe rozsiedli się, żeby zjeść zimną tsampę, Lhandro i Nyma opisywali piękną dolinę, która była ich domem. Przemierzając tak kilometr za kilometrem, Shan pozwalał, żeby udzieliła mu się prosta, beztroska radość pozostałych.

O zmierzchu, kiedy rozbili obóz pod osłoną potężnej skały

daleko za pierwszą przełęczą, gdzie w drodze nad jezioro wieśniacy pozostawili zapas jaczego łajna, Lokesh usiadł zwrócony na południe. Stary Tybetańczyk cicho odmawiał różaniec, mrużąc oczy, jak gdyby wypatrywał czegoś po drugiej stronie gór. Wschód słońca miał wyznaczyć trzeci dzień od śmierci Draktego, dzień, w którym jego ciało zostanie złożone w kwaterze zmarłych. Być może Gendun, Shopo, Somo oraz dropkowie zdążyli już opuścić pustelnię i nieśli martwego purbę przez góry i doliny na podniebny pochówek.

Shan usiadł obok Lokesha zwrócony w tę samą stronę co przyjaciel i ułożył dłonie w mudrę. Zacisnął pięści, wystawiając w górę kciuki, po czym oparł prawą dłoń na czubku lewego. Była to mudra zwana Sztandarem Zwycięstwa, symbolizująca triumf współczucia nad ignorancją i śmiercią. Shan wpatrzył się najpierw w mudrę, a potem w odległe góry, które Gendun przemierzał teraz ze zwłokami Draktego, i poczuł, że wraca do niego falą ból, jaki wzbudziła w nim śmierć purby. Nie tylko dlatego, że młody Tybetańczyk był wierny, odważny i bezinteresowny, ale i z tego powodu, że jego śmierć stawała się dla niego coraz bardziej zagadkowa, a wraz z tym rosły jego obawy o tych, z którymi podróżował. Gendun powiedziała, że emocje zaburzają świadomość Shana, gdyż śmierć nigdy nie ma przyczyny, lecz jedynie wyznaczoną porę, Draktemu zaś zawsze przeznaczone było zakończyć to wcielenie w tej godzinie. Nie było tu żadnej przyczyny i skutku, gdyż, powiedziała Gendun, świat nie jest tak uporządkowany, jak wyobrażał sobie Shan. Ale nawet Tybetańczycy przyznawali, że wszystkie rzeczy we wszechświecie są ze sobą wzajemnie powiązane i że kamień wrzucony w odległe jezioro tworzy fale, które odmieniają, choćby nieznacznie, kształt świata. Coś wydarzyło się w Lhasie, coś więcej niż zwykła kradzież, a konsekwencje tego zdarzenia

dosięgały tych, którzy strzegli kamiennego oka.

Shan spojrział na układające się do snu owce. Mimo niebezpieczeństwa, mimo pozornego pośpiechu, z jakim krzątano się wokół oka, ludzie, którym powierzono przeprowadzenie Shana i Lokesha do odległej doliny, wybrali najpowolniejszy ze wszystkich możliwych sposobów.

– Mogłeś po prostu odmówić. – Słowa te padły tak nagle, tak nieoczekiwanie, że Shan odwrócił się, by sprawdzić, kto podszedł do niego tak ukradkiem, aż uświadomił sobie, że wypowiedział je Lokesh. – Powiedz im, że nie, że nie jesteś człowiekiem, o którego chodzi – westchnął starzec – i idź do tego durtro. Możesz wrócić z Gendunem do Lhadrung. Nie idź dalej, jeżeli masz wątpliwości. Nie idź dalej, jeżeli możesz myśleć tylko o zabójcach. Nie okryjesz się hańbą, jeśli zawrócisz. Ja pójdę dalej z karawaną. I tak wybieram się na północ.

Shan milczał przez dłuższą chwilę. Uświadomił sobie, że dłonie Lokesha utworzyły inną mudrę: splotły się, z obydwoma środkowymi palcami podgiętymi w górę i przyciśniętymi jeden do drugiego na kształt wieżyczki. Diament Mądrości, tak nazywano ten układ, pomagający w ogniskowaniu świadomości. Z początku sądził, że przyjaciel ponownie chce pomóc mu skupić uwagę na odpowiedzialności wobec rozbitego bóstwa, potem jednak spostrzegł na jego twarzy wyczekiwanie.

– I tak wybierasz się na północ? – zapytał.

Lokesh z powagą skinął głową.

– Wczoraj w nocy te gęsi pomogły mi odnaleźć moją matkę. Opowiedziałem jej o smutku, jaki ogarnął nasz kraj, o ludziach, którzy zgubili drogę współczucia, i o naszej wyprawie z kamiennym okiem. Powiedziała mi, że to, co robimy, robimy dla wszystkich rozbitych bóstw, gdziekolwiek są. Powiedziała, że kiedy odniesiemy już oko tam, gdzie jest jego miejsce, muszę

odnaleźć serce tych, którzy nas uciskają, i oświetlić je światłem współczucia.

Shan spojrział badawczo na przyjaciela, szukając wyjaśnienia.

–Już dawno powinienem był o tym pomyśleć – ciągnął Lokesh z nutą zdumienia. – Potrzeba było do tego mojej matki. On jest zwykłym śmiertelnikiem, ma serce jak każdy inny człowiek. On także ma bóstwo, które zostało rozbite.

–Nie rozumiem.

–Idę do Pekinu – oświadczył stary Tybetańczyk z błyskiem w oku. – Chcę iść na północ jak gromadzący zasługi pielgrzym. A celem mojej pielgrzymki będzie dom tego, którego nazywają Przewodniczącym, w stolicy.

Shan w pierwszej chwili uznał to za żart, potem jednak spostrzegł w oczach Lokesha determinację i przeszył go zimny dreszcz. Zacisnął szczęki i ponownie utkwiał wzrok w mudrze.

–Nie możesz.

Lokesh wzruszył ramionami.

–Mam mocne nogi. Po prostu przez jakieś dwa miesiące będę szedł na północ, a przez następne trzy czy cztery na wschód.

–Chcę powiedzieć, że nie pozwolą ci na to. Nie uda ci się - wyjaśnił łamiącym się głosem Shan.

–Muszę iść sam, przyjacielu – odparł Lokesh, jak gdyby Shan proponował mu swoje towarzystwo. – To sprawa mojego bóstwa, nie twojego. Poza tym w Chinach byłoby dla ciebie zbyt niebezpiecznie.

–Nigdy nie dopuszczą cię do niego bliżej niż na kilometr – oświadczył Shan. Przez chwilę nie mógł złapać tchu. Jego tybetański wujek chciał oddać się w ręce ludzi, którzy zabili ojca Shana i jego rodzonych wujów.

Lokesh położył mu dłoń na plecach i przytrzymał ją tam,

jakby chciał wyczuć bicie jego serca.

–Nie mówię ci tego, żeby cię przerazić – ciągnął. – Obiecałem matce, że pójdę i porozmawiam z Przewodniczącym, aby poznał prawdę o tym, co się dzieje w Tybecie. Chcę, żebyś to zrozumiał, nim nadejdzie pora rozstania. – Wskazał palcem samotną gęś lecącą w stronę zachodzącego słońca.

Shan spoglądał na niego przez chwilę i przeniósł wzrok na gęś. Patrzył na nią, dopóki Nyma nie zawołała ich na kolację.

W obozowisku Lhandro wyciągnął pęcherz ze świeżym jogurtem, prezent od dropków znad jeziora, oraz bukłak śmietany, która utrząsana przez cały dzień na jednym z jucznych siodłał zmieniła się w gęste, słodkie masło. Rongpowie radośnie lepili z masła i tsampy małe kulki, które zajadali, popijając herbatą. Kiedy w namiocie zaczęto rozkładać grube filcowe koce, Shan wyniósł swój koc na zewnątrz. Leżał na nim wpatrując się w nocne niebo, walcząc z trawiącym go poczuciem beznadziejności. Niektórzy z Tybetańczyków wierzyli, że szamoczące się dusze przechodzą przez wiele poziomów piekła, zanim osiągną wyzwolenie. W piekle, w którym przebywał on sam, mógł widzieć udrękę

i cierpienia zagrażające ludziom najbliższym jego sercu, nie potrafił jednak temu w żaden sposób zapobiec.

Obudził się nagle, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że zasnął. Z zapartym tchem uświadomił sobie, że zbudził go przelatujący blisko meteor. Nie przypominał sobie jednak, żeby go widział. Przytrafiło mu się to nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich miesięcy. Opowiedział Lokeshowi o podobnym zdarzeniu podczas ich pielgrzymki, a stary Tybetańczyk uznał to za okazję do świętowania, twierdząc, że jest to oznaka nowej świadomości. „Skoro tego doświadczyłeś”, powiedział wtedy Lokesh, „czyż nie jest to równie realne, jak gdyby spostrzegły to

twoje oczy?” Ale wówczas, podobnie jak teraz, przeżycie to wytrąciło Shana z równowagi. Zachowanie poczucia rzeczywistości w świecie, w którym żył, było wystarczająco trudne bez tybetańskich przyjaciół próbujących wytłumaczyć mu, że może ona przejawiać się w rozmaitych formach.

Zupełnie już rozbudzony, leżał, obserwując wylaniający się spoza gór księżyc, i stopniowo coraz łatwiej mu było odsunąć od siebie ból zniekształcający wspomnienie ostatnich chwil Draktego, aż wreszcie zdołał powoli odtworzyć je kilkakrotnie w myślach, poszukując wskazówek, ukrytych znaczeń. Widział, jak Drake wysuwa podbródek i marszczy czoło, gdy dobdob wkroczył do sali. Choć purba nosił nóż za pasem, jego dłoń powędrowała nie do broni, ale do relikwiarzyka z modlitwą. Reakcja Draktego nie była reakcją bojownika broniącego tych, których ślubował chronić. Ale również druga ręka purby coś robiła. Odtwarzał tę scenę raz za razem. Lewa ręka Draktego odsuwała w tył torbę, ukrywając przed dobdobem sakiewkę z procą i rejestrem zawierającym niewinne dane na temat dropków.

Shan spostrzegł nagle, że delikatny wietrzyk dziwnie nasila się i cichnie. Po chwili uświadomił sobie, że jest to ledwie słyszalny, wznoszący się i opadający dźwięk przypominający pojękiwanie. Usiadł. Nie było to pojękiwanie. Raczej zawodzenie, może nawet śpiew.

Powoli, ukradkiem, ruszył za dźwiękiem w stronę pagórka. Nagle zagroził mu drogę jakiś ciemny kształt. Lhandro wystawił strażę, wiedział o tym. Zamarł, spostrzegłszy, że jest to jeden z mastiffów. Zwierzę nie poruszyło się, tylko uniosło ku niemu łeb i odwróciło się w stronę skały, sterczącej ze stoku trzy metry dalej, jakby chciało tam skierować uwagę Shana.

Na skałach siedziała Anya, wpatrzona w świecąca jasno

gwiazdę na horyzoncie. Dźwięk, który ściągnął tu Shana, teraz głośniejszy, wydobywał się z jej warg. Nie umiałby go nazwać. Brzmiał nie tyle jak pieśń, ile jak jeden z owych odgłosów, jakie starzy lamowie wydawali niekiedy podczas medytacji, odgłosów, które brały początek z mantry, ale stawały się, przynajmniej dla niewprawnego ucha, drganiem odbieranym nie słuchem, lecz jakimś innym zmysłem, falami dźwięków, jakich nie zdołałyby wydać język i struny głosowe.

Shan słyszał coś takiego już wcześniej. Zapytał kiedyś o to Lokesha, gdy spotkali siedzącego na wysokim występie skalnym pustelnika, który wydawał taki sam cichy, przeszywający dźwięk. Lokesh wzruszył ramionami, jak gdyby odpowiedź była oczywista. „To właśnie pozostaje, gdy odrzucić powłokę słów”, oświadczył z powagą. „To po prostu dźwięk, jaki wydaje dusza, gdy nie komunikuje się z ludźmi”.

Usiadł obok dziewczyny, obserwując gwiazdy. Jeśli nie komunikowała się z ludźmi, zastanawiał się, z kim próbowała nawiązać kontakt?

W końcu Anya ucichła. Siedzieli w milczeniu.

–Czeka nas długa droga – odezwała się dziewczyna.

Choć czuł się jej dziwnie bliski, Shan uświadomił sobie, że odezwała się do niego po raz pierwszy.

–Do Yapchi jest przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów – zauważył cicho.

–Nie, nie o to chodzi – odparła dziewczyna cierpliwym tonem nauczycielki. – Jeśli my dwoje mamy przywrócić staremu oku wzrok, musimy rozświetlić wiele cieni, rozplatać wiele węzłów.

Shan przez chwilę zastanowił się nad jej słowami.

–My dwoje?

–Kiedy ono powiedziało to przeze mnie – odparła zagadkowo dziewczyna – z początku nie rozumiałam. Ale teraz mu wierzę.

–Przepraszam. – Shan poczuł ucisk w dołku. – O kim mówisz?

–Kiedy wstąpiło we mnie po raz pierwszy, kopałam akurat pole motyką. Nyma znalazła mnie wtedy na ziemi, w drgawkach. Potem powtórzyło się to jeszcze tylko cztery razy. Oni mówią, że kiedy będę starsza, być może będą musieli umieścić mnie w klasztorze, o ile uda się jakiś znaleźć. Powiedzieli, że w dawnych czasach wysłano by mnie do klasztoru już po pierwszym razie.

Shan wpatrywał się w nią, próbując wyłowić jakiś sens z jej dziwnych słów. Potem przypomniał sobie, co opowiadał mu Lhandro: jak znaleziono Anyę leżącą na kamieniu, recytującą dziwne teksty. I przedtem, nad jeziorem. Ona mówi czasem słowami bóstw, powiedział rongpa.

–Wyrocznia – szepnął. – Ty jesteś wyrocznią.

Dziewczyna roześmiała się piskliwie.

–Nie wyrocznią – wyjaśniła łagodnie. – Niektórzy tak o mnie mówią, ale wyrocznia nie jest człowiekiem. Bóstwa wyroczni po prostu posługują się czasem ludźmi jak narzędziem.

Shan posmutniał. Być może sprawiła to nuta bezradności w jej głosie. Być może powodem były zasłyszane niegdyś opowieści mnichów o mediach, które w dawnych czasach mieszkały w wielkich gompach w okolicach Lhasy. Były to nerwowe, często słabowite stworzenia, z reguły umierające młodo, ponieważ kiedy opanowywała je wyrocznia, doznawały straszliwych napadów drgawek i skurczy, które mogły trwać całymi dniami i ściągały straszliwy haracz z ich ciał.

Anya wpatrywała się w gwiazdy. Nagle znów odwróciła się ku niemu.

–A co, jeśli dolina została z jakiegoś powodu zamknięta, a oko jest kluczem do niej? Co będzie, jeśli otworzymy ją, nie wiedząc, dlaczego została zamknięta? – wyrzuciła z siebie w

pośpiechu, jakby od dawna już nosiła się z tym pytaniem.

–Wiem tylko tyle – odparł Shan po chwili – że kiedy wybieram się w długą podróż, często dręczą mnie wątpliwości, dokąd zajdę, co czeka mnie po tysięcznym kroku albo po dziesięciotysięcznym. Tak więc staram się zmusić do tego, by myśleć tylko o następnym kroku, potem znów o następnym, a wtedy ten dziesięciotysięczny staje się po prostu jednym z wielu kolejnych kroków. Do tego czasu wszyscy będziemy już lepiej rozumieli

oko. – Zaskoczyły go własne słowa. Mówił jak Tybetańczyk, jakby kamienne oko było żywą istotą.

Dziewczyna z zapalem pokiwała głową. Być może była to odpowiedź, jakiej potrzebowała. Siedzący na ścieżce pies wstał nagle, a ona, niby na dany sygnał, także się podniosła i wraz ze zwierzęciem zniknęła w ciemnościach.

Shan odprowadził ją wzrokiem, nie wiedząc, czy zrozumiał cokolwiek z ich rozmowy. W istocie im więcej dowiadywał się o mieszkańcach Yapchi, tym większa zdawała mu się jego niewiedza. Sprawiali wrażenie ludzi od tak dawna żyjących bez kontaktu ze światem, że pogrążyli się w zabobonach. W głębi duszy wiedział jednak, że nie różnią się zbytnio od wielu innych znanych mu Tybetańczyków, w których zdawało się kryć wiele warstw tajemnic i wyobrażeń. Ich kraj sam w sobie był tak bogatym, rozległym kobiercem ludzi i wierzeń, że słowo „buddyzm” nierzadko wydawało się zbyt skąnym określeniem elementów, z których Tybetańczycy składali jak mozaikę swój obraz świata.

Nad pogrążającym się w mroku pejzażem przetoczył się cichy pomruk. Shan rozejrzał się, wypatrując oznak burzy, ale na czystym nocnym niebie dostrzegł jedynie sunącą szybko grupę czterech czerwonych świateł. Chińskie myśliwce odrzutowe

odbywające lot patrolowy na dużej wysokości. Gdy śledził je wzrokiem, opadł go głęboki smutek, który towarzyszył mu długo po tym, jak samoloty zniknęły za horyzontem.

Następnego dnia karawana była w drodze już od dwóch godzin, gdy nagle Shan, prowadząc jucznego konia, zauważył jakiś ruch na stoku, sto metrów nad drogą. Przystanął, wyężając wzrok, aż wreszcie w cieniu wielkiego głazu dostrzegł człowieka z koniem.

Za jego plecami Lhandro gwizdnął ostro, zatrzymując karawanę.

–Przeklęty Golok – mruknął.

Gdy człowiek na stoku wyszedł z cienia na słońce, Shan spostrzegł, że istotnie jest to Dremu. Golok uważnie przyjrzał się karawanie, po czym zaczął kiwać na Shana, by podszedł bliżej.

–Nie rób tego – ostrzegł Lhandro. – Może jego kolesie czają się za skałami. Tacy ludzie zawsze pozostają bandytami.

Shan puścił tę radę mimo uszu, ale biegnąc w stronę Goloka, przyłapał się na tym, że czujnie obserwuje otaczające ich skały.

–Myślałem, że już cię więcej nie zobaczę! – zawołał, gdy znalazł się w zasięgu głosu.

–Dostałem zapłatę, no nie?! – odpalił Dremu. – Zapłatę za dostarczenie cię do Yapchi! Nie za picie herbaty z takimi jak oni. – Wskazał głową karawanę. – Idę tam gdzie oko – oświadczył z dziwną gwałtownością.

–To dobrzy ludzie – odparł Shan.

Dremu zmarszczył brwi.

–Tam jest coś – powiedział – ktoś... – Obejrzał się przez ramię. – Nie wiem, co z nią zrobić – szepnął cicho, jakby nie chciał, by słyszeli go rongpowie. Zawrócił konia i poszedł za głaz, gdzie biegła dzika ścieżka prowadząca na niewysoki grzbiet. Shan zerknął za siebie i ujrzał, że Lokesh wspina się ku niemu.

Wolnym krokiem ruszył ścieżką w ślad za Dremu. Dogonił go tuż pod szczytem. Golok klęczał obok karłowatego jałowca rosnącego pod osłoną głazu.

Gdy Shan podszedł bliżej, spostrzegł siedzącą pod skałą drobną, wątłą kobietę. Miała może pięćdziesiąt lat. Jej ramiona okrywał postrzępiony szary wełniany szal. Nosiła kilka naszyjników z koralu i turkusu. Spod mocno połatanej chuby wystawały małe żylaste dłonie, jedna ścisnęła różaniec, druga szal modlitewny. Obok, na rozłożonym na ziemi skrawku materiału, spoczywał mały miedziany młynek modlitewny.

Shan pochylił się nad kobietą.

–Ku su depo yinbay? – zapytał po tybetańsku. Jak się masz?

–La yin, la yin – odparła ze słabym uśmiechem. Wszystko dobrze.

Ale nie było dobrze. Białka jej oczu miały chorobliwie żółtawy odcień, a dłoń trzymającą khatę kobieta przyciskała do boku. Być może, pomyślał Shan, boli ją brzuch. Kobieta uparcie, z błyskiem w oczach patrzyła poza Shana, jak gdyby siłą woli starała się zmusić go do odejścia.

–Siedziała tu, kiedy wtedy przejeżdżałem – wyjaśnił Dremu.

–Wydawało się, że nawet mnie nie zauważyła. Po prostu wpatrywała się w ścieżkę – powiedział, wskazując dróżkę biegnącą z południa po drugiej stronie grzbietu. Shan spojrzął w tamtą stronę.

–Może na kogoś czekała – zauważył. Znajdowali się w odлюдnej, niegościnnej okolicy. W niewielkiej, wysoko położonej dolinie, w którą spoglądała kobieta, całymi tygodniami mogła się nie pojawić żywa dusza. Wyczuł za sobą ruch. Lokesh, z twarzą pobrużdżoną troską, zbliżył się, wyciągając dłoń, że by dotknąć głowy kobiety. Ujął rękę, w której trzymała różaniec, i po wewnętrznej stronie nadgarstka położył trzy palce,

rozstawiając je szeroko. Kiedyś Shan słyszał, jak jego przyjaciel żali się Gendunowi, że mimo lat spędzonych wśród lamów

uzdrowicieli tak mało wie o leczeniu, lama jednak odpowiedział mu, że najważniejszym aspektem uzdrawiania są duchowe cnoty lekarza, a pod tym względem Lokesh nie ma sobie równych.

Sprawdziwszy puls w obu nadgarstkach kobiety, Lokesh wyprostował się i dotknął czubkami palców jej policzka.

–Musimy cię wyleczyć – powiedział cicho.

Kobieta przez długą chwilę wpatrywała się w niego z napięciem, jakby usiłowała go rozpoznać, i słabo się uśmiechnęła. Dłonią z różańcem dotknęła młynka modlitewnego.

–Chodź z nami – powiedział Lokesh. – Możemy ci pomóc.

–Naprawdę jesteś jednym ze starych? – zapytała, wciąż przyglądając mu się z uwagą.

Lokesh potarł białą szczecinę na podbródku i zerknął na Shana, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

–Mamy konie – rzekł. – Mogłabyś jechać na koniu.

Kobieta osłoniła dłonią oczy, spoglądając badawczo w twarz Lokesha. Uśmiechnęła się sztywno i na powrót utkwiała wzrok w ścieżce. Wyglądało to tak, jakby spodziewała się uzdrowiciela, ale uznała, że Lokesh nie jest tym, na którego czeka.

–Od jak dawna tu jesteś? – zapytał Shan.

Wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od zbocza.

–Chyba od dwóch dni. – Powoli odwróciła się i patrzyła przez chwilę w twarz Shana, jak gdyby chciała go zapytać, jaki jest dzień.

–Możesz chodzić?

–Oczywiście – odparła lekko zniecierpliwiona. Nagle zaniósł się kaszlem. – Przecież przyszłam tutaj – dodała ochryple, kiedy

kaszel minął.

Shan westchnął. Wymienili z Lokeshem zdziwione spojrzenia.

– Powinnaś mieć kapelusz od słońca. Co się stało z twoim kapeluszem?

– Wiatr go zdmuchnął – oświadczyła obojętnie i na powrót zwróciła wzrok ku ścieżce. Niektórzy Tybetańczycy trzymali się uparcie starego przesądu, jakoby podniesienie zdmuchniętego z głowy kapelusza przynosiło pecha.

Shan zdjął brązowy kapelusz z szerokim rondem, który nosił przez ostatnie trzy miesiące, i włożył go jej na głowę, solidnie naciągając. Kobieta powoli uniosła dłoń do ronda, jakby zamierzała go zdjąć.

– Dostałem go od pewnego mnicha – powiedział Shan – pod świętą górą Kailas. Powiedział, że wyglądam na zmarznięte go. Ale już nie jest mi zimno.

Żółtawe oczy kobiety zwróciły się ku niemu i zamrugały, chyba z wdzięcznością. Uniesiona do kapelusza dłoń opadła.

Shan zostawił ją z Lokeshem. Ominął Dremu, który wciąż trzymał się z tyłu, obserwując nerwowo całą scenę, i wyciągnął z bagaży worek tsampy oraz butelkę z wodą. Gdy wrócił, wyglądało na to, że nikt się nie poruszył, jedynie Lokesh trzymał teraz różaniec, recytując mantrę.

– Kto ma tu przyjść? – zapytał Shan, kładąc jedzenie i wodę pomiędzy kobietą a skałą. – Na kogo czekasz?

– Na tego, kto rozumie wszystko – odparła pogodnym tonem, nie odwracając spojrzenia od szlaku.

Shan dotknął ramienia Lokesha. Starzec wstał z niechęcią, po czym pogmerawszy w kieszeni, położył coś na kolanach kobiety. Był to skamieniały trylobit.

– To potężne tonde – powiedział. – Z Lamtso.

Ale ona zdawała się go nie słyszeć, nie zareagowała na jego gest ani nie oderwała wzroku od ścieżki, gdy odchodzili na drugą stronę grzbietu.

– Jasne – mruknął Dremu. – Ten, kto rozumie wszystko.

Wujek Jama, oto na kogo ona czeka, to on jest tym wszystko-wiedzącym. – Golok miał na myśli Jamaradżę, Pana Śmierci. – Szkoda było jedzenia i wody – zrzędził. – Ona po prostu wybrała sobie taki sposób, żeby zejść ze świata. Do diabła, przy irbisach i wilkach, które żyją na tych wzgórzach, nie trzeba będzie nawet zanosić jej do rozcinaczy ciał. – Wskoczył na konia i odjechał kłusem na północ, wciąż trzymając się na dystans od karawany.

Obraz chorej kobiety siedzącej samotnie na stoku prześladował Shana przez większą część dnia, gdy posuwali się krętym szlakiem ku przełęczy przecinającej drugie z czterech pasm górskich, które dzieliły ich od Yapchi. Kobieta czekała na kogoś, kto miał nadejść z południa, trudnym, rzadko uczęszczanym, biegnącym szczytami gór szlakiem. Ale ludzie, którzy najpewniej mogliby nadejść od południa, nie byli uzdrowicielami.

Gdy zatrzymali się na południowy posiłek, Lhandro rozłożył na płaskim kamieniu swą wystrzępioną mapę i przeciągnął po niej palcem, wskazując liczącą sto dwadzieścia kilometrów drogę, którą mieli przebyć do doliny Yapchi. Szlak nie był najkrótszy, biegł przez odludne tereny, pozwalał im jednak ominąć z daleka szosę północ-południe, a nawet kilka nisko położonych dolin na skraju płaskowyżu Czangtang, gdzie znajdowały się osady rolnicze. Będą szli dwa albo trzy dni dłużej, niż gdyby wybrali tradycyjny szlak karawan solnych, wyjaśnił Lhandro, ale dzięki temu niemal na pewno nie zostaną zauważeni. Shan kilka razy zauważył, jak Nyma rozmawia z Lhandrem, wskazując na południe i rozglądając się po

horyzoncie. Gdy rongpa złożył mapę, Shan dostrzegł na występie skalnym samotną postać, także spoglądającą na południe. Lokesh żartował czasem, że Tenzin nie może odżałować wszystkich okruchów jaczego łajna, które musi zostawić po drodze. Ale Shan widział troskę wyrytą na twarzy niemego Tybetańczyka i przypomniał sobie, jaki ból malował się na niej po śmierci Drakego.

Gdy podszedł do niego, Tenzin odwrócił się i zaczął schodzić z występu, ale Shan chwycił go za ramię i zatrzymał.

–Czy Drake pomógł ci w ucieczce z obozu? – zapytał.

Tenzin próbował się wyrwać, zerkając na niego ze złością, Shan jednak go nie puszczał. Utkwił w nim spokojne spojrzenie, dopóki emocje nie opuściły twarzy Tybetańczyka. Wreszcie Tenzin skinął lekko głową i uwolnił się z uścisku Shana.

Godzinę później, minawszy zakręt na szlaku, natknęli się na Dremu. Golok siedział w siodle, z lewą nogą na szyi konia, leniwie krojąc jabłko wymyślnym scyzorykiem, który dostał od Sonio, purby biegaczki.

Shan szybkim krokiem ruszył na czoło kolumny.

–Przełęcz jest zablokowana! – zawołał Golok donośnie, jakby wolał, żeby zachowali dystans. – Lawina śnieżna!

–Nie wydaje mi się! – odkrzyknął równie głośno Lhandro. – Była otwarta, kiedy przechodziliśmy! Mamy tam ukryte zapasy! Paszę dla owiec! W górach na tej wysokości nie ma już trawy!

–Lawina zeszła po wiosennych roztopach. Ta przełęcz jest teraz sześć metrów pod śniegiem – oświadczył Dremu, machając ręką w stronę wciąż odległej o wiele kilometrów przełęczy. Widać było jej zarys, szczegóły jednak ginęły w cieniu rzucanym przez niskie chmury. Ale gdy Shan podał Lhandrowi swą lornetkę, rongpa skierował wzrok nie ku przełęczy, lecz ku alternatywnemu szlakowi, który biegł na wschód, omijając

najwyższy ze szczytów. Podejrzał, co kieruje Golokiem, uświadomił sobie Shan, i wypatrywał śladów obecności niepożądanych obcych. Po długiej chwili naczelnik wioski spojrzał cierpko na jeźdźca, po czym dał znak, żeby karawana podjęła marsz na północ.

Dremu odsunął się od ścieżki, z ponurą miną przyglądając się mijającej go kolumnie zwierząt, a gdy przeszły, zawrócił wierzchowca i pognął go na szczyt niewielkiego wzgórza, skąd mógł obserwować rozwidlenie północnego i wschodniego szlaku. Zsiadł z konia i demonstracyjnie rzuciwszy koc na trawę, wyciągnął się na nim leniwie.

Godzinę później niebo nad szczytami oczyściło się i Lhandro ponownie zlustrował pasmo gór przez lornetkę. Wpatrywał się z uwagą, raz po raz regulując ostrość, po czym podał szkła Shanowi, wskazując punkt pomiędzy dwoma szczytami. Przełęcz zniknęła. Na jej miejscu piętrzyła się teraz potężna ściana olśniewającej

bieli, na której szczycie widać było wielkie, poszarpane bloki śniegu, pozostałość lawiny.

– Sukinsyn – warknął Lhandro, jakby to Dremu sprowadził lawinę. Krzyknął na karawanę, aby zawróciła.

Shan przyglądał się przełęczom i wznoszącym się ponad nią stromym, nieprzystępnym górom. – Przechodziliście tamtędy, kiedy szliście nad jezioro?

– Mieliśmy tam ukryte zapasy.

Shan spojrzał uważnie na Lhandra.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś inny je tam zostawił?

Rongpa nie odpowiedział.

– Purbowie – zaryzykował Shan.

– On lubił wspinaczkę – odezwał się po chwili Lhandro. – Powiedział, że ma przyjaciela, którego przyprowadzi, i razem

wbiegną na górę.

–Drakte? Drakte był tutaj?

–Powiedział, że to wszystko jest tajne, że niebezpiecznie jest rozmawiać o nim albo o tym, co robi. – Odwzajemnił spojrzenie Shana. – Ale myślę, że teraz nic już nie może mu zagrozić. Był w Yapchi przeszło dwa miesiące temu. Mówił, że lamowie przygotowują powrót oka, ale trzeba znaleźć bezpieczny sposób dostarczenia go na północ, taki, który nie budziłby niczyich podejrzeń. Kiedy zgodziliśmy się na karawanę z solą, Nyma poszła razem z nim.

Drakte był tutaj albo gdzieś niedaleko. Shan zaczął rozglądać się po okolicy. Odniósł wrażenie, że odtwarza, w odwrotnej kolejności, ostatnie dni życia purby.

–Czy on wędrował z wami i z owcami?

–Nie. Ale trzy razy odwiedził naszą wioskę. Najpierw krótko po odzyskaniu oka, kiedy Nyma powiedziała o słowach wyroczni. Potem dwa miesiące temu i jeszcze raz w zeszłym miesiącu. Wtedy wypytał nas szczegółowo o karawanę i dał mi swoją mapę, żebyśmy wiedzieli, gdzie zostawił zapasy, i mogli trzymać się z dala od osiedli ludzkich. Powiedział, że możemy sobie zatrzymać konie, na których przyjedziecie. – Konie były cennym dobrem, niedostępnym dla większości pasterzy i rolników.

–Pasterz nad jeziorem wspomniał o dowódcy purbów, na którego polują pałkarze. O Tygrysie. On też brał w tym udział? Czy on ma jakiś związek z kamieniem? – To wiele by tłumaczyło. Być może wcale nie ich ścigało wojsko i pałkarze. Trop tak znaczącego przywódcy ruchu oporu z pewnością rozbudziłby w żołnierzach żądzę krwi.

–Nie wiem. Być może. Pewnej nocy Drakte spotkał się z kimś na skałach nad naszą wioską. Poszedłem z nim, żeby trzymać straż. Nie pozwolił mi podejść zbyt blisko, ale dosłyszałem głos,

niepodobny do żadnego, jaki znałem. Niski, jak pomruk, ale niezupełnie. Jak gdyby ktoś krzyczał szeptem. Drake nie chciał powiedzieć, kto to był, ale później się dowiedziałem, że jakiś pałkarz uszkodził kiedyś Tygrysowi krtań.

Gdy zbliżyli się do rozdroża, gdzie zaczynał się wschodni szlak, Dremu wciąż siedział na kocu. Nie powitał ich, nie triumfował na ich widok, ale po prostu przytroczył koc do siodła i ruszył kłusem na wschód, przed karawaną.

Było już popołudnie, gdy ujrzeli skupisko domów, szop dla zwierząt i nędznych poletek, małą wioskę rongpów leżącą u wylotu wąskiej żwirowej dróżki, którą karawana musiała podążać przez kilka kilometrów, aby dotrzeć do następnej przełęczy, otwierającej im drogę na północ. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta, zbliżając się do wioski, przyspieszyli kroku w oczekiwaniu ciepłego posiłku, a może i osłony przed uporczywie dmącym, mroźnym wiatrem.

Ale wioska była opuszczona. Na stołach przed dwoma domami stały czarki z zimną herbatą i miseczki tsampy. Na ścieżce przed innym domem leżał rozłożony koc zarzucony skorupkami orzechów. Pod drzwiami walącej się chałupy tliło się niewielkie ognisko. Z wolna dogasały okruchy owczego łąjna. Obok ogniska leżał prymitywny skórzany miech. Wielki mastiff, przywiązany do słupa, szczekał głośno, nie na wkraczających do wioski intruzów, ale na wschód, ku wylotowi drogi.

Lhandro, zaniepokojony, zatrzymał karawanę i pospiesznie kazał wszystkim wycofać się pod osłonę pagórka, przez który właśnie przeszli, dopóki on z Shanem nie rozejrzą się po pustej wiosce. Przy pierwszej z chałup zatrzymał się i wykrzyknął powitanie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, podszedł do otwartych drzwi, przystanął na progu, po czym wszedł głębiej, zaraz jednak

ukazał się ponownie, z ponurym wyrazem twarzy. Spojrzał na wiszącą u framugi, kręcącą się na wietrze ramkę z patyków, kwadrat o boku dwudziestu pięciu centymetrów. Pomiedzy patykami przeplecione były pasma różnobarwnych nici. Była to pułapka na duchy, amulet mający wychwytywać demony, które zawędrowałyby zbyt blisko domu.

– Żywej duszy – mruknął Lhandro, omiatając wzrokiem pozostałe chałupy i otaczające wioskę wzgórza. – Nie ma nawet tego przeklętego Dremu – dodał, jakby teraz obarczał Goloka winą za wyludnienie osady. – To mogli zrobić bandyci. Trzymają ludzi, dopóki nie zapłacą okupu. – Nagle obrócił się gwałtownie, słysząc za plecami czyjeś kroki. Sprężył się, jakby gotował się do odparcia ataku. Spomiędzy dwóch chałup wyłonił się Lokesh, a za nim, chwilę później, Nyma. Stary Tybetańczyk minął ich w milczeniu, przekrzywiając z zaciekawieniem głowę.

– To nie bandyci! Nie poznajesz?! – krzyknęła mniszka. – Tak właśnie robią czasem pałkarze – dodała z udręką. – Jeśli podejrzewają kogoś o działalność wywrotową, po prostu zgarniają wszystkich jego sąsiadów na przesłuchania i trzymają ich w areszcie, gdy tymczasem zwierzęta zdychają z głodu, a plony marnieją. Prędzej czy później ktoś sobie przypomni albo nawet zmyśli coś, co ich zadowoli.

Cała czwórka z niepokojem szła wyboistą wioskową drogą, w miarę możliwości trzymając się zacienionych miejsc. Gdy okrążyli potężną skałę, zobaczyli stojący na skraju drogi pusty czerwony samochód terenowy. Na taki pojazd nie mógłby sobie pozwolić Tybetańczyk. Używały ich przede wszystkim instytucje państwowe. Gdy niepewnie przyglądali się terenówce, nad skałami przetoczył się echem krzyk. Shan zawahał się, nie mogąc się zorientować, skąd on dobiega, spostrzegł jednak, że Lokesh biegnie ku szerokiej ledwie na pół metra szczelinie w

skalnym wypiętrzeniu, wzdłuż którego prowadziła droga. Popędził jego śladem. Nyma i Lhandro ruszyli tuż za nim, gdy nieruchome powietrze rozdarł kolejny głośny krzyk.

Krótką szczelina otwierała się na naturalną trawiastą kotlinkę w miejscu, gdzie zbiegały się stoki sąsiednich wzniesień. Znaleźli wioskę i Shan uświadomił sobie, że okrzyki nie były wyrazem strachu lub bólu, ale podniecenia. Niemal pięćdziesiąt osób siedziało na stoku lub stało kręgiem wokół niewielkiej płaskiej łączki na dnie kotlinki. Ktoś pisnął z zaskoczenia, ktoś inny parsknął śmiechem. Nie była to reakcja na pojawienie się Shana lub jego towarzyszy, gdyż wyglądało na to, że nikt ich nie zauważył. Mieszkańcy wioski wpatrywali się w mężczyznę siedzącego na grzbiecie wielkiego rozjuszzonego jaka. Jeździec wymachiwał jedną ręką, drugą zaś ścisnął kurczowo skórzany pas otaczający brzuch zwierzęcia. Jak wierzgał i miotał się, a raz nawet poderwał szeroki łeb i wydał donośny ryk, na który kilkoro dzieci czmychnęło w głąb tłumu. Był to imponujący okaz, prawdopodobnie niezbyt odległy potomek potężnych dzikich jaków, które wciąż żyły na tybetańskich pustkowiach.

Wzrok Shana nie zatrzymał się jednak na wspaniałym zwierzęciu, bo choć widok szalejącego jaka był zaskakujący, jeszcze bardziej zaskakujące było to, kto go dosiadał. Jeździec był szczupły, miał długie ręce i nogi. Słomkowej barwy włosy opadały mu na uszy. Zdawał się rozmawiać z jakiem, gdyż po każdym ryku zwierzęcia wydawał dziwne okrzyki.

–Ja! Ja!!!! – wołał bez żadnego widocznego powodu. – Ji-haaa! – i – Jo!

–Posłuchaj go – odezwał się do Shana stojący obok Lhandro. – Ten człowiek chyba strasznie cierpi. Kto zmusił goserpę do czegoś takiego? – dodał z przerażeniem, jakby jazda na jaku była formą tortury.

–Goserpa – powiedziała Nyma, z otwartymi ustami wpatrując się w jeźdźca. Znaczyło to „żółta głowa” – tak czasem Tybetańczycy nazywali ludzi z Zachodu. Shan wiedział, że dla większości mieszkańców tego regionu spotkanie z cudzoziemcem jest wydarzeniem równie rzadkim jak spotkanie jednego z niemal wymarłych dzikich jaków.

Nagle rozwścieczone zwierzę wyrzuciło jeźdźca w górę, aż – jego nogi znalazły się w poziomie. Goserpa wciąż jednak trzymał mocno pas, i kiedy opadł, znów siedział okrakiem na jaku. Stojący przed tłumem mężczyźni z linami w rękach drgnęli niespokojnie, jakby się szykowali, by okiełznać zwierzę. Po drugiej stronie łączki kręcił się przy wielkim głazie drobny blady Tybetańczyk

w ciemnym garniturze i białej koszuli z krawatem. To krył się za skałą, to znów ostrożnie się zza niej wychylał, z przerażoną miną wpatrując się w jeźdźca, i raz po raz nieśmiało unosił dłoń, chcąc zapewne zwrócić na siebie jego uwagę.

Niespodziewanie jak szarpnął się i wygiął grzbiet, zrzucając jeźdźca, który zakreślił długi łuk w powietrzu, rozpaczliwie wymachując rękami i nogami, jakby spodziewał się znów opaść na swego wierzchowca. Ale na oczach ucichłego nagle tłumy przeleciał na drugą stronę łączki i z głośnym stęknieniem zwałił się na ziemię. Leżał płasko na plecach, nie dając znaku życia, podczas gdy trzej mężczyźni z linami pospiesznie okrążyli jaka. Człowieczek w garniturze wyciągnął z kieszeni okulary i powoli wyszedł naprzód, żeby podnieść z ziemi czarną czapkę. Shan ruszył niepewnym krokiem ku leżącemu bezwładnie cudzoziemcowi, kiedy wyprzedził go Lokesh.

Człowiek z Zachodu wpadł w drgawki. Zacisnął dłonie na brzuchu, a jego pierś zaczęła się gwałtownie unosić i opadać. Mały Tybetańczyk w garniturze krzyknął gniewnie na trzech

mężczyzn z linami, nie po tybetańsku, ale po chińsku.

–Zawiadomię Urząd Bezpieczeństwa! – wrzeszczał piskliwie z miną waźniaka, potrząsając w ich stronę czarną czapkę. – Wy głupcy! Trzeba będzie wezwać ludzi z Lhasy! Zobaczycie, co się dzieje, kiedy gość z zagranicy... – Urwał, spojrzawszy na leżącego blondyna. Lokesh także przystanął, a troska ulotniła się z jego twarzy. Cudzoziemiec skręcał się ze śmiechu.

–Yeee-esss! Oh mama, yes! – wykrzyknął po angielsku pierwsze zrozumiałe dla Shana słowa, entuzjastycznie wyrzucając w górę ramiona. Usiadł, śmiejąc się tak gwałtownie, że jedną ręką znów musiał złapać się za brzuch.

Największy z Tybetańczyków z linami, przysadzisty mężczyzna, któremu brakowało trzech przednich zębów, podszedł niepewnie do cudzoziemca i pomógł mu wstać. Blondyn natychmiast objął Tybetańczyka, po czym przyjrzał się uważnie jego towarzyszom, którzy unieruchomili właśnie Jaka, zarzuciwszy dwie liny wokół jego grubej szyi. Odgarnął długie włosy i uśmiechnął się szeroko do tłumu.

Wieśniacy wybuchnęli śmiechem. Niektórzy drwiąco wskazywali palcami mężczyznę w garniturze, który podpartszy się pod boki, stał z nadętą miną, spoglądając na człowieka z Zachodu, jakby był zawiedziony, że widzi go jednak przy życiu. Blondyn przez chwilę przypatrywał się Shanowi, z zaciekawieniem przekrzywiając głowę, po czym znów odgarnął włosy z oczu i zerknął na mężczyznę w garniturze, Tybetańczyka, który krzyczał po chińsku do swych rodaków. Wahał się, marszcząc brwi, jakby zamierzał powiedzieć coś do nerwowego człowieczka, potem jednak jego wzrok padł na Jaka i na jego twarzy znów pojawiła się radość. Co dziwne, zwierzę odwzajemniło jego spojrzenie. Okrągłe brązowe oczy zdawały się iskrzyć nie tylko nieokiełznaną energią, lecz i zaciekawieniem.

Cudzoziemiec stanął przed jakimś i nagle, nim zwierzę zdążyło zareagować, wyciągnął rękę, chwycił je za łeb i pocałował w wilgotny nos. Rozległy się wiwaty. Tybetańczyk w garniturze pochylił głowę i zakrył twarz dłonią.

– Za ile można kupić tego króla zwierząt? – zapytał głośno cudzoziemiec, zwracając się do trzech mężczyzn od lin.

Mówił

po tybetańsku, z doskonałą intonacją.

Zagadnięci spojrzeli na niego zakłopotani, po chwili jednak pochylili się ku sobie, by odbyć pospieszną naradę.

– Tysiąc renminbi – oświadczył z powagą wysoki. Najwyraźniej zwierzę było cenne. Suma ta, choć niewiele przekraczająca sto amerykańskich dolarów, była prawdopodobnie większa niż roczny zarobek niejednego z wieśniaków.

Ku wyraźnemu zaskoczeniu całej trójki nieznajomy wyciągnął portfel i odliczył żadaną kwotę. Gdy skończył, rozejrzał się po wieśniakach i podszedł do młodej dziewczyny. Donośnym głosem zaproponował, że kupi jedną z dwóch czerwonych wstążek, którymi związane były jej warkocze. Dziewczyna zarumieniła się, po chwili jednak żywo pokiwała głową.

Cudzoziemiec wypełnił jej dłoń monetami, uklonił się lekko, przyjmując wstążkę, po czym przywiązał ją solidnie do grzywy jaka. Ze swobodą człowieka przyzwyczajonego do takiej pracy zdjął sznury z szyi zwierzęcia, po czym końcem liny smagnął je w bok. Jak rzucił się przez wstrząśnięty tłum i niczym młody ogier galopem wspiął się na stok. Nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł na szczyt pierwszego

grzbietu, gdzie odwrócił się i spojrział wyzywająco na oniemiałych wieśniaków, którzy znów wybuchnęli okrzykami radości. Człowiek z Zachodu nie tylko ofiarował wspaniałemu stworzeniu wolność. Wstążka świadczyła o tym, że oznaczył je

jako wykupione, podlegające ochronie w hołdzie dla bóstw. Zazwyczaj wykupywano zwierzęta przeznaczone na ubój, a wówczas wstążka chroniła je przed rzeźnikiem, zapewniając im długie życie. Wstążka na tym jaku oznaczała, że został on uwolniony od pracy i nie mógł być odtąd wykorzystywany przez ludzi bez obrazy bogów.

Połowa mieszkańców wioski skupiła się w podnieceniu wokół trzech mężczyzn, którzy wpatrywali się w olbrzymi i niespodziewany dar, jaki otrzymali. Wielu innych podbiegło do człowieka z Zachodu, niektórzy z wyciągniętymi rękami, żeby go po prostu dotknąć, niektórzy po to, by podziękować mu za ofiarę lub wychwalać jego jazdę na jaku. Jeszcze inni trzymali się na uboczu, przesuwając paciorki różańca i przyglądając się cudzoziemcowi okrągłymi, pełnymi podziwu oczyma.

Po dłuższej chwili nieznajomy niepewnie podszedł do Shana. –Jeżeli jesteś ranny – odezwał się Shan – możemy się tobą zająć.

Mężczyzna uśmiechnął się rozbawiony. Przyjrzał się Shanowi oraz Lokeshowi z tym samym co poprzednio zaciekawieniem i przekrzywieniem głowy, po czym znów skierował wzrok na jaka, który wciąż obserwował ich ze szczytu wzgórza.

–Z takim zwierzakiem u siebie, w Oklahomie, stałbym się bogaczem – oświadczył po tybetańsku, z błyskiem w niebieskich oczach.

–Nie rozumiem, co robiłeś – powiedział Shan.

Mężczyzna ponownie się uśmiechnął i przesunął wzrokiem po twarzach Nymy, Lokesha i Lhandra, każdemu kiwając głową, a oni ze zdumieniem odwzajemniali jego spojrzenie.

–Wiesz, chodzi o tę całą przemijalność – odparł nieznajomy, wyciągając do nich rękę. – Shane Winslow – powtarzał, ujmując kolejno ich dłonie. Nakrywał je przy tym lewą ręką, nie

potrząsając, ale ściskając lekko, gdy się przedstawiali, i powtarzał ich imiona.

–Dlaczego jeździłeś na tym zwierzęciu? – spróbował jeszcze raz Shan.

Winslow przeciągnął dłonią po włosach.

–Mówiłem ci – powiedział i odwrócił się do Lokesha. – To coś w rodzaju waszego rytuału chód – oświadczył rzeczowo.

–

Tyle tylko, że kowboje robią to, jeżdżąc na byku.

Shan przyglądał mu się zdziwiony. Chód, „odcięcie”, było jednym z rytuałów, o których często rozmawiał z Gendunem. Poddawano mu zwykle mnichów na zaawansowanym etapie nauki. Mnich zasiadał na wiele godzin samotnie w miejscu podniebnego pochówku, często nocą, by doświadczyć lęku o życie i się z nim uporać, odcinając się od swego ja. Dla większości była to straszliwa próba, z której niektórzy wracali, bełkocząc.

–Kowboje? – zapytała powoli Nyma. Winslow użył amerykańskiego słowa, dla którego nie było tybetańskiego odpowiednika. – Co to są kowboje?

–Zasadniczo to ludzie, którzy jeżdżą konno po wzgórzach, szukając krów i śpiewając – wyjaśnił Winslow, znów uśmiechnięty.

Nyma pokiwała głową, z początku wolno, potem energiczniej, jakby teraz wiedziała już doskonale, kto to kowboj. Shan uświadomił sobie, że Amerykaninowi udało się przedstawić to zajęcie jak pielgrzymkę.

Między Lokeshem i Lhandrem pojawiła się mała dziewczynka, która wyciągnęła do Amerykanina niebieską wstążeczkę. Winslow kucnął przed nią, kładąc jej dłoń na ramieniu.

–To tylko jak jej potrzebował – powiedział łagodnie. Rozpiął guzik od kieszonki koszuli i wyjął fotografię, wydrukowaną na grubym papierze, formatu połowy pocztówki. Podał małej zdjęcie oburącz, w podarunku, a ona wzięła je, szeroko otwierając oczy. Wykrzyknęła radośnie i odwróciła się, niezdolna opanować wzruszenia. Stojący najbliżej skupili się wokół dziewczynki, powtarzając jej okrzyk. Byli równie podekscytowani jak wtedy, gdy Amerykanin uwolnił ją.

Fotografia, zauważył Shan, przedstawiała dalajlamę. W przeszłości Tybetańczycy trafiali do więzienia za samo posiadanie czegoś takiego. Wciąż było to oficjalnie zakazane i władze

rutynowo konfiskowały takie zdjęcia. W kampaniach represyjnych, które okresowo przewalały się przez kraj, były one traktowane jako dowód niewiarygodności politycznej. Ale Tybetańczycy bardzo je cenili i Shan widywał je często na przenośnych ołtarzykach w namiotach dropków.

Przyglądał się dziwnemu Amerykaninowi, gdy ten wziął na ręce dziewczynkę, która z podnieceniem wołała teraz matkę. Już wcześniej spotykał takich cudzoziemców, mężczyzn i kobiety, którzy włóczyli się po Tybecie w poszukiwaniu przygód lub oświecenia. Lokesh nazywał ich tułaczami, co sugerowało, że wszyscy oni są mniej lub bardziej zagubieni. Shan zawsze trzymał się od nich z daleka, gdyż rzadko miewali odpowiednie dokumenty podrózne i zawsze przyciągali uwagę Urzędu Bezpieczeństwa lub patroli wojskowych. Takiemu cudzoziemcowi niewiele groziło – jeśli został schwytany, po prostu go deportowano. Ale ludzie przyłapani w jego towarzystwie zostaliby aresztowani i poddani przesłuchaniom, gdyż rozmowa z obcokrajowcem była dowodem niebezpiecznych skłonności.

Dziewczynka wskazała szczelinę prowadzącą ku drodze, jak

gdyby uznała, że tam właśnie poszła jej matka, i wysliznęła się z ramion Winslowa. Amerykanin uśmiechnął się, odprowadzając ją wzrokiem.

–Nie jesteś z tej wioski – zwrócił się do Lhandra swobodnym tonem i z szerokim uśmiechem znów spojrzął na jaka, który wciąż stał na szczycie wzgórza. W tej samej chwili Shan spostrzegł coś na stoku przeciwległego wzniesienia: jeźdźca na siwym koniu.

–Przyszliśmy z karawaną – odparł Lhandro.

Jeździec wyglądał jak Dremu, uświadomił sobie Shan. Golok zdawał się machać do nich.

Amerykanin gwałtownie obrócił głowę ku rongpie.

–Z północy? Z zachodu? Nie drogą? – Zerknął na Shana. – Wy wszyscy? – Gdy Lhandro skinął głową, Winslow szybko wyciągnął mapę z tylnej kieszeni spodni. – Pokaż mi – rzucił nagłoco. – Powiedz mi, kogo widzieliście, gdzie dokładnie by liście. Muszę wiedzieć, czy...

Przerwał mu okrzyk przerażenia. Dziewczynka wybiegła ze szczeliny, rozpaczliwie wołając matkę. W dłoni trzymała strzępek papieru, na którym widniały uśmiechnięte usta i podbródek mężczyzny. Ktoś oderwał górną połowę jej drogocennego zdjęcia. Shan zerknął w górę zbocza na Dremu, który zsiadł z konia. Golok nie machał do nich, uświadomił sobie ze zgrozą, lecz gorączkowo starał się ich ostrzec przed niebezpieczeństwem.

Ale w tej samej chwili Nyma, a zaraz potem Lhandro, rzucili się ku szczelinie. Lokesh pociągnął Shana za rękaw, jakby chciał go powstrzymać, nie dopuścić, żeby poszedł za nimi.

–Idź – ponaglił go, popychając w stronę Dremu. – Idź do Goloka.

Ludzie rozbiegali się na wszystkie strony. Gdy Shan obejrzał

się za siebie, Lokesha już nie było. Nie namyślając się wiele, wybiegł przez szczelinę na drogę.

Gdy wypadł na jaskrawe słońce, natknął się na leżącego na żwirze człowieka. Był to Lhandro. Rongpa, jęcząc, trzymał się za głowę. Spomiędzy palców sączyła mu się krew. Nyma klęczała nad nim. Lokesh stał obok, trzymany od tyłu za ręce przez dwóch potężnie zbudowanych Chińczyków w zielonych mundurach Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Kilkunastu innych żołnierzy, ustawionych w literę V zwróconą ramionami ku szczelinie, wyłapywało wszystkich przechodzących z drugiej strony skał. Na drodze w głębi stały dwie szare ciężarówki wojskowe, każda z wymalowaną na przednich drzwiach groźnie wyglądającą panterą śnieżną. Pomiędzy pojazdami na składanym metalowym krześle siedział jakiś oficer, obserwując z zadowoleniem, jak pułapka wypełnia się ludźmi. Z wargi zwisał mu przyklepiony papieros. Shan zobaczył, że mężczyzna zaczyna pisać coś w balansującym na kolanie notatniku, ze swobodną, rozbawioną miną sędziego zapisującego punkty na zawodach sportowych.

Ktoś brutalnie chwycił go za rękę i Shan uświadomił sobie nagle, że jego lewy nadgarstek połączono z prawym przegubem Lokesha, nie kajdankami, ale kawałkiem cienkiego drutu, którego końce skręcono razem ciasno tak, że najdrobniejszy ruch sprawiał ból.

Znowu byli więźniami.

Część druga

POPIÓŁ

Rozdział piąty

Przeszło dwudziestu zrezygnowanych mieszkańców wioski stało ze zwieszonymi rękami rzędem pod skałą, a dwaj żołnierze przeglądali kolejno ich dokumenty. Myny wieśniaków powiedziały Shanowi, że takie kontrole nie są dla nich nowością. Niektórzy dusili w sobie gniew, niektórzy strach, wszyscy jednak skrywali oburzenie tym, że we własnym kraju są traktowani jak obcy. Zaledwie przed trzema miesiącami Shan był świadkiem, jak młody Tybetańczyk wrzeszczy do kontrolującego go pałkarza: „A gdzie są twoje dokumenty?” Pałkarz zakuł go w kajdanki i nim minęła godzina, chłopak był już w drodze do więzienia, gdzie miał spędzić okrągły rok.

Kazano im się wylegitymować i wieśniacy jeden po drugim wolno sięgali w zakamarki ubrań po dokumenty, śledząc wzrokiem nie sierżanta, który ostrym tonem wykrzykiwał im polecenia, lecz drugiego żołnierza, który kroczył tuż za nim z kałasznikowem skierowanym lufą w dół, z palcem na języku spustowym. Nigdy nie było wiadomo, czego oczekiwać, gdy bezpieka lub wojsko zjawiały się w miejscach takich jak to. Najczęściej wszyscy Tybetańczycy, którzy okazali dokumenty, byli puszczani wolno. Ale jeśli patrol miał ważniejsze zadanie niż samo tylko wyłapanie nie zarejestrowanych obywateli, nawet ci, którzy mieli papiery w zupełnym porządku, mogli zostać zatrzymani. W martwych sezonach niektórzy funkcjonariusze organów ścigania w Tybecie przymykali przypadkowych, zupełnie niewinnych ludzi i przetrzymywali ich, dopóki nie znalazły się przeciwko nim konkretne oskarżenia. „Każdemu można coś zarzucić”, oświadczył kiedyś Shanowi pewien oficer od przesłuchań. „My po prostu nie mamy czasu sprawdzać wszystkich”.

Nyma pomogła Lhandrowi usiąść. Strużka krwi spływała z lewej skroni rongpy, gdzie został najwyraźniej uderzony, prawdopodobnie kolbą karabinu. Mniszka niczym troskliwa matka objęła go ramionami, spoglądając na Shana oczyma wilgotnymi od łez. Ona też wiedziała coś o patrolach. Mieszkańcom wioski być może nic nie groziło, ale Nyma, która uparcie twierdziła, że nie jest prawdziwą mniszką, mogła zostać uwięziona za noszenie mnisiej szaty bez zezwolenia Urzędu do spraw Wyznań.

–Ten jak pędził jak antylopa – szepnął Lokesh, unosząc głowę ku niebu. Stojący najbliżej niego żołnierz zamierzył się na niego kolbą karabinu i warknął, żeby był cicho.

Shan spojrzał na przyjaciela. Przynajmniej zobaczyli Amerykanina z jakim, miał na myśli Lokesh. Była to taka obozowa gra, którą obaj często się ratowali przez lata spędzone w lao gai. Utrwał obraz w myślach i pozwól, żeby wypełnił twoją świadomość, przesłaniając ból, głód i strach. Shan przypomniał sobie, jak pewnego dnia wracali więzienną ciężarówką z placu budowy, gdzie strażnicy pobili i odciągnęli na bok kilku starszych mnichów, którzy zasłabli z wyczerpania, gdyż cały ich poranny i południowy posiłek stanowiła jedynie rzadka papka z mielonych kaczanów kukurydzy i wody. „Widziałem dziś płatek śniegu opadający na motyla”, powiedział nagle jeden z poturbowanych lamów, ściągając sobie na głowę cios pałki strażnika za złamanie nakazu ciszy. Ale nim ciężarówka dotarła do obozu, wszyscy więźniowie

uśmiechali się pogodnie, bo ich myśli wypełniał obraz motyla.

Najpierw zostaną odwiezieni do wojskowego więzienia, zgadywał Shan, potem oddzieli go od Lokesha. Jedynym przestępstwem starego Tybetańczyka było opuszczenie bez zezwolenia okręgu Lhadrung, gdzie oficjalnie zwolniono go z obozu pracy. Ale kiedy zajmą się Shanem, wkrótce odkryją tatuaż na jego ramieniu i sprawdzą jego dane w komputerach bezpieczeństwa. Potraktują go jak uciekiniera z lao gai, a dla takich jak oni uciekinier jest niczym świeże mięso dla wygłodniałych psów. Korciło go, żeby jeszcze raz zerknąć na wzgórza za wioską, gdzie ukrywał się inny uciekinier, niemowa.

Mężczyzna siedzący na krześle cisnął niedopałek papierosa na ziemię, wstał i ruszył ku żołnierzom legitymującym zatrzymanych. Niecierpliwie rozkazał im przestać i przesunął wzrokiem po wydłużającym się szeregu wieśniaków. Z władczą miną przeszedł się wzdłuż niego, przystając na chwilę, by elegancką złotą zapalniczką zapalić kolejnego papierosa, po czym poklepał kilka osób po ramieniu i palcem wskazującym odesłał je na bok. Nagle, parę kroków przed nim, wystąpiła z szeregu jakaś niemłoda już kobieta, pokazując na Shana i troje jego towarzyszy.

–Oni nie są z naszej wioski! – krzyknęła. – Nigdy wcześniej ich nie widzieliśmy! Nigdy im nie pomagaliśmy!

Shan westchnął. Nie miał tej kobiecie za złe tego, co powiedziała. Bez wątplenia miała już do czynienia z bezpieczeństwem, zdążyła się nauczyć od Chińczyków, że najlepiej ochronić siebie i rodzinę, kierując uwagę funkcjonariuszy na innych. Ale było mu jej żal, gdyż wiedział, jak będzie się z tym czuła i jak będą na nią patrzeć sąsiedzi.

Oficer przystanął i spojrzał na niego, jakby dopiero teraz go zauważył. Wyjął papierosa z ust i wypuścił w stronę Shana strugę dymu, po czym znów się odwrócił i ruszył dalej. Chwilę później skończył przegląd, zwolniwszy kobiety i dzieci oraz młodych mężczyzn. Wszyscy, którzy pozostali, mieli, jak ocenił Shan, co najmniej trzydzieści lat. Oficer ponownie przeszedł wzdłuż szeregu i odesłał na bok jeszcze dwóch. Byli starsi, ale niewysocy, poniżej metra siedemdziesiąt, najniżsi z dotąd nie zwolnionych.

Na pstryknięcie palców oficera dwaj żołnierze, którzy sprawdzali dokumenty, rzucili się znów do swej roboty. Przeglądali papiery sześciu pozostałych mężczyzn z jeszcze głośniejszymi niż poprzednio krzykami i brutalniej się zachowując. Oficer przechadzał się niecierpliwie, czekając, aż skończą. Trzema długimi sztachnięciami dokończył papierosa i odpalił następnego od niedopałka. Jego ludzie byli przy piątym mężczyźnie, kiedy stracił zainteresowanie i wszedł między dwa szeregi żołnierzy, którzy wciąż strzegli przejścia przez skały. Nie był to rutynowy patrol, uświadomił sobie Shan. Wpadli w ręce, jak nazywali ich purbowie, porywaczy. Ci ludzie szukali kogoś konkretnego.

–Ona powiedziała, że nie jesteście stąd – wycedził oficer cienkim głosem i wydmuchnął dym w twarz Shana.

Shan utkwiał wzrok w ziemi. Czuł się dziwnie oderwany od tej sceny, jakby przyglądał się sobie z daleka. Część niego nigdy nie wątpiła, że prędzej czy później znów trafi do obozu. Jak pędził niczym antylopa. Pomyślał o wesołym jeźdźcu, mając

nadzieję, że Amerykanin zdołał uciec. To nie mogło się powieść, głupotą było sądzić, że Shan zdoła ocalić dolinę. Być może za następne sto lat Tybetańczykom rzeczywiście uda się znaleźć prawego Chińczyka.

Sierżant uniósł coś, by pokazać to oficerowi. W rękę trzymał oddartą połówkę zdjęcia dalajlamy. Przyciągnąwszy uwagę przełożonego, odwrócił kartonik w palcach. Była to rutynowa czynność przy znajdowaniu takich zdjęć, jeden z tysięcy nawyków, które przyswoili sobie żołnierze i pałkarze. Niekiedy na odwrocie takich fotografii drukowano tybetańską flagę, co gwarantowało areszt albo jeszcze gorzej. Na tym zdjęciu jednak jej nie było.

–Jestem pułkownik Lin z 54. Brygady Strzelców Górskich – oświadczył nagle oficer. Mówił wolno, z dziwnym wyczekiwaniem. Powiódł wzrokiem po szeregu wieśniaków i odwrócił się do Shana oraz jego towarzyszy. – Ja będę zadawać pytania. Wy będziecie odpowiadać.

Shan spojrzał w twarz pułkownika, twardą i sękatą niczym pięść. 54. Brygada Strzelców Górskich jednak ich dopadła. Walczył z pokusą, żeby jeszcze raz rzucić okiem ku wiosce. Z pewnością ktoś z karawany widział, co się dzieje, z pewnością wszyscy są bezpieczni i uciekają już w góry. Zerknął na swych towarzyszy. Nyma, z pobladłą twarzą, patrzyła w ziemię. Lokesh spoglądał w niebo. Lhandro, wciąż siedzący na ziemi, z krwią spływającą mu po twarzy, wpatrywał się w pułkownika z mieszaniną strachu i odrazy. Miał przed sobą żołnierzy dywizji, która zmasakrowała jego przodków.

Nagle pułkownik Lin wyszarpnął pałkę z za pasa najbliższego z podwładnych. Podeszedł do Shana, który utkwiał wzrok w małej kałuży krwi pod Lhandrem, i bez słowa wetknął koniec pałki pod jego podbródek, uniósł mu głowę. Ich oczy spotkały się i Lin przyglądał mu się przez chwilę.

–Han – warknął pod nosem, jakby zaklął. Pułkownik był w wieku Shana, nieco niższy od niego. Jego oczy miały metaliczny pobłysk. Wahał się przez chwilę, być może zastanawiając się, czy w twarzy Shana dostrzega wyzwanie, po czym zmarszczył brwi, opuścił pałkę i skinął na sierżanta, odwrócił się do Lokesha. Przypatrywał się staremu Tybetańczykowi z o wiele większą uwagą niż jego chińskiemu przyjacielowi. Shan ledwie zauważył, jak sierżant obmacuje jego kieszenie. Śledził koniec pałki, sprężając nogi do skoku, żeby przyjąć na siebie cios, gdyby Lin chciał uderzyć Lokesha. Ale pułkownik chwycił wolną rękę starca za nadgarstek i odwrócił ją, żeby obejrzeć wnętrze dłoni.

–Nic – rzucił sierżant.

Lin z lodowatym błyskiem w oczach ponownie spojrzał na Shana.

–Nie macie żadnych papierów? – zapytał cicho.

–Tylko broszurkę na temat pogody ducha – odparł Shan.

Wyglądało na to, że pułkownikowi spodobała się ta bezczelna odpowiedź. Na jego twarzy pojawił się skąpy uśmiech. Wskazał sierżantowi notatnik leżący na krześle.

–Podacie mi swoje nazwisko.

Shan znów utkwiał wzrok w kałuży krwi. Lin puścił dłoń Lokesha i wyciągnął rękę.

–Macie dokumenty, towarzyszu? – zapytał po chińsku starego Tybetańczyka.

Czego szukał w dłoni Lokesha? Z pewnością nie kamiennego oka. Szukał człowieka, człowieka mającego na dłoni... co? Odciski zdradzające uciekiniera z obozu pracy? Albo brak odcisków? Blizny? Czyżby to oznaczało, że Lin wie, kto ukradł kamień?

Zamiast podać pułkownikowi wystawiony w Lhadrung dowód tożsamości, Lokesh zaprezentował mu swój skrzywiony uśmiech. Lin sprawiał wrażenie rozbawionego jego reakcją. Jeszcze raz spojrzął na Shana, po czym przechylił głowę i z zainteresowaniem przyjrzał się pokrytej siwym zarostem szczękę Lokesha, noszącej wyraźne ślady dawnego złamania. Zapewne znał się na takich obrażeniach. Popatrzył starym Tybetańczykowi w oczy, uniósł jego rękę i podciągnął rękaw.

Na wewnętrznej stronie przedramienia, piętnaście centymetrów powyżej nadgarstka, widniał wytatuowany ciąg cyfr.

–Lao gai – oświadczył z satysfakcją i odczytał numer sierżantowi, który stał obok niego z notatnikiem w dłoni. – Pytaliśmy go o nazwisko – powiedział do podoficera, wskazując na Shana. Westchnął i zdjąwszy Lokeshowi kapelusz z głowy, podał go ostrożnie najbliższemu żołnierzowi. Uderzając pałką o dłoń, przyglądał się uważnie ciemieniu starca.

–Nazywam się Shan – powiedział Shan, śledząc wzrokiem koniec pałki.

–Han podróżujący z tybetańskim kryminalistą – zauważył oskarżycielskim tonem Lin.

Nagle Lokesh uniósł głowę. Shan spojrzął tam gdzie on i ujrzał na niebie zbliżający się w stronę wioski sznur lecących nisko ptaków. Tuzin gęsi przęgogłowych, zmierzających, jak się domyślał, nad Lamtso.

Gdy pułkownik odwrócił głowę i zobaczył ptaki, w jego oczach pojawił się błysk pożądania. Rzucił krótki rozkaz i jeden z żołnierzy podbiegł do pierwszej ciężarówki, na której drzwiach wymalowana była skacząca pantera śnieżna. Przyniósł stamtąd potężny, długolufy karabin samopowtarzalny. Lin chwycił broń, odczekał chwilę i kiedy sznur ptaków, lecący nie więcej niż trzydzieści metrów nad ziemią, przybliżył się na pięćdziesiąt metrów, poderwał karabin, złożył się i oddał kilka strzałów. Nyma krzyknęła. Lokesh cicho jęknął z niedowierzania. Dwie wielkie gęsi zwały się na ziemię, trzecia wywinęła koziółka, tracąc wysokość, ale poleciała dalej. Kilku żołnierzy krzyknęło radośnie, a jeden rzucił się, by przynieść martwe ptaki. Lin oddał karabin żołnierzowi, który mu go przyniósł, po czym z nie zmienionym lodowatym wyrazem twarzy odwrócił się do swych więźniów.

Lhandro klęczał, po policzku spływała mu krew. Nyma pochyliła się, żeby pomóc mu wstać, ale stojący obok żołnierz odciągnął ją. Kiedy się opierała, wymierzył jej siarczasty policzek. Shan przyglądał się z przerażeniem, jak mniszka cofa się i zaraz potem rzuca naprzód, jakby chciała uderzyć żołnierza. Ten jednak ponownie zamachnął się i chwyciwszy za sznur paciorków, na którym Nyma nosiła wielkie gau, skręcił go, zaciskając na jej

szyi, aż go rozerwał i relikwiarzyk spadł mu na dłoń. Rzuciwszy okiem na gau, żołnierz cisnął nim o skałę. Nyma jęknęła i wykonała ruch, jak gdyby zamierzała podnieść puzderko, zamarła jednak, uprzytomniwszy sobie, że nie powinna ściągać

na nie uwagi żołnierza. Otworzyła je kiedyś, żeby pokazać Shanowi ukryty w nim skarb, pod którym spoczywała modlitwa. Była to fotografia dalajlamy z tybetańską flagą na odwrocie.

Lhandro z wysiłkiem podniósł się na nogi, sięgnął do kieszeni koszuli i drżącą dłonią wyciągnął swoje papiery.

Lin wyrwał mu je, zanim sierżant zdążył podejść do rongpy.

–Yapchi – przeczytał z nagłym zainteresowaniem. – Yapchi – powtórzył znacząco. Zapłonęły mu oczy, najpierw gniewem, potem satysfakcją. Wśród żołnierzy rozległ się pomruk. Kilku z nich uniosło ku rongpie lufy karabinów. – Zawędrowaliście prawie sto kilometrów od swoich pól, kmiotku – zauważył pułkownik. Przesunął wzrokiem po Nymie, Shanie i Lokeshu. – Wszyscy jesteście z Yapchi? – warknął, zaciskając dłonie tak mocno, że aż zbieleły mu kostki palców. – Co tu robicie? Co was sprowadziło tak daleko? – Jego wargi rozciągnęły się, ukazując poślizgnięte od tytoniu zęby. Umilkł, jakby napawał się tą sytuacją. Powieki opadły mu lekko. Był to wyraz twarzy, jaki Shan często widywał u oficerów bezpieki: niedbałe, cierpliwe okrucieństwo ukryte w ospałych rysach.

–Jeszcze za wcześnie na żniwa – odezwał się słabo Lhandro.

Lin dał znak sierżantowi, który podbiegł do kabiny pierwszej ciężarówki i wrócił z wyczekującą miną, niosąc w obu rękach długi na trzydzieści centymetrów metalowy przedmiot.

–Gdzie są wasze torby? Wasze bagaże? Muszę je zobaczyć! – warknął pułkownik. – Byliście w Lhasie? – zapytał, chwytając rongpę za ramię.

Sierżant strzelił obcasami i podał Linowi przyniesiony przedmiot. Shan poczuł, jak żołądek zaciska mu się w lodowaty supeł. Był to ulubiony amerykański nabytek bezpieki, elektryczny bicz na bydło.

Nyma także poznała, co to takiego. Przenikliwie jęknęła i wyszła przed Lhandra, żeby go sobą zasłonić. Shan patrzył na pułkownika zbity z tropu. Bicza na bydło używali pałkarze, wojsko

rzadko się do tego uciekało. Jego miejsce było w celach przesłuchań, nie na poboczu polnej drogi na skraju płaskowyżu Czangtang. Pułkownik najwyraźniej zdecydowany był za wszelką cenę wydobyć informacje ze swych więźniów. Gdy Lin, rzuciwszy Nymie rozbawione spojrzenie, sięgnął po bicz, od strony skał rozległ się donośny, śmiały głos:

–Hej, generale! Wasza wysokość! Urządziliśmy tu sobie z przyjaciółmi spokojny piknik! Nikt nie zapraszał harcerzy!

Shan odwrócił się. Przed szczeliną w skałach stał Winslow. Mówił po mandaryńsku. Jego wargi były wygięte w uśmiechu, ale oczy patrzyły zimno, utkwione w pułkownika.

Lin ściągnął usta w bezgłośnym warknięciu i podszedł do Amerykanina. Winslow miał na ramieniu zielony plecak z syntetycznej tkaniny. Z beztroską, obojętną miną popijał wodę z butelki, gdy kilku żołnierzy otoczyło go kręgiem.

–Robicie poważny błąd – warknął pułkownik. Dokumenty Lhandra, których do tej pory nie oddał rongpie, zniknęły w kieszeni jego munduru.

–Ktoś na pewno – odrzekł Winslow po angielsku i wsunął wolną rękę do kieszeni plecaka. Najbliżej stojący żołnierz uniósł lufę karabinu. Amerykanin wyciągnął grubą marchewkę, wycelował ją w żołnierza, po czym uniósł ją do ust i z głośnym chrupnięciem odgryzł koniec. Kilkoro uwolnionych wieśniaków, obserwujących całą scenę zza wojskowych ciężarówek, parsknęło śmiechem.

–Nic nie rozumiecie – oświadczył lodowato Lin. Skinął ręką i dwaj żołnierze, przyskoczywszy z obu stron do Amerykanina, wykręcili mu ramiona do tyłu. Plecak i butelka z wodą upadły na ziemię. Marchewka przeleciała parę metrów i spadła u stóp Shana.

Winslow zdawał się nie zauważać brutalnego traktowania.

–Niewiele – przyznał po mandaryńsku, uśmiechając się szeroko do Lina, gdy żołnierze, wciąż trzymając go za ramiona, przycisnęli go do skalnej ściany.

Sierżant wepchnął dłoń do kieszeni na piersi koszuli Amerykanina i wyciągnął z niej plik papierów, w tym kilka fotografii dalajlamy, które upuścił z odrazą i wdeptał w ziemię obcasem. Amerykanin spojrzał żałośnie na zniszczone zdjęcia.

–Wiecie – westchnął – niektórzy powiadają, że ten człowiek jest wcieleniem Bodhisattwy Współczucia. – Jego wzrok powędrował ku Linowi i Shan zadrżał. Amerykanin z rozmysłem

drażnił pułkownika. Lin odwzajemnił jego spojrzenie, po czym znacząco zerknął na bicz na bydło. Skinął głową i żołnierze powlekli Winslowa ku pierwszej ciężarówce.

Lin zaklął pod nosem i, wciąż z biczem w dłoni, znów odwrócił się do Lhandra. Epizod z Amerykaninem tylko na chwilę zakłócił rutynowe czynności. Od platformy drugiej ciężarówki dobiegł szczęk metalu. To jeden z żołnierzy zaczął rzucać na ziemię kajdanki na nogi.

Lin podszedł do Lhandra i niespodziewanie uderzył go w twarz grzbietem dłoni.

–Odpowiedzcie na moje pytania! – warknął, ponawiając cios.

Zaskoczony rolnik cicho jęknął i zachwiał się.

Lin spojrzał na swoją dłoń, marszcząc brwi. Miał na niej świeżą krew.

W ciszy, która zapadła, głośno zachrząścił metal. Sierżant zamykał kajdanki na kostkach Lhandra.

Gdy Shan patrzył na Lina, lodowaty supeł w trzewiach zaciskał mu się coraz boleśniej. Wszystko – najpierw uniki Lhandra, potem pojawienie się Amerykanina i jego lekceważąca postawa, a wreszcie krew na palcach Lina – tylko podsycalo wściekłość pułkownika. Jego dłoń niemal niedostrzegalnie przesunęła się do pasa i otworzyła kaburę, w której tkwił mały pistolet.

–Napiszecie oświadczenia – warknął Lin. – Szczegółowo zdacie sprawę, jak się tu dostaliście, dlaczego wędrujecie tak daleko od domu, kto jeszcze jest z wami, kogo spotkaliście po drodze, gdzie przebywaliście przez ostatnie trzy miesiące. – Nim skończył, żołnierz, który wcześniej przyniósł kajdanki, podał mu szarą rolkę mocnej, szerokiej taśmy samoprzylepnej. Shan wiedział, że zakleją im nią usta, kiedy będą pisać. – Napiszecie je oddzielnie, a jeśli wasze relacje nie będą idealnie zgodne, zostanieie oskarżeni o umyślne utrudnianie prac ludowych organów ścigania.

–Do diabła, generale, nie jesteście z Urzędu Bezpieczeństwa – odezwał się Winslow donośnym, pewnym siebie głosem. Shan jeszcze nie spotkał nikogo tak szalonego, by ośmielił się drwić

z wysokiego oficera ALW. – Jesteście tylko zasranym wojskiem. – Jeden z żołnierzy wykręcił mu ramię do tyłu i na twarzy Winslowa pojawił się grymas bólu. Ale gdy żołnierz wzmocnił chwyt, Amerykanin wysiłkiem woli na powrót wykrzywił usta w uśmiechu.

Nagle pomiędzy skał wyszedł mały Tybetańczyk w garniturze. Spojrzał z przerażeniem na Winslowa i zdawało się, że ma zamiar głośno zaprotestować. Odwrócił się do pułkownika i otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Po chwili obwisły mu ramiona. Utkwił wzrok w czarnej czapce, którą trzymał w dłoniach, po czym podszedł do Amerykanina i nałożył mu ją na głowę. Wszyscy przyglądali się temu z zakłopotaniem. Winslow parsknął śmiechem.

Chwilę później sierżant krzyknął coś nerwowo i podbiegłszy do Lina, podał mu dokumenty Amerykanina. Shan ze zdumieniem przyglądał się pułkownikowi, który szeroko otworzył oczy, z odrazą rzucił papiery na ziemię i tak szybko wykrzyczał serię rozkazów, że Shan nie zdołał ich zrozumieć. Żołnierz stojący za Winslowem puścił jego ramię. Inny, który trzymał kapelusz Lokesha, cisnął nim w starego Tybetańczyka i w ślad za resztą oddziału ruszył do drugiej ciężarówki. Sierżant rozkuł nogi Lhandra i wrzucił wszystkie kajdanki oraz krzesło pułkownika na platformę ciężarówki.

Pułkownik Lin wycofał się tyłem ku pierwszemu pojazdowi, mierząc wściekłym wzrokiem Lhandra i Lokesha. Pół minuty później siedział już w kabinie i ku zdumieniu Tybetańczyków obie ciężarówki w pośpiechu oddaliły się drogą. Shan odwinął drut z nadgarstka i sięgnął po leżącą na ziemi marchewkę oraz dokumenty. Przyglądał się przez chwilę paszportowi Amerykanina, wreszcie uniósł wzrok, zdziwiony jak rzadko kiedy. Paszport, który trzymał w ręku, świadczył, że Shane Winslow jest amerykańskim dyplomatą.

–To tylko kawałek papieru – szepnęła ze zdumieniem Nyma, przyglądając się, jak Amerykanin i niski Tybetańczyk biegną truchtem do swojego samochodu. Po pospiesznym odjeździe żołnierzy Winslow nie odezwał się słowem, rzucił tylko Shanowi i Tybetańczykom triumfalny uśmiech i skinął na swego nerwowego towarzysza, żeby ruszał do czerwonej terenówki. Spieszyli

się nie mniej niż Lhandro, który wysłał Nymę, żeby biegiem sprowadziła karawanę na drogę.

–Ale są na nim potężne słowa – podsunął niepewnie Lokesh.

Shan zerknął na przyjaciela. Starego Tybetańczyka uczono, że niegdyś byli mistrzowie, którzy potrafili pisać tajemne słowa działające z potężną mocą na tych, którzy je odczytywali. Shan wiedział, że Lokesh w pewnym sensie ma rację. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby jakiś inny dokument mógł zmusić kogoś takiego jak ten pułkownik do zmiany postępowania. Lin z radością przyłożyłby rękę do deportacji kłopotliwego obcokrajowca i nie zawahałby się przed aresztowaniem podejrzanych obywateli na oczach cudzoziemca. Ale jakiegokolwiek miał zamiary wobec

Shana i jego towarzyszy, nie zamierzał ich przeprowadzać na oczach przedstawiciela obcego państwa. Dokumenty Winslowa stwierdzały zaś, że jest on przedstawicielem Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie jedynym w promieniu setek kilometrów.

Mimo wszystko nie wyjaśniało to, dlaczego Amerykanin tak się spieszył do odjazdu. Wyglądało na to, że choć niewiele sobie robił ze starcia z bezlitosnym pułkownikiem, martwił się, że Lin powiadomi o jego pobycie tutaj inne władze. Być może, pomyślał Shan, jego własne, amerykańskie władze. Nie miał pojęcia, co mogłoby sprowadzić amerykańskiego dyplomatę w tak nieprawdopodobne miejsce, do zapadłej wioski zagubionej wśród pustkowi płaskowyżu Czangtang.

Winslow rzucił swój plecak na tył samochodu. Otaczała go gromadka wieśniaków, którzy cicho mu dziękowali, niektórzy przepychając się bliżej, żeby jeszcze raz dotknąć go na szczęście. Nerwowy Tybetańczyk, wciąż w marynarce od garnituru, uruchomił silnik. Amerykanin otworzył drzwi od strony pasażera, po czym sięgnął do plecaka i wyciągnął z niego plik fotografii dalajlamy. Pierwszą wręczył dziewczynce, której zdjęcie zniszczyli żołnierze. Shan przyglądał się dziwnemu Amerykaninowi, który rozdawał kolejne zdjęcia ochoczo wyciągającym ręce wieśniakom. Jakiegokolwiek miałyby oficjalne obowiązki, Shan był pewien, że nie obejmowały one rozprowadzania przemycanych fotografii wygnanego tybetańskiego przywódcy.

Winslow wszedł właśnie jedną nogą do terenówki, gdy na ziemnej drodze biegnącej przez wioskę ukazały się pierwsze owce prowadzone przez Anyę i Tenzina. Amerykanin drgnął, jakby ich widok przypomniał mu o czymś, i odwrócił się do Shana. Z wahaniem wyciągnął ze schowka w desce rozdzielczej mapę i podszedł z nią do niego. Shan przypomniał sobie nagle rozmowę z Winslowem tuż przed przybyciem Lina. Amerykanin pytał o ich wędrówkę przez góry.

Winslow złożył mapę tak, żeby widoczny był obszar na północ od Lhasy aż po prowincję Qinghai.

–Przyszliście od zachodu? – zwrócił się do Shana. – Możesz mi pokazać? Jak daleko od Kunlunu? – zapytał, przeciągając palcem wzdłuż granicy Qinghai. – Którędy? Jakim szlakiem?

–Z południa, przyszliśmy z południa – odezwała się Nyma za plecami Shana. Winslow energicznie pokiwał głową i przeniósł wzrok z mapy na owce.

–Te worki... – odezwał się zaskoczony. – Sól? Słyszałem, że w dawnych czasach karawany... Na Boga, to właśnie to, prawda?! – wykrzyknął do Shana nieomal z zawiścią. Jego palce zaczęły błędzić po mapie. – Idziecie znad któregoś z wielkich jezior, prawda?

–Znad Lamtso – potwierdziła z zapalem Nyma.

Amerykanin wolno skinął głową i przeciągnął palcem po między jeziorem a wioską.

–Szukasz kogoś? – zapytał Shan.

Winslow potwierdził ruchem głowy.

–Pewnej Amerykanki. Zaginęła parę tygodni temu. Przypuszczalnie nie żyje.

–Nie widzieliśmy żadnych Amerykanów – wtrącił się stojący z boku Lhandro. Rzucił Shanowi ostrzegawcze spojrzenie. – Dziękujemy ci za pomoc – dodał

pospiesznie. – Rozejrzymy się za nią. – Ścisnął Shana za ramię, ponaglając go do odejścia.

Amerykanin spojrzał na nich uważnie.

–Idziecie na północ – powiedział, patrząc z zamyśleniem w tamtą stronę. – Ale skręciliście na drogę, która prowadzi na wschód.

Lhandro odwrócił się i skinął na Shana, żeby ruszył za nim.

–Dziękujemy – powtórzył.

Winslow uśmiechnął się szeroko, uniósł ręce, jakby się poddawał, i odszedł.

Wsiadł do terenówki, a nerwowy człowieczek za kierownicą wrzucił bieg i samochód ruszył w stronę szosy wiodącej z północy do Lhasy.

Gdy Shan odprowadzał wzrokiem oddalający się pojazd, coś otarło mu się o nogi. Spojrzał w dół. Obok niego stał baran z workiem ozdobionym czerwonym kółkiem, unosząc ku niemu wystraszone oczy.

Tego popołudnia cała karawana, od milczącego Tenzina, poprzez Anyę, aż do owiec i psów, wydawała się niespokojna. Posuwali się pół marszem, pół truchtem, nie zatrzymując się nawet, żeby coś zjeść czy wypić. Po godzinie Lhandro przystanął i nerwowo popatrując na drogę, ściągnął juki z jednego z koni, po czym rozdzielił ładunek między pozostałe cztery. Zatraskany dał konia jednemu z wieśniaków, który odjechał na nim klusem, żeby zbadać teren przed nimi oraz okoliczne wzgórza. Dremu nie pojawił się, odkąd zatrzymali ich żołnierze.

Pokonali piętnaście kilometrów i pozostały im jeszcze dwie godziny do zmroku, Lhandro jednak ponaglał ich do dalszego marszu na północ, dopóki droga nie zatoczyła łuku, niknąc im z oczu. Gdy pozostali rozłożyli się na odpoczynek, Shan i Lhandro lustrowali wiodący na północ stromy, wyboisty szlak, wypatrując śladów żołnierzy. Lhandro wysłał jeźdźca na wzgórza przed nimi. Zdawało się, że odkąd opuścili wioskę, nic nie było takie jak przedtem. Pułkownik Lin, któremu skradziono pochodzące z Yapchi trofeum, wiedział już o gromadce wędrowców z Yapchi. Wiedział, że Lokesh siedział w lao gai. Wypuścił ich jedynie z uwagi na Amerykanina. Ale nie zamierzał zrezygnować, a jego żołnierze znali się świetnie na zastawianiu pułapek w trudnym górskim terenie. Tacy ludzie mogli z łatwością ujść uwagi zwiadowcy z karawany albo tak zatrzeć ślady, aby sądził, że droga jest bezpieczna.

–Pułkownik nie wie, którądy idziemy – odezwał się Shan do Lhandra. – I nie ma pojęcia o owcach.

W ostatnich godzinach Lhandro przeistoczył się z energicznego rongpy w człowieka dźwigającego ciężkie brzemie strachu. Pułkownik zabrał jego dokumenty, odkrył, że ma przed sobą mieszkańca Yapchi. Lhandro, skuty przez ludzi Lina, przez straszliwie długą chwilę musiał być przekonany, że resztę swych dni spędzi w chińskim obozie i straci wszystko, nawet – a może przede wszystkim – kamienne oko.

–Niepotrzebnie wziąłem Anyę do karawany – powiedział rolnik. – Powinienem iść tylko ja i starsi mężczyźni. I nie trzeba było mieszać w to Nymy. Ona tak bardzo chce być mniszką... Ona musi nią zostać... A to nie jest robota dla mniszki. Niektórzy z

nas chętnie...

–Nie wiem czemu – odparł Shan – ale wydaje mi się, że Anya i Nyma nie pozwoliłyby się pozbawić tej przyjemności.

Lhandro uśmiechnął się słabo, ostro zagwizdał i ruszył przed siebie długim, zdecydowanym krokiem. Z początku poszły za nim jedynie psy, ale nie wołał, nie odwracał się, nie kiwał na pozostałych. Gdy oddalił się na trzydzieści metrów, największy z mastiffów przystanął, po czym odwrócił się i krótko szczeknął. Owce uniosły znużone łby i powoli ruszyły. Anya wstała i wyciągnęła dłoń do Lokesha. Trzymając się za ręce, poszli z owcami. Anya zaczęła śpiewać jedną ze swych pieśni. Powoli, stękając, pozostali dźwignęli z ziemi obolałe ciała i bez słowa podążyli ich śladem.

Przeszli półtora kilometra, gdy nagle Lhandro skinął na Shana i wskazał przed siebie, na drogę. Przesłoniwszy oczy dłonią, Shan ujrzał ich zwiadowcę. Mężczyzna stał dwieście metrów dalej, zwrócony twarzą do nich, rozkładając ręce, chyba rozczarowany. Lhandro i Shan pobiegli ku niemu.

Kiedy się zbliżyli, zwiadowca zniknął za potężną skałą. Lhandro przystanął i odciągnął Shana ze ścieżki, żeby obejść skałę od tyłu. Gdy ostrożnie wystawili głowy, ujrzeli plecy wysokiego mężczyzny w jaskrawoczerwonej nylonowej kurtce i czarnej czapce, siedzącego przed małą metalową kuchenką, z której z sykiem wydobywały się błękitne płomyczki. Obok niego siedział w kucki ich zwiadowca, pijąc z parującego blaszanego kubka. Gdy Shan wyszedł zza skały, mężczyzna w czerwonej kurtce odwrócił się. Był to Winslow.

–Mam na stanie tylko dwa kubki – oświadczył, wyciągając drugi kubek do Shana. – Możecie się podzielić. Bez masła, bez soli. Po prostu pocziwa chińska zielona.

Shan przyjął kubek i przez chwilę rozkoszował się aromatem zielonej herbaty. Spostrzegł, że pozostali wpatrują się w niego, i skrępowany podał kubek Lhandrowi. Zamrugał, przez mózg przemknął mu jakiś rozmyty obraz i nagle zobaczył swoją matkę. Siedziała przy nim, cierpliwie obserwując parujący porcelanowy dzbanek, w którym naciągał napar z zielonych liści. Na dzbanku był obrazek przedstawiający łódkę na rzece i wierzby. Tak właśnie działała teraz czasem jego pamięć, po elektrowstrząsach i chemikaliach, którymi częstowali go pałkarze. Wspomnienia z jego wczesnych lat kryły się w zakamarkach długiego, ciemnego korytarza, gdzie czasem, choć rzadko, jakieś przypadkowe, nieoczekiwane wydarzenie otwierało te lub inne drzwi. Sprawiały to właściwie nie same wydarzenia, ale zapachy lub inne doznania, nawet brzmienie czyjegoś głosu.

–Nietrudno było zgadnąć – usłyszał słowa Winslowa. – Wyruszyliście znad jeziora na północ i nagle odbiliście na wschód, na drogę. Gdybyście od początku zamierzali iść na wschód, poszlibyście drogą już od jeziora. Tak więc coś nieoczekiwanie przeszkodziło wam w marszu na północ. Jak się domyślam, przełęcz, z której zamierzaliście skorzystać, została zasypana przez lawinę. Poszliście drogą tylko po to, żeby dostać się do następnej przełęczy. – Wyciągnął rękę ku piętrzącym się na północy szczytom. – Tam. Tangla, tak nazywają się te góry. Boczne pasmo Kunlunu.

–Nie rozumiem – powiedział Shan.

–Jeżeli chcecie, mój rząd zapłaci za przejazd – oświadczył Winslow i uśmiechnął się, widząc zakłopotanie Shana. – Idę z wami.

Lhandro spojrział na Amerykanina tępym wzrokiem, po czym szepnął zwiadowcy, by dopilnował, aby karawana szła dalej.

–Nie wiesz, dokąd idziemy – zauważył Shan.

–Oczywiście, że wiem. Na północ. W tym samym kierunku co ja.

–Żeby szukać zaginionej kobiety – przypomniał Shan.

–Mówią, że ona nie żyje – odparł Winslow, zawieszając głos.

Umilkli. Shan cofnął się o krok, jakby chciał się lepiej przyjrzeć Amerykaninowi. Zerknął na Lhandra, który wzruszył ramionami, na znak, że nic nie wie o zmarłych Amerykanach.

–On uratował nas przed tym pułkownikiem – odezwał się rongpa do Shana po długim milczeniu.

–Kawałkiem papieru – przypomniał Shan. – Mogę zobaczyć go jeszcze raz?

Amerykanin przyglądał mu się chłodno, lecz po chwili rozsunął zamek błyskawiczny w górnej kieszeni swej nylonowej kurtki i wyciągnął paszport. Shan obejrzał dokument, nie wiedząc właściwie, czego szuka. Benjamin Shane Winslow, przeczytał, zamieszkały w stanie Oklahoma. Zauważył co najmniej dwadzieścia stempli kontroli granicznej Chińskiej Republiki Ludowej i jeszcze liczniejsze z państw Ameryki Południowej i Afryki.

Winslow wziął od Lhandra kubek, pusty już, i napełnił go ponownie z garnka stojącego na miniaturowej kuchence.

–Ciekawe, po czym poznałbyś fałszywy paszport dyplomatyczny, tangzhou?

Tangzhou. Towarzyszu. Amerykanin, podejrzewał Shan, szydził z niego, tak się do niego zwracając. Być może kpił tak z każdego napotkanego Chińczyka.

Shan oddał mu paszport.

–Spotkałem w życiu paru dyplomatów, panie Winslow. Żaden nie był ani trochę podobny do pana. I nazywam się Shan, nie towarzysz.

Winslow demonstracyjnie otworzył plecak, gmerał w nim przez chwilę, wreszcie uniósł wzrok.

–Cholera. Zapomniałem muszki i lakierków – oświadczył z udawanym rozczarowaniem.

–Może byś nam pokazał, co masz w plecaku? – podsunął Shan.

–Interesuje cię moja brudna bielizna? Świetnie, nie krępuj się. Wszystkie światła na niewymowne. – Winslow przyjrzał się uważnie stanowczej minie Shana i jego twarz stwardniała. – Chińczycy dość już mi dzisiaj dopiekli – powiedział. – Ty nie masz nawet munduru.

–To nie ja z nas dwóch twierdzę, że pracuję dla rządu – odparł Shan.

Nagle zza zakrętu wyłoniły się pierwsze owce i karawana zaczęła przeciągać obok skał. Po chwili ukazał się Lokesh, potem Nyma i Anya. Wyczuwając napiętą atmosferę, zbliżyli się z niepewnymi minami.

–Miałeś kierowcę i samochód. Co się z nimi stało? – zapytał Shan.

–Odesłałem z powrotem do Lhasy. Facet mi się nie podobał. Kiedy ambasada prosi chiński rząd o kierowców, można być pewnym, że dostanie ludzi z безпеaki.

Shan uświadomił sobie, że Amerykanin ma rację, co oznaczało, że pałkarze będą już wkrótce wiedzieli wszystko o zajściu w wiosce, a także o karawanie.

–Ten człowiek nas uratował – szepnęła Nyma do Shana głosem, w którym pobrzmiwała błagalna nuta. – Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, co by się stało, gdyby pułkownik zabrał nas ze sobą.

Słowa mniszki sprawiły, że Winslow spojrział na Shana z nagłym zainteresowaniem.

–Poprosiłem go tylko, żeby nam pokazał, co ma w plecaku – oświadczył spokojnie Shan.

–To Amerykanin – wtrącił Lokesh.

–Przedstawiciel amerykańskiego rządu. A Waszyngton utrzymuje stosunki z Pekinem, nie z Tybetańczykami.

Winslow wyglądał na boleśnie dotkniętego słowami Shana, nic jednak nie powiedział. Uniósł otwarte dłonie, po czym wyciągnął wyglądający na drogi aparat fotograficzny i małą lornetkę, odwrócił plecak do góry nogami i opróżnił na ziemię. Shan przykucnął, żeby przejrzeć jego zawartość. Duża plastikowa torebka rodzynek. Zwinięta w kłębek szara bluza sportowa. Pudełko herbatników. Niebieski metalowy cylinderek, taki sam jak ten przy kuchence. Dwa komplety bielizny i dwie pary związanych razem skarpetek. Pół tuzina batonów czekoladowych. Litrowa butelka wody. Sponiewierany przewodnik po Tybecie, po angielsku. Mała apteczka. I mała czarna krótkofalówka.

–Możesz skontaktować się przez to ze swoim kierowcą? – zapytał Shan, wskazując na radio.

–Z kierowcą albo z urzędem, któremu podlega. Tak właśnie umówię się na powrót.

–Mówiłeś, że kierowca pracuje dla pałkarzy.

Winslow skrzywił się.

Shan uświadomił sobie, że Nyma i Lhandro stanęli za jego plecami. Czarne pudełko przerażało ich.

–Rany boskie, to przecież mój kontakt ze światem – oburzył się Amerykanin. – Myślisz, że chcę się wtrącać do waszej karawany, kraść wasze zwierzęta czy co? – rzucił niecierpliwie i długo wpatrywał się uważnie w Shana oraz pozostałych. Rozszerzyły mu się oczy. – Chryste. Wy coś kombinujecie. To dlatego tak się baliście pułkownika Lina. Nie macie dokumentów albo... – zerknął na owce, ciągnące krętą ścieżką w górę zbocza – albo wieziecie coś nielegalnego.

Nikt się nie odezwał, co samo w sobie było wystarczającą odpowiedzią. Wiatr jęczał w załomach skał. Mała kuchenka wciąż cicho syczała. W oddali zabczała owca.

Amerykanin ze zboląłą miną spojrział na swoje dłonie.

–Ta kobieta, która zaginęła, nazywa się Melissa Larkin -wyjaśnił. – Wygląda na to, że ludzie machnęli na nią ręką. Uznano ją za zmarłą. Nie uwierzycie, jak wielu

Amerikanów umiera w Tybecie – dodał. – Dla turystów przyjazd tutaj to kosztowna i długotrwała wyprawa, tak więc wielu z nich to emeryci. Poza tym trafiają tu marzyciele, którzy nie mają pojęcia, że na pustkowiach grasują bandyci, że mogą zachorować na coś, na co nigdy nie zapadliby w kraju, albo że choroba wysokościowa może wyprawić ich na tamten świat w parę godzin. Można tutaj umrzeć na rzeczy, które nigdy nie zabiłyby człowieka w Stanach, bo za daleko tu do lekarza. – Uniósł wzrok, marszcząc brwi. – To właśnie ambasada musi zorganizować transport zwłok do kraju.

–Ale z pewnością chińskie władze pomagają, gdy trzeba odebrać zwłoki cudzoziemca – zauważył Shan, patrząc na niego znacząco.

Winslow odwrócił się i przekręcił gałkę przy kuchence. Syczenie ustało.

–Ta Larkin to inny przypadek. Trzydzieści pięć lat. Naukowiec. Geolog, seismolog. Pracowała na Morzu Północnym, na Alasce, w Patagonii. Potrafi dać sobie radę.

–Chcesz powiedzieć, że ona pracowała w Tybecie?

Winslow skinął głową.

–W dawnym Amdo, przez ostatni rok. Na południu prowincji Qinghai, tuż przy granicy z TRA – powiedział, mając na myśli Tybetański Region Autonomiczny. Taką to myślącą nazwę nadał Pekin terytoriom, które niegdyś stanowiły środkową część Tybetu.

–Lawina śnieżna. Spadające głązy. Bandyci – odparł Shan. – To, że była zaradna, nie oznacza, że nie mogło przytrafić jej się nieszczęście.

–Jasne. Wszyscy tak właśnie mówią. Musiałem spierać się z szefem, żeby w ogóle pozwolił mi jej szukać. – W głosie Winslowa pobrzmiwało dziwne wyzwanie. – Mam dwa tygodnie, potem jadę na konferencję do Szanghaju.

Nikt się nie odezwał. Shan i Lhandro smutno spojrzeli po sobie. Shan wiedział, że obaj pomyśleli o tym samym. Wychowywali się w świecie, gdzie nieustannie ginęli ludzie, gdzie niemal żadnej rodzinie nie był oszczędzony ból utraty kogoś bliskiego. Można było wyjść w góry i nigdy nie wrócić. Można było trafić do więzienia, nagle, bez uprzedzenia. Można było wrócić z więzienia i stwierdzić, że wszyscy, których się znało, zniknęli. Shan sam był zaginiony, choć przypuszczał, że ani jego była żona, ani nawet jego syn nie przejmują się tym i woleliby raczej uznać go za zmarłego. Zauważył, że wszyscy jego towarzysze wpatrują się w Amerykanina. Winslow istotnie żył w zupełnie innym świecie.

Karawana, pnąca się serpentynową ścieżką, była teraz widoczna w całej okazałości.

–Nie znam tych gór – oświadczył Winslow łagodniej, wręcz prosząco. – Muszę po prostu wiedzieć, skąd powinienem ruszyć, żeby nie marnować czasu na szukanie właściwego szlaku.

Znów odpowiedziało mu milczenie. W końcu Amerykanin westchnął i podał Shanowi radio. Ten przez chwilę trzymał je w dłoniach, po czym położył je na płaskim kamieniu. Winslow przyglądał mu się niepewnie. Tybetańczycy odsunęli się chyłkiem. Shan chwycił spory kamień, uniósł go nad głowę i przy wtórze cichego okrzyku

zaskoczonych Nymy z całej siły spuścił go naurządzenie. Uderzył raz, dwa, trzy razy, aż rozpadła się obudowa i sypnęły się z niej fragmenty połamanej płytki drukowanej i jakieś półprzewodniki.

–Do diabła – warknął Amerykanin. – Wystarczyło po prostu wyjąć baterię.

Shan zignorował go, w milczeniu zbierając szczątki radia i wrzucając je do wąskiej szczeliny w skale.

–Wciąż jeszcze nie rozumiem jednego – powiedział, odwracając się do Amerykanina. – Dlaczego wybrałeś tę przełęcz?

Ta kobieta mogła być gdziekolwiek w tych górach.

Winslow wpatrywał się w szczelinę, w której zniknęły odłamki jego krótkofalówki. Pokręciwszy głową, odwrócił się do Shana.

–Przez cztery dni rozglądałem się wokół jej bazy na północy i nic nie znalazłem. Jej firma wysłała tam ludzi na poszukiwanie zwłok. Pomyślałem więc, że będę posuwał się na południe. Ale nie wiedziałem dokładnie dokąd. Dzisiaj, po spotkaniu z tym jakimś, zatrzymałem się na drodze poniżej tego

miejsca, żeby przestudiować mapę z kierowcą.

Umilkł, z zażenowaną miną odgarniając włosy.

–Kiedy ślęczałem nad mapą – odezwał się po chwili – na głazie obok przysiadł duży ptak, podobny do pardwy, z białymi fragmentami upierzenia. Wpatrywał się we mnie. Podeszedłem bliżej, a on wciąż patrzył, aż wreszcie przefrunął na następny kamień przy ścieżce, trochę dalej. – Wzruszył ramionami i z zakłopotaniem uniósł wzrok. – Jak gdyby coś czekało na mnie na końcu tej ścieżki.

Lokesh z powagą skinął głową. Shan przyglądał się Amerykaninowi. Mówiąc o tym, co go spotkało tego dnia, nie wspomniał o pułkowniku Linie, tylko o jaku.

–Ptak – szepnęła z namaszczeniem Nyma, do nikogo w szczególności.

–Gdzie dokładnie jest ta baza? – zapytał Shan. – Jak daleko na północ?

–W jednej z dolin, gdzie prowadzą wiercenia. W pobliżu jest góra o nazwie Geladaintong, u źródeł Jangcy. To jest trzydzieści kilometrów na zachód stąd, między grzbietami innego potężnego pasma. Dolina nazywa się Yapchi.

Lhandro wydał stłumiony okrzyk zaskoczenia. Lokesh kiwał głową, jakby wszystko doskonale do siebie pasowało. Winslow przyglądał im się z zakłopotaniem.

Shan odtworzył w myślach przebieg wydarzeń w wiosce. Amerykanin wyszedł spomiędzy skał i stanął przed Linem w jakiś

czas po rozmowie pułkownika i Lhandra o Yapchi. Nie mógł słyszeć, jak wymieniają nazwę odległej doliny.

–Inwestycje naftowe w Yapchi – mruknął Shan.

–Właśnie. Ona tam pracuje.

Shan westchnął, patrząc w pełne wyczekiwania twarze swych przyjaciół. Teraz nie było już mowy o pozbyciu się Amerykanina. Tybetańczycy powiedzieliby, że przeznaczeniem Winslowa jest iść wraz z nimi. Shan uklęknął i pomógł mu spakować plecak.

Tej nocy obozowali pod przełęczą, na kamienistym polu, gdzie bez ustanku dął

silny wiatr, nie pozwalając im rozpałić ogniska, dopóki nie usypali z kamieni małego wału, by je osłonić. Amerykanin zaproponował, żeby ugotowali posiłek na jego małej kuchence, ale Nyma bez słowa wskazała wędrującego po stoku nad nimi Tenzina, który najwidoczniej nie mógł przeżyć dnia, nie zbierając łąjna.

–On musiał zrobić coś bardzo złego – zauważył Lhandro, gdy po raz pierwszy zobaczył Tenzina z jego workiem na opał. Wymienili wtedy z Shanem znaczące spojrzenia. Rongpa, podobnie jak Shan, domyślał się, że Tenzin odbywa pokutę. Shan

przypomnił sobie dziwne zachowanie Tenzina w czasie burzy gradowej i później, nad jeziorem. Drake uwolnił go z obozu, a on szedł na północ, ponieważ ktoś umarł.

Winslow ze zdumioną miną wpatrywał się w milczącą, przygarbioną postać.

–Nie sądzę, żeby kowboj mógł być kowbojem – powiedział powoli do siebie po angielsku – gdyby musiał co wieczór zbierać krowie gówna.

–To zbliża człowieka z ziemią – podsunął Shan w tym samym języku.

Amerykanin z zaskoczeniem uniósł wzrok.

–Świetnie mówisz po amerykańsku.

–Ojciec uczył mnie angielskiego, zanim umarł.

Winslow przyglądał mu się przez chwilę, jakby oczekiwał, że Shan rozwinie temat, nie naciskał jednak.

–Nie widzę mojego ptaka – stwierdził, znów po tybetańsku, skierowawszy wzrok na zbocze góry. – Nie wierzyłem w znaki, dopóki nie zacząłem przyjeżdżać do Tybetu. Pierwsze dwie wycieczki to była drobnostka. Przyleciałem na lotnisko, żeby odebrać

trumnę byłego gubernatora, który dostał zawału serca, wspinając się po stopniach pałacu Potala. Za drugim razem pojechałem tylko do Lhasy po alpinistę, który zmarł na chorobę wysokościową. Ale za trzecim razem jechałem do Shigatse i kazałem kierowcy przystanąć, żeby zabrać mnicha, który prosił o podwiezienie. – Urwał, gdy spostrzegł, że pozostali skupili się wokół ogniska i przysłuchują się jego opowieści. – Godzinę później znowu kazałem mu się zatrzymać – ciągnął. – Wysiadłem, sam nie wiedząc dlaczego, i zacząłem się gapić na wysokie wzgórze. Było duże i strome, same skały i kępy wrzosu, taka mała góra. Musiałem się na nie wspiąć. Wciąż nie wiedziałem dlaczego. To było jak sen. Później pomyślałem, że może to z powodu lekarstwa, które brałem. Ale zacząłem iść. Minęła niemal godzina, zanim dotarłem na szczyt.

–Co tam było? – zapytała Nyma.

–Nic. Zupełnie nic. Tylko strzęp starej szmaty wetknięty pod kamień. Kwadratowy kawałek starego jedwabiu pokryty tybetańskim pismem. Wtedy nie miałem nawet pojęcia, że był to jeden z tych wietrznych koni, flaga modlitewna. Ale uwolniłem go, tak że trzepotał na wietrze. Potem podniosłem kamień, mały czerwony kamień, i odrzuciłem go daleko na stok, nie wiedząc dlaczego. Po prostu uświadomiłem sobie nagle, że on tam nie pasuje, że trzeba go wyrzucić. Później, kiedy wróciłem do samochodu, opowiedziałem o tym obu Tybetańczykom. Mnich z mądrą miną pokiwał głową, powiedział, że zdecydowanie postąpiłem właściwie, i podziękował mi, że

przybyłem do Tybetu, aby to zrobić.

Tybetańczycy przy ognisku pokiwali znacząco głowami.

Nyma napełniła swoją czarkę maślaną herbatą, po czym uformowała trzy kulki z masła i umieściła je na skraju naczynia. Shan widział często, jak dropkowie odkładają w ten sposób odrobinę jedzenia dla bóstw.

–Przepraszam – powiedział Amerykanin. – Wiem, że to nie ma sensu.

Ale Nyma i Lhandro nie słuchali go już. Lhandro wskazywał coś palcem. Na gładzie, trzydzieści metrów w górę zbocza, przysiadł szary kształt. Wielki ptak czuwający nad obozem.

–Niemożliwe – mruknął Winslow, ale długo przyglądał się stworzeniu, po czym odwrócił się z niepewną miną, jakby nie mógł zdecydować, czy ptak pojawił się, żeby go prowadzić, czy może prześladować.

Jakiś ruch przyciągnął wzrok Shana. Zza grupy skał, niedaleko od ptaka wyszedł Tenzin z workiem na ramieniu. Nad nim ukazała się druga postać, prowadząca konia za uzdę. Człowiek ów wyciągnął ku niememu Tybetańczykowi kawałek wyschniętego łajna. Nie widzieli Goloka, odkąd opuścili wioskę.

–On jest z wami? – zapytał Amerykanin. – Widziałem go na wzgórzach nad tamtą wioską.

Lhandro zerknął na Shana, szukając u niego pomocy.

–Należy do naszej karawany – zaczął Shan, ale nim coś dodał, nagle do ogniska podeszła Anya i usiadła, wcisnąwszy się między niego i Winslowa. Amerykanin podał dziewczynie swój kubek, a ona piła długo, podczas gdy Shan i Winslow znowu wpatrywali się w ptaka.

–Wiem, że owce niosą sól – odezwał się Winslow po paru minutach. – Wiem, że niektórzy z was nie mają papierów. Ale – tu zwrócił się do Shana – wciąż nie wiem, co ty tutaj robisz.

–Chińczycy przegnali go z Chin – wyrwało się Anyi. – A teraz – dziewczyna wskazała otaczające góry – teraz musi być tutaj.

–Przegnali go?

–Ma tatuaż – szepnęła z naciskiem Nyma, nachylając się do niego.

–Jezu – mruknął Winslow. – Lao gai. – Amerykanin najwyraźniej wiedział sporo na temat Tybetu, a przynajmniej na temat roli Chin w Tybecie. Przyjrzał się Shanowi z bólem w oczach. – Jak długo?

–Cztery lata. Nie tak źle.

–Nie tak źle?! Chryste! Spędziłeś cztery lata w obozie pracy?!

Shan spojrzał na Lokesha, który z zachwytem wpatrywał się w gwiazdy, jedna po drugiej ukazujące się nad górami.

–To i tak lepiej niż trzydzieści.

Winslow przeniósł wzrok na siwego Tybetańczyka i powoli otworzył usta. Ale wydobył się z nich tylko cichy jęk. Gdy Shan znów spojrzał na dziwnego Amerykanina, rozpoznał na jego twarzy

podszyty zdumieniem i zakłopotaniem podziw, uczucie, którego sam doznawał, kiedy przed kilku laty trafił do Tybetu. Winslow nie poznawał tego kraju jak turysta ani nie doświadczał go jak obcy. Ów kraj wciągał go w siebie, zaczynał odmieniać go głębokimi, tajemniczymi sposobami, jakimi odmienił Shana. I nikt, ani Anya, ani lamowie, a już na pewno nie Shan, nie mógł przewidzieć, kim stanie się Winslow, gdy Tybet dokona na nim swego dzieła.

Następnego dnia rano rolnicy z Yapchi zaproponowali Amerykaninowi, żeby strome podejście ku przełęczy przejechał wierzchem, ale odmówił. Szedł za Shanem, w pobliżu końca kolumny, prowadząc jednego z jucznych koni. Przez pół godziny wspinali się, brnąc przez gęstą śnieżycę, aż wreszcie, stanąwszy na wysokiej przełęczy, znaleźli się w jaskrawym świetle słońca.

Nikt się nie odzywał, gdy szli niebezpiecznym szlakiem. Po lewej, tuż nad ścieżką, chylił się wysoki na sześć metrów nawis lodu i ubitego śniegu, osłabiony przez ciepłe wiosenne wiatry. Po prawej wznosiła się niemal pionowa ściana kruszącego się łupku, a krętą ścieżką płynęła lodowata woda z roztopów, zmieniając ją w długą wąską strugę zimnego błota.

Kiedy minęli przełęcz, Shan odwrócił się i spostrzegł, że Amerykanin przystanął zapatrzony w zdradziecką ścianę śniegu, która wyglądała, jakby lada chwila miała runąć.

–Geolodzy wywołują czasem eksplozje – zauważył Shan. –

Prowokują lawiny.

Winslow poważnie skinął głową.

–Zwłaszcza geolodzy poszukujący ropy naftowej. Są pewnie tysiące miejsc takich jak to, gdzie mogła zagaść.

–Dlaczego była sama? – zapytał Shan, patrząc na surową okolicę, którą zostawili za sobą. Istotnie, były tysiące miejsc, w których można było zgaść. I tysiące miejsc, w których mógł ukrywać się dobdob albo Lin i jego żołnierze. – Geolodzy pracują zespołowo.

Potrzebują ludzi do zbierania i noszenia próbek. Ludzi do robienia pomiarów. Ludzi do nadzorowania ludzi – dodał, chcąc przez to powiedzieć, że zagranicznym naukowcem

wędrującym po górach z pewnością interesowała się bezpieka.

Winslow znów pokiwał głową.

–Mają cztero- albo pięcioosobowe ekipy. Ale ona weszła z dwoma tybetańskimi asystentami na górę, osiem kilometrów od obozu nafcjarzy, i wysłała ich, żeby zebrali kamienie na półce skalnej, którą wypatrzyła przez lornetkę. Powiedziała im, żeby spotkali się z nią za trzy godziny przy innej skale. Ale nigdy się tam nie pokazała. Ci ludzie wrócili do bazy. Następnego dnia wezwali firmy helikopter. Zabrali nawet psy na poszukiwania. Nic. – Winslow urwał i odwrócił się. Patrzył na długą równinę, ku której prowadziła droga. Nagle wskazał coś palcem. Jakiś jeździec pędził w ich stronę, wzbijając za sobą długi pióropusz pyłu.

Lhandro, idący na czele kolumny, uniósł rękę, żeby zatrzymać karawanę, i wskoczył na skałę, by lepiej widzieć nadjeżdżającego. Pozostali niespokojnie skupili

się dookoła, czekając, co powie. Ale Shan nie potrzebował wyjaśnień. Wiedział, że jeźdźcem jest Dremu i że pędzi go strach.

Dremu, podjechawszy do nich, zawrócił konia i okrążył Shana.

– Tam – wysapał, kręcąc głową z niedowierzaniem. – To musiał być znów ten demon. – Podał Shanowi rękę i wciągnął go za siebie na grzbiet siwka. Lhandro zaczął zdejmować bagaże z pierwszego z jucznych koni.

Jechali ostro przez płaskowyż. Shan siedział za Golokiem zdezorientowany, trochę się obawiając, że Dremu prowadzi ich w pułapkę. Nie przebyli jednak nawet półtora kilometra, gdy nagle koń zatrzymał się tak gwałtownie, że omal nie zlecieli z siodła. Na ścieżce coś leżało: człowiek w bordowej szacie mnicha.

Shan i Dremu zeskoczyli z konia. Golok, ze swym długim nożem w dłoni, okrążył ciało, rozglądając się czujnie. Shan uklęknął u boku mężczyzny. Mnich leżał na brzuchu, z ręką wyciągniętą na południe. Jedna noga była podgięta pod ciało, jakby próbował się czołgać, nim stracił przytomność. Krótko ostrzyżone włosy były zlepione krwią. Z otwartych ust sączył się na ziemię strumyczek świeżej krwi.

Rozdział szósty

Shan przewrócił mnicha na plecy. Mężczyzna oddychał, choć bardzo słabo. Długie rozdarcie z boku szaty ukazywało siny obrzęk wzdłuż żeber. Inny długi siniak ciągnął się niemal przez całe przedramię. Na dłoniach i rękach widniało kilka długich cięć i zadrapań otoczonych zakrzepłą krwią. Shan nie znalazł żadnych innych ran. Mężczyzna został brutalnie pobity, być może też wychłostany, ale nie pchnięto go nożem ani nie strzelano do niego.

Gdy Shan ściągnął kurtkę i okrył nią mnicha, nadjechali na jednym koniu Lhandro i Lokesh. Zatrzymany wierzchowiec okręcił się w miejscu.

– Święty człowiek! – jęknął Lhandro.

Lokesh uklęknął przy sponiewieranym mężczyźnie. Ujął go za lewą dłoń, układając trzy palce wzdłuż jego nadgarstka, żeby zmierzyć puls, po czym dotknął jego szyi.

– Doznał wielkiego wstrząsu – oświadczył po dłuższej chwili. – Brutalne pobicie. Ale jest młody. Ma silną krew.

– Kim on jest? – zapytał przerażony Lhandro. Naciągnął niżej kapelusz i zaczął krążyć wokół rannego, rozglądając się po okolicy. – Co tu mógł robić mnich?

Shan uniósł prawą dłoń mężczyzny. Na palcach widniały czarne smugi. Podobne smugi znaczyły dolny skraj mnisiej szaty. Dotknął jednej z nich i potarł palce. Sadza. Nie było jednak żadnego śladu ognia. Nie było też żadnych innych mnichów, żadnego mikrobusu Urzędu do spraw Wyznań czy jakiegokolwiek innego środka lokomocji, choćby konia. Ów człowiek musiał odbywać rekolekcje lub może samotną pielgrzymkę.

Lokesh wyciągnął butelkę z wodą i zaczął delikatnie omywać twarz nieprzytomnego, przemawiając doń łagodnie. Najpierw

zapewnił go, że jest teraz wśród przyjaciół, potem zaintonował mantrę do Bodhisattwy Współczucia. Lhandro oczyścił z roślin krąg ziemi i zabrał się do zbierania kamieni. Zamierzał zrobić to, co pasterze i rongpowie robili zawsze, ilekroć ktoś został ranny: rozpalić ognisko i zaparzyć maślaną herbatę.

Gdy Shan uklęknął po drugiej stronie pobitego, mnich zamrugał, otworzył oczy i wyrwał rękę z dłoni Lokesha.

–Szykujcie broń! Musicie mieć broń, żeby go powstrzymać! – wystękał. Otworzył szeroko oczy, po czym zmrużył je, wpatrując się w starego Tybetańczyka, jakby próbował ocenić, z kim lub czym ma do czynienia. Potem znów stracił przytomność.

Po dłuższej chwili nadciągnęła karawana. Wieśniacy z Yapchi skupili się wokół rannego, szepcząc gorączkowo, dezorientowani i zatrwożeni. Już od wielu lat żaden mnich nie zaszedł do ich doliny, powiedział Lhandro. Tenzin szybko zdjął z jednego z jucznych koni wór z opalem i pomógł Lhandrowi rozpałcić ognisko w kręgu kamieni. Amerykanin wyciągnął z plecaka bluzę, którą podłożył mnichowi pod głowę, i sięgnął po apteczkę, z której Lokesh wybrał małe kwadraty gazy jałowej, żeby przemyć poważniejsze rany nieznanego.

Shan wyciągnął swoją sponiewieraną lornetkę i stanął na płaskim głazie, żeby się rozejrzeć po płaskowyżu. Ziemia była tu zaskakująco żyzna, pokryta młodymi, wiosennymi pędami roślin, z których wielu nie znał. Uważnie zlustrował całą okolicę, ale że nie dostrzegł żadnych oznak życia, przepatrzył ją raz jeszcze, poczynając od północno-zachodniego krańca równiny, skąd, jak przypuszczał, przyczołgał się ranny. Zdawało mu się, że widzi w oddali smugę dymu, zaraz jednak zniknęła.

–Co za sukinsyn mógł to zrobić? – usłyszał obok niski głos. – Przecież to nieszkodliwy mnich. – Winslow skierował swą małą lornetkę w tę samą stronę co Shan.

–Wydawało mi się, że widzę dym – powiedział Shan. – Dym?

–Mnich ma sadzę na rękach i na szacie.

Odwrócił się ku karawanie. Wyjmowano właśnie z bagaży garnek, czajnik i ubijak. Lhandro zarządził południowy postój, żeby ugotować tsampę i sprawdzić wiązania juków owiec.

Shan pochwycił spojrzenie Winslowa i skinąwszy na niego, ruszył ku dwóm jucznym koniom, które uwolnione od bagażu pasły się na rzadkiej wiosennej trawie.

–Jeśli ten mnich nie nabierze sił, zostaniemy tu na noc –

oświadczył naczelnik rongpów, widząc, że Shan i Amerykanin

odchodzą z końmi. – Ale jeżeli nie będzie nas tu, kiedy wrócicie, jedźcie do tego jałowcowego zagajnika po drugiej stronie. – Wskazał wysoki grzbiet wyznaczający północno-wschodnią krawędź płaskowyżu, może piętnaście kilometrów dalej. – Za tą górą są ruiny gompy. To lepsze schronienie.

Shan i Winslow jechali obok siebie kłusem przez nierówny teren, aż na chwilę zatrzymali konie, żeby przyjrzeć się wysokiemu pasmu gór, które mijali tego ranka. Coś im mignęło na stoku. Przez lornetki spostrzegli, że to stadko kóz. Ruszyli ponownie, gdy nagle Winslow uniósł dłoń. Dobiegł ich tętent kopyt. Odwrócili się. Pędził ku nim Dremu.

–Nie możesz tego zostawiać – warknął karcąco do Shana, gwałtownie osadziwszy konia.

–Czego? – zapytał Winslow.

Golok w odpowiedzi jedynie zmarszczył brwi.

–Szukacie ognia? – zapytał.

–A widziałeś jakiś? – zainteresował się Shan.

–Nie, ale poczułem dym. To nie łajno jaków. Nie drewno – odparł Dremu i uderzywszy konia piętami, pognął go ku północno-zachodniej części płaskowyżu.

Po kwadransie Shan i Winslow dopędzili go i zsunęli się z siodeł. Golok stał na skraju płytkiej niecki, szerokiej może na pięćdziesiąt metrów, pośrodku której wznosił się przeszło półmetrowy kopiec omszałych głazów. Ziemię porastał tu jednorodny kobierzec niskich szarzielonych roślin wysokich na ćwierć metra, jakich Shan nie dostrzegł tu nigdzie indziej. Ale połowa niecki była czerniała, wiosenna roślinność wypalona do ziemi. Powietrze wypełniała jakaś gryząca słodkawa woń.

–Skąd tutaj ogień? – zastanawiał się Winslow. – Od pioruna?

–Ognisko – wyjaśnił Dremu, wskazując niski, ciemny, długi prawie na dwa metry kopczyk po drugiej stronie niecki, tuż przy skraju wypalonego obszaru, ze cztery kroki od kopca.

Powoli poprowadzili wierzchowce skrajem kotliny, zwalniając kroku, w miarę jak zbliżali się do wzgórk. Co chwila zerkali niespokojnie na górujący nad nimi stok. Shan nie mógł się uwolnić od wrażenia, że są obserwowani, choć nie widział żadnego śladu życia poza gromadką wiewiórek ziemnych, które czmychnęły między głazy.

Zatrzymali się kilka kroków od kopczyka. Pokrywała go czarna nylonowa tkanina. Obok leżała żółta, również nylonowa kamizelka, nieco dalej zaś osmalona przez ogień czerwona wełniana czapka. Shan i Winslow wymienili ponure spojrzenia. Czarny wzgórek miał kształt ludzkiego ciała.

Dremu rzucił kamykiem w czarny materiał, nic się jednak nie stało. Po chwili obrócił się na pięcie, z natężeniem wpatrując się w zbocze. Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści noża.

Shan z ociąganiem zbliżył się do kopczyka i chwycił za skraj czarnego nylonu. Był to jakiś worek, długi i czymś wypchany. Podniósł go na wysokość pasa i westchnął z ulgą. Worek okazał się niezwykle lekki, nie było w nim ciała.

–Śpiwór – stwierdził speszony Winslow i podniósł żółtą kamizelkę. Była w sam raz na Shana i wyglądała na nową. Pod nią, na kupce w głowach śpiwora, leżała para niebieskich džinsów z amerykańską metką. W małym nylonowym woreczku znajdował się czarny metalowy kompas z czerwonym krzyżem oraz tuzin batonów czegoś, co nazywało się wysokoenergetycznymi racjami proteinowymi, opatrzonych etykietkami w języku angielskim i chińskim.

–Tu nie było ogniska. – Shan wskazał na wypaloną nieckę. Nie było widać żadnego kręgu kamieni, żadnego oczyszczonego z roślin kawałka ziemi, żadnego zaimprovizowanego ruszu tu, na którym można by postawić garnek. Żadnego ogniska, od którego mogłaby się zająć roślinność. – A gdyby uderzył piorun, zostałyby wyrwa w ziemi, jakiś ślad eksplozji termicznej.

Winslow wolno pokiwał głową. Roślinność została podpalona z rozmysłem.

–Żeby sfajczyć całą tę cholerną równinę, tak sądzisz? Żeby utrzymać kogoś z dala, być może odstraszyć prześladowców?

Ale tu nie ma ruchu powietrza. Płomień tlił się, aż zgasł.

Shan pochylił się i zerwał jedną z szarozielonych roślin z kępki na skraju niecki.

Przytknąwszy ją do nosa, wyczuł tę samą

woń, która unosiła się w powietrzu. Gdy schował gałązkę do kieszeni, Winslow pochylił się nad śpiworem i kamizelką.

–To drogie rzeczy – zauważył. – I wszystkie mają amerykańskie metki, nie tylko dzinsy.

–Twoja pani geolog?

–Tak przypuszczam – odparł Winslow, przeszukując kieszenie w porzuconej odzieży. Z kamizelki wyciągnął wydaną przez władze mapę regionu. W dzinsach znalazł plastikową zapalniczkę, ogryzek ołówka, blaszany gwizdek na sznurku, przydatny w terenie w razie zerwania łączności radiowej. Amerykanin wepchnął kamizelkę, dzinsy i przypaloną czapkę do śpiwora, zwinął wszystko ciasno w nieduży tłumok i przytroczył go do swego konia.

Ścieżką biegnącą przez labirynt wielkich głazów wjechali do połowy wysokości zbocza, gdzie się okazało, że konie dalej już nie przejdą. Dremu wyciągnął kilka krótkich kawałków sznurka i spętał wierzchowce, pozwalając im paść się na rzadkiej trawie, po czym wskazał prowadzącą w górę kozią ścieżkę, którą zamierzał sprawdzić w czasie, gdy Shan i Winslow będą przeczesywać skaliste pole.

Po półgodzinie daremnych poszukiwań wspięli się na jeden z głazów, żeby po raz kolejny rozejrzeć się przez lornetkę po okolicy. Przez pofałdowany zielony płaskowyż ciągnęła się rozmazana barwna linia. Karawana, jak uprzedzał Lhandro, ruszyła w drogę na północny wschód, ku kępie drzew po przeciwnej stronie długiej równiny.

–Zdarza mi się czasem w Tybecie – odezwał się Winslow –

w miejscach takich jak to, że kiedy robi się naprawdę cicho, słyszę coś, jakby jęki albo postękiwania. Tyle że potężniejsze. Mój dziadek by powiedział, że to olbrzymy rozmawiają w czeluściach gór.

Shan nie powiedział nic. Przepatrywał teren, najpierw jeszcze raz równinę, potem stok, na którym stali. Wciąż nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś ich obserwuje.

Po długim milczeniu Amerykanin westchnął.

–Nie ufasz mi, prawda, Shan?

–Nie wierzę, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

–Zadzwoń do ambasady. Zadzwoń do Waszyngtonu. Pożyczę ci mój paszport do weryfikacji.

–Wiem coś o pracy dla władz. Służba dyplomatyczna to ciąg awansów.

Przypuszczam, że połowę życia zawodowego masz już za sobą.

–Zgadza się.

–I jeździsz odbierać zwłoki zmarłych Amerykanów? To zadanie w najlepszym razie dla najniższych urzędników.

Winslow nie odpowiedział.

–A poszukiwanie zaginionej kobiety to zadanie dla organów ścigania. Wasz rząd powinien zwrócić się z tym do władz w Pekinie. Powiedziałeś, że przyjechałeś po jej zwłoki, ale tych

zwłok nie ma.

Winslow w milczeniu spoglądał na równinę.

–Można by pewnie powiedzieć – odezwał się po chwili – że odrodziłem się w niższej formie życia, wedle standardów służby dyplomatycznej.

– Podniósł kamyk i przerzucił go z ręki do

ręki, wreszcie znów uniósł wzrok na Shana i zmarszczył brwi. –

Dwa lata temu byłem zastępcą attache handlowego w Pekinie

zaręczonym z inną pracownicą służby dyplomatycznej, attache kulturalnym.

Zawsze byłem człowiekiem sukcesu, kolekcjonowałem języki tak, jak niektórzy kolekcjonują monety.

Typowano mnie do szybkiego awansu, bo mówiłem wszystkimi głównymi językami Chin. Miałem mieszkanie poza terenem ambasady.

Sprzątała u mnie pewna Chinka – ciągnął. – Uroczą starszą panią po sześćdziesiątce. Była jak łagodna babcia, której nigdy nie miałem. Po roku znajomości zaczęliśmy z narzeczoną odwiedzać ją w domu, zabieraliśmy ją z całą rodziną za miasto, na pikniki przy grobowcach Mingów albo Pałacu Letnim. Po pewnym czasie zauważyliśmy, że prawie nie je tego, co dla niej przygotowujemy, i że zawsze pyta, czy pozwolimy jej zabrać swoją porcję do domu. Odkryliśmy w końcu, że znosi jedzenie sierotom ze szkoły prowadzonej przez jedną z tych grup religijnych, których władze tak bardzo nienawidzą. Dotacje państwowe dla tej szkoły skończyły się, ponieważ grupa ta publicznie opowiadała się za wolnością wyznania. Tak więc dzieci dostawały dwie miseczki ryżu dziennie. Pewnego dnia ta kobieta nie przyszła do pracy i dowiedziałem się, że została aresztowana wraz ze wszystkimi nauczycielami z tej szkoły.

Tydzień trwało, zanim zdołałem odnaleźć ją w więzieniu. Aby ją skłonić do wyparcia się przekonań religijnych, bili ją tak, że pękła jej śledziona. – Winslow spojrział na Shana. Na jego twarzy malował się ból. – Ja sam nigdy nie byłem specjalnie religijny, ale jak stwierdziła moja narzeczona, każdy ma prawo szukać własnego boga i czcić go po swojemu – dodał cicho, spuściwszy wzrok.

Shan pokiwał głową. W końcu jedynie tego chcieli Tybetańczycy.

–Korzystając ze swoich uprawnień dyplomaty, poszedłem do Ministerstwa Sprawiedliwości i zasięgnąłem informacji na jej temat, poprosiłem, żeby ją zwolnili. Ministerstwo zawiadomiło ambasadora, a ambasador zerwał mi szlify i złamał moją szpadę.

–Słucham?

–Zrobił wszystko poza zwolnieniem mnie, ponieważ nie miałem prawa prowadzić takiego dochodzenia, ponieważ Stany Zjednoczone nie ingerują w to, jak Chiny traktują swoich obywateli. Powiedział, że już do emerytury będę czyścić ubikacje w ambasadzie. Tak więc razem z narzeczoną postanowiliśmy odejść. Ona wyjechała do Stanów i zdobyła posadę wykładowcy w Kolorado, a ja wziąłem urlop i przyjechałem za nią, żebyśmy mogli wziąć ślub i kupić dom. Dwa miesiące później wróciłem na rozmowę kwalifikacyjną na tym samym uniwersytecie.

–A jednak nie oszedłeś – zauważył Shan.

–Nie – odparł ciężko Winslow. Znów zapatrzył się w dal. – To było zimą – podjął po chwili. Kiedy przyleciałem, szalała śnieżycą. Nasz dom był w górach. Kiedy jechała, żeby odebrać mnie z lotniska, samochód ześliznął się z szosy do rzeki. Dopiero po dwóch dniach udało im się wydobyć jej ciało. Zadzwonili do mnie z kostnicy, żeby zapytać, czy wiem, że była w drugim miesiącu ciąży. – Uniósł wzrok, śledząc lot jastrzębia na niebie. –

Nie wiedziałem, ale tymczasem zdążyłem już dotrzeć do domu.

Kupiła komplet dziecięcych mebelków i poprzywiązywała do nich baloniki, żeby zrobić mi niespodziankę.

Shan przyglądał się Amerykaninowi. Winslow nie przypominał teraz owego tryskającego energią człowieka, który dzień wcześniej ujeżdżał jaka.

–Nie miałem dokąd pójść. Nie miałem żadnych korzeni, żadnej rodziny. Tak więc wróciłem do pracy w ambasadzie. Zacząłem zgłaszać się na ochotnika do każdej gównianej roboty,

której nikt nie chciał. Po prostu żeby nie myśleć o tym wszystkim. Jeździłem po zwłoki i odsyłałem je do kraju. Sprzątałem po pudlach ambasadora.

Shan poczuł, że narasta w nim pustka. Nie wiadomo dlaczego słowa Amerykanina przywołały wspomnienie ojca, odebranego mu przez Czerwoną Gwardię, a wcześniej pozbawionego swej ukochanej pracy wykładowcy, ponieważ uczył historii Zachodu i miał przyjaciół w Europie oraz w Ameryce.

–Nie powinni byli aresztować starej kobiety za to, że pomagała sierotom – powiedział ochrypłym głosem Winslow.

–Co się z nią stało?

–Umarła. Umarła w tym więzieniu, a jej rodzina dostała rachunek za kremację zwłok.

Shan przyglądał się jego zapadniętej twarzy. Nieszczęścia Winslowa zaczęły się od służby państwowej w Pekinie. Wszystko, co wydarza się w życiu, jest powiązane, mawiał Lokesh.

–Ale mimo wszystko przyjechałeś tu – zauważył – chociaż nie ma zwłok do odebrania.

Winslow uśmiechnął się smutno.

–Okłamałem szefa. Po zaginięciu Larkin przedsiębiorstwo naftowe przysłało nam jej akta personalne. Uznaliśmy, że ciało znajdzie się później, po prostu trzeba poczekać. Przeczytałem te akta. Była w tym samym wieku co moja żona. Uznawana w swojej firmie za człowieka sukcesu. Była zaręczona z innym geologiem z tego samego przedsiębiorstwa, który cztery lata temu zginął pod lawiną w Andach. Od tego czasu prosiła o najdalsze z możliwych placówek.

–Więc poczułeś... – Shan szukał słów. – Lokesh powiedziałaby, że szliście podobnymi ścieżkami świadomości.

Na twarzy Winslowa pojawił się melancholijny uśmiech.

–Powiedziałem im, że dostałem wiadomość, że ktoś widział w górach jej ciało. W gruncie rzeczy to nie było żadne wielkie kłamstwo. W końcu i tak wysłaliby mnie.

Siedzieli, przyglądając się, jak wiatr kołysze wiosenną roślinnością na płaskowyżu. Wreszcie Shan westchnął i wstał.

–Ja też słyszałem nieraz ten odgłos, jakby jęk wydobywający się z ziemi. Pewien lama powiedział mi, że tak się dzieje, kiedy planeta uświadamia sobie własną przemijalność. Po prostu jęczy. – Z jakiegoś powodu przypomniał sobie osypujące się z jego dłoni ziarenka białego piasku. Nagle bardzo zatęsknił za Gendunem. Chciałby być przy nim albo przynajmniej wiedzieć, że rinpocze jest bezpieczny.

Wtem, jakby jego słowa były sygnałem, zadudniła ziemia. Daleki grzmot przetoczył się trzema nachodzącymi na siebie falami. Zdawało się, że dobiega od strony potężnej, nakrytej śnieżną czapą góry po drugiej stronie równiny, góry, która dzieliła ich od doliny Yapchi. Ale na niebie nie było ani chmurki.

Gdy łoskot ucichł, rozległ się przeraźliwy krzyk, grad wściekłych tybetańskich przekleństw. Winslow wskazał jakiegoś człowieka stojącego pięćdziesiąt metrów niżej, na skalnej ostrodze, skąd był świetny widok na równinę. Był to Dremu. Wymachiwał uniesionym nad głową nożem w stronę przeciwnego krańca doliny, jakby odpowiadał na dziwne dudnienie.

Odległość była zbyt wielka, żeby Shan mógł rozróżnić poszczególne słowa, ale gniew w głosie Goloka nie dawał się pomylić z niczym innym. Głównie gniew, a przy tym lekka nuta strachu i coś, co mogło być rozpaczą. Shan ostrożnie zszedł ze skalnej półki, na której stali, i ruszył w dół.

Gdy dotarli na miejsce, Dremu siedział, ciskając kamieniami w stronę gór na północy. Usłyszawszy ich, obrócił się gwałtownie, po czym zmieszany zerknął na konie.

–W porządku, możemy jechać. Lhandro wiezie tego mnicha nad wodę, pod drzewa – oświadczył i rzucił kamieniem w trzy puszki stojące w cieniu głazu. – Znalazłem je wyżej, przy obozowisku – wyjaśnił. – Było tam wiele śladów butów, nowych

butów. Drogich. Nic więcej. Zostawiono je przed tygodniem.

Jedna z puszek, w które rzucał, była po brzoskwiniach, jedna po konserwie wieprzowej i jedna po kukurydzy. Tybetańczycy tego nie jadaliby. Etykiety na puszkach po wieprzowinie i kukurydzy były po angielsku, a na tej po brzoskwiniach – po chińsku. Do jednej z puszek wepchnięto papierek po proteinowym batonie, takim, jakie widzieli na dole.

–Jak daleko jesteśmy od doliny Yapchi? – zapytał Shan.

–Jakieś dwadzieścia pięć kilometrów – odparł Dremu.

–Ale co Amerykanie mogliby robić tak daleko od terenu wierceń? – zastanowił się na głos Shan, przesuając wzrokiem po piętrzącym się nad nimi pasmem gór zamykającym równinę od północy. – Co jest tam dalej? Po drugiej stronie?

–Nic. Rzeka. Urwiste wąwozy. Miejsca, gdzie tylko kozy mogą się zapuszczać. Shan przyjrzał się Golokowi.

–Na kogo tak się złościłeś? Chodziło ci o ten odgłos? – Wciąż jeszcze bardzo mało wiedział o tym nieobliczalnym zgorzkniałym człowieku, poza tym, że purbowie poprosili go o pomoc.

–Nie zrozumiałbyś – odparł Golok po długim milczeniu.

–Myślę, że ten odgłos cię rozgniewał. Ten grzmot.

–Grzmot? – warknął Dremu. – Myślisz, że to był grzmot? Bez chmurki na niebie?

To ta przeklęta Yapchi. – Zerwał się i znów uniósł nóż, dżgając nim w stronę ośnieżonego szczytu. – Najbardziej przeklęta góra na świecie. Nie ma drugiej takiej jak ona. Niektórzy twierdzą, że jest w niej zagrzebany skarb, ale ja mówię, że tam są stada demonów. – Golok zachowywał się jak wojownik gotowy do bitwy.

Shan znów spojrzał na górę. To ona i ukryta za nią dolina były ich celem, domem bóstwa, do którego należało kamienne oko.

–Zabrzmiało to, jakbyś uważał ją za żywą istotę – zauważył zdziwiony Winslow.

Dremu skrzywił się i przewrócił oczami, spoglądając na Shana, jakby prosił go o ratunek przed nie mającym pojęcia o górskich bóstwach cudzoziemcem, po czym odwrócił się i ruszył ścieżką.

–Człowiek, z którym zawarłeś umowę, nie żyje – powiedział Shan do jego pleców.

– Dostałeś zapłatę. Jesteśmy już blisko. Mogę pójść dalej z Lhandrem i Nymą.

Golok powoli się odwrócił. Twarz znów wykrzywił mu gniew. Wkrótce jednak pojawiła się na niej dziwna melancholia.

–Nie mam praktycznie nic, co byłoby coś warte – ciągnął

Shan, walcząc z pokusą, żeby dotknąć spoczywającego w kieszeni różańca z kości słoniowej. – Ta stara lornetka jest najcenniejszą rzeczą, jaką mam. Ale możesz ją wziąć i pojechać w

swoją stronę. Powiedz mi tylko jedno. Dlaczego jesteś wściekły na tę górę?

Dremu odszedł na skraj skalnego występu, na którym stali, zwrócony na północ, ku dominującemu nad horyzontem szczytowi.

–Spędziłem tam kiedyś miesiąc z ojcem.

Shan stanął obok niego.

–Żołnierze z tamtej dywizji – ciągnął Dremu o wiele cichszym głosem – po tym, co zrobili w dolinie Yapchi, przechodzili przez ziemie mojej rodziny. W tamtych czasach Goloków

trzeba się było obawiać. Chińczycy wiedzieli, że muszą okazać

respekt albo stracą ludzi. Więc jak wszyscy inni okazali respekt pieniędzmi i poszli dalej. Mieli rozkaz wracać bez zwłoki.

–Chcesz powiedzieć, że zapłacili haracz – domyślił się Shan.

Dremu skinął głową.

–To był podatek, który płacili wszyscy. Żeby Golokowie nie ostrzelali ich w wozach i dopilnowali, by nie zrobił tego nikt inny. Zwykły interes. Ale moja rodzina nie wiedziała, co ci Chińczycy zrobili w Yapchi. Tydzień później, kiedy dotarła do nas wieść o masakrze, było nam wstyd. Nie przyjęlibyśmy tych pieniędzy, gdybyśmy wiedzieli – oświadczył, mówiąc o tym, jakby wydarzyło się to zupełnie niedawno. – Tak więc ojciec mojego dziadka pojechał odszukać tych Chińczyków, żeby odzyskać oko albo zwrócić złotą monetę, którą od nich dostał. – Z cierpką miną przygwoździł Shana nieruchomym spojrzeniem. – Żeby odzyskać honor – dodał wyzywająco, obracając w palcach mały skórzany woreczek, który nosił na szyi obok gau.

–To było bardzo odważne – odparł z powagą Shan.

–Zastrzelili go. Zrobił to generał, własnymi rękami. Tybetańczycy, których mieli do pomocy przy koniach, widzieli to wszystko. Strzelił mu w głowę i wybuchnął śmiechem. Potem wynajęli dropkę, żeby odniósł nam ciało. Zaszyli mu złoto w kieszeni. Później przyszli mnisi i kazali mojej rodzinie pójść do Yapchi, przeprosić tych, którzy pozostali przy życiu, pomóc im zbudować nowe domy. Po tym wszystkim nawet inni Golokowie nas nienawidzili. W dawnych opowieściach była mowa o tym, jak starzy mnisi przybywali latem do Yapchi, a chorzy Golokowie chodzili tam, żeby się leczyć. Odtąd jednak całe uzdrawianie

się skończyło, bo tamtejsi ludzie znienawidzili Goloków. – Znów spojrzał w stronę horyzontu. – Oczywiście, że potem zadawaliśmy się z bandytami. – Kopniakiem posłał kamień za występ.

Ci żołnierze zniszczyli moją rodzinę – kontynuował. – Moi wujowie odjechali z bandytami albo zniknęli w miastach. Ojciec zabrał mnie któregoś lata na tę górę, żeby poszukać mnicha, jakiegokolwiek mnicha, który mógłby pomóc nam wydostać się z ciemności, jaka nas ogarnęła. Ale wtedy nie było już mnichów, więc medytował całymimi dniami, usiłując przemówić do tego bóstwa Yapchi. Od tego jednak zrobił się tylko smutniejszy. Wiedział, że góra go karze. Umarł niedługo potem i moja matka poszła pracować do miasta, szorować podłogi Chińczykom. Ja miałem czternaście lat i jeździłem na własnym koniu – dodał, jakby to wyjaśniało, dlaczego pozostał.

Trzej mężczyźni stali wśród podmuchów zimnego wiatru, który niósł ledwie uchwytny zapach kwiatów, jakby nad równiną snuła się delikatna woń kadzidła. Tybetańczycy palili kadzidło, żeby przyciągnąć uwagę bóstw. Być może, pomyślał Shan, po prostu coś w powietrzu kazało najpierw Winslowowi, a potem Dremu opowiadać o swych tragediach. Był pewien, że rongpowie z Yapchi nie znali zupełnie historii Dremu – i nie miał pojęcia, jak by zareagowali, gdyby ją usłyszeli. Podejrzewał też, że Winslow rzadko zwierzał się komukolwiek, nawet innym Amerykanom.

–Co miałeś na myśli, mówiąc o oku? – zapytał Winslow Goloka. – Wspomniałeś o jakimś oku. I o jakich żołnierzy chodzi?

Dremu skinął na Shana, który skrzywił się, lecz zaczął opowiadać o oku i o dolinie. Wydawało mu się jednak, że im bardziej zbliża się do Yapchi, tym większą zagadką staje się dlań oko.

Jego opowieść znów sprowadziła smutek na twarz Winslowa. Amerykanin spojrzał na Dremu, potem na Shana i zdawało się, że zamierza coś powiedzieć, zapytać o coś, w końcu jednak odwrócił się i wolnym krokiem zaczął schodzić po stoku do miejsca, gdzie zostawili konie.

–Jak purbowie cię znaleźli? – zapytał Shan Goloka, gdy ruszyli za Amerykaninem. – Oni nie wybrali cię po prostu dlatego, że znasz te góry, ale dlatego, że wiedziałeś o oku.

–Oni? To ja ich znalazłem – szepnął cicho Dremu, nachylając się do ucha Shana, jakby się obawiał, że podsłuchują ich skały. – Więcej ludzi wiedziało, że 54. Brygada ma oko, ale to właśnie ja odkryłem, gdzie ono dokładnie jest. Poznałem Tybetańczyka, któremu żołnierze płacili za sprzątanie ich zasranych kibli, i on

czasem pożyczał mi swój identyfikator. Znalazłem je na biurku tego pułkownika. Tego sukinsyna Lina. Robiłem plany, krok po kroku, ale pewnej nocy paru purbów przyłapało mnie przed sztabem i zapytało mnie, co tam robię. Kiedy powiedziałem im, że mam zamiar wykraść kamień, śmiali się, ale przetrzymali mnie przez dwa dni w zamknięciu. Ten Drake przyszedł i powiedział: nie, nie kradnij go, jeżeli naprawdę chcesz dopiec Chińczykom. Po prostu powiedz nam, jak się dostać do gabinetu Lina, a potem jedź do pustelni i pomóż dostarczyć oko do Yapchi. Obiecał, że zapłaci mi za to, co Golokowie zawsze robili najlepiej: za czatowanie w górach i unikanie patroli. Nie chcieli mnie widzieć w Lhasie. Bo mieli już kogoś, kto miał wykonać robotę.

Góra Yapchi, jakby przysłuchiwała się ich rozmowie, odpowiedziała kolejnym ze swych złowieszczych pomruków.

Rozdział siódmy

Jechali przez równinę żwawym klusem. Nie musieli poganiać koni, jakby i one się spieszyły, by dołączyć do karawany. Być może, pomyślał Shan, zwierzęta niepokoiła otwarta przestrzeń, być może i one wyczuwały to co on – obecność jakichś nieuchwytnych sił, nastrój wyczekiwania w powietrzu. Nie umiał znaleźć słów, żeby nazwać to uczucie. Nie był to strach, choć Dremu często stawał w strzemionach, rozglądając się wkoło, jak gdyby obawiał się pościgu. Gdy tak pędzili przez dziki, odludny płaskowyż, chwilami nieoczekiwanie ogarniała go wręcz euforia. Wysokie góry okalające równinę z trzech stron sprawiały, że miał wrażenie, iż znalazł się w jakiejś tajemniczej krainie odizolowanej od reszty świata.

Kiedy dopędzili karawanę, zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Dremu i Winslow dołączyli do pozostałych, on zaś ruszył pieszo, trzymając się w tyle. Obserwując kolumnę zwierząt i ludzi rozciągniętą na smaganym wiatrem płaskowyżu, uświadomił sobie, że w spokojniejszych chwilach minionych paru dni zaczął myśleć o tej podróży jak o pielgrzymce. Przyjrzał się w myślach ich dziwnej gromadce. Młoda dziewczyna przemawiająca głosem bóstw. Nyma, wylękniona, nielegalna mniszka. Rongpowie, którzy wierzyli, że obtłuczony kamień ochroni ich przed Chińczykami. Dremu, zgorzkniały wojownik starający się odzyskać rodzinny honor. Być może bardziej przypominali uciekinierów niż pielgrzymów. Tenzin, zbieg z obozu. Amerykanin, szukający ucieczki od rozczarowań i kariery zawodowej. Może nawet sami mieszkańcy Yapchi, teraz, odkąd pułkownik Lin widział Lhandra oraz Nymę i skonfiskował dokumenty naczelnika wioski.

Gdy karawana dotarła do niewielkiego zagajnika, Nyma i Anya, idące na jej końcu, przystanęły, przyglądając się prześwitującym spoza drzew regularnym kamiennym strukturom na stoku. Po chwili puściły się ku nim biegiem, jakby chciały obejrzeć je z bliska. Lhandro zaczekał, aż owce i konie zgromadzą się wokół małego strumyka płynącego między drzewami, po czym skinąwszy na Shana i Winslowa, wskazał im ścieżkę prowadzącą przez zagajnik. Shan rozejrzał się za Lokeshem. Znalazł go przy wieśniakach, którym pomagał ściągać juki z owiec, i wszyscy trzej skierowali się między drzewa.

Shan widział w Tybecie wiele zrujnowanych gomp: efekt poczynań żołnierzy i, później, czerwonogwardzistów, którzy wspólnymi siłami zniszczyli niemal wszystkie

sześć tysięcy tybetańskich klasztorów. Ale gdy wyszedł z zagajnika, uświadomił sobie, że nigdy – jeśli nie liczyć potężnych kompleksów w pobliżu Lhasy i Shigatse, które były najbardziej bijącymi w oczy symbolami tybetańskiej kultury – nie widział tak całkowitego zniszczenia. Cały stok oraz dno równiny, aż do strumienia, pokrywały niegdyś dziesiątki potężnych budynków. Nie pozostało z nich nic prócz pogruchotanych fundamentów i kilku stert gruzu z roztrzaskanych kamiennych murów. Cały teren otaczał rząd kamieni, odtwarzający zarys grubego, wysokiego muru zewnętrznego, z którego zachował się jedynie fragment w najbliższym narożniku, sterczący niemal na trzy metry ponad ruiny.

–Ktoś zamierza tu coś budować? – usłyszał Shan ze sobą głos Winslowa. Obejrzał się na niego zdziwiony, po chwili jednak zrozumiał. Tu i ówdzie pomiędzy starymi fundamentami widać było jakieś prostokąty starannie ułożone z niewielkich kamieni. W oczach przypadkowego obserwatora mogło to wyglądać nie tyle jak ruiny gompy, ile jak teren przygotowany pod budowę nowej.

–Zapomniałem już, jak to wygląda. Nie byłem tu od czasów młodości – powiedział ściszym głosem Lhandro, dołączywszy do nich. Ruszył powoli wzdłuż linii zewnętrznego muru, jakby obawiał się przekroczyć rząd kamieni. – Żołnierze przyszli tu z potężnymi działami. Dowodziły nimi dzieci Mao.

Dzieci Mao. Było to eufemistyczne określenie Czerwonej Gwardii, fanatycznych bojówek chińskiej młodzieży spuszczonej ze smyczy przez Mao Tse-tunga podczas „rewolucji kulturalnej”. Czerwona Gwardia niszczyła biblioteki, uniwersytety, szpitale i wszelkie inne instytucje utożsamiane z potępianymi „czterema przeżytkami”: starą kulturą, starymi obyczajami, starymi poglądami i starymi nawykami. Niekiedy dla potrzeb kampanii politycznego „oczyszczania” brała pod swoje rozkazy całe jednostki wojskowe.

–Wszyscy sądziliśmy, że chodzi o jakichś ukrywających się w górach buntowników. Nawet mnisi wyszli z gompy i wspięli się na mury, jakby chcieli zobaczyć, jak daleko będą niosły działa. Ale żołnierze skierowali działa na gompę. Nie ostrzegli mnichów. Po prostu zaczęli strzelać. Ustawili karabiny maszynowe i walili w gompę. Jak na wojnie, chociaż nikt nie odpowiadał na ostrzał. Niektóre ze starych budynków miały piwnice, podziemne kaplice wykute w skale. Po dwóch dniach strzelaniny Chińczycy uznali, że nikt nie mógł już pozostać przy życiu w tych kryptach. Urządzili łapankę w promieniu wielu kilometrów i zmusili do pracy wszystkich, którzy wpadli im w łapy. Bez różnicy, mężczyzn, kobiety i dzieci.

–Nawet mnichów? – zapytał Amerykanin.

–Mnichów? – powtórzył Lhandro, spoglądając na niego z melancholijnym wyrazem twarzy. – Od tamtego dnia, kiedy zaczęli ostrzał, minęły lata, zanim znów zobaczyłem mnicha. W tych stronach, niszcząc gompę, nigdy nie dawano mnichom szansy ucieczki. Wielu tutejszych poszło do głównej świątyni i modliło się do końca. Niektórzy zeszli do podziemnych kaplic. Znalazłem się w pierwszej grupie robotników, których tu skierowano. Byliśmy właściwie niewolnikami, niewolnikami armii. – Tępo wpatrywał się w ruiny. – Ani jedno ciało nie zachowało się w całości. Były tylko strzępy. Ale oni kazali nam wrzucić te strzępy, wszystko, co zostało z

mnichów, do dwóch dołów, które zostały po podziemnych kaplicach. Potem musieliśmy ich zasypać. Nie mieliśmy żadnych maszyn, jedynie łopaty i motyki. Pogrzebaliśmy mnichów, a potem przez pół roku paliliśmy belki i wynosiliśmy kamienie.

–Kamienie? – zdziwił się Winslow.

–Budowlane. Niemal wszystkie luźne kamienie załadowaliśmy na ciężarówki. Żeby nikt nie odbudował gomy. Ten klasztor miał przeszło pięćset lat, a stare księgi mówią, że budowano go przez pięćdziesiąt. Rozpalono ogniska i przez wiele dni palono w nich malowidła, ołtarze i księgi. Wszystko, co nie było z metalu lub kamienia, zostało spalone. Kamieni było mnóstwo. Niektóre pokruszono, żeby był tłuczeń do budowy chińskich dróg. Niektóre odwieziono do bazy wojskowej, osiemdziesiąt kilometrów stąd. Wysłano nas, żebyśmy budowali z nich koszary dla chińskich najeźdźców. To zabrało kolejne pół roku. W tamtych latach każdy był niewolnikiem Chin. – Mówił chłodnym, rzeczowym tonem, jaki Tybetańczycy przybierali zwykle, relacjonując tragiczne dzieje chińskiej okupacji. Lhandro musiał dystansować się od tych wydarzeń, bo inaczej nie mógłby o nich mówić. – Kiedy skończyliśmy, musieliśmy zagrabić teren na gładko – dodał niemal szeptem. – Kazali nam rozsypać na ziemi sól, żeby nie odrosła tam nawet trawka.

–Chryste – mruknął Winslow ze ściągniętą twarzą. Jego oczy spoczęły na odległym o dziesięć metrów okrągłym zagłębieniu w poczerniałej ziemi. Był to, jak uświadomił sobie Shan, mały lej po pocisku artyleryjskim. – Wygląda, jakby to się stało zupełnie niedawno.

A jednak nie całkiem. Przyniesiono, lub może wykopano z ziemi, nowe kamienie, które zostały ułożone wzdłuż zarysów niektórych dawnych fundamentów. A pośród ruin wznosiły się odbudowane cztery małe budynki. Trzy znajdowały się po przeciwnej stronie kompleksu klasztornego, przeszło trzysta metrów dalej, i sprawiały wrażenie, jakby zostały pieczołowicie zrekonstruowane. Czwarty budynek Shan dostrzegł, dopiero gdy podszedł do zachowanego fragmentu zewnętrznego muru: była to niewielka przysadzista budowla z kamienia obrzuconego tynkiem, dwie nowe ściany dostawione do ocalałego narożnika muru. Przed drzwiami siedział mały chłopczyk, bawiąc się kamykami. Na widok Shana otworzył usta i rzucił się biegiem ku trzem pozostałym odbudowanym budynkom.

Lhandro położył dłoń na ramieniu Shana. Odwróciwszy się, Shan ujrzał Lokesha. Stary Tybetańczyk stał ze wzrokiem

utkwionym w miejscu po klasztorze, pochylony lekko, trzymając się za brzuch, jakby go ktoś kopnął. Po chwili odwrócił się, a raczej zatoczył, z bolesną miną rozglądając się po drzewach i wznoszącym się nad nimi stoku. Spojrzał znów na ruiny i chwiejnym krokiem ruszył przed siebie, z początku wolno, potem szybciej, aż wreszcie, wydawszy coś w rodzaju szlochu, puścił się biegiem w sam ich środek.

Biegł dziwnie: raz po raz zwalniał, rozglądał się, skręcał to w lewo, to w prawo i znów przyspieszał kroku. W pewnej chwili przystanął nawet, kucnął i podniósłszy garść piachu, przyglądał się żałośnie, jak jego drobinki przesypują mu się przez palce, wreszcie opuścił pustą już dłoń, aż dotknęła ziemi. W kilku miejscach, gdzie

stary Tybetańczyk zmieniał kierunek biegu, Shan zauważył rządki kamieni wyznaczające zarys dawnych fundamentów. Najczęściej jednak nie było tam nic, choć Lokesh najwyraźniej coś dostrzegał. Jakby, uświadomił sobie Shan, widział stojące tu niegdyś budynki, jakby je omijał.

Nagle, przebywszy ponad połowę obszaru, na którym niegdyś stała gompa, jego przyjaciel zatrzymał się i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi. Shan ruszył ku niemu, zrobił jednak zaledwie parę kroków, gdy z budynków po przeciwnej stronie kompleksu wynurzył się idący pośpiesznie ku nim mężczyzna z chłopcem u boku.

–To stróż – oświadczył z ulgą Lhandro. – On nam pomoże. Pomoże mnichowi. – Wyszedł mężczyźnie naprzeciw i spotkał się z nim trzydzieści metrów dalej. Razem pospieszyli ku rannemu mnichowi, który leżał teraz na kocu nad strumieniem.

Shan wszedł między ruiny, posuwając się wzdłuż długiego rzędu kamieni, aż wreszcie przystanął na środku rozległego gruzowiska obok dwóch niskich, podłużnych wzgórków. Na każdym z nich wznosił się mały kamienny kopiec, a otaczały je głazy pokryte tybetańskim pismem, rzeźbione, malowane, głoszące mantrę do Bodhisattwy Współczucia: *OM MANI PADME HUM*. Kamienie mani, jak je nazywano. Shana ogarnął głęboki smutek. Pomiędzy wzgórkami stał sześcian o boku dwóch i pół metra, wysoki na metr, wykonany ze spojonych zaprawą kamieni. Ktoś budował czorten, jedną z owych tybetańskich stup zwieńczonych

splaszczoną, zwężającą się ku podstawie kopułą i iglicą, które często mieściły święte szczątki. Jak wiele było ich tutaj, zastanawiał się, jak wielu mnichów mogło mieszkać w tak wielkiej gompie? Trzystu, być może. Może nawet pięciuset.

Poczuł się słabo i usiadł twarzą do wzgórków. Zreflektował się, że trzyma prawą rękę nad kolanem, dłonią i palcami wskazuje ku dołowi. Była to mudra symbolizująca wzywianie ziemi na świadka.

Gdy wreszcie wstał, zauważył, że Lokesh się nie rusza. Podszedł do przyjaciela i usiadł obok niego. Jego dłonie także ułożone były w mudrę. Kciuki i palce wskazujące stykały się, tworząc koło, pozostałe palce zaś sterczały w górę. Shan przyglądał się przez chwilę, zbity z tropu. Była to Dharmacakra-mudra, gest wprawiania w ruch Koła Życia, używana przez nauczycieli, by przywołać jedność mądrości i czynu, stanowiącą cel buddyjskiego nauczania.

–Nie wiedziałem – odezwał się starzec po kilku minutach łamiącym się głosem. – Nikt nie wspominał, jak się nazywa miejsce, do którego idziemy. To gompa Rapjung. Ta równina jest święta. Nazywa się Metoktang. – Słowo to znaczyło: Równina Kwiatów.

–Byłeś tu już?

Lokesh skinął głową.

–Nie poznałem tego miejsca. Któż by je poznał po tym, co oni zrobili? – Pokręcił żałośnie głową. – Zawsze przychodziłem szlakiem od południa, nie od zachodu, jak my teraz. Było tu wiele pięknych budynków. A stoki porastały drzewa, wspaniałe wysokie iglaki i różaneczniki. Słyszałem, że Chińczycy zabrali lasy. Nie wiedziałem, że chodziło o coś takiego. Nie została nawet gałązka, nic poza tą kępą jałowców.

–Bywałeś tu w sprawach państwowych? – zapytał Shan.

–Wcześniej. Rapjung słynęła ze swych lamów uzdrowicieli – odparł Lokesh. Głos znów mu się załamał. – Nie byli to zwykli lekarze, ale uczeni medycy, którzy najpierw rozwijali świadomość buddy, a potem poświęcali resztę życia na zgłębianie powiązań między zdrowiem człowieka a otaczającą go naturą. Ta równina ma wielką duchową moc. Przybywali tu ludzie z całego

Tybetu, a nawet z Nepalu i Indii, żeby zdobywać wiedzę o ziołach i poznać sztukę mieszania leków. Był pewien stary lama, który uczył jedynie o porach sporządzania mieszanek. Shan przypomniał sobie niesamowite uczucie, którego doznawał na równinie.

–O porach?

Lokesh z powagą skinął głową.

–Są okresy w roku, kiedy nie powinno się w ogóle sporządzać pewnych leków, pory dnia, w których najlepiej przygotowywać określone mieszanki, żeby miały jak największą moc, są miejsca, gdzie mieszanie udaje się najlepiej. – Spuścił wzrok na jałową ziemię u swych stóp. – Tu, na terenie gompy i na równinie, i w pobliskich górach rosły zioła lecznicze, których nie spotykało się nigdzie więcej – dodał, rozglądając się udręczonym wzrokiem po nagim gruzowisku. Kilka razy otwierał

i zamykał usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, a jego oczy zwilgotniały. Chińczycy skazili ziemię solą.

Latem było tu tak radośnie – podjął po chwili z tęsknotą. – Lamowie zabierali nas na równinę albo w góry. Rozbijaliśmy tam namioty, żeby móc zrywać i badać dziko rosnące rośliny, czasem zbieraliśmy też wielkie worki ziół, które przynosiliśmy sporządzającym leki. Były specjalne pieśni, które śpiewali, żeby pobudzić leczniczą moc roślin, i specjalna dieta, której przestrzegali. Gdy odwiedzałem to miejsce, żyło tu kilkunastu lamów liczących sobie przeszło sto lat. Zapytałem jednego z nich, czy zawdzięczają swą długowieczność jakimś szczególnym ziołom, które tu rosną. Spoważniał i odparł, że nie, że to nie dzięki ziołom, ale dzięki pieśniom, gdyż pieśni utrzymują ich w stałej łączności z bóstwami żyjącymi w tej ziemi. Oni znali śpiewane nauki, które można było recytować przez cały dzień, nie powtarzając ani linijki.

Śpiewane nauki. Lokesh miał na myśli pradawne teksty, które lamowie przechowywali w pamięci, niekiedy śpiewnie recytowane przy akompaniamencie rogów, cymbałów i bębnów.

–One są już stracone, wiesz – szepnął ledwie słyszalnym głosem. – Niektóre zostały utracone na zawsze. – Zająknął się i spojrzał na Shana, jakby pytał dlaczego. – Przepadły – dodał żałośnie.

Pieśni przepadły, mówił Lokesh. Przepadły, ponieważ lamo-wie, którzy znali je na pamięć, zginęli, pozbawieni możliwości przekazania ich następnemu pokoleniu.

–Co było w tym miejscu? – zapytał Shan po chwili. – Dla czego przyszedłeś akurat tutaj?

Starzec uniósł wzrok, uśmiechając się smutno.

–W tej gompie żył pewien lama imieniem Chigu. Miał sto

pięć lat, kiedy widziałem go po raz ostatni. Przez długi czas był opatem, lecz gdy skończył siedemdziesiąt pięć lat, złożył urząd, żeby poświęcić się wyłącznie medytacjom i sporządzaniu leków. Tam było małe podwórko obrośnięte wisterią... – urwał, wskazując w stronę odbudowanych budynków – gdzie uczył suszenia i rozdrabniania ziół i korzeni. Miał tam wielkie noże i zdarzało się, że uczniowie obcinali sobie nimi palce. – Znow umilkł, unosząc się na fali wspomnień. – Każdego lata udawaliśmy się razem na równinę, tylko we dwóch, i przez tydzień wędrowaliśmy dzikimi ścieżkami. Zbieraliśmy zioła i modliliśmy się, a nocami wpatrywaliśmy się w niebo. Siadywaliśmy wysoko w górach na płaskich głazach, skąd zupełnie nie było widać ziemi, tylko niebo, więc nazywaliśmy to siedzeniem w niebie. Uczył mnie tego, co przekazał mu jego własny nauczyciel, który miał sto piętnaście lat, kiedy zmarł, w roku 1903, roku Wodnego Zająca. Chigu Rinpocze opowiadał mi o sprawach, o których słyszał od swego nauczyciela, o wydarzeniach z czasów Ósmego – ciągnął Lokesh z podziwem w oczach. VIII Dalajlama zmarł w osiemnastym wieku. – Siedzieć w nocy na pustkowiu i łączyć się z czasami Ósmego przez łańcuch zaledwie dwóch języków to przeżycie, jakiego

się nie zapomina – dodał, wpatrując się w płat nagiej ziemi

przed sobą. – To tutaj właśnie mieszkał, tutaj są izby, w których go odwiedzałem, kiedy wracałem tu co lato. – Ostatnie słowa uwięzły mu w gardle.

Długo siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w szum wiatru. Shan pozwolił swej świadomości unosić się swobodniej chłonął atmosferę świętego miejsca. Parę razy zdawało mu się, że słyszy głęboki, przejmujący dźwięk mantry recytowanej przez zgromadzenie mnichów. Zamknął oczy i wyobraził sobie aromatyczną woń jałowca płonącego w samkang, obrzędowej kadzielnicy,

jakich pełno było zapewne na terenie takiej gompy, po czym uświadomił sobie, że jest sam, i nagle oprzytomniawszy, zobaczył, że Lokesh odchodzi wolno w stronę trzech odbudowanych budowli.

Pięć minut później dogonił przyjaciela na małym, ograniczonym z trzech stron podwórzu między tymi budynkami. Na twarzy Lokesha malował się jego zwykły skrzywiony uśmiech. Shan nie wyobraził sobie zapachu jałowca. Na otwartym końcu podwórza stał wysoki prawie na półtora metra czworonożny żelazny samkang, w którym tliły się szczapy wonnego drewna. Pod wystającym okapem dachu środkowego budynku ustawiono młynek modlitewny wielkości małej beczki, wykonany z miedzi i srebra. Przy młynku stała nie więcej niż sześćioletnia tybetańska dziewczynka o policzkach wysmarowanych czerwoną maścią doją i obracała go z poważną miną. Do budynku prowadziły solidne, fachowo wykonane drewniane drzwi pomalowane na ciemną ochrę. Lokesh popchnął je nieśmiało i wszedł do środka. Shan ruszył za nim i znalazł się w małej sali zgromadzeń, dhakang, o podłodze z gładkich kamiennych płyt. Na ścianach wisiały trzy stare, wystrzępione thanki przedstawiające sceny z życia Guru Rinpocze. Jedno z malowideł było rozdarte i zszyte prymitywnym ścięciem. Inne było tak wyblakłe, że postacie były nierozpoznawalne.

Shan pomyślał o jałowej ziemi otaczającej ruiny. Choć budynki były niewielkie,

wzniesienie ich musiało wymagać olbrzymiego wysiłku. Każdą deskę, każdy kamień, każdy gwóźdź przyniesiono z zewnątrz, ze świata, zapewne z któregoś miasta przy prowadzącej z północy szosie, jeżeli nie z większej odległości.

Obejrzeni pozostałe dwa budynki i przekonali się, że jeden z nich to gonkang, sanktuarium bóstwa opiekuńczego, drugi zaś – mały lhakang, kaplica. Oba zostały zbudowane z tą co dhakang troską o szczegóły. W kaplicy znajdował się wykonany z rozszczepionych kłód ołtarz, na którym spoczywał dwudziestocentymetrowej wysokości brązowy posążek Bodhisattwy Współczucia oraz siedem tradycyjnych czarek ofiarnych, każda inna, wszystkie wyrzeźbione z drewna, poza jedną, porcelanową, nieco wyszczerbioną. W głębi sanktuarium stał na wpół ukończony drewniany posąg Tary z dłonią wspartą na kwiecie lotosu. Podłogę dookoła pokrywały wióry, na pobliskiej ławie zaś leżał pobijak i kilka dłut. Shan przypomniał sobie mężczyznę, którego wywołał stąd chłopiec, kiedy przybyli. Dozorcę ruin.

Opuściwszy gonkang, natknęli się na Tenzina. Stał przy kadzielnicy, z zamkniętymi oczyma, otoczony dymem, jakby próbował się obmyć w jego oczyszczających kłębach. Po chwili otworzył oczy i podszedł do dziecka, które wyglądało na zmęczone. Łagodnym gestem dał dziewczynce znak, że ją zastąpi, po czym podjął monotony ruch, ona zaś odeszła, podziękowawszy mu skinieniem głowy, nie pozwalając, by młynek zatrzymał się choćby na chwilę. Shan i Lokesh mijali kiedyś położony na odludziu dom w zachodnim Tybecie, gdzie stary człowiek i jego żona obracali podobny młynek modlitewny, uratowany ze zrujnowanej gompy, zmieniając się przy nim co cztery godziny, dniem i nocą bez przerwy. Robili to od dziesięciu lat i jak wyjaśnili z powagą, jeśli będą obracać go jeszcze przez dziesięć, bogowie będą tak zadowoleni, że sprowadzą dalajlamę z powrotem do Tybetu.

Lokesh dotknął ramienia Shana i odciągnął go za róg budynku, żeby nie przeszkadzać Tenzinowi. Zostawili milczącego Tybetańczyka przy młynku, uśmiechającego się z powagą do dziewczynki, która siedziała oparta o ścianę kaplicy.

Na brzegu strumyka płynącego przez jałowcowy zagajnik rozłożyły się błogo owce z karawany, strzeżone przez mastiffy i Anyę, siedzącą obok Winslowa, który drzemał w gęstej trawie. Wieśniacy z Yapchi stali z czarkami herbaty przy otwartych drzwiach przyklepionej do murów chatynki. Shan wszedł do niej i z ulgą zobaczył, że pobity mnich siedzi wyprostowany na sienniku, z czarką w dłoniach, pod opieką Nymy i stróża, który stał plecami do Shana, mówiąc coś cichym, łagodnym głosem, podczas gdy Nyma omywała rany mnicha.

Shan odwrócił się i w milczeniu wycofał za próg. Na zewnątrz natknął się na Lhandra. Rongpa siedział na przystawionej do muru, z grubsza ociosanej ławie, studiując swą mapę. Gdy Shan podszedł do niego, zza rogu wypadła nagle Nyma.

– To był on! – zawołała. – Ten dobdob! On mówi, że medytował, kiedy pojawił się jakiś olbrzym z uczernioną twarzą, szaleniec przebrany za demona. Bez żadnego powodu zaczął okładać go długim kijem, a potem próbował go spalić. – Mniszka wpatrywała się w Shana z przerażeniem na twarzy.

Lhandro krzyknął do jednego z wieśniaków, który natychmiast skoczył na konia i

odjechał. Nawet tu, na dzikiej, odciętej od świata Równinie Kwiatów, trzeba było strzec kamiennego oka.

–Skąd on wie? – zdumiał się rongpa. – Ten demon idzie za okiem, jakby mówiło do niego.

Nie idzie za nim, pomyślał Shan. Dobdob przybył z pustelni na Równinę Kwiatów przed nimi, jak gdyby wiedział, że będą tędy przechodzić. Czy to on wywołał lawinę, która zamknęła przełęcz, aby mieć pewność, że pójdą okrężną drogą przez równinę? Czy zaatakował mnicha i podłożył ogień w kotlinie, żeby powstrzymać lub spowolnić ich marsz? Czy może, czekając na nich, zapragnął chwilowo nasycić swój apetyt i zaatakował kolejnego z wiernych?

–Lokesh mówił, że dobdob egzekwuje cnotę – odezwała się

Nyma, zniżając głos, jakby się obawiała, że ktoś ją podsłucha. – Ale ten atakuje cnotliwych. To raczej jakiś antydobdob albo dobdob opętany przez zło.

Spojrzała wyczekująco na Lhandra, a potem na Shana i westchnęła, bo żaden nie odezwał się słowem.

–Przynajmniej jemu już nic nie grozi – powiedziała, kiedy Shan usiadł na ławie. – Wzrok ma zupełnie przytomny. Jest głodny. Ma na imię Padme. Powiedział nam, gdzie jest jego gomba – dodała i gdy Lhandro podsunął jej mapę, pokazała kropkę opisaną jako Norbu, leżącą u końca drogi odchodzącej na wschód od szosy północ-południe. Lhandro przeciągnął palcem od kropki do jakiegoś punktu na równinie, parę kilometrów od miejsca, w którym byli, po czym nakreślił szlak prowadzący na wschód wzdłuż górującego nad nimi zbocza, a później na północ w głąb prowincji Qinghai, ku dolinie Yapchi.

–Słyszeliśmy o Norbu. To jedna z gomp, którym pięć lat temu pozwolono wznowić działalność. Mój ojciec chce, żebym któreś zimy poszedł tam po błogosławieństwa. To tylko piętnaście

kilometrów od naszej trasy. Wyślę jutro pięciu ludzi, żeby go zanieśli: czterech do niesienia koca, jeden na zmianę. – Spojrzał niepewnie na Shana. – Nie możemy zostawić mnicha na odludziu – dodał.

–Nie możemy – zgodził się Shan. Rozejrzał się po ruinach. Tenzin nie wyszedł spomiędzy odbudowanych budynków, gdzie zostawili go przy młynku modlitewnym. Po raz pierwszy w czasie ich wyprawy niemy Tybetańczyk nie odszedł ze swym skórzanym workiem po łajno, gdy tylko karawana rozłożyła się obozem.

–Odprowadźcie go – powiedział Shan. – Ja pójdę do Yapchi sam, z Lokeshem.

–Niemożliwe – zaprotestował Lhandro. – Kamień... karawana... Kazano nam towarzyszyć ci przez całą drogę.

–Boję się tego, co może na nas czekać – odparł Shan. – Pułkownik. Jego strzelcy górscy. Oni wiedzą, skąd pochodzi oko. Z pewnością się domyślają, że tam właśnie ma zostać odniesione.

–To nasz dom – oświadczył Lhandro z błyskiem determinacji w oczach. – Mieszkam w domu zbudowanym przez moją

rodzinę wiele pokoleń temu. Nie pozwolę, żeby żołnierze trzymali mnie z dala od domu.

–Musisz coś zrozumieć – powiedział z powagą Shan. – W tej chwili sprowadzenie oka z powrotem prawdopodobnie przyniesie wam wszystkim więcej szkody niż pożytku.

–Nie – odparł z naciskiem Lhandro. W jego głosie nie było już znać wątpliwości. – Spośród wszystkich możliwych dróg o tej jednej nie może być mowy. Musimy przynieść kamień z powrotem, za wszelką cenę, nawet gdyby oznaczało to ściągnięcie sobie na kark wojska lub tego dobdoba. Odpocznimy jutro, a potem...

Przerwał, bo nagle pojawiła się jakaś Tybetanka w postrzępionej czerwonej tunice przewiązanej długim paskiem z jaczego włosia, z kilkoma ciężkimi naszyjnikami z turkusów oraz koralu. Zerknęła nerwowo na Shana i spojrzała w stronę domu.

–Powinieneś pójść zająć się owcami – powiedziała cicho, nagłym tonem.

Lhandro wstał, spoglądając z niepokojem na stado. Owce leżały spokojnie sto metrów dalej, nad brzegiem strumienia.

Kobieta zerknęła ku ognisku, gdzie dwoje dzieci podsycalo ogień, pomagając sobie małym miechem. Mieszka tutaj, uświadomił sobie Shan. Prawdopodobnie jest żoną stróża.

–Pójdę z tobą do owiec – zaproponowała. – Chodźmy zaraz. Lhandro zrobił krok naprzód, znów spoglądając na zwierzęta.

–Nie ty – powiedziała z naciskiem kobieta, wykręcając dłonie.

Shan wstał, nie rozumiejąc ani o co jej chodzi, ani dlaczego jest zdenerwowana.

–Chcesz mi coś powiedzieć?

–Nie – zaczęła. Nagle jęknęła. Zza rogu domu wyszedł stróż. Był to solidnie zbudowany mężczyzna, nieco wyższy od Shana, w brązowym kapeluszu z szerokim rondem i noszonej przez dropków kamizeli z owczego runa. Stał jak wryty, wpatrując się w Shana z miną, która wyglądała na grymas przerażenia, po czym ruszył na niego jak byk, bez ostrzeżenia, i gwałtownie pchnął go z powrotem na ławkę, uderzając nim o ścianę z taką siłą, że Shanowi zaparło dech w piersiach.

–Nikt cię tu nie prosił, Chińczyku – wycedził z zimną furią. – Nie chcemy cię tutaj.

Shan wstał na drżących nogach, starając się złapać oddech. Stróż znów grzmotnął nim o ścianę. Shanowi zakręciło się w głowie. Uświadomił sobie, że kobieta biegnie do ogniska. Usłyszał tętent końskich kopyt i dostrzegł jakiś ruch na tle drzew.

Lhandro położył stróżowi dłoń na ramieniu, mężczyzna jednak wykręcił się i uderzył ręką łokciem, tak gwałtownie, że spadł mu przy tym kapelusz. Shan patrzył na niego zbity z tropu. Stróż był Chińczykiem.

–Wracaj na swoje bandyckie ścieżki! Wynoś się stąd! – warknął mężczyzna. – Tu nie ma miejsca dla świętokradców! – Uniósł pięść, znów ruszając na Shana, nagle jednak obok nich gwałtownie zatrzymał się koń, wzbijając chmurę pyłu, i w okamgnieniu dosiadający go Dremu skoczył na plecy stróża. Zarzucił mu ramię na szyję i odciągnawszy go w tył, powalił na ziemię.

Kobieta krzyknęła przeraźliwie. Stróż, wciąż siedząc na ziemi, wyciągnął zza pasa dłuto i machnął nim, mierząc w Dremu, który odskoczył w tył i wymachując rękami, przykucnął, jakby szykował

się do nowego skoku. Gdy Shan wstał, nadbiegła Nyma, a za nią Anya, krzycząc z przerażenia. Nagle w dłoni Dremu pojawił się nóż.

–Tak nie można, ojcze! – łagodnie zawołał chłopiec, który wcześniej pobiegł, żeby zawiadomić stróża o ich przybyciu.

Powtórzył te słowa, gdy kobieta wypchnęła go naprzód, jakby tylko on mógł powstrzymać napastnika.

Ręka trzymająca dłuto opadła bezwładnie. Zdawało się, że stróż nie dostrzega już Dremu. Spojrzał jadowicie na Shana i odwrócił się ku chłopcu.

–Ci dwaj ludzie – odezwał się spokojnie ktoś za plecami

Shana – znaleźli mnie, kiedy leżałem ranny na równinie.

Shan odwrócił się. Przy narożniku chałupki stał, wspierając się na Lokeshu, pobity mnich.

Wydawało się, że siedzącego na ziemi stróża opuściły nagle wszystkie siły. Spojrzał na mnicha, na kobietę i chłopca, a następnie, upuściwszy dłuto, objął rękoma kolana i oparł na nich głowę. Po chwili łypnął z ponurą miną na Shana i zwrócił się do Lhandra.

–Powinieneś być mnie uprzedzić, że macie tu Chińczyka – burknął, ale w jego głosie było więcej smutku niż gniewu.

Chłopiec podszedł do niego ostrożnie i wyciągnął rękę, żeby pomóc mu wstać. Przez chwilę, gdy podnosił się z ziemi, stróż wydawał się stary i niedołężny, wkrótce jednak jego oczy znów zapłonęły dzikim blaskiem. Podniósł dłuto i zatknąwszy je za pas, utkwiał w Shanie nienawistne spojrzenie.

–On nie jest jednym z tych... – zaczął Lhandro, szukając odpowiednich słów. – On jest taki jak ty, Gang.

Mężczyzna prychnął, jakby chciał powiedzieć, że nikt nie jest taki jak on, lecz kiedy syn ujął go za rękę, znów oklapł. Opuścił wzrok i pozwolił chłopcu poprowadzić się z powrotem przez ruiny.

Shan chwiejnie dowlóknął się do ławki i usiadł, przyglądając się, jak mężczyzna odchodzi ku świątyniom. Gang. Stal. Takie imię nadawali dzieciom wyznawcy kultu Mao, jak nazywał to jego ojciec, podczas fanatycznej kampanii produkcji stali wprowadzonej przez Przewodniczącego ponad czterdzieści lat temu.

–Mój mąż nie jest... – usłyszał Shan napięty głos kobiety.

Odwrócił się i ujrzał, że stoi obok niego z drugim chłopcem. –

Gang nie jest taki... – Spojrzała w stronę, w którą odszedł dziwny, rozjuszony mężczyzna, i zdawało się, że lada chwila wybuchnie płaczem. – Mój mąż zbudował te świątynie – po wiedziała na jego obronę, po czym poprosiła chłopca, żeby przyniósł Shanowi czarkę herbaty. – Zabrało mu to prawie dziesięć lat.

Lhandro podszedł do mnicha, by go odprowadzić do izby.

–Gang ma złe wspomnienia – wyjaśnił przeprasząc. Spojrzał na Shana, a potem na mnicha. – Przepraszam. Nie widziałem go od lat. Zapomniałem o tym. – Złe wspomnienia. Był to utarty zwrot, jeszcze jeden element osobliwego języka ukutego przez ludzi żyjących w cieniu Pekinu, zwięzłe określenie cierpień doznawanych przez tych, którzy dostali się w tryby krwawego terroru, który niemal unicestwił ich świat.

Gang, stróż zrujnowanej gompy, miał złe wspomnienia. Ale czego? Shan nigdy jeszcze nie słyszał, żeby Tybetańczyk powiedział tak o Chińczyku.

–Czytałem, że w górach krążą pogłoski o Chińczyku, który buduje świątynie – odezwał się mnich słabym, lecz miłym, kulturalnym głosem. Spojrzał nad ruinami na stróża, który był już niemal przy zrekonstruowanych budynkach. – Ale to... – dodał zdumiony, kręcąc głową. – Nie przypuszczaliśmy, że te plotki mogą być prawdziwe. Tutaj nikt nie przychodzi. Wiatry są zbyt zimne. Sądziliśmy, że nie ma tu nic prócz ruin. – Oparł się ręką o ścianę, jakby nagle zakręciło mu się w głowie, i Nyma zaprowadziła go z powrotem na posłanie.

Żona Ganga opadła ciężko na ławkę obok Shana.

–Trafił tu jako nastolatek z Armią Ludowo-Wyzwoleńczą, w sześćdziesiątym czwartym. – Szybko wyjaśniła, że Gang, młody kapral sił okupacyjnych, po odbyciu służby dostał od wojska przydział ziemi oraz premię za małżeństwo z Tybetanką. – Ożenił się z moją siostrą – ciągnęła smutno – i osiedli przy szosie na północ od Amdo, na ziemi, która niegdyś była

częścią włości naszej rodziny. Mieli syna i żyło im się szczęśliwie. Gang stał się buddystą. Kiedyś, gdy ich syn ciężko zachorował, przyszedł lama uzdrowiciel z gompy Rapjung i uratował chłopcu życie. Od tego czasu Gang zaczął pomagać lamom, kiedy tylko mógł, przy uprawie ziół, tydzień albo dwa wiosną, żeby przygotować ziemię, i tydzień jesienią, przy zbiorze i suszeniu.

Ale potem przyszły te dzieciaki – ciągnęła kobieta. – Kiedy już zniszczyły Rapjung, dotarły i tutaj. Czerwona Gwardia – dodała złowieszczo. – Moja siostra obawiała się o ojca, więc poszła z synem pomóc rodzinie uciec w góry. Ale Gwardia ich dopadła. Na miejscu przeprowadzili proces i oskarżyli ich wszystkich o przynależność do uciskającej lud klasy posiadaczy ziemskich. – Zerknęła na Shana i spuściła wzrok. – Ogłosili wyrok i kazali go wykonać mojemu siostrzeńcowi – powiedziała niemal szeptem.

Shan skrył głowę w dłoniach i siedział tak, z łokciami na kolanach, walcząc ze ściśniętym boleśnie gardłem. Kobieta mówiła, że hunwejbini zmusili małego chłopca, żeby zabił swoją matkę i dziadka.

–Potem zabrali chłopca ze sobą – dodała głucho.

Takie niedobitki politycznie niepożądanych elementów, jeśli nie zostały zabite na miejscu, często były wysyłane na wschód do specjalnych szkół, gdzie poddawano je indoktrynacji politycznej, żeby zrobić z nich przykładowych członków chińskiego proletariatu.

–Nie zobaczyliśmy go już nigdy więcej.

–Powiadają, że Gang oszalał – kontynuował opowieść Lhandro – że zaczął

urządzać zasadzki i mordować hunwejbiniów. Nikt nie wie na pewno. Ale Czerwona Gwardia zaczęła obawiać się pewnych miejsc w górach i stopniowo wycofała się z tych stron. Siostra jego żony wróciła – dodał smutno, wskazując kobietę wzrokiem – i została przydzielona do spółdzielni, która przejęła jej rodzinne ziemie. Parę lat później Gang zszedł z gór i zatrudnił się tam. W końcu zostali małżeństwem. Kiedy rozwiązano spółdzielnię, przyszli tutaj, bo szukali samotności i Gang uważał, że wciąż ma dług wobec uzdrowicieli, którzy tu żyli. – Znów spojrzał przepaszająco na Shana. – Zapomniałem o Gangu i jego stosunku do Chińczyków. Jeszcze nigdy... – Głos uwiązał mu w gardle.

Nyma dokończyła za niego:

–Jeszcze nigdy nie mieliśmy w Yapchi przyjaciela Chińczyka.

Rano Padme był ożywiony, rozmowny i tak głodny, że zmiotł jedną po drugiej dwie miseczki tsampy.

–Uratowaliście mi życie – kilkakrotnie powtarzał Shanowi i Lhandrowi. Siedział z kocem na ramionach, bo wiał mroźny wiatr. Od czasu do czasu rozglądał się z uwagą po odbudowanych budynkach i notował coś w bloczku, który trzymał w sakiewce przy pasku, czasem zaś wpatrywał się w stado owiec pasące się nad strumieniem. – Ale nie rozumiem, dlaczego przyprowadziliście tu swoje zwierzęta – powiedział do Lhandra. Jego wzrok padł na Winslowa, idącego brzegiem potoku.

–Szliśmy na północ, kiedy cię znaleźliśmy – odparł rongpa. – Nie zniósłbyś podróży, więc poszukaliśmy wody i schronienia.

–Dziewczynka, która wam towarzyszy, powiedziała, że w workach, które niosą owce, jest sól. – Mówiąc, Padme nie odrywał oczu od Amerykanina.

Lhandro skinął głową.

–Z Lamtso.

Młody mnich przyjrzał mu się uważnie.

–To bardzo stary zwyczaj – wymamrotał dziwnym, niepewnym tonem. Brzmiało to niemal tak, jakby upominał rongpę. – Może być zanieczyszczona, jeśli bierzecie ją po prostu z ziemi.

Lhandro spojrzał na mnicha, skonsternowany, nawet zaniepokojony, zastanawiając się zapewne, czy przez te wszystkie lata bez mnichów rolnicy z Yapchi nie zapomnieli o czymś istotnym.

–To dobra sól – odezwał się wreszcie.

Mnich wzruszył ramionami i przyjął od żony Ganga kolejną czarkę herbaty.

–Ale są przepisy co do soli. Jest państwowy monopol na sól – odparł niepewnie. – Nie chciałbym, żebyście zostali oskarżeni o... – Urwał i wzruszył ramionami. – Gdyby nie wasza karawana, być może leżałbym tam jeszcze wiele godzin. – Spojrzał na Shana.

–Skąd się tam wzięłaś? – zapytał Shan. – Co robiłaś na równinie? Czekaleś na kogoś?

Padme wyjaśnił, że wraz z innymi mnichami z Norbu wyprawiają się niekiedy na poszukiwanie obiektów kultowych. Nigdy wcześniej nie zaglądali na tę równinę i kiedy tutaj dotarli, uświadomili sobie, że będą się musieli rozdzielić, jeśli mają zbadać

ją całą. Padme, który skierował się ku jej drugiemu końcowi, dotarł właśnie do kamiennego kopca i rozglądał się po terenie, gdy nagle zaatakował go jakiś olbrzym z kijem.

–Widziałeś może, kto to zostawił? – wtrącił po mandaryńsku Winslow, który podszedł do nich, trzymając porzuconą przez Amerykankę żółtą kamizelkę. – Widziałeś jakichś Amerykanów?

–Nie – odparł powoli Padme. – To po prostu tam leżało. Przy tym kopcu. Amerykanin westchnął. Podał kamizelkę mnichowi.

–Weź ją. Dlaczego nie miałyby się komuś przydać?

Po chwili wahania Padme wyciągnął rękę, zrzucił koc i włożył kamizelkę.

–Ten cudzoziemiec też zbierał sól? – zwrócił się po tybetańsku do Lhandra.

–Po prostu dołączyłem do karawany, żeby się przejść i pooddychać świeżym powietrzem – powiedział wesoło Winslow, również po tybetańsku.

Mnich spojrział na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma.

–Amerykanin, który mówi po tybetańsku?! – wykrzyknął i zerknął z zaciekawieniem na Lhandra i Shana, jakby ten fakt w jakiś sposób zmienił jego opinię o ich gromadce.

Lhandro oświadczył, że zostaną przy ruinach do jutra, aż wieśniacy z Yapchi objadą konno okolicę. Następnego dnia rano karawana ruszy dalej na północ, a część grupy odprowadzi Padmego do jego gomy. Mnich podziękował mu i poszedł z rongpa-mi w osłonięte przed wiatrem miejsce pod murem, gdzie usiedli, by zaintonować mantrę do Bodhisattwy Współczucia.

Kwadrans później rongpowie rozjechali się w różnych kierunkach. Nyma podeszła do drzwi chałupki i porozmawiawszy z kimś w środku, przykucnęła, żeby zawiązać mocniej sznurowadła butów. W drzwiach pokazała się żona Ganga, wskazując wydeptaną

ścieżkę biegnącą wzdłuż obwodu tego, co niegdyś było zewnętrznym murem starej gomy. Nie, nie ścieżkę, ale kogoś, kto szedł tą ścieżką: Tenzina, kroczącego powoli, w zamyśleniu, w stronę dalszego krańca ruin.

–Kora – domyślił się nagle Lokesh. Ścieżka pielgrzymkowa. Takie ścieżki były w wielu dawnych świątyniach i gompach. Krążyli nimi pielgrzymi, żeby gromadzić zasługi oraz oddać cześć ich obecnym lub dawnym mieszkańcom.

–Wzdłuż muru na północ, do dawnej groty pustelnika -wyjaśniała kobieta, wskazując poza odbudowane budynki, jakby mur wciąż tam stał – potem w górę obok kaplicy drup-chu – ciągnęła, mając na myśli, jak nazywali to starzy Tybetańczycy, źródło wody powodzenia, ponoć obdarzającej błogosławieństwem i zdrowiem tych, którzy ją pili. Lokesh poprawił sznurowadła, zerkając wyczekująco na Shana, który uśmiechnął się w odpowiedzi i odszedł, żeby zabrać butelkę na wodę ze sterty kocy pod murem, gdzie spała cała ich karawana z wyjątkiem Dremu. Golok, jak zwykle, wołał spać osobno, zaszyty w jakiejś pobliskiej kryjówce.

Gdy Shan wrócił, zobaczył, że Lokesh przygląda się z zakłopotaniem Lhandrowi, Nymie i Anyi. Troje rongpów ruszyło właśnie korą, ale kierując się na wschód, na prawo, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Stary Tybetańczyk ze

zdumieniem przekrzywił głowę. Shan usłyszał za sobą westchnienie i obróciwszy się, zobaczył stojącego w drzwiach chaty Padmego. Mnich, oparty ramieniem o futrynę, rozczarowany przypatrywał się idącemu.

Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy? zastanawiał się Shan. Dopiero gdy Lokesh spojrzął na niego, zrozumiał, że zadał sobie to pytanie na głos.

Starzec uśmiechnął się.

–Jest wiele ścieżek – stwierdził z satysfakcją. Jest wiele ścieżek wiodących do oświecenia, znaczyły jego słowa. Wy znawcy tradycyjnego tybetańskiego buddyzmu, bez względu na to, do której z głównych buddyjskich sekt przynależeli, zawsze obchodzili korę w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Był to element tradycji, jeden ze sposobów okazywania czci.

Ale w Tybecie istniała też inna religia, starsza od buddyzmu, wywodząca się z animistycznych wierzeń. Religia bon, choć w znacznej mierze przesiąknęła buddyzmem i przyjęła za swoje wiele z jego nauk, wciąż zachowywała swe odrębne praktyki; w tym i tę nakazującą pielgrzymom obchodzić korę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

–Powinniśmy byli wiedzieć – odpowiedział Shan na własne pytanie. To mogło wyjaśnić wiele, a zwłaszcza żarliwość, z jaką rolnicy z Yapchi trzymali się swych nadziei co do kamiennego oka i swego lokalnego bóstwa, oraz rozpacz, z jaką od czterech pokoleń ubolewali nad jego losem.

Gdy Shan i Lokesh ruszyli ścieżką zgodnie z ruchem wskazówek zegara, stary Tybetańczyk zaczął cichutko recytować jeden ze swych pielgrzymich wierszy. Po jakimś czasie usłyszeli za sobą tupot stóp i odwróciwszy się, zobaczyli, że goni za nimi Winslow. Amerykanin pokazał im butelkę na wodę.

–Potrzebuję powodzenia. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Rany, jak ja potrzebuję powodzenia!

Dwie godziny później, przebywszy już trzy czwarte ścieżki, zatrzymali się przy kaplicy drup-chu na stoku ponad gompą. Jeden po drugim uklękli i wypili po długim łyku z maleńkiego źródła świętej wody, po czym Winslow napełnił swoją butelkę. Shan i Lokesh podczas swych wędrówek spędzili wiele przyjemnych godzin przy takich źródłach, wśród żywych dociekań Lokesha, który starał się zgłębić powody, dla których każde takie źródło było wyjątkowe. Stary Tybetańczyk z upodobaniem podkreślał, że samo zrozumienie owych powodów mogłoby powiedzieć wiele na temat historii Tybetu. Jak wielu z jego rodaków wierzył, że ich ziemia nie jest święta po prostu dlatego, że od tak wielu wieków zamieszkują ją pobożni buddyści. Ziemia, stwierdzał często, sama przyciągała ich do takich źródeł, a każde źródło opowiadało nie tylko o pobożnych buddystach, którzy je odnaleźli, zwykle przed setkami lat, ale o pradawnych istotach, które były tu wcześniej. Przy pewnym źródle w środkowym Tybecie, otoczonym przez pokruszone kamienie i żwir, choć wokół ciągnęły się lite granitowe skały, Lokesh uznał, że przed tysiącami

lat, kiedy bóstwa powietrzne przemierzały świat w postaci olbrzymów, upodobały sobie to źródło i skruszyły głązy, często przy nim lądując.

Kiedy odpoczywali przy źródle, Winslow lustrował przez lornetkę Równinę Kwiatów.

–Ustałeś już, co geolodzy mogli robić na tej łące? – zapytał Shan.

Winslow, nie opuściwszy szkła, lekko pokręcił głową.

–Koncesja na wydobycie ropy kończy się na granicy Qinghai, dobre osiem kilometrów na północ stąd – odparł, zerkając na Shana, który przypomniał sobie, że Dremu znalazł puste puszki po amerykańskiej żywności po drugiej stronie równiny, jeszcze dalej od obszaru objętego koncesją.

–Dlaczego miałyby zostawić kamizelkę i śpiwór? – zastanawiał się na głos Shan.

–Nie wiem – stwierdził głucho Amerykanin. – Może to, co zaatakowało Padmego, zaatakowało i ją. Może ta istota nie wie dobrze, kto ma kamienne oko, i po prostu napada na wszystkich, którzy tędy wędrują. – Schował lornetkę i uklękawszy na chwilę przy źródle, jeszcze raz zanurzył w nim złożoną w kubek dłoń. Przyjrzał się wodzie w zagłębieniu dłoni, uniósł ramię i wylał ją sobie na głowę. Zamknął oczy, pozwalając, żeby woda ściekała mu po włosach i twarzy, a kiedy je otworzył, Shan dostrzegł w nich błysk emocji. Desperacji, pomyślał, lub głębokiego smutku.

–W aktach firmy był jej list do matki – powiedział nagle Winslow, jakby woda wydobyla z jego umysłu to wspomnienie. – Pokazał mi go jej kierownik. Nie wysłał go, bo nie był pewny, czy to nie byłoby zbyt bolesne, że wciąż nie wiedzą, co się z nią stało. Powiedział mi, że szefostwo kazało mu go otworzyć, żeby sprawdzić, czy nie miała skłonności samobójczych. Jej matka jest wykładowcą, mieszka w Minnesocie. Pisywały do siebie o swoich problemach, jak sądzę. – Amerykanin wpatrywał się w wodę, lub może poprzez nią, jakby zwracał się do kogoś w głębi, w podziemnym źródle świętych wód.

–Mam na myśli wielkie problemy. Pisała tam, że chciałyby już zawsze pracować w Tybecie, że choć Chińczycy nigdy by tego nie przyznali, prowincja Qinghai to w istocie Tybet, że uczy się wielu rzeczy od ludzi z gór. Napisała, że uwielbia Tybet, ale nie podoba jej się to, co firma robi z ziemią. Tybetańczycy powiedzieli jej, że człowiek czerpie siłę głównie z ziemi i że świat jest dziś podzielony pomiędzy tych, którzy zostali odcięci od ziemi i siły życiowej, oraz tych, którzy żyją blisko niej. Że ci, którzy żyją blisko ziemi, mają święty obowiązek ochraniać siłę życiową. – Winslow uniósł wzrok. – I ta kobieta pracowała dla koncernu naftowego. – Po jego twarzy znów przemknął ból, jakby dręczył go ten paradoks.

Na koniec napisała, że Tybetańczycy powiedzieli jej, iż geolog jest właściwie kimś w rodzaju mnicha, który bada zachowanie bóstw ziemi. – Zajrzał znów w ciemność otworu, gdzie źródło wytryskiwało z ziemi, jakby czekał, aż wychynie z niego jedno z owych bóstw i udzieli mu wyjaśnień. – Pisała, że jej tybetańscy przyjaciele chcą zabrać ją do ukrytej krainy. – Spojrzał na Lokesha. – Co mogła mieć na myśli?

Lokesh nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

–Bayal. Oni mieli na myśli bayal, ukrytą krainę. Niektórzy wierzą, że istnieją tajemne przejścia wiodące do niezwykłych, niedostępnych krain strzeżonych przez bóstwa. – Spojrzał na Shana. Niektórzy. Na przykład wyznawcy bon z doliny Yapchi. Stary Tybetańczyk westchnął, podniósł się i ruszył niespiesznym krokiem w stronę

niskiej sterty kamieni trzy metry od źródła. Shan sądził, że Lokesh zamierza dołożyć kolejny kamień, on jednak zaczął rozbierać stos. Odkładał kamienie, dopóki nie odsłonił grubej kwadratowej płyty z litego granitu o boku sześćdziesięciu centymetrów. – Tutaj stał mały czorten – wyrzucił z siebie pełnym czci głosem, jakby nagle ożyło w nim wspomnienie tego miejsca. – Kapliczka kryjąca w podstawie relikwię, kość stopy starego pustelnika, który przeszło pięćset lat temu wędrował po całym Tybecie, zbierając zioła. – Wpatrywał się w kwadratowy kamień i w pokrywającą go warstwę porostów, które spajały go z ziemią. – Tybetańczycy, którzy to zrobili – rzekł z podnieceniem, mając na myśli tych, którzy zostali zmuszeni do zniszczenia gompy – nie ruszyli tej podstawy, nie ruszyli relikwii. – Uniósł głowę, zabłyśły mu oczy. – Gromadziliśmy się tu czasem na lekcje, a lamowie tłumaczyli nam, w jaki sposób źródło powiązane jest ze środkiem ziemi. Płukali zioła w tej wodzie i rozsyłali ją w glinianych dzbanach uzdrowicielom z całego Tybetu.

Pamiętam, jak godzinami słuchaliśmy Chigu Rinpocze, który uczył nas, że rośliny czerpią swą moc z mocy ziemi, a ich lecznicze własności polegają na przywracaniu ludziom łączności z ziemią. Winslow podszedł do płyty i uklęknął nabożnie obok Lokesha.

–Wyczytałem gdzieś, że lekarze mogliby uleczyć każdą chorobę, gdyby tylko wiedzieli, jak człowiek wyewoluował jako

gatunek, gdyby umieli to prześledzić od momentu, w którym powstaliśmy z błota. Gdyż wszystko, z czego się składamy, pochodzi z ziemi. – Spojrzał na Shana, w jego oczach jarzył się dziwny zapał. – To inny sposób na wyrażenie tego samego, czyż nie? – Oparł koniuszki palców obok porostu na skale, jednak nie na niej samej, jakby uznał, że jest zbyt święta, aby mógł ją dotknąć. Po chwili z zażenowaniem oderwał od niej wzrok i przyłączył się do Lokesha, który zabrał się do układania kamieni, nie w bezładny stos, lecz w kwadrat, odtwarzając kształt podstawy czortenu.

Gdy położyli pierwszą warstwę, Lokesh zerwał gałązkę jednej z roślin, które rosły wokół kamiennej płyty. Przyglądał się jej z zaciekawieniem.

–Chigu Rinpocze twierdził, że całe zadanie uzdrowiciela sprowadza się do przekładania mocy ziemi na siłę życiową człowieka.

Winslow długo wpatrywał się w starca, wreszcie wolno sięgnął po następny kamień i dalej piętrzył stos, a Shan znosił nowe ze stoku.

Po chwili Lokesh znów przerwał pracę.

–Tu, przy tym źródle, nauczyliśmy się, jak wykopywać korzenie, okazując szacunek roślinom, nauczyliśmy się odgarniać ziemię grudka po grudce, cierpliwie przekonując ją do tego, co

robimy, zawsze zostawiając część rośliny, żeby mogła odrosnąć. Chigu Rinpocze mawiał, że kopiąc w ziemi, poznajemy samych siebie. Mawiał, że powinniśmy kopać w głąb ziemi, by odnaleźć ziemię w sobie. – Nabrał nieco ziemi w rękę i machinalnie przesypał ją na drugą dłoń. – Była to mantra, przez

którą przekazywał swą naukę. „Do wnętrza ziemi, po ziemię we własnym wnętrzu”.

Kiedy skończyli, Lokesh trącił Shana w bok, wskazując coś na szczycie grzbietu ponad ruinami.

–Tam w górze są ludzie – oświadczył.

Shan spojrział tam, nie dostrzegł jednak nic z wyjątkiem wielkiego czarnego ptaka, który krążył wysoko nad ich głowami, unosząc się na prądach wstępujących. Winslow ze sceptyczną miną zerknął w górę, po czym zlustrował szczyt grzbietu przez lornetkę.

–Widzisz ich? – zapytał niepewnie Shan. Zmysły jego starego przyjaciela, podobnie jak jego emocje, utrzymywały się zwykle w nieco chwiejnej równowadze. Być może powróciło do niego wspomnienie ludzi wspinających się na stok przed dziesiątkami lat, a może mignęła mu umykająca antylopa. Niejeden

raz Shan, idąc za Lokeshem, słyszał od niego, że wyczuwa obecność bóstwa, a następnie starzec siadał i kontemplował skałę, w której, jak utrzymywał, bóstwo to właśnie się ukryło.

Lokesh potarł siwą szczecinę na szczęce, po czym uśmiechnąwszy się z zakłopotaniem, obejrzał się na Shana i ruszył dalej pielgrzymim szlakiem. Shan w milczeniu poszedł za nim, wiedząc, że kiedy zakończą obchód, znów będą się wspinali na zbocze.

Godzinę później, podczas której zdążyli zająć do obozu i zjeść kulki zimnej tsampy, byli już niemal na szczycie stoku, gdy Winslow zatrzymał się przy płaskiej skale, skąd roztaczał się widok na długą równinę. Amerykanin, który nie chciał, jak mu poradził Shan, zostać w obozie i odpocząć, wskazał dwa małe obłoczki kurzu na południowym i zachodnim krańcu doliny.

–Zwiadowcy z Yapchi – zauważył.

–Świątynia Tary, kaplica Majtrei, świątynia Samwary – odezwał się nagle Lokesh i Shan spostrzegł, że starzec wskazuje puste miejsca wśród ruin, wymieniając budowle, które niegdyś, a może i teraz, widział na terenie gompy. – Chora – wyliczał dalej, mając na myśli dziedziniec rozważań – wewnętrzny ogród zielarski, północny ogród, północny kangtsang i barkhang – ciągnął zamyślony, wskazując miejsca, gdzie niegdyś mieściły się kwatery uczniów oraz prasa drukarska.

Nagle palec Lokesha zawisł w powietrzu, jakby starzec zorientował się, że o czymś zapomniał.

–Te flagi modlitewne na drzewach – powiedział nieobecny głosem. – Zupełnie jak w święto.

Shan rozejrzał się po gruzowisku. Nie było tam żadnych flag modlitewnych, poza jednym skromnym rządkiem przy kaplicach Ganga, ani żadnych drzew z wyjątkiem małego zagajnika jałowców poza terenem gompy. Lokesh przebywał w innym czasie, w innym miejscu. Shan nigdy nie wstydził się swego przyjaciela ani nie obawiał się o jego zdrowie psychiczne. Dziś jednak trochę mu zazdrościł.

Włożył ręce do kieszeni kurtki. Jego lewa dłoń natrafiła na gałązkę krzewu, którą

zerwał w wypalanej kotlinie. Podał ją Lokeshowi. Stary Tybetańczyk przytknął ją sobie do nosa. Spojrzał na Shana wyraźnie zaskoczony.

–Dziękuję – powiedział z uśmiechem wdzięczności.

Shan przyglądał się, jak jego przyjaciel zamyka gałązkę

w złączonych dłoniach i z zamkniętymi oczyma jeszcze raz przysuwają do nosa.

–To lekarstwo? – zapytał.

Lokesh, nie otwierając oczu, pokiwał głową.

–Jeszcze nie gotowe do zbioru, ale ze zdrowej rośliny. Chigu i ja chodziliśmy czasem zrywać je na równinie. To się nazywa ptasia łapka, od sposobu, w jaki rozgałęzia się łodyżka.

Shan odtworzył w pamięci miejsce, w którym zerwał gałązkę, tak jak je zastali z Amerykaninem. Roślina rosła jedynie w zaciszu płytkiej niecki. Być może dobdob nie próbował wypalić całej równiny. Być może chciał jedynie spalić lecznicze rośliny. Ale dlaczego? Przypomniawszy sobie obóz solarzy, w którym pasterze ukrywali przed lekarzami ranną kobietę. I drugą kobietę, napotkaną na szlaku, która nie zgodziła się, żeby Lokesh udzielił jej pomocy.

Dotarłszy na szczyt, zobaczyli przed sobą pofałdowaną łąkę ciągnącą się niemal kilometr w poprzek grzbietu oraz co najmniej trzy kilometry na wschód i na zachód. Powyżej, odległa teraz zaledwie o parę kilometrów od nich, wznosiła się potężna góra Yapchi, strzegąca Równiny Kwiatów na południu i doliny Yapchi na północy.

Shan i Winslow odsunęli się na bok, żeby przepuścić Lokesha. Chcieli, żeby wskazał im drogę w labiryncie dzikich ścieżek,

które przecinały łąkę. Jednak stary Tybetańczyk wzruszył ramionami i cofnął się, dając Shanowi znak, żeby nadal szedł pierwszy. Podczas swych wędrówek często wykonywali ów osobliwy taniec. Nie ma znaczenia, kto prowadzi, mawiał Lokesh, gdyż i tak dotrą tam, gdzie pisane jest im dotrzeć, i koniec końców znajdą to, co mają znaleźć.

Gdy szli wolno przez falujące trawy, Shan nieoczekiwanie poczuł, że rozpiera go radość. Równo dmący wiatr był chłodny, ale nie nieprzyjemny. Tuż przy ziemi rosły małe różowe kwiatki. Z drugiej strony łąki dobiegały trele skowronka.

W miejscach, gdzie krzyżowały się dzikie ścieżki, Shan na chybił trafił wybierał nowy szlak, póki nie dotarli do długiego, niskiego nawisu stanowiącego granicę rozległej łąki osłoniętej od północy przez stromą skalną ścianę. Nieckę, mierzącą niemal trzysta metrów szerokości, porastały niskie, podobne do wrzosu krzewinki, wśród których uwijały się skowronki – więcej skowronków, niż kiedykolwiek widział w jednym miejscu. Gdy prowadził swych przyjaciół przez szczelinę między skałami, usłyszał nagle nerwowe szepty i z cienia wysunęła się czyjaś ręka, która chwyciła go za ramię.

Wyrwał się, drżąc, przerażony, że dobdob znów ich odnalazł.

–Musicie kucnąć – rozległ się cichy kobiecy głos.

Pochyliwszy się, Shan spostrzegł pięcioro Tybetańczyków -trzech pasterzy w średnim wieku, nieco młodszą od nich kobietę i chłopca – siedzących w cieniu rzucanym przez nawis skalny.

–Jeżeli was zobaczą, uciekną – powiedziała kobieta. Nie wyglądała na zaskoczoną widokiem trójki obcych, niepokoiła się tylko, że spłoszą obiekt ich zainteresowania. Dzikiego dronga, podejrzewał Shan, lub może kilka z owych rzadkich błękitnych owiec, które żyły w tych górach.

Tybetańczycy na modłę dropków ubrani byli w grube chu-by, gęsto łątane skrawkami skóry i czerwonej tkaniny. Dwóch mężczyzn miało na głowach brudne czapy z owczego runa, trzeci zaś watowaną zieloną czapkę z nausznikami, jakie wydawano żołnierzom na zimę. Kobieta jedną ręką ścisnęła duże, srebrne, zdobione turkusami gau, drugą zaś trzymała za ramię chłopca, który wpatrywał się w łąkę okrągłymi, wyczekującymi oczyma.

Nawet pojawienie się smukłego Amerykanina nie na długo przyciągnęło uwagę dropków. Przez kilka chwil przyglądali się Winslowowi z lekkim zaciekawieniem, a chłopiec pociągnął kobietę za rękę, by się upewnić, że ona też widzi goserpę. Ale gdy Lokesh i Winslow usadowili się obok pasterzy, jakby i oni przyszli zobaczyć stworzenie, na które czekali dropkowie, zainteresowanie chłopca na powrót zwróciło się ku łące.

Shan, który usiadł plecami do skały w cieniu obok Winslowa, pochylił się, chcąc zagadnąć dropków. Nikt jednak nie odwzajemnił jego spojrzenia, nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. W oczach tych ludzi było coś więcej niż tylko wyczekiwanie. Było to głębokie, wręcz uduchowione podniecenie. Siedzieli. Wiatr zawodził w skałach, śpiewały skowronki, rozświetlone słońcem chmury pędziły po kobaltowym niebie. Dwóch mężczyzn zaczęło mrużyć mantrę i przesuwać w palcach paciorki. Nagle chłopiec wskazał jakiś punkt po drugiej stronie łąki, tuż pod skalną ścianą.

Shan nic nie widział, choć dropkowie cicho zakrzyknęli z radości. Dwaj mężczyźni zaczęli szybciej recytować mantrę, dołączył do nich Lokesh. Nagle Shan spostrzegł, że coś rusza się na skraju rzucanego przez skałę cienia: potężne, zwaliste, czworonożne stworzenie. Z tak daleka nie mógł stwierdzić, czy to jak, wielka owca, czy może niedźwiedź. Potem z cienia wynurzyła się ludzka postać i stworzenie stanęło na tylnych nogach. Rysów człowieka nie dało się dostrzec z takiej odległości, było jednak widać, że posuwa się krótkimi krokami, wspierając się na wysokim kijku. Shan odniósł wrażenie, że człowiek ten jest nie tyle stary, ile wiekowy.

Lokesh przerwał mantrę. Na jego twarzy malowało się nie mniejsze poruszenie niż na twarzy chłopca. Po policzkach spływały mu łzy.

–Teraz poznaję to miejsce – szepnął ledwie słyszalnie. – Przychodziliśmy tu latem. Rozbijaliśmy biały namiot i mieszkaliśmy w nim parę dni, czasem cały tydzień. Chigu Rinpocze mawiał, że skowronki śpiewają tu ziołom.

Śpiewają ziołom. Shanowi stanął przed oczami obraz skowronków śpiewających kołysanki młodym roślinkom.

–To prawda – rozległ się dziewczęcy głos. Shan, odwróciwszy się, spostrzegł jednak, że powiedziała to kobieta. – To wszystko prawda, czyż nie? – zwróciła się do Lokesha i łza spłynęła jej po policzku. – Zapamiętaj to – upomniała z powagą chłopca i przytuliła go. – Pamiętaj, że usłyszałeś, że tu było jedno z miejsc odwiedzanych

przez nich za dawnych dni, pamiętaj, że dzisiaj widziałeś tu jednego z nich.

Bywa, mawiał Shanowi ojciec, że człowiek żyje osiemdziesiąt lub dziewięćdziesiąt lat i jedynie przez chwilę, raz lub najwyżej dwa razy w życiu, ma szansę dostrzec prawdziwe oblicze życia, sprawy najistotniejsze dla tej planety i ludzkości. Niektórzy umierają, nie zobaczywszy nic autentycznego. Ale, jak zapewniał Shana, zawsze można znaleźć coś takiego, jeśli tylko się wie, gdzie szukać.

To, co widzieli teraz, było jedną z owych rzadkich autentycznych rzeczy. Sędziwy lama uzdrowiciel zbierający zioła, lama uzdrowiciel, który nie powinien w ogóle istnieć, niczym duch zjawiający się na zapomnianej od półwiecza łące, zjawiający się niczym duch na dowód, że niegdyś żyli mądrzy, radośni starcy, którzy zbierali rośliny, żeby przekładać moce ziemi na siły życiowe jej mieszkańców.

Siedzieli, chłonąc tę scenę. Szeptane mantry brzmiały niemal tak samo jak poszum wiatru wśród skał. Niski, przygięty kształt w cieniu nie poruszał się i Shan uświadomił sobie, że może to być pomocnik, opiekun starca, siedzący w kucki na straży, aby go ostrzec przed światem zewnętrznym. Lama uzdrowiciel krążył wśród kwitnących roślin, to pochylając się, to znów prostując z gałązką w dłoniach, niekiedy spoglądał w niebo, jakby radził się bóstw powietrza w sprawie swego znaleziska.

Wtem chłopiec, z cichym jękiem, jakby ze wszystkich sił starał się zapanować nad sobą, zerwał się, wyrzucając ręce w powietrze.

–Lha gyal lo! Lha gyal lo! – wykrzyknął z radością, tylko dwa razy, bo matka zaraz odciągnęła go w tył, zaciskając mu dłoń na ustach.

Ale jego głos popłynął nad łąką i odbił się echem od skalnej ściany. Lama oraz zwalista postać momentalnie rzucili się w głębszy cień. Starzec przystanął na chwilę, spoglądając badawczo

w stronę skał, gdzie siedziała ich grupka. Wreszcie, niczym jeleń na skraju lasu, wtopił się w cienie i zniknął.

Jeszcze przez kwadrans czekali na powrót widmowego lamy, wymieniając niepewne spojrzenia, jak gdyby żadne z nich nie wiedziało dobrze, co właściwie widzieli. W końcu pasterze wstali i w milczeniu ruszyli gęsiego dziką ścieżką prowadzącą na południe, ku dolinie leżącej za szerokim grzbietem.

To niemożliwe, powtarzał sobie w duchu Shan, gdy powoli wracali do Rapjung. Wszyscy lamowie uzdrowiciele zginęli lub wymarli. Żołnierze już przed laty przetrząsnęli okoliczne wzgórza. Biorąc pod uwagę wszystkie patrole, całą kampanię pacyfikacyjną, wydawało się nieprawdopodobne, by choć jeden mógł pozostać przy życiu. Lokesh niczego nie sugerował, nie próbował tłumaczyć, jak po dziesiątkach lat jeden z dawnych lamów mógł się pojawić na tych wzgórzach. Stary Tybetańczyk dreptał za Shanem zadumany, być może wspominając Rapjung sprzed pięćdziesięciu lat. Kilka kroków za Lokeshem szedł Amerykanin, także milczący, wyraźnie oszołomiony tym, co zobaczył.

Shan raz po raz odtwarzał tę scenę w pamięci. Zagadką, jak sobie uświadomił, nie było to, że lama przeżył w górach te wszystkie lata. Dropkowie przyszli na skały z uwagi na coś innego, nowego: usłyszeli o cudzie. Ktoś jeszcze widział widmowego

lamę, przypomniał sobie nagle. Pasterze koczujący w pobliżu pustelni w tę noc, kiedy zginął Drake. Jeden z dawnych lamów powrócił. Skąd? Z jakiego powodu? I dlaczego właśnie teraz, gdy przewozili oko, gdy zginął Drake, a wojsko przeczesywało teren, gdy dobdob, obrońca wiary, atakował pobożnych buddystów, gdy zgłoszono zaginięcie amerykańskiej pani geolog?

Nie wiedział. Miał jedynie złe przeczucia. Choć wiedział tak niewiele, było tego dość, żeby wzbudzić w nim lęk.

Kiedy zjawili się w obozie, nikt ich nie pytał, gdzie byli. Niektórzy z tych, którzy wędrowali korą, sami niedawno wrócili, spędziwszy pewien czas na medytacjach przy jaskini pustelnika lub przy kapliczce drup-chu. Gdy wieśniacy z Yapchi poszli zobaczyć, co z owcami, Nyma odszukała Shana.

–To znów się zdarzyło – powiedziała. – Biedna dziewczyna. – Shan odwrócił wzrok od owcy, której przed podróżą nakładał

juki. – Po prostu upadła na ścieżkę, zaczęła dygotać i tłuc w ziemię rękami i nogami.

–Anya? – zapytał, uświadomiwszy sobie, że widział dziewczynę leżącą pod kocem przy ognisku.

–Nic się nie stało. Czasami tak bywa – szepnęła mniszka.

Jej słowa zmroziły Shana. Nyma mówiła o wieszczych zdolnościach Anyi.

–Powiedziałam o tym temu mnichowi. Liczyłam na to, że on coś na to poradzi – ciągnęła. – Ale wyglądał na oburzonego moimi słowami. Myślę, że wciąż jeszcze boli go głowa po tym pobiciu.

Shan spojrział tam, gdzie Nyma przeniosła wzrok – na Padmego, który siedział na uboczu, oparty o zrujnowany mur, pisząc coś w notatniku.

Gdy zaszło słońce, pogrążeni w zadumie po dniu spędzonym na korze, w milczeniu zjedli posiłek i wypili herbatę.

Dopiero tuż przed snem, rozkładając swój koc obok Shana, Lokesh powiedział, co o tym wszystkim myśli.

–To szczęśliwy znak, że ukazał nam się lama uzdrowiciel zbierający zioła – oświadczył tonem, który zdradzał, że stary Tybetańczyk wciąż nie jest pewien, czy ów człowiek istotnie był istotą z krwi i kości. – I ten mnich na Równinie Kwiatów. Dobdob nie zrobi nam nic złego. Wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz.

Ale nad ranem Shana obudził krzyk. Usiadł na posłaniu, słysząc rozdzierający jęk Lokesha. Odbudowane sanktuaria Rapjung stały w płomieniach.

Rozdział ósmy

Suche, kruche drewno zgrabnej świątynki trzaskało i strzelało w ogień, buchając żarem niczym piec, rozrzucając wokół snopy iskier, które wlatywały spiralami wysoko w nocne niebo. Nikt nie mógł się zbliżyć do płonącego budynku, ani nawet do sąsiadującej z nim sali zgromadzeń, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się ognia. Żona Ganga, z twarzą zalaną łzami, odciągała męża. Chłopiec trzymał ojca za

przegub lewej ręki, jakby chciał ją komuś pokazać. Wnętrze dłoni Ganga było całe w pęcherzach, jej grzbiet pokrywały czerwone i czarne oparzeliny. U jego stóp leżała niewielka, czarna od sadzy figurka. Stróż ocalił posążek Buddy z ołtarza.

Strumień był oddalony o dwieście metrów, a oni mieli do noszenia wody jedynie dwa małe skórzane wiadra i zabrane z domu garnki. Przez kwadrans biegali w tę i z powrotem od strumienia do płonących budynków, aż wreszcie Lhandro uniósł dłoń i postawił puste wiadro na ziemi. Nie mogli nic zrobić, więc tylko przyglądali się płomieniom, które zniszczyły już lhakang, strawiły salę zgromadzeń i przerzuciły się na pobliską kapliczkę lokalnego bóstwa.

–Jak ogromny samkang – chlipała Nyma. Istotnie, choć zdawało się to niewiarygodne, Gang, nie szczędząc trudu, wniósł lhakang i kaplice z wonnego drewna cedru i jałowca, które palono w kadzielnicach, żeby przyciągnąć bóstwa.

Nagle mniszka coś krzyknęła i rzuciła się biegiem na drugą stronę świątynki. Shan popędził tuż za nią. Obok wielkiego bloku drewna stał z rękami na kolanach ciężko dyszący Winslow. Na ziemi nieopodal siedział umorusany sadzą Tenzin. Gdy podmuch wiatru wzbił płomień, Shan zobaczył blok wyraźniej. Dwaj mężczyźni ocalili na wpół ukończoną rzeźbę bóstwa opiekuńczego.

Za nimi, w cieniu, siedziała inna postać, mała córeczka Ganga, nieobecny wzrokiem wpatrująca się w trzymany między nogami przedmiot. Był to młynek modlitewny. Dłonie dziewczynki, zwrócone wnętrzem ku górze, spoczywały po obu stronach młynka. Skóra na nich była spalona – tam, gdzie zetknęła się z rozżarzonego metalu, widać było żywe mięso. Nyma wydała zduszony okrzyk i pochyliła się nad dzieckiem, wołając o wiadro wody do obmycia oparzelin.

Shan znalazł Lokesha stojącego plecami do ognia, z głębokim bólem w oczach obserwującego wzbijające się w mrok iskry. Podszedł do starego Tybetańczyka, nie wiedząc, co właściwie mógłby powiedzieć. Pożar nie mógł wybuchnąć przypadkowo. W pobliżu odrestaurowanych budynków nie było żadnego ogniska, a Gang nigdy nocą nie pozostawiłby bez opieki swej małej kadzielnicy, w której spalał wióry cennego drewna.

–Ktoś przyszedł z zewnątrz – odezwał się cicho Shan. – Ten dobieg próbował wypalić równinę. To musiał być... – Coś stuknęło go z boku w czaszkę i Shan opadł na kolana, mrugając, bo świat zawirował mu przed oczyma. Coś ostrego uderzyło go w ramię. Lokesh krzyknął i rzucił się, żeby zasłonić go własnym ciałem.

–Oprawca! – wrzasnął ktoś gniewnie i kamień odbił się od nogi Lokesha. – Tyran! Wystarczyło, że przyszedł Chińczyk, i wszystko zniszczone!

Za plecami Shana toczyła się walka. Obrócił się na klęczkach i ujrzał, że Lhandro i Nyma szamocą się z Gangiem. Stróż wyciągał ku niemu poparzoną rękę, jak szpon, a żona trzymała go za drugą, z której wypadł kamień. Kiedy Lhandro i Nyma odprowadzali jej męża, podeszła niepewnie do Shana. Na policzkach miała sadzę i ślady łez.

–Musisz zrozumieć – wyrzuciła z siebie, oddychając szybko, jakby wstrząsał nią szloch. – Wszystkie te lata, odkąd urodziło się nasze pierwsze dziecko... – Łzy spływały jej po policzkach. – Zimą czekał na śnieg, żeby ściągnąć drewno z gór.

Latem był cały w trocinach. Pracował nawet przy księżycu, nawet w święta. Nie przerywał ani na chwilę, żeby pobawić się z dziećmi.

Jedna ze ścian zawaliła się, rozrzucając na wszystkie strony płonące drzazgi. Zwęglony, dymiący odłamek drewna upadł u stóp kobiety, która uklękła, przyglądając mu się uważnie, jakby usilnie starała się dociec, gdzie było jego miejsce w świątynce.

–Czasami sam musiał robić sobie narzędzia – ciągnęła nie obecnym tonem. Podniosła drewnienko i uderzając nim o ziemię, strząsnęła popiół. Po chwili wstała i podeszła do rzędu kamieni, gdzie ostrożnie złożyła je na ziemi. Znalazła następny odłamek drewna, przeszło półmetrowej długości, otrzepała go z popiołu i w milczeniu położyła obok pierwszego. Tenzin przyniósł jeszcze jeden fragment i dołączył go do zebranych przez kobietę. Stos ocalałego drewna. Pierwszy krok ponownej odbudowy.

Resztę nocy i większą część poranka grzebali w zgliszczach, zbierając szczątki drewna, wygrzebując z popiołów gwoździe i paski metalu, z których wiele było poskręcanych od gorąca.

Kiedy pracowali, Gang leżał na posłaniu, które mu przyniesiono, to spoglądając posępnie na tłące się ruiny, mruczając pod nosem coś, co mogło być modlitwą, to znów zerkając wściekle na Shana, którego obrzucał kamykami lub obelgami, gdy tylko się pojawił. I znów uspokoić go potrafił tylko syn, który siedział przy nim, trzymając go za zdrową dłoń, i ścisnął ją mocno, gdy ojca ponosiły emocje.

–To takie odludzie – odezwał się Winslow, zbierając gwoździe do garnka. – Zupełne pustkowie. – Chwilę później zdumiony uniósł wzrok. – To mógł zrobić tylko ten człowiek, który zaatakował Padmego. Ten, który spalił tamtą łączkę.

–Albo piorun – przypomniał im Lhandro. – Mógł uderzyć w dach. Tak właśnie bóstwa przemawiają do ludzi – dodał, popatrując na Ganga, jakby chciał im dać do zrozumienia, że bóstwa mogły się zorientować, iż świątynie zostały odbudowane nie tyle z pobożności, ile z nienawiści.

Późnym rankiem wyruszyli do gomy Norbu, domu Padmego. Wcześniej odprowadzili Ganga i jego córeczkę nad potok, by mogli obmyć poparzone dłonie. Stróż przyglądał się szklanym wzrokiem, jak owce jedna za drugą oddalają się od strumienia. Nie zapraszał wędrowców, nie był nawet zadowolony z ich przybycia, a teraz oni zostawiali go wśród zgliszczy dziesięciu lat jego życia.

–Będziemy się za was modlić – obiecała Nyma żonie Ganga, patrząc na stróża, i ruszyła za Shanem.

Sześć kilometrów dalej dotarli do wiodącego na północ szlaku, którym karawana miała przejść na drugą stronę góry Yapchi do doliny rongpów. Norbu leżała szesnaście kilometrów na południowy wschód stąd, uzgodnili więc, że owce wraz z resztą ludzi pójdą dalej na północ, podczas gdy Lhandro, Shan, Lokesh, Tenzin i Nyma zaniósą mnicha do gomy na prowizorycznych noszach z koca. Powinni się przygotować na dłuższą wizytę w Norbu, nalegał Padme, przynajmniej na tyle, by mogli otrzymać podziękowania i błogosławieństwa mnichów z jego gomy.

–Ja idę w góry – oświadczył Winslow, gdy obie grupy rozdzieliły się i ruszyły

każda w swoją stronę. Shan przyglądał mu się zaintrygowany. Amerykanin trzymał za uzdę jednego z koni Lhandra. Potem dostrzegł Dremu, który czekał wyżej na stoku. Winslow odchodził z Golokiem w wyższe partie gór, żeby szukać zaginionej kobiety. Dremu okręcał konia w miejscu, z troską wpatrując się w Shana. Wydawał się zaniepokojony, że grupa się rozdziela. Gdy ostatnia z owiec skręciła na północny szlak, podjechał do Shana.

–On może chodzić – powiedział głośno, tak że Padme musiał to słyszeć. – Nie idźcie. Niech sam wraca do domu.

Nyma rzuciła mu rozdrażnione spojrzenie.

–Wiemy, jak troszczyć się o świętych ludzi w potrzebie – oświadczyła szorstko. Mnich jęknął i chwycił się za głowę, nie dając po sobie poznać, że słyszy ich rozmowę.

Dremu wytrzymał jej wzrok.

–Zapytaj go, jak mnisi obcują z bóstwami nieba – warknął i odjechał galopem.

Shan przyglądał się karawanie. Psy poganiały owce. Dziwny związek łączący Dremu z kamiennym okiem zdawał się budzić w Goloku oburzenie na wszystkich i wszystko, co powodowało zwłokę lub wydłużenie trasy jego powrotu. Ale wkrótce zorientuje się, że czerwona sakwa została z karawaną. Shan i pozostali

opuszczają ich tylko na parę godzin. Gdy wrócą, od Yapchi będą ich dzielić tylko dwa dni drogi.

Gdy przekroczyli grzbiet wyznaczający południowy kraniec doliny i mieli ruszyć przez niskie wzgórza ku widocznej w dole rozległej pofałdowanej równinie, obawy Shana szybko ustąpiły przed zaskakująco radosnym podnieceniem. Dotychczas był w niewielu gompach, przynajmniej działających otwarcie, legalnie, z pełnym składem nauczycieli oraz uczniów, i tęsknił za pogodnymi głosami lamów. Patrząc w twarze swych tybetańskich towarzyszy, uświadomił sobie, że obietnica błogosławieństw świętych ludzi z Norbu, jaką dał im Padme, jest dla nich nie mniej ważna niż dla niego.

Było już popołudnie, gdy wspięli się na ostatnie z długich niskich wzgórz i ujrzeni w dole kompleks budynków otoczonych pierścieniem zieleniących się wiosennymi pąkami topoli. Większość bladokremowych budowli krytych schludnymi dachami z szarej dachówki wzniesiono z kamienia i gliny. Otaczał je biały kamienny mur tworzący kwadrat o boku długim na jakieś dwieście metrów. Pośrodku schludnych zabudowań stały trzy większe budynki o lekko pochylonych ścianach, wszystkie pomalowane na kremowo do wysokości połowy okien pierwszego piętra, wyżej bordowe, jak mnisie szaty. Lhandro i Nyma, idący na przedzie, wykrzyknęli radośnie i zaczęli namawiać osłabionego Padmego, żeby spojrzał na swoją gompę.

–Nie spodziewałem się, że zobaczę aż tyle budynków! – zawołał Lhandro. Rzucił Nymie pokrępiące spojrzenie. – Widzisz, świat się zmienia.

Ale zanim ponownie podnieśli nosze, Nyma wyciągnęła z worka na ramieniu sznurek spleciony z włosia jaka i przewiązała się nim w talii, nadając swej mnisiej szacie wyglądsukienki. Shan przyglądał się jej zbity z tropu, dopóki Lhandro nie

przeniósł z niej wzroku na gompę, kiwając poważnie głową. Rongpa zdjął kamizelkę i podał ją kobiecie, która puszczała właśnie luźno swe długie warkocze. Choć świat się zmieniał, choć była to gompa, mimo wszystko oznaczało to, że Nyma schodzi do świata, a w każdym razie do jego najbliższej placówki, gdzie nawet przypadkowy obserwator łatwo mógłby poznać, że jest mniszka, i zapytać, czy ma na to zezwolenie.

Przeszli kolejny kilometr i już tylko kilkaset metrów dzieliło ich od gompy, gdy Lhandro obejrzał się zdziwiony na Lokesha i Shan uświadomił sobie, że jego przyjaciel zwolnił kroku, hamując ich marsz.

–Gompa – energicznie przypomniał starcowi naczelnik.

Lokesh uśmiechnął się słabo i przyspieszył. Towarzysze starego Tybetańczyka przywykli już do jego zwyczaju rozglądania się z roztargnieniem po okolicy. Ale Shana coś tknęło. Przyjrzał się przyjacielowi. Było coś jeszcze, coś, o czym jego nowi towarzysze nie mieli pojęcia, coś, co sam Shan zrozumiał dopiero po latach. Podobnie jak napady głębokiego wzruszenia, Lokesh miewał także napady czegoś, co z braku lepszego słowa Shan mógł nazwać jedynie intuicją. Był jak koń wyczuwający obcych zbliżających się z drugiej strony wzgórza lub wiewiórka ziemna, która wyskakuje z norki i piszczy dwie minuty przed zejściem lawiny.

Raz, przed trzema miesiącami, Lokesh zatrzymał Shana na brzegu skutej lodem rzeki, czwartej już, którą mieli przekroczyć tego dnia. Nie potrafił odpowiedzieć na pytania zdziwionego przyjaciela, stał tylko, patrząc mu w oczy, i wydawał ochryply, kraczący dźwięk. Stali tam przez dziesięć minut, gdy nagle ciarki przeszły Shanowi po plecach, gdyż uświadomił sobie, że i rzeka kracze, wtórując Lokeshowi głębszym, lecz na swój sposób podobnym dźwiękiem. Potem nagle lód pękł i na środku rzeki pojawiła się długa, szeroka wyrwa, ukazując płynącą szybko pod spodem czarną, lodowatą wodę.

Czy to właśnie czuł teraz Lokesh? Czy to właśnie Dremu, dziki Golok, wyczuwał na rozdrożu, gdy niemal błagał Shana i pozostałych, żeby zostawili Padmego? Mnich zaczął wiercić się na noszach, Shan jednak nie odrywał wzroku od przyjaciela. Lokesh nie patrzył teraz na gompę, lecz dalej, na cienką szarą wstążkę biegnącą w stronę horyzontu ku odległej o jakieś pięćdziesiąt kilometrów szosie północ-południe. Szosa oznaczała patrole.

Byli zaledwie czterysta metrów od gompy, gdy Padme z wysiłkiem uniósł rękę, dając znak, żeby się zatrzymali.

–Nie chcę wracać w ten sposób – oświadczył wymuszenie

twardym głosem i wstał z noszy. Zasunął zamek żółtej kamizelki

i ruszył naprzód, z początku chwiejnie, z widocznym trudem, potem coraz dłuższymi, pewniejszymi krokami. Mnich, który stał na drabinie, bieląc wapnem zewnętrzny mur, przerwał pracę i zawołał coś z podnieceniem. Po chwili z gompy wybiegło kilku innych mnichów, żeby powitać Padmego.

–Rinpocze! Mieliśmy już wysłać ludzi na poszukiwania! – zawołał pierwszy, który do niego dotarł, po czym wykrzyknął z przerażeniem, gdy spostrzegł sińce na jego twarzy i rękach.

Mężczyźni w mnisich szatach pospiesznie otoczyli pobitego i podtrzymując go za ramiona, poprowadzili obok kilku walących się chatynek ku obrzeżonej dwoma wysokimi filarami bramie gompy. Shan i jego przyjaciele spoglądali niepewnie na klasztor. Wtem wypadł skądś mały brązowy pies, który rzucił się na Tenzina, szczekając zajadle ostrym, piskliwym głosem, i zaczął szarpać zębami nogawkę jego spodni, aż rozdarł materiał. Tenzin pochylił się, żeby go pogłaskać po głowie, a pies ugryzł go w rękę. W powietrzu przeleciał kamień i uderzył czworonoga w bok. Zwierzę zaskowyczało i umknęło za róg muru gompy.

Lhandro podszedł do Tenzina, który trzymał w górze krwawiący palec, i wyciągnął butelkę z wodą, żeby obmyć mu ranę. Shan spojrział na rozpadające się lepianki przy bramie. Przed jedną z nich pod prymitywnym daszkiem siedział mężczyzna o zmierzwiionych siwych włosach i pomarszczonej skórze. Pochylony nad nożnie napędzaną maszyną do szycia, pracował nad czymś, co wyglądało na mnisią szatę. Inny, niemal równie stary, z grubo obandażowaną głową, spał oparty o zardzewiałą beczkę. Stara kobieta w gęsto połatanej chubie, z oczyma przesłoniętymi kataraktą, siedziała w drzwiach innej chatki, właściwie szopy, obracając mały młynek modlitewny. Żadne z nich nie uniosło wzroku. Żadne nie uśmiechnęło się na widok Padmego, nie zainteresowało ich zajadle poszczekiwanie pieska na Tenzina.

Przed bramą stał tylko jeden nowy budynek – długa, wąska, kryta blachą wiatą z pustaków, z klepiskiem zamiast podłogi. Shan znał takie wiaty ze swego poprzedniego wcielenia: w Pekinie były nazywane murowanymi gazetami lub, przez niektórych, sraczami Partii. Wewnątrz, na tylnej ścianie, w długiej przeszklonej gablocie rozpięto ostatnie wydanie oficjalnej gazety wychodzącej w Lhasie, rzecz jasna po chińsku. Shan obejrzał się na Tybetańczyków przed lepiankami. Wątpił, czy ktokolwiek z nich mówi, a co dopiero czyta po chińsku. Zawahawszy się, wszedł pod wiatę i spojrział na ciąg stronic. Na końcu znajdowała się tablica, do której przypięte były lokalne ogłoszenia. Szybko przebiegł wzrokiem strony gazety. Trzy z nich zajmowało wydrukowane w całości przemówienie Przewodniczącego na temat stosunków międzynarodowych. Pewna firma z Szanghaju, o której wiedział, że należy do Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, budowała u stóp pałacu Potala hotel dla turystów. Produkcja drewna we wschodnim Tybecie w dalszym ciągu była wszelkie rekordy. Umiłowany opat gompy Sangchi, jednej z największych w Tybecie, o którym wcześniej donoszono, jakoby usiłował zbiec do Indii, został, jak dowiedziano się ostatnio, porwany przez członków kultu Dalai – tak nazywano w Pekinie wszystkich, którzy opierali się poczynaniom Partii w Tybecie. Na południowy wschód od Lhasy uroczyście otwarto nową hydroelektrownię. Osławiony Tygrys, główny przywódca kultu Dalai, został uznany za zabójcę Chao Yu, bohaterskiego wicedyrektora oddziału Urzędu do spraw Wyznań w Amdo. Shan przeczytał ten artykuł dwa razy. Nie podano żadnych dowodów, jedynie oświadczenie Urzędu Bezpieczeństwa o dotychczasowych aktach przemocy i zdrady Tygrysa. Tygrys, godna pogardy reakcyjna marionetka kultu Dalai, jak stwierdzono w komentarzu do artykułu, już wkrótce zostanie osaczony przez Urząd Bezpieczeństwa i lud wymierzy mu sprawiedliwość. Tybetańska szkoła w Qinghai wysłała Przewodniczącemu mapę Chin

wykonaną z ziarenek ryżu. Chińska uczennica z Shigatse uratowała tonące jagnię. Notatkę opatrzono fotografią jagnięcia.

Shan zatrzymał się przy ostatniej gablocie, której połowę zajmował afisz wywieszony przez gompę Norbu oraz radę powiatową. W Norbu odbędzie się festyn pierwszomajowy, skoordynowany z pekińskimi uroczystościami ku czci światowego proletariatu, na którym świętować się będzie rozwój gospodarczy powiatu. Oczekuje się udziału obywateli. Poniżej przypięty był arkusz z ponumerowanymi linijkami, gdzie miały zapisywać się

rodziny lub jednostki produkcyjne pragnące zaprezentować owoce swej pracy. Ogłoszenie pochodziło sprzed dziesięciu dni. Był tylko jeden wpis. *Lhalung Pelgyi Dorje*, nabazgrał pospiesznie jakiś żartowniś. Było to imię Tybetańczyka, który przed ponad tysiącem lat zabił króla, który nieomal wykorzenił buddyzm tak bezwzględными kampaniami terroru, że podobnych im nie widziano aż do nadejścia komunistów. Bohater przybędzie do Norbu, dopisał ów dowcipniś, i złoży jedną czerstwą kluskę w hołdzie dla Przewodniczącego. Nikt inny się nie zgłosił. Shan przyjrzał się znużonym Tybetańczykom siedzącym przed swymi chatynkami pod murem gompy. Wyglądało na to, że część miejscowej ludności stara się ośmieszyć gompę, część zaś czuje przed nią lęk.

–Gdybyśmy zaraz odeszli, moglibyśmy dogonić owce przed zmrokiem – wyszeptała Nyma, jakby nagle ogarnęły ją wątpliwości, czy chce błogosławieństwa tutejszych lamów. Nim

jednak ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, z bramy wyszedł mnich w średnim wieku, ubrany w elegancką, obrzeżoną złotymi frędzlami szatę. Uśmiechając się, w powitalnym geście wyciągnął ramiona ku gościom. Tuż za nim kroczyło dwóch chłopców w mnisich szatach.

Shan zamarł. Zerknął z niepokojem na Nymę. Widział już tego mnicha o długim haczykowatym nosie. Był to Khodrak, człowiek, który twierdził, że jest opatem.

–Wybaczcie nam – odezwał się Khodrak. – Tak nas uradował powrót Padmego, że zapomnieliśmy o was.

Shan spojrzął ponad jego ramieniem w głąb bramy. Nad ozdobnymi drzwiami frontowymi centralnego budynku wisiał mały transparent pokryty eleganckimi znakami chińskiego pisma. *Pogodny Dobrobyt*, głosił napis.

–Gompa Norbu otwiera podwoje przed tymi, którzy uratowali nam Padmego – uprzejmie oświadczył Khodrak, gestem kierując ich ku bramie.

Gdy Khodrak i speszzeni chłopcy z jego świty prowadzili ich przez schludnie zagrabiony dziedziniec, stało się jasne, że odbudowa była fragmentaryczna. Trzy posadowione w centrum budynki wyglądały na solidne i nowe, lecz po obu stronach, równoległe do zewnętrznego muru, ciągnęło się kilka długich

parterowych budowli z drewna i gliny, w większości ani nowych, ani dobrze utrzymanych. Przeznaczone były na sypialnie mnichów, wiedział Shan, oraz na liczne cele medytacyjne i kaplice pomniejszych bóstw, jakich mnóstwo było w tradycyjnych

gompach. Wszystkie one miały drewnianą konstrukcję. Małe ganki, na których zgodnie z tradycją powinny stać rzędy młynków modlitewnych, były puste. Dwa pierwsze z tych budynków, po obu stronach głównego dziedzińca, zostały odnowione na wzór nowszych, centralnych zabudowań zapewne po to, by przybysz odniósł korzystne pierwsze wrażenie. Nad drzwiami każdego z nich przyśrubowana była długa, czerwona deska, na której wyrzeźbiono i pozłożono mantrę *OM MANI PADME HUM*.

Opat poprowadził gości do niskiego budynku po lewej i wymówiwszy się, zostawił ich pod opieką jednego z nowicjuszy, któremu nakazał oprowadzić ich po klasztorze. Speszony chłopak pokazał im kołki, na których mogli powiesić swoje rzeczy, i wyjaśnił, że Norbu jest główną gompą tego regionu, liczy trzydziestu pięciu mnichów oraz wedle klasyfikacji Urzędu do spraw Wyznań może się pochwalić jednymi z najlepszych wyników w całym Tybecie.

–Wyników czego? – zapytał Shan nowicjusza, gdy chłopak prowadził ich obok pierwszych dwóch centralnych gmachów, z których jeden, jak się bez trudu zorientował, był budynkiem administracyjnym, w drugim zaś mieściły się jadalnia i sale służące do nauki.

Chłopak skrzywił się lekko.

–Właściwego zachowania – odparł, patrząc prosto przed siebie. – Spokoju – dodał dziwnie poważnym tonem i przyspieszył kroku.

W południowo-wschodnim narożniku wysokiego muru stał długi drewniany budynek oraz stajnia. Były w opłakanym stanie. Sprawiały wrażenie przytulonych do siebie relikwów starszego klasztoru, trwających w milczącym oporze wobec większych, nowocześniejszych budowli wznoszących się pośrodku gompy. Shan przyjrzał się im z uwagą. Ściany wykonane były z desek łączonych na kołki. Oparto o nie łopaty i grabie. Pod ścianą stajni piętrzyły się sponiewierane kosze z grubymi pasami naramiennymi

i sterzącymi w górę wyścielanymi pętlami. Shan znał takie kosze. Przez cztery lata, niemal dzień w dzień, nosił podobny, z długą pętlą na czole, dźwigając kamienie i żwir do budowy drogi. Za budynkami, w narożniku zewnętrznego muru, Shan dostrzegł drewniany czterokołowy wóz oraz wysoką na przeszło trzy metry stertę łajna. Nad nią, w cieniu rosnących za murem topoli, wznosił się wysoki, smukły maszt podtrzymujący długą antenę radiową i czasę satelitarnej.

Nyma podbiegła do stojącego pod murem na tyłach gompy potężnego, przepięknie wykonanego młynka modlitewnego. Gdy jednak wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć, nowicjusz przywołał ją z powrotem. Znowu przyspieszył kroku, prowadząc ich wzdłuż zaparkowanych pod murem pojazdów, wśród których stała duża furgonetka z napisem „ambulans”. Wokół jej tylnej części przechadzał się groźnie wyglądający Chińczyk w błękitnym uniformie. Przyglądał im się z uwagą, zapalając papierosa.

–Specjalna ekipa medyczna z Lhasy – nerwowo wyjaśnił nowicjusz chłopięcym głosem. – Jeżdżą po wsiach, udzielając pomocy miejscowej ludności. Teraz wracają właśnie z dłuższej misji na południu, przy samej granicy z Indiami. Przez parę tygodni

objeżdżali tamtejsze wioski i obozowiska. Ludzie rzadko tu widują prawdziwych lekarzy.

Prawdziwych lekarzy. Lokesh zerknął na Shana. Niegdyś była tu uczelnia kształcąca prawdziwych lekarzy. Na Równinie Kwiatów.

Tenzin zatrzymał się przy stosie opału. Gdy ruszył dalej, Shan spostrzegł, że Tybetańczyk roztarł sobie suche jak pieprz łajno na policzkach i naciągnął kapelusz na oczy.

Gdy obeszli północno-zachodni narożnik gompy, ujrzeli może dwudziestu Tybetańczyków stojących jeden za drugim między dwoma rzędami drewnianych słupków połączonych sznurkiem. Przy drzwiach niewielkiego budynku dostrzegli kilkoro mężczyzn i kobiet w błękitnych uniformach, w większości Chińczyków, którzy przyglądali się Tybetańczykom. Na twarzach rongpów i dropków w kolejce malował się ten sam niepokój co na twarzy młodego mnicha. Nie wyglądali na chorych, tylko na zdenerwowanych.

Mężczyzna w kamizelce z owczego runa zawołał Lhandra po imieniu i pokiwał na niego, żeby podszedł bliżej, jakby się bał wyjść z kolejki. Ale gdy Lhandro zrobił krok w jego stronę, nowicjusz powstrzymał go, dotykając jego ramienia.

–Lekarze nie lubią, kiedy się im przeszkadza – powiedział z powagą.

Shan usłyszał, jak jeden z mężczyzn w błękitce przypomina Tybetańczykom, żeby przygotowali dokumenty do kontroli.

Trzeci z budynków stojących pośrodku gompy był dłuższy i nieco niższy od pozostałych dwóch i w przeciwieństwie do nich był dość zaniedbany. Z tylnej ściany odpadały płyty tynku. Osadzone w metalowej ramie masywne drewniane drzwi obramowane dwoma bordowymi filarami, bogato zdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny z życia historycznego Buddy, wyglądały tak, jakby ocalono je ze starszego budynku. Korytarz o podłodze z nierówno położonych desek zaprowadził ich do obszernej sali. Na zimnej betonowej posadzce siedziało tam na poduszkach pół tuzina mnichów zwróconych twarzami do nakrytego żółtym laminatem ołtarza, na którym spoczywała ponadmetrowej wysokości gipsowa, pomalowana na jaskrawe kolory figura Śakjamuniego. Obok niej, na małym stoliku z czarkami ofiarnymi, tlił się stożek kadzidła.

–To nasz lhakang – wyjaśnił ich przewodnik. Główna kaplica gompy.

Lokesh spojrział na posąg i usiadł między mnichami. Nowicjusz uniósł rękę, jakby chciał zaprotestować, ale gdy do Lokesha dołączyła Nyma, a po niej Tenzin, zawahał się zaskoczony.

–W górach jest niewiele świątyń – rzekł znaczącym tonem Shan.

Mnich przyjrzał mu się z zaciekawieniem i znowu otworzył usta, gdy jednak Lhandro także usiadł obok nich, wzruszył ramionami.

–Dołączcie do nas na wieczorny posiłek – poprosił. – Słuchajcie dzwonu. – Odwrócił się i wyszedł z kaplicy.

Przez pół godziny Shan siedział z przyjaciółmi, wdychając dym kadzidła,

przyglądając się rozwieszonym na ścianach nowym thankom, to podwijając, to rozprostowując nogi. Nie mógł znaleźć w sobie medytacyjnego skupienia, w końcu więc wyszedł

na zewnątrz i ruszył wzdłuż niskiego zaniedbanego muru ciągnącego się między dwoma pozostałymi nowymi budynkami. Niegdyś musiał to być solidny kamienny fundament pokaźnego gmachu. Powoli okrążył dwie centralne budowle, do których nie zaszedł, zauważając z zadowoleniem rozpięte między ich górnymi narożnikami sznury flag modlitewnych, wreszcie zawędrował przed młynek modlitewny na tyłach zabudowań klasztornych. Był to piękny, wysoki na metr osiemdziesiąt i szeroki niemal na metr walec z misternie obrobionej miedzi i brązu. Dotknął go i ku jego zaskoczeniu młynek obrócił się lekko, wykonując niemal pełny obrót. Był osadzony na masywnych łożyskach kulkowych, jakby zaprojektował go inżynier, nie mnich. Poniżej Shan spostrzegł plaketkę z chińskim i tybetańskim tekstem. Widywał czasem podobne plakietki, informujące, że opatrzony nimi młynek lub posąg zostały ufundowane przez organizację młodzieżową lub przez przyjaciół gompy. Ale ta, podobnie jak sam olbrzymi młynek, była niepodobna do żadnej z tych, jakie widział do tej pory. *Czynny w godzinach od 8.00 do 20.00*, informował napis. Wpatrywał się w te słowa, nic nie rozumiejąc, dopóki jego uwagi nie przyciągnął głos dobiegający ze starej stajni, z okolic wielkiej sterty łąjna. Ruszył niepewnie w tę stronę i ujrzał krępego mnicha rozmawiającego z wielkim, kudłatym, czarnym jakiem, stojącym obok drewnianego wozu. Mnich przerzucał łopatą łąjno ze stosu na wóz, zagadując do zwierzęcia.

Po chwili Shan uświadomił sobie, że widział już tego człowieka. Wszedł w cień pod ścianą stajni i obserwował mnicha, który tak był pochłonięty pracą i rozmową z jakiem, że minęło z pięć minut, nim zauważył Shana. Nie dał jednak nic po sobie poznać prócz tego, że na chwilę przerwał pracę i umilkł, po czym znów zaczął wrzucać łąjno na wóz.

–Mam nadzieję, że tamtego dnia nie ugrzęźliście już więcej – odezwał się Shan.

Mnich odwrócił się i chrząknął, przyglądając się Shanowi, po czym przeniósł wzrok na pusty placik za jego plecami. Niepewnie skinął głową.

–Jeszcze dwa razy – odparł. – Odwołali wizyty i wrócili tutaj.

Jego słowa sprawiły, że Shan również się odwrócił i rozejrzał dokoła.

–Urząd do spraw Wyznań jest tutaj?

–Wszędzie – niechętnie odparł mnich i nabrał kolejną łopatę łąjna. Ludzie nie rozmawiali o krzykaczach, podobnie jak nie rozmawiali o pałkarzach i innych demonach.

–Ktoś ciężko się napracował, żeby zgromadzić taką górę opału – zauważył Shan.

–Zaiste – przytaknął mnich, obrzucając go czujnym spojrzeniem. Odwrócił się i szufłował dalej. – Miejscowi rolnicy i pasterze. Czasami to jedyny dar, na jaki mogą sobie pozwolić. Bywało, że sami obywali się bez ognia, żeby dostarczyć opału gompie.

–Mówiłeś, że jesteś z gompy Khang-nyi – przypomniał Shan.

–Zgadza się. Drugi Dom, tak pierwotnie się nazywała. Wyżej, na płaskowyżu na

północy, była wielka gompa, Pierwszy Dom. Tutaj znajdował się przystanek dla tych, którzy tam zmierzali, i dla tych, którzy czekali na lamów.

Shan wziął opartą o ścianę stajni łopatę, stare narzędzie ręcznej roboty, całe z drewna, i zaczął pomagać mnichowi.

–Robiłem to już kiedyś, tylko że na mokro – powiedział po paru minutach.

Mężczyzna wyprostował się, zostawiwszy łopatę wbitą w stos łąjna.

–Na mokro?

–Pola ryżowe – wyjaśnił Shan. – W prowincji Liaoning. Nie miałem wyboru. Mnich skinął głową i powrócił do pracy.

–Chcesz powiedzieć, że cię zmusili?

Shan wrzucił na wóz kolejną łopatę łąjna.

–Żołnierze – wyjaśnił. – Przeważnie trzymali się z dala

z powodu zapachu. Zbliżali się tylko po to, żeby nas bić bambusowymi pałkami, kiedy przestawaliśmy pracować.

Pracowali w milczeniu. Skądś dobiegała muzyka, śpiewne tony chińskiej opery.

–Z powodu zapachu? – zapytał mnich po kilku minutach, jakby przez cały ten czas zastanawiał się nad jego słowami.

–Żołnierze byli z miasta – westchnął Shan.

Mnich przyglądał mu się uważnie, wsparty na łopacie, jedną ręką głaszcząc grzbiet wielkiego czarnego zwierzęcia.

–Jacze łąjno nie śmierdzi.

–To było ludzkie. Odchody, z miast też.

Mężczyzna pracował przez chwilę i znów przerwał. Powoli położył dłoń na trzonku łopaty Shana i popchnął ją w dół.

–Mam na imię Gyalo. W głębi duszy jestem zwykłym rongpą. Dwa lata temu szukali wśród miejscowych robotników rolnych paru kandydatów na mnichów, a moja babka zawsze chciała, żebym został mnichem. Dali mi zezwolenie. Teraz chętnie zabierają mnie na spotkania z innymi robotnikami. – Spojrzał wyczekująco na Shana. Teraz była jego kolej na wyjaśnienia.

–To był reedukacyjny obóz rolny. Byłem wtedy jeszcze małym chłopcem. Moją rodzinę wysłano tam, bo ojciec był profesorem. Mała armia robotników przywoziła wielkie gliniane dzbany odchodów na bagażnikach rowerów. Zazwyczaj po prostu wylewaliśmy to na pola ryżowe. Jednak czasem, kiedy dzbany stały na słońcu, ich zawartość wysychała, a wtedy wyrzucali ją na długie sterty albo kazali nam wskrobywać ją rękoma. Ale najbardziej utkwilo mi w pamięci to, jak po deszczu wszystko robiło się mokre, cuchnące i tak miękkie, że sływało z łopaty.

Mnich przyglądał mu się przez długą chwilę.

–Tu jest zupełnie inaczej – powiedział z powagą.

Shan odpowiedział spojrzeniem i surowa twarz Gyala powoli rozjaśniła się w uśmiechu.

–Czy gompa rozdaje opał wieśniakom?

–Gompa po prostu pozbywa się zapasów. To zbyt staroświeckie, mówią, trąci

zacofaniem. Nie daje dobrego przykładu. Musimy pokazać ludziom, co to dobrobyt – powiedział mnich tonem politruka. Wskazał cień w miejscu, gdzie stajnie przylegały do zewnętrznego muru. Stało tam kilka wielkich butli gazowych.

–Przywieźli cię tu doktorzy? – zapytał Shana, dorzuciwszy na wóz parę następnych łopat łajna. Zabrzmiało to tak, jakby ci lekarze aresztowali swych pacjentów.

Shan pokręcił głową.

–Byłem jeszcze z przyjaciółmi w górach. Na Równinie Kwiatów znaleźliśmy jednego z waszych mnichów, Padmego. Został przez kogoś pobity i potrzebował naszej pomocy.

Gyalo znów przyjrzał się Shanowi. Wydawało się, że chce go o coś zapytać.

–Niech błogosławiony Budda czuwa nad Padmem Rinpocze – odklepał zamiast tego. – Odmawiano za niego modlitwy w kaplicy.

Shan spojrział na mnicha, zastanawiając się, dlaczego właśnie on, i tylko on, szufluje łajno. Za karę? Gyalo nie powiedział, że modlił się za Padmego, tylko że odmawiano za niego modlitwy. I dlaczego on i mnisi przy bramie nazywali młodego mnicha rinpocze, mianem zarezerwowanym zwykle dla starszych, czcigodnych nauczycieli?

–Czy ci lekarze często tu bywają? – zapytał Shan.

Mnich zmarszczył brwi.

–Nie. Ci są tutaj wyjątkowo – odparł i znów oparł się na łopacie, przyglądając się Shanowi. – Gdzie się tak dobrze nauczyłeś tybetańskiego? Jedyni znani mi Chińczycy, którzy mówili po tybetańsku, pracowali dla władz.

–Ja też pracowałem dla władz. Budowałem drogi. Nosilem coś takiego – wyjaśnił Shan, wskazując stertę koszy.

Mnich skrzywił się i wycelował palec w stronę kolejki Tybetańczyków.

–Ten region był kiedyś pełen lamów uzdrowicieli. Słynął z medyków. A przez to ludzie niechętnie zmieniają obyczaje, niechętnie odwracają się od religii, niechętnie leczą się u chińskich lekarzy. Władze chcą mieć pewność, że ludzie nie będą chorować.

–Raczej chcą mieć pewność, że nie będą leczeni w niepożądany sposób.

Gyalo utkwiał w nim znaczące spojrzenie.

Shan ponownie zastanowił się nad słowami mnicha.

–Więc chcesz powiedzieć, że ci ludzie w kolejce nie są chorzy? – zapytał. Widział i chorych, przypomniał sobie. Ranną kobietę ukrywającą się przed lekarzami w obozie solarzy i drugą, czekającą na szlaku, która odrzuciła pomoc Lokesha.

–Kazano im zejść z gór i stawić się do kontroli. Szczepień. Papierów.

–Papierów?

–Ci lekarze przyjechali dwa tygodnie temu i po prostu tutaj zostali. Przeważnie siedzą w biurze na zebraniach. Czasami przychodzi tu ospowaty pałkarz, oficer z brudnym lodem zamiast oczu. I oni wszyscy mają radia jak żołnierze. Nie każdy z tych w błękitnych ubraniach jest lekarzem – ostrzegł Gyalo, zniżając głos. – A nawet

ci prawdziwi lekarze wydają nowe książeczki zdrowia, jak dowody osobiste. Każdy musi zgłosić, gdzie się leczył przez ostatnie pięć lat, z tybetańskimi uzdrowicielami włącznie. I dostaje do podpisania papier z biura. Kiedy przychodzi ten pałkarz, każde ludziom czytać.

–Czytać? Co czytać?

–Cokolwiek. Akapit z broszury Pogodnego Dobrobytu. Linijkę z karty choroby. – Gyalo, marszcząc brwi, patrzył w odległy kąt gompy, gdzie wciąż widać było kilkoro Chińczyków w błękie. – Niektórzy z początku przychodzili chętnie. Ale teraz większość nie stawia się tu z własnej woli. Wojsko zwozi ich ciężarówkami. Albo inni, podobni do żołnierzy, ale w białych koszulach – powiedział, spoglądając znacząco na Shana.

Shan wpatrywał się w mnicha. Krzykacze nosili niekiedy białe koszule, ale krzykacze nie byli żołnierzami. Krzykacze byli politrukami współczesnego Tybetu.

–Chcesz powiedzieć, że ludzie bezpieki podszywają się pod krzykaczy? I pod lekarzy?

–Gompa Norbu jest jak posterunek graniczny. Na skraju pustkowi, ukryta przed resztą świata. Miejsce na eksperymenty.

Shan badawczo przyjrzał się mnichowi.

–Chcesz powiedzieć, że władze tego powiatu w jakiś sposób eksperymentują? W polityce?

–Władza, której podlegamy, to Urząd do spraw Wyznań. Rada powiatowa nie interesuje się nami. Gmina wyznaniowa Norbu, oto czym jesteśmy, gmina większa niż powiat, sięgająca od północy aż na drugą stronę gór, na teren prowincji Qinghai. Wszystko pod kontrolą Urzędu do spraw Wyznań w Amdo i tych, którzy siedzą w tych biurach – oświadczył Gyalo, wskazując najbliższy z piętrowych budynków.

Shan przez kilka minut w milczeniu machał łopata.

–Jeśli ci lekarze przyjechali dwa tygodnie temu – odezwał się w końcu – to nie sprowadziło ich tu zabójstwo wicedyrektora.

Gyalo skinął głową, głaszcząc łeb jaka.

–Tego Tuana większość ludzi znała po prostu jako szefa Urzędu do spraw Wyznań. A on wcześniej przepracował dwadzieścia lat w bezpiece. Miał doskonałe kwalifikacje do kierowania tym urzędem w rejonie tak przywiązany do tradycji jak nasz – powiedział gorzko i uniósł wzrok na Shana. – Nie wszyscy ludzie, których oni chcieliby tutaj widzieć, przyjdą. Niektórzy po prostu ukrywają się i czekają. Dawniej chodziłem pomagać pasterzom i rolnikom, kiedy tylko mogłem. Teraz rzadko pozwalają mi opuszczać gompę bez eskorty.

–Ale Padme był sam – zauważył Shan, wolno cedząc słowa. – I to o dzień marszu stąd, a nie miał przy sobie nawet butelki z wodą.

–Padme nie potrzebuje pozwolenia – powiedział Gyalo scenicznym szeptem do ucha jaka. – I nigdy nie odchodzi daleko.

–Ale znaleźliśmy go daleko stąd. Bez konia. Bez wozu. Myśleliśmy, że to pustelnik.

Gyalo uśmiechnął się, jakby usłyszał dobry dowcip. Nie patrzył już na Shana.

Mówił tylko do jaka.

–Jeśli będziesz studiować dość głęboko i osiągniesz odpowiedni poziom świadomości, powiedział mi pewien stary lama, możesz nauczyć się latać – powiedział i zatrzepotał rękoma

jak skrzydłami.

Shan spojrział na niego zdziwiony.

–Czy on też szukał tego człowieka z rybą?

Gyalo pochylił się nad łbem jaka.

–On chyba nie wie o dropkach i o świętych jeziorach. On chyba nie wie, co pływa w świętych wodach.

Shan patrzył z powątpiewaniem to na niego, to na jaka, powątpiewając w zdrowie psychiczne mnicha.

Gyalo odwrócił się do niego plecami i Shan odstawił łopatę pod ścianę stajni. Ale gdy zbierał się do odejścia, mężczyzna raz jeszcze przemówił, niby to do jaka:

–On nie powinien pozwolić tej mniszce iść na górę.

Gdy Shan się odwrócił, mnich stał pochylony nad wielkim zwierzęciem, rozczesując palcami splątane pasma jego długiej, czarnej sierści, jakby w ogóle się nie odzywał, jakby Shan już poszedł.

Shan wolnym krokiem wrócił do kaplicy. Była pusta. Nie pozwól Nymie iść na górę. Ruszył w stronę pierwszego z piętrowych budynków, najbliższego bramy, tego, na którym wisiał transparent. Na frontowej ścianie budynku znajdowały się drewniane tabliczki, których nie zdążył przeczytać wcześniej. Nie były to religijne sentencje, spostrzegł teraz ze zgrozą, choć użyto ozdobnego tybetańskiego pisma, stosownego do takich cytatów. *Wprzęgnijmy Buddę do służby narodowi*, mówiła jedna. *Połączmy słowa Buddy z chińskim socjalizmem*, przeczytał na innej.

Powoli okrążył budynek, przyglądając się dwóm sznurom flag modlitewnych, które łączyły go z sąsiednim. Flagi na jednym sznurze zapisano mantrą do Bodhisattwy Współczucia. Mylił się jednak co do drugiego. Powiewały na nim maleńkie czerwone chorągiewki zjedną dużą gwiazdą w lewym górnym rogu otoczoną z prawej łukiem czterech mniejszych gwiazd. Flaga Chińskiej Republiki Ludowej. Ruszył wolno wzdłuż zachodniej części otaczającego klasztor muru, przyglądając się czwórce dropków znikających w jednym z zaniedbanych budynków. Wszedł w ślad za nimi przez splecione, drewniane drzwi i dalej korytarzem o skrzypiącej podłodze z desek do małej kaplicy, mierzącej ledwie trzy i pół na dwa i pół metra. Tłoczyło się w niej kilkunastu Tybetańczyków siedzących nabożnie przed małą brązową figurką Guru Rinpocze. Na ścianie, po obu stronach posążka, wisiały stare spłowiałe thanki przedstawiające Tarę, boginię opiekuńczą. Było ich osiem, każda odpowiadająca innemu aspektowi bóstwa, zapewniającemu ochronę przed jednym z ośmiu określonych zagrożeń. Shan poznał kilka z nich. Było tam wyobrażenie chroniące wiernych od węży i zawiści, inne, które broniło ich przed złudzeniami i słoniami, i jeszcze inne, strzegące przed złodziejami. Nad posążkiem wisiała znacznie mniejsza thanka, równie stara i wyblakła, przedstawiająca bóstwo, którego Shan w pierwszej chwili nie poznał. Jedna z kobiet zrobiła mu miejsce obok

siebie i usiadł, przyglądając się malowidłu. Nagle go olśniło.

Nie była to stara thanka. Po prostu dla niepoznaki zręcznie ją postarzano. Przedstawiała lamę o spokojnym uśmiechu, z kijem żebraczym na ramieniu, unoszącego dłoń z palcem wskazującym i kciukiem stykającym się w geście nazywanym mudrą nauki. Był to Tenzin Gyatso, obecny dalajlama.

Po półgodzinie wyszedł znów na dziedziniec i skierował się w stronę budynku biurowego. Zdezorientowany rozglądał się dokoła, usiłując pogodzić mantry nad bocznymi drzwiami z lekarzami, którzy zachowywali się jak pałkarze, wielki młynek modlitewny ze ścisłymi rygorami jego używania, uświęcone wizerunki bóstw z czerwonymi symbolami Pekinu.

Wszedł do holu budynku. Wnętrze było puste, ozdobione jedynie dwoma wielkimi współczesnymi malowidłami stylizowanymi na thanki i kolejnym transparentem Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Pod transparentem dostrzegł zadrukowaną kartkę przypiętą do wielkiej tablicy ogłoszeń. Była to tabela systemu punktacji. Jednostki administracyjne podległe Urzędowi do spraw Wyznań oceniano na podstawie osiągnięć gospodarczych, będących rezultatem obrócenia aktywności religijnej w działalność produkcyjną. Zamieszczono tam listę kryteriów ekonomicznych wraz z bieżącą statystyką oraz średnią z ostatniej pięciolatki: liczba owiec, liczba udomowionych jaków, kóz i koni, powierzchnia pól obsianych jęczmieniem, liczba dzieci zapisanych do zatwierdzonych szkół, liczba pojazdów, a także produkcja filcu, wełny oraz mleka i jego przetworów. Shan szybko przebiegł wzrokiem kolumny przedstawiające działalność z ubiegłych lat. Gmina ta musiała być jedną z najuboższych w Tybecie, oceniając wedle takich standardów. Albo wedle księgi Draktego. Ale Drake nie zbierał chyba danych dla Urzędu do spraw Wyznań?

U dołu strony widniała odręczna notatka, nakreślona starannym, wyrobionym pismem: *Osiągniemy spokój oraz dobrobyt, i to teraz*. Podpisał ją prezes Khodrak. Obok wisiała mniejsza kartka, informująca, że wszyscy mnisi proszeni są o wzięcie udziału w nadchodzących obchodach pierwszomajowych.

Shan ruszył w górę po prostych drewnianych schodach na końcu holu, nie wiedząc, czego powinien się spodziewać. Atmosfera korytarza na piętrze przypominała rządowe biuro. Za otwartymi

drzwiami u szczytu schodów ujrzał jakiegoś mnicha oraz człowieka w garniturze, którzy siedzieli obok siebie, przebiegając palcami po klawiaturach komputerowych. Monitory ukazywały chińskie ideogramy. Na ścianie powyżej wisiały dwa zdjęcia, jedno przedstawiające Mao Tse-tunga, drugie zaś obecnego Przewodniczącego. Na stoliku obok mężczyzn stał faks i skomplikowany aparat telefoniczny z przyciskami wielu linii. Na sąsiedniej ścianie rozwieszona była mapa ze znajomym, odbitym tłustym drukiem napisem *Nei lou*. Pod nią stała maszyna do pisania z częściowo zapisaną kartką. Wzrok Shana zatrzymał się na tym urządzeniu. Podróżując z Drake, on i Lokesh znaleźli kiedyś maszynę do pisania w pasterskim szałasie. Purbowie byli poruszeni, gdy uświadomili sobie, że Shan ją widział. Maszyny do pisania w dalszym ciągu uważane były przez pałkarzy za tajną broń. Niejeden dysydent został skazany tylko dlatego, że miał maszynę do pisania.

Shan minął otwarte drzwi i przystanął przed wiszącym na ścianie wielkim plakatem, wydrukowanym wyłącznie po chińsku, z potężnym nagłówkiem *Urząd do spraw Wyznań. Warunki przyjęcia*, informował tytuł, poniżej zaś znajdowała się licząca dziesięć pozycji lista kryteriów. Zacisnąwszy zęby, Shan zaczął czytać.

Kandydat musi mieć co najmniej osiemnaście lat. Tybetańskie rodziny podtrzymywały liczącą setki lat tradycję wysyłania najstarszego syna do gompy w o wiele młodszym wieku, gdyż formalny okres nauki nierzadko przeciągał się na przeszło dwadzieścia lat, jeśli mnich dążył do rangi geshe, najwyższego stopnia w edukacji klasztornej.

Kandydat musi kochać Partię Komunistyczną. Shan przeczytał to dwukrotnie, by się upewnić, że nie pomylił znaków. *Kochać Partię. Rodzice kandydata muszą być znani*, brzmiało następne kryterium, *i muszą wyrazić zgodę na jego wstąpienie do klasztoru.*

Jednostka robocza kandydata musi zatwierdzić przeniesienie do jednostki klasztornej, co oznaczało nie tylko, że gompy uważane były po prostu za specyficzny typ jednostek roboczych, ale i to, że młodzi mężczyźni musieli zacząć inne życie, inną pracę,

zanim mogli się zwrócić do przywódców politycznych swych jednostek roboczych, którymi w większości byli chińscy koloniści.

Wymagana jest zgoda zarówno władz gminnych, jak i władz powiatowych. Ponadto sam kandydat oraz jego rodzice muszą się wykazać odpowiednim pochodzeniem społecznym.

Kandydat musi pochodzić z zaaprobowanego obszaru geograficznego. Mieszkańcy terenów, na których tybetański ruch oporu był szczególnie aktywny, pod żadnym pozorem nie mieli prawa przywdziać mnisiej szaty.

Listę zamykały dwa krótkie wymogi: *Akceptacja komitetu Partii*, głosił afisz oraz *Akceptacja Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.*

Shan wpatrywał się w plakat, czując w ustach cierpki smak, który zdawał się spływać aż do żołądka. Urząd do spraw Wyznań ograniczył liczebność mnichów w każdej gompie, zwykle do ułamka pierwotnego stanu. Gompom, w których niegdyś żyły ich dwa tysiące, krzykacze zezwalali jedynie na pięćdziesięciu. Nawet gdy pojawiało się wolne miejsce, mogły minąć lata, nim kandydat zdołał zebrać wszystkie niezbędne podpisy. Niegdyś kandydaci siadali przed lamami, recytując wyuczone w domu święte pisma lub opowiadając o tym, jak rosnąca świadomość wewnętrznego buddy nakazywała im nałożyć mniszą szatę. Teraz najskuteczniejszą drogą do klasztoru było usiąść przed komisarzem i recytować fragmenty małej czerwonej książeczki.

Obok afisza, na przeciwległej ścianie, wisiał arkusz papieru z wypisanymi ręcznie znakami, niemal tak wielkimi jak te na plakacie. *Wykluczeni z grona mnichów*, oznajmiał, a pod nim widniało pięć nazwisk, każde opatrzone datą z ostatnich dwóch lat. Na tej samej ścianie, w mrożącej krew w żyłach bliskości, wisiało pięć szat, do których przypięto po karteczce z nazwiskiem. Nad nimi znajdowała się kolejna plansza. *Odeszli od Buddy*, informował nagłówek, niżej zaś widniała sentencja: *Gdy*

raz odejdziesz, Budda nie przygarnie cię z powrotem, opatrzona wymyślnym podpisem prezesa Khodraka. Rząd kołków ciągnął się wzdłuż korytarza. Było ich kilkanaście, wszystkie puste, z wyjątkiem ostatnich dwóch, na których wisiały puszyste czapy z lisiego

futra. Na końcu korytarza znajdowały się dwuskrzydłowe drewniane drzwi. Jedno ich skrzydło było lekko uchylone.

Shana dobiegły zza nich jakieś głosy. Podeszedł do drzwi i zerknął przez szparę. Ujrzał Nymę, Lokesha, Lhandra i Tenzina, którzy siedzieli na twardych krzesłach po jednej stronie masywnego drewnianego stołu. Po drugiej stronie stały trzy znacznie większe krzesła, drewniane, ale z wyściełanymi oparciami obitymi czerwonym jedwabiem. Dwa były zajęte. Na jednym siedział Khodrak, na drugim zaś Chińczyk z długimi rzednącymi włosami, którego Shan widział nad jeziorem. Dyrektor Tuan z Urzędu do spraw Wyznań, który zdobył kwalifikacje potrzebne do objęcia obecnego stanowiska, pracując w Urzędzie Bezpieczeństwa. Na stole rozstawiony był elegancki porcelanowy serwis do herbaty, a młody mnich napełniał właśnie filiżanki przed towarzyszami Shana. Nagle gdzieś zniknął i chwilę później drzwi otworzyły się na oścież. Mnich wskazał Shanowi jedno z pustych krzesel stojących obok jego przyjaciół.

– Doskonale, doskonale – odezwał się Khodrak. – Usiądźcie z nami, towarzyszu Shan. – Za jego plecami, oparta o ścianę, stała długa ceremonialna laska, kij żebraczy z ozdobną, misternie wykonaną z białego metalu główką zakończoną szpicem. – Wyrażaliśmy właśnie naszą wdzięczność i zadowolenie, że możemy gościć was dziś wieczorem na wspólnym posiłku.

Shan zerknął na przyjaciół. Jedyne Lhandro z lekkim, wymuszonym uśmiechem odwzajemnił jego spojrzenie. Pozostali wpatrywali się niepewnie w filigranowe filiżanki z parującą herbatą. Po chwili wahania Shan usiadł obok Nymy. Khodrak znał już jego nazwisko. O co jeszcze pytał?

– Tak bohaterski czyn nie może pozostać bez nagrody – oświadczył Khodrak. – Prości ludzie, zwykli robotnicy rolni poświęcający się, by ocalić życie przedstawiciela hierarchii religijnej. Tu, w Norbu, będącej wzorem właściwych postaw wśród morza reakcji, szczególnie pochwalamy wasz wkład.

Tym razem również Shan utkwiał wzrok w filiżance, którą postawił przed nim młody mnich, gdyż obawiał się, co mógłby powiedzieć, gdyby spojrzał w oczy Khodraka lub Tuana. Khodrak

zakładał, że wszyscy Tybetańczycy są pasterzami lub rolnikami. Robotnicy rolni byli najbardziej szanowaną z klas w lansowanej przez Partię hierarchii chińskiego bezklasowego społeczeństwa. Umysł Shana pracował jak szalony. Przez jego mózg przewijały się obrazy afiszy na korytarzu oraz chińskich flag, niezłomnego Gyala pracującego samotnie przy stercie łajna i biura, które wyglądało jak nowomodne centrum operacyjne urzędu państwowego. Odważył się unieść wzrok i spojrzał na puste krzesło. Khodrak tytułował się prezesem. W tekstach na korytarzu nie

nazywano go opatem lub kenpo. Gdy Gyalo wspominał o tym, kto zarządza gompą, używał liczby mnogiej: „oni”. Ponieważ, zrozumiał Shan, Norbu była wzorcową nowoczesną gompą, prowadzoną nie przez opata, lecz przez trzyosobowy Demokratyczny Komitet Kierowniczy.

Kiedyś, podczas zimowej nawałnicy, która nie pozwalała im opuścić obozowych baraków, Shan i inni więźniowie słuchali opowieści młodego mnicha, który zaczął niedawno odsiadywać pięcioletni wyrok. Mnich wyjaśnił, że jego zbrodnia polegała na odmowie złożenia podpisu na oświadczeniu, w którym miał się zobowiązać do patriotyzmu i ślubować, że nigdy nie będzie protestował przeciwko polityce Pekinu, czego wymagało od niego kierownictwo jego gompy. Starsi mnisi nie mogli zrozumieć, i nowy więzień musiał im to raz po raz tłumaczyć, dlaczego opat i lamowie mieliby żądać takiego ślubowania i jak mogli wysłać go do chińskiego więzienia za odmowę jego złożenia. Powodem, cierpliwie wyjaśniał młody mnich, było to, że zarząd nad jego gompą przejął Demokratyczny Komitet Kierowniczy. Komitet sprawdzał, czy mnisi mają prawomyślne poglądy, i wymagał, by obok swych sutr recytowali też chińską wersję tybetańskich dziejów – wedle której Tybet zawsze był chiński, a Tybetańczycy wywodzą się od Chińczyków.

Obsługujący ich mnich podszedł do Khodraka ze stosikiem wąskich, długich na piętnaście centymetrów pudełek.

–Proszę – odezwał się Khodrak. – Przyjmijcie to na dowód naszego uznania dla waszego wkładu. – Powiedział to łaskawym tonem, powoli i głośno, jakby był przyzwyczajony do publicznych wystąpień.

Młody mnich rozdał im pudełka i gestem zachęcił, by do nich zajrzeli. Wewnątrz znajdowało się ciężkie, czerwone, plastikowe dorje, symbol Najwyższej Rzeczywistości używany w wielu tybetańskich obrzędach, tyle że osadzone na rurce z tego samego materiału. Mnich pokazał Nymie, że należy nacisnąć jeden koniec. Przedmiot pstryknął. Długopis. Wzdłuż oprawki, chińskimi znakami, nadrukowano: *Urząd do spraw Wyznań*. Shanowi zaschło w gardle. Uniósł wzrok. Khodrak uśmiechał się szeroko, z uwagą przyglądając się gościom, i w roztargnieniu gładził wyhaftowany na szacie monogram. Shan słyszał gdzieś, że członkowie demokratycznych komitetów kierowniczych otrzymują pensje od Urzędu do spraw Wyznań. Wyjrzał przez okno. Robiło się ciemno, zbyt późno, by opuścić gompę.

–Może jeszcze jeden dla naszego dobrego przyjaciela? – zwrócił się Khodrak rozkazującym tonem do swego pomocnika.

–Tak, prezesie rinpocze – odparł sztywno mnich. Podszedł do Shana i podał mu jeszcze jedno pudełko.

Shan spojrzał na Khodraka. Jego dobry przyjaciel. Ponieważ Shan był Chińczykiem.

–Dziękuję, nie trzeba – powiedział do mnicha napiętym głosem. – Niestety, umiem pisać tylko jedną ręką.

Khodrak zaniósł się śmiechem, z początku stłumionym, potem zupełnie swobodnym. Zawtórował mu dyrektor Tuan. Po chwili dołączył do nich obsługujący

mnich. Przyjaciele Shana uśmiechnęli się sztywno. Nagle Khodrak spowaźniał. Splótł dłonie, wyciągając przed siebie wyprostowane palce wskazujące. Nie była to mudra. Palce wycelowane były w Tenzina.

–Być może wasz przyjaciel powinien odwiedzić lekarza. Mamy tu specjalistów, aż z Lhasy.

Odwiedzić lekarza. Na te słowa Shan poczuł zimny dreszcz. Był to zwrot znany mu z obozu pracy, groźba używana przez strażników wobec krnąbrnych więźniów, takich jak on sam, których zabierano niekiedy do specjalistów posługujących się elektrycznymi biczami na bydło, młoteczkami i szczypcami o spiczastych czubkach.

–Od dawna cierpicie na tę dolegliwość? – troskliwie zagadnął Khodrak Tenzina, z zainteresowaniem przyglądając się jego dłoniom.

Shan przypomniał sobie, jak pułkownik Lin oglądał dłonie Lokesha. O co tu chodziło? Czy dostrzegł coś szczególnego w dłoniach Tenzina? Nie były to, uświadomił sobie Shan, szorstkie, pokryte odciskami dłonie rongpy lub pasterza.

–Mówiliśmy wam, że Tenzina poraził piorun – wtrąciła Nyma. – On nie mówi. Nam to nie przeszkadza. To dobry pracownik.

Khodrak rzucił poprzez stół serwetkę, która leżała obok jego filiżanki. Tenzin wciąż miał na twarzy pył ze sterty łąjna.

–Powinniście się umyć – oświadczył bezceremonialnie, spoglądając na twarze pozostałych gości.

Shan przyglądał się Tenzinowi i Khodrakowi. Przeszedł go dreszcz. Tenzin z wystudiowaną obojętnością wpatrywał się w blat stołu. Po chwili opuścił ręce i złożył je na kolanach, żeby Khodrak ich nie widział. Jego dłonie utworzyły mudrę: małe palce zaczęły się o siebie, środkowe podgięły się do wewnątrz, a kciuki i palce wskazujące złączyły się czubkami. Była to mudra zwana poskromicielem ducha i wyglądało na to, że Tenzin wymierzył ją w Khodraka. Nagle rozbłysło światło. Shan uniósł wzrok. Młody mnich pracowicie fotografował Shana i jego towarzyszy.

–Słyszeliście zapewne – odezwał się fałszywie uprzejmym tonem Tuan – że zamordowano mojego zastępcę.

Tenzin wpatrywał się przez chwilę w swoje dłonie, po czym wolno przeniósł wzrok na Khodraka. Dwaj mężczyźni wymienili twarde, prowokujące spojrzenia. Shan patrzył na to zdziwiony. Tenzin zniknął w noc, kiedy zginął Chao. Ale z pewnością go nie podejrzewali, bo w przeciwnym razie już dawno by go ujęli. Nagle przypomniał sobie, co powiedział Gyalo do jaka. Shan nie wie, co pływa w świętych wodach. Gyalo miał na myśli nagów. Khodrak mógł poszukiwać człowieka związanego z wodnymi bóstwami. Tenzin opuścił pustelnię, żeby przynieść czarny piasek od nagów. Ktoś mógł go zauważyć, gdy odprawiał obrzęd nad rzeką, i donieść o tym. Dla krzykaczy nagowie byli pogardzanym symbolem najstarszych tradycji Tybetu. Gdyby aresztowali Tenzina i poddali go torturom, wpytując o przyczyny zainteresowania wodnymi bóstwami, nawet gdyby musieli czekać, aż niemy

Tybetańczyk napisze zeznanie, w końcu dowiedzieliby się o pustelni, o Gendunie i o Shopo.

–Dlaczego Padme Rinpocze wędrował po płaskowyżu? –

zapytał nagle Shan, próbując odwrócić uwagę Tuana. – Pomagał przywracać porządek publiczny?

Tuan przyjrzał mu się z uwagą, jednak bez emocji.

Nyma i Lhandro, marszcząc brwi, utkwili w Shanie rozdrażnione spojrzenia. Jego słowa sugerowały, że Padme zajmował się czymś wykraczającym poza działalność religijną.

Ale Khodrak najwyraźniej nie dostrzegł w tym pytaniu nic niezwykłego.

–W tych czasach każdy musi być czujny – odparł, z uznaniem kiwając Shanowi głową. – Gdy ważne osiągnięcia są bliskie, reakcyjniści atakują szczególnie zaciekle. Morderstwa. Porwania. To przynajmniej uzasadnia naszą pracę.

–Porwania? – zapytał Shan.

–Z pewnością słyszeliście o opacie Sangchi. Błogosławiony przywódca niezwykle ważnej instytucji. Wzór właściwego myślenia dla wszystkich Tybetańczyków. Twórca Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Kolejny męczennik za naszą sprawę.

–Gazety mówią, że opat Sangchi zbiegł do Indii.

–Wiemy już, że opat został porwany przez najbezwzględniejsze elementy antypaństwowe – wtrącił Tuan. – Być może przez tych samych ludzi, którzy zabili wicedyrektora Chao niespełna osiemdziesiąt kilometrów stąd. Bez wątplenia mają złe zamiary także wobec opata.

Shan wbił wzrok w stół, próbując się uspokoić. Co oni sugerowali? Że wiedzą, iż osławiony Tygrys jest w pobliżu? Że gdzieś niedaleko więzi zaginionego opata? Z pewnością nie, bo w okolicy roiłoby się od oddziałów bezpieczeństwa.

–Kolacja – oświadczył nagle Khodrak, uśmiechając się z zadowoleniem. – Zaraz zostanie podana kolacja, w sali zgromadzeń. Zaczekajcie chwilę. Korzystajcie z naszej gościnności. – Wstał i wyszedł wraz z Tuanem.

Shan patrzył za odchodzącym prezesem. Zaczekajcie chwilę. Jak się zdaje, było to ulubione powiedzonko Khodraka. W jego ustach słowa te brzmiały łagodnie, nawet uprzejmie. Ale Shan słyszał je już wcześniej. Często padały także na sesjach krytyki, podczas których krnąbrnym obywatelom wbijano do głów, w przerośni i dosłownie, jedynie słuszne przekonania. Zaczekajcie chwilę, mawiał prowadzący tamzing, żeby okazać, jaki to jest życzliwy. Zaczekajcie chwilę i przemyślcie sprawę raz jeszcze, nim sięgniemy po boleśniejsze sposoby, by sprowadzić was z powrotem na drogę Partii.

Mijając drzwi pokoju przy schodach, Shan zwolnił kroku, walcząc z pokusą, żeby zajrzeć do środka. Gdy mnich zawołał na niego, by dołączył do pozostałych, a on powoli ruszył w dół schodów, usłyszał gniewne głosy dobiegające z pomieszczenia w głębi korytarza, nie mógł jednak rozróżnić słów. W ślad za resztą grupy skierował się ku, jak mu się zdawało, tylnym drzwiom wychodzącym na dziedziniec między budynkami i niemal dogonił już Lokesha, gdy nagle czyjaś dłoń chwyciła go za ramię.

–Towarzyszu Shan – rozległ się za jego plecami surowy głos.

Shan odwrócił się i spojrział w czarne, podobne do kamyków oczy Tuana. Dyrektor wskazał mu otwarte drzwi gabinetu. Shan zawahał się, patrząc, jak jego

przyjaciele opuszczają budynek. Ze ściśniętym sercem i wyschniętym na wiór gardłem wszedł do pokoju.

Stało tu nieduże metalowe biurko dosunięte do okna, żeby zrobić miejsce dla czterech głębokich wyściełanych foteli otaczających niski stolik nakryty długą koronkową serwetą. Tuan zamknął za sobą drzwi, usiadł w jednym z foteli i wskazał Shanowi drugi.

–Towarzyszu – powtórzył, tym razem tonem serdecznego powitania.

Shan usiadł na brzeжку fotela naprzeciw niego i wolno skinął głową. Na serwecie leżało kilka stosów broszurek promujących Kampanię Pogodnego Dobrobytu, jak ta, którą otrzymał nad jeziorem.

Tuan, bębniąc palcami po poręczu fotela, wodził wzrokiem po jego sponiewieranych butach i połatanym ubraniu.

–To musi być trudne dla kogoś takiego jak wy – zaczął.

Shan znów pokiwał głową. Znali jego nazwisko. Ale z pewnością nie mieli czasu zasięgnąć więcej informacji, z których dowiedzieliby się, że oficjalnie jest więźniem lao gai.

–Jak długo jesteście w Tybecie? – Tuan wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i położył ją na szerokiej poręczu fotela.

–Pięć lat.

Jego odpowiedź najwyraźniej ucieszyła Tuana.

–Większość nie wytrzymuje roku. Jestem pełen uznania.

Ludzie tacy jak wy są prawdziwymi bohaterami pracy. Pracować u siebie, w fabryce, może każdy. Ale wy jesteście tu, na linii frontu naszej wielkiej walki. – Podniósł paczkę papierosów i postukał nią o poręcz fotela.

Shan spotykał już pracowników Urzędu do spraw Wyznań. W większości byli to bezbarwni biurokraci zabijający czas w oczekiwaniu na przeniesienie na lepsze stanowisko we wschodnich Chinach. Ale Tuan był inny. Był twardy jak żołnierz. Miał za sobą pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa.

–Wasi przyjaciele powiedzieli, że wędrujecie na północ i że zboczyliście z drogi, by odprowadzić Padmego do gompy. Padme mówił, że wieziecie sól.

Tuan nie pytał o nagów, o Yapchi ani o Lhasę, o nic z tego, o co pytał pułkownik Lin. W istocie zdawało się, że Tuan nie tyle go przesłuchuje, ile sprawdza.

–To ich tradycja – odparł Shan.

–Za wydobywanie soli trzeba płacić – zauważył Tuan. – Moglibyście dostać nagrodę, gdybyście ich zadenuncjowali. Mógłbym to zorganizować, nawet ulokować ją gdzieś. Ci ludzie nie musieliby o niczym wiedzieć.

Shan zmusił się do lekkiego konspiracyjnego uśmiechu, na którego widok Tuan uniósł dłoń.

–Pomyśleliście już o tym. Znakomicie. – Podniósł paczkę papierosów do nosa i wciągnął powietrze, zapalił jednego i ostrożnie odłożył go do popielniczki na stole. – Nikt nie może was winić za to, jakie znajomości nawiązujecie podczas podróży.

Człowiek taki jak wy ma sposobność poznać Tybetańczyków

wszelkiej maści.

Shan zacisnął zęby.

**–Moi towarzysze podróży przynieśli tu rannego mnicha –
przypomniał Tuanowi.**

Wargi dyrektora wygięły się w lekkim uśmiechu. Wciągnął w

płuca dym unoszący się znad stołu. Sprawiało to wrażenie, jakby wdychał dym kadzidła.

–To dzika kraina. Kryminaliści kryją się na każdej górze. Zabójca wicedyrektora Chao jest gdzieś tutaj. To on musiał zaatakować Padmego.

–Brzmi to tak, jakbyście wiedzieli, kim on jest.

–Oczywiście. To jest ta sama wojna, która się rozpoczęła, gdy przybyła armia wyzwoleńcza. Ona nigdy się naprawdę nie skończyła, po prostu stała się mniej widoczna.

–Chcecie powiedzieć, że nie obchodzi was, kto to zrobił?

Tuan wzruszył ramionami i nachylił się w stronę dymu.

–A ich obchodzi? Oni zabierają jednego z nas, my zabieramy jednego z nich – oświadczył obojętnie, po czym uśmiechnął się zimno. – I tak nas zawsze będzie więcej niż ich.

Shan przyglądał się dyrektorowi, który przyglądał długie włosy na skroni. Czyjego obojętność wynikała stąd, że zabrał już jednego Tybetańczyka, wyrównując swój rachunek, że wiedział, iż zabił Draktego?

–Wkrótce nastąpi rozliczenie – oświadczył Tuan. – Za niecałe dwa tygodnie. Ale do tego czasu ktoś taki jak wy, Chińczyk pośród nich, będzie w ciągłym niebezpieczeństwie. Pozwólcie, żebym wam pomógł.

–Nie boję się ich – odparł Shan. Był jednak przerażony Tuanem i dziwną grą prowadzoną przez dyrektora, który zamierzał za dwa tygodnie odpłacić Tybetańczykom za śmierć Chao. Mówił o tym, jak gdyby była to jedna z wielu pozycji w jego napiętym rozkładzie zajęć.

Tuan nachylił się ku Shanowi.

–Ten okręg przechodzi doniosłe zmiany. Han, który potrafi sobie radzić z tymi Tybetańczykami, mógłby mieć przed sobą świetlaną przyszłość. Może nam się przydać ktoś taki jak wy.

Szukamy kogoś, kto pokierowałby wszystkimi innymi nauczycielami. Musielibyście zdecydować się już wkrótce.

Chwała

jest bliska i starczy jej dla wszystkich.

Shan niemal poprosił go o powtórzenie tych słów. Chwała jest bliska?

–Mówicie o nauczycielach?

–Wiedza przybywa do Norbu. Nowy świat wyciąga ręce do miejscowych – odparł Tuan.

Shan utkwiał wzrok w koronkowej serwecie. Rozpoznawał osobliwy język, którym posługiwali się urzędnicy wyższych szczebli, lecz Tuan najwyraźniej opracował do niego własny szyfr.

–Ale na razie ci wszyscy lekarze... – odezwał się niepewnie.
– Oni straszą ludzi. Nie potrzebujecie ich chyba, żeby schwytać zabójcę.

Tuan posłał mu uśmiech uznania.

–Oni mają rozkazy z Lhasy. W grę wchodzi bezpieczeństwo państwa. Z Indii przedostał się do Tybetu jeden z przywódców kultu Dalai.

–Jesteśmy ponad sześćset kilometrów od granicy z Indiami.

–Daje im niezły wycisk.

–Ale dlaczego lekarze? Co może tu pomóc niepokoienie miejscowej ludności?

–Bezpieczeństwo państwa – powtórzył Tuan. Zerknął na zegarek i wstał. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął wizytówkę, którą podał Shanowi. – Wiem o różnych sprawach. Kiedy zwyciężymy, po pierwszym maja, skontaktujcie się ze mną. – Rzucił Shanowi na kolana paczkę papierosów i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Shan odprowadził go wzrokiem. Wiem o różnych sprawach.

Prawdopodobnie nic to nie znaczyło, ot, puste słowa aroganckiego biurokraty. Sprawily jednak, że Shan znów przypomniał sobie tamtą straszliwą noc w pustelni. „Jemu jest wszystko jedno, kto zginie”, wyrzucił z siebie Drake niemal ostatnim tchnieniem. „On zabija modlitwy. Zabija to, czym jest”. Tuan był wysokiej rangi urzędnikiem odpowiedzialnym za religię i zabijał religię.

Shan odłożył papierosy na poręcz fotela i poszedł szukać swych przyjaciół. Odnalazł ich na zewnątrz, czekających wraz z młodym mnichem pod łopoczącymi flagami.

–O co chodziło? – szepnęła nerwowo Nyma.

Shan wzruszył ramionami.

–Nie wiem – stwierdził szczerze. – Chciał mi dać papierosy.

Mnich zaprowadził ich do sąsiedniego budynku, gdzie przy dwóch długich stołach z desek siedziało już dwudziestu mnichów. Niektórzy uprzejmie, choć powściągliwie powitali gości, inni nerwowo odwrócili wzrok. Gyala nie było w sali. Stary mnich, najstarszy z obecnych, wstał i wyrecytował początkowy fragment Sutry Serca. Jego słowa, lub może jego głęboki, donośny głos, podziałały uspokajająco na wszystkich. Ale Shan nie mógł się odprężyć. Walczył z pokusą, by wyciągnąć stąd Lokesha i uciec. Nie pojmował nic z dziwnej audiencji u Tuana. Tuan i Khodrak zamierzali wygrać jakąś bitwę i zdobyć przy tym chwałę.

Wreszcie, trzymając swój żebraczy kij niczym berło, do sali wkroczył prezes, tuż za nim zaś Tuan, obaj z lisimi czapami na głowach. Usiedli przy mniejszym stole ustawionym u szczytu obydwu długich i po chwili zjawilo się dwóch młodych mnichów z wielkim parującym garnkiem thugpy, makaronu gotowanego z warzywami. Obsługujący sprawnie nalali wszystkim zupę, po czym rozdzielili miseczki białego ryżu. Jedzono szybko, niemal

bez rozmów. Mnisi spoglądali nerwowo to na gości, to na dwóch mężczyzn przy głównym stole. Pod koniec posiłku, gdy podano chińską zieloną herbatę, Khodrak wstał, żeby opowiedzieć, jak towarzysz Shan i jego towarzysze uratowali Padmego. Towarzysz Shan. W ustach prezesa pomoc udzielona Padmemu zmieniła się w polityczną przypowieść o bezinteresownym Hanie ratującym Tybetańczyka w potrzebie.

Kiedy skończyli, jeden z mnichów poprowadził ich najpierw tam, gdzie zostawili swoje rzeczy, potem zaś do gościnnych pomieszczeń gompy w jednym z parterowych budynków. W urządzonej jak dormitorium sali z ośmioma łózkami ich przewodnik kierował Nymę do podobnego pomieszczenia po drugiej stronie korytarza.

–Widzieliśmy starą stajnię – powiedział Shan. – Wolelibyśmy spać tam. – Jego przyjaciele nie odezwali się słowem. Lokesh lekko, ale zdecydowanie skinął głową.

–Oni kazali położyć was tutaj – zaprotestował mnich. – W łóżkach na pewno będzie wam wygodniej.

–Nie – oświadczył stanowczo Shan. – Nasze kości przywykły do spania na ziemi.

Mnich westchnął zrezygnowany i poprowadził ich do opuszczonej stajni, zaledwie parę kroków od wozu, który Shan pomagał napełnić łajnem. Za wozem, w głębokim cieniu pod ścianą, wyczuwał raczej, niż widział, potężnego jaka.

Mnich odciągnął ciężką drewnianą belkę osadzoną w poprzek drzwi na żelaznych hakach i podał Shanowi swoją latarenkę ze świeczką. Weszli do małego zatęchłego pomieszczenia z półtuzinem boksów, o podłodze do połowy pokrytej słomą. Nad boksami był niski półstryszek, gdzie niegdyś przechowywano paszę, z małymi drzwiczkami do ładowania siana.

Lokesh i Lhandro zaczęli już zgarniać słomę na posłania, gdy

mnich, życzywszy im dobrej nocy, opuścił ich, zamykając za sobą drzwi. Po paru minutach Shan słuchał już powolnych, odprężonych oddechów swych towarzyszy i wkrótce sam również zapadł w sen.

Obudził się tuż przed świtem, rześki i wypoczęty, zaskoczony tym, jak twardo spał. Szybko otrzepał ubranie ze słomy i podszedł do drzwi. Z zewnątrz dobiegł go odgłos brzęczący jak warkot silnika wielkiej ciężarówki. Zawahał się, po chwili jednak pchnął lekko drzwi, by wyrzeć na zewnątrz. Drzwi nie poruszyły się. Silnik ucichł, po czym rozległ się tupot ciężkich butów. Shan przycisnął oko do wąskiej szpary w drzwiach. Pod stajnią stał jeden z ambulansów, błyskając światłami, jakby przyjechał do wypadku. Rozległ się gwizdek, a zaraz po nim ktoś wyszczekał jakiś rozkaz. W nikłym świetle Shan nie mógł rozróżnić twarzy, ze zgrozą jednak spostrzegł rząd białych koszul.

Coś poruszyło się za jego plecami. To Lhandro podszedł do drzwi i pchnął je, nadaremnie. Naparli na nie razem. Ani drgnęły. Ktoś z powrotem założył belkę. Byli uwięzieni, a ludzie w białych koszulach otaczali stajnię.

Rozdział dziewiąty

Shan szybko obudził pozostałych i pospiesznie wyjaśnił szeptem, że zostali uwięzieni. Nyma rzuciła się do drzwi i pchnąwszy je bezskutecznie, odwróciła się z twarzą ściągniętą lękiem. Lokesh usiadł na posłaniu i wśród wykrzykiwanych na zewnątrz rozkazów odmówił mantrę do Tary, opiekunki wiernych.

Lhandro przyłożył ucho do ściany, Nyma tymczasem odłupała widłami kilka drzazg wokół niewielkiej szczeliny w starym drewnie, żeby było lepiej widać, co się dzieje na zewnątrz.

– Ten ambulans... – powiedziała, nachyliwszy się do szpary. – Może lekarze chcieli po prostu... – Odwróciła się i urwała, widząc, że Shan stoi zdezorientowany na tyłach stajni, w cieniu,

w którym spał Tenzin.

–Zabrali Tenzina! – krzyknęła przerażona i podbiegła do Shana.

Pospiesznie przetrząsnęli stajnię, szukając jakiegokolwiek śladu po milczącym Tybetańczyku lub jakiejś dziury, którą mógł się stąd wydostać. Nie było żadnych obluzowanych desek, żadnych innych drzwi, żadnej drabiny na stryszek, gdzie były prowadzące na zewnątrz drzwiczki.

–On jest tylko... – zaczęła żałośnie Nyma, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.

Jest tylko kim? pomyślał Shan. Zbieraczem łajna? Żadne z nich nie wiedziało, kim naprawdę jest Tenzin. Sądził, że po prostu uciekinierem, jak tylu innych. Niekiedy, jeśli przejrzało się grę, którą Pekin prowadził w Tybecie, jedynym wyjściem było zostać uciekinierem, zawsze w ruchu, nieustannie unikającym ludzi. Shan przypomniał sobie dziwną wymianę spojrzeń między Khodrakiem i Tenzinem. Czy Tuan i Khodrak naprawdę wiedzieli coś o tym człowieku, czy też zadziałał tu po prostu instynkt

Tuana, wyostrzony przez dwadzieścia lat pracy dla bezpieczeństwa? Tenzin miał coś na sumieniu i wedle politycznych kalkulacji, którymi się kierowali Tuan i Khodrak, zyskaliby na zatrzymaniu go.

Nagle rozległ się zgrzyt, odgłos belki zdejmowanej z żelaznych haków, i drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając strugę słonecznego światła, tak jaskrawą, że odruchowo unieśli dłonie do oczu.

Do stajni wszedł dyrektor Tuan, a za nim Chińczyk w średnim wieku, ze stetoskopem na szyi i małym radiem wystającym z kieszeni bluzy błękitnego uniformu. Tuan obrzucił Shana i jego towarzyszy szybkim spojrzeniem, po czym wszedł w cień na tyłach stajni, lekarz zaś zatrzymał się w wejściu i obserwował go

z wyczekującą miną. Dwaj młodsi mężczyźni w błękitnie kręcili się pod drzwiami, jakby byli gotowi w razie czego przyjść mu z pomocą. Shan przesunął się w bok i spostrzegł złożone nosze oparte o ramię jednego z mężczyzn. Znowu usłyszał tupot kilku par ciężkich butów. Najwyraźniej żołnierze krążyli niespokojnie gdzieś w pobliżu ambulansu. Ktoś gniewnie rzucił krótki rozkaz. Ale nie było widać żadnych żołnierzy, jedynie ludzi w białych koszulach z pagonami lub w błękitnych uniformach.

Nagle w drzwiach pojawił się drobny mężczyzna o wąskich barkach. Shan patrzył na niego pod słońce, toteż dopiero po chwili spostrzegł, że jest w szarym mundurze. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy uniósł wzrok ku jego twarzy, która wydawała się uformowana ze skorodowanej stali. Ten człowiek mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat, ale cechowała go już zimna, mechanicznie bezduszna postawa, którą prawdopodobnie zachowa do końca swej kariery zawodowej – lodowate szyderstwo, z którym Shan tak często stykał się w obozie pracy. Mężczyzna w szarym mundurze był oficerem bezpieczeństwa, pałkarzem o ospowatej twarzy i oczach z brudnego lodu, jak opisał je Gyalo.

Pałkarz omiótł Shana i jego towarzyszy zimnym spojrzeniem. Przeniósł wzrok na Tuana i cicho warknął. Mógł to być wyraz gniewu lub rozczarowania, a może ów niecierpliwy pomruk, jaki niektóre drapieżniki wydają przed długo oczekiwaną ucztą.

Lekarz

zerknął na niego, marszcząc brwi w grymasie irytacji i rozczarowania, po czym uniósł cztery palce. Czterech więźniów, mówił zapewne, kiedy powinno być pięciu. Zrobił to jednak dziwnie, gdyż przygiął mały palec. Oficer w odpowiedzi znów prychnął gniewnie, unosząc lekko pięść.

Coś niezwykłego działo się w Norbu. Nie chodziło po prostu o

to, że gompas jest w rękach komisarzy politycznych, ani nawet o to, że Shan i jego przyjaciele zostali ujęci. Było coś jeszcze, coś, co sprawiało, że pracownicy Urzędu do spraw Wyznań zachowywali się jak żołnierze bezpieczeństwa, co tłumaczyło, dlaczego aresztował ich krzykacz, w obecności jednego tylko oficera pałkarzy. Być może krzykacze interesowali się Tenzinem z powodu jego związków z nagami, ale Urząd Bezpieczeństwa ścigał go z innego powodu. Była jeszcze jedna możliwość, która tak przerażała Shana, że nie wspomniał o niej przyjacielom. Pałkarze gorączkowo poszukiwali człowieka o chrapliwym, warczącym głosie – sławetnego Tygrysa, którego uszkodzona krtań wydawała takie właśnie dźwięki. Pałkarz kazał ludziom czytać. Jedynym sposobem, aby ukryć taki głos, było udawać niemowę. Umysł Shana pracował jak szalony. Tenzin opuścił pustelnię w tę noc, kiedy zginął Chao. Władze przypuszczały, że morderstwa dokonał Tygrys, przywódca purbów. Tenzin z pewnością znał purbów. Czy cała ich podróż miała po prostu zapewnić Tygrysowi kamuflaż?

Zamknął oczy, próbując się uspokoić. Cofnął się o krok, by zasłonić Lokeshę. A więc skończyło się, czy raczej znów się skończyło, tu, w ciemnej, zatęchłej stajni, wśród oprawców czekających, aż przyznają się ze strachu lub sprowokują ich do bicia, okazując najmniejszą choćby oznakę oporu. Jeśli Tuan i pałkarze podejrzewali ich o ukrywanie Tygrysa, nie mogli liczyć na żadną pobłażliwość. Nagle ogarnęło go dziwne wrażenie, ulotne, mgliste uczucie, które widywał w oczach innych na placach straceń. Tak właśnie robiły czasem plutony egzekucyjne, jeśli oficerowie polityczni uznali, że ofiar nie należy rozstrzeliwać publicznie: stawiano je wówczas pod ścianą wczesnym rankiem, gdy większość ludzi jeszcze spała. Tak potraktowano by Tygrysa, gdyby został schwytany. I być może także tych wszystkich,

którzy go osłaniali. Z pewnością nie zrobiliby czegoś takiego w gompie.

Ale to była gompa Khodraka, gdzie nie panował Budda, lecz krzykacze. A lekarz zrobi im zastrzyki, które załatwią sprawę po cichu i równie skutecznie jak kula.

Spostrzegł, że wszyscy patrzą na niego, i zorientował się, że musiał wydać jakiś odgłos, może cicho jęknąć z przerażenia. Odwrócił się powoli do Lokesha, którego oczy również przybrały tępy wyraz, jak u więźnia. Gdyby pchnął przyjaciela w cień i rzucił się na oficera, być może zdołałby odwrócić uwagę krzykaczy na dość długo, aby Lokesh zdążył uciec. Dobrze chociaż, że kamienne oko jest bezpieczne w górach, szepnął głos w zakamarku jego umysłu.

Ktoś poruszył się obok Lokesha. To Tuan wyszedł z powrotem na światło i spojrzał wyczekująco na Shana, jakby się spodziewał, że coś powie. W tej samej chwili przez drzwi przesunął się cień i do stajni wszedł Khodrak, podpierający się swym żebraczym kijem, a za nim Padme, w czystej szacie, z ręką na temblaku. Oczy prezesa płonęły gniewem, nie patrzył jednak na Shana, lecz na lekarza i oficera pałkarzy. Nikt się nie poruszył. Pałkarz i lekarz wyglądali na zakłopotanych.

Shan przyglądał się mnichowi, którego przynieśli z Rapjung. Padme nie sprawiał już wrażenia cierpiącego. Stał wyprostowany, z ręką na temblaku, choć nigdy im nie wspominał, że go boli. Jego szata była nieskazitelnie czysta i obrzeżona takim samym wąskim paskiem złotej nici, jaki zdobił szaty Khodraka oraz innych członków komitetu. Shan przypomniał sobie trzecie krzesło przy stole prezydialnym i to, że młodego mnicha nazywano rinpocze. Było to krzesło Padmego.

– Niektórzy mędrcy potrafią podobno przemienić się w dym i zniknąć bez śladu – powiedział Padme, rzucając skąpy uśmiech

pałkarzowi, który w odpowiedzi skrzywił się kwaśno i odszedł od drzwi.

Khodrak westchnął, po czym przyjrzał się stryszkowi i prowadzącym nań małym drzwiczkom. Ktoś wysoki, silny, szczupły, mógłby wydostać się tamtędy na zewnątrz. Prezes położył dłoń na ramieniu Tuana, co wyglądało tak, jakby wypychał go ze stajni. Dyrektor zacisnął wargi, ustąpił jednak i wyszedł, a w ślad za nim lekarz.

–Nastąpiła pomyłka, prezesie rinpocze – odezwał się Padme do Khodraka. Spojrzał na Shana. – Ci ludzie są naszymi przyjaciółmi. Naszymi bohaterami. Nie możemy pozwolić, by ich znieważano.

Shan przyglądał im się, nic nie rozumiejąc. Ludzie bezpieczeństwa i Urzędu do spraw Wyznań mieli właśnie wyładować na nich swój gniew, ale Khodrak i Padme ich odprawili.

–Gdzie on jest?! – wykrzyknęła Nyma. – Macie Tenzina. Dlaczego? Nie możecie po prostu... – Spojrzała na Padmego, na Khodraka, wreszcie na Shana i słowa uwięzły jej w gardle. Khodrak nie zwrócił uwagi na jej wybuch.

–Zaczekajcie chwilę – powiedział i wskazał w dół. Padme podkasał szatę, usiadł ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i wyciągnął różaniec. Skinął na Nymę, zapraszając ją, żeby zrobiła to samo, i po chwili wszyscy poza Khodrakiem siedzieli w małym kręgu. Padme zaczął recytować mantrę *OM MANI*

PADME HUM, machając ręką, by zachęcić pozostałych, żeby się przyłączyli, podczas gdy Khodrak krążył wokół nich, postukując kijem jak stary żebrak.

Była to dziwna, denerwująca ceremonia. Padme umilkł po chwili, ale wciąż wymachiwał dłonią, dyrygując pozostałymi jak

chórem. Nyma i Lhandro mruczeleli skrzepowani, podczas gdy Lokesh i Shan niespokojnie obserwowali młodego mnicha. Minęły tak może dwie minuty, gdy nagle Khodrak zatrzymał się i Padme wstał gwałtownie, otrzepując szatę. Mantra powoli ucichła.

–Znajdziemy ich przyjaciela? – zapytał Padmego Khodrak.

–Znajdziemy ich przyjaciela – odparł szybko Padme, jakby dalej recytował mantrę, i Khodrak wyszedł ze stajni, niosąc kij na ramieniu.

Padme odwrócił się do Lhandra.

–Nie potrafię wyrazić, jak mi wstyd – powiedział. – Doszło do pomyłki. – Spojrzał na drzwi i pokiwał głową, a następnie zwrócił się do Shana. – To stara stajnia, służąca właściwie tylko jako skład. Ktoś mógł przez pomyłkę założyć sztabę, to wszystko – stwierdził niepewnie, jakby sugerował, że tak właśnie powinni sobie tłumaczyć to, co zaszło. – Zespół medyczny jest nadgorliwy. Przygotowano ich do działania z całą stanowczością,

by zapobiec rozprzestrzenianiu się chorób. – Wstał, żeby popatrzeć na odjeżdżający ambulans, po czym znów zwrócił się w ich stronę. – W kuchni dostaniecie jedzenie na drogę – dodał. – Sam tego dopilnuję. – Skinął na nich i wyszedł ze stajni, a oni za nim.

Tuan stał przed białym samochodem terenowym obok sześciu mężczyzn w białych koszulach. Shan przyjrzał się twardym twarzom tych zaprawionych w boju ludzi. Gdyby nie ich koszule, wziąłby ich za funkcjonariuszy oddziałów specjalnych Urzędu Bezpieczeństwa – za sztylpy, jak nazywali ich purbowie – przeznaczonych do zwalczania szczególnie uporczywych zagrożeń politycznych, które w Tybecie zazwyczaj oznaczały purbów i innych niepokornych buddystów.

Mężczyźni w białych koszulach śledzili wzrokiem Shana i jego przyjaciół, wychodzących kolejno ze stajni. Kilku zerknęło na Tuana, którego oczy odszukały Shana i spoczęły na nim. Obserwowały go z uwagą, nie oskarżając, ale kalkulując. Gdy Tuan spostrzegł, że Shan patrzy na niego, pokiwał znacząco głową. Wkrótce będziecie musieli się zdecydować, powiedział mu. Zbliża się czas rozliczenia.

–To zagmatwane czasy – zauważył Padme, gdy dziesięć minut później stanęli pod bramą.

Lhandro taszczył papierową torbę pierożków i jabłek z kuchni.

–Niech Bodhisattwa Współczucia ma was w swej opiece! – zawołał niepewnie Lokesh na odchodnym.

Padme drgnął i pokiwał głową.

–Właśnie – odparł dziwnie opryskliwym tonem. – I was także.

– Wyprostował się i przemówił głośniejszym, jakby się zwracał do szerszego audytorium: – Niech Bodhisattwa Współczucia ma was w swej opiece! – po czym uśmiechnął się w stronę obszarpanych Tybetańczyków siedzących przed chatynkami za bramą.

Szli, nie odzywając się ani słowem. Lhandro, idący na przedzie, narzucił takie tempo, że Nyma musiała od czasu do czasu podbiegać. Wreszcie, po jakiejś godzinie, gdy gompę dawno już zasłoniły wzgórza, zatrzymali się przy małym strumieniu.

–Kim jest ten Tuan? – rzucił nagle Lhandro szeptem, jakby miał to pytanie na języku, odkąd wyszli za bramę, lecz wciąż jeszcze się bał, żeby go nie podsłuchano. – Dlaczego oni... co oni zrobili biednemu Tenzinowi? On nigdy nikogo nie skrzywdził.

–To przez śmierć Chao – stwierdziła wolno Nyma. – Po tym morderstwie wszyscy zachowują się dziwnie. Uznali chyba, że

Tenzin może coś wiedzieć. Pomylili go z kimś. Głupcy. On przez cały czas był z nami, pracował nad mandalą.

Shan, który pił właśnie wodę ze strumienia, uniósł wzrok, nic jednak nie powiedział. Tenzin nie przez cały czas pracował przy mandali. I było jeszcze coś, o czym niemal zapomniał. Gdy Drake wszedł do kaplicy, na parę chwil przed swą śmiercią, najpierw spojrzał na Tenzina.

Westchnął i zauważył, że Nyma patrzy na Lokesha, który zdjęwszy płaszcz i podwinąwszy rękawy niemal po pachy, energicznie nacierał sobie ręce białym piaskiem z dna strumienia. Lhandro również zabrał się do mycia. Gdy Lokesh zaczął szorować twarz, Shan i Nyma także zrzucili okrycia. Żadne z nich nie potrafiło znaleźć słów na to, co się wydarzyło w tej dziwnej gompie, ale wszyscy czuli, że muszą się oczyścić. Nyma wzięła w dłoń nieco piasku, patrzyła nań przez chwilę, po czym spojrzała na Shana. Widzieli już taki piasek, uświęcony przez lamów, a potem zalany krwią.

Lokesh zapalił laseczkę kadzidła i usiadł.

–Nie mamy czasu – zaprotestowała Nyma, jednak po chwili wahania poszła w ślady Shana i Lhandra, którzy przysiedli na podwiniętych nogach i wpatrywali się w smużki wonnego dymu. Musieli się uspokoić, zebrać się w sobie, żeby stawić czoło przerażającym, niepojętym siłom, które mieli przeciwko sobie.

Gdy wypaliło się kadzidło, Lhandro wstał ze zdecydowaną miną i sięgnął do swego worka. Wyciągnął kawałek materiału, który służył mu za ręcznik, i rozłożywszy go na kamieniu, położył na nim czerwony plastikowy długopis w kształcie dorje.

–To coś sztucznego – oświadczył, podchodząc do Shana z materiałem rozpostartym w rękach.

Shan bez wahania dorzucił własny długopis. Żadne z nich nie chciało upominków z gompą, wiedział o tym, lecz słowa Lhandra

dotyczyły plastiku, z którego zrobiono dorje. Znał wielu Tybetańczyków, którzy reagowali w ten sposób na wszelkie przedmioty

wykonane z tworzyw sztucznych. To nie było drewno ani tkanina, ani kamień czy kość – żaden z darów natury – i w pewnym sensie nie ufali plastikowi, jakby to była jeszcze jedna ze sztuczek, jakimi oszukiwali ich Chińczycy. To nie są prawdziwe rzeczy, powiedział mu kiedyś pewien pasterz, poznać to choćby po dotyku. Shan znał dropkę, który gromadził w skórzanym worku wszelkie plastikowe przedmioty, jakie otrzymał lub znalazł przy drogach, i zostawiał je na kupce, ilekroć odwiedzał jakieś miasto. Nie był pewien, czym właściwie są, ale wiedział, że należą do świata w dole, jak dropkowie często określali miasta.

Godzinę później, gdy mieli właśnie przekroczyć grzbiet kolejnego wzniesienia, idący na czele Lhandro uniósł dłoń, żeby ich zatrzymać.

–To jeden z nich – powiedział zmęczonym głosem. – Będziemy musieli zaczekać.

Shan wspiął się za rongpą na grzbiet i ujrzał sunący wolno drogą wyładowany wóz ciągnięty przez krzepkiego czarnego jaka. Obok jaka kroczył krępy mężczyzna w mnisiej szacie, wymachując rękoma, jakby rozmawiał ze zwierzęciem, próbując przekonać je do swych racji.

–On idzie tak wolno – jęknęła Nyma, stając obok Shana. – Zmarnujemy pół dnia na czekanie.

–Ja nie obawiam się człowieka, który rozmawia ze swoim jakiem – oświadczył stojący za nimi Lokesh i ominąwszy ich, ruszył dalej ścieżką.

Po kwadransie byli już dość blisko, by stwierdzić, że ładunek wozu stanowi jacyś łajno, a parę chwil później zwierzę przystanęło, zwracając w ich stronę potężny łeb.

–Daleko chodzisz, żeby pozbyć się tego opatu – zauważył Shan, podchodząc do Gyala.

–Nikt nie powiedział, jak daleko mam go zabrać – odpowiedział mnich. Przyjrzał się Shanowi i jego przyjaciołom, a następnie zlustrował szlak, który przebyli.

Shan przedstawił swoich towarzyszy, a Lokesh podzielił się jedzeniem z gompą. Mnich zjadł dwie kluski momo, po czym dał jakowi jabłko.

–Dokąd zmierzasz? – zapytał Shan.

Mnich wzruszył ramionami i wskazał na niebo.

–To dobry dzień na góry – powiedział, czochrając jąka między uszami. – Mój Jampa da mi znać, kiedy będziemy na miejscu.

Jampa. Jedno z imion Majtrei, buddy przyszłości.

Shan przyglądał się przez chwilę, jak Gyalo długimi łykami pije wodę z butelki Lokesha, po czym przeszedł na drugą stronę wozu. Na szczycie sterty łąjna leżała stara drewniana łopata, której używał poprzedniego dnia. Odsunął ją i spostrzegł, że zakrywała wgłębienie, otwór w stercie.

–Nikt nas nie ściga – powiedział cicho.

–Co?! – zawołał Gyalo, nadstawiając ucha.

–Mówię do naszego przyjaciela – wyjaśnił Shan. W tej samej chwili Nyma cicho krzyknęła z zaskoczenia, gdyż nagle ze stosu wyschniętego łąjna wynurzyła się ręka. Shan ujął ją, żeby pomóc utrzymać równowagę prostującej się na wozie postaci.

–Tenzin! – wykrzyknął Lhandro, gdy wysoki mężczyzna wstał.

Uśmiechając się z zakłopotaniem do przyjaciół, niemowa zszedł z wozu.

–Gdzie ty...?! – wypaliła Nyma i podbiegła, by objąć niemego Tybetańczyka. – Jak mogłeś...?! Skąd wiedziałeś?! Dlaczego oni...?! – rzucała pytania jedno za drugim, odsuwając go na

odległość ramienia. Tenzin spojrział na Shana, jakby szukał u niego pomocy, aż wreszcie mniszka umilkła i zaśmiała się z siebie, zreflektowawszy się, że żąda wyjaśnień od niemowy. Zaczęła ocierać mu rękawem brud z twarzy.

– Spałem z Jampą pod księżycem – wyjaśnił Gyalo. – Pomyślałem sobie, że jeśli obudzę się w nocy, po prostu ruszę w drogę – ciągnął, znów głaszcząc kudłatego jaka. – Nie mamy nic przeciwko wędrowaniu nocą. Rozmawiamy o gwiazdach. Nad ranem, o drugiej, może o trzeciej, Jampa wsadził mi nos w ucho. Trzepnąłem go z początku, ale pchał coraz mocniej, więc usiadłem i jęknąłem z wrażenia, bo przy wozie stało to widmo. Obaj z Jampą wiedzieliśmy, że potrzebuje pomocy, chociaż nie odzywał się słowem. Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić.

Załadowaliśmy go... Tenzina, powiadasz? – zwrócił się do Nymy. – Załadowaliśmy Tenzina i wymknęliśmy się. Nie napotkaliśmy żywej duszy.

Godzinę później, kiedy minęliśmy pierwsze pasmo wzgórz, od strony szosy nadjechała jedna z tych wojskowych ciężarówek. – Spojrział na Shana z pytaniem w oczach.

Shan jeszcze przez chwilę przyglądał się Tenzinowi, po czym westchnął i odwrócił się w stronę gór na północy.

– Pójdziemy dalej w swoją stronę – powiedział do mnicha. – Dziękujemy, że pomogłeś naszemu przyjacielowi. – Przez chwilę wpatrywał się w wóz. – Na końcu równiny jest stara, zrujnowana gompa. Mieszka tam teraz pewna rodzina. Mają wiele pracy i mało czasu na szukanie opału. To mogłoby im starczyć na wiele tygodni.

– Rapjung – skinął głową Gyalo. – Znam to miejsce. Dawny Pierwszy Dom. – Obejrzał się za siebie na południe, jakby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje. – Norbu nie była za dawnych czasów tylko przystankiem dla podróżnych, była także

szpitalem, gdzie ludzie z dalekich stron przybywali po poradę uzdrowicieli, którzy schodzili z wyżej położonych równin i gór. Ale kiedy Rapjung została zniszczona, szpital zrównano z ziemią i wzniesiono nowe budynki – powiedział smutno, patrząc na Shana.

Shan przypomniał sobie stare fundamenty obok kaplicy.

–Przed czym uciekacie? – zapytał mnich powolnym, rozważnym głosem starego lamy, przyglądając się każdemu z nich po kolei.

–Nie wiemy – szepnęła z udręką Nyma.

–W górach żyją ptaki – powiedział niepewnie Lokesh – które nigdy nie widziały świata w dole. – Ze swoim krzywym uśmiechem na twarzy wskazał ręką wyniosłe szczyty. Mówił poważnym, znaczącym, niemal nagłym tonem. – W tym miesiącu lęgną im się pisklęta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ich młode także nigdy nie będą musiały wiedzieć o reszcie świata.

Jampa, jakby go rozumiał, obrócił potężny łeb w stronę gór. Zdawało się, że wypatruje ptaków. Gyalo, drapiąc kępę sierści między uszami zwierzęcia, przeniósł wzrok za jego spojrzeniem. Po chwili odwrócił się z zatroskanym uśmiechem.

–Idźcie z Buddą.

Po kolejnej godzinie marszu dotarli do skrzyżowania szlaków i Lhandro poprowadził ich stromo wznoszącą się ścieżką, świeżo ubitą kopytami owiec. Długa Równina Kwiatów zniknęła w tyle i przed nimi, od północy i wschodu, odsłoniły się nowe krajobrazy. Usiedli i zjedli zimne kluski na płaskim głazie, skąd roztaczał się widok na surowe, brązowo-szare połacie skał i żwiru poprzecinane wąskimi liniami krzewów znaczących bieg małych rzeczulek, które płynęły na wschód, w stronę majaczącej w oddali mozaiki maleńkich kwadracików, pól zielonych od kielkującego jęczmienia.

Lokesh zwrócił ich uwagę na wąski, wysoki wodospad dobrze widoczny na tle stromego lica skały przeszło trzy kilometry od nich. Kreślił palcem bieg rzeczki, w którą przeistaczał się wodospad, kłębiącej się w wąskim wąwozie, gdy nagle Lhandro wydał stłumiony okrzyk.

–Niech Tara ma nas w opiece! – jęknął, wskazując jakiś punkt w dole rzeczki, w miejscu, gdzie wypływała z wąwozu.

–

Bóstwa gniewają się nie na żarty! – Z pobladłą twarzą zacisnął dłoń na gau.

Gdy Shan spojrział w tę stronę, Lokesh, a potem Nyma, jęknęli ze zgrozą. Rzeka była czerwona. Nie cała, ale długi jej odcinek, na całej szerokości. Shan szybko obliczył, że ma sześćdziesiąt-siedemdziesiąt metrów długości.

Nyma odwróciła się do Shana ze strachem w oczach.

–Co to jest?

Ale Shan nie wiedział.

–W morzach – odparł bez przekonania – są pewne wodorosty, które sprawiają, że woda od czasu do czasu czerwienieje.

Lokesh i Lhandro pokiwali głowami, nie dlatego, jak wiedział Shan, że sądzili, aby to mogły być wodorosty, ale że sugerowało to możliwość naturalnego wyjaśnienia tego zjawiska.

Przyglądali się czerwonej wodzie w milczeniu, dopóki nie zniknęła za zakrętem rzeki.

Lokesh znów uniósł palec i zakreślił nim bieg rzeki od wodospadu do miejsca, w którym zniknęła im z oczu. Z twarzą bez wyrazu odwrócił się i ruszył za Lhandrem, który zdjęty zgrozą zerwał się do biegu. Rongpa, wiedział Shan, widział w szkarłatnej wodzie zapowiedź nadchodzących nieszczęść.

Gdy Lokesh odszedł, Nyma przystanęła obok Shana, patrząc

na rzekę z grymasem bólu.

–Góry krwawią – powiedziała, odwróciła się i ruszyła za Lokeshem.

Shan zrobił krok w stronę ścieżki i ujrzał Tenzina, klęczącego na skraju półki skalnej. Tybetańczyk ułożył mały kopiec z kamieni, a teraz wylewał wodę na odrobinę ziemi w zagłębieniu skały. Rozbełtał kałużę i zaczął coś mazać błotem na ścianie obok kopca. *OM AMTRA KUNDALI HANA HANA HUM PHAT*, napisał. Była to jedna z groźnych mantr, potężna i oczyszczająca.

Tenzin wpatrywał się przez chwilę w te słowa, po czym odwrócił wzrok ku niskim wzgórzom na wschodzie. Zachowywał się tak, jakby był sam.

–To była pomyłka – odezwał się cicho Shan. – Nie powinniśmy byli iść do tej gompy. – Przyszło mu do głowy, że być może Khodrak i krzykacze wiedzieli o Tenzinie więcej niż on. Nie spodziewał się, że milczący Tybetańczyk zareaguje jakoś na jego słowa, ale nagle Tenzin wciągnął powietrze w płuca i odezwał się.

–Jeśli dusza się dusi – rzekł głębokim, melodyjnym głosem, nie odrywając wzroku od odległych gór – i powraca do życia ostatnią resztką tchu, nigdy już nie będzie taka jak kiedyś. – Wypowiedział to zdanie tak szybko, że Shan pomyślał, iż mu się tylko zdawało, że je usłyszał. Tybetańczyk odwrócił się i spojrzał mu uważnie w oczy. – Twój lama, Gendun, powiedział, że czasem można odrodzić się w tym samym ciele, w tym samym życiu. Powiedział, że ty wiesz coś na ten temat.

Shan przyglądał mu się z niedowierzaniem. Tenzinowi odrósł język.

–To nie mnie szukają. Im się tylko zdaje, że to ja – dodał Tybetańczyk. W jego głosie pobrzmiwała udreka.

Shan wpatrywał się w znękaną twarz Tenzina, próbując wydobyć sens z jego dziwnych słów.

–O co chodzi? – zapytał. – Dlaczego cię szukają? Zabiłeś kogoś?

Ale Tenzin ponownie wycofał się w milczenie. Wpatrywał się w krwawiącą rzekę.

–Kiedyś robiłem rzeczy, za które się nienawidzę – powiedział po długiej chwili – potem robiłem rzeczy, za które oni mnie nienawidzą.

–W Lhasie? – zapytał Shan. – Byłeś w Lhasie?

–Ten zaginiony opat... Ja tam byłem.

–Opat Sangchi? Widziałeś go, kiedy uciekłeś z obozu? Drake był z nim?

Ale Tenzin z zakłopotaną miną dotknął czubkami palców warg, jakby właśnie uświadomił sobie, że mówił, i nie odpowiedział.

Nagle Shan znów przypomniał sobie tamtą okropną noc i dobiegające z chaty głosy czuwających przy zmarłym.

–To ty byłeś z Gendunem i Draktem – powiedział. – Słyszałem cię. To ty śpiewałeś z Gendunem. – To nie był chrapliwy głos człowieka z uszkodzoną krtanią.

Tenzin jedynie westchnął w odpowiedzi i na jego twarzy osiadł głęboki smutek.

Było już późne popołudnie, kiedy ujrzeli przed sobą pierwsze owce. Pasy się w oddali na skąpej trawie rosnącej pod osłoną głazów, na grzbietach miały nieodłączne barwne juki. Dobiegł ich wysoki, śpiewny dźwięk, na który Lhandro zatrzymał się, ostrzegawczo unosząc dłoń. Po chwili rongpa odprężył się i ruszył zakręcającym szlakiem, po czym znów przystanął. Uśmiechnął się. Pięćdziesiąt metrów dalej pod osłoną potężnej płyty skalnej, która odpadła od wznoszącego się wyżej urwiska,

płonęło małe ognisko. Stało przy nim trzech wieśniaków z Yapchi. Bliżej, plecami do ścieżki, siedziała Anya, śpiewając dla kilku owiec. Zwierzęta zdawały się słuchać dziewczyny z napiętą uwagą, jakby zaraz miały zaśpiewać razem z nią.

–Ona z nimi rozmawia – szepnęła nabożnie Nyma.

Stali w milczeniu, zasłucham, nie śmiejąc poruszyć nawet palcem, być może, pomyślał Shan, spętani tym samym zaklęciem co owce. Potem jeden z wieśniaków spostrzegł ich i zawołał głośno. Anya odwróciła się i czar prysnął.

Wieśniacy zasypali ich gradem pytań. Shan i Lokesh pozostawili Lhandrowi i Nymie udzielanie odpowiedzi. Tak, Padme doszedł do siebie i był już na nogach, kiedy odchodzili.

Tak, mieszkał w odbudowanej gompie, w dawnym Drugim Domu. Tak, mnisi dali im błogosławieństwo. Tak, byli tam nawet nowicjusze, jak za dawnych czasów. Wieśniacy z zadowoleniem przyjęli nowiny i choć Lhandro zerkał na Shana i Nymę, szukając pomocy, nikt nie powiedział już ani słowa o tym, co się zdarzyło w Norbu. Naczelnik kucnął przy stercie kocy, na której ktoś położył oznaczoną czerwonym kółkiem sakwę z kamiennym okiem, i w milczeniu pogładził materiał, jakby kamień potrzebował pocieszenia.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy nagle jeden z psów zaczął szczekać. Dwaj mężczyźni z Yapchi rzucili się ku skałom nad ścieżką. Lhandro wskoczył na głaz, z którego mógł widzieć cały stok wzgórza, i chwilę później skinął na Shana, żeby do niego dołączył.

Ścieżką wspinał się człowiek z jakiem. Miał na sobie mnisią szatę.

–Powinieneś wrócić na noc do Norbu – odezwał się niepewnie Shan, gdy Gyalo podszedł ze zwierzęciem do ogniska.

–To dziwna gompa – rzekł mnich nieobecny głosem. – Komitet twierdzi, że może tam być tylko trzydziestu pięciu mnichów, chociaż jest miejsce dla trzy razy tylu. Prezes przerwał wykłady na temat lamów uzdrowicieli z Rapjung i musimy teraz słuchać o integracji myśli socjalistycznej z naukami Buddy. – Mówiąc, drapał czarnego jaka po szerokim grzbiecie. – Każe się nam podpisywać zobowiązanie, że nie będziemy krytykować państwa i uznajemy władzę Urzędu do spraw Wyznań nad wszystkim, co robimy. Kto nie podpisze, nie ma już prawa być mnichem, powiedzieli nam – ciągnął, kręcąc głową. – Niektórzy mówią, że i tak mamy szczęście, bo w innych gompach mnisi musieli podpisać oświadczenia, że wypierają się dalajlamy, a ci, którzy tego nie zrobili, zostali uwięzieni.

–Musisz wracać do gompy – odezwał się zatroskany Lhandro. – Po tym, co przytrafiło się Padmemu, na pewno wyślą ludzi na poszukiwania.

–Przez ostatni miesiąc spałem tylko co drugą noc. W pozostałe noce siedziałem na dworze przy tym stosie łąjna – odparł Gyalo, zerkając na Shana – i odmawiałem różaniec. – Znaczyło to, jak uświadomił sobie Shan, że Gyalo przechodził kryzys duchowy.

Że próbował podjąć ważną decyzję. – Kiedy opuszczałem dom, by zamieszkać w Norbu, wuj radził mi zwrócić uwagę na lamów, którzy kierują gompą, gdyż starzy lamo-wie miewają naturę buddy. Ale tam takich nie było. Tam byli tylko członkowie komitetu. Dostawali pensję od państwa – oświadczył Gyalo, marszcząc czoło. – A mnie i Jampie wydaje się, że nie można być lamą, jeśli otrzymuje się pieniądze z Pekinu. Najbliższy buddy w tej gompie był on – powiedział, ujmując w obie dłonie łeb jaka. Mnich i zwierzę wymienili głębokie spojrzenia. Pozostali przyglądali się temu w zupełnym milczeniu. Jak powiódł

wzrokiem po ich twarzach i odetchnął ciężko, jakby wzdychał.

Wieśniacy z Yapchi poszeptali między sobą i kilku z powagą pokiwało głowami. Być może słyszeli o oświeconych jakach.

–Jampa też był w tamtym miejscu – powiedział Gyalo, jakby nazwa Norbu nie chciała już mu przejść przez usta. – Komitet miał zamiar się go pozbyć, gdy tylko wywieziemy całą tę górę łajna. Przez wszystkie minione miesiące zastanawiał się nad odejściem. Teraz – dodał z nieśmiałym uśmiechem – łajno zostało, ale nas już tam nie ma.

–Znajdziemy ci ubranie – powiedział Lhandro, schylając się nad jukami jednego z koni.

–Nie – odparł szybko Gyalo i powtórzył wolniej, rozważnym głosem: – Nie. Jestem mnichem. Jestem po prostu mnichem między nauczycielami. – Podobnie jak wszyscy obecni, wiedział, co go czeka. Będzie nie zarejestrowanym, nielegalnym mnichem. Jeśli znajdą go pałkarze, nie będzie miał nic na swoją obronę, a oni nie okażą mu żadnej pobłażliwości. Zostanie wysłany do lao gai na długie lata. A po zwolnieniu nigdy już nie przyjmie go żadna gompa.

Nyma demonstracyjnie uniosła różaniec.

–Trzeba odmówić mantry – oświadczyła, na co Gyalo radośnie skinął głową. Lokesh, z różańcem w dłoni, dołączył do nich. Dwóch wieśniaków poszło w jego ślady.

Mnich ruszył za Nymą ku wielkiej skalnej płycie osłaniającej ognisko. Przystanął pod nią i powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych członków karawany.

–Jestem Gyalo – powiedział. – To Jampa. A ona ma na imię Chemi – dodał, wskazując na ścieżkę. – Chciała przez chwilę posiedzieć i poprzyglądać się chmurom.

Shan uniósł wzrok i spostrzegł wynurzającą się z cienia kobietę. U jej boku biegł, merdając ogonem, jeden z ich

mastiffów.

–Spotkałem ją w tej zrujnowanej gompie. Pomagała im przeszukiwać zgliszcza – wyjaśnił Gyalo. – Ale powiedziała, że także wybiera się na północ, do domu.

Zbliżywszy się do ogniska, kobieta uśmiechnęła się nieśmiało, a Nyma podała jej czarkę herbaty. Chemi oparła się plecami o głaz i wyjaśniła Lhandrowi, że wraca do rodziny, na wzgórze nad doliną Yapchi. Nyma i Lhandro powitali ją ciepło. Powiedzieli Shanowi, że znają jej krewnych, którzy mieszkają w liczącej pięć niewielkich domów osadzie zaledwie sześć kilometrów od ich wioski. Lokesh usiadł przy niej i zaczął z nią cicho rozmawiać, jakby ją znał, a potem nagle powiał wiatr i kobieta nałożyła trzymany w dłoni kapelusz.

Shan nie mógł uwierzyć własnym oczom. To był jego kapelusz, kiedyś. A tę kobietę Dremu znalazł na szlaku, chorą i tak osłabioną, że nie mogła stać. Uklęknął obok Lokesha.

–To sprawiło tonde – powiedział. – Myślę, że miało moc. –

Przypomniał sobie skamieniałość, którą podarował jej Lokesh,

oraz to, z jakim zakłopotaniem spojrzała na niego, kiedy położył jej kamień na dłoni. Na twarzy kobiety wciąż jeszcze dostrzegał oznaki słabości, ale powróciły jej już rumieńce, a jej oczy patrzyły jasno.

–Co się stało? – zapytał ją. – Kto przyszedł tamtego dnia? Kobieta uśmiechnęła się lekko.

–Już mi lepiej – odparła, sięgając do mali zawieszanej przy pasku z włosia jaka. Rozpoczęła mantrę, najwyraźniej żeby uniknąć pytań Shana.

Popatrzył na nią, potem na Lokesha. Tamtego dnia na szlaku czekała na kogoś. Była sama i chora, ale tak pewna, że ten ktoś przybędzie, że odrzuciła ich pomoc. I przyszedł do niej na

górskie odludzie, żeby ją uzdrowić, a Shan i Lokesh dwa dni później widzieli w górach uzdrowiciela lub jego ducha.

O zmierzchu zjedli posiłek. Lokesh i Shan usiedli z Lhandrem pod osłoną skały i ze świeczką studiowali wyświechtaną mapę rongpy. Następnego dnia będą już w wysokich górach, a dzień potem dotrą do Yapchi. Shan wpatrywał się w mapę jak w transie, myśląc z roztargnieniem, że mogłaby mu powiedzieć, gdzie jest dom bóstwa, gdyby tylko wiedział, jak ją odczytać.

Chemi nakryła się grubym filcowym kocem i usnęła przy ognisku. Lokesh i Gyalo siedzieli, patrząc na księżyc. Tenzin usadowił się na płaskiej skale w pobliżu, czarna sylwetka na tle nocnego nieba, bezgłośnie odmawiając różaniec, jakby znowu stracił język. Gdy wiatr przycichał, Lokesh i Shan zerkali czasem na niemego Tybetańczyka i wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Przyzwyczaili się do takich scen w obozie, gdzie mnisi uczyli się odmawiać różaniec, leżąc na pryczach, bez naruszania obowiązującego nocą bezwzględnie zakazu mówienia. Po latach życia w obozowym baraku Shan zaczął rozróżniać wydawany przy tym przez mnichów dźwięk. Z początku sądził, że jest to po prostu odgłos stykających się warg, potem jednak rozpoznał w nim coś więcej: dziwny, cichy, nieprzerwanie wznoszący się i opadający jęk, jakby jego uszy dostroiły się do odmiennego zakresu dźwięków, w którym mnisi przemawiali do swych bóstw.

Nagle zaszczekał pies. Lhandro zerwał się natychmiast, chwytając za ciężki kij.

–Ktoś idzie z góry – ostrzegł, gestami ponaglając Shana, żeby skrył się między skałami.

–To wy, Yapchi?! – zawołał ktoś z ciemności spiętym głosem.

Lhandro dorzucił opału do ognia i podszedł do ścieżki, gdy z mroku wyłoniły się dwa konie. Jeźdźców było dwóch, ale obaj

siedzieli na pierwszym wierzchołku.

–To Golok – mruknął Lhandro. – Co zrobisz z naszym koniem?! – krzyknął do nadjeżdżającego.

–Z koniem wszystko w porządku – odparł wyraźnie znużony Dremu. – Problem z Amerykaninem.

Shan podbiegł do niego, żeby mu pomóc opuścić na ziemię Winslowa. Bezwładny Amerykanin potrzebował podparcia, więc Golok wiozł go przed sobą, w siodle.

–To coś z głową – wyjaśnił Dremu. – Wiedziałem, że trzeba go zabrać na dół, i to szybko. Kazał wspinać się coraz wyżej.

Zdawało mu się, że widzi kogoś w górze. Ale to było dla niego za wysoko. On jest z Ameryki.

Dremu miał na myśli, że Winslowa dosięgła choroba wysokościowa. Gdy ułożyli chorego na kocu przy ognisku, Golok wyjaśnił, że późnym popołudniem Amerykanin zauważył coś, błysk światła, jakby refleks słońca na metalu, być może elemencie jakiegoś urządzenia, ale kiedy stanęli na półce skalnej, żeby przyjrzeć się temu przez lornetkę, zaczął zataczać się jak pijany i niewiele brakowało, a zleciałby w przepaść.

Był to problem powszechnie nękający ludzi przyjeżdżających do Tybetu, uderzający bez uprzedzenia nawet doświadczonych wspinaczy. Winslow sam opowiadał Shanowi o amerykańskich turystach, którzy co roku tracili życie z tego powodu. Choroba mogła przejawiać się jako zator albo obrzęk płuc lub mózgu. Zazwyczaj jedynym środkiem zaradczym było natychmiastowe i znaczne zejście w dół.

Winslow zamrugał i otworzył oczy.

–Tabletki. Mam tabletki – wydyszał z trudem. – Zostawiłem je w jukach.

Shan szybko odszukał wśród pakunków plecak Amerykanina i znalazł w nim małą szklaną buteleczkę z napisem *Diamox*.

Podał mu dwie białe tabletki z odrobiną herbaty. Po paru minutach Winslow otworzył oczy i uniósł dłoń, z kciukiem i palcem wskazującym tworzącym kółko, amerykański gest znaczący „wszystko w porządku”.

Shan i Lokesh usiedli przy nim, gdy pił herbatę wielkimi haustami.

–Przepraszam – powiedział Winslow. – To się zdarza. Właściwie to nic takiego. Tyle tylko, że kiedy mnie dopadło, stałem na skraju stupięcdziesięciometrowego urwiska. Ten facet –

oświadczył, wskazując Dremu – uratował mi życie.

Jego słowa wyraźnie wprawiły w zakłopotanie Lhandra, który dotąd nie wyzbył się do końca nieufności wobec Goloka. Po chwili wahania rongpa wstał, napełnił herbatą jedną z czarek i podał ją Dremu. Golok powoli, z niepewną miną wyciągnął dłoń i przyjął czarkę.

Jakby dla podkreślenia swoich słów, Winslow sięgnął po plecak i ceremonialnie wydobył z niego swoją małą metalową kuchenkę. Przywołał Dremu i wręczył mu urządzenie.

–Mam tylko jeden zapasowy zbiornik paliwa – powiedział przepraszająco, podając Golokowi małą niebieską puszkę, którą Shan widział w plecaku.

Dremu wpatrywał się w kuchenkę szeroko otwartymi oczyma, to uśmiechając się, to spoglądając z powagą na Amerykanina.

–Uratowałeś mi życie – powtórzył Winslow raz jeszcze, głośno, jakby chciał mieć pewność, że wszyscy w obozie to słyszą. – Patrzyłem w dół urwiska i nagle wszystko zaczęło wirować.

Następne co pamiętam, to że wiszę nad przepaścią, a Dremu trzyma mnie za pasek i ciągnie niczym jak. Uratował mnie, bez dwóch zdań.

Niespodziewanie obozowisko ogarnął błogi nastrój.

Amerykanin uniknął bliskiej śmierci. Chemi, nowa przyjaciółka, została uleczona i wracała do domu. Dzielny mnich Gyalo postanowił spędzić z nimi pierwszą noc swego nowego życia. Shan, Lokesh, Winslow, Lhandro i Gyalo siedzieli opatuleni w koce, znów obserwując księżyc. Co jakiś czas obwieszczali okrzykiem spadającą gwiazdę.

Nagle w ciemnościach rozległ się cichy, przeszywający jęk. Winslow wyjął z kieszeni elektryczną latarkę. Lhandro złapał swój kij. Lokesh sięgnął po małą.

Shan rzucił się w stronę, z której dobiegał dźwięk. Wydawała go Nyma. Pochylona nad Anyą, płaczącym tonem gorączkowo wyrzucała z siebie sylaby mantry.

–Mówiła mi, że całe popołudnie czuła się dziwnie. Mówiła, że raz musiała się zatrzymać na szlaku, takie miała drgawki, ale potem jej przeszło. Powiedziała, że teraz czuje się dobrze, że czasami to nic nie znaczy, że być może on wcale się nie budzi, że niekiedy tak właśnie to wygląda i nic się nie dzieje, jakby tylko rzucał się we śnie.

Dreszcz przebiegł Shanowi po plecach. Nyma miała na myśli wyrocznię, bóstwo, które przemawiało przez młodą dziewczynę.

–Ale spójrzcie na nią... – Anyą wstrząsały drgawki, rzucała nogami i jedną ręką, bo drugą zacisnęła na dłoni Nymy. Po ręce mniszki spływała strużka krwi. Paznokcie dziewczyny wbiły się w jej ciało.

–Chryste! – krzyknął Winslow, spoglądając bezradnie na Shana. – Ona musi mieć padaczkę. To atak. *Grand mal*, tak to nazywają. Włóżcie jej coś do ust – jęknął – inaczej przygryzie sobie język.

–W żadnym razie – oświadczył z powagą Lhandro, unosząc ramię, jakby chciał zagrozić Amerykaninowi drogę do dziewczyny. – Nie wolno nam jej pętać języka.

Shan odciągnął Winslowa nabok, próbując mu wyjaśnić, co zdaniem Tybetańczyków się dzieje.

–Wyrocznia! – wykrzyknął gniewnie Winslow. – Do diabła, przecież to dziecko! Nie wierzycie chyba... – Słowa zamarły mu w gardle, gdy spojrzał na wieśniaków z Yapchi, których szóstka już, z powagą i obawą na twarzach, siedziała dokoła dziewczyny. Mimo że czuli do niej sympatię, nie próbowali jej pomóc, tylko czekali. Lhandro popędził do juków i wrócił z papierem i ołówkiem.

–Chryste wszechmogący – szepnął zirytowany Winslow. Przyglądał się niepewnie Tybetańczykom, którzy gromadzili się wokół dziewczyny, niosąc lampki maślane. – Jezu, Shan, nie wierzysz chyba... – Urwał w pół zdania i podszedł do wstrząsanej drgawkami dziewczyny, jakby mimo wszystko mógł coś zrobić, by uchronić ją przed urazem.

Shan sam nie wiedział, w co wierzyć. On i Amerykanin mogli tylko śledzić rozwój wydarzeń. Gyalo usiadł przy głowie dziewczyny.

–Moja babka też była nawiedzana – oświadczył cichym głosem. – Powinniśmy stworzyć miłą atmosferę – dodał i cicho zaintonował mantrę. Pozostali natychmiast podjęli zaśpiew. Shan zreflektował się, że zaciska dłoń na swym gau.

–W moich górach – odezwała się nagle Anya – w moim sercu, w mojej krwi. – Był to głos Anyi, powiedział sobie Shan, choć Anyi znużonej, rozkojarzonej. Mógł to być jakiś sen. Być może dziewczyna, wyczerpana podróżą, usnęła i przez sen śpiewała jedną ze swych niesamowitych pieśni.

Przestała dygotać i jej ciało zeszywniało, a po chwili, gdy ponownie przemówiła, zupełnie znieruchomiało.

–Głębokie jest oko, błękitne jest oko, nagowie będą strzec go wiernie.

Shanowi dreszcz przebiegł po plecach. Winslow jęknął cicho i cofnął się. To nie był głos Anyi. Był to chrapliwy, suchy głos starego człowieka. Brzmiał tak, jakby dobiegał ze studni. Coś poruszyło się obok Shana. Lhandro pracowicie notował słowa wyroczni. Jej głos niósł się echem po umyśle Shana. Oko, powiedziała wyrocznia. Ale oko nie było błękitne.

–Zwiąż ich, zwiąż ich, zwiąż ich, obmyj je, aby ich związać! – chrypiała Anya obcym głosem. – Tylu już umarło. Tylu jeszcze umrze – ciągnęła żałobnym tonem. Nad obozowiskiem zawisła mroźna cisza i Lhandro, z twarzą bladą jak płótno, uniósł oczy znad notatek.

–Kto będzie śpiewał, gdy zabraknie ptaka? – zapytał ów ktoś przemawiający ustami Anyi i nie odezwał się więcej. Ciało dziewczyny zwiotczało.

Czekali w milczeniu, bez ruchu, sparaliżowani tym, co usłyszeli. Nyma wpatrywała się w oczy Anyi, jakby jej w nich szukała. Lokesh wciąż powoli kiwał głową. Klęcząca mniszka zaczęła się kołysać w przód i w tył. Gyalo obmył twarz dziewczyny wodą z miseczki. Nikt się nie odzywał. Lokesh znów zaintonował mantrę. Lhandro wpatrywał się w słowa, które zapisał, po czym podał kartkę Shanowi, jakby sądził, że on może wiedzieć, jak je rozumieć. Shan spoglądał niepewnie na pospiesznie skreślone bazgroły, nie mogąc ich odczytać. Ale wiedział, że Lhandro nie zanotował ostatnich słów. „Kto będzie śpiewał, gdy zabraknie ptaka?” pytała wyrocznia.

Siedzieli tak niemal przez godzinę, dopóki Anya nie oprzytomniała. Potarła oczy, jakby się budziła z głębokiego snu, i nagle wskazała coś w górze. Niebo przeciął świetlisty meteor, tak blisko, że słyszeli jego świst.

–Czy bóstwo Yapchi, to, którego oko wieziecie, i ta wyrocznia – odezwał się ledwo słyszalnie Winslow, ciągle wstrząśnięty tym,

co zobaczył – są tym samym? To znaczy wiem, że tak naprawdę nie... – Umilkł. W dolinie nie ma żadnego bóstwa, miał już powiedzieć, tak samo jak wcześniej chciał wszystkich przekonywać, że nie ma żadnej wyroczni.

– Nie wiem – odparł niepewnie Shan. – Nie wydaje mi się.

Zdawało się, że żaden z nich nie potrafi ująć swoich uczuć w słowa. Głównie dlatego, jak przypuszczał Shan, że mieli zamęt w myślach.

Dużo później Shan pożyczył od Amerykanina latarkę i z woreczkiem ozdobionym czerwonym kółkiem poszedł między owce. Usiadł na płaskiej skale i w świetle księżyca rozciął nitki, by wyjąć kamienne oko. Oglądał je po raz pierwszy od dnia, w którym zaszyto je w woreczku z solą, nim opuścili Lamtso. Siedział, trzymając oko przed sobą, i wpatrywał się w niewyraźny rysunek na kamieniu, sam nie wiedząc dlaczego. Mogłoby przynajmniej pomóc mu się skupić, mogłoby pomóc mu osiągnąć ten stan świadomości, o którym mówił mu Gendun.

Za jego plecami zachrząścił luźny kamyk. Odwrócił się, a w tej samej chwili jakiś ciemny kształt rzucił się ku niemu i coś twardego uderzyło go w czaszkę. Upadł na twarz i stracił przytomność, szybko, lecz mimo wszystko dość wolno, by zanim ogarnęła go ciemność, słabo, jakby doświadczał tego ledwie częścią siebie, poczuć jeszcze, że ktoś kopie go w żebra.

Rozdział dziesiąty

Oko Yapchi zniknęło. Poprzez mgłę bólu Shan spojrzął spod przymrużonych powiek na plamę księżycowego światła, w której je położył, i wyciągnął ku niej rękę. Macał dookoła, ale na próżno. Nie zważając na ukłucie bólu w żebrach, podniósł się na łokciu i wpatrzył w otaczające go ciemności. Coś poruszyło się w oddali. Poderwał się na nogi, zrobił krok... ale świat zawirował i Shan opadł na kolana, po czym runął na twarz. Znow ogarnęła go

ciemność.

Obudził się przy ognisku, na kocu obok Anyi. Dziewczyna, oparta o skałę, uśmiechnęła się słabo. U jego drugiego boku klęczał Lokesh, który delikatnie ocierał mu czoło zakrwawioną szmatką.

–Oko przepadło – jęknął żałośnie Shan. – Straciłem je.

–Szukają go – odparł cicho Lokesh. – Nasi przyjaciele je znajdą. – Uniósł dłoń Shana i ścisnąwszy ją mocno, trzymał przez chwilę w swojej.

Gdy Shan spróbował usiąść, krew zahuczała mu w uszach. Zamrugął i zamknął oczy, czując powracające zawroty głowy. Niejasno zdawał sobie sprawę, że zbliżają się jacyś ludzie, i słyszał pospiesznie szeptane słowa. Gdzieś z oddali dobiegł go tętent kopyt i głos kogoś, kto nawoływał psy. Jego umysł na chwilę odpłynął w sen, który nie był snem, i nagle Shan ocknął się, zupełnie przytomny.

Minęły godziny. Księżyc już zachodził. Było około trzeciej nad ranem. Wieśniacy zużyli cały zapas jaczego łajna, by otoczyć obozowisko kręgiem ognisk. Jakiś jeździec zsiadał z konia. Lhandro był przy owcach, sprawdzał ich juki. Jedno ze zwierząt, bez ładunku, siedziało obok Anyi. Był to brązowy baran, który niósł sakwę z czerwonym kółkiem. Dziewczyna głaskała go po łbie, jakby chciała go pocieszyć, jakby on także dzielił ich ból.

Lokesh przyniósł czarkę herbaty i nareszcie Shan zdołał usiąść na kocu. Stary Tybetańczyk ponuro pokręcił głową.

–Ani śladu – powiedział Lhandro parę minut później, podchodząc do Shana. – Oko przepadło. Nie ma nawet worka, w którym było. Wystawiliśmy wartownika, ale na ścieżce, żeby wypatrywał, czy ktoś nie idzie za nami. Złodziej nie przyszedł ścieżką. Przeszukaliśmy wszystkie okoliczne wzgórza. Księżyc świecił tak jasno, że dobrze je widzieliśmy przez lornetkę. Nic –

zakończył znużony. – Ta istota pali świątynie i próbuje zabijać mnichów – dodał, jakby się tłumaczył ze swej rozpacz. Jego twarz sprawiała wrażenie postarzałej o wiele lat. Oko zniknęło. Zawiódł swoich ludzi. Spojrzał w górę zbocza i pobiegł w tę stronę, znikając w ciemnościach.

–To moja wina – powiedział Shan. – Wyniosłem je z obozowiska. – Czyżby to była sprawka dobdoba? Próbował sobie przypomnieć, ale pamiętał jedynie ciemność i ból. Dotknął guza na czaszce. Uderzono go czymś twardym. Mógł to być sękaty koniec kija dobdoba.

–Nie! – sprzeciwiła się Nyma. – Prawdopodobnie uratowałeś nas przed czymś gorszym. Gdybyś nie odszedł z okiem na bok, ten złodziej po prostu rzuciłby się na nas wszystkich.

W ciągu następnych dwóch godzin poszukiwacze wracali jeden po drugim do obozu. Ostatni nadjechał konno od strony ciągnącego się wyżej szlaku. Niektórzy kręcili głowami, inni tylko wzruszali ramionami. Jedynie Dremu, ostatni jeździec, coś zaobserwował. Dzika koza przebiegła obok niego przez ścieżkę, jakby spłoszyło ją coś w górze.

–Wojsko – westchnął Winslow. – Jeżeli to było wojsko... - zaczął.

–Wojsko? – prychnęła Nyma. – Gdyby to było wojsko, gdyby to był ten pułkownik Lin, nie skradaliby się tak, ale po prostu zwaliliby się na nas jak burza i zabraliby wszystkich w kajdankach, jak chcieli zrobić tamtego dnia.

Niektórzy z wieśniaków przytaknęli jej, pomrukując. Ale Winslow i Shan wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jeśli pułkownik wiedział, że jest z nimi Amerykanin, może wolał działać

po cichu i wysłał ich tropem tylko jednego ze swych ludzi.

–Jeżeli oko zabrali żołnierze, to jest już dla nas stracone,

nieosiągalne – oświadczył Shan. – Ale jeśli zrobił to ktoś inny – ciągnął, spoglądając wyczekująco na Lhandra – być może wciąż jeszcze mamy szansę je odzyskać.

Rongpa pokręcił głową, widać było jednak, że się zastanawia. Po chwili zerknął na Shana z zainteresowaniem.

–Jakie mogłyby być inne powody, żeby je kraść? – zapytał Gyalo, wychodząc z cienia. – Nyma powiedziała mi, o co chodzi – szepnął do Shana, po czym zwrócił się do pozostałych. – Shan mówi, że musimy wiedzieć, po co je skradziono.

–Żeby je zniszczyć – podsunęła Nyma – i w ten sposób uniemożliwić ratowanie doliny. Albo żeby je ukryć.

–To by znaczyło, że mogli to zrobić ci, którzy chcą wykorzystać waszą dolinę – zauważył Gyalo.

Lhandro skinął głową.

–Ekipy poszukujące ropy. Geologowie pracujący dla spółki naftowej.

–A jeśli nie po to, żeby je zniszczyć lub ukryć? – drażył Shan. – Być może złodziej także chce, żeby wróciło do Yapchi, tyle że w inny sposób.

–Kraść, żeby je zwrócić? – zapytała Nyma, marszcząc brwi. – Ktoś inny... ktoś, kto nie wierzy, że zdołamy dotrzeć do Yapchi. Może ktoś, kto nie zrozumiał wyroczni – dodała, zerkając na Shana. – Albo po prostu ktoś, kto pomyślał, że może w jakiś sposób zdobyć zasługę.

–Tę kozę, która zbiegała ze zbocza, mógł wystraszyć ktoś, kto wspinał się na stok. Ktoś, kto uciekał z okiem na drugą stronę gór – zauważył Winslow.

–Żołnierze nie uciekaliby z nim na drugą stronę gór – odparł cicho Lhandro. – Zabraliby je z powrotem do Lhasy.

–Jeśli to nie wojsko zabrało oko – odezwał się Shan – to musimy dotrzeć do doliny, i to jak najprędzej. Ktoś próbujący

zwrócić je bóstwu powinien rzucać się w oczy. Może znajdziemy złodzieja, nim zrobią to żołnierze. – Wiedział, że widoki na to są nikłe. Ale była to ich jedyna szansa.

–Wyrocznia – wtrąciła Nyma z nutą nadziei w głosie, spoglądając na Shana. – Wyrocznia nie powiedziała, jak oko dostanie się do doliny, tylko w jaki sposób wróci na swoje miejsce.

–Jest sekretny szlak przez górę Yapchi – dobiegł ich z cienia obcy kobiecy głos. Odwrócili się w stronę, z której doszedł. Obok potężnego jaka stała tam Chemi. – Ścieżka tuż pod szczytem, miejscami bardzo wąska, bardzo niebezpieczna. Szłam nią kiedyś, gdy byłam jeszcze mała. Widziałam tam stare kozy. To nie droga dla koni, nie dla owiec z jukami. Karawana będzie musiała okrążyć górę u podnóża. Ale część z nas mogłaby ruszyć tamtędy, pieszo, i zejść w dolinę już jutro przed zmrokiem, gdybyśmy wyruszyli o świcie. – Rozejrzała się po twarzach wieśniaków. – Wiem o tym oku – dodała, patrząc na Shana. – Ojciec mojego dziadka pochodził z Yapchi. Był na pielgrzymce, kiedy przyszli żołnierze z tej dywizji. Nigdy już tam nie wrócił.

–Ja pójdę – odezwał się szybko Winslow. Widząc zaniepokojone spojrzenie Shana, wzruszył ramionami i wskazał na swój plecak. – Wezmę tabletki. Ona może być tam, na górze.

Shan spostrzegł jakiś ruch obok siebie. To Lokesh uklęknął, żeby dociągnąć sznurowadła swoich sfatygowanych butów. Shan położył mu dłoń na ramieniu, starzec udał jednak, że tego nie zauważył.

–Stare kozy – powiedział. – Słyszałeś ją. To droga dla starych kóz.

Wieśniacy z Yapchi wybuchnęli śmiechem.

–A więc idziemy we czworo – oświadczył Shan. – O świcie.

Lhandro omiół wzrokiem karawanę.

–Powinien pójść też ktoś z wioski. Shan może potrzebować pomocy, żeby się zorientować w dolinie, zanim przybędziemy z owcami. Tylko jedna osoba. Nie więcej, bo nie poradzimy sobie z owcami.

Nyma poruszyła się, jakby chciała wystąpić naprzód, gdy nagle obok niej przecisnęła się drobna figurka.

–To muszę być ja – oświadczyła z powagą Anya.

Mówiła cicho i niepewnie. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od czasu, gdy nawiedziła ją wyrocznia.

Lhandro wciągnął powietrze w płuca. Pewnie zamierzał protestować, przypomnieć, że z jej kulawą nogą to zbyt ryzykowne,

w końcu jednak westchnął tylko i wpatrzył się w dziewczynę. Gdzieś zahukała sowa.

W całym tym zamieszaniu po napaści Shan niemal zapomniał o dziwnych słowach wyroczni. Czyżby ostrzegła ich ona, że oko zostanie utracone? Czyżby Anya czuła się za to w jakiejś mierze odpowiedzialna?

Gyalo, siedzący w kucki przy ognisku, uniósł nadgarstek do ust i zaczął coś szarpać zębami. Po chwili wstał, ściągając z ręki szary pasek, i wyciągnął go ku Anyi.

–To bransoleta z włosia jaka – powiedział. – Jampy. Matka zawsze kazała mi nosić taką, kiedy szedłem w góry. Mawiała, że dzięki bransolecie z jaczego włosia mój krok będzie pewny jak krok jaka. Doskonała rzecz na wysokie szlaki.

Anya przyglądała się bransolecie. Zdawało się, że uważa, iż nie powinna jej przyjąć.

–Będziemy z Jampą pomagać przy owcach – dodał Gyalo. – Chcemy zobaczyć tę dolinę Yapchi. Możesz mija tam zwrócić. Ruszyli w drogę, kiedy na wschodzie niebo przybrało kolor

dymu z jałowca, a piętrzące się ponad nimi szczyty zniknęły w fioletowo-szarym cieniu. Z góry echo przyniosło krzyk ptaka i Winslow przekrzywił głowę, nasłuchując. Chwilę później, jakby w odpowiedzi, zabeczała owca. Zawtórowała jej inna, potem jeszcze jedna, aż wreszcie beczał ich tuzin lub więcej naraz. Jak gdyby płakały nad utraconym kamiennym okiem.

Chemi z początku nie prowadziła ich ścieżką, lecz na przełaj pod górę po występach skalnych i stromych żwirowych zboczach. Obiecywała, że tym skrótem dotrą do ścieżki w godzinę. Po paru minutach odwróciła się i wskazała jeźdźca pędzącego w dole szlakiem karawany. Dremu wyruszył przed rongpami. Shan przyglądał mu się, póki nie zniknął za sterczącą skałą. Golok był teraz na górze Yapchi, na górze, której nienawidził.

Podejście było trudne. Niejeden raz Lokesh potykał się i padał na kolana na pokrytym luźnym i kamieniami stoku. Amerykanin kilkakrotnie przystawał, trzymając się za głowę, jednak za każdym razem ruszał dalej, dostosowując się do narzuconego przez Chemi pospiesznego tempa. Ich marsz sprawiał wrażenie ucieczki.

Shan przypatrywał się idącym przed nim postaciom. Winslow, który dzień wcześniej omal nie umarł na chorobę wysokościową. Anya, opanowana przez wyrocznię. Chemi, która wyglądała na ledwie żywą, gdy przed tygodniem spotkali ją na szlaku. Starzy buddyści powiedzieliby, że koło ich karmy szybko się obraca.

Po godzinie, gdy minęli ostry zakręt na stromej, biegnącej zakosami ścieżce, wzrok Shana przyciągnął jakiś ruch w dole. Za nimi wspinała się jeszcze jedna postać. Tenzin. Zbyttno go to nie zaskoczyło. Z nich wszystkich Tenzin miał chyba najwięcej powodów, by uciekać.

Dotarli do właściwej ścieżki i wspinali się przez kolejną

godzinę, nim Chemi zarządziła odpoczynek na półce skalnej, z której rozciągał się widok na kilka wysokich, szerokich pasm górskich, za którymi, w oddali, leżała Równina Kwiatów. Chemi wskazała brązowy pas ziemi prześwitujący między dwoma ze szczytów na północy.

–Prowincja Amdo – oświadczyła z błyskiem wyzwania w oczach. – My nigdy nie nazywamy jej Qinghai. Tak jest tylko na chińskich mapach. Po drugiej stronie góry – dodała, spoglądając na piętrzącą się nad nimi potężną ścianę Yapchi – dnem wąwozu biegnie długa kręta ścieżka, która wychodzi na ziemny cypel, gdzie mieszka moja rodzina. Godzinę drogi dalej, za następnym grzbietem, leży dolina Yapchi.

Shan spojrział na wznoszącą się nad ich głowami litą kamienną ścianę. Potężna góra dominowała na horyzoncie nawet z przeciwległego końca równiny, gdy Dremu przeklinał ją z oddali. Cały masyw, wraz z licznymi odnogami sięgającymi w stronę gór Kunlun, miał co najmniej trzydzieści kilometrów długości. Jego północne stoki, osłaniające dolinę rongpów, leżały już w prowincji Amdo.

Winslow wyciągnął lornetkę i omiótł wzrokiem widoczne w dole szczyty. Anya stała obok niego, przesuwając w palcach bransoletkę z jaczego włosia.

–Przez to urwisko biegnie kozia ścieżka – powiedziała Chemi, wskazując potężną skalną ścianę, zdawałoby się nieprzekraczalną barierę. – Trudno ją zna...

Przerwał jej odległy dźwięk. Wystrzał z karabinu dużego kalibru, pomyślał w pierwszej chwili Shan, ale potem, gdy usłyszał drugi, identyczny odgłos, zrozumiał, że jest to coś większego. Eksplozje pocisków artyleryjskich lub granatów. Jeszcze jeden grzmot przetoczył się echem i Winslow wskazał ręką trzy obłoczki dymu na jednym z grzbietów w dole, może

półtora kilometra od nich. Shan i Tybetańczycy momentalnie padli na ziemię, obawiając się, że zostaną dostrzeżeni. Czy były to pociski artyleryjskie, czy granaty, eksplozje oznaczały wojsko.

Anya szarpnęła nogawkę spodni Winslowa. Amerykanin gorączkowo manipulował przy lornetce, raz po raz regulując ostrość, wodząc soczewkami w tę i z powrotem po stoku, na którym ukazał się dym.

–Troje ludzi, może czworo – oznajmił.

Shan usiadł i wyciągnął ze swego worka własną lornetkę. Szybko odnalazł odległe postacie biegnące w stronę głębokiego cienia rzucanego przez sąsiedni grzbiet. Nie widział żadnego pojazdu, żadnego helikoptera. Nie widział także żadnych budynków, żadnego starego czortenu, żadnej kaplicy, do których mogłaby tu zjechać ekipa rozbiórkowa. Obejrzał się na Anyę, która przysunęła się bliżej, żeby spojrzeć na leżący w dole grzbiet.

–Czasami wojsko wciąż jeszcze znajduje buntowników – odezwała się nieobecny głosem Chemi. – Niektórzy z nich nie dają się wziąć żywcem. I są też bandyci – dodała tonem, w którym chyba pobrzmiwała nadzieja. Myślała o Dremu? Czyżby w jakiś sposób go tam rozpoznała? Shan nie odważył się zdradzić z pierwszymi podejrzeniami, jakie przyszły mu do głowy po napaści. Czy możliwe było, że to Golok, jadący gdzieś w dole, sprowokował żołnierzy do ostrzału, Golok, który miał własne związki z kamiennym okiem i toczył własną, osobliwą wojnę z górą?

Stojący obok Tenzin skrzywił się i spojrzał na Shana z bólem w oczach. Tenzinowi pomagali purbowie, co prawdopodobnie oznaczało, że mieli czekać na niego gdzieś na drodze do Yapchi, możliwe nawet, że właśnie teraz zmierzali na umówione spotkanie. Tenzin spojrzał zdumiony gdzieś za Shana, który

odwróciwszy się, ujrzał obok siebie Lokesha z wyciągniętą w górę ręką.

Stary Tybetańczyk znów kreślił palcem w powietrzu wyimaginowaną linię. Wodził nim wzdłuż długiej szarej wstęgi gór na horyzoncie, która wyznaczała granicę prowincji, potem w dół, w stronę Rapjung i bliższych terenów, do wysokiego, płaskiego grzbietu zamykającego Rapjung od północnego wschodu i dalej, ku szeregowi wzgórz, u których podnóża otwierał się głęboki wąwóz.

Starzec wyciągnął z kieszeni kawałek papieru, stronicę z broszurki promującej Kampanię Pogodnego Dobrobytu. Pozostali przypatrywali się w milczeniu, jak pracowicie wygina i załamuje kartkę. Po minucie uniósł swoje dzieło w stronę piętrzącego się nad nimi szczytu. Był to koń, papierowy konik, jakich wiele z Shanem robili podczas swych wędrówek. Chemi i Anya pokiwały głowami. Stary Tybetańczyk wyszeptał coś do konia i puścił go na wiatr.

Patrzyli, jak papierowa figurka przemyka nad przepaścią i powoli szybuje ku wzgórzom. Shan odwrócił się do Winsłowa, który przyglądał się temu ze zdziwieniem.

– Niebiański koń – wyjaśnił Amerykaninowi. – Wedle tradycji, jeśli taki konik zostanie wypuszczony z modlitwą, dotrze do podróżnego w potrzebie, a kiedy dotknie ziemi, przeistoczy się w prawdziwego konia.

Jeszcze raz przyjrzał się Lokeshowi i nagle z przerażeniem zrozumiał, o czym myślał jego stary przyjaciel. Być może na wzgórzach w dole nie było purbów, ale Shan i Lokesh wiedzieli, że ktoś tam jest na pewno. Lama uzdrowiciel. Nie duch, gdyż Chemi doczekała się prawdziwego uzdrowiciela, jednego ze starych mędrców. Spojrzał na niską, krzepką kobietę, która wskazywała im drogę. Nie wyjaśniła im ani słowem, co wydarzyło

się tamtego dnia na szlaku, ale w jej oczach znów pojawił się ból i przez chwilę Shanowi zdawało się, że jej twarz przybiera ten sam niezdrowy wygląd, jaki miała, kiedy spotkali ją po raz pierwszy. Nagle Tenzin wskazał coś w górze i wszyscy unieśli wzrok. Ujrzeni bharala, jedną z rzadkich błękitnych owiec żyjących w tych górach, jakby zawieszzonego w dwóch trzecich wysokości wznoszącej się przed nimi skalnej ściany.

Twarz Chemi pojaśniała, emanując spokojną siłą.

–On pokazuje nam drogę – stwierdziła nabożnym tonem i ruszyła dalej, nie oglądając się za siebie.

Pozostali dawno już zniknęli z oczu Shana, on jednak wciąż zwlekał, obserwując przez lornetkę leżące w dole wzgórze. Kruk przeleciał nad wąwozem. Wielkie ciemne zwierzę, zapewne dziki jak, przebiegło przez grzbiet jednego ze wzgórz. Nie dostrzegł jednak ani śladu lamy uzdrowiciela, ani śladu żołnierzy.

Szli wciąż pod górę. Niekiedy otaczały ich wirujące płatki śniegu, choć niebo nad nimi było czysto błękitne. Anya dwa razy potknęła się, zrzucając ze ścieżki grad kamyków, które spadały niewiarygodnie długo, zanim dosięgły dna przepaści.

Szlak nieustannie zmieniał szerokość i kierunek. Niekiedy zwężał się do szczeliny między skałami, gdzie z trudem przecisnęłaby się dzika owca, teraz zaś zniknął zupełnie u stóp niemal pionowego urwiska. Chemi szła dalej, podciągając się na ledwie widocznych wystęпах, przeskakując ze skały na skałę, kierując się jedynie dostrzegalnymi to tu, to tam wytartymi śladami, które mogły pozostawić owce, przez setki lat skacząc i lądując w tych samych miejscach. Winslow często przystawał, żeby się napić, dwa razy łyknął przy tym swoje tabletki. Mijali połacie śniegu, a raz spostrzegli śnieżnobiałego ptaka, który zerwał się do lotu z lodowej szczeliny.

–Chryste – powtarzał Winslow i przystawał co jakiś czas,

żeby przycisnąć dłonie do skroni lub spojrzeć na mapę. – Cholernych cztery i pół tysiąca metrów – oznajmił z niedowierzaniem, ale nie skarżył się, gdy Chemi prowadziła ich jeszcze wyżej. Ciężko dyszał i zatrzymywał się co pięć minut, aby złapać oddech. Widząc niespokojne spojrzenia Shana, uśmiechał się i kręcił głową, po czym ruszał dalej energicznym krokiem, chcąc udowodnić, że jest w świetnej formie. Byli właśnie na długim, odsłoniętym fragmencie szlaku, gdzie wcześniej widzieli bharala. Szli nie mającą nawet metra szerokości ścieżką nad trzystumetrową przepaścią, gdy nagle Amerykanin przystanął i oparł się o skałę. Idąca przed nim Anya odwróciła się i ujęła jego dłoń. Shan podszedł do nich ostrożnie.

–Wszystko w porządku – usłyszał słowa dziewczyny, wypowiedane łagodnie, głosem, jakim przemawiała do owiec. – Trzymaj mnie za rękę, a bransoletka z jaka ochroni nas oboje.

Amerykanin odwrócił się do Shana. Głowa opadała mu na piersi, a oczy uciekały, jakby miał zawroty głowy. Anya ścisnęła mocno jego dłoń, by mu przypomnieć, że jest przy nim, i Amerykanin wyprostował się. Z poważną miną pozwolił dziewczynie poprowadzić się dalej.

Pokonali już dwie trzecie zdradzieckiej odsłoniętej ścieżki, gdy nagle Chemi jęknęła i gwałtownie uniosła rękę. Wszyscy zastygli w bezruchu, a ona nastawiła uszu ku północy i powoli zaczęła się cofać. Parę chwil później oni także to usłyszeli: raptownie przybierający na sile przenikliwy metaliczny łoskot.

–Helikopter! – krzyknął Winslow i nagle Anya pociągnęła go w cień.

Nie, to nie był cień, zorientował się Shan, gdy najpierw dziewczyna, a potem Amerykanin obrócili się bokiem i zniknęli. Była to wąska szczelina w skale, być może dość głęboka, żeby ukryć ich wszystkich. To dlatego Chemi się cofała, uświadomił

sobie, ona także ją spostrzegła. Łoskot wzrastał się. Ich przewodniczka odwróciła się i pobięła wąską ścieżką. Tenzin zatrzymał się przy szczelinie, pomógł Lokeshowi wejść do niej, po czym sam zniknął w mroku, nim Shan zbliżył się do kryjówki.

Shan przystanął, czekając na Chemi, lecz gdy dzieliło ją od szczeliny zaledwie dziesięć metrów, dudnienie maszyny nasiliło się i wbiegł do środka. Nie mógł dostrzec nikogo z pozostałych, choć schronili się tu chwilę przed nim. Gdy jego oczy przyzwyczały się do ciemności, zobaczył, że to coś więcej niż szczelina w skale – był to wąski, wznoszący się stromo kręty korytarz. Ruszył ledwie widoczną ścieżką wydeptaną kopytami górskich stworzeń. Po pięciu metrach stwierdził, że stoi na dnie wąskiego komina, którego wylot znajdował się w pobliżu szczytu, kilkadziesiąt metrów niżej.

– To nie był wojskowy helikopter – usłyszał za sobą głos Chemi. Kobieta wpatrywała się w niebo. – I leciał nisko, niżej niż nasza ścieżka, jakby przeszukiwał wzgórze tam, gdzie były wybuchy.

Shan postąpił o krok. Wciąż nie widział nawet śladu przyjaciół.

– Czy oni spadli? – zapytała z przerażeniem Chemi. – Nie mogli tak po prostu zniknąć.

Dziesięć metrów przed nimi na ziemię padał snop słonecznego światła. Shan podszedł tam z obawą, podczas gdy Chemi wołała Anyę. Nie było odpowiedzi. Panowała zupełna cisza. Nie było nawet słychać zawodzenia wiatru, trzepotu skrzydeł ptaka, kapania wody. Chemi szarpnęła go za rękaw, wskazując ze zgrozą plamę światła, w której ziała czernią wyraźnie widoczna szeroka dziura w skale. Podeszli na sam jej skraj. Wydawało się, że nie ma dna. Shan kopnął kamień w głąb czeluści, ale nie dobiegł z niej żaden dźwięk.

–Ktoś z nich mógł się potknąć i wpaść do środka, a pozostali spadli, próbując mu przyjść z pomocą – zauważyła podenerwowana Chemi. – W takiej studni lecieliby bez końca – dodała.

Shan cofnął się odruchowo.

–Już po nich – jęknęła Chemi, żałośnie unosząc wzrok ku szczytowi komina.

Shan oparł się o skalny filar, aby odzyskać równowagę. Po chwili uświadomił sobie, że jego palce dotykają jakichś wyłobień. Pochylił się i dmuchnął w drobne szczelinki, zapchane pyłem, po czym wyciągnął butelkę i polał je odrobiną wody. Momentalnie szczeliny odcięły się ciemniejszym wzorem od szarej powierzchni. Układały się w znaki tybetańskiego pisma, misternie wykute w skale. *Pamiętaj, przeczytał, nie ma w nas nic prócz światła.* Była to sentencja wzięta z pradawnej nauki głoszącej, że istotą życia jest światłość, czyli świadomość.

Zdezorientowany odwrócił wzrok od filaru. Za snopem światła ścieżka biegła łukiem ku plamie cienia. Usłyszał, że dobiega stamtąd cichy dźwięk, pomruk jakiegoś zwierzęcia, i ruszył w tę stronę. Ścieżka doprowadziła go do krótkiej skarpy, wzdłuż której leżał rząd małych, dziwnie gładkich kamieni. Wyglądały, jakby roztopiono je na płask i pozaginano. Uklęknął obok jednego z nich i dotknął go. To nie był kamień, zorientował się. Podniósł ów przedmiot, wciąż nic nie rozumiejąc, i zamarł. Miał w ręku grubo pokryty kurzem płat materiału. Była to lungta, flaga modlitewna, wykonana z jedwabiu, niegdyś czerwona, z wymalowaną mantrą mani oraz małym koniem. Kurz odpadł płatkami pod jego dotknięciem niczym lodowa skorupa. Zdumiony pomyślał, jak wiele dziesiątków lat musiało minąć, by w tej zacisznej rozpadlinie nagromadziła się taka warstwa kurzu. Nie dziesiątki, raczej setki. Flaga przyszyta była do liny z sierści jaka,

splecionej ze znanstwem, teraz zbutwiałej na końcach. Shan spojrzął na rząd małych wzgórków. Ciągnął się on ku filarowi z napisem. Ten sznur flag modlitewnych był niegdyś, w innej epoce, przywiązany do skalnego słupa, domyślił się, i umocowany do ściany w głębi, w najciemniejszej części cienia; nie po to, by demonstracyjnie łopotać na niebie, lecz zapewne, by wskazywać drogę przybywającym tu ludziom. Odwrócił się i wszedł głębiej w cień, gdzie prawdopodobnie kończył się sznur flag. W miejscu, w którym zbiegały się dwie ściany, ciemność była najgęstsza. Sprawiało to wrażenie cienia w cieniu. I znów rozległ się zwierzęcy pomruk.

Wszedł w mrok i znalazł się w wąskim, zakręcającym ostro korytarzu. Ruszył nim po omacku, z Chemi depczącą mu po piętach. Po kilku krokach pojawiło się przed nim blade światło i nagle, potknąwszy się, niemal upadł na Anyę. Dziewczyna siedziała na kamiennym podłożu, nucąc cicho tym samym nieobecny głosem, jakim śpiewała zwierzętom. Za nią stał Amerykanin, z latarką w dłoni, i kręcąc głową, wpatrywał się w ścianę. Jedynie Lokesh był w ruchu. Stary Tybetańczyk, z oczyma błyszczącymi podnieceniem, krążył po pieczarze, którą odkryli, pokrzykując z radości. Na skalnej półce biegnącej wzdłuż tylnej ściany komory, sześć metrów od Shana, spoczywały przeszło dwa tuziny podłużnych, pudełkowatych przedmiotów, w czterech stosach, każdy ujęty od góry i dołu w deszczułki i obwiązany tkaniną oraz jedwabną taśmą. Leżące na wierzchu deszczułki z drewna różanego były rzeźbione w misterne wzory. Na jednych widniały kwiaty i liście, na innych dzikie zwierzęta.

Podszedł do Lokesha, gdy stary Tybetańczyk, zdjawszy z jednego z podłużnych przedmiotów deszczułkę, drżącymi dłońmi odsunął taśmę i materiał okrywający jego zawartość. Była to pecha, tradycyjna tybetańska książka w formie długich, nie

zszytych kartek odbijanych z drewnianych matryc.

–*Gyuzhi* - przeczytał szeptem Lokesh i wyjaśnił, że *Gyuzhi, Cztery Tantry*, to najslynniejsza z dawnych medycznych ksiąg, spisana przed tysiącem lat. Podniósł pierwszą kartkę i czytał przez chwilę w milczeniu, po czym wskazał linijki w połowie strony. – *Opętanie przez duchy żywiołów jest skutkiem powtarzających się grzechów, sprzeciwiania się szlachetnym myślom, niezdolności do opanowania dręczącego smutku.* - Uniósł wzrok i uśmiechnął się. – To lista przyczyn obłędu.

Podniecenie na jego twarzy powoli ustąpiło miejsca nabożnej powadze, gdy odłożył na miejsce kartkę i przykrycie, potem zaś powtórzył całą procedurę z następną książką i jeszcze z dwoma. Winslow podszedł do Lokesha i w milczeniu przyświecał mu latarką, gdy starzec wyjaśniał im, o czym traktują księgi.

–Traktat o leczniczych kamieniach – oświadczył, zaglądając do pierwszej. Druga dotyczyła leków należących do żywiołu ognia, trzecia zaś – tego, jak wedle gwiazd wyznaczać najkorzystniejsze daty sporządzania leczniczych mieszanek.

Spisano

ją w tym samym roku, w którym rozpoczęto budowę Rapjung. Wreszcie Lokesh uniósł wzrok i z wysiłkiem przełknął ślinę.

–Oni sądzą... my nie... – Ze wzruszenia łamał mu się głos. Zacisnął dłoń na swym gau i z wdzięcznością spojrział na wiszącą tuż nad księgami thankę. Widniała na niej niebieska postać trzymająca miseczkę żebraczą, z prawą ręką wyciągniętą w geście obdarzania. Wajdurja, Budda Uzdrowiciel. – Sądziliśmy, że niektóre z tych ksiąg są martwe.

Purbowie prowadzili kronikę popełnianych przez Chiny okrucieństw, *Księgę Lotosu*, do której Shan niejednokrotnie już zaglądał. Zawierała ona szczegółowe opisy zniszczonych gomp, zaginionych lamów, utraconych skarbów kultury oraz notatki na

temat osób, o których wiadano, że niszczyły tradycję zabytki Tybetu. Wymieniano tam także peche, gdyż były one drukowane ręcznie, a zatem nigdy nie znajdowały się w szerokim obiegu. Niektóre teksty można było spotkać jedynie w gompach, w których powstały, i takie księgi, oraz drewniane matryce, z których je odbijano, zaliczano często do najcenniejszych klasztornych skarbów. Kiedy Armia Ludowo-Wyzwoleńcza i Czerwona Gwardia zniszczyły gompy, unicestwiły również znajdujące się w nich peche, a także ludzi, którzy znali ich treść.

Księga Lotosu

zawierała relacje o wielkich ogniskach, w których palono wyłącznie matryce starożytnych tekstów, oraz o księgach wywożonych do żołnierskich latryn. Te peche, o których wiadano, że przepadły na zawsze, wymieniano w *Księdze Lotosu* jako martwe, dodając streszczenie na wzór nekrologu, będące często ostatnią wzmianką o dziele uczonego, który żył być może przed setkami lat.

Obok półki z książkami wisiały rzędem jeszcze cztery thanki, umocowane do deski wciśniętej w szczelinę w ścianie jaskini. Lokesh znów westchnął i wskazał je Amerykaninowi jedną po drugiej, objaśniając pełnym czci szeptem.

–Król Lazurytu – powiedział o pierwszej i wyjaśnił, że ta kolejna emanacja Buddy Uzdrowiciela nazywana jest tak często, gdyż lazuryt bardzo się ceni w Tybecie z uwagi na jego lecznicze właściwości. Następna thanka przedstawiała Tsepame, Buddę Nieśmiertelnego Życia. Na kolejnej widniał wykres astrologiczny, z rodzaju tych, jakich używano do obrazowego przedstawienia lokalizacji i leczenia chorób. Był tam anatomiczny rysunek ludzkich pleców, z zaznaczonymi kręgami, i schemat ukazujący powiązania między chorobami. Ostatnie malowidło przedstawiało uproszczony krąg mandali ze sterczącymi szczypcami,

płomienistą głową i wijącym się paciorkowatym ogonem. Shan widywał już takie mandale. W obozie lamowie rysowali je, gdy nie można było liczyć na żadne lekarstwo dla chorych. Było to zaklęcie skorpiona, czar mający przepędzić demony, które sprowadziły chorobę. Lub może – pomyślał, widząc, że tam, gdzie powinno być wpisane imię chorego, jest puste miejsce – tablica do nauki tego zaklęcia.

Gdy Lokesh stał, wpatrując się w malowidła, Winslow ruszył wokół sali, przyglądając się ścianom. Na jednej z nich wisiała następna thanka – znacznie większa od pozostałych, sięgająca aż do podłogi – kolejny wizerunek Króla Lazurytu. Obok, na małym występie, leżał rząd niewielkich dorje, rytualnych przedmiotów w kształcie berła symbolizujących niezniszczalność pustki, będącej istotą wszelkiego istnienia, i drogę ku oświeceniu. Było ich kilkanaście i choć większość z nich pokrywała gruba warstwa kurzu, każde wydawało się inne. Niektóre były z drewna, inne z żelaza, któreś lśniło nawet jak złoto. Jedno wyglądało na wyrzeźbione z lazurytu.

Shan wyczuł za sobą jakiś ruch i odwróciwszy się, zobaczył, że Chemi i Anya obejmują się ramionami. Ale Chemi nie usiłowała pocieszać dziewczyny. Zdawało się, że wspiera się na niej, jakby nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Lokesh i Winslow także to spostrzegli. Zatrzymali się, a Winslow opuścił latarkę; jej światło utworzyło biały krąg na skalnym podłożu. Stali w milczeniu, aż wreszcie ciszę przełamał kobiecy szept:

–To nie był dzień, ale i nie noc, kiedy przyszedł do mnie. – Shan uniósł wzrok i z zaskoczeniem rozglądał się po sali, póki nie uświadomił sobie, że to mówi Chemi. Kobieta wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w thanki, zwracając się do Buddy Uzdrowiciela. – Było to między dniem a nocą, słońce już zaszło,

lecz nie zrobiło się jeszcze ciemno. Bardzo chciałam wierzyć, że on przyjdzie. Musiałam w to wierzyć. Byłam tak chora, że została mi tylko wiara. Ale to wydawało się nieprawdopodobne. – Jej głos drżał. – Mam wuja. Zanim uciekł do Indii, obiecałam mu, że będę się trzymać dawnych zwyczajów, że jeśli zachoruję, będę unikać chińskich szpitali. W chińskich szpitalach zdarza się, że Tybetanki jednego dnia zasypiają, a kiedy się budzą następnego, są wysterylizowane. – Zerknęła na Shana i opuściła wzrok. – W głębi duszy nie wierzyłam, że on przyjdzie. A potem nagle po prostu stał przede mną. Zamknęłam oczy, bo strasznie mnie bolał brzuch, a kiedy je otworzyłam, zobaczyłam, że się do mnie uśmiecha. Był tak stary i wątły, że mógłby go zabrać silniejszy podmuch wiatru. Byłam tak zmęczona, że nie wiedziałam, czy nie śnię. Niemożliwe, żeby to był ten wielki uzdrowiciel, pomyślałam, bo sam wyglądał bardzo słabowicie. Ale kiedy położył mi dłoń na głowie, poczułam nagle przyływ sił. Wiatr nie był już zimny i uśmiechnęłam się, a on zbadał mi puls. Kiedy zadawał mi pytania, uśmiechałam się i odpowiadałam mu, ale to nie był mój głos, to był głos małej dziewczynki. – Chemi zrobiła krok w stronę thanek, przekrzywiając głowę, żeby im się dobrze przyjrzeć.

–Jakie pytania ci zadawał? – zapytał cicho Shan.

–Nie na temat choroby. To dopiero później. Pytał, w jakiej porze roku się urodziłam. Czy kiedykolwiek odbyłam pielgrzymkę na górę Kailas. Czy w dzieciństwie puszczałam latawce i czy umiałam zrobić gwizdek z patyka. Jak moja rodzina radziła sobie podczas wielkich walk z Chińczykami. Czy wciąż czuję w sobie Buddę. Dał mi parę małych brązowych pigułek i kazał mi się napić z jego butelki z wodą z drup-chu. Potem zapalił kadzidło z drewna aloesowego, jak powiedział, i długo rozmawialiśmy. – Uniosła rękę ku niebieskiemu wizerunkowi Buddy Uzdrowiciela,

ale zawahała się i zastygła z dłonią w powietrzu. – Wypytywał o różne miejsca, o Rapjung i o równinę, nawet o Yapchi. – Powoli odwróciła się do Shana i Lokesha, jakby się spodziewała, że jej zadadzą jakieś pytania. – Rozmawialiśmy o tym, jak pachną nocą wiosenne kwiaty, a potem zapytał mnie, dlaczego mam na duszy ciemną plamę.

Mówiła coraz ciszej.

–Wtedy powiedziałam mu o starej kobiecie z naszej wioski, która ciągle wrzeszczała na mnie za to, że moje psy szczekają zbyt głośno, i jak kiedyś, gdy przyszli żołnierze, zdradziłam im, że ona trzyma fotografię dalajlamy i modli się o jego powrót. Oni zabrali tę kobietę i nikt jej więcej nie widział. Mówiłam mu, że nie mogę spać po nocach, że wciąż widzę, jak wloką ją żołnierze. – Umilkła, przesuwając wzrokiem po ich twarzach. – On powiedział, że żołnierze tak czy inaczej znaleźliby to zdjęcie i żebym nie obwiniała się już więcej. Wytłumaczył mi, że pora porzucić wyrzuty sumienia, że kobieta, która kochała dalajlamę, nie żywiłaby do mnie urazy. Potem położył mi dłoń na brzuchu i skóra zaczęła mnie piec, a brzuch się skurczył i wydaje mi się, że on wyciągnął z niego coś czarnego. Coś się we mnie zmieniło. Zasnęłam, a kiedy się obudziłam, wschodziło słońce i byłam zupełnie sama, jeśli nie liczyć wiewiórki ziemnej, która spokojnie wpatrywała się we mnie. Czułam się inaczej: znów byłam lekka i silna. Ale po lamie nie został nawet ślad i pomyślałam z początku, że mi się to wszystko przyśniło. Jednak dobrze pamiętałam każde jego słowo, a słabość mnie opuściła. Wstałam i podskoczyłam wysoko. Ta wiewiórka powinna była uciec, ale nawet się nie poruszyła, dopóki nie zaczęłam odchodzić, a wtedy wskoczyła na kamień i zaszczebotała, jakby chciała powiedzieć światu, że żyję. Że być może widziała cud – szepnęła Chemi, wpatrując się

w wyciągniętą dłoń niebieskiego Buddy i zbliżywszy palce do jego błękitnych palców, niemal musnęła stare malowidło. – A jednak nawet teraz, dzisiaj, zastanawiam się, czy nie był to sen – ciągnęła. – Bo myślę, że lamowie uzdrowiciele należą do innego świata. – Inny świat. Chemi miała na myśli bayal, jedną z ukrytych, niedostępnych krain. – Oni nie mogą istnieć tutaj, powtarzałam sobie, oni nie istnieją. Są jak te niebiańskie istoty z dawnych epok, ścigane i zabijane przez demony. Musiałam zostać przeniesiona do jakiegoś bayalu. Ale spójrzcie... – Wskazała szerokim gestem rząd thanek. Znaleźli schronienie lamów uzdrowicieli. W tym świecie.

Wszyscy, z Amerykaninem włącznie, krążyli po jaskini w nabożnym milczeniu. Lokesh raz po raz powracał do półki z rzędem dorje. Niemal wszystkie były podwójne, dwa jednak miały pojedynczą główkę osadzoną na trójgraniastej głowni. Były to purby, rytualne sztylety, od których przyjął nazwę tybetański ruch oporu.

–To było tak dawno – odezwał się Lokesh, dotykając niezwykle długiego dorje wykonanego z drewna sandałowego. – Ale to wydaje mi się znajome. – Przeciągnął palcami po jego wytartej powierzchni, zdawało się jednak, że wzbrania się wziąć je do ręki. – Takie właśnie miał mój nauczyciel, Chigu Rinpocze – oświadczył zaintrygowany. – Nigdy poza tym nie widziałem podobnego.

–Oni czasem wynosili skarby – wyjaśniła Chemi – kiedy wiedzieli, że nadchodzą niszczyciele.

Shan spojrzał na kobietę. Niszczyciele. Niektóre wioski i niektóre klany nazywały po swojemu to, co zdarzyło się w ciągu minionych pięćdziesięciu lat.

–Tak, ukrywali skarby – potwierdził Shan, spojrzał jednak niepewnie na Lokesha.

Tenzin pochylił się nad długim, niskim wzgórkem kurzu pod jedną ze ścian. Pomacał go i wyciągnął spod warstwy kurzu skraj tkaniny o żywych barwach. Wyżej, nad ich głowami, sterczał sękaty konar, z którego zwisały dwa wystrzępione na końcach kawałki sznurka z jaczego włosa. Niegdyś wisiała tam thanka, ale spadła. Tenzin spojrział na Shana i z szacunkiem złożył tkaninę na ziemi. On także zrozumiał. To nie było po prostu sekretne

składowisko skarbów ukrytych pospiesznie przed żołnierzami, którzy przyszli zniszczyć Rapjung. To było prastare górskie ustronie, być może miejsce odprawiania tajemnych rytuałów, których znaczenia zapomniano z biegiem czasu.

W końcu Chemi przypomniała im o celu ich podróży i cicho wyszli za nią z pieczary. Shan przystanął na chwilę przy kamiennym filarze i obejrzał się na cienie znaczące wejście do groty.

–Jak oni mogli przeżyć? Jak ktokolwiek z lamów mógł przetrwać? – zastanawiał się. – Wojsko na pewno przeczesywało góry.

–Przeżyć? – odparła gorzko Chemi. – Oni wybili wszystko, co żyło w tych górach. Przez pewien czas wypuszczali nawet patrole wyposażone w karabiny z lunetami. Zabijali wszystko, co się ruszało. Wieszali plakaty z ostrzeżeniami, żebyśmy nie zapuszczali się w góry przez trzy miesiące. Każda koza, każdy dziki jak zostały zastrzelone, ponieważ pewien mnich, umierając, powiedział, że wszyscy Tybetańczycy zabici przez Chińczyków wrócą jako górskie zwierzęta, dopóki nie będą mogli znów odrodzić się jako ludzie. Tam nic nie przeżyło.

–Więc skąd wziął się tam jeden z dawnych lamów uzdrowicieli? – odezwał się nad ramieniem Shana Amerykanin. Widać przysłuchiwał się ich rozmowie.

Chemi wzruszyła ramionami.

– Czasami coś odrasta – powiedziała, jakby ktoś posiał ziarno, które teraz wydało plon starych lamów. – Czasem udaje im się przejść ze świata do świata. – Odwróciła się i ruszyła ku szczelinie prowadzącej do ścieżki.

Shan przyglądał się krzepkiej kobiecie. Nie wyjaśniła wszystkiego, nie wyjaśniła, dlaczego udała się na południe, o wiele dni drogi od domu, żeby poczekać na uzdrowiciela przy tym, a nie innym szlaku. Skąd wiedziała, gdzie go znaleźć? Skąd dropkowie wiedzieli, że pojawi się na łące z ziołami? Lama uzdrowiciel żył w górach, ale tam był też dobdob, który atakował Tybetańczyków, nawet mnichów.

Kiedy znów znaleźli się na stoku, po helikopterze nie było już nawet śladu, nie dostrzegli też żadnego ruchu na skalnych półkach

w dole. Pospiesznie ruszyli odsłoniętą ścieżką, która doprowadziła ich do ciągu głębokich, często bardzo wąskich wąwozów, w których niekiedy musieli brodzić w wodzie spływającej ze skał. Posuwali się wzdłuż rzędu skalnych iglic sterczących niczym warownie wzdłuż granicy Qinghai, dopóki nie dotarli na odsłonięty występ, z którego otwierał się rozległy widok na północ i wschód.

Chemi wskazała palcem wysuniętą najbardziej na wschód górę w długim szeregu ośnieżonych szczytów wyznaczających granicę prowincji.

– Geladaintong – wyjaśniła. – Tam zaczyna się Jangcy. A tam – odwróciła się ku zachodowi, by pokazać im długi grzbiet o płaskim wierzchołku – pięć kilometrów za tą górą, leży moja wioska – dodała radośnie. – Dostaniemy gorącą herbatę i tsampę. I zupę z makaronem. Moja siostra zawsze ma w pogotowiu garnek zupy.

Pozostali odeszli, ale Shan ociągał się jeszcze przez chwilę, spoglądając na wskazany przez Chemi poszarpany szczyt. Zapomniał, że źródła Jangcy znajdują się w Amdo. Przez moment oczyma wyobraźni zobaczył potężną rzekę płynącą przez chińskie miasta i wioski, napędzającą handel, żywiącą miliony Chińczyków, na koniec wpadającą w pobliżu Szanghaju do Morza Wschodniochińskiego. A wszystko to zaczynało się na jednej tybetańskiej górze.

Okrążyli jej masywną odnogę sterczącą niczym potężne granitowe żebro i nagle znaleźli się na skraju urwiska, wysoko nad widocznym w dole skrawkiem szarości, chmurą ciągnącą się wzdłuż podstawy żebra. Wyglądało to, jak gdyby spadł tam fragment nieba i uwiązał wśród skał.

–Zawsze tak jest – wyjaśniła Chemi, gdy Lokesh wpatrywał się zdumiony w dziwną upadłą chmurę. – Powiadają, że tam mieszka demon. Gdy nie ma wiatru, można usłyszeć, jak wyje. Podobno pustelnicy przychodzili niegdyś na tę półkę, żeby medytować, bo to było miejsce kontaktu.

–Kontaktu? – powtórzył Winslow.

–Miejsce, gdzie ludzie kontaktowali się z głębinami ziemi. Gdzie bóstwa ziemi spotykają się z bóstwami nieba. – Chemi wychyliła się przez krawędź urwiska, tak mocno, że Shan podszedł

do niej w obawie, że mogłaby spaść. – Moi wujowie chodzili tędy, gdy wybierali się do nas w odwiedziny. Mówili, że tu powstają chmury – dodała i cofnęła się z triumfalnym uśmiechem, gdy mały strzępek szarości wzbił się w górę i popłynął w stronę południowych grzbietów.

Szli w dół wąską, biegnącą zakosami ścieżką i po godzinie marszu zaczęli pokonywać grzbiet pod popołudniowym niebem, tak czystym, że aż lśniło. Gdy wiatr cichł, z oddali dobiegły ich

głosy ptaków. Lokesh, po raz pierwszy od wielu dni, zaczął śpiewać jedną ze swych podróźnych pieśni, pieśń, którą pielgrzymi śpiewali nocą, układając się na spoczynek.

Schodząc ze szczytu na rozległy grzbiet, czuli coraz wyraźniej, że wkraczają na ziemię rolników z Yapchi. W długich, stromych, żwirowych stokach poprzecinanych głębokimi wąwozami oraz pokrytych porostami skałach było surowe piękno, do jakiego Shan przywykł w Tybecie. Był teraz w Qinghai, w innej krainie. Przypomniawszy sobie, jak słyszał od pewnego więźnia, że w Qinghai panuje większa tolerancja, że niszczenie tradycyjnych tybetańskich instytucji w dawnym Amdo nie było tak gruntowne jak gdzie indziej, gdyż na tym terenie nie ma dużych skupisk ludności, żadnych wyraźnych celów dla wojska.

Gdy wydostali się na rozległą otwartą przestrzeń pokrytą żwirem i porośniętą niskim wrzosem, Lokesh wskazał małe stadko podobnych do pardw ptaków upstrzonych białymi resztkami zimowych piór, które żerowało we wrzosach pięćdziesiąt metrów dalej.

–Lha gyal lo! – zawołał cicho.

I nagle stado eksplodowało.

Z ogłuszającym hukiem żwir, rośliny i ptaki wystrzeliły w powietrze. Chemi krzyknęła i rzuciła się na ziemię. Tenzin chwycił Anyę i wciągnął ją za głaz, a Shan popchnął Lokesha w tę samą stronę. Jedyne Amerykanin się nie poruszył, jedynie kłął głośno po angielsku, gdy gruz opadał na ziemię. Zrobił krok naprzód, wyciągając lornetkę, kiedy kolejny skrawek ziemi, piętnaście metrów dalej, wybuchnął z równą gwałtownością, wyrzucając kamienie w niebo. Wciąż klnąc, Winslow wycofał się za skałę obok Shana. Nieruchome popołudniowe powietrze rozdarła trzecia eksplozja.

Zapadła cisza. Zaczął sypać się na nich grad kamiennych

okruchów i piasek, a z małych lejów na łące unosiły się trzy niewielkie słupy dymu. Trzy eksplozje, w równych odstępach wzdłuż jednej linii. Jak te, które widzieli rano.

Chemi, ze zgrozą w oczach, podniosła się z ziemi. Obok niej stanął Tenzin. Zadarł głowę, obserwując coś białego opadającego w ich stronę. Było to ptasie piórko. Wszyscy przyglądali mu się w milczeniu, póki nie dotknęło ziemi. Lokesh cichym, smutnym tonem zaintonował mantrę.

–Dlaczego wojsko miałoby...? – zaczęła Chemi i urwała, unosząc dłonie do uszu.

Shan uświadomił sobie, że dzwoni mu w głowie.

–To nie wojsko – usłyszał dobiegający jakby z oddali głos Winslowa. Amerykanin wskazywał coś po przeciwnej stronie łąki.

Zza skały na drugim końcu wrzosowiska wyszło kilkoro ludzi. Na głowach mieli czerwone i srebrne kaski, w rodzaju tych, jakie noszą robotnicy budowlani. Shan skinął na pozostałych, żeby cofnęli się z powrotem między skały. Wyszedł niepewnie na środek wrzosowiska i czekał.

Idący na czele mężczyzna aż kipiał z wściekłości. Jeszcze nie było go słyhać, ale widzieli, że krzyczy, wskazując na nich i na trzy małe leje. Raz nawet się odwrócił i pomachał pięścią w stronę idącej za nim grupki. Zatrzymał się przy najbliższym leju i spojrzał badawczo na Shana, po czym, ściągnąwszy srebrny kask, ruszył ku niemu z zaciśniętymi pięściami i wykrzywioną gniewem twarzą. Przez chwilę Shan miał wrażenie, że mężczyzna chce rzucić w niego kaskiem.

–Samo chodzenie po tym terenie mogło zrujnować badanie! – wrzasnął, podchodząc do Shana.

Stanąwszy przed nim, nieznajomy nałożył kask, jakby dawał do zrozumienia, że jest gotowy na wszystko. Był to Chińczyk,

nico wyższy od Shana, szeroki w barach, z poblížnionymi kłykciami. Ubrany był w zieloną nylonową kurtkę ze złotym symbolem wieży wiertniczej na lewej piersi.

–Mogliśmy stracić życie – oświadczył spokojnie Shan.

–Mogliście zrujnować nasze badanie i stracić życie! – wrzasnął mężczyzna, patrząc na niego wściekle.

–Zabiliście ptaki – powiedziała Anya. Wyszła zza skał i zatrzymała się parę kroków za Shanem.

Słowa dziewczyny, a może łagodne rozczarowanie w jej głosie, najwyraźniej odebrały mężczyźnie pewność siebie. Zmarszczył brwi.

–Samo chodzenie po terenie badań, tak blisko ładunków, może zaburzyć wyniki – warknął. Jego gniew zdawał się ustępować irytacji.

–Skąd mogliśmy wiedzieć? – zapytał Shan.

–Wiedzieć? Wszystko, co trzeba wam wiedzieć, to że na całym tym obszarze obowiązuje zakaz wstępu. Nie umiecie czytać? W każdej wiosce na dole wiszą obwieszczenia, z datami testów w każdym kwadrancie. Tylko głupiec mógłby...

Gdy mówił, podszedł do nich niski mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Wydatne policzki i szeroka twarz nadawały mu wygląd Mongoła. Na jego szyi wisiał mały kosztowny aparat fotograficzny, lornetka, kompas oraz niewielkie urządzenie w czarnej obudowie, które mogło być wysokościomierzem. Ubrany był w czerwoną nylonową kamizelkę i czerwoną czapkę w amerykańskim stylu, z szerokim daszkiem z przodu, na której także widniał symbol złotej wieży wiertniczej. Wystające spod czapki włosy były długie, ale równo obcięte i wypomadowane. Wyglądał dziwnie elegancko jak na górskie bezdroża.

–Nie przyszliśmy stamtąd – oświadczyła Anya.

I znów jej słowa wprawiły nieznanomych w zakłopotanie.

Mężczyzna w ciemnych okularach otaksował wzrokiem dziewczynę, potem Shana, a potem spojrzął za nich, na Chemi i Tenzina, który wyszedł właśnie z cienia. W końcu odwrócił się do pierwszego mężczyzny, który z zainteresowaniem przekrzywił głowę, wyciągnął z kieszeni mapę i zaczął ją studiować.

–W takim razie którądy? – zapytał.

–Czasami owce gubią się na wzgórzach – wtrącił Shan, podchodząc do nich o krok.

–Nie macie owiec – zauważył człowiek w srebrnym kasku.

–Powiedziałem, że się zgubiły – odpalił Shan.

Nagle rozległ się mechaniczny klekot. Niski mężczyzna w okularach fotografował ich, każde z osobna, pospiesznie naciskając spust i przewijając film. Chwilę później zawtórowały mu podobne trzaski i zgrzyty. Shan odwrócił się i ujrzał, że Winslow fotografuje ekipę naftową, odpowiadając na każde ze zdjęć tamtego własnym. Mężczyzna w ciemnych okularach opuścił aparat i spojrzął wściekle na Winslowa, który również opuścił aparat, i nieznajomy zobaczył twarz Amerykanina. Wyprostował się i podszedł bliżej, po czym obrócił się na pięcie i odesłał całą ekipę oprócz mężczyzny w zielonej kurtce i srebrnym kasku. – Jestem brygadzystą – oświadczył niepewnie człowiek w zieleni, oglądając się na swego towarzysza, jakby oczekiwał od niego wskazówek. – Kieruję zespołem badań terenowych. Z Przedsiębiorstwa Naftowego Qinghai. – Spoglądał to na Shana, to na Winslowa, wyraźnie niepewny, do którego z nich się zwracać. – Musiało zajść nieporozumienie. – Przyjrzał się znoszonemu ubraniu Shana i zdecydował się mówić, patrząc na Winslowa. – Powinniście zostać ostrzeżeni o robotach strzelniczych na tym terenie.

–Dlaczego szukacie ropy tak wysoko w górach? – zapytał prosto z mostu Winslow, zdejmując kapelusz i odgarniając

włosy.

–Nie ropy, nie w tym miejscu. Wybuchy są monitorowane przez sejsmografy rozmieszczone w górach i w dolinie, gdzie skoncentrowane jest wydobycie. Mamy tu bardzo złożone formacje geologiczne. Żeby określić ich strukturę, musimy zarejestrować, w jaki sposób wibracje rozchodzą się w skale. Dzięki temu dowiemy się, jak zasobne jest złożo ropy, na ile opłacalna będzie jego eksploatacja.

–I? – zapytał Winslow obojętnym tonem.

–Jak dotąd rezultaty są niejednoznaczne. To będzie zależało od tego, co uzyskamy z odwiertów w dolinie – odparł geolog, uśmiechając się lekko. – Z naszych modeli wynika, że złożo jest wystarczająco duże, by można było z niego czerpać co najmniej przez dziesięć lat.

–Czy to wasza robota te wybuchy sprzed trzech dni po południowej stronie tej góry? Albo dzisiejsze, z rana? – zapytał Winslow. – Byliście na wzgórzu po drugiej stronie tej wielkiej równiny

Geolog znów zerknął na swego niskiego towarzysza o mongolskich rysach.

–Nie. Nie działamy poza obszarem naszej koncesji.

Winslow przyjrzał się obu mężczyznom.

–Przedsiębiorstwo Naftowe Qinghai – zauważył – ma amerykańskich partnerów.

–Włoskich, francuskich, brytyjskich – odparł mężczyzna. – Amerykańskich także. Na tym terenie współpracujemy z Amerykanami.

–Więc znacie Melissę Larkin.

Twarz geologa stężała. Rzucił błagalne spojrzenie mężczyźnie w ciemnych okularach.

–Okropna sprawa – odezwał się szczerym tonem Mongoł. –

Taka tragedia, tak daleko od domu. Tak nagle. – Zdjął okulary i utkwiał w Winslowie nieruchome spojrzenie. Współczucie było w jego słowach, lecz nie w oczach.

–Znacie ją? – zapytał Amerykanin. – Byłem w Yapchi. Nie widziałem was.

–Zhu Ji jest dyrektorem do spraw projektów specjalnych całej firmy – wyjaśnił geolog. – Pracuje z zagranicznymi specjalistami.

Niski mężczyzna nazwany Zhu wolno pokiwał głową.

–Ale nie widziałem was nigdy wcześniej – powiedział znacząco do Winslowa. – Nie jesteście ze spółki. Wiedziałbym o tym.

Amerykanin westchnął, wyciągnął portfel i podał Zhu wizytówkę.

Była wydrukowana po chińsku z jednej strony i po angielsku z drugiej. Shan zauważył niebieską sylwetkę amerykańskiego orła oraz złote gwiazdy. Zhu wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym podał ją geologowi, który kilkakrotnie obrócił arkusik, wciąż na nowo czytając tekst, jakby się spodziewał, że za którymś obrotem znajdzie tam coś innego.

–Słyszałem, że wasz rząd przysłał tu kogoś – oświadczył oschle Zhu.

–Sugerujecie, że panna Larkin miała wypadek? – zapytał Winslow.

–Panna Larkin nie żyje – odparł ostro Zhu. – Spadła z urwiska do rzeki. Widziałem to.

Shan usłyszał, jak Winslow raptownie wciąga powietrze.

–Byliście z nią tam?

–Widziałem to z daleka. Wiecie, że przedłużyła pobyt w terenie bez formalnego zatwierdzenia: wyruszyła na trzy dni, ale nie wróciła. Rozglądaliśmy się za nią, bo jej przełożeni byli dość wściekli z tego powodu. Jej ekipa miała kosztowny sprzęt i

zbierała ważne dane. Jedynie dwie osoby z jej zespołu wróciły do bazy, dwaj Chińczycy, którzy twierdzili, że się zgubili. Pozostali, którzy jej towarzyszyli, to Tybetańczycy – zaznaczył oskarżycielsko. – Powiedziałem, że może ona też po prostu się zgubiła. Tutaj łatwo stracić orientację. Wypatrywaliśmy jej, jadąc przez góry, i spostrzegłem ją przez lornetkę. Stała na półce skalnej, wysoko nad nami. Myślę, że traciła przytomność z głodu. A może z powodu wysokości. Cudzoziemcy często mają kłopoty z wysokością.

–Dlaczego nie powiedziano mi o tym, kiedy przyjechałem do obozu?

–Byłem wtedy w górach. Kiedy wróciłem, zgłosiłem to. Wysłaliśmy zawiadomienie do Pekinu. I do jej amerykańskiego pracodawcy.

Tym razem to Winslowowi zabrakło słów. Usiadł na płaskim kamieniu, wpatrując się w jałowy krajobraz.

–Czy jej ciało jest w obozie? – zapytał po długiej chwili. – Muszę je zabrać.

–Nie ma ciała – odparł posępnie Zhu. – Spłynęło rzeką. To się zdarza. Czasami zwłoki wyławia się dopiero setki kilometrów dalej.

–Macie na myśli Jangcy?

–Nie. Byliśmy na szczycie długiego grzbietu, na granicy prowincji. Ona spadła po południowej stronie. Na tybetańskim stoku.

–Muszę mieć ciało – oświadczył cicho Winslow, zwracając się do chmury nad horyzontem. – To moja praca. Rząd Stanów Zjednoczonych musi rozliczyć się ze wszystkich swoich podatników. – Westchnął i rozłożył mapę. – Pokażcie mi to miejsce.

Zhu wyciągnął z kieszeni ołówki i przez długi czas przyglądał

się mapie Amerykanina, po czym wskazał dziki obszar niemal dwadzieścia pięć kilometrów na zachód, gdzie gęste, wręcz zbite warstwy zdradzały urwisko. Poniżej widniała cienka niebieska linia wijąca się ku południowemu skrajowi mapy, w głąb Tybetu. Zhu przeciągnął nad nią czubkiem ołówka aż do sporej niebieskiej plamki przeszło sto pięćdziesiąt kilometrów dalej.

– Jezioro – oświadczył tryumfalnie, jakby to dowodziło jego racji. – Prawdopodobnie jedno z tych świętych.

Winslow zmierzył go wzrokiem.

– Muszę zobaczyć ten wasz raport – powiedział chłodno.

– Jest w Yapchi. Zgłóście się do kierownika.

– Do Jenkinsa. Znam go.

– Właśnie – przytaknął powoli Zhu fałszywie uprzejmym głosem. – Pan Jenkins też był bardzo zmartwiony. Wszyscy lubiliśmy pannę Larkin. Bardzo ładna. Opowiadała dowcipy. Mówiła po tybetańsku. Nie po chińsku – dodał znacząco – ale po tybetańsku.

Geolog odwrócił się, jakby słowa Zhu były sygnałem do odejścia.

– Trzymajcie się głównych szlaków – rzucił im Zhu. – Tak będzie bezpieczniej dla wszystkich. – Przyglądał się stromemu zboczowi za nimi, zapewne próbując odgadnąć, którędy mogli zejść. – W przeciwnym razie nie możemy wam zagwarantować bezpieczeństwa. – Mówiąc te słowa, dyrektor do spraw projektów specjalnych minął Shana i skrajem łąki ruszył ku skałom, jakby podejrzewał, że ukrywa się tam więcej ludzi. Wrócił, zatoczywszy koło, i znów stanął za geologiem. – Nie macie psów – zauważył, patrząc podejrzliwie na Shana. – Pasterze mają psy.

Shan odwzajemnił jego nieruchome spojrzenie.

– Czasem, gdy owce zabłądzą, psy muszą podjąć decyzję.

Iść z pasterzami czy zostać przy owcach. Tym razem najwyraźniej zostały z owcami.

Zhu odpowiedział powściągliwym uśmiechem.

–Chińczyk pasący tybetańskie owce. Dziwna kombinacja – stwierdził na odchodnym. Obrócił się na pięcie i obaj mężczyźni ruszyli ku reszcie ekipy, czekającej po drugiej stronie długiego, kamienistego wrzosowiska, które teraz przypominało pole bitwy.

Shan przypomniał sobie lej widziany w Rapjung. Ziemia potrzebowała tu wiele czasu, żeby wyleczyć się z takich ran.

Śledził wzrokiem dyrektora do spraw projektów specjalnych, dopóki nie zniknął mu z oczu, usiłując przekonać sam siebie, że Zhu jest tylko tym, za kogo się podał. Ale znał zbyt wielu ludzi jego pokroju, kolegów w Pekinie i później swych dręczycieli w obozie, by mógł zapomnieć o nim tak łatwo. Zhu był kimś więcej niż tym, za kogo się podawał. Członkiem Partii, niemal na pewno. Prawdopodobnie politrukiem spółki naftowej. Być może uchem i okiem Urzędu Bezpieczeństwa.

Rozważał słowa Zhu, próbując dopasować je do tego, co zobaczył wcześniej tego dnia. Żadna ekipa naftowa nie miała uprawnień do pracy po drugiej stronie góry, ale eksplozje, które słyszeli tego ranka, były identyczne jak te sprzed chwili. Helikopter, który widziała Chemi, był cywilny, a jedyne cywilne helikoptery w tym rejonie należały prawdopodobnie do przedsiębiorstwa naftowego. Zhu powiedział, że wysłano śmigłowiec na poszukiwanie Larkin. Ale dlaczego miałby wypatrywać jej po drugiej stronie góry? A skoro Zhu już zgłosił, że Larkin nie żyje, czego innego mógł szukać?

Ekipa naftowa zniknęła im już z oczu, a Winslow wciąż siedział wpatrzony w mapę.

–Jezu – odezwał się, gdy Shan podszedł do niego. – Z

urwiska.

Shan domyślił się, że Amerykanin wspomina, jak sam poprzedniego dnia omal tak nie skończył.

–Zawsze przywożę ciało – mruknął z roztargnieniem Winslow, wciąż patrząc na mapę.

–Może później moglibyśmy pójść nad tę rzekę – zaproponował Shan – i wypowiedzieć parę słów.

–Nie znałem jej – odparł Winslow. Zabrzmiało to niemal jak protest.

–Buntownicza Amerykanka – podsunął Shan – która porzuca swe normalne obowiązki, swoje normalne życie, żeby wędrować po tybetańskich górach, bo być może szuka czegoś więcej.

Winslow chrząknął. Lekki uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, powoli przekształcił się w bolesny grymas.

–Mówisz tak, jakbyśmy oboje, ona i ja, szukali tego samego.

Shan nie odpowiedział. W milczeniu wpatrywał się w Amerykanina. Winslow przez chwilę wytrzymywał jego spojrzenie, wkrótce jednak skrzywił się i odwrócił wzrok.

Krajobraz zieleniał, w miarę jak schodzili, posuwając się w głąb prowincji Qinghai. Wzgórza wciąż niewiele się różniły od surowych, pokrytych żwirem stoków, jakie mijali po południowej stronie gór, ale w żlebach, którymi spływała woda z roztopów, roślinność była bujniejsza. Na niższych wysokościach widać było jałowce i topole. Nawet wiewiórki ziemne, biegające w tę i z powrotem wśród rumoszu skalnego pokrywającego znaczną część stoków, zdawały się tu liczniejsze.

Wyglądało na to, że Lokesh jest niezwykle zainteresowany każdym napotkanym strumykiem i rzeczką. Gdy tylko to było możliwe, przystawał, żeby spróbować wody. Ilekroć jakiś strumień pojawiał się w zasięgu wzroku, naciągał nisko kapelusz, by osłonić oczy, i przyglądał się wodzie. Nie mówił nic na ten

temat, ale Shan wiedział, że stary Tybetańczyk myśli o krwistoczerwonej plamie na rzece, którą widzieli poprzedniego dnia. On sam wciąż nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska, wiedział jednak, że uzdrowiciele, u których uczył się Lokesh, wierzyli, że zdrowie ziemi i zdrowie zamieszkujących ją ludzi są ze sobą nierozdzielnie związane. Dla Lokesha i jego nauczycieli niemożliwością było leczyć człowieka bez odwoływania się do harmonii jego duszy oraz zajmować się harmonią jego duszy, nie biorąc pod uwagę harmonii panującej na skrawku ziemi, na którym mieszkał ów człowiek. Wedle Lokesha szkarłatna plama mogła wskazywać na rozdarcie w tkaninie, która spowijała ich wszystkich.

Przez pół godziny Chemi prowadziła ich w dół wąskim stromym żlebem, gdy nagle Winslow zatrzymał się z mapą w dłoni i zawołał przewodniczkę. Pokazała mu na mapie, gdzie są, a następnie wąski jar, do którego mieli właśnie wejść. U wylotu żlebu, u podnóża góry, leży jej wioska, powiedziała, uśmiechając się na samą myśl o domu. Winslow pochylił się, żeby Anya mogła wejść mu na plecy. Chemi przyspieszyła kroku, choć już przedtem szła co najmniej piętnaście metrów przed nimi. Gdy tak

schodzili żlebem, Shanowi zdawało się, że słyszy jej śpiew.

Mroczny żleb urwał się raptownie i ujrzeli, że Chemi stoi w słońcu. Ostry dźwięk, który nagle wydała, miał zapewne być powitaniem. Potem jednak kobieta opadła na kolana i chwyciła się za brzuch, a ów dźwięk przeszedł w długi, bolesny jęk. Shan podbiegł do niej, ale wyglądało na to, że kobieta nie może wykrztusić słowa.

Tu był niegdyś jej dom, istotnie, niecałe sześćdziesiąt metrów od małego strumienia tryskającego ze stoku u wylotu żlebu. Pomiedzy strumieniem a maleńką osadą rosły dawniej drzewa,

teraz jednak pozostały z nich tylko poskręcane, dymiące kikuty. Za nimi zaś widać było tłące się zgliszcza czterech domów.

Rozdział jedenasty

Stali jak ogłuszeni, nie odzywając się słowem. Wreszcie, wśród martwej ciszy, zaczął do nich docierać warkot maszyn i szcęk metalu. Chemi bez wahania, nie oglądając się za siebie, rzuciła się pod osłonę skał sterczących u podnóża stoku za zrujnowaną wioską. Shan pociągnął Lokesha ku tym samym skałom. Winslow pospiesznie wziął Anyę na plecy i ruszył na nimi. Dopiero po stu metrach biegu Chemi się zatrzymała. Zdawało się, że nie może mówić, nie z wysiłku, lecz z powodu cierpienia, które wykrzywiało jej twarz. Pochyliła się między skały, jakby miała zwymiotować. Gdy odwróciła się do idących za nią, Shanowi wydało się, że znów widzi chorą kobietę, słabe stworzenie, które spotkali na szlaku.

To nie były czołgi, jak obawiał się Shan, ale dwa spychacze, które wyłoniły się zza wysokiej skalnej ściany osłaniającej wioskę od południa i wschodu. Jedna z maszyn, zamiast się zatrzymać, opuściła jedynie lemiesz i zaczęła wyrzynać pas przez wioskę, przedzierając się przez ruiny, zostawiając za sobą skłębioną masę szczątków. W powietrze pofrunęło krzesło, kawałki okna, fragmenty łóżka i jeszcze jakiś obrzmiały biały kształt, który mógł być zwłokami psa.

Drugi spychacz ciągnął dwuosiową przyczepę, z której wysiadło kilkunastu mężczyzn. Szybko ją odczepili i gdy spychacz powoli ruszył dalej, zaczęli rozładowywać materiały budowlane.

–Nafciarze – jęknęła Anya. – Tylko oni mają taki sprzęt.

Jej słowa zdawały się mówić wszystko. Dziewczyna ujęła dłoń Chemi i poprowadziła ich między skały. Wioska Yapchi, wspomniata Chemi, leżała zaledwie o godzinę drogi od jej domu.

Shan nigdy nie pojmował subtelności pieszych wędrówek, rozmaitych sposobów stawiania kroków, komunikatów człowieczego chodu – dopóki nie trafił do Tybetu. Lokesh przypomniał mu kiedyś, że Tybet znał koło od wielu stuleci, równie długo jak Chiny czy Indie, ale przez większą część swych dziejów używał tego wynalazku nie do transportu, lecz jedynie pod postacią młynków modlitewnych. Tybetańczycy lubili wędrować pieszo, twierdził Lokesh, gdyż to umacniało ich więź z ziemią i dawało czas na rozmyślania. Ale w Tybecie „chodzić” nie zawsze znaczyło to samo. Był krok pielgrzyma, powolne, nabożne tempo ludzi zmierzających do świętych miejsc. Był krok karawanowy, zdecydowany, miarowy, a ludzie szli nim z oczyma wpatrzonymi w horyzont lub w swe zwierzęta. Był krok więźniów, którzy dreptali, powłócząc nogami i pochylając głowy, niekiedy nawet, z nawyku, długo po odzyskaniu wolności. Teraz zaś Chemi przyjęła inny, nierówny, urywany krok, z licznymi przystankami na nerwowe spojrzenia przez ramię lub zwykłe westchnienia pozwalające fali emocji wezbrać i uciszyć się przed dalszym marszem. Był to krok uchodźcy. Zabolęło Shana, że tak łatwo Chemi weszła w tę rolę.

Szli w milczeniu, dopóki Anya nie doprowadziła ich na wąski występ skalny, z którego roztaczał się widok na północ i na zachód. Znajdowali się na siodłatej przełęczy, która oddzielała szare fałdy wzgórz na wschodzie od niewielkiej żyznej doliny ograniczonej z trzech stron przez długą, wysoką, zakrzywioną odnogę masywu Yapchi. Symetria pokrytej bujną, wiosenną roślinnością doliny i jej łagodnie wygięte krawędzie sprawiały, że wyglądała jak zielona owalna misa. Z wyjątkiem otwartej, porośniętej trawą przełęczy, na której stali, dolina obrzeżona była niespełna półkilometrowej szerokości pasem świerków i sosen. Ponad drzewami wznosiły się urwiska i skalne wieże. Niżej

rozciągały się pastwiska, a bliższy kraniec doliny pokrywała szachownica pól – częściowo na prymitywnych tarasach – jedne w ciepłym odcieniu szarawej zieleni, barwie kielkującego jęczmienia, inne ciemniejsze od traw, uprawianych na paszę dla owiec.

Anya wskazała z podnieceniem grupkę budynków na południowym końcu doliny i przycisnęła różaniec do podbródka, jakby

w milczącej modlitwie. Jej wioska była nietknięta. Dziewczyna z przepaszającą miną uniosła wzrok ku Chemi i ujęła dłoń ponurej kobiety. Chemi była w szoku. Shan nie był pewien, czy w ogóle widzi leżącą u ich stóp dolinę.

–Zostaniesz z nami. Spodoba ci się w Yapchi – powiedziała Anya. – Wkrótce będziemy mieli do herbaty sól z Lamtso – dodała, prowadząc ich z powrotem na ścieżkę.

Winslow został w tyle i obserwował przez lornetkę odległy kraniec doliny. Shan spostrzegł, że marszczy czoło, i sięgnął po własne szkła. Gdy wyregulował ostrość, po przeciwnej stronie doliny, przeszło trzy kilometry dalej, w miejscu, gdzie ziemna droga schodziła ku niej z obniżenia na końcu siodła, zobaczył inną wioskę. Dwa rzędy pudełkowatych konstrukcji, przy których zaparkowano sznur potężnych ciężarówek.

–Przywożą biura i kwatery mieszkalne na ciężarówkach. Kontenery – wyjaśnił Amerykanin.

Shan skinął głową i znów zbliżył lornetkę do oczu. Widywał konwoje przedsiębiorstw naftowych w Xinjiang, rozległym, pustynnym regionie na północnym zachodzie. Kiedyś natknął się na jeden z nich: ciągnący się poboczem przeszło półtora kilometra sznur mniejszych i większych ciężarówek, autobusów, wież wiertniczych i wozów laboratoryjnych, małe miasto na kółkach.

Na stoku nad obozem nacierzy robotnicy karczowali las. Wycięli pas szeroki na czterysta metrów, a pnie toczyli w dół. Pas pniaków wyglądał jak otwarta rana na stoku góry.

Winslow znów wskazał coś palcem i Shan skierował lornetkę ku środkowi doliny, gdzie wznosiła się masywna wieża wiertnicza, przy której stały dwie ciężarówki.

–Łatwy teren – zauważył Winslow. – Tak powiedział mi kierownik. Bardzo suchy. Oni lubią, jak jest sucho. Woda komplikuje sprawy, zwiększa koszty. W Yapchi jest tak sucho, że muszą sprowadzać wodę wielkimi cysternami. Brak wody na dnie doliny oznacza, że mogą bez problemów pracować na środku, w najniższym punkcie, najbliżej celu.

Celu. Shan przypomniał sobie słowa Lhandra. Spółka chciała wytoczyć krew z ziemi Yapchi.

Winslow odwrócił się, by ruszyć za resztą, spostrzegł jednak, że Shan wciąż przepatruje zbocza.

–To był ładny kamyk – zauważył.

Shan opuścił lornetkę i uśmiechnął się lekko.

–Nie spodziewam się wypatrzeć skradzionego oka – odparł cicho. – Staram się po prostu zrozumieć, jak szukać ślepego bóstwa.

Amerykanin przyjrzał mu się badawczo, jakby próbował odgadnąć, czy to żart, po czym z odrazą zerknął na wieżę wiertniczą.

–Tam, skąd pochodzę, uczono nas, że jeśli zrobi się coś naprawdę złego, bóg wychyli się z nieba i dopadnie winowajcę.

–Chcesz powiedzieć, że powinienem rozglądać się za gniewnym bóstwem? – zapytał Shan.

Ale Amerykanin po prostu odwrócił się i ruszył dalej.

Gdy schodzili wijącym się szlakiem, przeciskając się przez wąskie korytarze skalne i gęstwiny jałowców, Shan wciąż miał

przed oczyma obraz doliny. Zaczynał lepiej rozumieć namiętą miłość rongpów do swego domu. Był to tak maleńki fragment świata, tak odizolowany, że nie było tu elektryczności, nie było nawet czegoś, co przypominałoby drogę, spokojny, położony na uboczu, samowystarczalny zakątek, w którym można było zapomnieć o zewnętrznym świecie na całe tygodnie, a nawet miesiące. Dopóki nie przybyło Przedsiębiorstwo Naftowe Qinghai.

Pół godziny później wynurzyli się z wąskiego jaru przy kępie kilku wysokich jałowców i niecałe czterysta metrów przed sobą ujrzeli jak na dłoni wioskę Yapchi. Była mniejsza, niż Shan się spodziewał, nie większa niż maleńkie miasteczko rongpów, gdzie po raz pierwszy spotkali Winslowa. Po prawej, gdzie rzadko rosnące drzewa ustępowały trawiastemu zboczowi, stał pradawny czorten trzymetrowej wysokości. Shan obszedł go dookoła, wodząc dłonią po kamiennym murze. Teksty modlitw pokrywające jego dolną część w większości zatarł już czas.

Shan spostrzegł, że stojący w cieniu ostatniego drzewa Winslow ociąga się, i uświadomił sobie, że nigdzie nie widać ich towarzyszy. Ruszył niepewnie w stronę wioski, gdy nagle upadł mu u stóp mały kamyczek. Odwrócił się i ujrzął, że za Winslowem stoi Tenzin i jakiś ponury Tybetańczyk w brudnym zielonym swetrze,

przy czymś, co niegdyś było długim murem mani wzniesionym z kamieni pokrytych mantrami. Tenzin skinął na Shana i odszedł wraz z nieznanym między drzewa, za jedną ze skał rozsianych po rzadkim lesie. Shan z wahaniem ruszył za nim, jednak gdy dotarł do muru mani, przyklęknął na chwilę i podniósł jeden z omszałych kamieni. Musiał mieć setki lat, a wykuta na nim inskrypcja tak obrosła ciemnym porostem, że zdawało się, iż to sam porost uformował się w mantrę. Samoistna

modlitwa, jak nazwałby to Lokesh.

Oparł kamień o drzewo, stroną pokrytą inskrypcją na zewnątrz, po czym ruszył za Winslowem, Tenzinem i nieznanym Tybetańczykiem. Schodzili krętą ścieżynką w stronę, z której dobiegał jakiś gwar. W powietrzu unosiła się woń płonącego jałowca. Minęli wysoki kamienny mur i nagle znaleźli się w tętniącym życiem obozowisku. Przyskoczył do nich szczupły tybetański chłopak o ospowatej twarzy, który chwycił Tenzina za rękę i pociągnął go w głąb małego, ślepego jaru. Mężczyzna w obszarpanym zielonym swetrze podążył za nimi jak cień.

Shan przystanął u wejścia do wąskiego jaru, przyglądając się scenie w głębi. Co najmniej czterdzieści osób leżało na kocach lub siedziało wokół ognisk, jedni z sińcami na twarzach, inni z rękami na temblakach. Na jednym z kocy leżał twarzą w dół młody człowiek, nad którym pochylała się siwowłosa kobieta.

Chemi, siedząc pod ścianą jaru, rozmawiała gorączkowym tonem ze starszą kobietą. Masowała przy tym dłoń potężnego mężczyzny z opuchniętą twarzą i szklistymi oczyma, który wpiął się oparty o skałę. Przez temblak na lewej ręce sączyła mu się krew, którą przesiąknięty był również opasujący głowę bandaż.

– Nasza wioska była najbliżej, więc jej rodzina uciekła tutaj – wyjaśniła Anya, stając obok Shana. – Firma powiedziała, że muszą zbudować w domu Chemi stację wodociągową, zainstalować zbiorniki, żeby pobierać wodę ze strumienia dla obozu robotników. Mówili, że domy nie mogą zostać, bo zanieczyszczałyby wodę potrzebną dla robotników. Zapewniali, że firma wypłaci odszkodowania. Ludzie z firmy nie rozumieli, kiedy siostra Chemi tłumaczyła im, że muszą mieć na to zgodę rady powiatowej. Ale wzięli sobie żołnierzy do pomocy.

–Przyprowadzili człowieka z rządu, nie tylko wojsko – wtrąciła stara kobieta. – Pokazał nam swoją wizytówkę. Z jakiegoś ministerstwa. Było napisane: Pekin. Nigdyśmy nie pomyśleli, że Pekin może zwrócić na nas uwagę. Mój syn zawsze chciał poznać kogoś z Pekinu, bo w szkole słyszał, że tam mieszka wielu bohaterów. Ale to był tylko niski Mongoł w ciemnych okularach.

–Projekty specjalne – mruknął gorzko Winslow nad ramieniem Shana. Zhu, dyrektor do spraw projektów specjalnych, był obecny przy niszczeniu wioski.

Wśród zgromadzonych było też kilkoro mieszkańców Yapchi, którzy przyszli pomóc rannym, a teraz z podnieceniem wypytywali Anyę o powracającą karawanę. Niektórzy z wieśniaków po rozmowie z dziewczyną z powagą przyglądali się Shanowi, wkrótce jednak ich spojrzenia przyciągała postać Winslowa, który zaczął właśnie krążyć po obozowisku. Niemożliwością było nie zwrócić uwagi na wysokiego obcokrajowca o jasnej skórze. Zatrzymywał się przy postaniach i rozmawiał cicho z leżącymi, później zaś sięgnął do plecaka i wyjął swe zapasy jedzenia. Torebka rodzyneków, torebka orzechów i torebka landrynek. W obozowisku nie było zbyt wielu dzieci, jedynie czworo, nie licząc Anyi, ale cała czwórka otoczyła Amerykanina i radośnie podzieliła się tymi skarbami. Anya przyglądała się im z dziwnie obojętną miną, jak gdyby, pomyślał Shan, zapomniała już, co znaczy być dzieckiem.

Mężczyzna obok Chemi jęknął, zamknął szkliste oczy i chyba zemdłał. Kobieta zdjęła płaszcz, uniosła rannemu głowę i podłożyła pod nią swe okrycie.

–To mój wuj, Dzopa – szepnęła. – Nie było go przez dziesięć lat. Mieszkał w Indiach.

Shan z uwagą przyjrzał się mężczyźnie. Zdezorientowany

odwrócił się do Chemi.

–Dlaczego wrócił?

–Nie mogę zrozumieć, co on mówi – odparła. Oczy wzbierały jej łzami. Głową wskazała siedzącą obok kobietę, ubijającą herbatę ze smutnym, nieobecny wyrazem twarzy. – Moja kuzynka mówi, że on próbował wyprowadzić ludzi z wioski, kiedy ten czołg zaczął strzelać. Był wybuch i coś uderzyło go w głowę.

Wrócił zaledwie dzień wcześniej, szukając mnie. Słyszał, że byłam chora. On nie ma innej rodziny. W młodości żył w gompie i nigdy się nie ożenił.

Rosły Tybetańczyk miał pod sześćdziesiątkę. Jego ramiona były grube jak kłody, szyja jak u byka.

–Jest teraz rolnikiem? – zapytał Shan.

Chemi skinęła głową.

–Przysłał kiedyś list. Osiedlił się w Dharamsali – odparła, mając na myśli siedzibę wygnanego tybetańskiego rządu.

–Jak myślisz, dlaczego wrócił?

–Czasami dalajlama wygłasza przemówienia i mówi, że największą przysługą, jaką uchodźca może wyświadczyć Tybetowi, jest wrócić. Dlatego, że człowiek, który przedostał się przez granicę do Indii, złożył tym dowód swej wiary i siły, a tego trzeba, aby zachować Tybet przy życiu.

Shan jeszcze raz przyjrzał się poturbowanemu mężczyźnie. Jego obrażenia wyglądały na poważne. Palce lewej dłoni Dzo-py drżały, co mogło świadczyć o uszkodzeniu nerwu.

–Czy on przywiózł coś z Indii? Może jakąś wiadomość? A może miał tam kogoś zabrać? – wypytywał Shan, ale Chemi odwróciła się i poszła w głąb jaru. Znalazł ją tam z Lokeshem i Anyą, którzy siedzieli z czarkami herbaty przy kręgu ludzi recytujących mantrę.

–Oni nie przerwą tej mantry, dopóki tamci nie odejdą -

wyjaśnił Lokesh.

Za kręgiem siedzących leżał płaski kamień, a na nim stało kilka drewnianych czarek ofiarnych i osmalone metalowe naczynie, w którym płonęło kadzidło. Lhandro mówił, że Anya i Nyma zbudowały kapliczkę w wąwozie za wioską.

–Masz na myśli spychacze w wiosce Chemi? – zapytał Shan.

–Nie – odparła Anya z podnieceniem w głosie i rozszerzonymi oczyma. – Nie przestaną, dopóki Chińczycy i cudzoziemcy nie opuszczą naszej doliny. Recytują ją w dzień i w nocy. Ślubowali to Tarze. Łańcuch mantry, tak długo, jak długo będzie trzeba. Wszyscy będziemy włączać się na zmianę, kiedy kto może.

Shan przyjrzał się dziewczynie i dostrzegł znajomy dziki błysk w jej oku. W obozie mieszkał w jednym baraku ze starym bojownikiem z plemienia Khampów, odsiadującym dożywocie za kierowanie napaściami na żołnierzy. Człowiek ten zdumiewał się wytrwałością, z jaką mnisi znosili bicie lub elektrowstrząsy, uciekając się jedynie do modlitwy. „Ja sam potrafiłem tylko strzelać z karabinu”, mawiał często Khampa głosem, w którym nieodmiennie pobrzmiwał podziw dla świętych ludzi. „To nic w porównaniu z nimi”.

Shana kusilo, żeby usiąść w kręgu. Być może to było wszystko, co mogli teraz zrobić: po prostu się modlić.

–Dlaczego wuj Chemi chciał wyprowadzić mieszkańców wioski? Dlaczego ich ostrzegał? – zapytał dziewczynę.

–Być może dlatego, że spotkał jakichś ludzi, którzy mieszkali w pobliżu chińskich inwestycji. Obawiał się, że firma ich zabierze.

–Zabierze?

–Żeby pracowali dla niej. Albo że wysiedli rodziny w obce miejsce. Ludzie z naszej wsi mówią, że przez cały czas, kiedy nas nie było, firma znęcała się nad nimi, dręczyła ich, starała się

wszystkich przepędzić. Zabrała wszystkich młodych mężczyzn, którzy byli w Yapchi, do ścinania drzew. Muszą teraz mieszkać w tamtym obozie, w tych metalowych pudłach, które są zamykane na noc. Inni nie chodzą tam nawet zapytać o nich, bo się boją, że też zostaną zabrani. – Anya mówiła to wszystko wyzywającym tonem, jakiego Shan nigdy jeszcze nie słyszał w jej głosie. Ale gdy na niego spojrzała, w jej oczach pojawiło się zakłopotanie, a potem strach. – Zamknięci w metalowych pudłach – powtórzyła i odwróciła się, żeby dołączyć do kręgu.

Dziesięć metrów dalej, w załamaniu jaru, siedział Tenzin w towarzystwie dwóch Tybetańczyków, którzy sprowadzili go do obozu, i jeszcze jednego, starszego, którego twarz nosiła jednak ten sam wyraz zapiekłego gniewu, jaki wypalony był na twarzach tamtych. Najmłodszy z mężczyzn odwrócił się nagle, wstał i zrobił krok w stronę Shana, prostując się w pozie wartownika. Nie byli to ludzie, którzy stawiali opór Chińczykom, jedynie recytując mantry. Shan spojrzał ponad jego ramieniem na Tenzina, który pochylił się, słuchając poważnie starszego mężczyzny. Obok nich leżał stos sprzętu: plecione skórzane liny, butelki wody, kompas na sznurku, składana łopata, nylonowe śpiwory.

Nagle od przedniej części obozowiska doleciał bolesny jęk. Shan pognał tam, a tuż za nim purbowie. Zobaczyli, że Chemi, uwieszona na ramionach wuja, próbuje go położyć. Dzopa siedział na pościeli, z drewnianym trzonkiem ubijaka do herbaty w dłoniach, uderzając nim dziko w mały pniak. Trzonek kruszył mu się w rękach. Shan chwycił za ramię mężczyzny, ten jednak odepchnął go bez najmniejszego wysiłku. Chemi położyła Dzopie dłonie na policzkach.

–Wujku! – krzyknęła. – Przestań!

Dzopa uspokoił się na chwilę i zdawało się, że ją dostrzega, choć jego oczy nie straciły błędnego wyrazu.

–Powstrzymać ich! – ryknął z kolejnym mrozącym krew w żyłach jękiem. – Oni palą lamów! – Opadł na plecy, nieprzytomny, z kikutem ubijaka w dłoni.

Shan, siedząc wciąż na ziemi, gdzie padł odepchnięty przez Dzopę, wpatrywał się w niego z przerażeniem.

–To jego głowa – szepnęła Chemi, spoglądając na Shana. Sięgnęła po szmatkę, by otrzeć czoło wuja, ale zamarła na widok otaczających ją ludzi. Wszyscy wpatrywali się z trwogą w nieprzytomnego mężczyznę. Niektórzy wyciągnęli różańce i zaczęli szeptać mantry.

Mimo protestów starszych kobiet Anya zgodziła się, gdy Shan ją poprosił, żeby go zabrała do swej wioski. On musi poznać dolinę, oświadczyła stanowczo, gdyż oku przeznaczone jest powrócić do niego, a kiedy to nastąpi, będzie musiał działać szybko. Jedna ze słuchających, grubokoścista niezgrabna kobieta w długiej filcowej spódnicy i czerwonym fartuchu, ponuro pokiwała głową.

–Jeśli ta ropa ruszy – stwierdziła zaczepnie, jakby udzielała reprimendy sąsiadkom – ci Chińczycy nigdy nie odejdą.

Shan wyciągnął z worka lornetkę i ruszył za Anyą i zadziorną kobietą w stronę wioski.

Bóstwo mieszkało na niskim wzgórku w pobliżu środka doliny, wyjaśniła kobieta. Przed niespełna trzystu laty pewien lama znalazł je w jednej ze skał zaledwie kilkaset metrów od wioski i wieśniacy wznieśli wokół niego mur mani. Lamowie ze słynnej

gompą Rapjung przychodzili co roku, by pobłogosławić skałę i ludzi, którzy ją chronili.

Z pierwszej z mijanych chałup wypadł brązowy pies, zanosząc się głośnym szczekaniem, które wkrótce zmieniło się w podniecony skowyt, gdy rozpoznał Anyę. W drzwiach drugiego

domu pojawił się niemal bezzębny starzec z poczerniałą od sadzy twarzą. Zawołał z czułością do dziewczyny, która obiecała mu, że następnego dnia dostanie świeżą sól z Lamtso. Zza kruszącego się muru z ubitej ziemi, który otaczał trzecie domostwo, wyjrzał jakiś mężczyzna w wyświechtanej okrągłej czapeczce i zapytał Anyę o Lhandra. Shan kroczył dalej szeroką ścieżką, jedyną drogą w tej wiosce, podczas gdy Anya biegała od jednego do drugiego z nielicznych mieszkańców, którzy się pokazali. Jeden dom, na samym skraju wioski, wzniesiony był z solidnych belek i miał strych na paszę. Była to stara, elegancka konstrukcja w tradycyjnym stylu Khamu, gdzie niegdyś była obfitość drewna. Na ścianie domu wisiał wielki drewniany bęben, niemal sześćdziesięciocentymetrowej średnicy i trzydziestocentymetrowej wysokości, jakich używano do przywoływania bóstw. Shan przyglądał się domowi, przypominając sobie opowieść Nymy o ataku wycofującej się chińskiej dywizji. Tylko jeden dom przetrwał bombardowanie. Przy wejściu stał miniaturowy, wysoki na nieco ponad pół metra czorten: kapliczka dla domowych relikwii. Naprzeciwko, za kolejnym ogrodzeniem z ubitej ziemi, stała stajnia, wyglądająca solidniej niż niejeden z domów, w której leżało pół tuzina owiec i tyle samo jagniąt wygrzewających się w późno popołudniowym słońcu.

Szedł ku wznoszącemu się półtora kilometra za wsią długiemu niskiemu wzgórkowi, najwyraźniej usypanemu ludzką ręką. Kilka pasących się owiec uniosło wzrok, gdy szedł szeroką ścieżką łączącą wioskę z odległym końcem doliny. Łoskot maszynarii z każdym krokiem stawał się głośniejszy. Wieża wiertnicza pracowała niespełna sto metrów za wzgórkami.

Nim wspiał się na wzniesienie, przyjrzał się ścieżce. Ciągnęła się wzdłuż podstawy trawiastego grzbietu i opuszczała dolinę

przez małą przełęcz na jej północnym krańcu, w pobliżu obozu nafcjarzy. Na odcinku od wieży wiertniczej do przełęczki prowadzącej ku zewnętrznemu światu została rozryta, poszerzona przez buldożery. Tą samą ścieżką przyszedli niegdyś żołnierze, przypomniał sobie, mściwi chińscy żołnierze, zboczywszy nieco z drogi podczas odwrotu do Pekinu, by spustoszyć tę dolinę. Wspinając się na mały wzgórek, odtworzył w pamięci tę opowieść. Wydarzyło się to takiego właśnie wiosennego dnia, być może w tym samym miesiącu, gdyż Nyma wspomniała, że karawana solna jeszcze nie wróciła. Wojsko ostrzelało wioskę z dział, a wieśniacy uciekli, nie na górskie zbocza, lecz pod ochronę swego bóstwa. Potem chiński oficer wysłał żołnierzy z szablami, żeby ich zaszlachtowali, i nikt nie pozostał przy życiu. Jeszcze raz rozejrzał się po otaczających dolinę stokach. Dostrzegł tam ruiny małych budynków i zarysy nie uprawianych od wielu lat pól. Kiedyś tutejsza społeczność musiała być większa. Całe rodziny zostały unicestwione tamtego dnia, w którym chińscy żołnierze roztrzaskali bóstwo.

Pagórek otaczał niski mur mani z dwoma sznurami flag modlitewnych przywiązanymi do słupków. Na szczycie leżało ponad dwadzieścia khat, szali modlitewnych, przyciśniętych do ziemi małymi kamieniami. Większość była już w strzępach. Shan podniósł jeden z kamieni mani i nie wiedząc dlaczego, uniósł go w stronę wzgórka, potem w stronę obozu nafcjarzy. W tej samej chwili podmuch wiatru szarpnął flagami modlitewnymi, a jedna ze starych wystrzępionych khat uwolniła się i pofrunęła nad doliną na zachód.

Lokesh powiedziałby, że to nie był przypadek, że Shan od zawsze miał znaleźć się tam w tej godzinie, a szal, po tak wielu latach leżenia na wzgórku, od zawsze miał zostać zdmuchnięty w tym samym momencie. Ów zbieg wydarzeń był wpleciony w

tkaninę życia Shana, mógłby jeszcze dodać. To dlatego właśnie Lokesh i wielu innych znanych Shanowi Tybetańczyków przystawało i przyglądało się, gdy jastrząb niskim lotem przeciął im drogę, gdy zeschnięty liść zatańczył przed nimi w powietrzu albo chmura o szczególnym kształcie sunęła przez tarczę księżyca akurat w chwili, gdy unieśli wzrok. Dzieła natury mogły im się wydawać nieoczekiwane, ale nigdy nie przypadkowe.

Odłożył kamień mani i z szacunkiem przyjrzał się wzgórkowi, zbiorowej mogile mieszkańców Yapchi, po czym zrobił to, co zrobiłby Lokesh. Poszedł za khata.

Szal polatywał nad doliną przeszło sto kroków dalej, to opadając na ziemię, to wzbijając się w górę, jakby niesiony jakąś niewidzialną dłonią. Podążając jego śladem, Shan przyglądał się poszarpanym wierzchołkom okolicznych gór. W takiej okolicy należało się spodziewać jaskiń – wielu jaskiń, jak powiedziała Nyma – które mogłyby służyć za kryjówkę ludziom i bóstwom. Szedł wolnym krokiem, chłonąc oczyma dolinę, spodziewając się, że khata opadnie wreszcie lub zaczepi się o jeden z niskich krzewów na skraju łąki, gdzie zbocze stawało się bardziej strome. Gdy jednak dotarł do stoku, szal wystrzelił wysoko w niebo, trzepocąc się jak uwolniony z klatki gołąb, i poszybował w stronę lasu na północy.

Śledząc wzrokiem umykającą khata, Shan zastanawiał się, czy nie zawrócić. Ale do zmroku została jeszcze dobra godzina, a nawet po ciemku z pewnością trafiłby ścieżką z powrotem. Musiał zrozumieć dolinę. Musiał się dowiedzieć, gdzie może ukrywać się bóstwo. Albo przynajmniej, dokąd może umknąć szal modlitewny. Wspiął się ku dającym osłonę drzewom, przystając kilkakrotnie, żeby przyjrzeć się wieży wiertniczej oraz obozowi nafciarzy, i skręcił w stronę, gdzie po raz ostatni widział khata. Dziesięć minut później zobaczył skrawek bieli wiszący na

niskich gałęziach sosny w miejscu, gdzie zbocze wyginało się ku wschodowi.

Wiatr przyniósł warkot pił łańcuchowych i Shan przystanął. Uniósł do oczu lornetkę, żeby przyjrzeć się cywilizowanemu przez nacierzy krańcowi doliny. Było tam więcej przyczep, niż sądził z początku, dwa rzędy, w każdym po pięć tych pudeł. Metalowe pudła, tak nazywali je wieśniacy, którzy uważali, że nie zasługują na miano domów. Za przyczepami stało kilka namiotów oraz najróżniejsze ciężarówki, od lekkich pojazdów dostawczych po ciężkie wywrotki, a także wielki, otwarty namiot, który zdawał się służyć za garaż i warsztat. Ponad obozem, aż do urwiska zamykającego od góry dolinę, ciągnął się szeroki pas pniaków. Przy wyrębie pracowało dwudziestu kilku ludzi, ścinając drzewa w zatrważającym tempie.

Shan wyplątał khatę z gałęzi i schował ją do kieszeni, po czym ruszył dalej, z większą czujnością, notując w myślach położenie drzew i skał, za którymi mógłby się ukryć. Dwieście metrów od obozu znalazł gruby pień, powalony przez wiek, nie przez piłę, i usiadł na nim. Na skraju obozu kilkunastu mężczyzn kopało piłkę na łące, która wyglądała na pastwisko dla owiec. Grali ostro, wrzeszcząc, ale nie wiwatowali. Za nimi, w pobliżu namiotów, unosił się dym z kilku ognisk, na których gotowano posiłek. Macka, gniewnie powiedział Drake o jednym z takich obozów, na który natknęli się podczas wspólnej podróży, kompleks pozyskiwania drewna. Jedna z wysuniętych macek Pekinu. Tak właśnie Pekin umacniał swą władzę w najdalszych zakątkach kraju, demonstrował siłę, wydierał bogactwa.

Przyglądając się drwalom, zauważył ludzi rozstawionych w równych odstępach wokół terenu wyrębu. Przed czym go strzegą? zastanawiał się. Z pewnością drapieżniki nie były tak liczne, by zagrozić pracującym. Potem z dreszczem przypomniał

sobie, że do wyrębu zwerbowano wieśniaków z Yapchi. Strażnicy na obrzeżu nie mieli chronić pracowników, lecz uniemożliwić im ucieczkę. Cóż za okrutna tortura, pomyślał, nie dość, że uczynili rongpów więźniami w ich własnej dolinie, to jeszcze zmusili do niszczenia bogactw ich własnej ziemi.

Gdy słońce zaczęło się chować za wzgórzami, ruszył chyłkiem w stronę łąki, licząc, że uda mu się pochwycić strzęp rozmowy, akcent, cokolwiek, co mogłoby mu coś powiedzieć na temat Przedsiębiorstwa Naftowego Qinghai. Ale gdy podszedł bliżej, zwolnił kroku i dreszcz przebiegł mu po plecach. Choć futboliści byli w zwykłych bawełnianych koszulkach lub podkoszulkach, wszyscy mieli jednakowe mocne, schludne spodnie – jedna strona zielone, druga szare – i wszyscy nosili jednakowe ciężkie, wysokie, czarne buty, wszyscy mieli jednakowo szczupłe, muskularne sylwetki. Na dalszym końcu łąki stała duża szara ciężarówka z wymalowanym na drzwiach symbolem. Uniósł lornetkę, spodziewając się, że zobaczy logo spółki z wieżą wiertniczą. Ale na drzwiach dostrzegł panterę śnieżną. Za ciężarówką stało kilka lśniących samochodów terenowych w kolorze ołowianej szarości. Shan poczuł ucisk w dołku. Futboliści nie byli

pracownikami firmy. Były to dwie grupy rywalizujących żołnierzy. Ludzie Lina grali w piłkę nożną z pałkarzami.

Następnego dnia o świcie do obozowiska za wioską Yapchi przybyła mała grupa Tybetańczyków. Anya na odgłos ich kroków, sądząc, że to przybywa karawana, pobiegła do wylotu małego jaru i stanęła jak wryta. Zobaczyła jakąś kobietę kuśtykającą o lasce, za nią zaś powłóczącego nogami małego chłopca, ze stopami zwróconymi do wewnątrz i strużką śliny zwisającą z ust. Towarzyszyła im czwórka innych, kobieta z oczyma przesłoniętymi kataraktą, prowadzący ją nastoletni chłopiec oraz

krzepki mężczyzna w obszarpanej chubie niosący wąż kobietę, która spała w jego ramionach jak dziecko.

Stali w milczeniu, wodząc wzrokiem po śpiących postaciach.

–Jego tu nie ma – powiedziała cicho Chemi tonem przeprosin i nagle Shan zrozumiał. Do Yapchi ściągali chorzy.

Prawdopodobnie szli całą noc, mając nadzieję zastać tu lamę uzdrowiciela. Pasterz niosący kobietę ułożył ją na kocu i potarł oczy.

Shanowi zdawało się, że widzi łzy.

–Ale spotkałam go – dodała Chemi weselej. – Wyleczył mnie.

Kulawa kobieta z niedowierzaniem uniosła wzrok.

–Ten, którego szukamy, jest kimś z dawnych dni. Słyszeliśmy pogłoski z gór. Ale oni... oni wszyscy już dawno pomarli.

Czasem można się tylko kierować pogłoskami... – Głos uwiązł jej w gardle i utkwiała wzrok w ziemi. – Niektórzy mówią, że on przyszedł zająć tron Siddhiego. Niektórzy mówią, że przybył z bayalu, by ulżyć naszym cierpieniom.

–Spotkałam go – powtórzyła z naciskiem Chemi. – Wyleczył mnie.

Kobieta o kuli spojrzała na nią z otwartymi ustami, jakby dopiero teraz dotarły do niej te słowa.

–Lha gyal lo – powiedziała suchym, chrapliwym głosem i nagle się zachwiała. Chemi przyskoczyła do niej i kobieta padła w jej ramiona.

Shan podszedł do małego ogniska w głębi jaru i przyniósł herbatę dla chorej.

–Co ona miała na myśli, mówiąc o tronie Siddhiego? – zapytał, podając czarękę Chemi.

–To stara historia – odparła nerwowo. Zerknęła na niego i zaraz odwróciła wzrok.

–Chodzi o ruch oporu – szepnął Lokesh, który pojawił się nie

wiadomo skąd i uklęknął obok chorej kobiety. – Słyszałem, jak rozmawiali o tym purbowie, bardzo podnieceni. Podobno setki lat temu pewien lama o imieniu Siddhi zorganizował w tym regionie opór przeciwko mongolskim najeźdźcom. Zmobilizował ludzi jak nikt przed nim i sprawił, że Mongołowie nigdy już nie wrócili na te ziemie.

–W górach było pewne miejsce, w którym często przebywał – podjęła opowieść Chemi – mała łąka wysoko na stoku góry. Jest tam skała w kształcie tronu, gdzie siadywał i przemawiał do ludzi. Ludzie od lat chodzą tam się modlić. Niektórzy mówią, że on był wojownikiem. Niektórzy mówią, że był uzdrowicielem, który po prostu dał ludziom nadzieję i siłę.

Lokesh dostrzegł sceptycyzm na twarzy Shana.

–Oni chcą wierzyć w takie rzeczy – powiedział i wskazał głową kolejną grupę przybyłych, którzy rozsiedli się już i rozmawiali ze starszym purbą. – Oni twierdzą, że wszyscy, na wiele kilometrów dokoła, mówią tylko o Yapchi. Twierdzą, że jeśli prawdziwy lama zajmie tron Siddhiego, przepędzą Chińczyków z Yapchi, przepędzą ich z całego regionu.

Shan wrócił sam do wioski przytłoczony dziwnym poczuciem winy, które opadło go nocą. Nie mógł patrzeć w wynędzniałe twarze chorych Tybetańczyków, którzy spoglądali na niego, szukając wyjaśnień. Prześladowały go te twarze. Zrobił źle, że tu przyszedł, gdyż dał ludziom z Yapchi nadzieję, a nie było żadnej nadziei. Pekin odkrył piękną dolinę i przekazał ją spółce naftowej oraz jej amerykańskim partnerom. Równie dobrze mogło ją przejąć wojsko i zbudować tu nową bazę rakietową, gdyż takie przedsięwzięcie jak to przez długie lata nie zostanie zlikwidowane czy przeniesione. W Chinach była tylko jedna rzecz bardziej niepowstrzymana niż marsz wojska – marsz postępu gospodarczego. Gdy firma natrafi na ropę, przeorze całą dolinę,

wyssie z niej wszystkie siły życiowe, obedrze ją ze wszystkiego, co przedstawia jakąkolwiek wartość, i w końcu pozostawi ją skażoną i pustą.

Shan spędził cztery lata w obozie pracy, budując drogi, żeby Pekin mógł tu prowadzić ekspansję gospodarczą, drogi penetrujące doliny przeoczone przez pierwszą falę chińskiego osadnictwa. Najgorszą torturą zadawaną tybetańskim więźniom było nie tyle zmuszanie ich do rozbijania skał na wysokich górskich przełęczach, by ciężarówki mogły trawersować strome stoki, ile zmuszanie ich, żeby się przyglądali, jak w kolejnej dolinie otwartej dla zewnętrznego świata wycina się każde drzewo, wydziera ziemi każdą żyłą węgla.

Wioska Yapchi wyglądała na jeszcze bardziej opustoszałą niż poprzedniego dnia. Że ktoś tu jeszcze mieszka, świadczyły tylko jagnięta, które brykały w otoczonej ziemnym murem zagrodzie, jakby to, że wzeszło słońce, wprawiło je w euforię. Potem w kilku oknach zauważył twarze ludzi, którzy patrzyli na niego i ścieżkę przez dolinę. Łoskot wiertnicy w nieruchomym powietrzu odbijał się echem od ścian doliny, przy akompaniamencie odległego jęku pił łańcuchowych. W drzwiach ostatniego domu, prostego drewnianej chaty, którą podziwiał poprzedniego dnia, pojawiła się stara kobieta. Przywitała Shana szybkim skinieniem głowy, po czym powoli, nieśmiało, wciąż stojąc w drzwiach, wyciągnęła ku niemu czarę herbaty. Po chwili wahania wszedł przez otwartą furtkę w niskim murku otaczającym gospodarstwo i skinął głową, przyjmując czarę. Kobieta cofnęła się bez słowa, gestem zapraszając go do domu.

Była tu tylko jedna, obszerna izba z sypialnym podwyższeniem pod tylną ścianą oraz częścią kuchenną i jadalnią po przeciwnej stronie. Starannie obrobione deskowanie, ścian i podłogi nosiło wyraźną patynę wieku. Tuż przy

podwyższeniu sypialnym stał mały drewniany ołtarzyk, na nim zaś siedem tradycyjnych czarek ofiarnych oraz oprawione zdjęcie dalajlamy, obok którego dymiła laseczka kadzidła. Dywan na środku izby, choć w pobliżu ołtarzyka wytarty niemal na wylot, przedstawiał węzły nie kończącego się życia oraz pozostałe siedem z Ośmiu DrogocЕННОści w nasyconych czerwieniach i brązach. Niemal wszystko tutaj było z drewna, gliny lub wełny. Izba promieniowała naturalnym, kojącym spokojem, niczym polana w pradawnym lesie.

Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało i przybierając poważną minę, usiadła na przysadzistym stołku obok podwyższenia sypialnego. Shan niepewnie ruszył za nią i w cieniu na platformie spostrzegł jakąś postać. Pótleżała na jednym z dwóch sienników, plecami oparta o ścianę. Był to wiekowy mężczyzna, który odwrócił się i bardzo powoli uniósł, podtrzymując się dłonią ściany, po czym z widocznym wysiłkiem przesunął się w stronę Shana. Starzec usiadł na skraju podwyższenia, obok kobiety, i przyglądał się gościowi, cmokając popękkanymi, wyschniętymi wargami. Cisza, jak podejrzewał Shan, stanowiła stały element tej izby, równie realny jak ołtarzyk i stojące pod ścianą proste ławy. W ciszy dotarł do niego odgłos szybkich, płytkich oddechów i jego wzrok padł na jakieś ciało leżące na kocu w rogu podwyższenia. Jagnię.

–Chcieliśmy ci tylko podziękować – odezwał się mężczyzna. Jego głos był ochryply, słaby niczym szept, jakby od dawna go nie używał. – Nazywam się Lepka.

Shan usiadł na podłodze przed starcem.

–Nic nie zrobiłem. Oko przepadło.

–Tak czy inaczej przyszedłeś – odparł mężczyzna głosem lamy. – Już toczą się zmiany. Sprowadziłeś oko bliżej, niż było przez całe sto lat.

Toczą się zmiany. Shan nie mógł się zmusić, by zapytać wiekowego Tybetańczyka, o jakie zmiany mu chodzi. Zniszczenie wioski Chemi? Zgromadzenie pałkarzy i wojska w dolinie, prawdopodobnie po raz pierwszy od tamtego straszliwego dnia, kiedy oko zostało skradzione? Odległe dudnienie wiertnicy wgrzyzającej się w ziemię? Zuchwała gadanina o przeciwstawieniu się Chińczykom w dolinie?

Uśmiechnął się smutno i przyjrzał się Lepce. Nauczył się widzieć w takich jak on jeden ze skarbów ustronnych zakątków Tybetu, ludzi, którzy zdawali się nie podlegać władzy czasu, lub przynajmniej opierać się starzeniu, którzy żyli sto albo i więcej lat, a ich najbardziej żywe wspomnienia pochodziły nie z czasów po chińskiej inwazji, ale sprzed niej. Skóra mężczyzny przypominała pergamin. Był bardzo stary, być może nawet dość stary, by pamiętać dzień, kiedy oko zostało zabrane z Yapchi. Jego sękaty palec, jak z rumieńcem zażenowania spostrzegł Shan, ułożone były w mudrą ofiarną, symbol wody do obmycia stóp, używaną przy inicjacji mnichów lub przyjmowaniu uświęconych gości.

– Poszedłem tam – rzekł Lepka. – Podparłem się kijem i zszedłem do tej chińskiej maszyny. – Znów cmoknął wargami i kobieta podała mu czarkę wody stojącą przy podwyższeniu. Upił łyk i powiedział: – Rzuciłem w nią kamieniem. – Gdy mówił, cienka strużka wody spłynęła mu z ust. – Czasami demony nasyłają na ludzi wizje, sprawiają, że widzą złe rzeczy, których tak naprawdę nie ma. Ale kamień uderzył w metal i odbił się. Robotnicy roześmiali się i powiedzieli: „Patrzcie na tego szalonego starucha”. – Lepka spojrział na Shana i uśmiechnął się. Brakowało mu większości zębów. – Ale ja potrafię rzucać kamieniami. Kiedy byłem młody, odganiałem kamieniami wilki od stad, czasem używałem procy. Rzuciłem następny kamień i

jeszcze jeden, w różne miejsca. Oni znów się roześmiali. Ale wiesz co? – Zakaszłał i wydał długi, świszczący odgłos. – Znalazłem dzwon – powiedział, spoglądając porozumiewawczo na Shana. – Nie wyglądał jak dzwon, bo był ukryty w innym kształcie. Ale dźwięczał jak dzwon – oświadczył z uśmiechem. – To była istota dzwonu, ukryta w tej rzeczy.

W Tybecie niekiedy używano dzwonów do odpędzania demonów.

–A oni nawet o tym nie wiedzieli – dodał Lepka i znów wydał świszczący dźwięk. Shan uświadomił sobie, że to śmiech.

W odpowiedzi poważnie skinął głową i wypił nieco herbaty.

–Twój dom jest spokojny jak świątynia – powiedział.

Kobieta uśmiechnęła się, a starzec rozejrzał się powoli po izbie, jakby widział ją po raz pierwszy.

–Dziadek mojego dziadka zbudował ten dom – powiedział. – W pierwszym roku Ósmego. – Miał na myśli osiemnasty wiek.

–Słyszał wiele modlitw – dodała cicho kobieta. – Nasz syn lubi sprowadzać tu wioskę na zebrania, gdy trzeba podjąć ważne decyzje, bo mówi, że w tym domu nikt nigdy nie odzywa się grubiańsko, a to ze względu na modlitwy, które żyją w drewnie.

Shan spojrział na podwyższenie. Pod tylną ścianą zauważył jeszcze jeden siennik, zwinięty w rulon, i nagle uświadomił sobie, w którym domu się znajduje.

–To daleka droga – powiedział. – Do Lamtso.

Starzec uśmiechnął się.

–Mój syn miał trzy lata, kiedy zabrałem go tam po raz pierwszy. Niosłem go na barana i śpiewaliśmy w marszu. Całymi godzinami. I był z nami pies, wielki mastiff, który pozwalał mu na sobie jeździć. Czasami syn kładł się i zasypiał na jego szerokim grzbiecie, a pies po prostu szedł dalej. Powiedziałem, że to zbyt niebezpieczne... – Chryпка zniknęła z jego głosu, jakby

wspomnienia ożywiły coś w jego wnętrzu.

–Ale potem kazałeś wszystkim innym psom pracować – dobiegł zza pleców Shana łagodny głos. – Kiedy odchodziliśmy znad jeziora, nałożyłeś worki wszystkim psom. Wszystkim poza tym jednym, żebym mógł jechać na nim do domu.

–Synu! – krzyknęła kobieta i zerwała się, żeby objąć Lhandra. Naczelnik wioski uniósł wzrok znad ramion matki i uśmiechnął się ze znużeniem.

–Lha gyal lo. Lha gyal lo – wyszeptał Lepka. Oczy wypełniły mu się łzami. – Sól znów znalazła drogę.

Lhandro podszedł do ojca i uklęknąwszy, otworzył dłoń, żeby pokazać mu kupkę śnieżnobiałych kryształków. Uniósł rękę ojca i z powagą przesypał je na suchą i pomarszczoną starczą dłoń, po czym zamknął na nich sękate palce. Świszczący śmiech buchnął znów z gardła Lepki, gdy stary człowiek przycisnął garść soli do serca.

Gdy Shan podszedł do drzwi, przez furtkę w ogrodzeniu zaczęły wlewać się owce nadchodzące z północnej części doliny, wciąż objuczone workami z solą. Wzdłuż szerokiej wioskowej ścieżki niosły się entuzjastyczne powitania, ale także ostrzeżenia. Shan, dezorientowany, wyszedł z domu. Na stoku ponad wioską, tuż pod linią drzew, stało kilka osób z obozu, niektórzy machali rękami, inni wskazywali przybywającą karawanę.

Z owcami zjawiała się Nyma. Miała chmurną twarz.

–Przeszukali wszystkie nasze juki i kazali sobie zostawić pięć owiec – wypaliła bez słowa powitania. Spojrzała na tył karawany. Krętą drogą przez dolinę sunęły dwie wojskowe ciężarówki, zaledwie paręset metrów za ostatnimi owcami.

W drzwiach obok Shana pojawił się Lhandro. Uniósł dłoń, ostrzegając rodziców, żeby zostali w domu, i pośpiesznie wepchnąwszy Shana w cień za framugą drzwi, wyszedł na

ścieżkę. Czekał na ciężarówki. Shan ze ściśniętym gardłem przyglądał się, jak pojazdy zatrzymują się i wyskakuje z nich tuzin żołnierzy. Jeden z nich otworzył drzwi pierwszej ciężarówki, ozdobione wizerunkiem pantery śnieżnej, i z kabiny wyszedł mężczyzna w mundurze oficera.

–Dzień dobry, pułkowniku Lin! – zawołał z fałszywą życzliwością Winslow, podchodząc do naczelnika. Amerykanin zdążył się umyć, ogolić i przebrać w czystą koszulę. – Kolejny cudowny dzień na podchody.

Kącik ust Lina uniósł się, gdy pułkownik poznał Amerykanina. Odwrócił się i odezwał do kogoś stojącego za nim, niewidocznego dla Shana. Chwilę później obok Winslowa i Lhandra przemaszerował żołnierz z notatnikiem w ręce, rozglądając się po wiosce rozbieganymi, wszyszkowidzącymi oczyma.

–Ambasada amerykańska nie ma prawa mieszać się w wewnętrzne sprawy Chin – warknął Lin, robiąc krok w stronę Winslowa. Mówił głośno, jakby zwracał się do większego audytorium.

–Oczywiście, że nie – przyznał spokojnie Amerykanin. – Przedsiębiorstwo Naftowe Qinghai ma amerykańskiego partnera. Jeden z jego amerykańskich pracowników zaginął. To sprawa międzynarodowa – dodał z naciskiem, równie donośnie jak Lin.

–Nie zaginął – twardo odparował pułkownik. – Nie żyje. Nieszczęśliwy wypadek.

Przez drzwi Shan dostrzegł dwóch żołnierzy krążących za zagrodami dla zwierząt po drugiej stronie ścieżki. Chyba czegoś szukali.

–Wizyta dzielnych żołnierzy Armii Ludowo-Wyzwoleń-czej to zaszczyt dla naszej wioski – oświadczył bezbarwnie Lhandro, zerkając niepewnie na Winslowa.

–Oczywiście – odparł rozbawiony Lin. Zapalił papierosa i wydmuchnął dym w stronę rongpy. – A ów zaszczyt może być jeszcze większy.

Gardło Shana zacisnęło się aż do bólu.

Lin wpatrywał się w Winslowa z natężeniem, jakby próbował siłą woli zmusić Amerykanina, żeby się wycofał.

–Poprzednio był z wami ktoś jeszcze. Tybetańczycy. Dwóch wysokich mężczyzn. – Urwał i spojrzał wyczekująco na Lhandra, po czym przeniósł wzrok na kostki stóp naczelnika. Być może zastanawiał się, czy znowu go nie zakuć.

–Miałem kierowcę... – podsunął złośliwie Winslow.

Lin gwałtownie uniósł rękę. Wyglądało na to, że uderzy Amerykanina, ale powstrzymał się i dłoń opadła, zaciskając się w pięść. Przesunął wzrokiem po krążących po wiosce żołnierzach i znowu zwrócił się do Winslowa.

–Ale później tamtego dnia poprosiliście kierowcę, żeby zostawił was na poboczu. Po prostu żeby was tam wysadził i odjechał. Nie powinien był tego robić. Jego raport wywołał spore zamieszanie w Urzędzie Bezpieczeństwa. Został ukarany za swą nieodpowiedzialność.

–Chciałem się przejść. Świeże górskie powietrze i tak dalej. Nazywamy to turystyką.

–Ale jak się tu dostaliście? – naciskał pułkownik. – Góry są niemal nie do przebycia.

–Niemał.

Lin zmarszczył brwi.

–Przedsiębiorstwo naftowe przyniesie wielkie bogactwo tej dolinie – powiedział do naczelnika donośnym, przeznaczonym

dla publiczności głosem. – Towarzyszu Lhandro – dodał, jak by chciał mu przypomnieć, że zna jego nazwisko, że wciąż

ma

jego papiery.

–Być może tu wcale nie ma ropy – odezwał się zboląły

Lhandro.

Na twarz Lina powróciło rozbawienie. Głęboko zaciągnął się papierosem.

–Jest ropa. Geolodzy muszą tylko określić, jak wiele. Już teraz nie ma w obozie dość miejsca dla wszystkich

robotników,

a będzie ich jeszcze więcej, gdy ropa zacznie płynąć. Trzeba

tu

będzie zbudować rurociąg, osadzić stałą ekipę do obsługi

pomp.

Lhandro wpatrywał się w buty pułkownika.

–Mamy pustą stajnię – powiedział głucho. – Moglibyśmy ją przystosować, dostarczyć sienniki.

W oczach Lina pojawił się błysk, tym razem zadowolenia, nie gniewu.

–Proszę, pułkowniku – błagał Lhandro. – Jesteśmy prostymi rolnikami. Gospodarujemy w tej dolinie od wieków. Płacimy podatki. Moglibyśmy dostarczać żywność robotnikom... – mówił coraz słabszym głosem. – Nie zrobiliśmy nic złego – dodał zgnębiony, wciąż wpatrując się w buty Lina.

–Do tej pory nie wyjaśniliście mi, co robiliście tamtego dnia sto pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd.

–Sól – odparł Lhandro, wskazując ręką owce, które wieśniacy zaganiali właśnie do zagród po drugiej stronie wioski. – Zawsze wiosną chodzimy po sól. – Nawet z daleka Shan widział, że ręka mu drży.

Lin znowu zmarszczył brwi.

–To jest dwudziesty pierwszy wiek, towarzyszu. Obowiązuje

państwowy monopol solny. Trzeba mieć koncesję.

Lhandro bezsilnie wzruszył ramionami i podszedł do furtki. Na niskim murku leżała sakwa z solą. Zagłębił w niej dłoń i wyciągnął garść soli w stronę Lina.

–Mamy trochę pieniędzy. Moglibyśmy zapłacić państwu – podsunął.

Pułkownik westchnął niecierpliwie i skinął na jednego z żołnierzy. Wezwany zrzucił sakwę na ziemię i kopnął ją czubkiem buta, aż obie kieszenie rozłożyły się na płask. Wyciągnął z za pasa krótki bagnet i pogrzebał w otwartej kieszeni, po czym spojrzał wyczekująco na Lina. Pułkownik skinął głową i żołnierz zaczął dźgać drugą, wciąż jeszcze zaszytą kieszeń, rozrywając gęstą wełnianą tkaninę, rozsypując na ziemię drogocenną sól.

–To nie jest zwykła sól – dobiegł Shana głos Nymy. Kobieta przeszła przed drzwiami i stanęła obok Lhandra. – Mogłaby was uleczyć – powiedziała do Lina, patrząc mu prosto w oczy.

–Nic mi nie dolega.

Nyma patrzyła na niego twardo, jakby miała inne zdanie, ale nie oponowała.

–Powinniście uważać – rzucił lodowato pułkownik. – Ktoś mógłby wziąć was za mniszkę. Wczoraj Urząd

Bezpieczeństwa

aresztował kogoś parę kilometrów stąd. Ten człowiek nosił pod

płaszczem bordową opaskę na rękawie. W kieszeni miał skrawek żółtego materiału.

Nawet z daleka Shan dostrzegł, że Nyma przełknęła ślinę. Lin mówił, że w okolicy został schwytany purba, na tyle lekkomyślny, by nosić w kieszeni tybetańską flagę.

Napięcie stało się prawie namacalne, jak lodowato zimna chmura. Lin rzucił Amerykaninowi triumfalny uśmiech.

– Nawet w Ameryce, panie Winslow, zdrajcy trafiają do więzienia – oświadczył i wskazał naczelnika. – Ten Lhandro wie coś o tym. Miał ze sobą starego człowieka, byłego kryminalistę z wytatuowanym numerem obozowym. – Oczy Lina zwężyły się. – Gdzie jest ten starzec? – warknął nagle. – I ten, który przedstawił się jako Shan, ten, który nie miał żadnych dokumentów. Nie było ich z wami, kiedy przyszliście tu ze stadem. Jeśli ich ukrywacie, tym gorzej dla was, kiedy ich złapiemy. A jeśli ktokolwiek z was ma coś mojego – dodał znacząco – uznamy całą wioskę za winną kradzieży.

W zapadłej ciszy Lin rozglądał się po wsi płonącymi oczyma. Wreszcie spuścił wzrok i trącił sakwę z solą czubkiem wyglansowanego buta.

– Jestem prostym człowiekiem – odezwał się, jakby zawiedziony. – Wyrażam się prosto. Są tacy, którzy wdrożyli się do nowych porządków, i tacy, którzy starają się do nich wdrożyć. Wszyscy inni – ciągnął tonem drwiących przeprosin – nie mają racji bytu i na nic nie zasługują.

Winslow ściągnął osłonę z obiektywu swego aparatu i twarz Lina stwardniała.

– Przedsiębiorstwo Naftowe Qinghai – powiedział donośnie, jakby zwracał się do całej wioski – jest gotowe wypłacić znaczące odszkodowanie tym wszystkim, którzy przyłożą się do budowy nowej gospodarki, do budowy nowego oblicza tej doliny. Zaszczycamy ją nawet nową nazwą. Postanowiliśmy nazywać ją odtąd Doliną Lujun – dodał z szyderczym grymasem.

–

Wydam rozkaz, by zmieniono to na mapach.

Lhandro poderwał głowę i pewnie rzuciłby się na pułkownika, gdyby nie Winslow, który powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Lin nadał dolinie nazwę od chińskiej armii, której

dywizja przed stu laty wymordowała jej mieszkańców.

Lin, który spoglądał prowokująco na Lhandra, znowu otworzył usta, zapewne by rzucić kolejne szyderstwo, kiedy rozległ się grzmiący odgłos, odległe, głuche, regularne dudnienie, które przetoczyło się echem po dolinie. Lin obrócił się, jakby szukał jego źródła w wieży wiertniczej i obozie nafciarzy. Ale nie był to dźwięk maszyny. Przypominał raczej powolne, miarowe bicie serca. Shan przyłapał się na tym, że wychyla się przez drzwi, żeby spojrzeć na zewnętrzną ścianę. Bęben bóstwa zniknął.

Wąskie wargi Lina wykrzywił gniew. Pułkownik skinął na żołnierza, który przed chwilą dźgał sakwę z solą, a ten natychmiast zagwizdał w stronę wioski. Gdy przeczesujący ją żołnierze odwrócili się, uniósł lewą rękę i zacisnął prawą dłoń na lewym przedramieniu, po czym wskazał zachodni skraj doliny i wykonał spiralny ruch palcami. Mieli odejść na zachód, domyślił się Shan, i wspiać się tam, skąd dochodził odgłos.

– Muszę się dowiedzieć, kim byli ludzie, których widziałem z wami – odezwał się Lin do Lhandra, zniżając głos. – Pytania można zadawać na wiele sposobów. – Wsiadł do najbliższej ciężarówki.

Dudnienie nie cichło. Shan spostrzegł, że robotnicy na wieży wiertniczej przerwali pracę i rozglądają się po okolicznych stokach. Nieliczni Tybetańczycy, którzy pozostali w wiosce, wychynęli ze swych domów i również wpatrywali się w zbocza, niektórzy z nadzieją, inni z przerażeniem.

Warkot uruchamianych silników ciężarówek odciągnął spojrzenie Shana od stoków. Przyglądał się, jak pojazdy odjeżdżają na zachód, nie ścieżką, lecz na przełaj polami kielkującego jęczmienia. W pobliżu usłyszał łkanie i odwrócił się w tę stronę. Niedaleko miejsca, w którym poprzednio stał Lin, ujrzał drobną postać skuloną za ziemnym murem. Anya po

kryjomu słuchała pułkownika.

Wpatrzyła się w Shana szeroko otwartymi, zalęknionymi oczyma, po czym pobiegła wioskową ścieżką i zniknęła wśród skał i drzew na zboczu.

–Gdzie jest twój bęben? – zapytał Shan Lepkę, gdy starzec wyszedł na słońce.

–Nie ma, zniknął w nocy – odparł Tybetańczyk, wzruszając ramionami. Położył dłoń na sercu i zamknął na chwilę oczy, jak gdyby szukał związku między bębnieniem a biciem swojego serca.

–Chcesz powiedzieć, że tam na górze jest ktoś z wioski?

–Nie! – wykrzyknął radośnie Lepka, jakby o to właśnie chodziło.

Shan i Winslow wymienili zaniepokojone spojrzenia i gdy Shan ruszył biegiem za wioskę, w kierunku, w którym uciekła Anya, Amerykanin pognał za nim. Znaleźli Anyę w głębi jaru. Stała na środku obozowiska, a obok niej Lokesh i garstka wieśniaków z Yapchi. Tenzin i purbowie zniknęli. Chorzy przybysze także.

–Uciekli w góry – oświadczyła Anya z zakłopotaną miną. – Ale te ścieżki są dla kóz – ciągnęła, wskazując w głąb krótkiego jaru na zamykające go niemal pionowe zbocze. – Tylu chorych... – dodała cichnym głosem. – Oni uciekają. Widzieli żołnierzy. Słyszeli, że w obozie są pałkarze. Nie będzie już uzdrawiania w tej dolinie. – Słowa uwięzły jej w gardle i zaczęła wpatrywać się z napięciem w małą jamkę pod wielkim głazem. Pokuśtykała tam, opadła na kolana i zajrzała do jamki, jakby spodziewała się coś tam zobaczyć.

–On bardzo interesuje się Lokeshem – powiedział Winslow, stając obok Shana. Obaj zdziwieni przyglądali się dziewczynie. – Dlaczego?

–Coś zostało skradzione, a Lin sądzi, że znajdzie to w Yapchi – odparł Shan głosem ciężkim od troski. – Kiedy natknął się na nadchodzących z południa podróżnych z Yapchi, był między nimi dawny więzień lao gai. Przypuszczam, że pułkownikowi chodzi tak naprawdę o to, że Lokesh mógłby być wygodnym podejrzanym, mógłby go aresztować, gdyby nie dostał tego, czego chce.

–Masz na myśli oko.

–Nie wydaje mi się już, żeby chodziło o oko. Lin nie zadawałby sobie tyle trudu z powodu kawałka kamienia. Myślę, że on chce przede wszystkim dostać tego, kto ukradł oko. Ponieważ ktokolwiek to zrobił, zapewne naruszył tajemnicę wojskową.

–Dremu miał zamiar ukraść kamień, ale purbowie go powstrzymali – przypomniał Winslow.

Shan skinął głową.

–Mieli inne plany. Udało im się wprowadzić kogoś do sztabu brygady Lina. Pułkownik nie może pozwolić, by ktoś taki wymknął mu się z rąk. W jego gabinecie były rzeczy ważniejsze niż kamienne oko.

–Chcesz powiedzieć, że Lin sądzi, iż złodziej wykradł jakiś sekret? Że oni szukają szpiega?

Szpieg. To nie przyszło Shanowi na myśl. Ale bez wątplenia przyszło na myśl Linowi. To miałoby sens. To tłumaczyłoby, dlaczego strzelcy górscy przybyli aż z Lhasy w ślad za okiem kamiennego bóstwa.

Obok nich przemknął Lhandro. Pochylił się nad Anyą i delikatnie postawił dziewczynę na nogi, rzucając Shanowi i Winslowowi przepaszające spojrzenie.

–Ona czasami zapomina – powiedział. Gdy Anya wyprostowała się, jej oczy były na wpół przesłonięte powiekami.

Niespokojnie wodziła wzrokiem po okolicy, nie dając po sobie poznać, że ich widzi. – Czasem może tylko szukać bóstw. Myślę, że to jest jeszcze jeden sposób, w jaki one z nią rozmawiają – stwierdził z zakłopotaniem. – Czasami musimy szukać jej

z psami, jak starego mnicha – dodał, nawiązując do wypadków, gdy starzy mnisi tak pogrążali się w zadumie lub medytacji, że błakali się i przepadali nie wiadomo gdzie.

Gdy Lokesh otoczył dziewczynę ramieniem i poprowadził ją na posłanie, Lhandro odetchnął z ulgą. Po chwili jednak jego spojrzenie stwardniało i rozejrzał się dokoła.

–Gdzie on jest? Ślady kopyt prowadziły do doliny.

–Dremu? – zapytał Shan. Nie myślał o nim od poprzedniego dnia, gdy Golok ich opuścił.

–Ani śladu sukinsyna – mruknął Lhandro. – Możliwe, że właśnie pertraktuje, żeby odsprzedać je z powrotem żołnierzom.

–Oko? – zapytał Shan.

–Oczywiście, że oko. Dobrze wiedział, gdzie było. Uciekł z samego rana po tym, jak zostało skradzione. Zna górskie szlaki. I ma pomocników. Widzieliśmy ślady trzech koni, nie jednego. – Lhandro obejrzał się na Anyę i Lokesha. – On sprzeda nas wszystkich, jeśli tylko cena będzie dość wysoka.

Godzinę później Shan i Winslow szli w stronę obozu nafcjarzy. Amerykanin protestował, gdy Shan oświadczył, że idzie wraz z nim do kierownika robót, ale Shan stwierdził twardo, że pójdzie sam, jeśli Amerykanin nie chce mu towarzyszyć.

–Lin rzuci się na ciebie – przekonywał Winslow. – On chce cię widzieć w kajdankach.

–Lin jest w obozie wojskowym, w tych namiotach za obozem nafcjarzy – odparł Shan słabym głosem. – Nie spodziewa się, że mógłbym się tam pojawić. A nikt inny nie będzie nic podejrzewał,

bo pomyśli, że jestem z tobą.

Winslow niechętnie się zgodził, ale pod warunkiem że Shan nie oddali się od niego, będzie odzywał się wyłącznie po angielsku i odgrywał rolę jego asystenta. Przez pół godziny biedzili się nad doprowadzeniem do ładu garderoby Shana. W wiosce znaleźli dla niego prawie nową kurtkę, na którą Amerykanin kazał mu włożyć własną czerwoną kamizelkę. Na koniec zawiesił mu na szyi swoją kosztowną lornetkę.

Gdy przechodzili obok wieży wiertniczej, Amerykanin zaczął gwizdać i jak jakiś turysta zrobił kilka zdjęć machającym do nich robotnikom. Byli to muskularni mężczyźni o szerokich barach, Chińczycy i Tybetańczycy, którzy uśmiechali się z dumą i przerywali pracę, by pozować Winslowowi z uniesionymi potężnymi kluczami i młotami.

Dwieście metrów przed obozem minęli odsłonięty kwadrat ziemi rozmiarów sporego ogródka, na którym klęczały dwie osoby w fartuchach. Jedna z nich przyglądała się czemuś w ziemi przez ogromne szkło powiększające.

–Poprzednio tego nie było – mruknął Winslow z nutą zaciekawienia w głosie, gdy przechodzili obok pochylonych postaci. – Najwyraźniej pułkownik zgubił guzik.

Nikt nie okazał zaskoczenia ich wizytą. Robotnicy krzątający się wśród przyczep i namiotów witali ich krótkim skinieniem głowy lub mijali z zupełną obojętnością, gdy Shan i Winslow powoli szli wokół obozu. U podnóża zbocza, na którym prowadzono wyrąb, leżały wysokie sterty kłód. Potężna spalinowa piła na metalowej ramie z jękiem cięła je na długie deski.

Shan przyglądał się wielkiej, warczącej na jałowym biegu ciężarówce, z której wyładowywano właśnie grube rury, kiedy

Winslow pociągnął go za sobą. W drzwiach jednej z przyczep stojących pośrodku obozu pojawiła się młoda Chinka,

wyglądająca dziwnie nie na miejscu w śnieżnobiałej bluzce i odprasowanej niebieskiej spódnicy. Uprzejmie skinęła im głową, po czym gestem zaprosiła ich do środka, w pedantyczny świat kierownictwa spółki. Minąwszy krótki korytarz, pełen obłoconych butów i kurtek, weszli na czystą, wyłożoną ceramicznymi płytkami podłogę pomieszczenia, w którym znajdowały się dwa metalowe biurka i długa sofa. Gdyby nie to, że całe umeblowanie było przyśrubowane do podłogi, Shan mógłby zapomnieć, że znajduje się w jednym z metalowych pudeł. Do ściany nad sofą przytwierdzone były oprawione w czarne ramki barwne fotografie słynnych chińskich widoków: Wielkiego Muru, naturalnych wapiennych wież w Guilinie, nabrzeża Szanghaju. Kobieta otworzyła drzwi do małej sali konferencyjnej.

–Przyniosę herbatę – oświadczyła i zostawiła ich przy stole.

Stół, podobnie jak krzesła, był z brązowego plastiku imitującego słoje drewna. Na ścianach wisiały przeróżne mapy. Shan sięgnął po krzesło, jednak mapy na dobre przykuły jego uwagę. Spółka naftowa musiała dokładnie znać teren. Trzy mapy niewątpliwie przedstawiały Yapchi, w rozmaitych skalach. Przez największą z nich przeciągnięto żółtą linię wzdłuż podnóża pobliskich gór, łączącą Yapchi z czerwonym kółkiem trochę na zachód od Golmudu, sporego miasta leżącego przeszło trzysta kilometrów na północ, najbliższego portu lotniczego i krańcowej stacji linii kolejowej. Na małym metalowym stoliku leżał stos luźnych kartek, na których widniał szkic trasy z Golmudu do Yapchi, z zakreślonymi punktami orientacyjnymi. Shan wziął jedną, pospiesznie złożył w czworo i wepchnął do kieszeni.

–Ona nie żyje, Winslow – dobiegł ich nagle szorstki głos. – Cholernie mi przykro, ale ona nie żyje. – Cudzoziemiec, który to powiedział, wypełnił sobą drzwi. Jego brązowe, krótko

ostrzyżone włosy były gęsto poprządkane siwizną, podobnie jak od kilku

dni nie tknięty maszynką zarost. Niebieskie dżinsy trzymały się

na jaskrawoczerwonych szelkach. Z kieszeni jego błękitnej roboczej koszuli wystawało cygaro w plastikowym opakowaniu.

W kubku, który postawił na stole, parowała czarna kawa.

–Nazywam się Jenkins – powiedział do Shana, wyciągając silną dłoń.

Uścisnęli sobie ręce.

–Ja jestem Shan.

–To mój pomocnik – wtrącił szybko Winslow, jakby Shan powiedział już zbyt wiele. – Jesteś tego pewien, Jenkins? Jeden człowiek w górach mówił, że ona spadła. Twierdził, że to widział.

–Zleciała ze skraju świata – odparł Jenkins, dźgając palcem wiszącą za nim mapę w tym samym punkcie, który pokazał im Zhu. – Trzysta metrów, niezły upadek. – Odwrócił się z zaskoczeniem w głęboko osadzonych oczach. – Widziałeś Zhu? Gdzie?

Shan zdziwił się. Czy dyrektor do spraw projektów specjalnych nie poinformował Jenkinsa, że tu są? Winslow z natężeniem wpatrywał się w mapę.

–Czy ktokolwiek próbował znaleźć ciało? – zapytał poważniejszym tonem.

Jenkins westchnął.

–Masz pojęcie, ile tu mamy roboty? Gonią mnie terminy.

Bankowcy przyjeżdżają na cholerną inspekcję. Zeszłej nocy złodzieje ukradli mi z warsztatu połowę narzędzi. A za niecałe dwa tygodnie zwali mi się na głowę chmara biurokratów, by świętować, że mamy ropę, chociaż jeszcze się do niej nie dowierciłem.

–Próbowaleś znaleźć Larkin? – nie ustępował Winslow.

Jenkins znów westchnął i ciężko opadł na krzesło, gdy schludna kobieta wróciła z dwoma wielkimi kubkami czarnej herbaty.

–Helikopter dostawczy z Golmudu. Poprosiłem ich, żeby przelecieli nad tym rejonem, gdy tylko dostałem wiadomość od Zhu. Nie zobaczyli nic i zawrócili do bazy. Wyślę tam pieszą ekipę. Zrobię to. Obiecuję. Ale nie w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Ona nie ucieknie. Chyba że wpadła do rzeki, ale w takim razie już nie ma ciała. – Zwalisty Amerykanin spoglądał to na Shana, to na Winslowa. – Przykro mi, Winslow, ale nie potrafię owijać w bawełnę. Znałem ją wcześniej. To drugi projekt, przy którym pracowaliśmy razem. Ona była gwiazdą. Moja matka mawiała, że najjaśniejsze gwiazdy szybko gasną. Nie śpię po nocach. Wciąż się zastanawiam, czy zrobiłem coś nie tak. Trzy razy pisałem list do jej rodziny i za każdym razem go darłem. Co miałem napisać? Wasza córka, doświadczony geolog terenowy, która kierowała zespołami polowymi na Syberii, w Andach i w Afryce, potknęła się na skałach? Jeden z moich tybetańskich brygadzystów powiedział, że być może wezwały ją górskie bóstwa – dodał rozdrażniony i przekrzywiwszy głowę, wpatrzył się w ścianę.

–Ale zanim spadła, uważano ją za zaginioną – wtrącił Shan.

Jeszcze raz rozejrzył się po pomieszczeniu. Na dolnej półce metalowego stolika leżała sterta numerów wydawanego w Lhasie tygodnika.

Jenkins pociągnął spory łyk ze swego kubka.

–Tak jakby – odezwał się, zaglądając do naczynia. – Dawno już zrozumiałem, że muszę jej dawać luz. Silnej głowie potrzeba luźnych wodzy. Jeśli miała wymówkę, żeby wyrwać się z miasta do obozu, momentalnie ją wykorzystywała, i podobnie było, kiedy

chciała wymknąć się z obozu w teren. Zbliżyła się do Tybetańczyków, zaczęła ich uczyć angielskiego. Kiedyś na zebraniu załogi powiedziała, że Ameryka potrzebuje Tybetu, cokolwiek, u diabła, miało to oznaczać. Uwielbiała to, co robiła, mówiła, że czuje się jak dawny odkrywca. Zwłaszcza tutaj – rezygnowała nawet z wolnych dni, żeby wrócić w góry. Kreślić nowe mapy. Chińskie mapy są do niczego. Umyślnie fałszowane, ze względów bezpieczeństwa, jak twierdzą. Całe regiony nigdy nie zostały pomierzone. Kto, u diabła, wie, co tam jest? – Znów łyknął kawy. – Spółka ma jeszcze jeden obóz, brytyjski, około osiemdziesięciu kilometrów na północ stąd, za dwoma łańcuchami górskimi. Pomyślałem, że może jej radio przestało działać i poszła do tamtego obozu. Albo że ktoś z jej ekipy został ranny i łatwiej było zabrać go na drugą stronę tych gór. Mogły być setki powodów, że nie nawiązała kontaktu, powtarzałem sobie. Być może lawina uwięziła ją w ślepym wąwozie. Kiedy ruszała w teren, zostawiła całą paczkę żywności, połowę swych racji. Mogła pójść do wioski po żywność.

Ale po raporcie naocznego świadka nie było żadnych wątpliwości – ciągnął Jenkins. – Zhu zajął się całą sprawą, zadzwonił stąd do centrali. Spisał raport, w trzech egzemplarzach. Spółka ma odpowiednie formularze na taką okoliczność. Przy dziesięciu tysiącach pracowników zdarzają się wypadki. Jednak jeszcze nigdy nie umarł cudzoziemiec. – Jenkins znów spojrzał w głąb kubka. – Zhu wysłał formularz. Dał mi go do podpisu i wysłał. Dla nich to po prostu pieprzona biurokracja – mruknął. – Jedyne potwierdzenie, jakie dostałem, to notatka z firmy, że w kraju zafundują jej nagrobek.

–Rozmawiałeś z Zhu o szczegółach, na przykład gdzie dokładnie był, kiedy widział, jak ona spada, albo co zrobił, żeby wydobyć zwłoki?

–Przez radiotelefon. Byłem w Golmudzie, kiedy się tu zjawił. Przekazał mi swój raport. Dobrze, że w ogóle był jakiś świadek. W przeciwnym razie jej rodzina mogłaby zamartwiać się latami. Teraz mogą żyć dalej.

–Jednak tylko Zhu? – zapytał Winslow. – To znaczy, że nikt inny z jego ekipy nic nie widział? Nie został wymieniony jako świadek?

Z gardła Jenkinsa wydobył się cichy pomruk. – To dyrektor projektów specjalnych, na Boga.

–Od jak dawna jest w spółce? – zapytał Shan.

Jenkins zmarszczył brwi i spojrzał na Winslowa, zanim odpowiedział.

–Niedługo. Spotkałem go dopiero przy tym projekcie.

–A co dokładnie obejmują projekty specjalne? – zapytał Winslow.

–Cokolwiek zażyczy sobie firma. – Jenkins wzruszył ramionami. – On pracuje dla kogoś dwa albo trzy szczeble powyżej mojej stawki. Dla kogoś w ministerstwie, jak sądzę. Być może jego głównym zajęciem są kontakty z inwestorami.

–Kontakty z inwestorami? – powtórzył Winslow.

–Czuwanie nad cudzoziemcami w spółce – odparł wolno Jenkins, pocierając posiwiałą szczękę. – Prawdopodobnie nosi szarą bieliznę – dodał rzeczowo. Miało to znaczyć, uświadomił sobie Shan, że Zhu zapewne pracuje dla bezpieczeństwa.

–To Zhu sprowadził tych żołnierzy Urzędu Bezpieczeństwa? – zapytał nagle Shan, po angielsku. – Żeby jej szukać?

Zwalisty Amerykanin przyjrzał mu się uważnie. Zerknął z irytacją na Winslowa, ale odpowiedział.

–Ci żołnierze są z Golmudu. Jasne, możliwe, że to Zhu ich ściągnął. Urząd Bezpieczeństwa pomaga czasem spółce, przede wszystkim w wymuszaniu dyscypliny wśród chińskich

robotników. Ale nie pomagali nam szukać Larkin.

–A ten drugi obóz? – zmienił temat Winslow. – Wielu jest tam obcokrajowców? Może jacyś Amerykanie?

Jenkins pokręcił głową.

–Brytyjczycy. Firma przyjęła bardzo rygorystyczne zasady. Mój amerykański pracodawca ma dziesięć procent udziałów w spółce, a spółka ma dziesięć obozów badawczych. Więc dostaliśmy pod zarząd jeden obóz. To samo dotyczy każdego z pozostałych inwestorów zagranicznych.

–Dlaczego tutaj? – zapytał Shan. – Co takiego jest w górze Yapchi, że Larkin tak to zainteresowało?

–Była po prostu perfekcjonistką – odparł Jenkins – a mapy tego obszaru są beznadziejne, pełne luk, które musimy wypełniać. Kiedy pracowała w terenie, robiła dokładne notatki, chciała znać geologię okolicy na dziesięć mil dookoła i dwie mile w głąb. Geolodzy naftowi mają to we krwi. W naszej firmie wszystko to rejestrują, a potem ładują do wielkiego komputera w kraju, który modeluje dane. Szukają nowych wskaźników, zbliżonych charakterystyk, cech pozwalających wnioskować o obecności i rodzaju ropy. Informacje o stanowisku w Pakistanie mogą pomóc rozgryźć stanowisko na Alasce.

–Co się stało z resztą ekipy panny Larkin? – zapytał Shan. – Z tymi, którzy wrócili? – Winslow wspomniał, że zniknęło także dwóch Tybetańczyków z jej zespołu.

–W zespołach polowych jest ciągła rotacja. Ci, którzy byli z nią tamtego dnia, zostali odesłani do głównej bazy w pobliżu Golmudu, do centrum operacyjnego. To nasz burdel na kółkach.

–Słucham? – zdumiał się Shan.

–Stare kolejarskie powiedzonko. Wokół dużych przedsięwzięć budowlanych wyrastają tymczasowe miasta. Przyciągają wszystkie szczeble łańcucha pokarmowego, można powiedzieć.

Robią interes przez kilka miesięcy, przez rok, potem cały majdan zwija się i rusza dalej, w pobliże następnych inwestycji. Mamy teraz szal badań. Jakiś gość z Pekinu wygłosił w Golmudzie przemówienie do całego kierownictwa. Otwieramy zachodnie obszary Chin, przynosimy im dobrobyt. Bohaterowie proletariatu i tak dalej – wyjaśniał głuchym tonem Jenkins. – Najpierw zespoły badawcze, potem ekipy wiertnicze. Kiedy my skończymy, przyjdą tu monterzy rurociągów, a obóz przeniesie się dalej. – Wyciągnął cygaro z kieszeni. – Mogę?

Winslow i Shan skinęli głowami. Jenkins rozerwał opakowanie i z pomrukiem zadowolenia przeciągnął cygaro pod nosem.

–Ale jeśli chodzi o zespół panny Larkin, moglibyście odszukać ich w Golmudzie, porozmawiać z nimi – podsunął Shan.

–Ja? Do diabła, nie. To jak szukanie igły w stogu siana. Co chwila dwustu albo trzystu pracowników przypisanych do bazy przechodzi z obozu do obozu. Ci ludzie z jej ekipy mogą być teraz w czterech różnych miejscach, setki mil stąd, nawet w innych prowincjach. Nasz chiński partner prowadzi działalność w całych Chinach.

–Macie ich nazwiska? – nie dawał za wygraną Shan.

Jenkins zapalił cygaro i wydmuchnął dym przez ramię, za drzwi. Spojrzał uważnie na Winslowa, z niedowierzaniem marszcząc brwi.

–Naprawdę jej nie znałeś? Można by pomyśleć, że ty i ona...

–Mówiłem ci już – przerwał mu z irytacją Winslow. – Po prostu wykonuję swoją pracę.

Jenkins znów zajął się cygarem.

–W porządku – powiedział. – Te nazwiska będą na pewno na jakiejś cholernej dyskietce.

Wstał, podszedł do drzwi i zawołał po chińsku kobietę, która

przyniosła herbatę. Rozmawiali przez chwilę, po czym wrócił do stołu. Zmarszczył czoło i znów zapatrzył się w głąb kubka, po czym uniósł wzrok na Winslowa.

–Tu dzieje się mnóstwo wariactwa – powiedział. – To Dziki Zachód. Koniec świata. Wszyscy są daleko od domu. Płaci się

nam za to, żebyśmy jechali w jakieś zakazane miejsce i pompowali pieniądze z ziemi, więc robimy to. Są rzeczy, których kompletnie nie rozumiem. To nie moja sprawa. Żołnierze przychodzą i odchodzą. Słyszę o ludziach z Pekinu organizujących

zebrania o północy. Mówią mi, żebym nie angażował się w politykę. Więc nie angażuję się w politykę. Nikt nikogo nie morduje, to tylko polityka. Tym razem to Winslow zapatrzył się w swój kubek.

–Dlaczego, Jenkins – odezwał się wreszcie – przyszło ci do głowy słowo „mordować”?

Kierownik skrzywił się, jakby ugryzł coś kwaśnego. – Po prostu tak się mówi. Bez żadnego powodu – dodał z naciskiem.

–Jak możecie tak traktować ziemię, z którą nie macie żadnego związku? – usłyszał własne pytanie Shan. Słowa spłynęły mu z warg, zanim dotarły do jego świadomości. Jakby przemawiało przez niego bóstwo. To nie wasza ziemia, powiedzieliby Tybetańczycy, a zatem nie możecie niczego się od niej domagać.

–Związku? – powtórzył zdziwiony Jenkins. Zaraz potem jednak skrzywił się i opuścił wzrok. – To moja praca – powiedział. W jego głosie nagle pojawiło się znużenie. Shan wiedział, że Amerykanin doskonale zrozumiał jego pytanie. – To było jak bicie serca. – Spojrzał na Winslowa. – Ty też to słyszałeś, prawda?

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu.

–Za waszym obozem – odezwał się Shan – widzieliśmy dwie osoby grzebiące w ziemi na klęczkach.

Jenkins prychnął i uśmiechnął się do Shana, jakby był mu wdzięczny za zmianę tematu.

–Jeden z banków rozwoju ładuje grube pieniądze w to przedsięwzięcie. Co oznacza litanię wydumanych przez biurokratów nakazów i warunków. Jednym z nich jest wymóg archeologicznych badań rozpoznawczych. Ktoś potknął się o jakąś starość i zrobił ten błąd, że poinformował Golmud. Nim się obejrzelśmy, przyjechało dwóch specjalistów z listem nakazującym nam z nimi współpracować. Skatalogują stanowisko, napiszą raport i ruszą dalej. Po prostu więcej biurokracji.

–Co to była za starość? – zapytał Shan.

–Kawałek brązu pokryty pismem. Rzecz z gatunku tych, jakie każdy tybetański rolnik znajduje dwa razy dziennie.

Nim skończył mówić, jego sekretarka wróciła z kartką zawierającą krótką listę nazwisk. Spojrzała na każdego z nich po kolei, wreszcie podała kartkę Winslowowi. Odwróciła się do Jenkinsa.

–Nie mów tego Zhu – powiedziała i wybiegła.

Jenkins dmuchnął dymem z cygara i spojrzał za nią z troską w oczach.

–Co tu robią ci wszyscy żołnierze? – zapytał bezceremonialnie Winslow.

–ALW często pomaga przy przesiedleniach. – Jenkins chrząknął. – Mówią, że to dobry trening dla żołnierzy.

Dreszcz przebiegł Shanowi po plecach. Trening dla żołnierzy. Była to jedna z rzeczy, jakie wojsko robiło lepiej niż ktokolwiek inny w Tybecie. Przesiedlanie Tybetańczyków. Wyrwanie korzeni łączących ludzi z ich ziemią i ze sobą nawzajem.

Ogłaszanie ludzi uchodźcami i wywożenie ich, żeby zrobić miejsce dla żołnierzy lub chińskich osadników. Tybetańczycy rzadko się skarżyli. Pamiętali, że były czasy, gdy wojsko przesiedlało ich za pomocą dział i bomb lotniczych.

–Macie na myśli przenoszenie miast? – zapytał.

–Czasami. Słyszałem o jakiejś wiosce w górach. Cholerny wstyd. Nikt nie kazał jej niszczyć. Jakiś dupek w czołgu zaczął ostrzeliwać ją z pół mili. Powiedział, że zdawało mu się, że jest opuszczona, mówił, że jego załoga sobie ćwiczyła.

–Ćwiczyła? – warknął Winslow. – Chcesz powiedzieć, że znalazła stary tybetański budynek i rozwaliała go?

Jenkins zaciągnął się cygarem i uważnie przyjrzał się Winslowowi, ale nie odpowiedział.

Zadzwoił telefon, a raczej zabrzączał. Radiotelefon, mówił kierownik. Sekretarka Jenkinsa zawołała go po nazwisku. Wstał i wrzucił ramionami.

–Spółka wypłaci odszkodowania – oświadczył i wyszedł z pokoju.

Shan rzucił się do metalowego stolika i podniósł górną połowę sterty gazet.

–Musimy iść – upomniał go nerwowo Winslow.

Shan skinął głową. Wyciągnął gazetę datowaną na tydzień po kradzieży oka, złożył ją, wepchnął sobie pod koszulę i odłożył stertę na stolik.

Gdy pięć minut później ponownie przechodzili koło oczyszczonego skrawka ziemi, dwie postacie w fartuchach wciąż tam pracowały. Jedna z nich sypała z plastikowego wiadra ziemię na okrągłe sito, a druga wolno nim potrząsała. Drobne ziarenka ziemi tworzyły pod sitem niewielki wzgórek. Potem mężczyzna z wiadrem poczłapał z powrotem do oczyszczonego poletka i zaczął ponownie napełniać wiadro. Niemal skończył, gdy nagle

uniósł wzrok i spostrzegł Shana i Winslowa. Był to Chińczyk, sześćdziesięcioparoletni, w grubych okularach o czarnych oprawkach i w kapeluszu z szerokim rondem, spod którego wystawały długie, gęste, śnieżnobiałe włosy. Jego fartuch, najwyraźniej uszyty specjalnie do tej pracy, miał cztery rzędy małych kieszzonek. Z paska zwisał mu nylonowy woreczek oraz pas narzędziowy, w którym tkwił mały młotek i dwa gęste, szerokie pędzle. Posłał im jakiś grymas i znów zajął się wiadrem.

Shan przeszedł na drugą stronę poletka, gdzie młoda Chinka, zapewne asystentka mężczyzny, czekała z sitem obok czegoś, co wyglądało jak stos płaszczy. Dziewczyna miała bardzo krótkie włosy i nosiła bawełnianą koszulkę z napisem *Bones Are Us*.

– Niektórzy Tybetańczycy – odezwał się cicho Shan – twierdzą, że ziemia skrywa rzeczy, które, jeśli się je odnajdzie, mogą odmienić świat.

Dziewczyna spojrzała na niego, przekrzywiając głowę.

– Na ogół rzeczy, które znajdujemy, mogą przyprawić człowieka o ból krzyża i pęcherze na rękach – odparła po chwili. – Przyjęła kolejne wiadro ziemi i w skupieniu pochyliła się nad sitem. Ukazał się niebieski okruch ceramiki, który mężczyzna podniósł i włożył do jednej z licznych kieszzonek.

– Kierownik mówił, że znaleźliście jakiś brąz pokryty pismem – odezwał się Winslow.

Mężczyzna z zaskoczeniem uniósł wzrok.

– Świetnie mówicie po mandaryńsku. Większość cudzoziemców nawet nie próbuje się uczyć.

– Gdybyście poprosili, ludzie z wioski mogliby wam pomóc – podsunął Shan. – To mnóstwo pracy dla was dwojga.

Mężczyzna spojrzał na Shana z tym samym zaciekawieniem,

jakie wcześniej okazała dziewczyna.

–Oni nie są zadowoleni, że kopujemy w ich dolinie. Pierwszego dnia, kiedy zaczęliśmy, przepędzili zwierzęta przez nasze wykopaliska.

–Na pewno nie zrobili tego celowo – odparł zaskoczony Shan. Wydawało się niemożliwe, by spokojni mieszkańcy Yapchi próbowali zniszczyć pracę archeologów.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

–Nie jesteśmy tu zbyt mile widziani. – Odstawił wiadro. – Przepraszam. Myślałem, że jesteście nacierzami. Oni przychodzą tu czasem i żartują sobie z nas, mówią, że powoli idzie

nam plewienie tego ogródka. Albo że oni wybraliby tę ziemię w pięć minut, kiedy my grzebiemy się z tym przez pięć dni.

–Ale wy nie pracujecie dla spółki?

Chińczyk pokręcił głową.

–Nasz uniwersytet ma umowę z bankiem rozwoju. Koszty zostaną odliczone od funduszy przekazanych zaliczkowo spółce. W ten sposób banki zapewniają przeprowadzenie odpowiednich badań, zanim stanowisko zostanie zniszczone. – Zdjął kapelusz i otarł sobie czoło. – Jestem profesor Ma z Chengdu. A to moja asystentka, panna Ming.

Gdy Shan i Winslow przedstawili się, profesor podszedł do stosu płaszczy i podniósł je, odsłaniając drewniane pudełko wyglądające jak stara skrzynka na narzędzia. Włożył klucz do kłódki, na którą było zamknięte, otworzył je i podał Shanowi owinięty w czarny filc przedmiot. Był to ciężki kawałek brązu, szeroki na pięć centymetrów, lekko zakrzywiony, na którym widać było dwie linijki znaków. Górna zapisana była alfabetem tybetańskim, dolna chińskimi ideogramami. Obie były bogato dekorowane, a tybetański tekst spisano ozdobnym krojem

tradycyjnie stosowanym w świętych księgach i sutrach. Zachowane fragmenty dawały niewielkie pojęcie o pierwotnym przekazie. Dopóki przed pięćdziesięciu laty komunistyczny rząd nie zerwał z tradycją, chińskie ideogramy zapisywane były pionowo, z góry na dół, tak więc kilka chińskich znaków, które widniały na odłamku brązu, nie było powiązane znaczeniowo. Pierwszy ideogram, *lao*, oznaczał „stary”. Drugi, *yu*, oznaczał nefryt. Trzeciego, przełamane w środku, Shan nie mógł rozpoznać, a ozdobne tybetańskie pismo było dla niego nieczytelne. Zdawało mu się, że jedno słowo to „skarb”, ale nie był tego pewien.

–Samkang – podsunął archeologowi. Brązowy odłamek mógł pochodzić z wielkiej świątynnej kadzielnicy.

Profesor skinął głową.

–Przypuszczenie równie dobre jak każde inne.

Shan spróbował sobie wyobrazić małą tybetańską świątynkę u końca doliny i lamów starających się przełożyć swe nauki na chiński. Lekcje, pomyślał smutno, nie trafiły na podatny grunt. Przyglądał się, jak profesor napełnia kolejne wiadro, a Winslow niesie je do sita.

–Określiliście wiek tego stanowiska? – zapytał.

–Nie więcej niż dwieście-trzysta lat. Siedem i pół centymetra pod powierzchnią jest warstwa popiołu. Po drewnianej świątyni, kiedy spłonie, zostaje niewiele śladów.

–Jak duży był ten kompleks? – zapytał Shan. Ci, którzy tu kiedyś mieszkali, z pewnością wiedzieliby, gdzie szukać bóstwa doliny.

–Niewielki – odparł profesor, wskazując szereg otworów rozchodzących się promieniście od oczyszczonego prostokąta, które zapewne służyły mu do oceny zasięgu stanowiska. – Jeden centralny budynek z małym dziedzińcem otoczonym murem.

–Co się stanie z waszymi znaleziskami? – zapytał Shan.

–Mamy pozwolenie jeszcze na tydzień badań – westchnął profesor. – Potem napiszemy raport i wyślemy go do banku. Jest specjalny formularz, który wypełniamy, zaświadczając, że przeprowadziliśmy wszechstronną analizę i że nie znaleźliśmy żadnych unikatowych zabytków o wielkim znaczeniu. Potem ktoś włoży to do akt i zapomni o sprawie.

Shan przyjrzał się wysuniętej szczęce profesora.

–Robiliście to już wcześniej.

–We wszystkich częściach Tybetu. Amdo. Kham Tsang. – Używał nie chińskich, lecz dawnych, tybetańskich nazw tych ziem. – Znakomite letnie warsztaty dla moich studentów.

Przerwał mu warkot diesli. Odwrócili się i ujrzeli ciężarówki Lina, sunące szybko zachodnim skrajem doliny, jedna przy drugiej, niszczące zielony jęczmień.

Winslow zaklął.

–Mógłbym wziąć radiotelefon – powiedział. – Dać znać ambasadzie, że wojsko utrudnia prace nad amerykańską inwestycją.

–Jeśli pan Jenkins się na to zgodzi – zauważył Shan.

Profesor z ponurą miną przyglądał się ciężarówkom, po czym z powrotem nałożył kapelusz i wrócił do pracy, jakby pojawienie się żołnierzy oznaczało, że nie mogą już dłużej rozmawiać. Nagle Shan uświadomił sobie, że znów słyszy dudnienie. Jak poprzednio, dobiegało gdzieś ze stoków, choć jakby bardziej na południe i wyżej. Ma znieruchomiał, wpatrując się w ziemię z niepokojem w oczach. Shan przypomniał sobie dziwną reakcję Jenkinsa na dźwięk bębna. Zdawało się, że odgłos ten porusza jakąś strunę również w duszy profesora.

–Wracamy do wioski – oświadczył Winslow. – Natychmiast.

Ale Shan zawahał się, przenosząc wzrok za jego spojrzeniem

na dwa nowe pojazdy, które pojawiły się przy obozie. Biały samochód terenowy, przy którym stało dwóch mężczyzn w garniturach, oraz niemal identyczny czarny wóz zaparkowany za nim.

– Wyższe kierownictwo spółki – domyślił się. – Mógłbyś oficjalnie zwrócić się do nich o pomoc w zlokalizowaniu ekipy Larkin.

– To zbyt ryzykowne, jeśli oni nie... – zaczął Winslow, ale Shan szedł już z powrotem w stronę obozu. Amerykanin zaklął i podbiegł do niego.

Dwie minuty później krążyli już wśród sterylnych metalowych przyczep. Winslow rozglądał się za nowo przybyłymi, podczas gdy Shan chodził po obozie, próbując ustalić, gdzie zostali umieszczeni robotnicy z Yapchi. Posuwał się wolno pod osłoną potężnej wywrotki, dopóki nie znalazł się zaledwie dziesięć metrów od białego pojazdu i mężczyzn w garniturach. Byli Chińczykami i nie rozmawiali z Jenkinsem ani z żadnym innym pracownikiem firmy. Rozmawiali z pałkarzami, którzy poprzedniej nocy obozowali tuż za namiotami wojska. Ciarki przeszły Shanowi po plecach, gdy rozpoznał jednego z mężczyzn. Dyrektor Tuan z Urzędu do spraw Wyznań, którego zostawili w stajni w Norbu. Wychylił się z ukrycia, by zerknąć na dyskretny elegancki napis na drzwiach białego wozu.

Urząd do spraw Wyznań, widniało tam, wyłącznie po chińsku. A Tuanowi towarzyszyli czterej mężczyźni w białych koszulach wyglądający na obstawę.

Nagle z cienia przy ciężarówkach wojskowych wyłonił się pułkownik Lin. Zdecydowanym krokiem szedł ku nowo przybyłemu. Chwilę później silnik wywrotki, za którą ukrywał się Shan, ryknął i pojazd odjechał, odsłaniając go przed krzykaczami z Norbu. Shan odwrócił się, lecz kątem oka widział, że Tuan

podbiegł do pułkownika. Dwaj oficerowie gorączkowo naradzili się cichym głosem i Tuan oraz jego ludzie zaczęli przyglądać się twarzom ludzi w obozie. Shan szedł tak szybko, jak tylko śmiał, bojąc się zwrócić na siebie ich uwagę, i rozpaczliwie wypatrywał Winsłowa lub przynajmniej jakiejś kryjówki. Miał właśnie schować się za przyczepą, kiedy dyrektor Tuan zawołał przenikliwie:

–Tam! To on! Ten, który wie o obydwu! Aresztujcie go!

Jeden z mężczyzn w białych koszulach dmuchnął w gwizdek.

Tuan wskazywał Shana.

Część trzecia

KAMIENÍ

Rozdział dwunasty

Bywają chwile, mówił mu czasem Lokesh, kiedy koło życia wiruje ze zdwojoną szybkością, kiedy linie przeznaczenia wielu ludzi zbiegają się w wydarzeniach znaczących dla każdego z nich, że życie zdaje się eksplodować w zamęcie działań i doznań. Lokesh nazywał takie chwile karmicznymi burzami.

Shan był teraz w centrum takiej burzy. Krzykacz wciąż gwizdał. Pułkownik Lin wściekle rzucał rozkazy. Robotnicy z obu krańców obozu krzyczeli wystraszeni: niektórzy wołali, że musiał się zdarzyć wypadek, inni – że w obozie są sabotażyści. Shan rzucił się za róg przyczepy biurowej, rozpaczliwie rozglądając się za Winslowem. Zawyla syrena, zagłuszając gwizdek krzykacza. Robotnicy przerwali pracę i zaczęli gromadzić się na placu. Wielka ciężarówka z platformą osuwała się w dół zbocza, rozsypując ładunek rur. Coraz szybsze bębnienie wtopiło się w hałas. A w górze, na stoku, gdzie pracowali drwale, wielkie drzewo zważyło się na ziemię.

Shan biegł. Kluczył między przyczepami, zastanawiając się, czy powinien uciekać w stronę wioski. Nie, znalazłby się na otwartym terenie, widoczny jak na dłoni. Szybko dogoniłaby go tam któraś z terenówek.

Robotnicy krzyczeli gorączkowo, ostrzegając się nawzajem przed osuwającą się ciężarówką. Jedni uskakiwali przed toczącymi się rurami, inni próbowali je zatrzymać. Shan potknął się i padł na jedno kolano, ale robotnicy minęli go, pędząc za ciężarówką. Chyba sądzili, że alarm włączono właśnie z jej powodu.

Potem, równie nagle, jak się odezwała, syrena umilkła. Gwizdek zająknął się i powoli ucichł. Jakiś człowiek wykrzyknął

dziwnie przejętym tonem, po tybetańsku, potem inny po mandaryńsku, i większość robotników zatrzymała się, wskazując palcami na wschód. Na stoku ponad obozem, w miejscu, gdzie droga przerzynała się przez grań, w ostrym słońcu stały dwie postacie spoglądające na obóz. Samotny mnich i, tuż obok, potężny jak Tybetańczycy szeptali z podnieceniem. Shan słyszał mamrotane pospiesznie mantry. Także wielu chińskich robotników przystanęło, by się przyjrzeć tej parze, niektórzy ze zdziwieniem, inni jednak zapewne z czcią, gdyż w chińskiej tradycji niewiele wyobrażeń było bardziej świętych niż obraz Lao-tse wędrującego ze swoim wołem.

Ludzie umilkli. Wszyscy wpatrywali się w człowieka ze zwierzęciem. Ciszę przerywało jedynie odległe bębnienie, które bardziej niż kiedykolwiek brzmiało, jakby to biło serce tutejszego bóstwa.

Shan wahał się zbyt długo. Nagle został schwycony od tyłu i brutalnie zaciągnięty między dwie przyczepy.

–Masz! – usłyszał rozkazujący kobiecy głos i poczuł, że ktoś wciska mu coś na głowę, po czym wpycha jego ramię w rękaw zielonej kurtki. Wpatrzył się tępo w gniewną twarz młodej Tybetanki, z dziwnym poczuciem, że już ją kiedyś widział, potem ujrzał obok siebie Winslowa, któremu dziewczyna dała drugą kurtkę. Na koniec rzuciła im po kasku. – Idźcie! Popsujecie wszystko! – zawołała, gwałtownie wskazując im zalesiony stok za obozem, po czym podbiegła do rozwścieczonych krzykaczy, wołając, że widziała mężczyznę biegnącego drogą obok osuwającej się

ciężarówki.

Winslow pomógł Shanowi włożyć kurtkę i pospiesznie pociągnął go za sobą. Chmara robotników zdawała się rozstępować, gdy szli przez otwarty teren obok wojskowych ciężarówek. Pomiędzy nimi a lasem stały trzy wojskowe namioty, ale było przy nich jedynie dwóch żołnierzy, którzy doglądali wielkiego gara nad ogniskiem. Gdy Winslow wysunął się naprzód, Shan spostrzegł, że na plecach kurtki Amerykanin ma wypisane wielkimi literami po angielsku i po chińsku *Kierownik*. Na jego kasku wymalowana była wielka cyfra jeden. Shan miał kask identyczny jak te, które nosili pracownicy spółki. Minęli żołnierzy, którzy krótko skinęli im głowami, i szybko zaczęli się wspinać na zbocze.

Po piętnastu minutach Winslow przystanął wreszcie. Zdjął kask i rzucił na niego okiem, zaklął, po czym parsknął śmiechem.

–Kim był ten człowiek w masce? – zapytał po angielsku.

–Słucham? – zapytał Shan. Bacznie przepatrywał drugą stronę doliny. Gyalo i Jampa, gdyż mogli to być tylko oni, zniknęli.

–Żartuję. Chciałem zapytać, kim była ta kobieta, która nam pomogła.

–Wielu Tybetańczyków nie lubi pałkarzy – odparł Shan.

Ale wiedział, kto to był. Gdy się wspinali na zbocze, przypomniał sobie wreszcie, skąd zna jej twarz. Po raz ostatni widział ją w pustelni, w dniu, w którym opuścił Genduna odprawiającego rytuał śmierci nad Draktem. Purba biegaczka, Somo.

Być może to nie ona sama przyczyniła się do ich ocalenia, uświadomili sobie, gdy szli grzbietem w stronę Yapchi, rozmawiając o tym, co zaszło. Somo mogła zwolnić hamulce ciężarówki, ale syreny używano w sytuacjach alarmowych lub dla obwieszczenia ważnych komunikatów kierownictwa. Jej ryk wprowadził wystarczający zamęt, by umożliwić im ucieczkę. Winslow widział kiedyś, jak Jenkins włącza ją, żeby wezwać robotników, gdy miał im oświadczyć, że będą wiercić dzień i noc bez przerwy, ale jeśli natrafią na ropę przed pierwszym maja, wszyscy dostaną podwójną pensję.

–Tam jest taka mała skrzynka, zamykana na klucz – wyjaśnił Winslow, rozglądając się po obozie, i powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Tamtego dnia widziałem, jak Jenkins ją otwiera. Sądziłem, że tylko on ma klucz.

Zatrzymali się przy przecince i usiedli na głazie. Winslow spojrzał w dół przez lornetkę.

–Żołnierze ustawili robotników w szeregu – oświadczył. – Pewnie sprawdzają ich dokumenty.

–Żołnierze zrzucą winę na krzykaczy – snuł domysły Shan – a krzykacze zrzucą winę na żołnierzy i pałkarzy.

Winslow cierpko się uśmiechnął.

–Byłoby świetnie. – Znów spojrzał na obóz. – Może nie na pałkarzy. Oni odjeżdżają. – Podał lornetkę Shanowi.

Shan przyjrzał się obozowi. Nie bardzo rozumiał, co się tam dzieje. Pałkarze z Golmudu istotnie odjeżdżali, i to w pośpiechu. Pod czujnym okiem dyrektora Tuana zwijali namioty i wrzucali

je na ciężarówce, ładowali sprzęt. Wyglądało to, niewiarygodnie, jakby Urząd do spraw Wyznań kazał się zbierać ludziom bezpieki. Jakby Tuan miał teraz nad nimi władzę. Coś było nie tak, panowało jakieś zamieszanie co do tego, kto tu naprawdę dowodzi, podobnie jak to było w Norbu. Choć może nie, uświadomił sobie chwilę później. Może zamieszanie dotyczyło tylko tego, kto ma prawo do Shana, Tenzina i do sekretów, którymi – jak się wydawało – naszpikowana była dolina.

–Złożą na ciebie skargę – odezwał się ciężkim głosem, opuszczając lornetkę.

–Może nie. Myślałem o tym. Kiedy ten Tuan cię zauważył, byłeś sam. A nie widział mnie z tobą w gompie.

–Ale on rozmawiał z Linem. To właśnie dlatego powiedział, że wiem o obydwu.

–O jakich obydwu?

Shan zastanowił się.

–Tuan interesuje się Tenzinem albo kimś, kto przypomina Tenzina. Lin szuka kamienia i złodzieja, który go ukradł. Jego najbardziej obiecującym tropem jest grupa rongpów z Yapchi, którą nakrył sto pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd.

Tuan widział mnie z Tenzinem. Lin widział mnie z karawaną

Yapchi. Tuan myślał o obu rzeczach: tej której szuka on sam,

i tej, której szukają strzelcy Lina. Wygląda na to – dodał wolno – że jedni i drudzy szukają różnych rzeczy. Powiązanych ze sobą, ale różnych.

Winslow skrzywił się.

–Powiązanych poprzez ciebie. – Zerknął na Shana i jeszcze

raz rozejrzał się przez lornetkę po obozie. – Nawet gdyby chcieli złożyć na mnie

skargę, co mogliby powiedzieć? Że amerykański dyplomata zakłócił wydobywanie ropy?

Że przeszkadzam im w jakiejś kampanii przeciwko Tybetańczykom?

Tym razem to Shan się skrzywił.

–Chryste – westchnął Winslow. – Ostatecznie do tego wszystko się sprowadza,

no nie? – mruknął, jakby dopiero teraz zrozumiał, co powiedział. – To nigdy się nie

kończy, prawda? Jak

jakaś potężna chińska maszyna, którą włączono dziesiątki

lat temu, a teraz nikt nie wie, jak ją wyłączyć, więc ona wciąż

pożera Tybet i Tybetańczyków.

Znowu rozległo się bębnienie.

Winslow znieruchomiał, lecz po chwili, zaciskając szczęki, powoli odwrócił się w stronę dźwięku.

–Co to jest, u diabła? Jakaś wojna psychologiczna?

Shan uśmiechnął się.

–Bęben bóstwa. Myślę, że ktoś próbuje przywołać bóstwo,

które niegdyś żyło na tej ziemi. – Wyjaśnił, że był to bęben

Lepki, ale nie zabrał go w góry nikt z wioski.

Winslow przesunął się, by lepiej widzieć wyższe partie zbocza.

–Chcesz powiedzieć, że to ten, kto ukradł oko?

–Możliwe. Ale jest wielu Tybetańczyków, którzy mogliby wzywać bóstwo do powrotu.

Shan przypomniał sobie, jak dziwnie Jenkins przekrzywił głowę, kierując ucho w stronę dźwięku. Wsłuchiwał się w potężne uderzenia. W bęben walił ktoś bardzo silny. Przed oczami stanął mu obraz demona o potężnych ramionach. Przeszedł go dreszcz. Być może nie był to wcale ktoś, komu chodziło o spółkę naftową. Może był to ten, kto tropił Shana i jego przyjaciół. Być może to dobdob porwał oko, a teraz wzywał do ukarania Shana tak, jak ukarany został Drake.

Shan spostrzegł, że Amerykanin znów się przygląda chaotycznej krzątaninie w obozie.

–Lokesh mówił, że byłeś kiedyś inspektorem – odezwał się po chwili Winslow.

–Dawno temu.

–Więc co, do cholery, się tu dzieje? – zapytał Amerykanin. – Przyjechałem szukać zaginionej kobiety. A teraz to wszystko... Co powiedziała by na to inspektor?

–Inspektor przesłuchiwał ludzi, żeby odkryć fakty, i zestawiał je, żeby wyciągnąć wnioski – odparł spokojnie Shan. – Tutaj to nie zdaje egzaminu. W Tybecie fakty są mylące, trudno je powiązać. Tybetańczycy nie uważają, by jedno wynikało z drugiego. Wierzą, że zdarzenia następują po prostu dlatego, że miały nastąpić. – Spostrzegł niezrozumienie na twarzy Winslowa i wskazał ptaka przelatującego między skałami w dole. – Ten skowronek nie leci dlatego, że zeskoczył z gałęzi i rozpostarł skrzydła, albo dlatego, że coś go wystraszyło. On po prostu leci, teraz. A w chwili, która była terażniejszością pięć minut temu,

siedział na drzewie. Oni nie dostrzegają przyczyn i skutków, więc nie ma sensu pytać ludzi, dlaczego coś się stało. Nie ma żadnych przyczyn działania, jest tylko działanie.

–Ale dla ciebie i dla mnie – odezwał się po chwili Winslow – i dla kogoś takiego jak Lin to jest bardziej skomplikowane. My wierzymy w przyczynę i skutek. – Spojrzał na swoje dłonie. – W Pekinie była pewna staruszka, która kochała sieroty...

–Lokesh twierdzi, że uczę się wszystkiego na opak, że sprawy powinno się poznawać sercem, nim dotrą do umysłu. Ale ja muszę najpierw objąć je umysłem, pytając o ich przyczyny. Na przykład dlaczego ktoś ukrywa się z bębniem na stoku. Dlaczego z warsztatu Jenkinsa skradziono narzędzia noc po tym, jak nam ukradziono oko. Dlaczego właściwie Lin przybył do Yapchi. Dlaczego ten widmowy lama wędruje po górach. Dlaczego Melissa Larkin wybrała to miejsce, żeby się zgubić. Gdybyśmy znali motywy i kolejność, dowiedzielibyśmy się wszystkiego.

–Kolejność?

Shan wyciągnął spod koszuli gazetę wydaną tydzień po kradzieży oka w Lhasie. Niemal w całości wypełniały ją artykuły na temat Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Ale u dołu jednej ze stron była mała wzmianka o włamaniu w Lhasie do pomieszczeń sztabowych 54. Brygady Strzelców Górskich. Teren wokół sztabu otoczono kordonem i wprowadzono nowe zasady bezpieczeństwa, które podano do wiadomości wszystkich obywateli. Większość cywilnych pracowników została zwolniona. Cztery strony dalej, na końcu gazety, uwagę Shana przyciągnęła kolejna

notatka. Czcigodny opat Sangchi, twórca Kampanii Pogodnego Dobrobytu, nie pojawił się, by wygłosić zaplanowane przemówienie. Wszystkich, którzy go widzieli, proszono o niezwłoczny kontakt z Urzędem Bezpieczeństwa. Gazeta, którą czytał w Norbu, informująca o ucieczce opata do Indii, nosiła datę o kilka tygodni późniejszą. Tenzin powiedział, że był przy ucieczce opata.

–Kolejność – powtórzył Shan. – Szukanie powiązań na pod
stawie kolejności wydarzeń. – Wskazał na drugi artykuł. –
Na przykład dlaczego kamienne oko i opat Sangchi zniknęli tej
samej nocy. I motywy, na przykład to, czego dowiedzieliśmy się dziś od Tuana. –
On nic...

–Powiedział nam, że wie, że coś nas łączy z doliną, a to
samo dotyczy i tego, czego on szuka, skoro przyszedł szukać
tego właśnie tutaj. Ale gdyby chodziło mu o kamienne oko,
byłby tu już wcześniej albo przysłałby tych ludzi w białych
koszulach. Myślę – dodał wolno Shan – że Lin i Tuan szukają
tej samej osoby, tyle że Lin szuka jej za to, co zrobiła, a Tuan
szuka jej z powodu tego, kim ona jest.

Spojrzeni po sobie, po czym przez kilka minut wpatrywali się w dolinę.

–Co miała na myśli ta dziewczyna w obozie, kiedy mówiła, że wszystko
popsujemy? – zapytał Winslow.

Shan nie zdawał sobie sprawy, że Amerykanin słyszał słowa Somo. Dziewczyna
znalazła się w obozie nacierzy z powodu purbów, robiąc coś, w czym on i Winslow
mogli jej zdaniem przeszkodzić.

–Nie mam pojęcia – odparł.

–Nic nie powstrzyma ropy – stwierdził ponuro Winslow, jakby zaczynał
nienawidzić spółki nie mniej niż Tybetańczycy. – Do tego trzeba by bóstwa.

Długą chwilę wsłuchiwali się w bębnienie. W końcu Shan znów odwrócił się do
Amerykanina.

–Nie powinieneś się do tego wszystkiego mieszać. Lepiej odejść. To, co się tu
dzieje, co będzie się tu działo... nic na to nie poradzisz. – Uświadomił sobie z
goryczą, że Amerykanin mówił prawdę. Potężna machina, którą Pekin wprowadził w ruch
przed dziesiątkami lat, wyrwała się spod kontroli. A właściwie nie wyrwała się, lecz
po prostu tak głęboko zakorzeniła się w świecie, jaki stworzył Pekin, że nie można
już jej było powstrzymać.

Winslow nie odezwał się słowem. Wpatrywał się w wieżę wiertniczą. Po chwili
uniósł lornetkę i wskazał coś palcem. Pod wieżą siedziało kręgiem kilkoro ludzi w
chubach. Był to krąg modlitewny, domyślił się Shan. Tybetańczycy przenieśli się ze
swoimi modlitwami pod wieżę wiertniczą. Zapewne Lepka powiedział im o ukrytym
tam dzwonie.

Winslow wskazał inną grupę, oddział żołnierzy biegnących w stronę zbocza, na
którym widziano Gyala i Jampę.

–Lubiłem tego Jaka – powiedział tępo, jakby nie liczył na to, by jeszcze mieli ujrzeć
mnicha i jego zwierzę. Znów spojrzął na Shana, na jego twarzy malował się ból. –

Jeśli wiem o tym wszystkim i nic nie robię, co ze mnie za człowiek?

–Rozsądny – podsunął Shan. – Pragmatyczny. Umiejący przetrwać.

Cudzoziemiec, który nie musi przejmować się tymi sprawami.

Winslow zdjął kask i przyjrzał się cyfrze wymalowanej z przodu i z tyłu.

–Ten koń uciekł ze stajni, stary. – Spojrzał zamyślony w stronę przeciwnego grzbietu, gdzie wcześniej ukazał się Gyalo

z jakim. Słuchali bębnienia, które to cichło, to znów narasta

ło, w miarę jak wiatr słabł lub przybierał na sile. – Dawno

temu, kiedy mieszkałem na ranczu ojca, koń kopnął mojego

wujka i zabił go – powiedział. – Ruszyłem tam zaraz po tym,

jak to się stało, kiedy moja matka pobiegła, żeby wezwać karetkę, i klęknąłem

przy nim. Krew płynęła mu z ust. Zdawał

sobie sprawę, że umiera. Powiedział, że to nic nie szkodzi

i żeby nikt nie mścił się na tym koniu. Powiedział, że gdyby

miał wybór, czy być dobrym kowbojem, czy po prostu dożyć

późnej starości, wolałby być kowbojem. – Powoli nałożył kask,

wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył równym, zdecydowanym krokiem wzdłuż

zbocza. Od wioski dzieliło ich jeszcze

półtora kilometra.

Shan patrzył na plecy Amerykanina, potem przeniósł wzrok na odległą, spokojną

wioskę. Wieśniacy chcieli tylko powrotu swojego bóstwa. Sposepniał. Było to coś

więcej niż zwykłe przeczucie, była to pewność nadchodzącej tragedii. Nikt nie mógł

ocalić doliny, gdyż świat był we władzy spółek naftowych i pułkowników Linów,

którzy uważali, że wszyscy muszą się dopasować do nowych porządków albo nie

będą mieli najmniejszej racji bytu. Amerykanin mógł się ludzi nadzieją, ale Shan

wyzbył się złudzeń. Lokesh i Gendun powtarzali zawsze, że Shan cierpi z powodu

ludzi takich jak pułkownik Lin oraz ich poczynań jeszcze bardziej niż Tybetańczycy,

gdyż Tybetańczycy mogli się z

tym pogodzić, widząc w tym część wielkiego koła życia, podczas gdy Shan

zawsze uważał, że powinien coś zrobić, by to zmienić, toteż stale miał poczucie

klęski.

Nim Shan znów ruszył w drogę, Winslow zdążył już mu zniknąć z pola widzenia.

Do jego uszu docierało dudnienie wieży wiertniczej i łomot ciężkiego sprzętu. W

chmurze pyłu do wieży podjechał nowy pojazd. Shan przystanął, żeby mu się

przyjrzeć, i znów przeszedł go dreszcz. Był to czołg. Jego wieża obróciła się w

stronę kręgu wieśniaków i mechanik wyłączył silnik.

Coś w Shanie krzyczało, żeby uciekał, ale nie mógł się ruszyć, mógł tylko

obserwować tę tak bardzo tybetańską scenę, czołg przeciwko kręgowi

modlitewnemu. Wydawało mu się, że nogi ma równie ciężkie jak serce, i musiał siłą

woli zmuszać je do każdego kroku. Kwadrans później był na północnym krańcu

doliny, gdzie wiatr zagłuszał huk maszyn. Przystanął na chwilę, próbując oczyścić

umysł, po czym usiadł w pozycji lotosu, opierając się plecami o drzewo. Istniało

uspokajające ćwiczenie, technika medytacyjna, którą Gendun nazywał

przeczesywaniem wiatru. Pozwól swej świadomości unosić się z wiatrem, rozciągnij ją na całą przyrodę, by dotrzeć do swego wewnętrznego świata. Shan potrzebował tego, czuł ogromną potrzebę dotarcia do pustki, która przynosiła spokój, i do spokoju, który przynosił jasność. Zatonął w śpiewie ptaków, wdychał woń jałowców, przyglądał się maleńkiej pszczołce latającej między żółtymi kwiatami i zobaczył niebieski kwiat skłaniający głowę nad pomarańczowym rumieńcem porostów. Po kilku minutach dotarło do niego nowe doznanie; smakował je przez chwilę, zanim rozpoznał w nim zapach świeżej farby.

Pięć minut później odkrył źródło zapachu, wysoki prawie na dwa metry i niemal tak samo szeroki głaz częściowo pokryty czerwoną farbą. Kilkakrotnie obszedł głaz dookoła. Pomalowana powierzchnia zwrócona była ku dolinie, a ściślej mówiąc, ku jej dalszemu krańcowi, gdzie wznosiła się wieża wiertnicza i rozciągał się obóz nafcjarzy. Sądząc po zachlapanej ziemi, farba została nałożona w pośpiechu i zapewne na tyle tylko jej starczyło. Miał pewność, że nie było jej poprzedniego dnia ani tego ranka. Odcisnęłyby się w jego umyśle, nie ze względu na intensywną barwę, ale dlatego, że widywał już tak pomalowane skały, zwykle wyblakłe, pokryte kożuchem porostów. We wciąż wiernych tradycji regionach Tybetu oznaczano tak siedzibę bóstwa opiekuńczego.

Dotknął pomalowanej skały. Farba była lepka, wciąż jeszcze niezupełnie wyschła. Posuwając się na czworakach, obszukał podnóże głazu. Nie znalazł świeżo rozkopanej ziemi, gdzie ktoś mógłby zagrzebać kamienne oko. Nie znalazł nic na wierzchu, poza kupką wypluwek sowy. Ktoś mógł pomalować głaz, żeby zadrwić z Chińczyków. Ktoś mógł pomalować go, by zwrócić uwagę bóstwa na to, co dzieje się w dolinie. Ktoś mógł go pomalować, by sprowadzić bóstwo w pobliże oka.

Ziemia przed głazem była ubita na gładko. Rozejrzał się dookoła, zapamiętując rozległy widok na obóz nafcjarzy oraz ustawienie sąsiednich skał w kształt litery V, z wierzchołkiem przy czerwonym głazie. Nim pomalowano kamień, bębniący siedział tutaj, w miejscu, gdzie skały wzmacniały dźwięk i kierowały go w stronę obozu.

Zataczając coraz szersze kręgi, obszedł teren wokół czerwonego głazu. Nie było śladów końskich kopyt, jedynie parę odcisków butów. Prawdopodobnie zostawił je tylko jeden człowiek. Jeden człowiek z małą puszką czerwonej farby i bębniem.

Przystanął z tyłu głazu, oparł o niego dłoń i zamknął oczy. Zdawało mu się, że słyszy inny dźwięk, czy może raczej echo dźwięku, dziwny szmer przypominający trochę szum wiatru. Ale powietrze było zupełnie nieruchome. Mógł to być jęk, odległy grzmot albo nie tak odległy stłumiony ryk. Potem, nagle, znów usłyszał bębnienie. Dobiegało z wyższych partii zbocza. Otworzył oczy i ruszył biegiem, desperacko szukając jego źródła, dopóki nie stanął u stóp wysokiego urwiska i nie uświadomił sobie, że dźwięk płynie z góry, gdzie mógłby dotrzeć, jedynie obchodząc skalną ścianę.

Pełen złych przeczuć obejrzał się na czerwony głaz. Zapewne, pomyślał, nikt w obozie nafcjarzy ani nikt z żołnierzy nie będzie zdawać sobie sprawy ze znaczenia malowanej skały. Ale potem przypomniał sobie, kto jeszcze zjawił się w obozie. Krzykacze będą wiedzieli. Dla krzykaczy głaz będzie kamieniem obrazy.

Gdy dotarł do małego jaru za Yapchi, nikogo tam nie było.

W wiosce znalazł Winslowa. Amerykanin siedział na ławie pod ogrodzeniem z ubitej ziemi i zapisywał coś w notesie. Przed nim stała kolejka wieśniaków.

–Nazwiska i numery dokumentów tożsamości – wyjaśnił

Amerykanin, widząc pytające spojrzenie Shana. – Jeśli ktoś zaginie, ta lista trafi do Komisji Praw Człowieka ONZ. Firma

musi odpowiadać za to, co się dzieje z ludźmi, których wywłaszcza.

Shan przyglądał się, jak wieśniacy wychodzą jeden za drugim ze starego drewnianego domu żegnani uściskiem dłoni przez stojącego w drzwiach Lhandra.

Podszedł do furtki w ogrodzeniu i stał tam, dopóki po odejściu ostatniego wieśniaka Lhandro nie podszedł do niego. Naczelnik wioski nie wiedział, kto pomalował skałę, nie wiedział nawet, kto w wiosce mógłby w ogóle mieć czerwoną farbę.

–Nasi ludzie mówią, że to znak – oświadczył z nutą nadziei w głosie, jakby sam nie miał co do tego pewności.

–Być może znak, że złodziej przyniósł oko do doliny – zauważył Shan.

Naczelnik rozpromienił się na moment i z powagą skinął głową.

–Tam, w górze, słyszałem jakiś dźwięk – powiedział Shan. – Nie bęben. Coś jak szmer wiatru, ale to nie był wiatr.

Lhandro ponownie skinął głową i zaczął przyglądać się stokom.

–Ludzie mówią, że w górze Yapchi są tajemne przejścia prowadzące do bayalu. Być może to właśnie stało się z Gyalem i Jampą – dodał, jakby mnich i jak mogli zniknąć w jednej z ukrytych krain.

Zaprosił Shana do cichego domu, gdzie w towarzystwie rodziców Lhandra wypili herbatę i zjedli zimne kluski, podczas gdy Shan opowiadał o pracach profesora Ma. Nikt z wieśniaków nie słyszał o starej świątyni, nawet w legendach.

–Zacznij kopać gdziekolwiek w Tybecie, a prędzej czy później coś znajdziesz – powiedział Lepka z westchnieniem, głaszcząc małą owieczkę, która leżała mu na kolanach.

–Czy to możliwe – zastanawiał się Shan – żeby tam właśnie był kiedyś dom bóstwa? W małej gompie?

–Tam nigdy nie było gompy – oświadczył stanowczo sta rzec. Odwrócił się i utkwiał wzrok w zdjęciu na ołtarzu.

Shan przyglądał się staremu rongpie. Czy przekazano mu słowa, które wyrocznia wypowiedziała w górach? „W moich górach, w moim sercu, w mojej krwi”, powiedziała głuchym głosem, dziwnym w ustach Anyi. „Zwiąż ich, zwiąż ich, zwiąż ich”, mówiła, jak gdyby chodziło o jeńców. „Tylu już umarło. Tylu jeszcze umrze”. Co te słowa znaczyłyby dla Lepki?

Ale starzec nie słuchał już ani nic nie dodał. Dołączył do żony, mruczającej przy ołtarzu nad paciorkami różańca.

Shan wyszedł z domu i na drugim końcu wioski, za ławą, na której siedział Winslow, spostrzegł gromadkę ludzi. Niektórzy klęczeli obok rozpostartego na ziemi koca z jaczego włosia, na który wieśniacy sypali wiadrami jęczmień. Inni rzucali khaty, jeszcze inni gromadzili przy nim garnki i kociołki. Spostrzegłszy Shana,

powitali go z nadzieją na twarzach i odeszli od koca. Siedział na nim Lokesh, pomagając Nymie wiązać razem ucha garnków. Na kolanach starego Tybetańczyka leżał ogryzek ołówka i długi arkusz papieru, na którym widniało kilka linijek skreślonych jego pismem.

Lokesh uśmiechnął się i poklepał ziemię obok siebie.

–Zacząłem pisać – wyjaśnił z satysfakcją w głosie, gdy spostrzegł, że Shan przygląda się kartce. – Moje przesłanie do Przewodniczącego.

Shan zacisnął szczęki i wpatrywał się w papier. Sądził już, że Lokesh zapomniał o swej dziwnej pielgrzymce do stolicy.

–Przeczytam mu je, temu najwyższemu przewodniczącemu – oświadczył starzec z niezwykłą u niego nutą uporu. –

Wypijemy herbatę i wyjaśnię mu, co się dzieje w Tybecie. Jestem pewien, że on nie rozumie.

Shan odwzajemnił jego spojrzenie. Dostrzegwał nowe oblicze Lokesha, wyzwanie w jego oczach, bunt w jego głosie. Lokesh ostrzegał go na swój sposób, bojąc się, że przyjaciel mógłby się z nim spierać. Ale Shan odwrócił się i rozejrzał po dolinie, nasłuchując dudnienia wiertnicy i odległego, wyzywającego bicia bębna.

–Na pewno nie rozumie – zgodził się z przyjacielem.

Przyłączył się do pakowania zapasów, które były bez wątplenia przeznaczone dla tych, którzy uciekli w góry. Jedna z

wieśniaczek zaczęła śpiewać smętną pieśń. Inna uklękła obok małej dziewczynki i zaczęła zaplatać jej włosy. Stąd, ze stoku, na którym siedzieli, wioska wydawała się pogodna, a odgłos wiertnicy niknął, zagłuszany przez pieśń. Wszystko to tworzyło nastrój świątecznej wycieczki, pikniku.

Nagle spokój zakłócił huk, głośny niczym grzmot, i dziwny, przecinający niebo świst. Kobieta przerwała śpiew i uniosła wzrok, w pierwszej chwili z zaintrygowanym uśmiechem, jakby sądziła, że ktoś dla kawału odpala fajerwerki. Po chwili jednak kilkaset metrów od nich eksplodowało zbocze.

–Anya! – krzyknęła Nyma, rzucając się ku wsi.

Shan znalazł Lhandra przy północnym wylocie wioskowej uliczki. Naczelnik z rozpaczą w oczach wpatrywał się w pojazd stojący w połowie drogi między wsią a wieżą wiertniczą. Nagle pojazd plunął ogniem, huknęło raz jeszcze, ponownie rozległ się świst i zbocze znów eksplodowało. Czołg ruszył naprzód – atakował malowaną skałę.

–Powiedzieli nam, że jakiś młody oficer szkoli swoich ludzi – rzekł Shan, jakby to mogła być jakaś pociecha. Ale zdawało się, że nie ma do powiedzenia nic więcej. Czołgowa armata wypluła jeszcze dwa pociski, a kiedy dym na stoku rozwiął się, czerwony gład zniknął. Nie tylko gład. Również cały spłacheć zbocza. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się drzewa i omszałe skały, teraz widać było tylko dymiącą, zrytą ziemię. Czołg zawrócił i powoli ruszył z powrotem ku obozowi nacierzy.

Nikt nic nie powiedział na temat tego, co zaszło. Niektórzy ze starszych

wieśniaków stali jak sparaliżowani i tylko wpatrywali się żałośnie w dymiący skrawek ziemi. Z ukłuciem bólu Shan uświadomił sobie, że mogli uznać, iż kolejne bóstwo próbowało się do nich przyłączyć, a Chińczycy je zamordowali. Ludzie powoli wrócili do swych zajęć. Shan ze zdziwieniem przyglądał się, jak matka Lhandra i Nyma wieszają u parapetów okien sznury ze skrawkami materiału, a ich drugie końce mocują do murków lub przyciskają kamieniami do ziemi. Niektóre skrawki materii były khatami, inne małymi flagami modlitewnymi. Kilkoro ludzi zamiatało progi swych domów, niektórzy nawet szorowali ściany. Jeden z mężczyzn, trzymając puszkę czarnej farby, wielkimi

znakami malował na swym domu mantrę mani. Między dwoma budynkami Shan zobaczył krąg kilkunastu osób odmawiających mantry. Znał już takie sceny i widok ten napełnił go otuchą. Tak właśnie toczyły się bitwy między Chińczykami i Tybetańczykami. Flagi modlitewne i mantry przeciw czołgom.

Jakby dla dopełnienia odświętnego nastroju Lhandro zarządził, aby na środku ścieżki, tuż przy wejściu do wioski, rozpalono wielkie ognisko. Jego matka i żona przyniosły wielki garnek oraz słój masła i zabrały się do robienia herbaty dla wszystkich. Niech dadzą nową sól, oświadczył Lhandro, a jego matka przyniosła starą dongmę, w której ubijano herbatę, gdy Lepka był jeszcze mały.

Gdy pili herbatę, ojciec naczelnika snuł przekazywaną z pokolenia na pokolenie opowieść o budowie ich domu – długą, szczegółową historię mówiącą, jak wybierano najsilniejsze drzewa, odmawiając modlitwy przed każdym z nich, nim zostało ścięte; jak członkowie klanu udali się wysoko w góry, ponad Unię drzew, tam gdzie żyją lodowce, żeby przynieść stamtąd kamienie na fundamenty, gdyż przebywając tak blisko bóstw nieba, znały mowę wiatru i mogły go uprosić, by łagodnie wiał nad doliną.

Na wioskę spłynął dziwnie szczęśliwy nastrój, radosny spokój, w którym dało się wyczuć wyczekiwanie. Shan zauważył, że niejeden z wieśniaków ociera łzy, a kilkoro odeszło, by przyłączyć się do robiących porządku. Ci, którzy pozostali przy ognisku, podjęli pieśń, cicho z początku, potem coraz żywiej, wręcz głośno. Lokesh spojrzął na Shana ze zdumieniem w oczach. Była to, uświadomił sobie Shan, jedna z jego podróży pieśni, pieśń pielgrzyma, pieśń samotnych wędrowców.

Kiedy znowu pojawiły się wojskowe ciężarówki, nadjeżdżając powoli krętą drogą przez dolinę, nikt w wiosce nie okazał zaskoczenia. Lhandro westchnął i odprowadził ojca do domu.

– Tym razem będą przeszukiwać dokładnie – odezwał się do Shana i Lokesha, podając Chińczykowi jego zaciągany worek. – Musicie uciekać w góry. Zrobiliście tu wszystko, co mogliście. Idźcie szlakiem, którym Anya przyprowadziła was z wioski Chemi. Ktoś po was przyjdzie.

Winslow, już na szlaku, pomachał im z góry i odwróciwszy się, pobiegł truchtem. Ale nie poszli za nim. Przystanęli w cieniu

pierwszego wielkiego drzewa nad wioską i obserwowali nadjeżdżające ciężarówki. Pierwsza przyhamowała i zawróciwszy, zatrzymała się platformą w stronę wioski. Jeden z żołnierzy odsunął plandekę, odsłaniając tuzin żołnierzy w rynsztunku

bojowym. Ciarki przeszły Shanowi po plecach. Pułkownik Lin wysiadł z szoferki i podszedł do platformy, gdzie żołnierze wciąż siedzieli bez ruchu, jakby czekali na rozkaz, po czym uniósł do ust tubę.

–Obywatele, mieszkańcy doliny Lujun – zaczął i z ukłuciem w sercu Shan spostrzegł, że Lin czyta z kartki. Oficjalna

sprawa. – Spotkał was zaszczyt uczestniczenia w wielkim gospodarczym otwarciu tych ziem przez władzę ludową. – Pułkownik przerwał i nawet z dwustu metrów Shan mógł do

strzec grymas na jego twarzy. – Wschodzi nowe słońce i wszystkie narody Chin biorą was dziś w objęcia. – Shan przypomniał sobie o swojej sponiewieranej lornetce i wyciągnął ją z worka.

Ludzie z wioski porzucili swe zajęcia, przerwali śpiew i mantry, by zgromadzić się na szerokiej ścieżce. Część z nich stłoczyła się za plecami Lhandra, który wyszedł naprzód i stanął pomiędzy ciężarówkami a wioską. Z pierwszego domu, wsparty na kiju i z płóciennym workiem na ramieniu, wyszedł Lepka, bardziej wyprostowany i kroczący pewniej, niż Shan kiedykolwiek u niego widział. Starzec stanął u boku syna, gdy tymczasem żołnierze z drugiej ciężarówki wyładowali składany stół oraz krzesło i ustawili je w pobliżu wejścia do wioski, dziesięć metrów od Lhandra. Skądś pojawił się mężczyzna w zielonej nylonowej kurtce, z notatnikiem w ręce, i usiadł na krześle. Dwaj ludzie w białych koszulach rozwinęli mały transparent umocowany na dwóch słupkach. *Pogodny Dobrobyt*, wypisano na nim czerwonymi literami.

–Czekają na was nowe osiedla, z wodociągami i elektrycznością. Możecie zrzucić ostatnie okowy feudalizmu. – Lin z grymasem zniecierpliwienia opuścił kartkę. – Zostajecie przesiedleni – warknął. – 54. Brygada Strzelców Górskich rekwiruje wioskę w imieniu przedsiębiorstwa naftowego. Część z was może otrzymać w nim pracę i zamieszkać w służbowym osiedlu. Pozostali zostaną przeniesieni do jednego z nowych miast. – Lin miał na myśli bezduszne kryte blachą skupiska bloków z pustaków, jakie Pekin budował wokół kompleksów fabrycznych. Tam nie byłoby pół jęczmienia, zwierząt, karawan do Lamtso, tam nie byłoby zgrabnych, drewnianych, przesyconych modlitwami domów.

–Nie pytaliście nas! – krzyknął Lhandro.

Ku zdumieniu Shana, ojciec naczelnika pochylił się i wyciągnął z ogniska ciężką płonąca gałąź. Trzymał ją u boku niczym broń.

–Oczywiście, że pytaliśmy – odpalił Lin. – Spółka zwróciła się do rady okręgowej. Oni wyrazili zgodę w waszym imieniu. Są waszymi przedstawicielami.

Wiatr ucichł. Słowa Lhandra poniosły się równie donośnie jak te, które Lin wypowiadał przez tubę.

–Rada okręgowa to sami Chińczycy! Oni nigdy nie byli w dolinie Yapchi! – krzyknął naczelnik. – Żądamy rozmowy z radą!

Lin uśmiechnął się lodowato.

–Uważajcie, o co prosicie, towarzyszu.

–Nikt nie pytał ziemi! – wykrzyknął Lepka cienkim, ale silnym głosem. – Nikt nie

pytał ziemi, czy chce oddać swą krew, żeby Chińczycy mogli jeździć samochodami w Pekinie!

Wieśniacy podchodzili do ognia i wyciągali zeń płonące gałęzie. Nie mieli żadnej broni. Z pewnością, pomyślał Shan, nie spodziewają się, że przepędzą stąd wojsko, jeśli spalą te dwie ciężarówki. Zresztą nawet gdyby tego spróbowali, żołnierze szybko by się z nimi rozprawili. Opuścił lornetkę i niespokojnie postąpił kilka kroków do przodu.

Lin rzucił Lepce wściekłe spojrzenie, odwrócił się i warknął coś krótko. Siedzący żołnierze zerwali się i w mgnieniu oka stanęli w szeregu przed swoim pułkownikiem.

–Ustawcie się rzędem pod tym murem – nakazał wieśniakom Lin, wskazując ziemne ogrodzenie. – Przygotujcie dokumenty. Będziecie podchodzić do stołu po jednym naraz.

Wieśniacy nie poruszyli się.

–Ustawcie się! – wrzasnął Lin i odrzucił tubę. Rozpiął kaburę i położył dłoń na pistolecie.

Lepka ruszył wolnym krokiem, nie do stołu, lecz z powrotem ku swojemu domowi. Znów zaczął śpiewać, donośnym, piskliwym głosem, który niósł się po zboczach. Pieśń samotnego pielgrzyma. Shan patrzył na niego zbity z tropu. Co starzec miał w worku wiszącym na ramieniu? Było to coś płaskiego i prostokątnego.

Wieśniacy podjęli pieśń i zaczęli rozchodzić się do domów. Jakaś kobieta podbiegła do okna i przetarła szybę. Inna pojawiła się w drzwiach i powiesiła na kołku długi płat brązowego materiału, po czym przemknęła pędem wokół domu.

Dwaj żołnierze ruszyli wzdłuż muru, przy którym stał Lhandro. Wyglądało na to, że chcą minąć naczelnika i pochwycić jednego z wieśniaków, jednak Lhandro uniósł dłoń i zastąpił im drogę. Drugą dłoń zacisnął na gau.

–Wioska Yapchi odwzajemnia wasz uścisk – oświadczył donośnym, spokojnym głosem. I w tej chwili jego ojciec cisnął płonącą gałąź do ich pięknego drewnianego domu.

–Nie! – jęknął Shan, gdy wieśniacy zaczęli wrzucać pochodnie do pozostałych domów. – Musimy powstrzymać... – Chciał się rzucić ku nim, ale Lokesh ścisnął go za ramię tak mocno, że Shan aż poczuł ból.

–Przez to, że my dwaj nie mamy domu – odezwał się stary Tybetańczyk z bólem w głosie – być może zbyt mocno pragniemy, żeby inni zachowali swoje. – Lokesh zrozumiał, na co się zapowiada, wprawdzie nie od pierwszej chwili, ale jeszcze zanim zostały rzucone pochodnie. – Tylko tak mogą przemówić do tych Chińczyków – dodał łagodniej, prawie szeptem.

–Ten dom jest taki stary – jęknął Shan. – To ich świątynia. – Szarpnął się, lecz Lokesh trzymał go mocno, obiema rękami.

Było już za późno. Suche stare drewno zajęło się jak hubka. Płomienie buchały przez drzwi. Lepka kuśtykał ścieżką, nie oglądając się za siebie. Na ramieniu wciąż taszczył worek. Shan wiedział już, co się w nim kryje. Była to jedyna rzecz spośród całego drogiego starcowi dobytku, z którą nie zamierzał się rozstać. Fotografia dalajlamy.

Żołnierze rzucili się ku domom, Lin wściekle wyrzaskiwał rozkazy. Mężczyzna w zielonej kurtce wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę i zaczął krzyczeć do mikrofonu. Chwilę później w oddali rozbrzmiała syrena.

Jeden z żołnierzy uderzył Lhandra pałką w brzuch. Naczelnik zatoczył się na niski murek i padł na niego, trzymając się za żołądek.

Lokesh precyzyjnie się między wieśniakami do Lepki, by pomóc mu się wspiąć na strome zbocze. Shan z rozpaczą przyglądał się mieszkańcom Yapchi. Nie mieli już żadnej nadziei. Żołnierze bez trudu dopędzą ich na ścieżce i przełożą pałkarzom. Zniszczyli coś, co stało się własnością państwową. Zakłócili prace nad niezwykle ważnym dla gospodarki przedsięwzięciem.

Obok Shana przystanąła mocno zbudowana kobieta, która pierwszego dnia przyprowadziła go do wioski.

–Dziękujemy – wyszeptała. – Będziemy musieli znaleźć nasze bóstwo gdzie indziej.

Jej słowa rozdarły Shanowi serce. Ci ludzie spisali na straty swoją wioskę, swoją dolinę. Otwarcie sprzeciwili się armii. A ta kobieta zatrzymała się, żeby mu podziękować. Oczy zaszyły mu łzami.

–Wasze bóstwo wciąż tu jest – powiedział ochryple, ale nikt go nie słyszał.

Na chwilę opanowała go szalona myśl, że wdrapie się na urwisko i zostanie tam, że przeszuka każdą skałę i jakoś ściągnie na żołnierzy gniew bóstwa. Ale potem spojrzął na Lokesha i wieśniaków wspinających się mozolnie na zbocze. Oni potrzebowali jego pomocy.

Przez dolinę pędziły następne ciężarówki. Większość mieszkańców Yapchi odeszła już wcześniej, uświadomił sobie Shan, wracając myślą do kręgu przy ognisku. Rodzice Lhandra, jedni z najstarszych, zdecydowali się pozostać. Oni wszyscy wiedzieli. Zaplanowali to. Troskliwie oczyścili swe domy, tak jak oczyszczano zwłoki przed rytuałami bardo. Rozmawiając przy ognisku i śpiewając, żegnali się ze swoją piękną wioską. Nyma, w stroju wieśniaczki, z wystrzępioną czerwoną chustą na ramionach, wyprzedziła go, żeby pomóc Lokeshowi przy starcu. Gdzieś w pobliżu rozległ się cichy ryk. Shan odwrócił się w tę stronę i ujrzał Gyala i Jampę. Lepka roześmiał się cicho, gdy Nyma pomogła mu wsiąść na szeroki grzbiet zwierzęcia i kiedy wraz z mnichem ruszyli ścieżką zaskakująco żwawym krokiem, radośnie uniósł w górę dłoń.

–Lha gyal lo! – wykrzyknął, a idący o krok za nim Lokesh zawtórował mu.

Mimo wszystko nie mają szans, pomyślał gorzko Shan i zwolnił. Ale Nyma przystanąła i skinęła na niego nagląco ze szczeliny

w wysokim występie skalnym o szerokości pozwalającej przejechać wojskowym wozom terenowym. Gdy znaleźli się po drugiej stronie, pomachała ręką i na wierzchołku skały ukazały się dwie postacie. Shan spostrzegł błysk noża i nagle do otworu zwały się kłody i kamienie, wypełniając go na wysokość paru metrów. Nyma dorzuciła mały kamień, odwróciła się z błyskiem satysfakcji w oku, zebrała suknię w dłoń i pobiegła w górę ścieżki. Przez następny kilometr w miejscach, gdzie szlak

zwęzał się w ciasnych wąwozach, jeszcze dwa razy pojawili się nad nimi jacyś ludzie, którzy zrzucali kamienie i kłody, żeby go zablokować. Przy ostatnim przewężeniu na szczycie skał stał Winslow, pospiesznie piętrząc gałęzie i gały podawane mu przez łańcuch wieśniaków.

W dole, nie więcej niż kilkaset metrów za sobą, słyszeli gwizdy i gniewne okrzyki. Winslow zamarł, spoglądając na zbliżających się żołnierzy, zaraz jednak wrócił do roboty, z dzikim pohukiwaniem, które Shan pierwszy raz usłyszał z jego ust, kiedy Amerykanin ujeżdżał dzikiego jaka.

–Skoro oni wiedzą, że uciekamy tą ścieżką, wiedzą też, że mogą nas wyłapać w dawnej wiosce Chemi – zauważył Shan. To nie miało sensu. Nie mieli dokąd uciec, nie mogli liczyć na żadną kryjówkę.

–Purbowie powiedzieli, że prawdopodobnie będzie nas ścigał tylko Lin ze swoimi ludźmi – odparła Nyma. – Mówili, że ich zdaniem krzykacze i pracownicy spółki nie włączą się do tego. Gyalo i Jampa są już daleko z przodu. Staruszkowie będą bezpieczni, gdy tylko dotrą do wąwozu nad dawną wioską Chemi. Tam wyżej jest istny labirynt, mnóstwo jaskiń. Ludzie się rozdzielą. Purbowie powiedzieli, że żołnierze nie będą aż tak bardzo zainteresowani pościgiem, że ważniejsza jest dla nich ciągłość pracy przy ropie.

Ale purbowie nie widzieli lodowatych oczu pułkownika Lina. Nie widzieli, jakim wzrokiem patrzył na Lokesha i Lhandra, gdy spotkali go po raz pierwszy, ani nie oglądali jego wściekłego wybuchu, kiedy zaczęły płonąć domy.

Shan zaczekał, aż Winslow zejdzie ze skał.

–Powinieneś odejść. Ruszaj biegiem. Pomóż Lokeshowi, jeżeli możesz.

Winslow zmarszczył brwi, zaklął i wolno pokiwał głową.

–Adios, stary. – Ruszył szybkim krokiem pod górę, zostawiając Shana samego z Nymą.

Shan patrzył za odchodzącym. Nie tylko nie rozumiał ostatnich słów dziwnego Amerykanina, ale i właściwie nie wiedział nawet, co ten człowiek tu robi. Melissa Larkin nie żyła, a Winslow powinien już wrócić do swojej ambasady.

Ktoś zawołał z dołu. Ku zdumieniu Shana między skałami ukazał się Lhandro, w zielonej kurtce spółki i kasku ochronnym. To kurtka, którą Somo dała Shanowi, wyjaśnił szybko naczelnik wioski, nerwowo popatrując w dół szlaku. Ukrył ją po drugiej stronie muru, razem z kaskiem. Gdy zaczęły się pożary, w zamieszaniu przetoczył się przez mur, na kurtkę, i leżał, udając nieprzytomnego. Parę minut później, kiedy przyjechały ciężarówki z robotnikami, żeby ugasić ogień, włożył kurtkę i wmieszał się między nich.

Potruchtali dalej, ostatni z uciekinierów. Lhandro wysunął się na czoło i kazał wieśniakom pozostać w wąwozie, podczas gdy on będzie szukać pozostałych. Pół godziny później zatrzymali się na polanie, skąd widać już było zrujnowaną wioskę Chemi. Nie dostrzegli żadnego śladu życia. Usłyszeli jednak niesiony wiatrem szcęk metalu. Gdy metaliczny łoskot przybrał na sile i do ich uszu dotarły głosy rozmawiających przez radio ludzi, Shan i Nyma co sił w nogach rzucili się przez polanę w stronę wąwozu. Rozległ się wystrzał z karabinu. Pocisk zrykoszetował

wysoko nad ich głowami. Wojsko nie będzie chciało ich zabić, tylko aresztować. W głębi wąwozu mignęły im jakieś postacie i zaraz zniknęły za zakrętem ścieżki. I nagle piętrząca się przed nimi, wysoka skała eksplodowała trzydzieści metrów od podstawy. Czołg strzelał do wąwozu.

Shan przystanął na chwilę i obejrzał się za siebie. Lin był tam, w wąwozie, z pistoletem w dłoni, a z nim czterech żołnierzy. Tylko czterech. Ale czterech strzelców z karabinami samoczynnymi to było aż nadto. Żołnierze nie strzelaliby, aby zabijać, ale każda z kul mogła z łatwością okaleczyć człowieka na całe życie. Ponownie rozległ się wystrzał i znów nad ich głowami uderzył pocisk karabinowy, potem jeszcze jeden. Shan mógł biec dalej, lecz trzydzieści metrów przed sobą spostrzegł Lokesha i

Amerykanina, a między nimi Anyę, raz po raz oglądającą się za siebie z przerażeniem w oczach.

Wąwóz zwęził się i zakręcił. Znaleźli się poza zasięgiem wzroku Lina, ale nie mieli żadnej szansy ukrycia się, żadnej szansy wdrapania się na wysokie, niemal pionowe ściany, odwrócenia jego uwagi albo ujścia pogoni. Dotarli do Lokesha i Winslowa. Obaj zdawali się bliscy wyczerpania. Shan założył sobie ramię Lokesha na szyję i na pół niosąc starego Tybetańczyka, ruszył dalej. Nyma wzięła Anyę na barana. Wkrótce ścieżka doprowadziła ich do długiej, prostej rynny w skale, którą zaczęli się gorączkowo gramolić. Ale w połowie drogi znów usłyszeli wystrzał z karabinu, potem następny i jeszcze jeden. Shan spostrzegł, że pociski uderzają w skalną ścianę, każdy niżej od poprzedniego, każdy bliżej nich. Ostatni trafił kilkadziesiąt centymetrów od Nymy. Kobieta z jękiem rezygnacji zatrzymała się i powoli odwróciła.

–Zdrada! – wrzeszczał Lin, biegnąc w ich stronę. – Zniszczenie własności państwowej! Sabotaż! Nigdy nie...! – Jego słowa zagłuszyła eksplozja nad ich głowami, po której nastąpiły jeszcze dwie, jedna tuż po drugiej. Czołg ostrzeliwał lico skały. Trzydzieści metrów od podstawy ściana, wstrząsana uderzeniami, rozpadła się nad głowami żołnierzy, którzy nie unieśli wzroku, ale śmiało wpatrywali się w swych więźniów, mierząc do nich z karabinów.

W ostatniej chwili Lin zerknął w górę.

–Głupiec! – ryknął i sięgając do radia przy pasie, rozpaczliwie rzucił się ku skale, jednak w ułamku sekundy zasypał go gruz. Największe odłamki zwały się na czterech żołnierzy, którzy nie mieli czasu uciec ani nawet krzyknąć. Rozległ się stłumiony jęk, trysnęła krew i żołnierze zniknęli bez śladu. Skała wciąż spadała, jęcząc, przesuwając się i znów opadała niżej, aż wreszcie, wzbijając wielkie kłęby pyłu, uderzyła o dno wąwozu. Drobne okruchy, ostre jak odłamki pocisku artyleryjskiego, spadły u stóp Shana.

Nagle zapadła cisza. Pył opadł i żołnierze zniknęli, pogrzebani pod trzymetrową warstwą gładów. Nie został po nich żaden ślad, nic poza jedną sterczącą spod gruzu ręką, wciąż ściskającą pistolet. Po chwili pistolet upadł na ziemię, a palce zawisły w powietrzu, drżąc konwulsyjnie.

Rozdział trzynasty

Otoczyła ich sucha, dławiąca chmura, która kłębiła się wokół niczym ostrzeżenie,

że ich świat się zmienia. Nikt się nie odzywał. Nikt się nie ruszał. Potem wiatr zaczął rozwiewać skalny pył, aż rozrzedził go do upiornej południowej mgiełki, dość przejrzystej, by Shan znów zobaczył dłoń. Drżące palce wyciągały się ponad gruz, jakby po coś sięgając, aż stopniowo znieruchomiały.

Anya powoli, niepewnie zbliżyła się do nich o krok, potem jeszcze o jeden. Shan i reszta zastygli.

–Uciekajmy – odezwał się głucho Winslow. – Musimy uciekać – dodał, ale się nie ruszył.

Dziewczyna podeszła do sterczącej ku niebu dłoni, delikatnie rozchyliła jej palce i ścisnęła je. Początkowo palce były bezwładne, potem jednak, jakby ten, do kogo należały, stopniowo zaczął wyczuwać jej dotyk, odwzajemniły uścisk, zamykając się kurczowo na dłoni dziewczyny. Anya opadła na kolana i rozpoczęła mantrę.

Shan, wciąż oszołomiony, ledwie zdając sobie sprawę, co robi, podszedł do dziewczyny i opadł obok niej na ziemię. Chwilę później uświadomił sobie, że ktoś nad nim stoi, i uniósł wzrok. Zobaczył ponurą twarz Amerykanina. Winslow wpatrywał się w dłoń Anyi i w palce Lina, które rozpaczliwie zaciskały się na niej, jakby pułkownik bał się, że spadnie w przepaść. Shan i Lokesh zaczęli odgarniać kamienie.

Minęło przeszło piętnaście minut, nim wreszcie odgrzebali Lina. Anya nie przerywała mantry, owinęła nawet różaniec wokół palców swoich i Lina. Twarz pułkownika była zalana krwią, która płynęła z długiej rany biegnącej od czubka głowy aż do lewej skroni. Zdawało się, że nie doznał innych urazów, jedynie

prawe ramię przywalone było płytą skalną. Gdy Shanowi i Winslowowi nie udało się jej podważyć, Nyma zaczęła ją podkopywać. Po paru minutach wydobyli Lina. Prawą rękę miał nienaturalnie wygiętą w nadgarstku, dłoń była fioletowa. Nyma podniosła się z westchnieniem.

–Kilka minut drogi stąd przy ścieżce rośnie parę drzewek.

Przyniosę łubki.

Gdy odwróciła się i pobiegła, Winslow podniósł pistolet Lina. Nie patrząc na Shana, z małego, podłużnego, skózanego futerału przy pasku pułkownika wyciągnął zapasowe magazynki i schował je do swego plecaka. Shan wpatrywał się w Amerykanina, który zasznurowawszy plecak, z zaciętą miną odwrócił się i zaczął drzeć swą bandanę na długie, wąskie paski.

Wolną ręką Anya otarła rąbkiem spódnicy krew z twarzy pułkownika, podczas gdy Lokesh daremnie szukał zasypanych żołnierzy. Nyma wróciła po dziesięciu minutach, a po kolejnych dziesięciu ujęli nadgarstek Lina w łubki.

–Nie powinniśmy go ruszać – ostrzegła Nyma. – Ma straszliwy wstrząs mózgu. Winslow wstał.

–Wszystko, co możemy zrobić, to ruszyć go – oświadczył bezbarwnym głosem, mając na myśli, że nikt nie może zostać z Linem, a z uwagi na zawalony szlak jest mało prawdopodobne, że jego żołnierze znajdą go, nim zapadnie zmrok. Amerykanin podał Shanowi swój plecak i pochylił się, opierając ręce na kolanach.

Nyma niechętnie skinęła głową i pomogła Shanowi dźwignąć Lina na plecy Winslowa.

Shan i Amerykanin na zmianę nieśli Lina, póki wreszcie, okrążywszy jeden z gładów, nie napotkali Lhandra i dwóch mężczyzn z wioski. Nyma szybko wyjaśniła, co zaszło. Wieśniacy odwołali naczelnika na stronę i coś mu tłumaczyli, wskazując gniewnie to na Lina, to na szczyty gór. Nyma podeszła do nich i powiedziała coś cicho. Dwaj wieśniacy zwiesili głowy, jakby ją przeproszając, po czym związali razem swoje grube chuby i ponieśli na nich Lina stromym zboczem, nie ścieżką, ale na przełaj

po porośniętym trawą stoku, kierując się ku prowadzącej na południe przełęczy. Po godzinie forsownej wspinaczki prowadzeni przez Nymę przekroczyli przełęcz i zobaczyli rozległą Równinę Kwiatów, gdzie leżały ruiny Rapjung.

Lhandro zatrzymał się jedynie na chwilę, z beznadziejnym smutkiem w oczach spojrzął za siebie, w stronę swej doliny. Nie zareagował, kiedy Shan przystanął obok niego.

–Nasze bóstwo jest naprawdę ślepe. Dowiedliśmy tego dzisiaj – powiedział niemal szeptem i poszedł dalej.

Nyma i wieśniacy z Yapchi parli naprzód. Schodzili kozią ścieżką w stronę maleńkiego płaskowyzu trzysta metrów niżej. Oczy mieli szkliste, twarze zastygłe w maski smutku i lęku. Stracili swoją spokojną wioskę. Stracili swoją dolinę. Kilku z żołnierzy, którzy się do tego przyczynili, nie żyło, a armia nigdy nie uwierzy, że jej ludzie zginęli przypadkowo. Teraz zaś do kryjówki, ku której prowadziła ich Nyma, nieśli demona, który sprowadził na nich wszystkie te nieszczęścia.

Niegdyś była tu pustelnia, uznał Shan, kiedy stanęli na płaskowyzu, ale zniszczyła ją kamienna lawina. Pozostała tylko przednia ściana kamiennej chatki, ziejąca pustymi otworami po drzwiach i oknie wychodzącym na przepaść, która zaczynała się kilka kroków dalej – trzystumetrowe urwisko opadające w labirynt wąwozów u południowego podnóża góry Yapchi. Reszta budynku zniknęła w potężnym rumowisku, które sięgało do połowy wysokości ściany i ciągnęło się długim łukiem aż do stromego zbocza. Po przeciwnej stronie klinowatego płaskowyzu stał samotny sękaty jałowiec. Pień miał niemal trzydziestocentymetrowej grubości, ale był wysoki ledwie na dwa i pół metra. Wszystkie jego gałęzie skierowane były na południe, w stronę Rapjung.

–Myślę, że o to im chodziło – niepewnie, ze znużeniem po wiedziała Nyma. – Mówili o miejscu na południowym stoku, gdzie niegdyś przychodzili lamowie. Nigdy tu nie byłam, ale... – Głos zamarł jej w gardle, gdy nagle obok chatki pojawił się jakiś człowiek, który jakby zmaterializował się z cienia zalegającego pod skalną ścianą. Był to jeden z purbów z jaru

w Yapchi, mężczyzna w obszarpanym swetrze. Skinął na nich nagłaco, przywołując ich do siebie, najwyraźniej zdenerwowany, że zbyt długo stoją na otwartym terenie. Równie nagle, jak się pojawił, wtopił się w skały.

W tylnej części płaskowyzu, w jego najwęższym punkcie, lawina dotarła niemal do samego skalnego lica góry. Ale kamienie, które zniszczyły chatkę, nie unicestwiły

reszty budynków, pogrzebały je tylko. Solidna rama drzwi stała pośród gruzowiska niczym wejście do tunelu. Obok, od strony płaskowyzu, wzniesiono kamienną ścianę, zręcznie wymodelowaną na kształt dalszego ciągu lawiniska, ukrywając wejście przed wzrokiem wszystkich z wyjątkiem tych, którzy zbliżyli się na kilka kroków. Shan ruszył ciemnym tunelem za mężczyznami niosącymi Lina. Weszli do niskiej ze stropem z ciasno ułożonych belek nakrytych solidnymi deskami i podpartych grubymi drewnianymi stemplami. Wyglądało na to, że budowniczowie liczyli się z osunięciem skał.

Pod tylną ścianą izby leżało kilka sienników, a obok stos kociołków oraz garnków – tych, które wiązano sznurami w wiosce. Nyma weszła w drzwi prowadzące do innego, słabo oświetlonego maślanymi lampami pomieszczenia i skinęła na mężczyzn, żeby wnieśli pułkownika. Druga izba, do której weszli, była większa od pierwszej, miała mniej więcej cztery i pół metra szerokości oraz sześć metrów długości. W stropie był czynny wywietrznik. Dwa puste otwory drzwiowe prowadziły do niewielkich pomieszczeń wyglądających na cele medytacyjne. Pomędzy wejściami do nich wisiała stara, wyblakła thanka z wizerunkiem Buddy Uzdrowiciela. Gdy oczy Shana przywykły do ciemności, dostrzegł, że w cieniu pod tylną ścianą siedzi kilka osób, które teraz podniosły się na ich widok. Byli tu rodzice Lhandra, Tenzin oraz trzech purbowie, którzy czekali na niego w Yapchi. W kącie za purbami leżał sprzęt, który Shan widział w jarze koło wioski. Pod ścianą w głębi Lepka oglądał kilka wielkich, bardzo starych glinianych słoików, które zdawały się zawierać suszone zioła.

Lokesh i Tenzin bez wahania zajęli się Linem, gdy został złożony na sienniku. Kiedy stary Tybetańczyk pochylił się nad jego bezwładnym ciałem, Tenzin zebrał wszystkie lampki w pomieszczeniu i ustawił je obok pośłania. Winslow, który nadszedł ze swą elektryczną latarką, przyświecał Lokeshowi. Tybetańczyk ułożył trzy palce na jednym nadgarstku Lina, potem na drugim, a następnie na jego szyi.

–Po co przynieśliście zakładnika? – zapytał jeden z purbów, ledwie skrywając gniew. – Zakładnik nie jest nam do niczego potrzebny. Może tylko zdradzić nasze tajemnice.

Lokesh zerknął na drzwi, po czym przeniósł wzrok na wściekłego mężczyznę.

–Nie rozumiem. Jest tu jakiś zakładnik?

–Ten cholerny oficer – warknął purba.

Zdziwiony Lokesh ściągnął brwi.

–Ach – westchnął po chwili. – To nie zakładnik – wyjaśnił. – To człowiek, który potrzebuje naszego współczucia.

Purba w zielonym swetrze, który rozmawiał z Winslowem, z niedowierzaniem spojrzął na Shana.

–Wyciągnęliście go spod skał? Wykopaliście z jego własne go grobu?

Do izby przykuśtykał ojciec Lhandra. Opadł na podłogę i zaczął pomagać Lokeshowi, który omywał właśnie twarz Lina. Płukał szmatkę w misce z wodą i wyżętą podawał Lokeshowi.

–Powinieneś być wdzięczny temu człowiekowi – oświadczył sędziwy rongpa.

–Wdzięczny?! – prychnął młody purba.

–To dzięki niemu wszyscy biegliśmy tak szybko – wyjaśnił Lepka. – Gdyby nie on, niektórzy z nas znaleźliby się pod skałami zamiast tych nieszczęsnych żołnierzy.

Purba jęknął z irytacją, obrócił się na pięcie i opuścił izbę.

Lokesh mozolił się nad Linem. Mył go, masował dłoń ze złamanym nadgarstkiem, raz po raz mierzył mu puls. Gdy Nyma wyszła na zewnątrz, żeby poszukać lepszych tubek, Lokesh zajrzał w uszy i usta rannego, po czym posłuchał jeszcze raz, z zamkniętymi oczyma, puls na jego szyi, a potem, ściągawszy mu buty, na obu kostkach. Jeszcze raz, z ponurą miną, przemył ranę na głowie pułkownika. Obrażenia na szczycie czaszki uchodziły za szczególnie niefortunne, gdyż tamtędy właśnie, gdyby musiał wynieść się z uszkodzonego ciała, duch opuściłby ciało.

–Zrobię herbatę, żeby była gotowa, kiedy się obudzi – zaproponowała matka Lhandra.

Twarz Lokesha była dziwnie zachmurzona.

–On nie obudzi się jeszcze bardzo długo, jeśli w ogóle – oświadczył, wstał sztywno i wyszedł z izby.

Dziesięć minut później Shan znalazł go na skraju małego płaskowyżu. Stary Tybetańczyk siedział, obserwując słońce zachodzące nad Równiną Kwiatów. Shan przyjrzał się przyjacielowi, próbując zrozumieć, co jest przyczyną smutku malującego się na jego twarzy.

–Najlepszymi uzdrowicielami w Rapjung byli ci, którzy nie zaczynali nawet studiować medycyny, dopóki nie stali się mnichami i po latach dokładnie nie poznali swego wewnętrznego

buddy – odezwał się Lokesh. – Twierdzili, że żaden uzdrowiciel nie zdoła przywrócić równowagi w ciele pacjenta, jeśli nie ma równowagi w jego własnej duszy.

Lokesh niemal nigdy się nie skarżył, ale kiedy to robił, zawsze powodem były jego własne niedociągnięcia. Myśl, że przyjaciel czuje się winny, bo nie może sobie poradzić z obrażeniami Lina, przygnębiła Shana.

–Pamiętam, jak lamowie w naszej celi powiedzieli kiedyś,

że jeśli pozwoli się duszy dojrzeć do jej prawdziwej natury, będzie ona zamieszkiwać ciało przez dziesiątki lat, aż pewnego dnia spadnie niczym dojrzały owoc – powiedział Shan, patrząc tam gdzie Lokesh, na Równinę Kwiatów. – Ale powiedzieli też, że dusze zmuszone wzrastać w nieodpowiednich miejscach mogą tak przegnić, że spadną przedwcześnie.

Lokesh wolno pokiwał głową.

Patrzyli, jak słońce znika za horyzontem. Pod odległymi chmurami ciągnęła się świetlista różowo-złota linia nieba.

–Nie martwi mnie, że być może czas mu umierać – powiedział cicho Lokesh. – Chodzi po prostu o to, że on umiera, a ja nie znam lekarstwa, nie umiem znaleźć właściwych słów, nie wiem nawet, czego się spodziewać po kimś takim jak on ani jak dotrzeć do jego duszy, gdy umrze. Na świecie muszą być miliony Linów

i boli mnie, że tak słabo ich rozumiem. Nie potrafię do nich do trzeć. Nie dostrzegam ich związku ze mną, z ziemią, ze światem, jaki znam. Jak mogę zwrócić się do ich wewnętrznej istoty? – westchnął. – Czuję się przez to taki nieporadny, Xiao Shan. Nie może być mowy o leczeniu, kiedy istnieją takie przepaście.

Shan także nie umiał znaleźć właściwych słów. Bolało go, że mądry, życzliwy stary Tybetańczyk czuje się bezradny z powodu kogoś takiego jak Lin.

Siedzieli, milcząc, w zapadającym zmierzchu. Shan zaczął sobie uświadamiać, jak niezwykle jest ów mały płaskowyż, osłonięty przed północnym wiatrem przez potężną skałę za ich plecami, otwarty od południa, z widokiem na ciągnące się kilometrami niskie grzbiety na zachodzie i południu, a dalej na surowo piękny Czangtang. W tybetańskiej tradycji uważano by to miejsce za obdarzone wielką mocą.

–Czy ci pustelnicy, którzy tutaj przychodzili – odezwał się wreszcie – byli z Rapjung?

–To właściwie nie była pustelnia. Znałem to miejsce, a raczej wiedziałem o nim. Były jeszcze dwa takie po tej stronie gór, na stokach nad Rapjung. Przez całe wieki każdego lata lamowie uzdrowiciele przybywali do nich ze względu na moc, jaką nadawały lekom. Było jedno, które nazywali Skałą Mieszania, na skraju potężnego urwiska, i inne, w pobliżu, zwane Półką Zielarzy.

–Moc, jaką nadawały lekom? – powtórzył Shan.

–Właściwe sporządzenie niektórych lekarstw wymagało godzin pracy, gdyż trzeba było wypowiadać nad nimi specjalne modlitwy, używać specjalnych, poświęconych narzędzi, dodawać składniki bardzo precyzyjnie, we właściwej kolejności, aby zachować w nich moce ziemi. Raz rozpoczętego mieszania nie wolno było już przerwać. A przy pewnych lekarstwach lama musiał być w odpowiednim stanie umysłu, co oznaczało, że przychodził i siadał w jednej z cel albo na zewnątrz, pod nocnym niebem, dopóki nie osiągnął właściwego stanu świadomości. Myślę, że latem, kiedy to zbocze za nami odbija światło, księżyc w pełni musi świecić tu jak nigdzie indziej na świecie. O Skale Mieszania powiadano, że sama w sobie ma uzdrowicielską moc, że sama jest lekiem.

Wpatrywali się w rozpostarty przed nimi przestwór nieba i ziemi, który powoli pogrążał się w mroku. Po jakimś czasie tuż za nimi rozległ się łagodny głos Nymy:

–Jedzenie gotowe.

Shan odwrócił się. Mniszka sprawiała wrażenie niezbyt zainteresowanej jedzeniem. Usiadła na pobliskiej skale.

–Dokąd pójdziemy? – zapytała po długim milczeniu. Kiedy ani Lokesh, ani Shan nie odezwali się, sama sobie odpowiedziała: – Po drugiej stronie góry jest 54. Brygada – powiedziała łamiącym się głosem. – Oni będą myśleć, że to my zabiliśmy tych żołnierzy. Dobdob idzie naszym śladem, pewnie czeka w tej chwili gdzieś na stoku. W dole jest gompa Norbu, a w niej ci wszyscy krzykacze. Niektórzy ludzie z wioski czują nienawiść. Niektórzy chcą wrócić i zniszczyć obóz tych nafciarzy. – Spojrzała na Shana. – Nie mają żadnej nadziei. Pozostał im tylko gniew.

–Wiesz, dokąd to zaprowadzi – ostrzegł. – Jeśli stawią zbrojny opór, nawet

symboliczny, przyjdzie wojsko i zostanie tutaj. Ogłoszą stan wyjątkowy, a władzę na tym terenie przejmie ktoś taki jak Lin, na długie lata.

–Dzisiaj ja także czułam czasem gniew – wyznała. – Nasza wioska... Nasza piękna wioska...

Podczas gorączkowej ucieczki Shan nie zastanawiał się, dlaczego Nyma zdjęła mnisią szatę. Aby lepiej wtopić się w tłum ściganych, sądził z początku, teraz jednak przypomniał sobie wybiegającą z domu w ostatniej chwili kobietę, przystającą, żeby powiesić na kołku jakąś brązową materię.

–Twoja szata... – powiedział. – Zostawiłaś ją, żeby spłonęła.

–Ona nie była moja – odparła głucho. – Skończyłam z tym kłamstwem. Nie jestem mniszką. Gdyby w wiosce była prawdziwa mniszka, może nie wydarzyłoby się to wszystko.

Z warg Lokesha wyrwał się cichy jęk.

–Nie możesz... – zaczął Shan. – Oni cię potrzebują... – Ale słowa uwięzły mu w gardle i nagle poczuł się zupełnie bezradny.

Nyma odwróciła głowę w stronę łańcucha szczytów na zachodzie. Z góry dobiegł ich donośny, chrapliwy krzyk. Głos lelka.

–Moglibyśmy pójść tymi szczytami aż do głównego pasma

Kunlunu. Moglibyśmy iść kilometrami, iść przez całe miesiące, być może nie widząc przez cały ten czas innych ludzi – odezwała się Nyma z tęsknotą w głosie.

Shan poskładał razem fragmenty swej pamięciowej mapy tych okolic. Nagle uświadomił sobie, gdzie są, i był pewien, że Winslow

wkrótce też się w tym zorientuje. Byli zaledwie cztery lub pięć kilometrów od miejsca, w którym Melissa Larkin spadła z urwiska.

Lokesh spał obok Lina, gdy Shan i Winslow rankiem ruszyli w drogę. Poprzedniej nocy, gdy Shan wrócił wreszcie, żeby coś zjeść, Amerykanin studiował swą mapę i choć nie rozmawiali ze sobą, Shan był tylko o parę kroków w tyle, gdy Winslow wyszedł o świcie i zaczął się wspinać na długą zachodnią odnogę góry.

–Mogłeś zostać i wypocząć razem z innymi – odezwał się Winslow, gdy Shan się z nim zrównał.

–Muszę to zobaczyć – odparł Shan.

–Ale Larkin to moja sprawa – rzekł Amerykanin.

–Lecz ta góra kryje jeszcze wiele tajemnic – stwierdził Shan. – Nie tylko dotyczących Larkin.

–Sądziłem, że wczoraj wszystko się skończyło.

Shan z ponurą miną skinął głową.

–Pewne sprawy się skończyły. Ale myślę, że coś innego właśnie się zaczyna.

Amerykanin w odpowiedzi wskazał potężną błękitną owcę stojącą majestatycznie na skalnej półce ponad nimi, wychyloną tak daleko poza krawędź, że zdawała się niemal unosić w powietrzu. Winslow wpatrywał się w zwierzę z natężeniem i Shan przypomniał sobie jego opowieść o tym, jak coś kazało mu się wspinać na górę i podnieść mały kamień. Amerykanin zaczął biec ścieżką, jakby się obawiał, że spóźni się na coś.

Pół godziny później Shan dopędził go przy jakiejś niszy, niewielkim zagłębieniu w licu wysokiego urwiska. Piętnaście metrów wyżej woda sączyła się spomiędzy skał i spływała po niemal pionowej ścianie, nie wodospadem, ale szeroką na dziewięć metrów cienką, połyskującą warstwą wilgoci, pod którą rosły mchy i kępy. Opadała na kamienną półkę, która wyglądała tak, jakby przed milionami lat odpadła od urwiska, tworząc osłoniętą wnękę. Nie na samą półkę, spostrzegł Shan, gdy podszedł bliżej. Woda spadała za płytę i płynęła pod nią, w wyniku czego płaski, suchy kamień otaczała bujna, żywa zieleń, osłonięta przed wiatrem, lecz wystawiona na słońce. W wypełnionych ziemią zagłębieniach w samej półce zagnieździły się rośliny, których nie widział nigdzie indziej na tej górze.

–Spójrz na to – odezwał się z podziwem Winslow i Shan przeszedł na drugą stronę wielkiego, niemal kwadratowego głazu na skraju odpadłej płyty, za którym stał Amerykanin. Było tam pół tuzina płaskich kamieni, każdy wysoki niemal na pół metra i szeroki na trzydzieści centymetrów, stojących w półkolu przed trzema regularnie rozmieszczonymi w skale zagłębieniami w formie misy o średnicy około trzydziestu centymetrów i dwudziestocentymetrowej głębokości.

–Kto... co to... jak to powstało? – zapytał zdumiony Winslow.

Shan uklęknął przy jednym z zagłębień i dotknął jego powierzchni. Kamienie i otwory nie były idealnie uformowane. Nie wyglądały na twory ludzkiej ręki, ale musiały nimi być – zapewne służyły do sporządzania leków. Odwrócił się i spostrzegł, że Amerykanin przeciąga palcami po płaskiej tylnej powierzchni głazu osłaniającego półkole kamieni. Spod warstwy porostów przebierały wykute w skale znaki tybetańskiego pisma.

–Półka Zielarzy – szepnął Shan i powiedział Winslowowi, co mówił mu Lokesh o tym, jak lamowie uzdrowiciele wykorzystywali niegdyś tę górę.

Winslow był pod wielkim wrażeniem. Raz po raz wodził palcami po pradawnych inskrypcjach.

–Oni wiedzieli tak wiele – szepnął. – Znali tyle spraw, o których my nie mamy pojęcia. O których nigdy się nie dowiemy.

Shan usiadł niepewnie na jednym z kamiennych stołków, jak niegdyś robili to lamowie. Nad półką snuł się lekki wietrzyk, niosąc nieznanne zapachy. Shanowi zdawało się, że wyczuwa miętę, koper włoski i jakieś ostrzejsze wonie. Moc tego miejsca spowijała je niczym mgła, nie budząc bynajmniej grozy. W tym miejscu, gdzie rozpoczynało się leczenie, czuł się dziwnie odprężony, a jego umysł pracował jasno.

Winslow zawołał go do łąty mchu poniżej półki. Niedawno zgmiotły ją ludzkie stopy i ciała.

Amerykanin kucnął przy mchu.

–Dwoje ludzi – oświadczył, przyjrząwszy się uważnie. – Nie zeszłej nocy, ale niedawno. – Odwrócił się i pospiesznie rozejrzał po okolicy. Na stokach nad Rapjung, na małej łące, niecałe osiem kilometrów od miejsca, gdzie znajdowali się teraz, widzieli dwóch ludzi szukających ziół: widmowego lamę oraz jego pomocnika. Amerykanin zerwał się i szybkim krokiem,

niemal biegnąc, ruszył dalej ścieżką.

Pół godziny później Winslow zatrzymał się, spoglądając na płat śniegu wysoko na stoku.

–Dlaczego Zhu się ukrywał? – zapytał nagle. – Dlaczego skradał się po górach w tajemnicy przed Jenkinsem? – Nie czekając na odpowiedź, ruszył dalej i nie zwolnił, póki nie wspięli się na szczyt długiego grzbietu. Tam rozprostował mapę na głazie. Na zachód od nich wznosiło się wysokie, niemal pionowe urwisko. Ciągnęło się kilkaset metrów i opadało schodkowo ku leżącym w dole wąwozom.

–Nie zapytaliśmy, gdzie była ekipa Zhu – zauważył Shan. – Gdzie byli, kiedy Zhu widział jej ciało. Pytaliśmy Jenkinsa o zespół Larkin, ale nie o Zhu. – Rozejrzał się dookoła. Było to urwisko, które Zhu pokazał na mapie, to, z którego spadła Larkin. Ktoś mógł widzieć jej upadek ze zbocza, po którym się wspięli, albo z płaskiego grzbietu biegnącego równolegle do urwiska, tego, na którym właśnie stali. Ale nie mógł to być nikt wykonujący oficjalne prace na rzecz spółki, gdyż grzbiet leżał poza granicami koncesji, które Jenkins narysował na mapie Winslowa. Ani Larkin, ani Zhu nie znajdowali się na obszarze koncesji swej firmy.

Pół godziny później byli już na szczycie urwiska. Szli w ponurym milczeniu, co kilka minut przystając, żeby spojrzeć w zalegający hen w dole cień. Shan z niepokojem przyglądał się, jak Amerykanin pochyla się nad przepaścią. Gdzieś podłoże stanowił twardy granit, ale w wielu miejscach pod stopami chrzęściły im odłamki skał i żwir. Nie byłoby trudno potknąć się i spaść, zwłaszcza komuś, kto cierpiał na wywołane chorobą wysokościową zawroty głowy. Nagle Winslow przycisnął dłoń do twarzy i Shan przyskoczył do niego.

–Wszystko w porządku – powiedział sztywno Amerykanin, odpychając go. – Brałem tabletkę.

–Czy ona miała tabletki? – zapytał Shan.

–Nie wiem – odparł Winslow bezradnie, wpatrując się w wąską wstążkę wody, która wiła się w dole od podnóża urwiska i znikwała w cieniu jednego z wyginających się na południe wąwozów.

Nagle coś przyciągnęło wzrok Shana. Na małym występie sterczącym z lica urwiska trzydzieści metrów od nich, sześć metrów pod krawędzią, wśród zwału głazów wypełniających wąską rozpadlinę, w kałuży słonecznego światła ukazała się plamka jasnej szarości i błękitu. Pokazał ją palcem, a Winslow zerwał się i popędził w jej stronę. Nim Shan zdążył go dogonić, Amerykanin zniknął już w rozpadlinie, która prowadziła do występu.

–To zbyt niebezpieczne! – zawołał Shan. Widział już teraz, że występ powstał, kiedy skalna płyta odpadła od urwiska i wklinowała się w rozpadlinę. Mogła w każdej chwili obsunąć się pod ciężarem paru dodatkowych kilogramów.

Ale nim Shan zapuścił się w głąb rozpadliny, Winslow stał już na występie. Nie zwracał uwagi na Shana, dopóki Chińczyk nie stanął przy nim na maleńkiej półce. Shan zadrżał, gdy spostrzegł, jak blada jest twarz Winslowa, i przeniósł wzrok za jego spojrzeniem. Na rumowisku leżał martwy bharal. Sądząc po stanie zwłok,

zwierzę prawdopodobnie nie żyło od tygodnia, a może, biorąc pod uwagę suche, zimne powietrze, i dłużej.

Winslow wyciągnął rękę i pogładził potężne rogi.

–Myślałem... – zaczął, lecz głos uwiązł mu w gardle. – Myślałem, że te owce nigdy nie spadają. Myślałem, że ich kopyta trzymają się skał.

Shan ostrożnie podszedł bliżej i wskazał brązową plamkę na szyi zwierzęcia, kępkę zlepionej sierści.

–Ona nie zabiła się przy upadku – powiedział. – Ktoś ją zastrzelił.

–Zastrzelił i zostawił ją tutaj? Kto miałby... – Winslow urwał. Po chwili znów pogładził rogi, po czym niepewnie dotknął czubkiem palca gęstego futra między uszami zwierzęcia. – Siedziałem kiedyś na lotnisku z pewnym urzędnikiem, Tybetańczykiem, czekając, aż załadują do samolotu jedno z tych ciał.

On uważał, że moja praca jest bardzo zabawna. Powiedział, że najważniejszą rzeczą, o jaką chodzi w Tybecie, o jaką zawsze chodziło, jest przemijalność i że ludzie powinni o tym wiedzieć, nim tu przybędą. – Zdawało się, że Amerykanin mówi to do owcy. – Potem uświadomiłem sobie, że jego zdaniem zabawne było, że ludzie są zaskoczeni przemijalnością. – Zaczął głaskać owcę między uszami, jakby potrzebowała pocieszenia.

Jakoś trudno im było opuścić martwe zwierzę. Być może czuli, że piękna owca, która zginęła samotnie, nieoczekiwanie wydarta życiu, zasługuje na coś więcej. Shan przeanalizował położenie ciała i górującego nad nim urwiska. Bharal stał tuż nad przepaścią, w najwyższym punkcie. Obserwował swoje terytorium, nie wiedząc nic o ludzkich sprawach, aż do ostatniej chwili, kiedy ludzkie sprawy go uśmierciły.

–Larkin tego nie zrobiła – zawyrokował Winslow, jakby znał tę kobietę.

–Nie – zgodził się Shan. – Był tu ktoś inny.

Strzał był czysty, prawdopodobnie z dalekosiężnego karabinu z silnym celownikiem optycznym. Nie strzelał myśliwy, gdyż zabrałby ciało. Piękne stworzenie zginęło przez czyjś kaprys. Ktoś je zabił, ponieważ mógł zabić, bezmyślnie oddał szybki strzał, parsknął śmiechem i ruszył dalej.

Wymienili ponure spojrzenia, a kiedy Winslow wstał, zdawało się, że dźwiga na plecach wielki ciężar. Oparł się ręką o skalną ścianę, jakby miał kłopot z zachowaniem równowagi.

–Powinniśmy coś zrobić – powiedział. W jego głosie znów pojawiła się bezradność.

Shan, zamiast odpowiedzieć, zaczął kłaść kamienie na płaskim, wystawionym na słońce i wiatr głazie ponad głową owcy. Pracując w milczeniu, w dziesięć minut ułożyli wąski, wysoki na sześćdziesiąt centymetrów kopczyk. Shan przypomniał sobie, że nosi w kieszeni starą khatę, którą ściągnął z drzewa za obozem nafciarzy, i położył ją na kopcu, po czym przycisnął ostatnim kamieniem.

Winslow pochylił głowę i zamknął oczy, jakby się modlił, a następnie wdrapał się z powrotem na skraj urwiska. Na szczycie zawrócił w stronę Skały Mieszania, a gdy dotarli do głównego grzbietu góry, jeszcze raz przyjrzał się swojej mapie.

–Yapchi – powiedział. – Stąd, gdybyśmy mogli przeciąć te dwa pasma... – wskazał na dwie długie, strome odnogi na pół nocy – to tylko sześć kilometrów. – Odwrócił się do Shana. – Chcę wiedzieć, gdzie jest ekipa Zhu, gdzie są inni świadkowie.

Shan słuchał go pełen złych przeczuć. Winslow proponował, żeby przedostali się przez niebezpieczny teren do doliny, która na pewno będzie się już roić od rozwścieczonych żołnierzy poszukujących Lina. Shan zdawał sobie jednak sprawę, że tam właśnie leżą odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Niechętnie pokiwał głową i skinął na Amerykanina, aby ruszył przodem. Dziesięć minut później Winslow zatrzymał go, unosząc dłoń. Pomiędzy nimi a pierwszym z grzbietów ział nieznaczony na mapie głęboki, niemożliwy do przebycia wąwóz. Nie dotrą tego dnia do Yapchi. Nagle Amerykanin zastygł i uśmiechając się, wskazał coś palcem. W oddali, daleko poza zasięgiem słuchu, widać było posuwających się granią mnicha i jaka. Zwierzę szło przodem, jakby prowadziło człowieka. Lepka wspomniał, że Gyalo i Jampa zniknęli, zostawiwszy go na wąskiej ścieżce prowadzącej ku Skale Mieszania.

Pamiętając o bharalu, Shan obawiał się o mnicha. Domyślał się, że Gyalo pomaga okolicznym mieszkańcom, przewożąc chorych lub dostarczając żywność, albo po prostu rozgląda się za dobrą skałą do medytacji. Być może pozwala Jampie szukać dobrej skały.

–Twój przyjaciel wybiera się do mnie z wizytą – odezwał się nagle Winslow, gdy przyglądali się, jak niezwykła para wspina się coraz wyżej.

–Gyalo?

–Lokesh. Rozmawiał ze mną wczoraj po drodze. Wypytywał o wszystko, co wiem o Pekinie. Powiedział, że słyszał, że tam na ulicach są światła, które mówią, kiedy iść, i chciał wiedzieć, jak je odczytywać. Wyjaśnił, że będzie w mieście za parę miesięcy, i zapytał, czy mógłby spać u mnie na podłodze. Poprosił, żebym narysował mu mapę i zaznaczył, gdzie mieszka Przewodniczący.

Shan skrzywił się.

–Lokesh nie rozumie.

–Nie – przyznał Winslow. – Ale powiedział, że idzie drogą, którą prowadzi go jego bóstwo. – Dostrzegł niepokój na twarzy

Shana i wzruszył ramionami. – Kiedy przyjdzie, będę go pilnować, jak tylko się da – obiecał i ruszył w dół szlakiem wiodącym do Skały Mieszania.

Kiedy wrócili, Anya i Tenzin siedzieli przy Linie. Dziewczyna znów trzymała dłoń pułkownika, Tenzin ocierał mu czoło wilgotną szmatką. Ku zaskoczeniu Shana Lin poruszał głową, a jego powieki unosiły się i opadały.

–To wszystko, co robi – szepnęła Anya. – Nie mówi. Nie widzi. Nie wiem, gdzie on teraz jest – stwierdziła z powagą. –

Możliwe, że już nie odzyska świadomości – dodała smutno.

Nagle jednak, gdy Tenzin ocierał mu czoło, pułkownik otworzył szeroko oczy.

–Ty! – jęknął, wyrwał dłoń z rąk Anyi, chwycił Tenzina za szyję i mocno ścisnął, ściągając go w dół. Tenzin, co dziwne, nie opierał się, choć Lin wyraźnie go dusił. Potem oczy Lina, równie nagle, jak się otworzyły, obróciły się do wewnątrz, a ręka

bezwładnie opadła mu na pierś.

–On ma złe sny – powiedziała przepaszająco Anya do Tenzina, który spojrział na dziewczynę pustym wzrokiem i znów zaczął ocierać czoło Lina. Chwilę później, gdy Anya wstała, by przynieść świeżą wodę, Shan uklęknął przy posłaniu i przeszukał kieszenie kurtki mundurowej Lina. Nie było tam śladu dokumentów Lhandra. Ale z kieszeni na piersi wyciągnął złożone zdjęcie i podszedł z nim do drzwi, żeby obejrzeć je w świetle słońca.

Była to ziarnista, zamazana, czarno-biała fotografia, prawdopodobnie klatka nagrania z kamery nadzorującej. Widniał na niej biurowy korytarz, którym szli dwaj mężczyźni w kitlach roboczych – zapewne sprzątacze, bo nieśli wiadra i szczotki. Obaj zwróceni byli tyłem do kamery, ale wyższy, starszy, miał lekko obróconą głowę, jakby oglądał się przez ramię. Niższym mężczyzną mógł być Drake, ale tożsamość wyższego nie budziła najmniejszych wątpliwości. Był to Tenzin. W jednym z wiader, jak podejrzewał Shan, ukryte było oko z Yapchi.

–Musisz o czymś wiedzieć – odezwał się za jego plecami Winslow. W głosie Amerykanina pobrzmiwała ostrzegawcza nuta. Wyciągał właśnie lornetkę z futerału, gdy pojawiła się za nim Nyma.

–Lokesh zniknął – wypaliła, mijając Winslowa. Stary Tybetańczyk wkrótce po ich odejściu ruszył w dół wąską kozią ścieżką, wyjaśniła. Zabrał na drogę jedynie trochę zimnej tsampy

oraz butelkę z wodą i rozmawiał, jak się zdawało, z jakimiś tylko przez siebie widzianymi ludźmi.

Shan wypadł na zewnątrz, wyciągając swą sponiewieraną lornetkę. Miał stąd widok na kilka ścieżek, jak również parę długich, łagodnie wznoszących się zboczy, po których można było wspinać się na przelaj. Przez następną godzinę wraz z Winslowem przeglądali każdy szlak, każdą płaską skałę, na której ktoś mógł usiąść, aby medytować. Shan pobiegł ścieżką, gdzie po raz ostatni widziano Lokesha, przystając raz po raz, żeby zawołać go po imieniu. Po starym Tybetańczyku nie było nawet śladu. Żołnierze Lina znali twarz Lokesha. Gdyby natknęli się na niego, nie mieliby cierpliwości ani motywacji, by przekazać go pałkarzom. Zajęliby się nim sami, z zapalem, nie szcędząc czasu, wykorzystując wszelkie dostępne narzędzia, aby się dowiedzieć, co stało się z ich dowódcą.

Shan opadł na głaz na skraju urwiska, walcząc z mroczną rzeczą, która ścisnęła go za serce. Przyglądał się, jak słońce nad odległym płaskowyżem Czangtang pogrąża się w przerażających kłębach cienia na horyzoncie.

Nagle ktoś dotknął go i Shan gwałtownie poderwał głowę, która opadła mu na pierś. Musiał zasnąć. Ostatnie ślady barw zniknęły z nieba. Zapadł zmrok. Obok niego klęczała Nyma. Płakała.

–Lokesh? – zapytał, zdjęty trwogą.

Pokiwała głową, grzbietem dłoni ocierając łzy.

–On go znalazł. Poszedł w góry i znalazł go. Lepka zobaczył, jak idą, i powiedział, że musimy być blisko przejścia do jednej z ukrytych krain. Nie rozumieliśmy, o czym mówi, ale

potem Winslow wypatrzył ich na koziej ścieżce w górze. Lokesh szedł przodem, oglądając się co chwila, jakby próbował za każdym razem przywabić go kawałek bliżej, jak oswajane dzikie zwierzę. – Obejrzała się w stronę ukrytej pod lawiniskiem chaty.

Shan wstał, zdezorientowany.

–To duch – stwierdził Lhandro. – To musi być duch, który przyszedł nas ocalić.

Shan zerwał się do biegu, potknął się i padł na kolano, znów podniósł się i pobiegł dalej. W głównej izbie panował świątynny nastrój, nabożna cisza, w powietrzu czuło się woń kadzidła. Lhandro i jego rodzice siedzieli pod ścianą, podekscytowani, z szeroko otwartymi oczyma. Matka naczelnika kołysała się w przód i w tył, podczas gdy on z ojcem bezgłośnie odmawiali mantry. W najgłębszym cieniu siedział Winslow, zdumiony i radosny.

W nogach posłania przycupnął Lokesh, a obok Anya, wciąż z ręką Lina w dłoniach. Naprzeciw dziewczyny, jedną ręką głaszcząc czoło pułkownika, drugą mierząc puls na jego nadgarstku, klęczał sędziwy Tybetańczyk, starszy nawet od ojca Lhandra. Wydawał się zarazem wątki i silny, suchy jak trzcina, a jednak miał żywą, pogodną twarz. Ubrany był w obszarpaną kufajkę nałożoną na równie podniszczoną bordową szatę. Na nogach miał stare, rozpadające się czarne buty sportowe. Obok niego stał oparty o ścianę solidny kij.

Na widok Shana Lokesh wydał cichy, kraczący dźwięk i chwyciwszy oburącz jego dłoń, ścisnął ją mocno, raz za razem. Oniemiał z zachwytem.

–To Jokar Rinpocze! – powiedział, odzyskawszy wreszcie mowę. – Z Rapjung – dodał, jak gdyby zburzony klasztor wciąż wysyłał do potrzebujących starych uzdrowicieli. – Z dawnych czasów. Ten sam Jokar – szepnął, może by Shan nie pomyślał, że chodzi o inne wcielenie lamy.

Był to ów widmowy lama uzdrowiciel, którego widzieli na łące, ten sam, który uleczył Chemi. Shan przekonywał sam siebie, że ów lama jest z krwi i kości, że – wbrew wszelkim oczekiwaniom – to człowiek, tyle że relikw starym świata, nie bóstwo, nie demon, nie widmo. Ale w tej właśnie chwili lama odwrócił się, unosząc ku niemu dłoń, i nagle nie wiadomo dlaczego Shanowi wydało się, że to ojciec wyciąga rękę, by go dotknąć, a kiedy lama ujął jego dłoń, Shan wydał zduszony okrzyk i poczuł, że traci oddech.

–Lha gyal lo – szepnął lama z lekkim, serdecznym uśmiechem i odwrócił się znów do swego pacjenta.

Siedzieli w milczeniu. Woń kadzidła wypełniała izbę. Wiatr zawodził wśród skał w górze. Lepka zaczął coś cicho śpiewać. Purbowie stali w cieniu z czujnymi, zdumionymi minami.

Shan wstał i przeszedł w głąb izby. W migotliwym świetle spostrzegł, że Winslow nie ruszył się z kąta i wciąż się uśmiecha. W najbliższej z cel medytacyjnych zobaczył pogrążonego w głębokiej medytacji Tenzina. Usiadł na skraju kręgu światła, przyglądając się lamie i Lokeshowi – którego twarz wciąż promieniała zdumieniem,

czcią i gorliwością młodego ucznia.

Shan czuł, że wszystkim w izbie udzielił się niesamowity, nieziemski nastrój owej chwili. Zdawało się, że Jokar istotnie przybył z innego świata, zmaterializował się wśród nich, gdyż był tu potrzebny, zjawiał się tylko na krótką chwilę i znów odejście między bóstwa. Lama, sędziwy, a jednak bez wieku, nie przypominał żadnego ze znanych Shanowi ludzi. Kiedy Shan wyczuł w pobliżu obecność ojca i Jokar ujął jego dłoń, zdawało mu się, że przez ramię przebiegł mu prąd. Czasem bóstwa przybywają z wizytą, powiedziała Anya, i na zawsze odmieniają ludzkie życie.

Lamie brakowało małego palca u lewej ręki. Pozostał po nim jedynie króciutki kikut. Shan przypomniał sobie, co Lokesh mówił o wielkich nożach, jakimi w Rapjung siekano zioła, i o tym, jak młodzi uczniowie, zanim złapali właściwy rytm, tracili niekiedy palce pod ostrzami. To musiało się wydarzyć przed wieloma dziesiątkami lat.

Shan pozwolił, by wyobraźnia przeniosła go na równinę Rapjung, taką, jaka była przed niemal sześćdziesięciu laty. Młody Lokesh siedział tam ze swym nauczycielem Chigu i z Jokarem, wówczas młodym mnichem, być może wciąż jeszcze pobierającym nauki. Za nimi, na odległym stoku, wznosiły się piękne zabudowania gompy. Po niebie ciągnął sznur gęsi, a Jokar okrzykiem obwieszczał odkrycie rzadkiego zioła. W pobliżu przysiadł skowronek i nagle przeistoczył się w but, a Shan ujrzał cztery krótkie palce, które wciskał mu w twarz mężczyzna w ciemnych okularach. Niczym fala mdłości opadło go zrozumienie i nagle znów znalazł się w izbie, dysząc ciężko, czując przejmujące zimno. Wstał i chwiejnie wyszedł na zewnątrz.

Po dłuższej chwili, gdy siedział oparty plecami o skalną ścianę, wpatrując się w niebo, szybkim krokiem podeszła do niego Nyma.

–Co się stało? Źle się czujesz?

–Nic mi nie jest – mruknął.

Przyjrzała mu się i niepewnie cofnęła się o krok, jakby dostrzegła coś, co ją przeraziło.

–Pamiętasz, Nyma, tamten ranek w Norbu, kiedy wydawało się, że wpadliśmy w ręce pałkarzy?

–Nigdy go nie zapomnę. To było straszne – odparła, siadając obok niego.

–Tamten lekarz był zniecierpliwiony, zły na Khodraka i komitet, jakby marnowali jego czas. Przybył w konkretnym celu, z daleka, nie z miejscowej delegatury bezpieczeństwa.

–Specjalny zespół medyczny – Nyma skinęła głową. – Prawdopodobnie z Lhasy.

–Ale oni nie przyjechali prosto z Lhasy. Gyalo mówił, że odbyli długą podróż, spod granicy z Indiami. – Shan westchnął i znów zapatrzył się w gwiazdy. – Lekarz spojrział na tego oficera i podniósł w górę palce. Cztery palce. Myślałem, że on szydzi z Khodraka, przypominając mu, że jest nas tylko czworo, a miało być pięcioro.

–Ale oni szukali Tenzina.

–Ktoś szukał Tenzina – przyznał Shan. – Khodrak, jak sądzę, i Tuan. Ale temu pałkarzowi chodziło o coś innego. Był inny powód, dla którego specjalna ekipa

medyczna razem z pałkarzami całymi tygodniami objeżdżała tereny w pobliżu indyjskiej granicy. W Norbu Tuan powiedział, że lekarze przyjechali z powodu agitatora z Indii. Sądziłem, że ma na myśli kogoś z ruchu oporu, być może Tygrysa. Ale jemu chodziło o Jokara.

–Nie rozumiem.

–Jego palce. Zgiął mały palec i wyprostował pozostałe cztery. Dziwne. Większość ludzi po prostu ugięłaby kciuk i pokazała cztery palce. Ale nie on.

–Jak Jokar – szepnęła wolno Nyma.

–Nie jak Jokar – odparł Shan. – Ten gest oznaczał właśnie Jokara. Pałkarz szukał lamy uzdrowiciela bez małego palca, zadaniem jego ekipy było odciągać od poszukiwanego chorych, proponując im chińskie szpitale, oraz zbierać dowody za pośrednictwem tych, którzy leczyli się u tradycyjnych uzdrowicieli. Rząd sądzi, że Jokar spowodował nawrót do reakcyjnych praktyk na terenach, przez które szedł od Indii aż tutaj.

–Jeśli to prawda – odezwał się w ciemnościach Winslow, podchodząc do nich – wiemy teraz, dlaczego wypala się pola z ziołami.

–Ale dlaczego? – rzuciła z oburzeniem Nyma. – Robią koło tego szum, jakby szukali jakiegoś straszliwego przestępcy. On jest uzdrowicielem. Jest bardzo ważny dla Tybetańczyków. – Spojrzała na Shana i opuściła wzrok. Sama już sobie odpowiedziała na własne pytanie.

Winslow opadł na głaz. Siedzieli w milczeniu. Shana nawiedziła nowa wizja: Jokar w obozie lao gai, chłostany przez strażników, z wysiłkiem pchający pod górę wyładowane kamieniami taczki.

–On chciał tylko nas uczyć, sprawić, żeby sztuka uzdrawiania wróciła w te strony – szepnęła w końcu żałośnie Nyma.

Gdy Shan zbudził się rano, Lin siedział na posłaniu, oparty o ścianę. Zdawało się, że wciąż nie może, albo nie ma ochoty, mówić, lecz jego oczy bezustannie obserwowały Tybetańczyków, a zdrowa ręka niespokojnie przeszukiwała kieszenie, składając ich zawartość na kupkę. Papierosy, zapalki, gwizdek, kluczyk od kajdanek i mały, przewiązany nitką woreczek z żółtobrazowego materiału. Ilekroć w kręgu światła lampek maślanych pojawiał się Tenzin, pułkownik wskazywał go palcem, czasem wykonując drobne, chwytające ruchy, niczym gniewny krab, niekiedy pocierając oczy, jakby chciał lepiej mu się przyjrzeć. Anya wciąż była przy nim. Trzymała czarkę herbaty, z której popijał od czasu do czasu, choć krzywił się za każdym razem, kiedy unosił głowę, by przełknąć.

Jokar zniknął. Nikt nie zauważył, kiedy odszedł. Matka Lhandra powiedziała, że duchy jemu podobne zawsze ułatwiają się niepostrzeżenie. Winslow twierdził, że o bladym świetle widział, jak ktoś idzie szlakiem na zachód. Lokesh wyglądał na wyczerpanego. Niemal przez całą noc siedział z Jokarem, długo po tym, gdy znużony Shan padł na koc. Shan przyglądał się, jak stary Tybetańczyk dociąga paski materiału mocujące łubki na przegubie

Lina, po czym głęboko skupiony, najwyraźniej nieświadomy, że w izbie jest jeszcze ktoś poza nim i rannym, wyciąga z cienia miseczkę olśniewająco białej soli i

zaczyna ją wcierać w dłoń pułkownika, tę ze złamanym nadgarstkiem. Była to sól z Lamtso, obdarzona mocą sól ze świętego jeziora, i Lokesh obmywał nią dłoń Lina.

Lin, nie mniej skupiony niż Lokesh, patrzył, jak stary Tybetańczyk masującym ruchem nakłada sól, po czym skrawkiem materiału delikatnie ociera skórę do czysta. Skończywszy, Lokesh obwiązał nadgarstek czymś, co wyglądało na szal modlitewny, zawiesił ramię Lina na temblaku, po czym wstał. Lin spojrzał na niego wyczekująco, jakby chciał go poprosić, żeby został, jednak nic nie powiedział i tylko patrzył niepewnie, jak odchodzi. Shan wyszedł za przyjacielem na dwór, gdzie matka Lhandra ubijała maślaną herbatę. Wzięli od niej napełnione czarki i odeszli na skraj płaskowyżu. Wydawało się, że nie wiedzą, co powiedzieć o tym, co zaszło poprzedniej nocy.

–Tyle razy wdrapywaliśmy się na góry, bo twierdziłeś, że widzisz tam olbrzymiego żółwia albo bóstwo o dziesięciu ramionach – odezwał się w końcu Shan. Stracił już rachubę, ile

razy to robili, ale nigdy nie odmawiał, kiedy przyjaciel nalegał na taką wspinaczkę. – Wczoraj w nocy chyba naprawdę znalazłeś żółwia.

Lokesh rzucił mu swój krzywy uśmiech i pokiwał głową.

–Otóż to.

–Czy to prawda, że go znalazłeś? Z Rapjung?

–Byłem wtedy ledwie nowicjuszem. Ale on pamięta. Wczoraj w nocy rozmawialiśmy godzinami o Rapjung i o dolinie Yapchi, póki nie poszedł z Tenzinem usiąść pod tym starym drzewem. On pamięta, jak zawsze towarzyszyłem Chigu Rinpocze, który miał nadzieję, że zostanę w Rapjung, aby uczyć się dalej.

Nikt nie został w Rapjung, aby uczyć się dalej, pomyślał gorzko Shan.

–Ale uciekł, zanim wojsko zniszczyło gompe.

–Został wezwany przez osobistego lekarza dalajlamy. Potajemnie, po tym, jak dalajlama zbiegł do Indii. Jokar był jednym z najmłodszych nauczycieli i chcieli, żeby pomógł założyć w

Indiach nowe tybetańskie kolegium medyczne. Tam właśnie spędził te wszystkie lata, budując nową przyszłość.

–To daleka droga. Setki kilometrów. On wygląda, jakby nie miał ani grosza. – Shan przypomniał sobie obdartą szatę i buty. – Ścigają go pałkarze. – Ale wiedział, że dla Jokara nie miało to większego znaczenia. Idąc drogą, która była mu przeznaczona, byłby równie mało skłonny zboczyć z niej z powodu pałkarzy jak Gendun lub Lokesh. Pekijski Shan śmiałyby się, gdyby mu powiedziano, że bóstwa strzegą takich ludzi. Ale czasami zdawało się, że to jedyne wyjaśnienie.

–On mówi, że to swego rodzaju pielgrzymka – ciągnął Lokesh. – Powiedział, że gdyby miał pieniądze, mogłoby go kusić, żeby jeździć autobusami i bywać w miastach. Cały czas wędrował pieszo, blisko ziemi. Od ośmiu miesięcy, zatrzymując się u rongpów, raz tu, raz tam, czasami przyłączając się do dropków i ich stad. Leczył, gdzie tylko mógł. Odślaniał korzenie, tak to nazywał, jakby dawne zwyczaje wciąż żyły w ziemi i w ludzkich sercach, czekając tylko na ponowne odkrycie. Sporządza tradycyjne lekarstwa, kiedy tylko może. Czasami całe wioski siedzą z nim

nocami, żeby słuchać o dalajlamie i o dawnym Tybecie, a on przypomina wieśniakom metody leczenia, o których zapomnieli.

–Ale dlaczego przyszedł tutaj?

–Bo w Rapjung spędził niemal pięćdziesiąt lat. Został tu wysłany jako mały chłopiec, jeszcze za życia XIII Dalajlamy. W Indiach przez wiele lat był naczelnym lamą nowej szkoły. Nadszedł czas, żeby wrócić tutaj, powiedział. Myślę, że on chce, aby odrodziła się dawna szkoła.

–Rapjung?

Lokesh skinął głową.

–On mówi, że wracając z Indii, spotykał innych uzdrowi-
cieli, że oni wszyscy wiedzieli o Rapjung i wielu pytało, czy
wciąż rosną tam lecznicze zioła. Powiedział, że widział ruiny,
ale także nowe budynki. – Wymienili znaczące spojrzenia.

Jokar nie wiedział o pożarze. – On twierdzi, że Tybetańczycy
muszą się nauczyć, jak zachować tożsamość, dokonując zmian. –

Lokesh urwał i znów pochylił głowę, powoli, jakby się zastanawiał nad tym, co
powiedział. – Za tymi pogłoskami musi się
kryć prawda. Jokar przyszedł zająć tron Siddhiego, przywódcy ruchu oporu ze
starych opowieści.

–Pałkarze mają szpiegów w Indiach – zauważył Shan. – Od

kryliby, że tak wybitny lama wybiera się do Tybetu, by organizować ludzi i
odtworzyć dawny porządek. Uznaliby to za najcięższy
grzech przeciwko państwu. To dla niego bardzo niebezpieczne.

Lokesh skinął głową.

–Obowiązki – powiedział smutno. Nie musiał nic dodawać. To słowo stało się ich
hasłem. Shan często odbywał podobną rozmowę z Lokeshem i z innymi
Tybetańczykami. Żołnierze robią to, co muszą zrobić, miał na myśli Lokesh, a
Tybetańczycy robią, co do nich należy.

–Powinien dla bezpieczeństwa zostać tu na parę dni.

–Kto się ośmieli powiedzieć mu, żeby zmienił plany? On wraca do wszystkich
miejsc, w których tu dawniej bywał. Na łąki, gdzie rosły zioła. Tam, gdzie
sporządzano leki. Przy okazji będzie się rozglądał za lekarstwem dla pułkownika.

Shan zastanowił się nad słowami Lokesha.

–Co on mówi o Linie?

–Ma pękniętą czaszkę na ciemieniu. Ale jest coś jeszcze, coś gorszego, na co
cierpiał przed wypadkiem.

–Już wcześniej był chory?

Lokesh ponuro skinął głową.

–Zaparcie serca. – W medycynie tantrycznej, praktykowanej przez Lokesha i
Jokara, uważano serce za ośrodek, w którym styka się istota fizyczna i duchowa. Nie
chodziło tu o fizyczne, bijące serce, lecz o siedlisko świadomości i energii życiowej.
Przez zaparcie serca rozumiano nacisk na ów punkt, spowodowany silnym gniewem,
strachem lub innymi psychicznymi zaburzeniami równowagi. Jokar nie leczyłby

jednej z dolegliwości Lina, nie lecząc pozostałych. – Są leki, które mogłyby pomóc, ale w takich przypadkach wszystkie zaburzenia są ze sobą powiązane – oświadczył Lokesh. – Jokar mówi, że za parcie serca to dziś chyba najpowszechniejsza dolegliwość w Tybecie. – Lokesh błędził wzrokiem po szlakach. On także chyba wypatrywał Jokara. – I powiedział coś jeszcze. Że sprowadzenie Lina ze skał w to miejsce to także część leczenia. Leczenia wszystkich.

Shan zastanowił się nad tym. Jokar miał na myśli, że nie tylko Lin cierpi z powodu zaburzeń równowagi psychicznej, że być może dotyczy to ich wszystkich i że przyniesienie znieawidzonego pułkownika z miejsca, które z pewnością stałoby się jego grobem, również dla Tybetańczyków może być początkiem leczenia.

–Jokar mówi, że na stokach wzgórz w pobliżu Yapchi rosła kiedyś mała szara roślina o sercowatych liściach, która byłaby pomocna. Pytał mnie, czy pamiętam zasady zbioru i mieszania.

Przez chwilę śledzili wzrokiem stado ptaków, które zerwało się do lotu i ciągnęło teraz w stronę Równiny Kwiatów.

–Powinieneś go odszukać, Lokesh – powiedział Shan. – Zabierz go do jakiejś kryjówki i nie pozwól się tak kręcić, kiedy żołnierze są w górach. Ukryj go. Na parę tygodni. Rozmawiaj z nim o dawnych zwyczajach. Notuj, co mówi. Trzymaj go tam miesiącami, jeśli będzie trzeba. Dopóki żołnierze nie opuszczą Yapchi. Purbowie ci pomogą.

Lokesh myślał nad tym przez dłuższą chwilę.

–Nie wiedziałbym jak – odparł w końcu.

Shan spojrzał na niego. Lokeshowi nie chodziło o to, że nie wiedziałby, jak odszukać Jokara, ale że nie wiedziałby, jak poprosić takiego świętego człowieka o cokolwiek. Pomyślał o ubiegłej nocy. Nikt nie wypytywał sędziwego lamy, nikt go nie zapytał, skąd przyszedł ani co tutaj robi. A to dlatego, że -w języku nauczycieli Shana – jego bóstwo utożsamiało się z nim. Było to tak, jakby Jokar naprawdę stał się duchem, transcendentnym Bodhisattwą, buddą, który pozostał wśród ludzi, żeby pomóc im osiągnąć oświecenie.

–Muszę wrócić do tej doliny – oświadczył Shan. – Muszę wytropić to oko, jeśli ono tam jest. I dodał powoli: – To mój obowiązek.

Lokesh utkwiał w nim badawcze spojrzenie. – Bywa, że bóstwa są stwarzane, kiedy się ich szuka. A samo poszukiwanie może stworzyć do nich drogę. Shan odwzajemnił spojrzenie Lokesha.

–Zabrzmiało to, jakbyś mi radził, żebym szedł po prostu za czynami współczucia, a one prędzej czy później doprowadzą mnie do bóstwa.

Lokesh odpowiedział uśmiechem. Shan westchnął.

–Będziesz bezpieczny, jeśli tu zostaniesz. Ktoś musi pomóc Tenzinowi – podsunął. Byłby to sposób na zatrzymanie Lokesha z Tenzinem, który pod nieobecność Shana mógłby zapewnić starcowi najlepszą ochronę.

–Zapominasz, Xiao Shan, że ja też mam obowiązki. – Lokesh spojrzał na równinę.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze – dodał z błyskiem w oku, podniecony, ale poważny. – Tenzin przemówił. Widziałem, jak Jokar go dotknął, i nagle odrósł mu język. Długo rozmawiali pod tym drzewem, a kiedy wze-szedł księżyc, obaj zaczęli nad czymś pracować, jak lamowie mieszkający zioła przy świetle księżyca. Po jakimś czasie poszedłem się przyjrzeć, co robią. Mieli worek soli z Lamtso, a Jokar oddał skraj swej szaty i podzielił materiał na niewielkie kwadraty. Pomogłem im robić z tych kwadratów małe woreczki. Napełnialiśmy je solą i zawiązywali u góry. Czysta ziemia, tak Jokar nazwał sól. Tenzin powtarzał te słowa, raz po raz, uśmiechając się jak mały chłopiec. – Lokesh zapatrzył się na wysoką chmurę. – Tenzin ma silny głos, dobry do świątyni. Jego nowy język zna modlitwy. Jokar powiedział mu o kazaniu pierwszego lamy z Rapjung, założyciela, tego, którego zwano Siddhim. On twierdził, że wszelkie uzdrawianie polega tylko na jednym, na łączeniu ziemi z ziemią w człowieku. Zanieśliśmy wszystkie woreczki do jednej z cel medytacyjnych. Kiedy Lin spał, Jokar włożył mu jeden do kieszeni. Powiedział, że wszyscy, którzy tu są, powinni je dostać. – Sięgnął za koszulę i wyciągnął woreczek dla Shana.

–Lin rozglądał się dziś rano po izbie – zauważył Shan, przyjmując woreczek. – Chyba coś planował.

–Nie wiem, co się dzieje w jego umyśle – odparł ze smutkiem Lokesh. Lin był bardzo niebezpieczny. Nadal mógł wyrządzić im wszystkim wielką krzywdę. – Te spadające głazy mogły jakoś poruszyć żołnierza w jego wnętrzu. – Lokesh lubił opowiadać Shanowi o okrutnych ludziach, którzy otarli się o śmierć i stali się zupełnie inni, lepsi.

Jak na sygnał, z drugiego końca płaskowyżu dobiegł ich ochryply, wściekły krzyk:

–Poddajcie się! Jesteście moimi więźniami! Tylko jeśli się poddacie, okażemy łaskę! – Lin stał chwiejnie, na uginających się nogach, wspierając się zdrową ręką o skalną ścianę. Zdawało się, że krzyczy do Shana i Lokesha. Właściwie nie krzyczał, uświadomił sobie Shan, to skalna ściana tak wzmacniała jego głos. Ale próbował krzyczeć.

–Być może było o jeden kamień za mało – stwierdził sucho Shan.

Lokesh jęknął i zerwał się na nogi. Lin padł na kolana, gdy starzec dobiegł do niego. Z rany na czaszce spływała mu cienka strużka krwi.

Gdy Shan dotarł do dwóch mężczyzn, z cienia wypadła Anya, która rzuciła się między Lokesha i Lina.

–Wszyscy spali – wyjaśniła.

Za Anyą nadeszła Nyma.

–Ta stara thanka... – Wydawała się bliska łez. – Pułkownik podarł ją na strzępy.

–Poddajcie się! Jesteście moimi więźniami! – rzucił znowu Lin gniewnym, ale słabym jak szept głosem.

–Nikt nie zamierza się poddać – zwróciła się do niego Anya tonem niecierplivej akuszerki. – I nikt nie zamierza atakować.

Lin popatrzył na nią ze zdziwieniem i runął na twarz, chwytając dziewczynę zdrową ręką. Szarpnął ją tak, że znalazła się pod nim, amortyzując upadek.

Kiedy odnieśli nieprzytomnego Lina na siennik, Anya spojrzała na nich z błyskiem determinacji w oku.

–Będziecie musieli powiedzieć żołnierzom, że ich pułkownik jest u nas – oświadczyła. – Myślę, że jest dla nich ważny. Będzie im go brakowało.

–Dziecinko – odezwał się za ich plecami młody purba, który przyszedł z Tenzinem. Właśnie się obudził. – Powiedz im to, a oni uznają, że jest zakładnikiem. Powiedz im cokolwiek na jego temat, a oni uznają, że to podstęp albo że on jest zakładnikiem. To rozpęta wojnę w tych górach. Oni mają tylu żołnierzy, że obleźliby nas jak mrówki. Porwanie oficera to zdrada.

–Nikogo nie porwaliśmy. Po prostu okazaliśmy współczucie – odparła dziewczyna łagodnym tonem lamy.

Purba wyszedł z cienia i spojrzał na nią gniewnie.

–Jesteś na tyle duża, że powinnaś być mądrzejsza. Na tyle duża, że mogą cię zamknąć w jednej ze swoich kopalń węgla -warknął rozdrażniony Tybetańczyk. – Powiem ci, co zrobimy z twoim pułkownikiem. Zaniesiemy go na skraj urwiska i zrzucimy, jak oni kiedyś robili z tyloma Tybetańczykami. Podniebny pochówek – dodał z uśmiechem.

Nagle od tyłu chwyciła go za ramię czyjaś ręka. Gniewny purba stracił rezon. Zmarszczył brwi, strząsnął rękę i odwrócił się. Stał przed Tenzinem. Człowiek, którego pułkownik tak rozpaczliwie pragnął uwięzić, klęczał u jego boku, naprzeciw Anyi, i właśnie pomagał jej okryć go kocem.

Słońce od dwóch godzin świeciło już jasno, gdy następnego ranka Winslow i Shan zbliżyli się do wąskiej szczeliny prowadzącej na drugą stronę gór, do prowincji Qinghai. Szczupły Amerykanin przystanął i ostrzegawczo uniósł rękę, po czym wskazał coś palcem. Grzbietem szedł drobny Tybetańczyk w okrągłej czapeczce, niosący na ramieniu zaciągany sznurkiem worek. Wspięli się na grzbiet i zaczęli na wędrowca, który zbliżywszy się, uśmiechnął się wesoło.

–To wy jesteście tymi ludźmi z daleka, którzy przyszli pomóc Yapchi – zauważył. Ludzie z daleka. Ten człowiek miał na myśli cudzoziemców. – W całych górach mówi się o was, o tym, że macie zamiar przywrócić równowagę – ciągnął radosnym, ufnym tonem. – Mój dziadek znał ludzi z daleka, którzy uczyli go dostrzegać wiele spraw – dodał zagadkowo.

Shan zdumiał się. Cudzoziemcy? Dziadek człowieka, który mieszkał w górach, znał jakichś cudzoziemców?

–Na dole mogą być żołnierze – ostrzegł.

–Nie idę na dół – odparł nieznajomy. – Niosę tylko wodę.

Shan przyjrzał się małemu workowi.

–Ledwie starczy tego na jeden kociołek. – Zacisnął dłoń na innym woreczku, tkwiącym w kieszeni małym bordowym zawiniątku z czystą ziemią, które przygotował Jokar.

–Nawet nie – przyznał mężczyzna. Otworzył worek i pokazał im litrową plastikową butelkę bez etykiетки. Grubym czarnym

mazakiem wypisano na niej tybetańskie słowa: *sum*, trzy, a poniżej *chu*, rzeka. –

To na podniebne narodziny, dla Zielonej Tary – wyjaśnił, wciąż radośnie, po czym schował butelkę do worka i ruszył w dalszą drogę.

–Co on miał na myśli? – zapytał Winslow, patrząc za nim zdziwiony.

–Ofiarę – podsunął Shan. – Być może postanowili zwrócić się do bogini opiekuńczej zwanej Zieloną Tarą. Uchodzi za bardzo potężną.

–Bogini opiekuńcza – westchnął Winslow. – Gdzie przyjmują zapisy?

Gdy dwie godziny później Shan i Winslow rozglądali się po dolinie, wszędzie kręcili się robotnicy. Drwale wycięli nad obozem pas drzew szerokości niemal trzystu metrów. Przez lornetkę widać było maleńkie postacie biegnące po wieży wiertniczej – świder wciąż wrzynał się w ziemię. A bliżej, na południowym krańcu, przy ruinach wioski Yapchi, z przyczepy ciężarówki rozładowywano świeżo ścięte drewno.

Ilekróć Amerykanin przystawał, by rzucić okiem na mapę, Shan z wahaniem oglądał się za siebie. Był już w obozie nafciarzy i omal nie wpadł w ręce krzykaczy. Czy Somo wciąż tam jest? Czy dzielna kobieta została zdemaskowana i aresztowana za udzielenie mu pomocy? Odnosił coraz silniejsze wrażenie, że pomagając Winslowowi odkryć, co się stało z Larkin, w pewien sposób pomaga szukać bóstwa. Być może Lokesh miał rację. Jeśli Shan po prostu skupi się na aktach współczucia, bóstwo samo go znajdzie.

Minęli mały jar, w którym niegdyś ukrywali się wieśniacy, zamierzając okrążyć dolinę skrajem pasa drzew. Byli powyżej wieży wiertniczej, kiedy Winslow przystanął i spojrzał na Shana.

–Zostań tu, na górze – powiedział Amerykanin. – Pójdę tam sam, porozmawiam z Jenkinsem o ekipie Zhu, może jego sekretarka pomoże ich zlokalizować. Znajdę ich i porozmawiam z nimi bez wiedzy Zhu... – Przerwał mu niespodziewany odgłos, powolne bicie wielkiego bębna. Zdawało się, że jego źródło

znajduje się tuż nad nimi na stoku, nie więcej niż o sto metrów. Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie i Shan ruszył w stronę dźwięku, a Winslow z uśmiechem pomachał mu ręką.

Shan biegł. Ktokolwiek walił w bęben, z pewnością nie usłyszy trzasku paru złamanych gałązek lub chrobotu obsuwających się kamieni. Bębnienie, dwa szybkie uderzenia i przerwa, przybierało na sile, jeszcze bardziej niż poprzednio przypominając bicie serca. Był blisko źródła dźwięku, mógłby przysiąc, nie dalej, niż o sto kroków.

Gdy przeszukiwał skupiska głazów, którymi usiane było zbocze, nagle coś skoczyło mu na plecy. Irbis! rozległ się głos w jego umyśle. Upadł, z napastnikiem na plecach, z głową wciśniętą w ziemię. Usiłował zasłonić kark, lecz jego dłonie zostały odtrącone. Jęknął przerażony, tracąc oddech. Młócił rozpaczliwie rękoma, lecz jego ciosy trafiały w próżnię. Potem, co dziwne, napastnik chwycił go od tyłu za ramiona i przewrócił na plecy.

To człowiek, spostrzegł zamroczony Shan. Czy bęben wciąż walił, czy może słyszał teraz bicie własnego serca? Człowiek, którego zdawał się rozpoznawać, który z pewnością rozpoznał jego, gdyż kiedy tylko spotkały się ich oczy, krzyknął głucho i wypuścił go.

Nie, to niedźwiedź, rozległ się odległy głos pod jego czaszką. Mgła, która przesłaniała mu oczy, uniosła się i Shan spostrzegł, że to rzeczywiście niedźwiedź – Golok, Dremu. Ale nie Dremu, jakiego znał, gdyż ten tutaj był obdarty i wynędzniały, zaledwie cię dumnego Goloka, którego widział po raz ostatni tej nocy, kiedy skradziono oko.

Dremu pomógł mu usiąść i na chwilę jego dłonie zatrzymały się na ramionach Shana w czymś przypominającym uścisk.

–Mówili mi, że uciekłeś – odezwał się Shan.

Golok położył palec na wargach.

–Ci cholerni strzelcy mnie zgarnęli – szepnął. – Przejeżdżałem obok obozu nacierzy, lasem, i nie wiedziałem, że czają się tam żołnierze. – Shan spostrzegł grube obrzmienia wokół oczu Goloka. – Pobili mnie i zagonili do roboty, zabrali mi nawet konia, żeby ciągnął kłody. – Dremu spojrział w stronę, skąd dochodziło dudnienie, nie milknące, głośniejsze niż kiedykolwiek,

bardzo bliskie. – Nie mieli pojęcia, kogo schwytali – oświadczył wyzywająco. – Myśleli, że jestem po prostu jakimś rongpą, jak ci, którzy robią, co im się każe. Uciekłem. Ale wcześniej powiedziałem tym rongpom, że ich oko wróciło do doliny, że znów obserwuje.

–Dlaczego tak powiedziałeś? – zapytał Shan, przyglądając się wycieńczonemu Golokowi. Czyżby to on zabrał oko, jak podejrzewał Lhandro?

–Dlatego, że serce doliny znów bije. – Dremu spojrział w stronę źródła dźwięku. – Zdobę dla ciebie ten kamień, Chińczyku. Żeby znów było jak za dawnych dni. – Wskazał tam, skąd dobiegało ich to bicie serca, pochylił się i ruszył naprzód, niczym drapieżnik na tropie. Shan trzymał się kilka kroków za nim.

Gdy Dremu już miał się rzucić za skałę, by dopaść dobosza, drgnął nagle i krzywiąc się z bólu, chwycił się za ramię. Bębnienie umilkło i usłyszeli tupot więcej niż dwóch stóp. Golok spojrział z rozpaczą na swój bark, powoli rozchylając palce.

–Na oddech Buddy! Myślałem, że mnie postrzelili. – Pochylił się i podniósł leżący mu niemal u stóp okrągły kamyk, wyraźnie odmienny od ostrych odłamków granitu, które zalegały dokoła. – Proca – stwierdził z nutą szacunku w głosie, rozglądając się ostrożnie.

Na stoku panowała cisza. Zdawało się, że nie ma na nim nikogo. Dremu masował bark i wyraźnie nie miał ochoty ścigać uciekających. We wprawnych dłoniach proca mogła być równie śmiertelna jak karabin. Pochylił się i powoli okrążył skałę.

Skrawek ziemi po drugiej stronie skały pokrywały ślady kilku butów; tradycyjnych tybetańskich butów o gładkich podeszwach i filcowych cholewkach. Niemal wszystkie były niewielkich rozmiarów.

–Dzieci – orzekł Dremu, gdy przykucnął przy śladach. – Dwoje albo troje – dodał zaintrygowany. – Może jeden dorosły. Tu siedzieli, tutaj klęczeli – wyjaśnił, wskazując kilka placków wygniecionej na gładko ziemi. Miejsce było dobrze wybrane: sterzące za nim dwie wielkie skalne płyty wzmacniały dźwięk i kierowały go w stronę doliny.

Shan pochylił się i podniósł kilka źdźbeł trawy. Na wszystkich zawiązane były małe supelki. Mały głaz na przedzie, od strony doliny, nosił ślady dłuta, jakby ktoś usiłował wykuć w nim podłużny otwór.

–Na oko – powiedział Dremu, stając mu za plecami, i Shan z nagłym przyplływem emocji uświadomił sobie, że Golok ma rację. Oko wróciło do doliny i ktoś próbował urządzić mu nowy dom. Przyłapał się na tym, że dotyka otworu, wodzi dłonią po jego nierównych krawędziach. Wpatrywał się w prymitywnie obrobiony kamień, póki nie poczuł na sobie wzroku Goloka. Dremu zdawał się czekać na rozkazy.

–Niektórzy z wieśniaków sądzili, że to ty zabrałeś oko – powiedział Shan. – Teraz mogę im powiedzieć, że jest inaczej.

Dremu zachmurzył się.

–To znaczy, że ty też tak myślałeś. Inaczej powiedziałbyś im już wcześniej.

Shan nie odpowiedział.

–Nie zrobiłbym tego – rzekł Dremu. – Nie, póki nie sprowadziłbyś oka z powrotem do doliny.

–Chcesz powiedzieć, że planowałeś je zabrać.

Golok spojrzał na Shana.

–Zwykle nie planuję tak daleko naprzód – odparł, uśmiechając się sztywno. – Chodzi tylko o to, że... Myślę, że ze względu na ojca i dziadka powinienem coś z tym zrobić. Możesz to

zrozumieć?

Shan poważnie skinął głową, a Golok rozpromienił się i wskazał w dół zbocza.

–Tam byli chorzy, którzy przyszli do doliny. Niektórzy byli z dziećmi. Część dzieci z wioski uciekła.

Shan dopiero teraz zauważył, że gau Dremu oraz mała sakiewka, która wisiała obok niego, zniknęły.

–Powinieneś coś zjeść – podsunął, przyglądając się wymizerowanemu mężczyźnie. – I odpocząć. – Ale nie wiedział jak, nie

wiedział, gdzie są pozostali Tybetańczycy ani kto chciałby pomóc Golokowi. Nie mógł wysłać Dremu na Skalę Mieszania, gdzie był Lhandro, który rzucał w niego kamieniami. – Ten mnich, Gyalo, i jego jak są w górach, na szczytach. Wszyscy inni uciekli. Ty też powinieneś to zrobić, dopóki żołnierze nie odejdą.

–Nie wszyscy – zauważył Dremu.

–Mówisz o tym, kto zabrał bęben.

–Dziś rano widziałem na stoku paru innych. Skradali się między skałami. Myślę, że chyba próbują zniszczyć wieżę wiertniczą.

–Purbowie? – zapytał Shan, czując, że przechodzi go dreszcz.

–Widziałem ich tylko z daleka. Poruszali się powoli i bez strachu, jakby nie obawiali się żołnierzy. Pewnie mieli ochronne zaklęcia.

Shan przyjrzał mu się niepewnie, po czym poprosił Goloka raz jeszcze, żeby się schronił w wysokich górach, odwrócił się i ruszył biegiem. Znalazł dziką ścieżkę równoległą do dna doliny i biegł nią przez kilka minut na północ, wypatrując ruchu w

górnym partiach zoczy i ciemnych plam jaskiń, gdy nagle w oddali pojawili się na niej dwaj ludzie. Szli wolno, niemalże spacerkiem, rozmawiając, wpatrując się w ziemię, jakby czegoś szukali. Shan rzucił się w cień pomiędzy dwiema skałami. Wcisnął się między nie najgłębiej jak mógł i przyglądał się, najpierw z lękiem, potem z zakłopotaniem, dwóm ceniom przesuwającym się przed jego kryjówką. Jeden z nadchodzących śpiewał tybetańską pieśń pielgrzyma.

Wygramolił się spomiędzy skał i wypadł na ścieżkę.

–Lokesh! – krzyknął z przerażeniem.

Dziesięć metrów dalej jego stary przyjaciel odwrócił się i wykrzywił w uśmiechu.

–A to szczęście! – wykrzyknął. – Możesz nam pomóc, Xiao

Shan!

Jego towarzysz, najwyraźniej rozbawiony, nieśmiało uniósł dłoń na powitanie.

Tenzin.

–W czym wam pomóc? – zapytał z irytacją Shan, rozglądając się za jakąś kryjówką dla nich.

–Mówiłem ci – odparł lekko zmieszany Lokesh. – W szukaniu leczniczych ziół.

Tenzin też chce się uczyć o ziołach.

–Mówiłeś, że będziesz w górach.

Starzec powiódł ręką po okolicy.

–W górach wokół Yapchi – oświadczył, znów się uśmiechając. – Pamiętasz przecież. Jokar Rinpocze powiedział, że to pomoże temu oficerowi. Jego zaparcie serca jest tak poważne, że może umrzeć.

–Powiedz mi gdzie – odparł błagalnie Shan. – Powiedz mi.

gdzie, a zdobędę ci te zioła. Tylko wracaj. Teraz...

Ale było już za późno. Słowa uwięzły mu w gardle. Zza wielkiego drzewa niespełna trzydzieści metrów dalej wyszli dwaj żołnierze w zielonych mundurach. Za żołnierzami ukazał się mężczyzna w białej koszuli, a za nim sześciu Tybetańczyków. Shan rozpoznał mężczyznę w bieli. Dyrektor Tuan. Czterej z towarzyszących mu ludzi, zapewne robotnicy, byli w zielonych kurtkach spółki naftowej. Ale dwaj nosili szaty mnichów.

Na widok Tuana Tenzin wydał zduszony okrzyk, chwycił Lokesha i wskazując gorączkowo w stronę drzew, zepchnął go ze ścieżki. Ale w górze, na stoku, dziesięć metrów od nich pojawił się kolejny żołnierz i zaczął z podnieceniem mówić do krótkofalówki.

Chwilę później od strony obozu rozległ się gwizdek. Na stok wbiegali ubrani w białe koszule ochroniarze Tuana. Nie było żadnej nadziei, żadnej możliwości ucieczki. Żołnierze i krzykacze wygrali.

Prześladowcy zaroili się wokół. Lokesh usiadł na ziemi i zaczął odmawiać różaniec. Tenzin stał jak sparaliżowany, z ponurą, przepraszącą miną spoglądając to na Lokesha, to na Shana.

Ale żołnierze nie ruszyli naprzód, żeby ująć zdobycz. Zamiast tego Tuan wyciągnął z saszetki przy pasku aparat fotograficzny i zaczął robić zdjęcia, kierując obiektyw na Tenzina, na Lokesha, na dwóch mnichów, którzy podbiegli i stanęli przy

Tenzinie.

Jeden z mnichów ujął dłoń Tenzina w swoje.

–Raduj się z nami, rinpocze – powiedział radośnie. – Nasz nauczyciel powrócił do nas.

Rinpocze. Shan patrzył na Tenzina, nic nie rozumiejąc. Tenzin, wciąż z posępną miną, spojrział na mnicha i westchnął.

–Nie jestem już waszym nauczycielem – odezwał się głębokim, melodyjnym głosem. – Jestem znów tylko nowicjuszem i znalazłem nowych nauczycieli – dodał, wskazując Lokesha i Shana.

Mnich wyglądał na boleśnie dotkniętego. Lokesh patrzył na to ze zdumieniem. Tuan skrzywił się.

–Przyjdzie dzień, kiedy opat Sangchi znów nauczy się udzielać nauk – oświadczył ze zwycięskim uśmiechem i skinął głową swoim krzykaczom. Nadbiegło więcej żołnierzy, z bronią gotową do strzału. Jeden z nich wyszedł naprzód i błyskawicznie nałożył na nadgarstek Tenzina kajdanki. Potem pochylił się, szarpnął rękę Lokesha i zatrzaskał na niej drugą obręcz.

–Potrzebujemy cię, rinpocze – zaszlochał jeden z mnichów, po czym, na niecierpliwy gest krzykacza w białej koszuli, żołnierze poderwali Lokesha na nogi, przerywając jego mantrę.

Shan, zupełnie zdezorientowany, przyglądał się, jak prowadzą Lokesha i opata Sangchi ścieżką w stronę obozu nafciarzy.

Rozdział czternasty

Lamowie nauczyli Shana, jak spojrzeć w oczy kłamstwom, które niegdyś rządziły jego życiem, oraz jak je porzucić wraz z pociechą, jaką mu dawały. Kłamstwo, że przez dwadzieścia lat pracy inspektora w Pekinie cokolwiek zmienił. Kłamstwo, że on i jego żona, albo przynajmniej on i jego syn, któregoś dnia pogodzą się i połączą. Oraz kłamstwo, że uwolnienie z obozu pracy oznacza, iż resztę życia spędzi na wolności. Pogodził się już z myślą, że prędzej czy później znów trafi do lao gai. Przy życiu, jakie wybrał, było to nieuniknione jak śmierć, a być może najważniejszą rzeczą, jakiej nauczył się od Tybetańczyków, było nie tylko się nie bać, ale i ochoczo przyjmować nieuniknione.

A jednak nie wiadomo dlaczego uparcie trzymał się złudzenia, że Lokesh jest nietykalny, że trzydzieści lat jego życia było wystarczającą ofiarą, by nasycić apetyt Pekinu. Na tym złudzeniu opierał się jego fałszywy obraz świata, obraz, który mówił, że wszystko inne było tego warte, każde cierpienie dawało się znieść, ponieważ kilka mądrych, radosnych, podobnych Lokeshowi istot przeżyło i wędrowało po odludnych terenach Tybetu.

Ale Lokesh nie przeżyje. Zabrali go żołnierze i krzykacze, którym powiedziano, że opat Sangchi jest w rękach purbów. Będą trzymać ich razem, gdyż bardziej im to odpowiada. Posłużą się Lokeshem, będą go dręczyć, żeby wydobyć od Tenzina to, czego chcą. Gdyby wpadł im w ręce tylko jeden, w końcu uciekliby się do chemikaliów, jak robili to z Shanem w pierwszym okresie jego uwięzienia. Ale chemikalia dawały nieprzewidywalne rezultaty, a choć niewielu Tybetańczyków

mówiło na torturach, często miękli, gdy z ich powodu torturowano przyjaciela.

Shan pozwolił, żeby uniósł go tłum, który zgromadził się wokół nowych więźniów, kiedy odprowadzano ich do obozu. Nikt nie zadawał mu pytań. Nikt nie zakuł go w kajdanki. Zdawało się, że Tuan nawet go nie zauważył. Poruszenie wywołane odnalezieniem słynnego opata Sangchi najwyraźniej udzieliło się wszystkim.

Był ślepy. Gendun wiedział o tym, Shopo również. Ktoś umarł, powiedział Gendun. Miał na myśli, że to opat umarł w Tenzinie, który szukał teraz nowego życia. Przypomniawszy sobie pierwsze słowa Tenzina, które wypowiedział do niego tego dnia, kiedy widzieli czerwoną rzekę. Można było odrodzić się w tym samym ciele, gdyż Shana to spotkało. Przypomniawszy sobie ból Tenzina po śmierci Draktego; gorycz, z jaką cisnął do jeziora ciężki głaz, gdy Shan zasugerował, że kamyk mógłby wziąć na siebie jego winę; dni i tygodnie, kiedy obserwował wysokiego Tybetańczyka z workiem na łajno. Shan przypuszczał, że Tenzin jest osławionym Tygrysem, pragnącym odmienić swe wypełnione przemocą życie. Ale na duszy opata Sangchi spoczywał inny mroczny ciężar, od którego w końcu postanowił się uwolnić. A teraz oni wlekli go w kajdankach z powrotem do więzienia, z którego uciekł.

Gdy żołnierze prowadzili więźniów obok namiotów wojskowych, wybuchła głośna sprzeczka. Zwalisty żołnierz, w którym Shan rozpoznał sierżanta z oddziału Lina, krzyknął, że więźniowie należą do 54. Brygady Strzelców Górskich. Lecz krzykacze wciąż popychali ich obu w stronę białych terenówek. Tuan nie odstępował Tenzina, wreszcie stanął za nim z czterema swoimi ludźmi, podczas gdy sierżant szalał ze złości. W końcu jeden z mężczyzn w białych koszulach podszedł do żołnierza, powiedział coś cicho i podał mu wizytówkę. Gdy Shan się zbliżył, próbując ich podsłuchać, na jego ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń.

– Chyba ci życie niemiłe – warknął Winslow, odciągając go. – Jenkins powiedział mi, co wie. Przede wszystkim, że jesteś pierwszy na liście 54. Brygady Strzelców Górskich. Mają twoje nazwisko. Podejrzewają, że jesteś zbiegłym przestępcą, że porwałeś Lina. Ściągają kolejnych żołnierzy. Żeby szukać Lina, szukać ciebie.

Shan pozwolił mu się prowadzić, tępo patrząc na rozgrywającą się scenę. Lokesh i Tenzin znów byli fotografowani, tym razem na tle białych samochodów, z kajdankami na nogach, ze swobodnymi rękami – dla pozorów, gdyż krzykacze nie chcieliby pokazać zdjęć skutego opata. Shan, osłupiały ze zdumienia, nie protestował, gdy Winslow wepchnął go na platformę jakiejś ciężarówki i sam przeszedł przez klapę. Niemal nie zauważył, kiedy samochód ruszył. Otworzył usta, żeby zawołać Lokesh, ale język mu zdrętwiał i z ust nie wydobył się żaden dźwięk. Po chwili ciężarówka pokonała niską przełęcz i obóz zniknął mu z oczu.

Shan długo patrzył na drogę za ciężarówką, na pół spodziewając się, że zobaczy pędzące za nimi białe samochody terenowe. Lokesh i Tenzin zostaną odwiezieni do aresztu bezpieki, najprawdopodobniej w najbliższym dużym mieście. Wyciągnął mapkę, którą zabrał z sali konferencyjnej Jenkinsa. Wenquan albo Yanshiping. Zejdzie z ciężarówki w pierwszym lepszym mieście, przez które będą przejeżdżać. Ale możliwe, że żołnierze zabiorą więźniów na południe, wprost do Lhasy. W takim razie powinien wyskoczyć na pierwszym rozjeździe. I co? Rzucić kamieniami, kiedy go

będą mijali?

–Najlepsze, co możemy zrobić, to przespać się trochę -stwierdził Winslow, gdy ciężarówka rozpoczęła stromy zjazd długim wąskim wąwozem. Opuśczeni góry.

–Przespać się? – zapytał zdezorientowany Shan.

Winslow wskazał mapę, którą trzymał w dłoni.

–Będzie późno, kiedy dojedziemy na miejsce. Co najmniej siedem godzin jazdy, jeżeli nie będzie przeszkód na drogach.

Shan rozejrzył się po platformie. Była niemal pusta, jedynie pod ścianą kabiny piętrzyło się kilka kartonowych pudeł przywiązanych sznurkiem do ochronnych listew. Spostrzegł też liny i stertę czegoś, co wyglądało na brudne kombinezony, oraz kilka pustych palet transportowych z wymalowaną przez szablon nazwą spółki naftowej.

–Golmud? – zapytał z niedowierzaniem.

Winslow skinął głową.

–Centrala firmy. Centrum operacyjne. Tam możemy dowiedzieć się czegoś o ekipie Zhu. Jak mówił Jenkins, ktoś tam dostał się do elektronicznej poczty Larkin.

–Kiedy?

–Dwa tygodnie temu.

–Więc jeszcze zanim zginęła – zauważył zdziwiony Shan. – Prawda. Tyle tylko, że podobno była wtedy w terenie.

A dwa tygodnie temu ktoś w Golmudzie użył jej hasła. Shan spojrzał na Amerykanina i pokręcił głową.

–Nie mogę – zaprotestował i oparł dłoń o burtę ciężarówki, żeby wstać. – Lokesh...

–Lokesh będzie miał z ciebie niewiele pożytku, jeśli zostaniesz aresztowany – rozległ się kobiecy głos.

Shan i Winslow obrócili się gwałtownie i ujrzeli unoszącą się ze sterty ubrań postać. Shan wpatrywał się w szczupłą, muskularną dziewczynę, jedyną osobę w obozie nafciarzy, która znała Lokesha.

–To jest Somo – usłyszał własny głos.

–Znasz ją? – zapytał zdziwiony Winslow.

–Spotkaliśmy się kiedyś. Mamy wspólnych przyjaciół. Już ją widziałeś. To ona dała nam kurtki i kaski.

Winslow z uśmiechem skinął purbie głową.

–Mamy wobec ciebie dług wdzięczności – powiedział i znów spojrzał na Shana. – Więc mówisz, że ona jest...

–Przyjaciółką.

Winslow znów skinął głową.

Somo podeszła do nich i usiadła obok Shana.

–Dowiemy się, dokąd go zabierają. Słyszałam, że spędził wiele lat w lao gai. Będzie wiedział, jak przeżyć.

–Nie przeżyje, jeśli uznają, że pomagał ukrywać Tenzina. Opata Sangchi – powiedział Shan, próbując przyzwyczać się do myśli, że ten chudy, milczący

zbieracz jaczego łajna jest jednym z najznacznějších łamów w całym Tybecie. – Dlaczego jedziesz do Golmu? – zapytał ją.

–Figuruję w aktach spółki jako pracownica biurowa. Zmieniono mi przydział – odparła z lekkim uśmiechem, niespokojnie popatrując na Amerykanina.

–Winslow nam pomaga – wyjaśnił Shan i żeby ją uspokoić, opowiedział, jak Amerykanin uchronił ich przed aresztowaniem przez pułkownika Lina.

Dziewczyna powoli skinęła głową.

–Poprosiłam o przeniesienie – powiedziała. – To było częścią planu. Mam... miałam zdobyć dostęp do centralnego komputera w bazie, żeby umieścić Tenzina na liście pracowników spółki. A potem zorganizować dla niego przydział do obozu daleko na północy, przy granicy z Mongolią. Stamtąd byłoby łatwo wy dostać go z kraju. Mongolia, Rosja, potem Europa i Ameryka. On miał rozmawiać na Zachodzie z ważnymi ludźmi, którzy mogliby pomóc Tybetowi.

–Ale władze szukały go na granicy z Indiami – zauważył Shan. Utkwił w dziewczynie spojrzenie. – To tam właśnie Drake spędził tych kilka tygodni po odstawieniu nas do pustelni, prawda? Zniknął. Poszedł na południe, żeby zostawić fałszywy trop.

Somo przez chwilę wpatrywała się w swoje dłonie, przygryzając wargę, jakby słowa Shana sprawiły jej ból.

–Nasz dowódca, który zaplanował to wszystko, powiedział, że on jest najlepszy do tego zadania. Drake chodził od miasta do miasta i opowiadał, że nocą widział opata na drodze, za każdym razem dalej na południe. Miał nawet różne należące do niego przedmioty i mówił, że Tenzin dał mu je w zamian za jedzenie. Żeby pałkarze znaleźli namacalny dowód.

–Jakie to były przedmioty? – zapytał Shan.

–Rzeczy osobiste, coś, co prowadzący śledztwo mógłby rozpoznać jako jego własność. Piórnik. Stara książka, którą opat dostał od matki. Amulet modlitewny, z którym go sfotografowano. Wyjaśniliśmy Tenzinowi, że nie wolno mu zachować nic ze swego poprzedniego życia, bo nawet jeśli zorganizujemy mu przebranie i nowy wizerunek, te przedmioty go zdradzą.

Shan przesunął w palcach trzymany w kieszeni różaniec z kości słoniowej. Czy Drake zachował jedną rzecz, być może najcenniejszą dla Tenzina, żeby mu ją zwrócić, kiedy opuści Chiny?

–Potem ucharakteryzowaliśmy Tenzina – ciągnęła Somo. –

Nauczyliśmy go inaczej się poruszać. Zapuściliśmy mu włosy.

Postaraliśmy się, żeby nabrał nawyków dropków.

–Powinien więc być nie do poznania – zauważył Winslow.

–Powinien – przyznała Somo. – Ale wyszło inaczej. Być może rozpoznał go ktoś, kogo nie braliśmy pod uwagę. Sądziłam, że

cały pościg skieruje się na południe. Sądziłam, że on będzie bezpieczny w tej pustelni, a potem z karawaną.

–Kto? Kto mógł go widzieć w Lhasie, a potem podczas ucieczki przez Czangtang? Kiedy opuścił Lhasę? Czy było jakieś spotkanie, na którym ktoś z północy mógł go

zobaczyć?

–Konferencja w sprawie Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Było wielkie zebranie na jej otwarcie. Opat Sangchi wygłosił przemówienie, a dwa dni później zniknął, zanim jeszcze konferencja dobiegła końca.

–Pułkownik Lin – podsunął Winslow. – Przyjechał z Lhasy do Yapchi.

Somo lekko pokręciła głową i zmarszczyła brwi.

–Większość jego żołnierzy wciąż jest na południu i pilnuje, czy purbowie nie przerzucają Tenzina przez granicę. Jak gdyby Lin sam chciał podtrzymać naszą fikcję. Myślę, że on przyjechał na północ z powodu tego oka, bo dowiedział się, że ma ono wrócić do doliny. Chyba ma obsesję na jego punkcie.

–Nie – odparł Shan. – Nie dlatego. Bez względu na to, co Tybetańczycy sądzą o oku bóstwa, dla Lina to jest tylko kamień. Drake ukradł ten kamień – ciągnął, znów patrząc na Somo. – A z nim był tam ktoś jeszcze. – Rozprostował zdjęcie, które znalazł w kieszeni pułkownika. – To dlatego Lin tak się interesował okiem. Ponieważ miało go ono doprowadzić do Tenzina.

Somo spojrzała nań twardo, wcale nie zaskoczona, ale z namysłem, jakby szacowała, ile może mu jeszcze wyjawić.

–W porządku. Tenzin zabrał coś tajnego na temat wojska, na temat żołnierzy z 54. Brygady Strzelców Górskich. Jakieś papiery wywiadu wojskowego.

–Tenzin? – zdziwił się Shan. – Przecież on nie jest szpiegiem.

–Nie – przyznała Somo. – Nie wiem, co to było. Nie wydaje mi się, żeby to planował, sądząc z tego, co mówił Drake. Był wściekły na Tenzina, że zwiększył ryzyko. Przypuszczam, że Tenzin chciał się jakoś przysłużyć purbom, bo to oni umożliwili mu ucieczkę.

Ale dla Lina, pomyślał Shan, mimo wszystko oznaczałoby to, że opat jest szpiegiem. Była to już dla niego sprawa osobista. Tenzin naraził na szwank jego imię, a być może jeszcze gorzej

–zdobył informacje, które mogłyby zaszkodzić całej armii.

–Lin próbuje chronić siebie – stwierdził Shan, wypowiadając myśl, która właśnie przemknęła mu przez głowę. – Nie poinformował swoich przełożonych. Próbuje odzyskać skradzione dokumenty, zanim ktoś zrobi z nich użytek. Gdyby jego dowództwo podejrzewało, że zbiegły opat przejął tajemnice wojskowe, żołnierze przeczesywaliby cały kraj, urządziliby blokady na wszystkich drogach.

–Ale dlaczego Tenzin uznał, że może bez ryzyka pojawić się dziś w Yapchi? – zapytał Winslow.

–Być może wcale tak nie uważał – odparł Shan. – Jokar powiedział, że potrzebuje ziół z doliny Yapchi. Powinienem być się domyślić. Tak właśnie postąpiłby człowiek, jakim chciał się stać Tenzin, tak właśnie postąpiłby Lokesh – bez chwili namysłu.

Winslow spojrzał na niego ze smutkiem. Zbiegły opat został schwytany, gdyż sędziwy lama uzdrowiciel poprosił o lecznicze zioła dla chorego chińskiego pułkownika. Myśl ta nie wiadomo dlaczego przypomniała Shanowi o kimś innym.

–Czy poszłaś do tego durtro, jak mówiłaś, z Gendunem i Drake? – zapytał Somo.

Twarz dziewczyny stężała. Pokiwała głową.

–Przyszło wielu pasterzy. Odmawiali modlitwy i rozmawiali o tym, jak odważny był Drake. Gendun został dłużej. Powiedział, że Drake przechodzi ciężkie chwile i że on wraca z Shopo, by kontynuować obrzędy. Myślę, że miał na myśli pełen rytuał. – Zgodnie z tradycją obrzędy pośmiertne powinny trwać czterdzieści dziewięć dni. Somo patrzyła na oddalające się góry. – Jest coś... Nie wydaje mi się, żeby to było ważne. Ale kiedy odchodziłam, Gendun mnie odszukał i powiedział, że wszyscy musimy lepiej zrozumieć śmierć. Powiedział, żeby coś ci dać, żebyś dowiedział się czegoś o Draktem. – Sięgnęła do kieszeni i podała mu chakpę, brązowy lejek do usypywania piaskowej mandali.

Shan, oniemiały, wpatrywał się w lejek. Przez chwilę znów widział, jak Gendun uczy go robić z chakpy użytek. Wreszcie powoli wziął lejek od Somo. Zdezorientowany obejrzał go uważnie.

W środku był świstek papieru, przylegający do ścianki. Wysunął papier i przeczytał go. Uniósł wzrok ku Somo.

– „Drakte nosił bóstwo w kocu” – przeczytał jej i Winslowowi – „ale uczył się je odslaniać”.

Somo spojrzała na niego przepaszająco, jakby zawstydzona, że kłopotowała go wiadomością bez znaczenia.

– Oko było zawinięte w filcowy kocyk – podsunął Winslow.

Shan nie odpowiedział. Przeczytał kartkę ponownie i jeszcze raz. Somo niepewnie skinęła Amerykaninowi głową i znów spojrzała na niknące w dali góry.

– I co teraz zrobisz? – zapytał ją Shan po kilku minutach. Dziewczyna nie odwróciła wzroku od gór.

– Kiedy trzy tygodnie temu opuszczałam Lhasę, Drakte powiedział mi, że robimy to dla Chińczyka, który idzie na północ, żeby pomóc Tybetańczykom. Nie wiedziałam wtedy o opacie, tylko o kamieniu. – Przerwała i spojrzała na Shana z zakłopotaniem. – Opat i oko bóstwa byli w pewnym sensie jednym i tym samym.

Shan skinął głową.

– Pomoc purbów w sprawie oka była tylko przykrywką, by potajemnie przeprowadzić Tenzina na północ. Kto wpadłby na pomysł, żeby szukać go w karawanie z solą? – Popatrzył na dziewczynę. Wiedział, że myślą o tym samym. Drakte zginął, aby ich ostrzec, by nie dopuścić do schwytania Tenzina. Somo nie zamierzała dać za wygraną w tej sprawie.

– Zabiorę się do komputera, gdy tylko przyjedziemy do Golmudu – oświadczyła. – W środku nocy. Mimo wszystko

wpiszę Tenzina na listę pracowników, pod fałszywym nazwiskiem, jakie wymyśliliśmy.

–Ale on już wpadł – zauważył Winslow.

–Nikt mnie nie zwolnił z tego zadania – odparła Somo nieobecny głosem. – A kiedy będzie po wszystkim, cokolwiek się stanie, mam zamiar dowiedzieć się, kto zabił Draktego.

–Myślę – powiedział Winslow, przenosząc wzrok z Shana na Somo – że nie będzie po wszystkim, dopóki nie znajdziesz zabójcy.

W milczeniu obserwowali okolicę.

–Potrafisz dostać się do dokumentacji elektronicznej? – zapytał po jakimś czasie Winslow.

–Na uniwersytecie dopilnowali, żebym odbyła zaawansowane szkolenie komputerowe, zanim wrócę uczyć tybetańskie dzieci. Za pomocą kredy i łupkowych tabliczek.

Winslow opowiedział jej o Melissie Larkin i przez następną godzinę rozmawiali o tajemnicach, które splotły się w Yapchi.

–Czy Drake znał tego zamordowanego Chao? – zapytał Shan. Miał wrażenie, że już wie, co mu Somo odpowie.

–Tak – odparła bez wahania. – On był Tybetańczykiem. Większość ludzi nie wiedziała o tym, bo przyjął chińskie nazwisko.

–Ty też go znałaś?

–Miesiąc temu planowaliśmy z Draktem, że spędzimy razem dwa dni nad Lamtso. Rozmawialiśmy o założeniu rodziny – oświadczyła rzeczowym tonem i zapatrzyła się w uciekającą drogę. Shan odwrócił się, zawstydzony. – Ale potem poprosił mnie, żebym zamiast tego pojechała z nim do Amdo, bo odkrył, że jest tam jego stary przyjaciel, z którym musimy się spotkać. Powiedział, że jeszcze zdążymy pojechać nad Lamtso – dodała nerwowo. – Spotkaliśmy się z jego przyjacielem w starej stajni,

która służyła jako warsztat, siedzieliśmy na ławie i jedliśmy zimne kluski. Ten człowiek, Chao, nazywał się inaczej, kiedy Drake znał go w dzieciństwie. Posadzili mnie między sobą, jakbym ich miała rozsądzić.

–Co robił Chao? Jak się zachowywał? – zapytał Shan. Czyżby to wszystko było pułapką zastawioną na Drakego? zastanawiał się.

–Był przerażony. Pytał Drakego, czy zna dyrektora Tuana, jakby chciał go ostrzec. Ale Drake tylko parsknął śmiechem. Nie rozmawiali o niebezpiecznych sprawach. Po prostu gawędzili o życiu na płaskowyżu i o dawnych czasach. Zwykle spotkanie starych przyjaciół, to wszystko. Przy pożegnaniu ten Chao uściskał Drakego i powiedział, że jest mu przykro.

–Z jakiego powodu?

–Po prostu, że mu przykro. Tak ogólnie, jak sędzę.

–Czy Drake miał ze sobą ten rejestr? – zapytał Shan.

Somo pokręciła głową.

–Ale potem pracował nad nim całą noc, bo mówił, że chce się znów spotkać z Chao. Myślałam z początku, że to notatki do

Księgi Lotosu, żeby przedstawić ubóstwo okręgu. Jest tam wymieniona każda wioska, każde gospodarstwo, każda pasterska rodzina w okręgu Norbu. Z podpisem głowy każdej rodziny.

–W okręgu – zauważył Shan. – Nie w powiecie.

Somo skinęła głową.

–W okręgu Urzędu do spraw Wyznań, zarządzanym przez Tuana.

Wyjęła z kieszeni świstek pożółkłego papieru i podała go Shanowi.

–Niemal zapomniałam. Drake miał to w bucie. Nie wiem,

co to takiego. Myślę, że dostał to od Chao, ale nie przy mnie.

Świstek wyglądał na odręczny wyciąg z listy płac. U góry zapisano jedno słowo, *dorje*. Poniżej widniały dwie kolumny liczb; pierwsza zawierała dwanaście numerów ewidencyjnych, druga dwadzieścia. *Urząd do spraw Wyznań, Amdo*, napisał pod pierwszą kolumną ktoś, kto postawił też ptaszka przy każdym numerze. Obok dwóch górnych numerów w pierwszej kolumnie zapisano: *dyrektor Tuan*, a niżej: *wo*, po chińsku „ja” lub „mnie”. Mogło tu chodzić, uświadomił sobie Shan, o wicedyrektora Chao. Pod drugą kolumną widniało: *Urząd Bezpieczeństwa Publicznego*.

–To nie jest jego pismo – powiedziała Somo. – Nie Drake-go. To musiał napisać Chao. Zadałam parę pytań – dodała z naciskiem. – Parę miesięcy temu przeniesiono szefa bezpieczeństwa w Amdo. Nie mianowano następcy. Ponieważ dyrektor Tuan szefował tu kiedyś Urzędowi Bezpieczeństwa, zaproponował, że czasowo obejmie kierownictwo. Zaczął łączyć sprawy prowadzone przez oba urzędy. A także listy płac.

–Chcesz powiedzieć, że tutejszym pałkarzom płaci dyrektor Tuan z Urzędu do spraw Wyznań?

Somo, przygryzając dolną wargę, skinęła głową.

Gyalo ostrzegał przed pałkarzami, którzy nie wyglądają jak pałkarze. Krzykacze w białych koszulach sprawiali wrażenie ludzi Urzędu Bezpieczeństwa.

–I jeszcze jedno: to wygląda jak lista płac pałkarzy w okręgu. Ale wiemy tylko o piętnastu pałkarzach.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Chcę powiedzieć, że purbowie obserwują pałkarzy z Amdo. Od lat stacjonuje tam piętnastu. Pytaliśmy ludzi, którzy sprzątają w koszarach. Doliczyli się piętnastu. Czasem jeżdżą z Tuanem. Więc jest jeszcze pięciu. Utajnionych.

Utajnionych, tych pięciu mogło być wszędzie. Mogli nosić mnisie szaty w Norbu. Przypomniawszy sobie obozowisko nad Równiną Kwiatów, odkryte przez Dremu w dniu, w którym natknęli się na wypaloną darń. Czy to byli pałkarze? Chciał oddać kartkę Somo, ale ona obronnym gestem uniosła dłoń, jakby ten świstek nagle ją przeraził.

Ciężarówka telepała się na wyboistej drodze, dopóki w końcu nie wyjechała na szosę północ-południe. Rozpędziwszy się, ruszyła pod górę, potem w dół i znów pod górę, przez górzyste, jałowe tereny, drogą, która – jak wiedział Shan – była jedną z najwyżej położonych na świecie. Zasnął, a kiedy się obudził, jechali przez jakieś ośnieżone okolice. Po zmroku, gdy śniegi zostały już za nimi, ciężarówka zatrzymała się przy skupisku walących się bud z cegły mułowej – zabudowaniach stacji benzynowej. Kierowca napełnił termos gorącą wodą, wrzucił doń garść herbaty i zostawił go na platformie ciężarówki wraz z dwoma blaszanymi kubkami i torebką jabłek.

Shan spał niespokojnie, budząc się za każdym razem, gdy wyprzedzał ich szybszy pojazd. Na szosie roiło się od ciężarówek i autobusów. Dwa razy mijali zaparkowane na poboczu konwoje wojskowe.

Kilka godzin po zachodzie słońca powietrze stało się gęste i gryzące. Pojawiły się blade, żółtawe latarnie uliczne i ciężarówka, trąbiąc, zaczęła kluczyć między rowerzystami. Mijali skupiska obskurnych szarych bloków i fabryki plujące gęstym dymem. Shan wyglądał z ciężarówki, stojąc przy klapie, uchwycony burty. To były Chiny, w każdym razie takie Chiny, jakie znały setki milionów Chińczyków.

–Ależ to zapadła dziura ten Golmud – zauważył Winslow.

Shan nic nie powiedział. Zapadła dziura, być może, ale był to pierwszy kawałek Chin, jaki widział od ponad pięciu lat.

Wyczuwał zmieszane z fabrycznym smogiem wonie oleju sezamowego, chili, kolendry, smażonej wieprzowiny, imbiru. Minęła ich jakaś kobieta na rowerze, trzymająca bambusową tyczkę,

na którą nadziane były cztery pieczone kaczki. W drugą stronę przepedałował mężczyzna z balansującym na kierownicy zrolowanym dywanem. Wiekowa staruszka na ławce doglądała kosza z żarem, w którym piekły się na małych rożnach dzikie jabłka. Przez chwilę Shan walczył z pokusą, żeby po prostu usiąść z nią, powdychać woń spalin i przypraw, zapach współczesnych Chin.

Pół godziny po tym, jak wyjechali z miasta, pod silnym reflektorem na wysokim metalowym słupie skręcili na żwirową drogę, tak szeroką, że mogłyby nią jechać obok siebie cztery ciężarówki. Po prawej zaczęły się pojawiać stojące beczynnymi pojazdy, dziesiątki wywrotek, sypialnic, ciągników, ciężarówek, betoniarek. Był to olbrzymi parking dla ciężkiego sprzętu. Co trzydzieści metrów mijali kolejne reflektory na słupach, aż wreszcie wjechali na parking dla przyczep identycznych jak te, których używano w Yapchi. Stało ich tu przeszło dwieście, jak ocenił Shan, w regularnych rzędach: istne miasteczko. Gdy ciężarówka zwolniła, odwrócił głowę i spojrzał przez okienko w szoferce. Stały tam jedynie cztery wielkie gmaszyska z pustaków, pomiędzy którymi rozciągał się wysypany żwirem pusty kwadratowy plac o boku mniej więcej dwustu metrów.

Ciężarówka zatrzymała się na jego skraju. Kierowca postukał głośno w tylne okno kabiny i nie odezwawszy się ani słowem, odszedł, przeciągając się, z ramionami nad głową. Ostrożnie zeszli z platformy, rozglądając się po opustoszałym kompleksie. Shan niepewnie zrobił kilka kroków w stronę jedyne go budynku, w którym paliło się światło. Żwir zachrząścił mu głośno pod

butami.

Była pierwsza.

W bladej, pomarańczowej poświacie lamp siarkowych, pod wiszącą na niebie niepełną tarczą księżyca obszerny plac sprawiał wrażenie dziedzińca pogrążonej we śnie surowej, przysadzistej świątyni. W powietrzu niosły się dziwne wibracje, jakby odległe dudnienie bębna. Nagle otworzyły się drzwi budynku, przed którym stał Shan, i wylała się zza nich głośna muzyka rockowa. Dwóch mężczyzn wyszło chwiejnie w noc, podtrzymując się nawzajem, żeby nie upaść. Pomachali energicznie do przybyszów i obrali kurs na przyczepy.

Shan stał, chłonąc dziwne uczucie, które nieoczekiwanie w nim wezbrało. Wkroczył do odmiennego świata, a w każdym razie do świata, jakiego nie znał od lat. Po raz ostatni widział pijanych ludzi, po raz ostatni słyszał taką muzykę, po raz ostatni przechadzał się nocą przy takim świetle w Pekinie w swym poprzednim wcieleniu.

Winslow poklepał go po ramieniu, jakby sądził, że Shan zdrzemnął się na stojąco, i pociągnął go w stronę drzwi, którymi przed chwilą wyszli nieznajomi. Znaleźli się w krótkim przedsionku wyłożonym boazerią z nie malowanej sklejki, oświetlonym niczym nie osłoniętą jaskrawą żarówką. Na bocznych ścianach wisiały długie tablice ogłoszeń, gęsto obwieszzone zapisanymi w kilku językach kartkami przeróżnych kształtów, rozmiarów i barw. Shan ze zdziwieniem przebiegł po nich wzrokiem. *Poniedziałkowa Noc*, napisano po angielsku na jednej, *Afrykańska Królowa, przynieś własne pijawki*. Na innej, po chińsku, widniało *Wszystkie psy znalezione w przyczepach zostaną zarekwirowane na rzecz kuchni. Zginęła małpa*, głosił po angielsku i po francusku nagłówek innej notatki. Obwieszczenie Wydziału Spraw Zagranicznych Urzędu

Bezpieczeństwa Publicznego przypominało obcokrajowcom, żeby ściśle przestrzegali warunków, na jakich otrzymali wize wjazdowe. Ogłoszenie wyglądające jak transparent zwoływało wszystkich chwilowo bez przydziału do pomocy przy montażu trybun przed zbliżającymi się obchodami Pierwszego Maja. Była nawet ulotka Urzędu do spraw Wyznań przypominająca pracownikom spółki, że wszelkie obiekty kultowe znalezione na terenie robót należy przekazać władzom.

Przedsiónek prowadził do ciemnego, prowadzącego przez cały budynek korytarza z ciągiem drzwi po jednej stronie. Po drugiej znajdowały się drzwi z tabliczką informującą, po chińsku i po angielsku, *Izba Chorych*. Sześć metrów dalej przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi wylewało się czerwone, migoczące w rytm muzyki światło. Hałas był dla Shana nieznośny, ale z żadnego innego miejsca w całym kompleksie nie dobiegały najmniejsze oznaki aktywności. Z przesadnym ukłonem Winslow wskazał im drogę. Somo utkwiała wzrok w ziemi i Shan zauważył w jej dłoni kawałek turkusowego kamienia, pamiątkę po Drakem.

Po chwili dziewczyna przełknęła ślinę i ruszyła za Winslowem.

Sala, długa niemal na dwadzieścia metrów i szeroka prawie na dziesięć, była zapchana ludźmi. Nikt nie zwrócił na nich większej uwagi, gdy przeciskali się w stronę pustego stolika w głębi. Na jednym końcu pomieszczenia znajdował się bar sklecony z nie pomalowanych desek, za którym dwóch barmanów stało przed półkami uginającymi się pod butelkami piwa i mocniejszych alkoholi – nie tylko tradycyjnych chińskich marek, ale i zachodniej whisky, rosyjskiej wódki, francuskiego koniaku, brytyjskiego dżinu. Wśród nich, wyeksponowana pod małym reflektorem, pyszniła się butelka hejie jiu, wina z Guangxi, w którym pływała martwa jaszczurka. Mężczyźni i kobiety, wielu

w zielonych kurtkach, hałaśliwie zamawiali drinki. Na scenie w kącie potężna maszyna z ekranem telewizyjnym wyświetlała obrazy kobiet na ukwieconej łące. U dołu ekranu przesuwały się angielskie słowa, nad którymi podskakiwała mała kulka. Tęgi Chińczyk w fioletowej jedwabnej koszuli, kołysząc się, śpiewał do mikrofonu, wyczekująco, z natężeniem patrząc w ekran, jakby chciał wskoczyć na łąkę i przyłączyć się do kobiet. Na scenie kłębił się tłumek, z którego padały pod adresem śpiewającego to drwiny, to okrzyki zachęty.

Dwie ściany obwieszane były plakatami, w większości przedstawiającymi przystojnych mężczyzn i piękne kobiety na tle malowniczych gór, lśniących samochodów, scen sztuk walki lub innych atrakcyjnych kobiet i mężczyzn w skąpych strojach kąpielowych. Na każdym z nich widniał angielski, chiński lub francuski napis, zapewne tytuł filmu, jak uznał Shan. Przypatrywał się im przez chwilę, jak przez mgłę przypominając sobie, że kiedyś oglądał filmy, nie pamiętał jednak, gdzie ani kiedy to było.

Na drugim końcu sali, gdzie panował lekki półmrok, stały dwie obszarpane sofy i kilkanaście wysokich stołków. Na stołkach, niczym eksponaty, siedziało kilka młodych kobiet, wszystkie mocno umalowane, z wymyślnymi fryzurami, ubrane w obcisłe, mocno wydekoltowane sukienki i wysokie buty z kolorowego plastiku. Przy stole w pobliżu sceny siedziało kilku cudzoziemców, krzepkich mężczyzn o wielkich dłoniach. Czterej palili papierosy, jeden, z łokciami na blacie, podpierał głowę rękoma, jak gdyby spał. Siedzący z nimi Chińczyk w średnim wieku, ubrany w niebieską koszulę, uśmiechnął się z zakłopotaniem, obserwując mężczyznę przy mikrofonie.

–Mai xiao nu – oznajmił zdumiony Winslow, gdy usiedli. Zerkał na wystrojone dziewczyny, „kobiety sprzedające

uśmiechy”. – Mai xiao nu – powtórzył rozradowany. Kiedy Somo się

zarumieniła, wzruszył przepaszająco ramionami, zaproponował, że przyniesie im coś bezalkoholowego, i skierował się do baru. Somo spojrzała na Shana, przygryzając dolną wargę. Nagle wstała i zdecydowanym krokiem podeszła do siedzącego z cudzoziemcami Chińczyka. Nachyliła się nad nim. Mężczyzna uniósł wzrok z miną, którą Shan uznał za wyraz ulgi, pomachał na pożegnanie swojemu towarzystwu i podszedł z dziewczyną do drzwi. Rozmawiali tam niecałą minutę, po czym Somo, rzuciwszy Shanowi zatroskane spojrzenie, wyszła z tym człowiekiem na korytarz.

Shan przyglądał się otaczającej go dziwnej zbieraninie. Oczy zaczęły go szczytać od dymu papierosowego. Jeden z mężczyzn w pobliżu zaczął bekać raz po raz, przy gromkich brawach swych kompanów. Shan nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest obserwowany. Jak Jenkins nazwał ten obóz? Burdel na kółkach.

Chwilę później Winslow wrócił z trzema czerwonymi puszkami amerykańskiej coli z chińskim nadrukiem. Obaj siedzieli niespokojnie przez dziesięć minut, póki nie przyszła Somo z Chińczykiem w niebieskiej koszuli, który dał jej i Shanowi klucze z plastikowymi przywieszkami, podobnymi do hotelowych. Na jednej i drugiej widniała litera angielskiego alfabetu i numer. Mężczyzna przedstawił się Winslowowi jako kierownik administracyjny i wyjaśnił, że Amerykanin zostanie umieszczony w kwaterze dla gości honorowych. Shan i Winslow nerwowo spojrzeli po sobie. Rozdzielano ich. Amerykanin zmarszczył brwi, lecz gdy kierownik odwrócił się i wskazał ręką drzwi, ruszył za nim.

–Do rana – rzucił ze skrępowaniem na odchodnym i obaj

wyszli z sali.

–Dla kobiet są osobne kwatery – oświadczyła smutno Somo, duszkiem wychyliwszy colę. Schowała klucz do kieszeni.

–Prześpię się w tej ciężarówce – powiedział Shan.

–Nie – zaprotestowała nerwowo. – Mogą ją przestawić w inne miejsce. Może nawet odjechać do innego obozu. Poza tym w przedsionku widziałam grupę ochroniarzy. Nie policji albo żołnierzy, po prostu ludzi w brązowych kurtkach. Ale jeśli przyłapią cię bez legitymacji pracownika, odstawią cię do Golmudu albo zrobią coś jeszcze gorszego. Mają problemy ze złodziejami wkradającymi się do obozu.

Pięć minut później Shan szedł między pogrążonymi w mroku rzędami przyczep. U końca każdego rzędu znajdowała się blado oświetlona tabliczka z literą. Na każdych drzwiach wymalowany był wielkimi cyframi numer. Znalazł przydzieloną mu przyczepę, wszedł do niej i stwierdził, że stoi między dwoma długimi rzędami metalowych łóżek, z których połowa jest zajęta. W głębi, na łóżku polowym, siedzieli dwaj mężczyźni grający w madžonga przy świetle latarki. Shan ruszył w przeciwną stronę i znalazł wolne łóżko na końcu przyczepy. Zasnął, gdy tylko jego głowa dotknęła poduszki.

Zdawało się, że minęło raptem parę chwil, kiedy ktoś pociągnął go za nogę. Shan momentalnie rozbudził się, przypominając sobie ostrzeżenie Somo o ochroniarzach. Światło dnia wlewało się do przyczepy przez małe okienka w metalowych ramach.

–Za dziesięć minut kończą wydawać śniadanie, stary – oświadczył młody Chińczyk stojący przy jego łóżku. – Przepraszam – dodał, zauważywszy nerwową reakcję Shana. – Jeżeli utkniesz na większą część dnia w kolejce, czekając na przydział, nie będziesz miał okazji nic zjeść aż do wieczora. –

Przyjrzał się Shanowi niepewnym wzrokiem, pogładził swe rzadkie, rozwichrzone wąsy i wzruszył ramionami.

Shan wymamrotał podziękowania i ruszył wraz z nim ku wyjściu. Czujnie rozejrzał się po długiej alejce między rzędami przyczep, nim wyszedł za młodym Chińczykiem.

–Widziałem ciężarówkę pod centrum operacyjnym – odezwał się jego przewodnik. – Musiałeś późno przyjechać. Z Tsaidamu? – zapytał, mając na myśli ogromne pole naftowe w zachodnim Qinghai, jedno z najstłynniejszych w całych Chinach.

–Z Yapchi – odparł Shan.

Mężczyzna spojrział na niego z zaskoczeniem.

–Prosiłeś o przeniesienie z Yapchi? Zwariowałeś? Słyszałem, że tam będą wysokie premie. Ameryka – dodał. – Uwielbiam Amerykę. Hamburgery. Las Vegas.

Dotarli do tego samego wielkiego budynku, w którym Shan i jego przyjaciele byli poprzedniej nocy, ale teraz weszli od przeciwnego końca, wprost do obszernej stołówki. Gdy zamknęły się drzwi, owionęło go wilgotne powietrze, niosąc mieszaninę zapachów. Marynowana kapusta. Bekon. Ser. Czarny pieprz. Dym z papierosów. Jajka. Mocna czarna herbata. Smażony ryż. Kawa. Marynowana ryba.

Shan krążył po sali, dopóki nie wypatrzył Winslowa siedzącego przy długim stole w towarzystwie kilkunastu cudzoziemców, mężczyzn i kobiet, w większości młodszych od niego. Z wielkiego czarnego pudła na stole płynęła głośna muzyka. Młody blondyn z końskim ogonem wybijał dwiema łyżkami rytm na plastikowym talerzu. Obok niego krótko ostrzyżona krępa brunetka z kwadratową szczęką układała pasjansa. Troje innych, w tym dwaj mężczyźni, których Shan widział poprzedniej nocy pod sceną, studiowało rozwiniętą na stole mapę. Jeden z nich trzymał kubek kawy, drugi grube

cygaro.

Shan usiadł obok Winslowa, który cicho poinformował go, że Somo jeszcze się nie pojawiła. Amerykanin wskazał kolejkę pracowników z boku sali, gdzie obsługa w białych fartuchach uwijała się nad parującymi metalowymi tacami z jedzeniem. Gdy Shan pokręcił głową, Amerykanin oddał mu zimną grzankę ze swojego talerza. Shan wziął ją i sięgnął po leżącą na końcu stołu chińską gazetę. Była wydana w Golmudzie, nosiła wczorajszą datę. Szybko przebiegł wzrokiem nagłówki. Władze zacieśniały obławę na osławionego Tygrysa, reakcjonistę poszukiwanego za zamordowanie pracownika oddziału Urzędu do spraw Wyznań w Amdo. Obywatelom, którzy przyczyniliby się do jego ujęcia, obiecywano wysokie nagrody. Towarzyszący artykuł wyjaśniał, że pościg za Tygrysem był częścią wymierzonej przeciwko takim reakcjonistom dwutorowej kampanii, której drugim elementem było poszukiwanie opata Sangchi, porwanego przez ludzi Tygrysa z zamiarem skaptowania go dla kultu Dalai.

–W większości Europejczycy – szepnął Winslow po tybetańsku. – Nikt z nich nie jest tu dłużej niż tydzień. Wszyscy trafili tutaj z innych obiektów. Większość wkrótce zostanie przeniesiona dalej.

Shan rozejrzał się po współbiesiadnikach. Demonstracyjnie ignorowali Winslowa.

–Wytknęli mi, że spośród ambasad wszystkich krajów reprezentowanych w spółce tylko amerykańska kiedykolwiek coś jej zarzuciła.

–Chodziło o twoje pytania na temat panny Larkin?

–Nie. Badania ekologiczne. Miesiąc temu był tutaj ktoś z ambasady, kto stwierdził, że spółka nieprawidłowo szacuje oddziaływanie na środowisko. Ci inżynierowie mówią, że jeśli nie będziemy uważać, spółka może zablokować dalsze inwestycje

amerykańskich partnerów. Są inni, gotowi dać fundusze bez żadnych zastrzeżeń.

Mężczyzna siedzący najbliżej Winslowa odsunął krzesło i podniósł swoją tackę.

–Następnym razem nie omieszkam odkurzyć smokinga, panie ambasadorze – powiedział po angielsku z przesadnym ukłonem. Przez chwilę przyglądał się Shanowi, po czym znów odwrócił się do Winslowa. – Nie pozwól, żeby ci wciskali kit – dodał niemal prosząco. – Wysłuchaj jednego z nich, a będziesz miał na karku całą setkę. Każdy taki cholernik spodziewa się, że pomożemy mu zdobyć wizę na wyjazd do Stanów.

–Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że mógłbym opuścić kraj robotniczej szczęśliwości – wycedził Shan po angielsku, utkwivszy w nim nieruchome spojrzenie.

Mężczyzna zerknął na niego niepewnie, lecz w końcu uśmiechnął się szeroko. Przeniósł wzrok ku stolikowi w przeciwległym kącie sali i znów zwrócił się do Winslowa.

–Cieszę się, że towarzysz Zhu skierował swoją ekipę do śledztwa – powiedział i odszedł w pośpiechu.

Winslow i Shan spojrzeli na siebie z niepokojem. Shan przyłapał się na tym, że powoli rozgląda się po stołówce. Sala pustoszała w szybkim tempie. Kilka osób z obsługi wytoczyło wózki

z jedzeniem przez podwójne drzwi, inni zaczęli wycierać stoły szmatami z wiader, od których dolatywała woń amoniaku. Przy drzwiach wychodzących na korytarz centrum operacyjnego stał oparty o ścianę szczupły mężczyzna w eleganckiej brązowej kurtce z nylonu. Rozmawiał przez krótkofalówkę i raz po raz zerkał na nich, mrużąc oczy. Shan uniósł się powoli, nie do końca, by spojrzeć w kąt, w którego stronę zezował Amerykanin. Cały stół obsiedli tam ludzie w brązowych kurtkach. Z

przerażeniem rozpoznał siedzącego u szczytu szczupłego mężczyznę, który gestykulował z przejęciem, podczas gdy pozostali uważnie go słuchali. Zhu, dyrektor do spraw projektów specjalnych.

Shan usiadł, pochylił się i wbił wzrok w blat stołu. Winslow zaklął cicho, gdy wyjaśnił mu, co widział.

– Tak sobie myślę... – powiedział Shan, gdy doszedł do siebie. – Dlaczego Larkin miałyby zjawić się tu tylko po to, żeby skorzystać z komputera? Dlaczego nie zrobiła tego w Yapchi?

Winslow wzruszył ramionami, spoglądając w stronę tamtego odległego stołu.

– Tajność. Może lepsze połączenie z Internetem. Tam mają tylko ten mały telefon satelitarny. Albo może nie przyjechała wcale po to. Może tylko przy okazji sprawdziła swoją pocztę, kiedy tu była.

– Ale przyjechała w tajemnicy, kiedy powinna była być w terenie. Jazda w tę i z powrotem zajęła jej dwa dni. To było dla niej ważne. Co jeszcze tu jest? Czym jeszcze zajmują się w tej bazie? – Jakby w odpowiedzi, pod oknami stołówki przejechała wyładowana po brzegi ciężarówka.

Kwadrans później stali na tyłach długiego budynku naprzeciw centrum operacyjnego. Większą część zaplecza zajmowało dziesięć obszernych, otwartych boksów naprawczych, w których stało kilka ciężarówek. Wzdłuż pozostałej części ciągnęła się długa rampa, przy której załadowywano właśnie kilka wozów dostawczych i ciężarówek. Wspięli się na nią, ale gdy Winslow skierował się w stronę magazynu, Shan położył mu dłoń na ramieniu.

– Może powinniśmy chwilę poczekać – zasugerował.

– Na co? – zapytał Winslow, rozglądając się nerwowo.

– Na dźwignię – odparł Shan.

–Dźwignię?

Shan przyjrzał się z uwagą nadzorującym załadunek pracownikom.

–W Pekinie pracowałem początkowo ze starym inspektorem, który twierdził, że wbrew temu, czego uczono mnie na uniwersytecie, najłatwiejszą częścią naszej pracy jest wiedzieć, kogo i gdzie pytać. Mawiał, że cała trudność polega na tym, aby skłonić pytanych, by dali ci więcej, niż prosisz, gdyż jeśli wiesz, o co pytać, znasz już większą część odpowiedzi. Twierdził, że zawsze, w każdej sytuacji, jest coś, co otwiera człowieka: dźwignia umożliwiająca dotarcie do prawdy.

–Coś jak zen przesłuchań – zażartował Winslow, niespokojnie obserwując robotników.

Shan poprosił go, żeby zaczekał przy drzwiach, po czym wśliznął się w cień za jedną z wysokich stert skrzyń spiętrzonych w magazynie.

Kilka minut później weszli tam razem, Shan z grubym plikiem papierów na podkładce z klipsem, Winslow ze znoszoną zieloną czapką z symbolem wieży wiertniczej na głowie.

Stanęli na środku olbrzymiej hali, Winslow podparty pod boki, ze zniecierpliwieniem na twarzy i nie zapalonym cygarem zwisającym z ust, Shan z żalną, cierpiętniczą miną. Nie minęła nawet minuta, gdy przytruchtał do nich łysiejący Chińczyk w niebieskiej koszuli, w jakich zdawał się chodzić starszy personel administracyjny. Shan obserwował go wcześniej zza skrzyń, widział, jak słuźalczo wodził wzrokiem za trzema cudzoziemcami, którzy weszli do magazynu, i jak rzucił się, by ich obsłużyć, ignorując wszystkich innych, nawet człowieka, który pomógł im poprzedniej nocy, chińskiego kierownika administracyjnego.

–Zestawienia dla ekip terenowych w Yapchi są nie w porządku – westchnął Shan, przeciągle, z irytacją łypiąc na

Winslowa. Nim tu weszli, wyjaśnił Amerykaninowi, żeby się nie odzywał, wyglądał na rozdrażnionego i nie dawał po sobie poznać, że rozumie po mandaryńsku.

–Niemożliwe – oświadczył mężczyzna w niebieskiej koszuli, nerwowo zerkając na Winslowa. Na głowie nosił czapkę baseballową w amerykańskim stylu, czarną, z pomarańczowym ptakiem. Shan miał wyrzuty sumienia, że wykorzystuje tak oczywistą, wręcz żalosną słabość, ale wyglądało na to, że większość pracowników spółki obsesyjnie szuka kontaktów z cudzoziemcami, próbując uzyskać ich pomoc w opuszczeniu kraju.

–Mówiłem mu – odparł Shan. – Te sprawy są bardzo skomplikowane. Liczne dostawy. Delikatne instrumenty dostarcza

się czasem bezpośrednio do obozu. Bywa, że paczki z prowiantem i sprzętem polowym zostają zamienione.

Kierownik magazynu spojrzał z uwagą na Winslowa. Amerykanin rzucił mu wymuszony, niecierpliwy uśmiech, po czym zerknął wściekle na Shana.

Shan cofnął się o krok, jakby robił unik przed spodziewanym ciosem.

–Proszę mu pomóc – powiedział błagalnie. – On już był w Yapchi. Chce zweryfikować ich dokumentację. To Amerykanin.

Mężczyzna nerwowo wskazał im terminal komputerowy na stole w kącie magazynu. Parę chwil później na ekranie pojawił się napis *Yapchi: Bilans dostaw*. Shan uśmiechnął się z zadowoleniem. Działalność spółki naftowej była równie zbiurokratyzowana i zdezorganizowana jak działalność armii.

Kierownik wcisnął kilka następných klawiszy i na ekranie ukazał się podtytuł: *Ekipy terenowe*.

–Oni wszyscy mają ten sam sprzęt – wyjaśnił, wskazując

kolumnę po lewej stronie. *Zespół Pierwszy*, głosił nagłówek.

Poniżej zaczynała się lista. Metalowe butelki na wodę, dwanaście. Namiot, czteroosobowy, jeden. Śpiwory, cztery. Kuchenki gazowe, jedna. Naboje z butanem, osiem. Racje żywnościowe, sześćdziesiąt. Shan szybko przebiegł wzrokiem resztę listy. Liny, oskardy, młotki geologiczne, ładunki wybuchowe. Czteroosobowe zespoły były ekwipowane na pięciodniowy pobyt w terenie. – Powiedzcie mu, że znam się na baseballu – poprosił kierownik natarczywym tonem. – Raz w tygodniu wieczorem puszczają nam taśmy z meczami. Baltimore Orioles – dodał z nadzieją w głosie.

Shan w odpowiedzi niecierpliwie skinął głową.

–Ale jedna z tych ekip zostawiła część sprzętu w bazie – powiedział.

–Która?

Shan wskazał Winslowa.

–Jak myślicie? Kierowana przez tę Amerykankę.

Co dziwne, jego słowa wprawiły kierownika w przygnębienie.

–Ach – westchnął. – Przez Melissę. – Spochmurniał.

–Znaliście pannę Larkin?

–Pewnie. To znaczy... ja... – Kierownik bacznie się im przyglądał, próbując zapewne ocenić, na jak śliski grunt wstępuje. – Ona przynosi nam różne rzeczy, kiedy tu bywa. Skamieniałości. Ładny różowy kwarc. Raz nawet amerykańskie ciastka. Ona... – znów im się przyjrzał, po czym wbił wzrok w ekran komputera – łatwo ją zapamiętać. – Gdy poczuł na sobie badawcze spojrzenie Shana, westchnął i ciągnął już obojętniej: – Raz, kiedy tutaj przyjechała, była burza i nie mieliśmy prądu. Nie mogliśmy pracować. Większość ludzi poszła do centrum operacyjnego i piła przez cały dzień. Ale panna Larkin rozpałała ognisko, tutaj, w wielkim metalowym wiadrze. – Wskazał środek

betonowej podłogi. – Usiedliśmy dookoła niego i opowiadaliśmy sobie różne historie. Nauczyła nas wtedy paru amerykańskich piosenek. *Row, Row, Row Your Boat* - powiedział po angielsku, niezdarnie wymawiając „r”. - *Jingle Bells. Oh Susannah.*

–Ale ostatnim razem chciała czegoś szczególnego, prawda? – podsunął Shan. – Zostawiła prowiant w Yapchi, bo musiała dźwigać coś innego.

Mężczyzna znów stuknął w kilka klawiszy i ciężko usiadł na stołku. Na ekranie pojawiła się nowa tabela, wykaz zamówień z obozu Yapchi.

–Powiedziała, że nie ma czasu na tę całą papierkową robotę. – Rozejrzał się po magazynie, jakby nagle zaczął się obawiać nie tyle Shana i Winslowa, ile czegoś w cieniu za ich plecami. – Powiedziała, że nikt nie zauważy ich braku, że miną miesiące, nim ktokolwiek będzie ich potrzebował, i że do tego czasu zdążę zamówić nowe. Chciałem jej dać tylko sześć, ale uparła się, że weźmie wszystkie dwanaście.

–Dwanaście czego?

–Znaczników barwiących – szepnął kierownik. – Do wyznaczania nurtu albo mierzenia przepływu wody. Tam, gdzie zwykle

pracujemy, na nowych terenach, jest prawie jak na pustyni. Znaczniki były całe pokryte pyłem. Zgłosiłem, że wszystkie są już przeterminowane – dodał, jakby odkąd postanowił zwierzyć się Shanowi, rodakowi tak samo jak on zmuszonemu radzić sobie z Amerykanami, musiał powiedzieć wszystko. – Że nie nadają się do użytku. Nie sprawdzałem. Najprawdopodobniej tak było – dodał szybko.

–Po prostu robiliście, co do was należy. W końcu ona była kierownikiem zespołu – zauważył Shan. Spojrzał na ekran. U dołu migiała linijka tekstu, ostatni wpis pod nazwiskiem Larkin.

Uzupełnić, przeczytał. Obok widniała data. Jutrzejsza. Pokazał tekst palcem.

–Uzupełnienie zapasów – odparł niepewnie kierownik.

Shan pochylił się, przesunął kursor na tekst i kliknął myszą. Pojawiła się nowa lista, z tą samą datą oraz współrzędnymi geograficznymi. Naboje do kuchenek gazowych. Koce. Sto pięćdziesiąt metrów liny. A także materiały wybuchowe. Cztery skrzynki.

Patrzył na ekran, czując, jak dreszcz przebiega mu po plecach.

–Dlaczego, jeśli to jest dla zespołu Larkin – zapytał powoli – trzymacie to w systemie?

Krew odpłynęła kierownikowi z twarzy. Zanim odpowiedział, przez długą chwilę wpatrywał się w ekran.

–To nie ja wprowadzam zamówienia do systemu, po prostu kompletuję dostawy według wykazów, które pojawiają się na ekranie. Być może ta ekipa wciąż pracuje. Słyszałem, że nie znaleźli jej ciała – odparł ponurym, nerwowym głosem. Potem, widząc, że Shana zainteresowały wykazy, stanął przed monitorem.

–Kiedy tu była, poprosiła was, żebyście zachowali zamówienie w systemie – stwierdził Shan. Kierownik, opowiadając o Larkin, mylił czasy, mówiąc niekiedy w czasie teraźniejszym, mimo że najwyraźniej słyszał o jej śmierci.

–Nie, to pomyłka – jęknął – po prostu pomyłka, że to jest w systemie. To nic nie znaczy.

–Chcecie powiedzieć, że ktoś was prosił, abyście to usunęli? Mężczyzna spojrział błagalnie na Winslowa.

–To dobra kobieta – odezwał się łamaną angielszczyzną. –

Row, row, row your boat – dodał z wymuszonym uśmiechem.

–

Baltimore Orioles.

–Macie na myśli dział projektów specjalnych – naciskał Shan. Kierownik spochmurniał.

–On kazał usunąć jej rekordy z naszych ekranów. Musiałem zapomnieć o tym jednym.

–Dyrektor Zhu powiedział, że macie usunąć jej prośbę o uzupełnienie zapasów? – zapytał Shan. – Skasować ją?

Zdawało się, że mężczyzna w niebieskiej koszuli skurczył się, zapadł się w sobie.

–Nie skasować – szepnął do swych stóp, najwyraźniej przerażony. – Po prostu usunąć z ekranów. – Stał przed komputerem i odwrócił się twarzą w stronę drzwi magazynu, jakby strzegł monitora. Albo go ukrywał.

–Chcecie powiedzieć, że Zhu odkrył, że zamówienie pozostało w systemie – rzekł wolno Shan, zerkając na Winslowa – i kazał je zrealizować? Ale mówił, że sam zajmie się dostawą?

–Myślę, że tak jak reszta z nas, ma nadzieję, że ona wciąż żyje – wychrypiał kierownik.

Nie, pomyślał Shan, pospiesznie wyprowadzając Winslowa z magazynu, Zhu miał raczej nadzieję dopilnować, żeby Larkin długo nie pożyła.

–Skąd możesz...? – zaczął Winslow, gdy Shan powiedział mu, co podejrzewa.

–Znaczniki barwiące – wyjaśnił Shan. – Widzieliśmy ich ślad dzień przed tym, jak w górach natknęliśmy się na Zhu. On powiedział nam wtedy, że Larkin zginęła tydzień wcześniej. Tak właśnie napisał w raporcie. Ale kłamał. Zaledwie dzień przedtem ona była w górach, blisko nas. Nikt inny nie używał znaczników. Nikt inny ich nie miał. Zhu zgłosił, że zginęła, bo chciał mieć pewność, że nikt inny nie będzie się mieszał.

–Do czego?

–Nie wiem. Myślę, że on ma zamiar dostarczyć te zapasy. Zgłosił jej śmierć. Co, jeśli kłamał, co, jeśli chciał, żeby wszyscy spisali ją na straty, bo sam chciał ją znaleźć? Zhu, a być może i Urząd Bezpieczeństwa, uznał, że ona jest niebezpieczna. Co, jeśli zrobił to, bo chce uśmiercić ją teraz, kiedy wszyscy uwierzyli w kłamstwo, że ona nie żyje? Uśmiercić albo zabrać gdzieś na przesłuchanie? Ona jest teraz widmem. Zhu może zrobić cokolwiek i nikt nigdy się o tym nie dowie.

Winslow patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

–Niemożliwe – powiedział, ale Shan nie dostrzegł w jego oczach niedowierzania. Widział w nich zimną furję, strach i błysk bezradności.

Szli skrajem placu. Shan rozglądał się dookoła, zwalniając przy mijanych pojazdach, by sprawdzić w ich szybach, czy ktoś za nimi nie idzie.

–Nie możemy zostawić Somo. – Sześćdziesiąt metrów dalej, przy zaparkowanej ciężarówce stał mężczyzna ze stołówki, ten w brązowej kurtce. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne i znowu szeptał coś do swojej małej krótkofalówki. Po drugiej stronie kompleksu Shan dostrzegł dwóch innych ludzi w brązowych kurtkach, również z krótkofalówkami przy uszach, zmierzających żwawo w ich stronę. Obok nich zatrzymał się otwarty dżip. Na przednim fotelu pasażera siedział Zhu, też w okularach przeciwsłonecznych, uderzając o dłoń policyjną pałką.

–Ona ma ludzi, którzy się o nią troszczą – odparł Winslow. – Purbów.

–Przyjechała z nami – zaznaczył Shan. – Jesteśmy obserwowani. Jej przyjaciele w końcu ją odbiorą. Teraz, kiedy aresztowano Tenzina, ona nie może tu już nic działać.

Ale mylił się. Pięć minut później przez plac powoli przejechała ciężka wywrotka, ciągnąc za sobą gęstą chmurę kurzu. Skręciła

tak, że znalazła się między nimi a pogonią, po czym, zbliżywszy się do nich, zwolniła. Ktoś stał na szerokim stopniu szoferki.

–Chryste, to ona – sapnął Winslow i obaj błyskawicznie rzucili się przez obłok kurzu ku ciężarówce. Somo skinęła na nich i wskoczyli na stopień po obu stronach dziewczyny,

Shan

uczepił się bocznego lusterka, Winslow uchwytu używanego przy wchodzeniu do kabiny.

Po chwili byli znów przy rozległym parkingu nie używanego sprzętu, który mijali poprzedniej nocy. Wywrotka zwolniła i Somo gestem kazała im zeskoczyć, a następnie sama poszła w ich ślady.

–Dlaczego nie jedziemy dalej? Wracamy? – zapytał Winslow, otrzepując kurz z rękawów.

Somo wskazała na bramę, przed którą zatrzymywała się wywrotka. Stały tam dwie wojskowe ciężarówki, a po obu stronach rozstawieni byli żołnierze i kilku mężczyzn w brązowych kurtkach.

–Posterunek kontrolny. Począwszy od dziś, wszyscy przybywający i opuszczający bazę muszą zostać sprawdzeni przez wojsko. 54. Brygada Strzelców Górskich – dodała zwięźle, po czym odwróciła się i poprowadziwszy ich labiryntem maszyn, znalazła kryjówkę za opuszczonym lemieszem wielkiego spychacza. Gdy usiedli w cieniu, szybko wyjaśniła, że Larkin istotnie była w bazie w ubiegłym miesiącu, kiedy miała pracować w górach nad Yapchi, i że nie korzystała z komputera po to tylko, by przesłać kilka e-maili do swego biura w Stanach Zjednoczonych. Przez jedyny terminal w całej spółce, który miał połączenie z głównym komputerem jej firmy, dwie godziny, przypadające w amerykańskiej centrali na środek nocy, wprowadzała do komputera dane geologiczne.

–Ale dlaczego? – zdziwił się Winslow. – Nie chodzi przecież chyba o tajne złożę ropy. Ropa jest własnością spółki. Ona o tym wie. Co mogło być tak tajne? Tak pilne?

–I jeszcze coś – odezwał się Shan. – Co takiego mogłaby robić zaginiona w górach amerykańska geolog, że Zhu pragnie jej śmierci?

–Modelowanie – wyjaśniła niezbyt pewnie Somo. – To wszystko, co ktokolwiek może stwierdzić. Do tego właśnie służy wielki komputer w Stanach. Modelowanie danych geologicznych.

–Ale co, u diabła, może być tak tajne? – naciskał Winslow.– Ona pracuje dla przedsiębiorstwa naftowego. I dlaczego komputer w Stanach?

–Pytałam – odparła Somo. – Wprowadza się dane z badań sejsmicznych w terenie, a komputer na podstawie tysięcy obliczeń i danych o znanych złożach ekstrapoluje charakterystyki złóż. Ustala prawdopodobny układ struktur geologicznych. Porównuje wzorce minerałów wskaźnikowych, by zlokalizować wielkie złoża rud lub ropy. – Wzruszyła ramionami. – Niektórzy geolodzy wykorzystują komputer w większym stopniu niż inni. Larkin używała go już wcześniej, i to często. A przedsiębiorstwa naftowe są skryte. Nie chcą, żeby wszyscy wiedzieli, co znalazły – dodała.

Shan przypomniał sobie, co Jenkins mówił o Amerykance. Larkin była perfekcjonistką.

–Ale musiałyby uzyskać pozwolenie – zauważył. – Ktoś musiałby umożliwić jej dostęp.

Somo westchnęła.

–I tak, i nie. Są kody dostępu, które trzeba wprowadzić do komputera, żeby uruchomić program. Jeśli ma się kod, ma się pozwolenie.

–A Larkin miała kody.

–Larkin użyła kodów Jenkinsa. Ale on był w tym czasie w Yapchi.

–Może się na to zgodził – powiedział Winslow.

–A może nie – odrzekł Shan. Spojrzał na Somo. – Dlaczego rozmawiali z tobą tak swobodnie na temat tego komputera? Jesteś tu obca.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

–Nie dla wszystkich.

–Masz na myśli innych purbów? – zapytał Shan.

Somo nie odpowiedziała.

Ciszę rozdarł nagle warkot silnika. Obok ich kryjówki przemknął szary samochód terenowy.

–Szukają nas – powiedział Shan.

–Zbieramy się – rzucił Winslow. – Wracamy do Yapchi.

–Nie da się załatwić żadnego transportu – odparła Somo, z niespokojną miną rozglądając się po placu. – Następna ciężarówka do Yapchi pojedzie dopiero za dwa dni. A nawet wtedy wojsko będzie przy bramie.

–Musimy – powtórzył z uporem Winslow. Zniżył głos. – Musimy uchronić Melissę przed ponowną śmiercią.

Siedzieli za lemiem spychacza przeszło godzinę, słuchając warkotu terenówki jeżdżącej w tę i z powrotem po parkingu oraz

po drodze dojazdowej. Winslow wpatrywał się z roztargnieniem w czerwoną, gliniastą ziemię. Shan wyciągnął z kieszeni różaniec z kości słoniowej i obracał paciorki w palcach. Znowu minęła ich terenówka.

–Pytałam tutejszych o Tenzina – przypomniała sobie nagle Somo. – Nikt nie słyszał, żeby opat Sangchi został schwytany albo odwieziony do Lhasy. Taki wybitny lama musi być oczkiem w głowie Urzędu do spraw Wyznań. Dyrektor mojej

szkoły urządził w zeszłym roku strajk protestacyjny, próbował uciec do Indii. Złapali go, ale nie wysłali do więzienia. Trafił gdzie indziej. Dwa miesiące później znowu był w pracy. Wygłaszał przemówienia o niebezpieczeństwach reakcji i prowadził sesje krytyki przeciwko innym nauczycielom.

Shan zastanawiał się nad tym, co powiedziała.

–Myślisz, że Tenzinem mogą się zająć funkcjonariusze polityczni?

–Władze wiele w niego zainwestowały – stwierdziła Somo. – Myślę, że będą go próbowali zresocjalizować. Przeorientować. Może z pomocą lekarzy. Może z pomocą specjalnych instruktorów religijnych.

Jej rzeczowy ton zmroził Shana. Przypomniawszy sobie, jak w pustelni Gendun niepokoił się o Tenzina. Tenzin szedł na północ, ponieważ ktoś umarł. Zmarłym, Shan wiedział to już, był opat Sangchi. Ale bez względu na to, jak bardzo Tenzin starał się znaleźć nowego siebie, władze będą domagały się od niego powrotu dawnego, oswojonego opata, który wspomagał tyle ich politycznych kampanii.

Spojrzał na Somo. Zaświtał im nikły promyczek nadziei. Jeśli Lokesh i Tenzin nie zostali uwięzieni, była szansa, że uda się ich odnaleźć i uratować. Wstał i rozejrzał się po parkingu.

–Jeśli żadnej ciężarówki nie ma w planie, musimy znaleźć nieplanową – oświadczył z determinacją.

Winslow westchnął i wstał.

–Najpierw muszę się dostać na to miejsce zrzutów – powiedział, wskazując schowaną w kieszeni mapę.

–W górach nad Yapchi? – zapytała sceptycznie Somo. – Do jutra? Niemożliwe. To ponad trzysta kilometrów stąd.

Ale Winslow biegł już w stronę kompleksu.

Parę minut później szli jedną z długich alejek między

przyczepami mieszkalnymi. Dwa razy uskakiwali w cień, słysząc nadjeżdżającą ciężarówkę, i raz, kiedy nisko nad głowami przeleciał im helikopter. Było wczesne popołudnie i przyczepy świeciły pustkami. Ich lokatorzy albo pracowali, albo czekali w budynkach biurowych na przydział pracy.

Gdy Shan otworzył drzwi do przyczepy, w której spał, pomieszczenie oświetlało jedynie słońce wpadające przez małe, wysoko umieszczone okienka. Ktoś zerwał się z jednego z tylnych łóżek i pospiesznie zapinał koszulę. Był to ów przymilny młody Chińczyk, który zaprowadził Shana do stołówki. Coś poruszyło się na łóżku za jego plecami i znad prześcieradła ukazała się zaspana twarz młodej kobiety, nagiej, z rozmazanym makijażem. Na podłodze obok łóżka leżał samotny czerwony pantofelek. Była to jedna z mai xiao nu, które widzieli poprzedniej nocy w barze. Dziewczyna usiadła na łóżku, patrząc na nich z zaskakująco radosną miną, i powoli uniosła prześcieradło, żeby zakryć piersi.

Chłopak spojrzał nerwowo na Shana, jednak uspokoił się, zobaczywszy Somo.

– Jest dość miejsca dla wszystkich, brachu – oświadczył z szelmowskim uśmiechem. Ale gdy w drzwiach pojawił się Winslow, stężyła mu twarz. Zerknął niepewnie na Shana, po czym wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na Amerykanina.

– Szukam jakichś ubrań – powiedział Shan.

– Nikt nie ruszał twoich rzeczy. – Chłopak wskazał łóżko, które Shan zajmował poprzedniej nocy.

– Nic nie miałem – odparł Shan. Dopiero teraz zauważył pęk kluczy wiszący u paska chłopaka. Być może był opiekunem baraku.

– Więc zgłoś się do zaopatrzeniowca – poradził chłopak. – Znajdziesz go w... – Przerwało mu przeraźliwe zawodzenie

syreny. – Karetka do Golmudu – wyjaśnił.

–Ktoś został ranny? – zapytał Shan.

–Kierownik zaopatrzenia. Fatalny upadek. Złamał obie ręce. – Chłopak przyglądał im się podejrzliwie. – Czasami ludzie mają pecha. Powiedzą coś nie tak i nieszczęście gotowe.

A tłumaczę im przecież: nie zachowujcie się, jakby tu było inaczej z powodu tych wszystkich cudzoziemców. Jest tak samo jak wszędzie.

Shan zastanowił się nad jego słowami, po czym wymienił zaniepokojone spojrzenie z Winslowem. Ktoś w brązowej kurtce dopadł kierownika zaopatrzenia i przesłuchał go.

Prawdopodobnie, pomyślał Shan z dreszczem, sam Zhu.

–Tam są ubrania – powiedział chłopak ostrożnym tonem, jak ktoś przyzwyczajony się targować. Wskazał pozostałe łóżka i stojące między nimi szafki. – Ale ja odpowiadam za ten barak. Dostałbym za swoje, gdyby, powiedzmy, złodzieje włamali się tu pod moją nieobecność. – Zabrzmiało to jak oferta handlowa.

Shan spojrzał na swych towarzyszy. Był bez grosza przy duszy, a jego skąpy dobytek pozostał w górach nad Yapchi. Winslow zdjął z ramienia plecak, który wciąż nosił ze sobą, i zajrzał do środka. Zmarszczył brwi, uniósł wzrok i znów zerknął do plecaka. Oddał już kuchenkę i paliwo Golokowi, jedzenie dzieciom w Yapchi. Wyciągnął zgrabną lornetkę. Chłopak na jej widok wytrzeszczył oczy. Z miną gorliwego sklepikarza zawiesił ją sobie na szyi i zaczął otwierać szafki swoim kompletem kluczy.

Gdy dziesięć minut później opuścili przyczepę, wszyscy troje mieli na głowach kaski. Shan nałożył na własne ubranie brązowy, zaplamiony smarem kombinezon, Somo i Winslow zaś przebrali się w zielone kurtki spółki. Dziewczyna włożyła pod spód obszerny sweter, który poszerzył ją w ramionach, tak że z daleka mogła ujść za mężczyzną.

–Wciąż nie mamy żadnego planu – poskarżyła się. – Powinnam wrócić do biura. Może uda mi się coś namieszać w komputerze.

–Nie – odparł konspiracyjnym tonem Winslow. – Tym razem zrobimy to w kowbojskim stylu.

Amerykanin poprowadził ich między przyczepami na drugą stronę kompleksu, ku małemu hangarowi, przed którym stały dwa wielkie helikoptery. Do jednej z maszyn ładowano właśnie skrzynie z zaopatrzeniem. Zaledwie po pięciu minutach śmigłowiec został załadowany i z budynku wyszedł wielkimi krokami

szczupły mężczyzna w obcistej, czerwonej kurtce, czapeczce baseballowej i ciemnych okularach. Winslow wskazał stos małych kartonowych pudeł. Wzięli po jednym i ruszyli w stronę helikoptera, gdy mężczyzna, rzuciwszy przez ramię niedopałek papierosa, otworzył drzwi od strony pilota.

–Powiedzieli, że załadowali już wszystko – zaprotestował, przyglądając im się ze zniecierpliwieniem.

–I prawda – odparł Winslow. Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi ładunkowe i wszedł do kabiny, wciągając za sobą Shana i Somo, po czym zatrzasnął drzwi. Kowbojski styl, pomyślał z zażenowaniem Shan.

Pilot westchnął, jakby był przyzwyczajony do takich wygłupów.

–Przykro mi, na dzisiaj nie mam w planach żadnych pasażerów. Za często dostaję ochrzan od personalnych za wożenie ludzi bez papierów. – Zamknął drzwi kabiny i zaczął pstrykać przełącznikami na górnej tablicy przyrządów.

–Dokąd lecisz? – zapytał Winslow.

–Obóz dziewiąty. Południowy zachód. Ekipa brytyjska.

–Świetnie się składa – odparł pogodnie Winslow. – My też

wybieramy się na południowy zachód. W okolicy Yapchi.

–Nie Yapchi. Nie dzisiaj. Do Yapchi lecę jutro. – Zdawało się, że obecność nieznajomych w helikopterze nie robi na pilocie najmniejszego wrażenia, Shan spostrzegł jednak, że jego dłoń wędruje ku mikrofonowi na tablicy sterowniczej. Pod hangarem, plecami do maszyny, stało dwóch mężczyzn w brązowych kurtkach ochroniarzy. Silnik zaczął wyc na rozruchu.

–Zmiana planów – oświadczył Winslow.

Pilot obejrzał się za siebie i westchnął, unosząc mikrofon.

–Przykro mi, muszę startować. Chcecie do Yapchi, skontaktujcie się z personalnym, żeby wypełnił papiery. Lecę zaraz po śniadaniu. – Dotknął przełącznika mikrofonu, który odpowiedział trzaskiem.

–Ale to nagły wypadek – odparł Winslow, nie przestając się uśmiechać.

–Nie wydaje mi się – odpalił pilot ze zniecierpliwieniem i uniósł mikrofon do ust.

–W imieniu rządu Stanów Zjednoczonych rekwiruję ten helikopter – oświadczył Winslow surowym głosem. Wyciągnął z plecaka swój paszport i uniósł go. Pilot opuścił mikrofon.

–Świetny kawał – mruknął, wzruszając ramionami. – Lubię Amerykanów, więc grzecznie wysiądźcie i nikt się o niczym nie dowie. Jeśli wezwę ochronę, będzie źle. Trzeba będzie spisać raport. Ochrona – dodał wolno, przyglądając im się uważniej – już i tak jest o coś nieźle wkurzona.

Winslow wyciągnął mapę i pokazał współrzędne, trzymając paszport w rogu mapy.

–Taką szybką trzepaczką jak ta nie stracisz wiele czasu, jeśli trochę zmienisz kurs.

Pilot spojrzał na paszport, zmarszczył brwi i znów podniósł mikrofon.

Winslow zatrzymał jego rękę.

–Posłuchaj mnie – powiedział po angielsku. – Komuś grozi śmierć.

–Otóż to – odparł pilot.

Odsunął się od Amerykanina, kładąc dłoń na klamce drzwi.

Winslow westchnął i przysiadł na piętach, spoglądając na swój plecak. Shan ze zgrozą przypomniał sobie, że Amerykanin ma pistolet Lina.

Winslow zerknął na Shana, po czym wyciągnął paszport do pilota.

–Jestem amerykańskim dyplomata... spójrz. – Otworzył paszport na stronie ze zdjęciem. – W Pekinie, w ambasadzie, ostrzegają nas przed kieszonkowcami, bo amerykańskie paszporty dyplomatyczne są w cenie na chińskim czarnym rynku. Szmuglerzy płacą za nie fortunę. Dobry paszport ambasady ważny jeszcze przez pięć czy sześć lat może pójść za dziesięć tysięcy dolców.

Pilot puścił klamkę. Sięgnął po paszport i przyjrzał mu się uważnie.

–Na moim jest jeszcze siedem lat – dodał Winslow. – Kiedy wrócę do biura, powiem po prostu, że mi go skradziono, i wydadzą mi nowy.

–Wtedy unieważnią ten – rzucił w odpowiedzi pilot.

–To nie ma wpływu na jego wartość. Kupcy z czarnego rynku wiedzą, że można mimo wszystko wykorzystać go wszędzie, gdzie nie ma zautomatyzowanych systemów odprawy celnej, posterunków granicznych połączonych komputerowo z centralnym archiwum. Co oznacza osiemdziesiąt procent świata.

Pilot przez chwilę przyglądał się każdemu z nich po kolei, wreszcie uśmiechnął się, włożył paszport do kieszeni i puścił w ruch łopaty wirnika.

„W chwili śmierci będziesz odczuwał wielki pęd, jakby porwał cię silny wiatr, a świat będzie unosił się wokół ciebie”. Słowa rytuału pośmiertnego rozbrzmiewały echem w głosie Shana, gdy helikopter mknął nad surową, suchą ziemią. Nałożywszy na uszy słuchawki, które wisiały na oparciu przedniego fotela, Shan nachylił się do małego okienka i wycofał się głęboko w swoje wnętrze. Teraz po prostu doświadczał pędu przesuwającego się w dole świata. Lot helikopterem mógłby być ćwiczeniem medytacyjnym, pomyślał, pomagającym zrozumieć, jak rozległy i jak przemijający jest świat.

Pilot nie protestował, kiedy Winslow go poprosił, żeby ominął główny obóz w Yapchi od zachodu i leciał nisko, aby go nie widziano. Nie chciał, uświadomił sobie Shan, by ktokolwiek wiedział, że oddalił się od wyznaczonej trasy, która tak czy inaczej biegłaby na zachód od Yapchi. Gdy zbliżali się do celu, pilot prowadził helikopter nisko nad górami, trzymając się ich zarysów, aż nagle Shan uświadomił sobie, że są w zawisie. Winslow i pilot, zerkając na mapę, wskazywali widoczną tuż pod granią polanę. Potem niespodziewanie maszyna pochyliła się do przodu, przeleciała sto metrów, wyprostowała się i opadła. Wylądowali twardo. Winslow gwałtownie otworzył drzwi i wyskoczyli. Pilot żartobliwie im zasalutował, rozejrzał się po niegościnnym terenie, po czym przypatrzył się uważnie stojącym obok śmigłowca postaciom. Rozpiął pasy bezpieczeństwa i pogmerał w ładowni. Po chwili zaczął wyrzucać przez drzwi różne przedmioty. Dwa koce, apteczkę, kamizelkę puchową i, na koniec, torebkę amerykańskich chipsów.

Parę sekund później maszyna zniknęła. Zostali sami, smagani wiatrem, na wysokogórskiej polanie. Winslow podał kamizelkę

Somo, Shan zaś zebrał pozostałe przedmioty w jeden z kocy,

związał go i zarzucił sobie na ramię, a następnie podbiegł do najbliższej skały. Na otwartym terenie czuł się dziwnie nieswojo.

–Ty chcesz znaleźć pannę Larkin – odezwał się do Amerykanina, gdy Winslow go dogonił. – Somo i ja chcemy znaleźć purbów. Myślę, że będą w tym samym miejscu.

–Skąd możesz wiedzieć? – zapytał Amerykanin. – Chryste, u ciebie wszystko jest konspiracją.

Shan westchnął.

–W helikopterze coś sobie uświadomiłem. Kiedy Somo powiedziała, do czego Larkin wykorzystywała komputer, zapytałem, dlaczego ktokolwiek zgodził się z nią o tym rozmawiać. To było niewłaściwe pytanie. Powinienem był zapytać, skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, co robiła Larkin, jeśli zrobiła aż tyle, by utrzymać to w sekrecie. Odpowiedź może być tylko jedna. Dlatego, że ona była z purbami, dlatego, że purbowie z jakiegoś powodu z nią współpracują. To tłumaczy, dlaczego Zhu jest nią tak zainteresowany. Cudzoziemka wspomagająca ruch oporu to byłoby dla władz... – urwał w pół zdania.

Winslow uśmiechał się do niego.

Somo niechętnie wzruszyła ramionami, ale wolno pokiwała głową, gdy obaj spojrzeli na nią pytająco.

–Nie znam żadnych szczegółów – powiedziała. – To inne zadanie, inna ekipa. Nie zachowalibyśmy niczego w tajemnicy, gdyby każdy wiedział, co robią inni.

Shan skinął głową.

–Rzeki – powiedział. – Wiemy, że ona znakuje rzeki. Wiemy, że Tybetańczycy noszą gdzieś butelki wody z rzek. – Poprosił Winslowa o mapę i przeciągnął palcem po niebieskich, rozbiegających się promieniście z gór liniach. Wspiął się na skałę. Widać było stąd dwie rzeczutki wypływające z wąskich

kanionów. Jedna kierowała się na zachód, druga na południe.

–Ona ma być tu jutro – zauważył Winslow. – Ale jeszcze jej nie ma. I mało prawdopodobne, by szła całą noc przez góry. Więc przyjmijmy, że jest teraz nie więcej niż o pół dnia drogi stąd. – Zakreślił palcem koło na mapie. – Ale na zachodzie byłaby poza koncesją Yapchi – dodał.

Podniebne narodziny – powiedział po chwili. – Ten człowiek niosący butelkę wody dla Zielonej Tary mówił coś o podniebnych narodzinach. – Zmarszczył brwi, rozglądając się po horyzoncie.

Nagle Shan uniósł wzrok i pokazał palcem główny szczyt góry Yapchi.

–Wiemy, gdzie rodzi się niebo – oświadczył z uśmiechem.

Szli od trzech godzin, coraz bardziej powątpiewając, czy znajdą miejsce, którego szukają, gdy nagle w dole pojawił się jakiś tybetański chłopak biegnący ścieżką przecinającą poziomo zbocze, z którego schodzili. Nie miał żadnego pakunku, nie miał nawet ciepłego płaszcza, ale ścisnął coś w dłoni. Shan spojrzał na Winslowa, który krzywiąc się z bólu, masował sobie skronie, a potem na Somo. Dziewczyna uśmiechnęła się, zaciągnęła sznurowadła, chwyciła torebkę chipsów i popędziła w dół zbocza.

Winslow zażył dwie tabletki na chorobę wysokościową. Obaj z Shanem przyglądali się, jak biegaczka goni chłopca, jednak gdy dzieliło ją od niego jeszcze dwieście metrów, chłopak zniknął im z oczu za wyniosłością terenu. Gdy wspięli się na nią, Amerykanin wydał okrzyk radości, jedno ze swych dziwnych kowbojskich pohukiwań. Somo siedziała z chłopcem trzysta metrów od nich. Zbliżywszy się, zobaczyli, że mały Tybetańczyk, pakując sobie chipsy do ust, swobodnie rozmawia z dziewczyną. Nim jednak podeszli na tyle, żeby móc słyszeć, co mówi, chłopiec wstał, pomachał im radośnie i ruszył dalej.

–On miał butelkę wody – powiedziała Somo. – Jedynie małą

butelkę wody, dla Zielonej Tary.

Ruszyli ścieżką, którą biegł chłopiec, aż wreszcie, na godzinę przed zmrokiem, Somo, zaniepokojona, uniosła dłoń. Od wznoszącej się przed nimi góry odbijał się echem jakiś nieustający huk. Shan dał jej znak, by szła dalej, i pięć minut później stanęli na odsłoniętej półce skalnej. Huk dobiegał gdzieś z dołu. Shan wskazał wąziutką linię cienia na litej skalnej ścianie przed nimi.

–To ta przeklęta kozia ścieżka – mruknął Winslow. – Ta, którą Chemi prowadziła nas do Yapchi. – Stali na skraju Ukształtnego, wypełnionego mgłą przepastnego wąwozu, który Chemi przed tygodniem pokazała im z góry, miejsca narodzin chmur.

Somo wskazała coś ręką. Po drugiej stronie, daleko w dole, znów widać było chłopca, który schodził we mgłę spiralną ścieżką. Pół godziny później, w gęstniejącym zmierzchu, byli już na ścieżce, na skraju mgły. Zmierzali w stronę huku, ostrożnie przywierając do ścian, gdy szukali oparcia dla stóp na śliskich kamieniach. Co powiedziała Chemi o tym miejscu? Niektórzy twierdzą, że żyje tu demon.

–Nie będziemy mogli wspiąć się z powrotem po ciemku – ostrzegł Winslow, znowu masując sobie skronie.

Shan niepewnie patrzył na zdradliwy szlak.

–Ten chłopiec nie wrócił – oświadczył i wszedł w mgłę.

Po kilku minutach mgła zaczęła rzednieć i zobaczyli przed sobą kłębiącą się masę wody, wąską, rwącą rzekę, która opadała gwałtownie w rozpadlinę, gdzie kotłowała się we wściekłym wirze. Nie było żadnego ujścia. Woda nie opuszczała wąwozu, jeśli nie liczyć ulatujących w niebo chmurek, które widzieli z góry.

Somo wpatrywała się w niezwykle zjawisko szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma.

–To, co mówią, może być prawdą – niemal wyszeptała.

Chodziło jej zapewne o to, jak się domyślał Shan, że to niesamowite, budzące grozę miejsce istotnie może stanowić schronienie demona. Walczył z pokusą, żeby znów cofnąć się w mgłę,

ukryć się w chmurach.

Nagle przez huk wody przebił się ostry trzask i obok Shana rozprysnął się kawałek skalnej ściany. Chwilę później otworzyła się dziura w kamieniu obok Winslowa i przenikliwie zajęczała rykoszetująca kula. Ktoś do nich strzelał.

Rozdział piętnasty

Winslow opadł na kolana, wskazując widoczną w dole jamę w ścianie wąwozu. Z cienia sterczała lufa karabinu. Klnąc pod nosem, Amerykanin zaczął mocować się ze swym plecakiem. Shan, przypomniawszy sobie nagle, że Winslow wciąż trzyma tam pistolet Lina, odtrącił jego rękę.

Somo zdjęła zieloną kurtkę.

–Lha gyal lo! – wykrzyknęła, unosząc wysoko jedną rękę, a drugą demonstracyjnie zaciskając na gau.

Z cienia wypadł nieznajomy Tybetańczyk, wymachując długim karabinem. Przyjrzał się im, powitał Somo, gniewnie marszcząc brwi, po czym ruchem lufy przywołał ich do siebie. Shan, schodząc stromą ścieżką, spostrzegł, że jama jest w rzeczywistości sporym zagłębieniem w ścianie urwiska, wysokim na trzy metry i szerokim na dziewięć, najwyraźniej wyżłobionym dawno temu przez wody rzeki. Nieznajomy zaczekał na nich, wymienił szeptem parę słów z Somo, po czym poprowadził ich ku plamie głębokiego cienia, która okazała się grubym kocem wiszącym na wkliniwanej w skałę belce.

Ruszyli krótkim korytarzem, przeszli pod kolejnym wiszącym kocem i nagle znaleźli się w wysokiej, szerokiej na jakieś

dwanaście metrów pieczarze oświetlonej przez kilka jasnych lamp gazowych.

Chłopiec, którego widzieli na stoku, siedział przy wejściu, wytrzeszczając oczy na to, co się dzieje w jaskini. Młody purba, którego Shan widział z Tenzinem, i inny mężczyzna w podobnym wieku pochylali się nad mapą rozpostartą na płaskim głazie. Na stole, skleconym z długich desek wspartych na dwóch stosach kamieni, leżał przenośny komputer, na którego ekranie Shan zobaczył coś, co wyglądało na trójwymiarowy wielobarwny przekrój góry. Z tyłu pod ścianą stało kilka karabinów. W głębi, za komputerem, siedzieli przy mikroskopach dwaj Tybetańczycy w średnim wieku. Ktoś trzeci, ubrany w zieloną kurtkę, pochylał się nad stojakiem z probówkami, bazgrząc coś w notatniku na spirali.

Winslow zatrzymał się i cicho zakasłał. Postać w zieleni wyprostowała się i odwróciła powoli. Była to kobieta o kręcących się rozczochranych rudawoblond włosach splecionych z tyłu w krótki warkocz. Otworzyła usta, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale tylko wpatrywała się w Amerykanina ze zdumieniem w zielonych oczach.

–Doktor Larkin, jak sądzę – powiedział cicho Winslow po angielsku. Po raz pierwszy, odkąd Shan go znał, zdawało się, że Amerykaninowi zabrakło słów. Po prostu stał, wpatrując się w kobietę z nieśmiałym uśmiechem. Była niższa od niego, choć niewiele, i być może o dziesięć lat młodsza. Gdyby nie piegi pstrzące jej wydatne kości policzkowe, można by powiedzieć, że ma szlachetną twarz.

Kobieta zerknęła z irytacją na dwóch Tybetańczyków pochylonych nad mapą, potem na stojącego przy wejściu wartownika.

–Pan musi być tym człowiekiem z ambasady – odezwała się

po angielsku. Patrzyła na Winslowa nieco osobliwie, jakby było w nim coś, co wprawiało ją w zakłopotanie. – Tym, którego

Tybetańczycy nazywają kowbojem. Mówili mi, że pan odjechał.

– Tak było – przyznał Winslow, wciąż się uśmiechając. – Ale wróciłem. Żeby panią ostrzec – dodał po chwili.

Melissa Larkin zmarszczyła brwi i znów zerknęła na mężczyzn przy mapie.

– Nic nam nie zagraża – odparła. – Towarzysz Zhu był uprzejmy uznać mnie już za zmarłą.

– Tylko po to, żeby oczyścić sobie pole – oświadczył Winslow. – Towarzysz Zhu zamierza uśmiercić panią po raz drugi – dodał i przeszedłszy na tybetański, wyjaśnił, czego dowiedział się w Golmudzie.

Amerykanka słuchała go w milczeniu. Nie odrywając od niego wzroku, napełniła trzy kubki czarną herbatą. Jeden ze ślęczących nad mapą mężczyzn zerwał się i skoczywszy pod tylną

ścianę, wrócił z karabinem, jakich używała armia, po czym zniknął za zasłaniającym wejście kocem.

– Pułapka? – zapytała niedowierzająco Larkin. – To brzmi trochę melodramatycznie.

– Pracuję w Chinach przeszło pięć lat – odparł Winslow. – A pani spędziła w Chinach i w Tybecie niemal tyle samo czasu. W co pani nie wierzy? Że spółka spisała panią na straty? Że Chińczycy chcieliby odwieść panią od współpracy z pewnymi Tybetańczykami? Że towarzysz Zhu poświęci się i wróci w góry, zamiast po prostu przysłać tu wojsko? Wszyscy inni mogą sądzić, że pani nie żyje. Zhu wie lepiej, ponieważ sam to zaplanował, ponieważ okłamał mnie, okłamał Jenkinsa, okłamał wszystkich po to, żebyśmy tak właśnie myśleli.

Larkin uśmiechnęła się, jakby rozbawiło ją to, co powiedział. Po obu stronach ust pojawiły jej się przy tym małe zagłębienia. Shan próbował przypomnieć sobie ich angielską nazwę. Dołączki. Amerykanka gestem skierowała Somo ku wciąż schylonemu nad mapą mężczyźnie i podeszła do purbów, z którymi wymieniła cicho kilka zdań.

Shan wpatrywał się w komputer i stojak z próbkami. Na stole leżała jeszcze jedna mapa tych okolic, na którą naniesiono grube linie w kilku jaskrawych barwach. Podeszedł bliżej i przyjrzał się jej. Na końcu każdej linii widniał numer. Jeden, dwa, trzy, aż do sześciu. Uniósł wzrok i o metr od siebie ujrzał utkwione w nim zielone oczy kobiety w zielonej kurtce.

–Pani jest Zieloną Tarą – zaryzykował. – To pani przynoszą wodę.

–Nie ja wymyśliłam ten przydomek. To krępujące – odparła Larkin.

–Bogini opiekuńcza – Winslow znów się uśmiechał.

Wydawało się, że nie może przestać. Przyjechał do Tybetu po zwłoki, a odnalazł żywą kobietę.

Shan spostrzegł na mapie jeszcze jedną linię, opisaną siódmką, wykreśloną na stoku góry wznoszącej się nad ich pieczarą. Miała jedynie dwa centymetry, a dalej przechodziła w pięciocentymetrową czerwoną linię przerywaną.

–Wykreśla pani biegi rzek – zauważył zaskoczony. Pod tylną ścianą pieczary wypatrzył kilka długich plastikowych tub z jaskrawym proszkiem. – Barwi pani ich wody. Ale rzeki są już oznaczone na mapach. Więc po co?

–Nie wszystkie są na mapach – wyjaśniła Amerykanka. – Nie ta. Nie rzeka Yapchi.

–Yapchi?

–Tak ją nazywamy.

–Co górską rzekę ma wspólnego z ropą?

Larkin westchnęła.

–Czy pan wie, jak wiele geologicznych zagadek kryje się jeszcze na świecie? Mam na myśli wielkie niewiadome. Sto pięćdziesiąt lat temu nieznane były wciąż źródła wielu głównych rzek. Nie wyznaczono jeszcze granic płyt tektonicznych, ani nawet nie podejrzewano, że istnieją. Wiele spośród najwyższych szczytów świata czekało dopiero na odkrycie. Rozległe obszary wymagały naniesienia na mapy. Dzisiaj, poza dnem oceanów, co pozostało? Nie liczyłam na to, że kiedykolwiek w swej karierze zaznam smaku czegoś tak podniecającego. Ale potem przyjechałam do Yapchi. – Jej spojrzenie powędrowało ku Somo i pozostałym purbom, wciąż rozmawiającym ściszonymi głosami. – Po czterech dniach spędzonych na tej górze wiedziałam, że coś jest nie tak. Spływało z niej za mało wody w stosunku do wielkości pokrywy śnieżnej i rozmiarów działu wodnego.

–Chce pani powiedzieć, że odkryła pani tę rzekę? Ale to nie jest rzeka. To znaczy...

–Jest i nie jest. To ukryta rzeka. Pogrzebana. Woda pędzi stokiem przez pięć kilometrów i wali się do tego wąwozu. To dziwne miejsce, pomyślałam w pierwszej chwili. Anomalia terenowa, być może jakiś chwilowy układ, który wystąpił w tym roku z powodu kamiennej lawiny, która zeszła gdzieś wyżej i zablokowała normalne koryto. Natura nie posyła rzek w ślepe wąwozy.

–To znaczy, że ona spływa tu pod ziemię? – domyślił się Shan. – Nowy element do naniesienia na mapy tych stron.

–Jak górny bieg Tsangpo. – Winslow gwizdnął cicho. – Będzie pani sławna – dodał z nutą szacunku.

Larkin, zaskoczona jego znajomością rzeczy, z uznaniem pochyliła głowę. Parę lat wcześniej ekipa amerykańskich badaczy

zdobyła międzynarodową sławę, gdy przedarła się przez zdradliwy,

nie oznaczony na mapach wąwóz w Tybecie i znalazła piękny wodospad, o którym wspominały tybetańskie mity.

–Ale dlaczego Zhu miałby panią za to nienawidzić?

Larkin spojrzała na mężczyznę rozmawiającego z Somo, a potem na dwóch Tybetańczyków w średnim wieku, którzy wciąż pochylali się nad mikroskopami, od czasu do czasu prostując się, by małym kroplomierzem zaczerpnąć wody z probówek.

–On nie lubi moich pomocników.

Shan spojrzał na nich. Nie byli purbami, a w każdym razie nie takimi jak purbowie, których znał. Wyglądali raczej na uczonych. Podeszła do niego Somo.

–To przyjaciele – szepnęła znacząco, dając do zrozumienia, że nikt nie poda ich nazwisk.

–Pekin będzie wściekły – dodała Larkin. Oczy rozbłysły jej podnieceniem. – To odkrycie zostanie ogłoszone za granicą i przypisane Tybetańczykom. A gdyby się okazało, że ta rzeka wynurza się na północ od gór, oznaczałoby to, że znaleźliśmy nowe źródła.

Wszyscy Tybetańczycy uśmiechnęli się do Shana. Larkin mówiła, że krótka rzeka, którą odkryli, może się okazać początkowym odcinkiem Jangcy, największej rzeki Chin, o czym doniosą i co udowodnią Tybetańczycy. Pekin będzie wściekły. Pekin dostanie apopleksji. Tym razem także Shan rozciągnął usta w uśmiechu.

Następnego dnia godzinę po świcie dotarli na polanę, gdzie dzień wcześniej helikopter wysadził Shana, Winslowa i Somo. Długie promienie słońca padały poziomo na smagany wiatrem grzbiet. Dostawa jeszcze nie przybyła. Dwaj purbowie, którzy poprzedniego dnia ślęczeli nad mapą, chyłkiem rozeszli się w

przeciwne strony, okrążając strefę lądowania. Larkin nie przyjęła do wiadomości, że Zhu ma wobec niej złe zamiary, ale zgodziła się przyjść z samego rana na lądowisko i rozbawiona wysłuchiwała sugestii Winslowa, że łatwo mogą się przekonać o intencjach dyrektora. Jeśli Zhu istotnie zamierza wyrządzić Larkin krzywdę, nie przyleci helikopterem wraz z dostawami, po pierwsze, aby jej nie spłoszyć, a po drugie – dlatego, że nie będzie chciał mieć pilota

za świadka. Każe się wysadzić może kilometr dalej i zaczeka, aż skończy się wyładunek. Purbowie mieli obserwować ścieżkę prowadzącą do najbliższej polany, skąd należałoby oczekiwać nadejścia Zhu, a Winslow – przygotować wabik.

–Bądźcie ostrożni. Miejcie oczy szeroko otwarte – ostrzegła Somo dwóch wartowników, zanim pobiegli na swój posterunek. – Nie wiemy, gdzie się zaczaili.

Shan jeszcze raz rozejrzył się po surowej okolicy. Dziewczyna miała na myśli widmowych pałkarzy Tuana.

Larkin przyglądała się temu wszystkiemu z uśmiechem, gdy ukryci wśród skał obserwowali polanę. Wydawała się poruszona tym, że Winslow zadał sobie tak dużo trudu, by ją odnaleźć, ale choć tego nie powiedziała, jasne było, iż jest przekonana, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. A jednak dwoje Amerykanów poczuło do siebie sympatię. Poprzedniego dnia wspólnie przygotowywali kolację, a tego ranka szli ścieżką obok siebie, dzieląc się opowieściami o kraju oraz o bezmyślnych biurokratach i swych tybetańskich doświadczeniach. Niekiedy wybuchali cichym śmiechem, czasem przystawali, żeby popatrzeć na krążącego w górze jastrzębia.

Po godzinie czatowania wśród skał Larkin demonstracyjnie ziewnęła, rzuciła Winslowowi zniecierpliwione spojrzenie, po czym wyciągnęła notatnik i zaczęła przeglądać swoje zapiski.

Somo sprawiała wrażenie zaniepokojonej. W końcu zerknęła nerwowo ku skałom po drugiej stronie łądowiska, gdzie trzymało straż dwóch purbów, i odwróciła się do Shana.

–Oni nie chcieli, żebym ci mówiła. Nie znają cię, twierdzą, że to nie nasza sprawa. Ale musisz wiedzieć. Chodzi o te butelki z wodą dla Zielonej Tary. Czasami przychodzą w nich wiadomości.

–Ściśle tajne – wtrąciła ostrzegawczym tonem Larkin.

–Niektóre dotyczą ruchów pałkarzy i wojska. I krzykaczy. Lokesha i Tenzina nie ma w Yapchi. Ale w ciągu ostatnich dwóch dni żadnego z nich nie przewieziono ani na południe do Amdo, ani na północ do Wenquan – oznajmiła Somo. – I żaden helikopter nie wylądował w Yapchi, ani w ogóle nigdzie w promieniu trzydziestu kilometrów od doliny.

Winslow, z zaintrygowaną miną, rozłożył swoją mapę i podsunął ją Shanowi. Wenquan było najbardziej na południe położonym miastem w Qinghai, Amdo zaś pierwszym miastem na drodze do Lhasy.

–Nie zabrano ich tam, gdzie się spodziewaliśmy – ciągnęła Somo cichym, pospiesznym głosem. – Ani do któregoś z więzień, ani do Lhasy, ani na lotnisko, żeby ich odesłać do jakiegoś obozu pracy. Ani do żadnego znanego nam ośrodka reedukacji. – Z mapy wynikało, że na odcinku szosy łączącej Wenquan i Amdo nie ma nic poza krótką cienką szarą linią dochodzącą do niej od zachodu. – Pozostało tylko jedno miejsce – oświadczyła, wskazując koniec linii. – Gompa Norbu.

To nie miało sensu. Ale jeszcze mniej sensu miałyby dla krzykaczy i żołnierzy trzymanie więźniów w Yapchi, a żołnierze z pewnością wiedzieli o Norbu. Shan poczuł, że zaschło mu w ustach, gdy przypomniał sobie polityczne hasła na ścianach gompy, niepokojący wygląd mężczyzn w białych koszulach i drapieżne spojrzenie prezesa Khodraka.

–I jest coś jeszcze, coś, co zbiło wszystkich z tropu. W Yapchi wybuchł spór między krzykaczami i żołnierzami. Wieczorem tego dnia, kiedy zabrano Tenzina i Lokesha, Tuan kłócił się z jednym z oficerów Lina, a następnego dnia rano zniknął ze wszystkimi swoimi ludźmi.

Nagle z grani rozległ się gwizd. W polu widzenia pojawił się helikopter, ta sama zgrabna maszyna, którą przylecieli tu poprzedniego dnia. Po chwili wylądował i dwoje ludzi zaczęło wylądowywać małe kartony i nylonowe worki. Trwało to niecałe pięć minut. Na koniec wbili w ziemię wysoki palik z pomarańczową chorągiewką i wskoczyli z powrotem do kabiny. Wkrótce po maszynie nie było śladu.

Winslow i Somo zerwali się na nogi i ruszyli ku dostawie.

–Potrzebuję tych rzeczy! – krzyknęła za nimi Larkin. Westchnęła i znów oparłszy się o skałę, zajęła się swoimi notatkami.

Dziesięć minut później Winslow i Somo wrócili. Dwaj trzymający straż purbowie dali znak, że ktoś się zbliża, i zaczęli się przekradać ku reszcie skrajem lądowiska. Kartony i worki wciąż leżały na środku placyku, teraz jednak stały przy nich dwie postacie w zielonych kombinezonach i kaskach, które Shan i Somo

przywieźli z Golmudu. Były to kukły, wypchane kocami z dostawy, jedna podtrzymywana palikiem, druga oparta o kartony. Winslow wetknął pod kask jednej z nich zwitek brązowej trawy, który miał udawać warkocz. Zielone postacie były lekko pochylone, jakby czytały właśnie spis towarów, odwrócone plecami do ścieżki, którą obserwowali purbowie.

–Pół godziny – rzuciła zniecierpliwiona Larkin, kiedy purbowie wrócili. – Pół godziny i idę po swoje rzeczy.

Ale minęło zaledwie pięć minut, gdy jeden z purbów pstryknął

palcami, wskazując na północ. Shan odważył się wyrzeć zza skały. U wylotu ścieżki pojawiło się trzech ludzi. Biegli pochyleni, szukając kryjówek.

– Ten głupek Zhu chce pewnie zwędzić coś z moich zapasów – piekliła się Larkin. – Sukinsyn musi je sprzedawać na...

Przerwał jej przyprawiający o mdłości trzask dalekosiężnego karabinu. Wystrzał powtórzył się jeszcze dwukrotnie i purbowie, bladzi jak płótno, odciągnęli Larkin na drugą stronę grzbietu.

Shan znowu wystawił głowę zza skały. Kukły leżały rozciągnięte na kartonach i workach, jeden z kasków był roztrzaskany na kawałki. A z przeciwnej strony polany nadchodził dyrektor Zhu, z długolufym myśliwskim karabinem na ramieniu. Kroczył rażno, jakby szedł po zdobycz.

Nie ośmielili się wrócić tą samą ścieżką do wąwozu, gdyż na długim, odkrytym zboczach stanowiliby łatwy cel dla dalekosiężnej broni. Shan sprowadził ich w dół, na szlak biegnący drugą stroną góry. Po godzinie znaleźli się na Skale Mieszania.

Nyma, siedząca na głazie przy ukrytym wejściu, wykrzyknęła radośnie i rzuciła się, by ich przywitać. Gdy jednak do nich podbiegła, nagle przystanęła, spoglądając niepewnie na towarzyszy Shana. Przyjrzała się Melissie Larkin i odwróciwszy się do Winslowa, porozumiewawczo skinęła mu głową.

– Tak naprawdę nigdy nie wierzyłeś, że ona nie żyje – stwierdziła z powagą. – Wiedziałam o tym, ale nie chciałam nic mówić, żeby nie zapeszyć.

Larkin uśmiechnęła się nieśmiało. Była wstrząśnięta tym, co zrobił Zhu. Shan domyślał się, że zakładała, iż powróci do spółki, gdy jej praca z purbami dobiegnie końca. Teraz wiedziała, że dyrektor do spraw projektów specjalnych wolałby widzieć ją martwą.

Shan szybko przedstawił Lhandra i jego rodziców, jedyne

osoby, które zastali w zasypanej chacie. Lamy uzdrowiciela nie było nigdzie widać. Naczelnik i jego matka podali herbatę, a Shan opowiadał, co spotkało Tenzina i Lokesha oraz kim okazał się Tenzin. Później znalazł na dworze Anyę i Lina. Siedzieli na kocu pod starym sękatym jałowcem, rozmawiając i wskazując palcami chmury. Obok nich stała miska kulek zimnej tsampy. Wyglądało to jak piknik. Zatrzymał się piętnaście metrów od nich. Nie zauważyli go. Pułkownik złożył ręce, a dziewczyna oplatała mu palce nitką, tworząc skomplikowany wzór. Z gardła Lina wydobywał się dziwny dźwięk. Wydawało się, że stęka z bólu. Shan podszedł bliżej. Nie, to nie było to. Pułkownik się śmiał.

Gdy Shan zbliżył się do nich, dziewczyna właśnie skończyła swe dzieło. Spojrzała wyczekująco na Lina, po czym pociągnęła jeden koniec nitki i cała nicianska kompozycja się rozpadła. Lin znów się roześmiał. Shan stanął przy nich. Oboje unieśli wzrok, zaskoczeni. Pułkownik zmarszczył brwi i mruknął pod nosem coś, co brzmiało jak przekleństwo. Anya poklepała koc obok siebie i Shan usiadł.

Milczeli. Dziewczyna podsunęła Shanowi miskę tsampy, po czym pokazała wielkiego drapieżnego ptaka, sępa szybującego nad jednym z ciągnących się w dole długich grzbietów. Shan spojrzał na południe. Gdzieś w zalegającej nad horyzontem mgłę leżało Norbu. Lin wskazał stadko gęsi lecących w stronę Lamtso. Kiedyś, przypomniał sobie Shan, pułkownik strzelał do takich gęsi z karabinu.

Nagle podmuch wiatru porwał z koca kłębek nici i poniósł go dziesięć metrów dalej, między skały. Anya zerwała się i pobiegła po niego.

–Oni zabrali moich przyjaciół – powiedział cicho Shan.

–Tego starego i tego wysokiego, który twierdzi, że nazywa się Tenzin – rzekł Lin. Nie było to pytanie, brzmiało to tak, jakby

pułkownik wiedział, że do tego dojdzie.

–Tenzin to opat Sangchi, ten, który zniknął.

–Uciekł – warknął Lin. – Tak właśnie robią złodzieje. Nie obchodzi mnie, jak nazywają go inni. On jest złodziejem. Okradł mnie. – Spojrzał na Shana spod zmarszczonych brwi. – Oni nigdy nie zgodzą się na wymianę zakładników.

–Nie – odparł wolno Shan. Przez chwilę wpatrywał się w oficera, stopniowo uświadamiając sobie, co miał na myśli. – Nie jesteście zakładnikiem, pułkowniku. Nie więzimy was.

Lin z wyraźnym bólem odwrócił głowę.

–Mówicie tak, bo wiecie, że nie mogę odejść – zauważył, krzywiąc usta. – Już po paru krokach kręci mi się w głowie. Ta dziewczyna mi pomaga.

–Zawdzięczacie jej życie. Gdyby nie ona, nikt nie wykopałby was spod tych skał. Moglibyście przynajmniej używać jej imienia.

–Mówią na nią Anya – powiedział Lin sztywnym, urażonym tonem.

–Moi przyjaciele zostali ujęci, bo poszli szukać dla was lekarstwa.

Lin prychnął, a jego usta wygięły się w chłodnym uśmiechu, jakby ta nowina go ucieszyła. Anya w dalszym ciągu ścigała nici po stoku. Często się potykała.

–Gdybyście ich poprosili, żeby poszli po to lekarstwo, żeby wrócili do doliny, w której czekali na nich wasi żołnierze –

powiedział z naciskiem Shan – zrobiliby to mimo wszystko.

Lin spojrzał na niego spod zmrużonych powiek, krzywiąc się, jakby ugryzł coś kwaśnego. Nic nie powiedział, a jego wzrok powędrował ku Anyi, która wyglądała w tej chwili jak bawiące się dziecko. Długo patrzyli na nią w milczeniu. Zdawało się, że dziewczyna o nich zapomniała. Uklękła, oglądając kwiaty.

–Ona pokazuje mi różne rzeczy – odezwał się Lin. – Anya –

dodał z wahaniem. Powoli znów przeniósł wzrok na dolinę. – Kiedy oni przyjdą, dopilnuję, żeby nie spotkało jej nic złego. Będzie mogła wrócić do domu.

Shan spojrział na oficera. Kiedy oni przyjdą. Miał na myśli swoich strzelców górskich.

–Anya nie ma domu – odparł, ignorując groźbę pobrzmiwającą w słowach Lina.

Pułkownik znów zmarszczył brwi. Śledził wzrokiem klucz gęsi.

–Załatwię jej trochę jedzenia, może jakieś buty. W górach trzeba mieć dobre buty.

–Jej dom spłonął. Mieszkała w Yapchi.

–Cholerni głupcy – odpalił Lin. – Nie moja wina, że tak się stało.

–Oczywiście, że wasza – odparł Shan, równie szybko.

Wymienili ostre spojrzenia, pułkownik jednak, słysząc wołanie Anyi, szybko odwrócił wzrok. Dziewczyna kuśtykała ku nim, niosąc złapany kłębek nici i kamień, który chciała im pokazać, z plamą żółtego porostu w kształcie kwiatu lotosu.

Shan zostawił ich i odszedł na drugą stronę płaskowyżu. Nagle spojrział w górę i zamarł. Na skałach, zaledwie sto metrów od niego, tuż za miejscem, gdzie zaczynało się lawinisko, pojawiło się coś nowego. Wspiął się na kamień, by się temu przyjrzeć. Wśród głazów siedział jakiś człowiek. Jokar. Stary lama uzdrowiciel medytował nad ich kryjówką. Jak długo tam był? Nikt nie widział go od trzech dni. Czy przez cały ten czas siedział pogrążony w medytacji, czuwając nad Skałą Mieszania i odległą Równiną Kwiatów? Gdzie, zastanawiał się Shan, był jego strażnik? Ślady na półce zielarzy wskazywały, że spały tam dwie osoby.

Gdy wrócił do izby, Lhandro i jego ojciec toczyli spór. Lepka,

usłyszawszy o Tenzinie i Lokeshu, chciał natychmiast wracać do Yapchi. Lhandro powtarzał ojcu, że w Yapchi nie da się nic zrobić dla więźniów. Na widok Shana Lepka zamilkł i podszedł do jednej z pustych cel medytacyjnych, wpatrując się w ciemność.

–To patyki – mruknął. Jego głos brzmiał dziwnie słabo. – Patyki nie odpuszczają.

Gdy starzec zniknął w celi, Nyma ze smutkiem spojrzała na Shana.

–Czasem mu się to zdarza. Jego umysł wędruje.

–O czym on mówi? – zapytał Shan.

–O czymś z dzieciństwa – odparła Nyma. – Myślę, że o jakiejś zabawce.

–Męczą go zmory – wtrąciła nad ramieniem Shana matka Lhandra. Jej głos był ciężki od troski. – Od lat raz na parę tygodni miewa koszmary i krzyczy o patykach – dodała. – Ale w tym miesiącu dręczą go niemal co noc.

Shan rozejrzał się po izbie. Winslow i Larkin rozmawiali z podnieceniem. Dwaj purbowie, którzy przyszli z Larkin, gorączkowo poszeptywali z Somo o Linie. Shan przyjrzał się purbom. Być może zbyt pochopnie powiedział Linowi, że nie jest więźniem.

Ileż zbrodni, ileż motywów, pomyślał, obserwując najpierw Lina, a potem purbów. Jak zauważyła Somo, wszystko było poszufladkowane. Niczym działania Pekinu. Pałkarze szukali lamy uzdrowiciela. Strzelcy górscy szukali Tenzina. Tuan ze swymi widmowymi bezpiecznikami szukał zabójcy wicedyrektora Chao. Khodrak szukał człowieka z rybą. Dyrektor Zhu złożył fałszywy raport o śmierci Larkin, aby móc ją wytropić i zabić. Dlaczego? Ponieważ purbowie wzięli ją pod swe skrzydła, powiedziała. Ale Shan już w to nie wierzył. Wszyscy mieli własne

plany, własne zadania i zdawało się, że nikt nie wie nic o poczynaniach i motywach innych. Shan nie rozumiał nawet, co robi Jokar. Czy lama uzdrowiciel naprawdę odbył tak daleką podróż z Indii tylko po to, żeby wędrować po górach nad Równiną Kwiatów?

–Jak dawno Jokar wrócił? – zapytał Nymę.

–Wrócił? Mówiliśmy ci. Nie pokazał się od tamtego dnia, kiedy odszedłeś.

–Widziałem go. W górze, na skałach.

Nyma wypadła na zewnątrz. Wybiegł w ślad za nią. Jokar zniknął. Czyżby Shanowi tylko zdawało się, że widzi lamę?

Okrążyli lawinisko, uważnie przyglądając się skałom. Starzec mógł łatwo spaść. Wydawało się niemal niemożliwością, by wspiął się tam, gdzie widział go Shan.

Kiedy wrócili, w chacie panowało podniecenie. Purbowie uciszyli się. Lhandro i jego ojciec stali oszołomieni. Matka Lhandra leżała na pościeli, a nad nią pochylał się lama uzdrowiciel.

–Nagle po prostu pojawił się tutaj – powiedział Lhandro. –

Stał w celi medytacyjnej obok mojego ojca, jakby przeniosła go tam magiczna siła. Nikt nie widział, jak wchodził. Kazał mojej matce, żeby się położyła, i zapytał, czy wciąż dokuczają jej kolana. Skarżyła się, że ma sztywne kolana, dopóki nie przynieśliśmy soli z Lamtso.

Jokar podszedł do ojca Lhandra, który usiadł obok pościeli, w pobliżu lampek maślanych. W ich świetle Shan spostrzegł przebarwienie na szyi Jokara, długi ciemny siniak, którego nie zauważył wcześniej. Jak gdyby lama został pobity.

Jokar dotknął przegubu Lepki, żeby sprawdzić puls, i dwaj mężczyźni zaczęli rozmawiać, cicho z początku, potem coraz swobodniej, coraz głośniejsze, o Rapjung i o zbieraczach ziół, którzy

niegdyś każdej jesieni przychodzili do Yapchi, o lamach, którzy czasem zatrzymywali się na miesiąc ze swymi uczniami, by sporządzać leki.

–Pamiętam, że był tam piękny dom – wspominał Jokar. – Jak stara drewniana świątynia. – Jego głos brzmiał niczym szmer przesypującego się piasku. Mówiąc, wciąż trzymał przegub Lepki.

Rongpa uśmiechnął się w odpowiedzi.

–Ten dom przynosił pogodę ducha wielu ludziom.

Skończywszy badanie, lama spojrzął na Lepkę, potem na jego żonę.

–Czasami odłóż tę swoją laskę – powiedział cicho. – Oprzyj się na żonie. Ona też jest solidną podporą.

Nyma, która siedziała w kącie, wpatrywała się w Jokara z zawstydzeniem i podziwem. Wciąż miała na sobie strój rongpy. Od dnia, w którym spłonęła wioska, Shan nie widział jej z różańcem w ręku.

Purbowie, słabo widoczni w mrocznym przeciwległym kącie izby, niepewnie popatrywali na starca.

–Czy oni się go boją? – zapytał Shan Somo, gdy dziewczyna skierowała się ku drzwiom.

–Nie. Ale ja się boję. Mam wrażenie, że oni są już pewni, iż to na niego czekali. Mówią, że powinno się sprowadzić więcej purbów, żeby go strzegli.

–Czekali na niego?

–Na mnicha, który przyszedł zająć tron Siddhiego.

Shan spojrzął na nią z niedowierzaniem i lękiem.

Wątpli lama uzdrowiciel z pewnością nie nawoływałby do agresji wobec Chińczyków. Ale być może wiedział o tronie Siddhiego i chciał tam pójść, by głosić ludziom naukę Bodhisattwy Współczucia. Purbom mogło być wszystko jedno,

co powie

Jokar, byle tylko zasiadł na tronie. Spełnione proroctwo podziałałoby z wielką siłą na górali, a purbowie mogliby wykorzystać legendę. Mówiła ona, że lama, który zasiądzie na tronie, poprowadzi lud do powstania. Nagle jeden z młodych Tybetańczyków z ekipy Larkin rzucił się do stóp Jokara.

–Rinpocze – wypalił – czy przyjdiesz, czy zrobisz to dla nas wszystkich?

Jokar powoli odwrócił się ku niemu, przekrzywiając głowę.

–Czy zajmiesz tron Siddhiego? – Gdy Jokar odpowiedział jedynie spojrzeniem, purba powtórzył pytanie drżącym, podnieconym głosem.

Lama uśmiechnął się lekko i skinął głową. Oczy purby rozbłysły. Rzuciwszy Somo triumfalne spojrzenie, poderwał się, zarzucił na plecy niewielki pakunek i wypadł za drzwi.

Jokar wstał, podszedł do Winslowa, który siedział zaledwie parę kroków od Shana, i usiadł przy nim. Amerykanin uśmiechnął się, ale zerknął skrępowany na Shana, jakby pytał, co ma robić. Lama uniósł dłoń i zatrzymał ją tuż nad czubkiem głowy Winslowa. Powoli przesunął ją, centymetr nad skórą, wzdłuż jego głowy, karku i pleców. Skończywszy, westchnął i ujął nadgarstek Amerykanina.

–Góry trudzą się nad tobą – powiedział cicho.

Winslow spojrzał na lamę, przekrzywiwszy głowę, próbując zrozumieć jego słowa.

–Już mi lepiej – odparł z niepewnym uśmiechem, uznawszy najwyraźniej, że Jokar nawiązuje do jego choroby wysokościowej.

–Przybyłeś po to z daleka – stwierdził starzec. Jego głębokie, wilgotne oczy jeszcze raz przesunęły się po postaci Winslowa i zatrzymały się na czubku jego głowy. – To czarne. Musisz pozbyć się tego czarnego. – Znów umilkł i spojrzał

Amerykaninowi w oczy. Zdawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale westchnął tylko. Tym razem to on przekrzywił głowę, jakby zastanawiał się nad czymś, co w nim dostrzegł. – Przybyłeś z daleka – powtórzył i wolno podniósł się na nogi.

Winslow wpatrywał się w podłogę. Wydawał się wstrząśnięty. Przełknął ślinę i uniósł wzrok ku Melissie, która odwzajemniła jego poważne spojrzenie. Uśmiechnął się nieśmiało.

–Kawałek drogi – rzucił lekkim tonem, wstał i wyszedł na zewnątrz.

Pięć minut później do siedzącego pod sękatym jałowcem Winslowa podszedł Shan.

–Znalazłeś ją – odezwał się niepewnie. – Teraz możesz wracać.

–Wszedłem na drogę – szepnął Amerykanin z dziwną ciekawością w głosie, ciekawością człowieka, który nagle przestał pojmować własne czyny lub emocje. Wpatrywali się w drzewo. Na pobliskiej gałęzi usiadł mały brązowy ptaszek i przyjrzał się im. – Drogę przeznaczoną właśnie dla mnie. Tyle tylko, że czasami trudno jest ją dostrzec.

Była to kolejna zagadka, której Shan nie miał czasu rozważyć, tajemnica Winslowa takiego, jaki był albo jaki się stawał.

–Przyjechałeś tu po zwłoki panny Larkin – przypomniał mu. – Znalazłeś ją żywą. Ocaliłeś jej życie. Wracaj. Cała reszta... – Szukał odpowiednich słów. – Teraz wszystko staje się bardzo niebezpieczne.

–Zhu wciąż czuwa. Co będzie, jeśli wyjadę, a jej coś się stanie?

–Purbowie ją chronią. Teraz zdają sobie sprawę z zagrożenia. Dzięki tobie.

Winslow westchnął i podniósł się na kolana, pochylając się w

stronę ptaka.

–W głębi duszy przestałem już pracować dla rządu – wyznał stworzonku, które zdawało się słuchać go z uwagą. Shan usłyszał w jego głosie spokój. – Kiedy oddałem paszport, poczułem się, jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar. To też był krok na tej drodze. Tak miało być. – Odwrócił się do Shana. – A teraz to, co mówił Jokar... Powiedział, że przybyłem po to z daleka. Nie sądzę, żeby chodziło mu o odległość, w sensie stąd do Ameryki. Ale co miał na myśli, mówiąc, że góry trudzą się nade mną?

–Nie wiem – odparł Shan i nieoczekiwanie posmutniał. – Coś pomiędzy górskimi bóstwami i tobą.

–Chodzi o to, że mam jeszcze coś do zrobienia w Tybecie – oświadczył Winslow, znowu zwracając się do ptaka, który patrzył mu prosto w oczy. – Nagle spojrzał na Shana. – Ubiegłej nocy miałem sen. Unosiłem się nad górami, spokojny jak nigdy. –

Trzymałem za rękę Jokara i razem lecieliśmy ponad szczytami, a on śmiał się i pokazywał mi znajome miejsca. Lecieliśmy z gęsiami nad granatowym jeziorem – ciągnął głuchym głosem. – Na koniec spojrzałem na niego i powiedziałem: „Rinpocze, każdy lama potrzebuje kowboja”, a on po prostu poważnie pokiwał głową. – Znowu spojrzał na ptaka, który przysłuchiwał mu się z niezmiennym zainteresowaniem.

–To tylko sen – podsunął Shan. Gdyby Lokesh usłyszał o takim śnie, zapytałby Winslowa, czy jest pewien, że spał. Uznałby może, że nie był to sen, ale wizja na jawie.

–Myślę, że to oznacza, że powinienem pomóc Melissie i Tybetańczykom. Pomóc Lokeshowi i Tenzinowi.

–Sądziłem – westchnął Shan – że miałeś wrócić do Pekinu.

–I powiedzieć biurokratom: Larkin żyje, ale nie martwcie się, wkrótce będzie trupem? Pewnie mają odpowiedni formularz.

Zgłoszenie przyszłego morderstwa. – Winslow spojrzął na swoje dłonie. – Wiem, że ty nie zamierzasz machnąć ręką na Lokesha.

–Nie – odparł cicho Shan. – Nie zostawię go.

Nagle, spod skalnej ściany, dobiegło ich rozpaczliwe wołanie Nymy.

–On tylko przystanął! – krzyknęła, kiedy podbiegli do niej.

Jej twarz była szara jak popiół. – Oparł się o ścianę i westchnął, a potem po prostu osunął się po niej na ziemię.

Jokar... Jokar nie żyje.

Lama leżał bezwładnie pod ścianą, z jedną nogą wysuniętą w przód, drugą przygniecioną tułowiem. W dłoni ścisnął wytarte brązowe dorje. Jego twarz nie zdradzała znaku życia. Lhandro i jego rodzice pospiesznie, niemal gorączkowo recytowali mantry. Purbowie z bezradnymi minami klęczeli wokół lamy.

Shan precyzyjnie przesunął się między nimi. Jokar nie oddychał.

–Tak stary – szepnęła zbolalym głosem Nyma. – A my nie mamy nikogo, kto pomógłby mu się wyzwolić z bardo.

Shan drżącą ręką ujął dłoń starca. Lokesh wiedziałby, co robić. Ułożył palce na nadgarstku, tak jak dziesiątki razy robił to jego przyjaciel. Z początku nie mógł wymacać tętna. Potem jednak wydało mu się, że czuje coś, niczym trzepot ptasich skrzydeł

w oddali. Jedno uderzenie i, po niewiarygodnie długim czasie, następne.

–Czasami tacy ludzie zostają wezwani, by rozmawiać z bóstwami – odezwała się nad jego ramieniem Anya. Pozostali spojrzeli na nią z powagą, ale nikt nie zaprzeczył. Jeśli jedno bóstwo

mogło nawiedzać Anyę, żeby przemawiać jej ustami do ludzi, inne równie dobrze mogło przywołać Jokara, by mówił z nim.

—

Jego dusza mogła zostać wezwana z powrotem do tego bayalu,
z którego tu przybył. – Jokar pochodził z jednej z ukrytych krain,

dawała do zrozumienia dziewczyna. Była to, jak mógłby powie

dzieć Lokesh, prawda równie dobra jak każda inna.

Z pomocą Nymy Shan ostrożnie uwolnił przygniecioną nogę lamy. Ciało starca było chłodne. Nie zimne, ale i nie tak ciepłe jak ciało Shana.

–On odszedł – jęknął Lhandro. – Tak właśnie bywa, organy zaczynają ustawać jeden po drugim.

–On osiągnął wiedzę – szepnął Lepka, klękając u stóp lamy. Widząc pytanie na twarzy Shana, wyjaśnił: – To jedna z nauk z Rapjung, którą słyszałem często w młodości. Największym darem ludzkiej egzystencji jest wiedza, a największą wiedzą jest wiedza o śmierci. – Mówiąc, nie odrywał oczu od Jokara. Potem znów odwrócił się do Shana, jak gdyby uznał, że potrzeba mu dalszych wyjaśnień. – To wielki dar, mówili mnisi, wiedzieć o własnej przemijalności.

Nikt się nie odezwał. Ucichły nawet mantry. Lepka ze zdumioną miną rozejrzał się dookoła, jakby się nie spodziewał, że kogokolwiek mogą zaskoczyć jego słowa.

–Powinniśmy siedzieć po obu stronach, żeby go podtrzymać, gdyby miał upaść – poradziła cicho matka Lhandra i usiadła obok lamy. Nyma zajęła miejsce u drugiego boku Jokara. Shan cofnął się i spostrzegł, że na twarzy Winsłowa maluje się troska.

–Zostało mi jeszcze parę tabletek – podsunął bezradnie Amerykanin. Podeszedł do Shana, jedną ręką wykręcając palce drugiej. – Ta łąka z ziołami... Mógłbym tam pójść, jeśli tylko ktoś by mi powiedział, co zbierać.

Shan przyjrzał się lamie, potem Winslowowi, nie rozumiejąc, cóż to za więź powstała między nimi.

–On wspomniał o czymś czarnym – przypomniał. – Powiedział, żebyś się tego pozbył. To możesz zrobić.

–Nie wiedziałem, o co mu chodzi – odparł wolno Amerykanin, spoglądając to na Shana, to na Jokara.

–O tę czarną rzecz, którą nosisz – wyjaśnił Shan.

Winslow na chwilę utkwiał wzrok w cieniu, westchnął, podniósł swój plecak i wyszedł na zewnątrz. Shan ruszył parę kroków za nim. Amerykanin zmierzał na skraj płaskowyżu.

Dogonił go, gdy Winslow odwrócił się, żeby spojrzeć na Lina, siedzącego teraz na skale w pobliżu sękatego jałowca. Przeszli za ruiny starej chaty, gdzie pułkownik nie mógł ich widzieć, i Winslow otworzył plecak.

–Myślałem, że Melissa mogłaby go potrzebować, skoro Zhu wciąż jest w górach – wyjaśnił przepraszająco.

Shan bez słowa wskazał leżącą hen w dole plamę cienia, znamionującą małą rozpadlinę. Winslow sięgnął do plecaka, wyjął pistolet Lina i cisnął go za krawędź urwiska. Pistolet, zatoczywszy szeroki łuk, długo spadał, nim zniknął w ciemnej czeluści. Tuż za nim poleciały zapasowe magazynki.

Szybujący w pobliżu ogromny sęp zanurkował za bronią, lecz po chwili, posławszy za nią przeciągły wrzask, wzbił się w górę.

W milczeniu wrócili do chaty i przyłączyli się do czuwających u boku Jokara. Rongpowie recytowali mantrę do Bodhisattwy Współczucia. Larkin i Winslow siedzieli u stóp lamy. Somo trzymała w dłoni rękę starca, gładząc ją lekko. Anya zaczęła cicho nucić jedną ze swych pieśni i, co dziwne, chwilę później Melissa Larkin zamruczała do wtóru, jakby znała tę melodię. Minęło przeszło pół godziny, gdy nagle palce jednej z dłoni lamy uniosły się, a jego ciało drgnęło lekko i oklapło.

Shan widywał mnichów pogrążonych w głębokiej medytacji, znał też ten stan z własnego doświadczenia, ale to zupełnie tego nie przypominało. Jokar był gdzie indziej. Oczy lamy otworzyły się, jednak zdawało się, że nie ma w nich życia. Zaśniły na chwilę i zgasły. Shan patrzył na to przerażony. Oczy lamy były szkliste. Jego palce prostowały się i kurczyły, jakby Jokar się na coś wspinał. Mantry w głębi izby przybrały na sile. Purbowie przyłączyli się do modłów. Melissa Larkin przyniosła czarkę herbaty i

delikatnie dotknęła ciepłym naczyniem ramienia lamy. Jego oczy znów zamrugwały, a dłoń wyciągnęła się, jakby chciał uchwycić coś unoszącego się w powietrzu. Otworzył i zamknął usta, a jego głowa odchyliła się w tył, zacisnęły szczęki, jak gdyby Jokar toczył z czymś walkę.

W izbie zapanowała głucha cisza.

–Wygląda, jakby próbował obudzić się z głębokiego snu – szepnął Lhandro.

Ale Shan wiedział, że to nie sen. Jokar nie umarł, to było jasne, ale dotarł na skraj śmierci, lub może śmierć nawiedziła go, a on odsyłał ją z powrotem. Sędziwe ciało zrezygnowało na chwilę, ale istota tego, czym był Jokar, wciąż walczyła, jakby chciała dokończyć coś, co zaczęła. Lepka rozpoczęła mantrę, jakiej Shan nie słyszał nigdy przedtem, błagalną mantrę, w której raz po raz powtarzało się imię Jamantaki, Pogromcy Pana Śmierci.

Potem sęp wrzasnął znowu, tak blisko, że zdawało się, iż siedzi wśród skał nad ich głowami, a chwilę później oczy lamy rozbłysły życiem i pozostały żywe, i Jokar znów był wśród nich.

Winslow wydał jeden ze swych kowbojskich okrzyków i oczy lamy uzdrowiciela otworzyły się szeroko. Zupełnie już przytomny, Jokar uśmiechnął się z wdzięcznością do Amerykanina, jakby to

jego okrzyk przywołał go z powrotem. Ale nikt nie odezwał się słowem, nikt nie wydał żadnego dźwięku, póki nagle coś nie poruszyło się za ich plecami. Shan odwrócił się i ujrzał stojącego w cieniu Lina. Od jak dawna tam jest? zastanawiał się. Czy rozumie to, co widział? A zresztą, czy ktokolwiek z nich to rozumie?

Jokar odetchnął głęboko. Nyma podała mu herbatę.

Zanim Shan zdążył wstać, Lin wyszedł. Znow wpatrywał się w sękaty jałowiec, jak gdyby spodziewał się, że drzewo zdradzi mu ważny sekret lub że może kryje w gałęziach ptaka, który przyjdzie go wysłuchać. Shan spostrzegł, że gniew, dotychczas stale obecny w oczach Lina, przygasł. W jakiejś mierze nie był to ten sam Lin, którego przed dwoma tygodniami spotkali na drodze. Wiedział jednak, że porywczy, drapieżny Lin nie zginął, że wciąż czai się tuż pod powłoką zdezorientowanego człowieka siedzącego w cieniu drzewa.

–To, co zrobił ten dziadek... – zaczął cicho, kiedy Shan usiadł obok niego, zdawało się jednak, że nie wie, jak skończyć.
– W wiosce, gdzie dorastałem, nazwaliby go za to czarownikiem.
–Nie ma sensu – odparł Shan, kładąc dłoń na końcu jednej z wykręconych gałęzi – silić się na zrozumienie Tybetańczyków według tego, czego nauczyliśmy się, dorastając w Chinach.

Lin wydał głuchy pomruk, jakby ostrzegał Shana przed taką rozmową.

–To Urząd do spraw Wyznań zabrał Tenzina – oświadczył nagle Shan. – Dyrektor Tuan.

–Tuan? To nie jego... – wypalił Lin. Zacisnął szczęki. – Tylko dlatego, że mnie tam nie było – warknął.

Shan spojrzał na niego i skinął głową.

–Dlatego, że Tenzin był waszą sprawą. Nie Tuana.

–Wszyscy pracujemy dla władzy ludowej – mruknął Lin.

–Ale Tuan nie przekazał Tenzina władzy ludowej.

–Skąd możecie wiedzieć?

–Nie wywiózł go szosą na północ, nie wywiózł go na południe.

Nie wywiózł go helikopterem.

–Szpieczy – syknął Lin. – Za węszenie wśród tajemnic państwowych grozi kara śmierci.

Shan zignorował to oskarżenie.

–Myślę, że władze mają szczególne plany wobec opata Sangchi. W Pekinie jest Instytut Zaawansowanych Studiów Tybetańskich. – Mówił o instytucji, w której sprowadzano na właściwą drogę krnąbrnych tybetańskich przywódców, o specjalnej, założonej przez Mao Tse-tunga uczelni kształcącej tybetańskich dostojników w należyтым wprowadzaniu w życie jego doktryny. – Jest pół tuzina instytutów medycznych, gdzie niedomagający lama mógłby spędzić rok lub dwa, lecząc się z odstępstwa. Ale tam go nie zabrali, nie trafił też do więzienia. Nie opuścił tych okolic.

–Najpierw jest coś winien armii – warknął Lin.

–Chcecie powiedzieć, że jest coś winien 54. Brygadzie Strzelców Górskich. Dawnej jednostki Armii Nowoczesnej.

Pułkownik spojrzał na niego wściekłym wzrokiem, jakby sama rozmowa o tych sprawach była aktem zdrady. To był dawny

Lin. Być może, pomyślał Shan, przypominając sobie, jak pułkownik zachowywał się przy dziewczynie, było teraz dwóch Linów: jeden dla Anyi i inny dla reszty świata.

–Ukradł nam coś.

–Odłamek skały.

–I tajemnice wojskowe – szepnął Lin, patrząc na jałowiec.

Shan drgnął. Pułkownik zdradził wreszcie powód swego zainteresowania Tenzinem i kamiennym okiem. Potwierdził wreszcie to, co podejrzewali Shan i Winslow.

–Tenzin nie zajmuje się tajemnicami wojskowymi.

–Co wy możecie o tym wiedzieć? – odpalił Lin. – Ci zdrajcy, którzy mu dopomogli... Być może to była cena, jakiej zażądali za pomoc. Wykraść mi informację, by wykorzystać ją przeciwko władzom.

–Tenzin nie zgodziłby się na taki układ.

–Motyw jest nieistotny. On wykradł tajne informacje. To zdrada. – Lin spojrzał na niego z triumfalnym uśmiechem. – Wiecie, jak wygląda postępowanie w sprawie zdrady. Krótki proces, szybka kula. Mogę postawić go przed trybunałem wojskowym. W tajemnicy. Tamci wciąż jeszcze będą go szukać na granicy z Indiami, kiedy on dawno już będzie leżał w nie oznaczonym grobie w górach.

Shan nie odpowiedział. Przyglądał się porostom pokrywającym czubek gałęzi.

–Kiedy wrócicie, pułkowniku – odezwał się w końcu – będziecie go szukać?

–Oczywiście. Znajdę go. Odbiorę go tym, którzy go przechwycili. On jest mój. W chwili, gdy okradł mój sztab, jego życie zawisło na włosku. Krzykacze nie mogą go długo ukrywać. Krzykacze prowadzą grę w świecie, którego nie rozumieją. Będą musieli znaleźć sobie innego oswojonego opata.

Shan wpatrywał się w niego, rozważając jego słowa. Pułkownik mógł mieć rację, uświadomił sobie nagle. To mogło tłumaczyć dziwne zachowanie Khodraka i Tuana oraz spór w Yapchi pomiędzy krzykaczami i pałkarzami, a potem między krzykaczami i żołnierzami. Zagłębiali się w świat bezpieczeństwa publicznego i tajemnic państwowych, dziedzin zwykle zamkniętych dla Urzędu do spraw Wyznań. Współczesne Chiny również miały swe ukryte światy.

–Kiedy przestaną wam dokuczać zawroty głowy, możecie

odejść – oświadczył znużony. – Ale to może potrwać jeszcze kilka dni, nawet tydzień.

Lin ponownie utkwiał w nim wzrok, przeciągnął dłonią po czole i zamrugał. Tak jak Jokar zmagał się, by zachować władzę nad ciałem, pomyślał Shan, tak Lin zmagał się, by utrzymać w ryzach złego pułkownika.

–Więc powinniście napisać list – podsunął.

–Żadnych targów. Mówiłem wam już. Porwanie oficera oznacza lao gai. Albo pluton egzekucyjny. Nie liczcie na wybaczenie.

A kto nam wybaczy, że uratowaliśmy ci życie? pomyślał Shan.

–Może chcielibyście dać komuś znać, że żyjecie? – zapytał.

–Nie mam rodziny.

–Żołnierze z waszej jednostki prowadzą poszukiwania, sądząc, że zginęliście. Może chcielibyście przekazać jakieś instrukcje Tuanowi i krzykaczom, którzy przetrzymują Tenzina?

Ta sugestia zaskoczyła Lina. Na jego twarz powrócił lodowaty błysk.

–Dlaczego wam na tym zależy?

–Dlatego, że współczucie nakazywałoby uspokoić waszych żołnierzy – podsunął Shan. – Dlatego, że ich reakcja na taki list może mi powiedzieć, gdzie jest mój przyjaciel, którego aresztowano z Tenzinem. – Dlatego, że muszę dotrzeć do nich, zanim zrobi to wojsko, dopowiedział w myślach.

Lin rzucił mu skąpy uśmiech, w którym był cień niechętnego uznania.

–Nie zawsze byliście w Tybecie.

–Przez dwadzieścia lat pracowałem dla władzy ludowej w Pekinie – odparł Shan. – Dla członków Partii, którzy kierują rządem.

–Ale potem wybraliście się na pielgrzymkę do Tybetu -zadrwił Lin.

Shan spojrział na niego, po czym powoli rozpiął rękaw i w milczeniu pokazał mu swój obozowy tatuaż.

–Poszedłem żyć z lepszymi ludźmi – powiedział cicho.

Pułkownik zwięzionymi oczyma długo wpatrywał się w tatuaż. Przez jego twarz przemykały kolejno gniew, podejrzliwość, pogarda

i zakłopotanie. Jego oczy nie poruszyły się, gdy Shan cofnął rękę, patrzyły w pustkę. Po chwili Shan wstał.

–Każe przynieść wam papier. Oczywiście przeczytamy ten list, zanim go dostarczymy. Możecie pisać, co chcecie. Nie wspominajcie tylko o Jokarze ani o tym miejscu. – Zrobił pięć kroków, po czym przystanął i obejrzał się na Lina, który wciąż wpatrywał się w pustkę. – Anya – powiedział do jego pleców – też nie ma żadnej rodziny.

Lin uniósł głowę, ale nie dał po sobie poznać, że go słyszał.

Idąc do zasypanej chaty, Shan ku swemu zdumieniu usłyszał salwy śmiechu. Winslow pokazywał Anyi i Nymie sztuczki z jedną z przyniesionych przez purbów plecionych skórzanych lin. Zrobiwszy na jednym końcu pętlę, Amerykanin wywijał liną nad głową, po czym wypuszczał ją i zarzucał na różne rzeczy. Na wąski, stojący pionowo głaz sześć metrów dalej. Kamień na stoku. Anya, stojąca nieruchomo z rękami przyciśniętymi do boków, zachichotała, gdy pętla opadła nad jej głową i zacisnęła się w talii. Shan uśmiechnął się i wszedł do izby po papier dla Lina, który Lhandro, dowiedziawszy się, do czego ma służyć, zaofiarował się zanieść pułkownikowi. Młody purba w pierwszej chwili wyśmiał pomysł Shana, lecz Somo uciszyła go, unosząc dłoń.

–To oznacza, że Lin zażąda, aby krzykacze oddali Tenzina

i Lokesha – oświadczyła z groźnym błyskiem w oku.

Gdy Shan wyszedł z chaty, wśród bawiących się spostrzegł Jokara. Lama stał wyprostowany, z iskrami wesołości w oczach, podczas gdy Amerykanin łapał go na łąso, raz, drugi i trzeci. Za każdym razem lama kiwał aprobująco głową, wreszcie spytał, czy sam może nauczyć się tej sztuczki. Shan, Anya i Nyma przyglądali się z rozbawieniem, jak powoli, nieporadnie kręci łąną nad głową. Pierwsze trzy rzuty chybiły celu, ale potem nie chybiał już więcej, a w końcu poprosił Winsłowa, by stanął nieruchomo, po czym ze śmiechem zarzucił mu pętlę na ramiona.

–To jak łucznicтво. – Uśmiechnął się i zadowolony skinął głową. – Tyle że bez łuku. – Potem poprosił Anyę i Nymę, żeby

one spróbowwały złapać go na łąso, czym zajmowały się beztrosko

przez kwadrans, dopóki nie wskazał nagle leżącego wśród gruzowiska głązu z plamą porostu w kształcie, jak utrzymywał, końskiego łba, znaku Tamdina, koniogłowego bóstwa opiekuńczego.

Shan i Winslow zostali pod skalną ścianą, gdy reszta odeszła na wołanie Lepki, że czeka na nich herbata.

–Idę z tobą – oświadczył nagle Amerykanin. – Do Norbu. Shan westchnął.

–Dotąd paszport zapewniał ci ochronę. Po tym, jak go od dałeś, nie masz nic...

W drzwiach ukazała się Amerykanka. – Za co? – zapytała Winsłowa. – Dlaczego miałbyś oddać komuś swój paszport dyplomatyczny?

Winslow uśmiechnął się do niej.

–Po prostu go zgubiłem, i tyle. W szkole zawsze gubiłem zadania domowe.

Larkin przyjrzała mu się niepewnie. Zarumieniła się i przygryzła dolną wargę.

–Chcemy znaleźć naszych przyjaciół, których aresztowano – powiedział cicho Winslow.

–Są w Norbu – powiedziała Larkin. – Słyszałam, jak purbowie mówią, że oni są w Drugim Domu.

–Znasz tę gompę? – zapytał Shan.

–Niektórzy z purbów opowiadali o niej. Wspominali, że krzykacze zabierają tam chorych mnichów na kurację. Na te słowa dreszcz przebiegł Shanowi po plecach.

–W zeszłym miesiącu byłam z ekipą w górach i spotkaliśmy mnicha z Norbu. Mnicha i lekarza w niebieskim uniformie. Towarzyszyli im ludzie wyglądający na wojskowych. Byli w białych koszulach i dźwigali na plecach zbiorniczki z naftą. Żartowałam z nimi i powiedziałam, że mogliby sobie zaoszczędzić wiele trudu, gdyby używali jaczego łajna. Ale oni nie mieli ochoty na żarty.

Shan wpatrywał się w nią i miał właśnie zamiar zapytać, co ci ludzie mogli zrobić z taką ilością nafty, gdy z mroku za drzwiami wyszła Somo.

–Nie możemy tak po prostu wmaszerować do tej gompy – odezwała się, jakby już rozmawiała z nimi o wyprawie do Norbu.

Shan mało nie zaprotestował. Nie chciał, żeby ktokolwiek z nim szedł, narażając się na aresztowanie przez pałkarzy. Ale Somo przybyła z Lhasy, żeby pomóc zbiegłemu lamie. Straciła Draktego, który zginął, chroniąc Tenzina.

–Będziesz potrzebował ludzi, którzy znają ten teren – odezwała się Nyma zza pleców Somo. Niosła dwie czarki herbaty,

które wyciągnęła do Shana i Winslowa.

Westchnął. Nymie także nie można było odmówić.

–Musimy zaniepokoić Tuana – oświadczył Shan. – Zmusić go do jakiejś reakcji – dodał i gdy pojawił się Lepka z herbatą dla niego, popijając z czarki, wyjaśnił, czego się spodziewa po liście od Lina.

–Dobry początek – przyznał Winslow. – Ale co jeszcze jest w tej gompie?

Nyma opowiedziała o ekipach medycznych Urzędu Bezpieczeństwa, które tam widzieli, a Lhandro wspomniał o nerwowych mnichach i bezwzględności prezesa.

–Na czym najbardziej zależy temu Khodrakowi? – zapytała Somo.

–Jest ambitny – odparła Nyma. – Zamierza skorzystać z Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Ludzie mówią, że on chce trafić do Urzędu do spraw Wyznań, chce zwrócić na siebie uwagę, żeby objąć tam wysokie stanowisko.

Awans. Nyma ma rację, pomyślał Shan, choć nigdy nie spotkał mnicha, który kierowałby się takimi kategoriami.

–Teraz pewnie najbardziej mu zależy na festynie pierwszomajowym – wtrącił Lhandro. – Ale nikt na niego nie przyjdzie. To chińskie święto.

Ta informacja zdawała się bezużyteczna. Shan i Winslow spojrzeli po sobie i zwrócili wzrok w niebo. Amerykanin w roztargnieniu obrysowywał palcem plamy porostów na skale.

–Twój przyjaciel, Lokesh – dobiegł z cienia chrapliwy głos Lepki – powiedział mi, że uczyłeś go czasem *Tao Te Ching*.

Shan spojrzał na niego zaskoczony. Stary rolnik miał na myśli starożytny tekst taoistyczny, księgę, której Shan w dzieciństwie nauczył się na pamięć. Gdy skinął głową, Lepka pochylił się i zaczął rysować palcem na piasku. Nakreślił cztery linie, jedną pod drugą, najpierw złożoną z dwóch odcinków, potem ciągłą, jeszcze niżej dwie złożone z trzech równych kresek. Był to

tetragram, jakich używano do oznaczania rozdziałów pradawnej księgi. Układ narysowany przez Lepkę wskazywał, że chodzi o ustęp trzydziesty szósty, *Ukrywanie przewagi*. Gdy jego słowa rozbrzmiały w umyśle Shana, zorientował się, że szepcze je swoim towarzyszom:

*To, co ma być osłabione,
Należy umocnić,
To, co ma być odrzucone,
Należy poprzeć,
To, czemu ma być odebrane,
Należy obdarować.*

*Oto subtelna mądrość,
Tak słaby triumfuje nad silnym.*

–Aby zniszczyć kogoś takiego jak Tuan – stwierdził Shan, przytaknąwszy Lepce – należy go wesprzeć.

Winslow uniósł głowę. W oku pojawił mu się chytry błysk.

–Strzeżcie się Greków – powiedział. – Strzeżcie się Greków przynoszących dary.

Larkin odpowiedziała konspiracyjnym uśmiechem.

–Koń trojański – rzuciła i odwróciła się do pozostałych. – To legenda – wyjaśniła i streściła im ją.

Siedzieli w milczeniu, rozmyślając nad cytatem z *Tao Te Ching* i greckim mitem.

–Być może – odezwał się Shan – ci, którzy kierują Norbu, powinni uważać, o co proszą.

–A rongpom i dropkom z okolicznych dolin najbardziej zależy na wiosennym festynie – podsunął Lhandro.

Rozmawiali prawie godzinę, podczas gdy kociółek wrzał, a Nyma ubijała herbatę. Somo sprowadziła pozostałych purbów, którzy wysłuchali ich, z podnieceniem kiwając głowami. Dziewczyna zniknęła w drzwiach i wróciła po chwili, zapinając

swą saszetkę na pasku. Ruszyła biegiem pnącą się na stok góry ścieżką.

–Drugi Dom miał piękny gonkang – rozległ się za nimi cichy głos, gdy Somo zniknęła im z oczu.

Nyma stłumiła okrzyk. Wśród skał, trzy metry od nich, siedział Jokar.

–I stajnię. Tam właśnie gromadziliśmy zioła.

Lhandro i jego rodzice wraz z pozostałymi Tybetańczykami usiedli kręgiem wokół Jokara, by posłuchać, jak lama opowiada o życiu w gompie Norbu przed sześćdziesięciu laty. Wydawało się to doskonałym zakończeniem narady, jakby błogosławieństwem udzielonym ich planom. Wszyscy sądzili, że Jokar skończył już, gdy jego oczy przesunęły się na płaskowyż i chmury w oddali. Lama pochylił się, jakby przyglądał się czemuś wśród chmur, być może widział w nich dawną Norbu.

–Jest tam pewne miejsce – powiedział, powoli kiwając głową – w celach przy stajni, z tyłu. Kryjówka z czasów, kiedy przyszli po Szóstego. – Zdawało się, że stary lama znów traci kontakt z rzeczywistością.

Shan także przypatrywał się chmurom. Został, gdy inni wstali i na powrót skupili się przy kociołku z herbatą. Jeśli Jokar mógł widzieć w chmurach gompę, być może on zdoła dojrzeć Lokesha. Wypatrywał go z takim natężeniem, że nie spostrzegł nawet, iż ktoś podszedł do niego, dopóki obok jego buta nie upadła złożona w czworo kartka. Zamrugnął i zobaczył Lina. Pułkownik z podejrzliwością patrzył na Tybetańczyków.

–Nie ważcie się tknąć tych więźniów – warknął, masując sobie skronie. – Jeśli ich tkniecie, jeśli spróbujecie ich porwać, Urząd Bezpieczeństwa was powystrzela. – Jego głos wciąż był

słaby, ale kipiała w nim złość. Pułkownik uniósł dłoń i zdawało

się, że zamierza zacisnąć ją w pięść, po chwili jednak opuścił ją i zachwiał się lekko, jakby zakręciło mu się w głowie. – A jeśli ci pieprzeni pałkarze tego nie zrobią, sam się do was zabiorę – wychrypiał. – Zaaresztuję wszystkich, którzy tu są. Zaaresztuję was i rozstrzelam!

Część czwarta

KOŚĆ

Rozdział szesnasty

Oczyściwszy umysł z lęku, leżąc na plecach z zamkniętymi oczyma, Shan czuł, jak przenikają go drobne fale radości. Nie własnej radości, gdyż wciąż jeszcze musiał odnaleźć i uwolnić Lokesha oraz Tenzina, lecz radości Tybetańczyków, którzy zgromadzili się na równinie pod Norbu. Rżały konie, śmiały się dzieci, dorośli krzyczeli z podziwu, a w cały ten rozgardiasz wplatały się gardłowe porykiwania jaków. Od czasu do czasu, niczym jakieś egzotyczne interludium, dobiegał go śpiewny poświst strzał.

Rankiem z godzinę siedział na wiosennej trawie przy prowizorycznych torach łuczniczych wytyczonych przez dropków za namiotami i ostrzył swą świadomość na grotach strzał. Dawno temu Tybetańczycy nauczyli go ćwiczeń medytacyjnych z wykorzystaniem łuków i strzał, czasem prawdziwych, czasem wyimaginowanych, i rozumiał już, co miał na myśli Gendun, mówiąc mu, że łucznictwo nie jest sportem, ale nauczaniem. Było to doskonale narzędzie koncentracji i gdy tylko wystarczająco opróżnił umysł, jak uczył go Gendun, słyszał nie tylko skrzywienie napinanego łuku, brzdęknięcie cięciwy, świst lecącej strzały i jej uderzenie w cel, ale także ów doskonały moment ciszy tuż przed zwolnieniem cięciwy, kiedy łucznik, łuk i strzała stają się jednym. Nic w jego życiu nie było nigdy tak proste, tak prawdziwe ani tak szybkie.

Mieszkańcy okolicznych terenów sprezentowali Khodrakowi i Padmemu pierwszomajowy festyn. Przez trzy dni posłańcy biegali w tę i z powrotem między rozsianymi po okolicy wioskami i obozowiskami dropków, teraz jednak na równinie przed Norbu wyrosło miasteczko namiotów. Niektórzy z rongpów przyjechali starymi półciężarówkami i poprzywiązywali do nich płócienne płachty, pod którymi spali. Rodziny dropków rozbiły jurty z

grubego filcu. Część rongpów zamieszkała w swych podróźnych namiotach, białych z niebieskimi wzorami. Niegdyś, wyjaśnił Lhandro, Tybetańczycy z miast regularnie udawali się z rodzinami na wieś i wtedy spali w takich małych namiotach, by uczcić święta religijne ponownym zbliżeniem się do ziemi, okrążeniem kory gompy albo świętej góry. Wielu ze zgromadzonych nie widziało się od lat, równinę wypełniały więc powitalne okrzyki. Z dala od klasztoru, z dala od samotnego, ubranego w białą koszulę wartownika przy bramie, Tybetańczycy rzucali w powietrze jęczmienną mąkę. Była to tradycyjna forma wyrażania radości, tak tradycyjna, wiedział Shan, że krzykacze nie pozwoliliby na to, gdyby o tym wiedzieli.

W ciężarówce, którą spotkali w górach, Shan był świadkiem dziwnej dyskusji między Lhandrem i purbami. Somo zapytała rongpę, czego najbardziej będzie im trzeba, by przyciągnąć miejscowych na festyn. Jaków, odparł naczelnik, i łuczników. Nie ma mowy o prawdziwym święcie bez jaków i strzał. Ku zaskoczeniu Shana, okazało się, że łatwiej ściągnąć jaki niż łuczników, gdyż łucznictwo również należało do tradycji wyklętych przez władzę. Gdy następnego dnia obserwował teren z kryjówki, którą purbowie urządzili na grzbiecie ponad Norbu, do obozowiska przybyło stado jaków, częściowo już obwieszonych barwnymi wstążkami i pasmami

welny. Tory łucznicze, wytyczone kamieniami ustawionymi naprzeciwko celów z suszonej gliny, czekały na przybycie dropków z najdalszych gór, z terenów, do których nie sięgała już ręka władzy.

Wyrwał się z zadumy, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Otworzywszy oczy, ujrzał przed sobą uśmiechniętą twarz Anyi. Dziewczyna ujęła jego dłoń i w milczeniu pozwolił jej podciągnąć się na nogi, po czym ruszył z nią w stronę pasących się jaków.

–Niemał setka! – powiedziała z podnieceniem.

Weszli między stworzenia. Przyglądając się rozradowanym twarzom innych Tybetańczyków, którzy wpatrywali się w zwierzęta, uświadomił sobie, że w tym zubożałym okręgu takie ich nagromadzenie było rzadkością, że stanowiły znaczną część tego, co posiadali mieszkańcy.

Anya poprowadziła go w sam środek stada, poklepując mijane zwierzęta. Poczęstowawszy go kawałkiem suszonego sera,

wymieniała jedną po drugiej tradycyjne nazwy jaczego umaszczenia. Wskazała czarne stworzenie z białymi cętkami.

–Thabo – wyjaśniła z rozmarzoną miną, przystając, by podrapać jaka po uszach. – Dongba – powiedziała, wskazując zwierzę z białą gwiazdką na czole. Kawa miał biały łeb, tsen był złocisty, a jak o asymetrycznych rogach nosił nazwę ralden. Wreszcie dziewczyna dotarła do znanego im wielkiego, jednolicie czarnego zwierzęcia, które na ich widok wydało cichy, gardłowy pomruk.

–Widziałam, jak Gyalo przyszedł w nocy – szepnęła. – Przebrany w strój pasterza. – Anya zaczęła splatać sierść Jampy w warkocze, pokazując Shanowi, jak skręcać i przekładać długie pasma, wyjaśniając, że tak umaszczony jak, lha, jest najrzadszy ze wszystkich, doskonały pod każdym względem, chroniony przez bóstwa, nigdy więc nie powinien być obarczany nieczystym ładunkiem.

Nagle Shan spostrzegł, że Anya ze strachem w oczach wpatruje się w coś za jego plecami. Odwróciwszy się, uświadomił sobie, że dziewczyna obserwuje odległą o niemal dwieście metrów bramę klasztoru.

–Już czas – oświadczyła i oboje w milczeniu wrócili do ciężarówki purbów. Na spotkanie wyszła im Nyma, wskazując głową grzbiet ponad gompą. Zbiegał z niego ktoś w zielonym mundurze. Shan przyglądał mu się przez jakiś czas, po czym wdrapał się pod plandekę ciężarówki i usiadł obok Nymy, która sięgnęła po jego sponiewieraną lornetkę. Purbowie ustawili ciężarówkę tyłem do głównej bramy, tak że z platformy widać było piętrowy budynek biurowy, w którym Shan i Nyma spotkali się z demokratycznym komitetem kierowniczym gompy.

Nyma rozejrzała się po zabudowaniach klasztornych i podała mu lornetkę. Przez szklę widział twarz zbliżającego się do bramy żołnierza. Rongpowie i dropkowie odruchowo się rozbiegli, jak zawsze na widok zielonego munduru Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Jedynie w ciężarówce purbów wiedziano, że nie jest to żołnierz, ale nawet przez lornetkę Shan nie rozpoznał Somo. Jej włosy były dokładnie upchnięte

pod obszerną zieloną czapką z wełny, w rodzaju tych, jakie strzelcy górscy wkładali pod hełmy. Mundur miała kompletny, lecz wybrudzony, bluza

była lekko rozerwana na ramieniu. Na drugim ramieniu dyndał jej skórzany mapnik. Wyglądała na zaprawionego w bojach żołnierza wracającego prosto z pola walki w wysokich partiach gór.

Groźni Chińczycy w białych koszulach obojętnie, niemal beztrzesko patrolowali obozowisko. Pierwszego dnia jeden z młodszych urzędników wkroczył z podejrzliwą miną między Tybetańczyków, jakby przyszedł ogłosić im wyrok. Kiedy rozkazującym tonem zwrócił się do kilku dropków, by mu pokazali, co mają w gau, koczownicy zawahali się. Ale potem purbowie włączyli przenośny magnetofon, z którego popłynęła jedna z ulubionych pieśni Pekinu, *Wschód jest czerwony*, a grupka dzieci zaczęła wymachiwać małymi chińskimi flagami dostarczonymi przez samych purbów. Krzykacz uśmiechnął się z niechętną aprobatą i ruchem ręki odprawił dropków, po czym wycofał się zadowolony z siebie. Jego beztrzeska zaniepokoiła Shana. To, że w gompie trzymano ważnych więźniów, powinno było skłonić strażników do większej czujności.

Mimo wszystko jednak przez cały czas, odkąd Shan dwa dni temu zaczął obserwować gompę ze skał, przy bramie stał wartownik w białej koszuli. Shan dzięki temu nie tracił nadziei, podobnie jak dzięki wiadomości, że sala jadalna została zamknięta, wciąż jednak nie było żadnego dowodu, że Lokesh i Tenzin znajdują się w klasztornych murach. Somo podbiegła właśnie do najbliższego wartownika i mówiąc coś cicho, podała mu list Lina, po czym zawróciła pędem, jakby sytuacja w górach nie cierpiała zwłoki. Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Z obawy przed pytaniami dziewczyna miała nie wdawać się w dłuższą rozmowę. Miała mówić cicho, by wartownik nie zorientował się, że ma do czynienia z kobietą, i o ile można, odwracać twarz, aby zmniejszyć ryzyko, że ją kiedyś rozpozna. Wartownik przez chwilę spoglądał zdezorientowany za oddalającym się „żołnierzem”, po czym wbiegł z listem do budynku biurowego. Shan pochylił się, by lepiej widzieć. Nikt nie pojawił się w drzwiach, ale coś poruszyło się w oknie gabinetu na piętrze, w które zaglądał podczas pierwszej wizyty. Niecałą minutę później z walącym sercem zobaczył, jak pięć osób wychodzi z budynku i szybko

zmierza do bramy: dyrektor Tuan, prezes Khodrak, wartownik i dwóch innych ludzi Tuana. Gdy dotarli do bramy, wartownik wskazał palcem nikiącą w dali postać Somo. Była już wysoko na stoku. Purbowie przygotowali się na wypadek, gdyby pchnięto za nią pogoń. Kiedy ścigający dotarliby na szczyt grzbietu, zobaczyliby, że czterej ludzie w wojskowych mundurach, kierowani z ukrycia przez purbów z chorągiewkami sygnalizacyjnymi, znikają za następnym grzbietem nieosiągalni dla pościgu.

Wyglądało na to, że Tuan chętnie wysłałby za Somo paru ludzi, rozejrzał się jednak po obozowisku Tybetańczyków i najwyraźniej zmienił zdanie. Powiedział coś do jednego człowieka ze swojej obstawy i mężczyzna popędził w stronę szopy za budynkiem administracyjnym.

Nyma uśmiechnęła się do Shana.

–Lha gyal lo – szepnęła. Być może tylko na bogów mogli liczyć.

Tybetańczycy z obozowiska wciąż mieli opory przed wejściem do gompy. Jeśli ich plan miał się powieść, jeśli mieli się dowiedzieć, kto jest w środku, nie ściągając na siebie nadmiernego zainteresowania krzykaczy, potrzebowali pomocy rongpów i dropków. Ale pomimo chińskich flag, które powiewały między klasztornymi budynkami, gompa była miejscem świętym i gdy przywódcy zgromadzonych klanów toczyli rozmowy z purbami, Lhandro rzucał Shanowi zniechęcające spojrzenia.

Po obozowisku zaczęło krążyć dwóch fotografów w towarzystwie kilku mnichów. Prowadził ich Padme, który rozdawał cukierki wszystkim napotkanym dzieciom. Shan szedł za nimi, zachowując dystans. Grupa przystawała raz po raz, by robić zdjęcia. Mnisi z uśmiechniętymi dziećmi na kolanach. Mnisi wplatający barwne wstążki w sierść jaków. Padme rozdał kilkorgu nastolatkom nowe nylonowe kurtki i butelki oranżady, po czym kazał sfotografować rozradowane twarze na tle jaskrawoblękowego nieba i na tle gompy. Znalazł narzędzia i polecił mnichom pozować z młotkami, udawać, że naprawiają walące się budy pod murami gompy.

Gdy Padme i jego orszak wrócili na teren gompy, Shan, z nowym kapeluszem naciągniętym nisko na oczy, przystanął w cieniu pod ciężarówką purbów. Nagle spostrzegł, że w ciężarówkę

wpatruje się jakiś starzec, siwowłosy Tybetańczyk o szorstkiej twarzy pooranej bliznami i zmarszczkami. Mężczyzna siedział dwanaście metrów od Shana, wsparty plecami o stertę filcowych kocy rzuconych obok jurty dropków. Shan uświadomił sobie, że ten człowiek nie tylko siedzi tam od wielu godzin, ale także, że widział go już wcześniej, podczas swej pierwszej wizyty w Norbu, schylonego nad maszyną do szycia przy bramie gompy. Spostrzegł, że starzec dziwnie porusza dwoma palcami w tę i z powrotem przy kolanie. Mógł mieć tik nerwowy. Mógł próbować kogoś przywołać, nie wiedząc, jak się do niego zwrócić. Shan naciągnął niżej kapelusz i niepewnie zbliżył się do starca.

Gdy stanął przy nim, Tybetańczyk skinął głową i Shan z wahaniem usiadł obok niego. Somo ostrzegęła ich przed szpiegami. Od czasu do czasu demaskowano mnichów pracujących dla bezpieczeństwa. Nawet starszych Tybetańczyków przymuszano niekiedy do współpracy, obiecując im pobłażliwość dla uwięzionych krewnych.

–Powiadają, że przyszedłeś z chińskiego bayalu, żeby nam pomóc – odezwał się starzec ochryplym, lecz silnym głosem.

Chińska ukryta kraina. Ten człowiek uważał widać, że żaden Chińczyk nie może przyjść z pomocą z normalnego świata. Być może była to prawda, pomyślał Shan. Moim bayalem był obóz pracy przymusowej.

–Chciałbym wiedzieć, jak pomóc – odparł.

Starzec rozejrzał się, po czym wyciągnął spod obłożonej chu-by złożony arkusz papieru.

–Pracowałem w Pierwszym Domu – oświadczył z dumnym uśmiechem, ukazując poważne luki w uzębieniu. – Nie jako mnich, ale stolarz. Kędyś te zbocza porastał piękny las. Czasami ludzie nadal przychodzą i proszą, żebym coś dla nich zrobił. Proste rzeczy. Stół, krzesło, stółek. Ale o papier na

rysowanie wzorów i projektów jest zawsze trudno. Jeden człowiek z kuchni chciał zamówić ołtarz dla matki i poprosił mnie o szkic, żeby mógł kupić drewno. Przyniósł mi ją do rysowania, kiedy Padme którejś nocy zostawił ją na stole.

Była to odręczna mapa, spostrzegł Shan, narysowana wprawną ręką lub odrysowana z drukowanej. Starzec wodził po niej sękatym palcem.

– Drugi Dom – powiedział, wskazując Norbu na samym dole. – Pierwszy Dom i Metoktang – ciągnął, pokazując Równinę

Kwiatów i Rapjung. Nazwy podane były jedynie po chińsku. –

Umiem czytać i pisać po chińsku – wyjaśnił. – Ci ludzie z gompmy lubią śmiać się ze mnie, a ja po prostu ich zwodzę. Głupcy zasługują na politowanie. Nawet ten człowiek z kuchni nie wie, że czytam po chińsku. Nikt z nich nie wie, że uczyłem się w szkole gompmy, u nauczycieli, którzy twierdzili, że musimy nauczyć się, jak żyć z Chińczykami. – Zaniósł się świszczącym śmiechem i znów wskazał na mapę. – Jeśli chcesz zrozumieć Drugi Dom, to wszystko, czego ci trzeba – oświadczył.

Shan spojrzał na niego niepewnie, po czym zerknął na wiatę z gazetami, przypominając sobie buntownicze słowa nabazgrane ukradkiem na tablicy. Znów pochylił się nad mapą. W legendzie znalazł krzyżyk zakreślony kółkiem, z opisem „Wyjałowione”. Jeden taki znak widniał w północno-zachodnim kącie Równiny Kwiatów, opatrzony datą sprzed dziesięciu dni. Na sąsiadujących terenach zauważył co najmniej piętnaście innych, wszystkie z datami z okresu ostatnich dwóch miesięcy. Taki sam znak, tyle że z datą sprzed dziewięciu dni, naniesiono też na gompę Rapjung. Shan przypomniał sobie, co Larkin mówiła o mnichu i lekarzu w górach, o zbiornikach z naftą. Nagle zrozumiał. Zrobiło mu się słabo.

– Niech zwyciężą bogowie – szepnął stary stolarz.

Shan wstał i poszedł z mapą do ciężarówki, gdzie szybko zrelacjonował swe odkrycie zebrany w kręgu purbom, rolnikom i pasterzom.

– Ale tam nic nie ma – odezwał się niepewnie dropka w średnim wieku. – Nic poza pustkowiem. Nic, czego mogliby użyć przeciwko nam.

– Krzykacze nazwaliby to przeżytkami – powiedział Shan.

Kilkoro Tybetańczyków wzdrygnęło się. – Ziola. Święte miejsca służące lamom uzdrowicielom. To właśnie niszczy Padme.

Zabraliśmy go do Rapjung, a on wywołał tam pożar. – Umilkł, a Lhandro opowiedział, jak zabudowania Rapjung zostały obrócone w popiół. Mylili się co do dobdoba, zrozumiał Shan.

Dobdob najprawdopodobniej powstrzymał Padmego, pobił, gdyż przyłapał go na paleniu ziół. Przypomniał sobie, co powiedział Padme na widok odbudowanych świątyń w dawnej gompie: Czytałem relacje. Miał na myśli raporty Urzędu Bezpieczeństwa i krzykaczy. To oznaczało, że dobdob próbował powstrzymać krzykaczy, próbował powstrzymać niszczenie ziół. Dobdob, obrońca cnotliwych, musiał być towarzyszem Jokara, tym, którego widzieli ze starym lamą na łące, tym, którego nie zobaczyli już więcej.

Na środek kręgu wyszedł Gyalo i opowiedział, co zobaczył w Norbu. Na koniec wstała Nyma, która cicho zapytała, kto z obecnych znał Draktego. Niemal wszystkie

ręce uniosły się w górę. Gdy wyjaśniła cichym głosem, że Drake zginął, próbując im pomóc, wśród rolników i pasterzy skończyły się spory. Z ponurą determinacją wstali i rozeszli się grupami, podczas gdy purbowie przedstawili swój plan.

Specjalna ekipa medyczna wciąż jeszcze przebywała w Norbu. Jej personel, sprawiający wrażenie zmęczonego, wyszedł między Tybetańczyków. To oznaczało, że polowanie na lamę uzdrowiciela jeszcze się nie skończyło i że trwa na tym terenie. Dlaczego? zastanawiał się Shan. Jaki ślad Jokara zatrzymał ich w gompie? Z pewnością gdyby od początku wiedzieli, dokąd zmierza, nie marnowaliby tak wielu tygodni, tropiąc go od granicy.

Niecałą godzinę po doręczeniu listu Tybetańczycy zaczęli ustawiać się w kolejce przy bramie. Niektórzy trzymali się za brzuchy, dwóch miało ręce na temblaku. Wartownik nie chciał ich wpuścić. Czekali cierpliwie, niemal godzinę, aż wreszcie jeden z mężczyzn w błękitnych uniformach zauważył ich i polecił wartownikowi, żeby pozwolił chorym Tybetańczykom wejść. Nie spostrzegł wmieszanego między nich Chińczyka z brudnym bandażem na ręce i nasuniętym nisko na czoło nowym kapeluszem z szerokim rondem.

Znalazłszy się na tyłach klasztornych zabudowań, Shan z ulgą stwierdził, że po dyscyplinie, jaką widział podczas pierwszej wizyty, nie zostało ani śladu. Przed prowizorycznym ambulatorium ustawiono przenośne drewniane słupki, między którymi przeciągnięto linę, by uformować kolejkę. Pierwszych kilku pacjentów obsłużono szybko, z roztargnieniem, podając im jakieś lekarstwo. Wypuszczeni od lekarzy kręcili się na tyłach gomp, rozmawiali z czekającymi w kolejce, zachwycali się wielkim

młynkiem modlitewnym, a nawet podziwiali wielką stertę jacze-go łajna, najwyraźniej nie tkniętą od odejścia Gyala.

Shan i Nyma oddalili się od kolejki i ruszyli w stronę stajni, gdzie uwięziono ich podczas pierwszej wizyty. Upewniwszy się, że nikt ich nie obserwuje, weszli do przyległego budynku. Shan zsunął swój bandaż. Niski, walący się drewniany budynek był stary, być może starszy niż stajnia. Mieszczące się w nim cele medytacyjne, trzy po obu stronach korytarza oraz dwie na końcu, czuć było stęchlizną. Shan przypomniał sobie, jak Gyalo mówił, że w gompie żyje tylko jedna trzecia liczby mnichów, dla jakiej była przeznaczona.

Spośród wszystkich rzeczy stworzonych ludzką ręką, które Shan widział w Tybecie, żadna nie poruszała go bardziej niż proste drewniane cele, jakie czasem, choć rzadko, odkrywał w zapadłych regionach kraju w nielicznych budowlach zachowanych z poprzednich stuleci. Od wieków siadywali w nich ludzie wiedzeni tą samą pasją, tymi samymi uczuciami, tym samym pragnieniem świadomości, które żywili Shan i jego tybetańscy przyjaciele. Opowiadając Gendunowi o jednej ze swych pierwszych wizyt w takiej celi, przyrównał ją do podróży wehikulem czasu, gdyż w dziwny sposób wyczuwał obecność mnichów, którzy korzystali z niej przed trzystu albo czterystu laty. Ale Gendun odparł, że to niewłaściwe porównanie, gdyż sugeruje, że stulecia mogą odmienić ludzi poszukujących oświecenia. To był most, stwierdził, sposób na wyjście poza czas, na wyeliminowanie czasu, na dotarcie na tę

samą płaszczyznę świadomości, którą zamieszkują oświecone istoty, niezależnie od czasów, w jakich żyły. Przypominając sobie słowa Genduna, Shan przystanął i przez chwilę chciał tylko usiąść i pogрузić się w medytacji w jednej z tych cel.

–Jokar Rinpocze mówił, że to kryjówka z czasów, kiedy przyszli po Szóstego – odezwał się, mijając Nymę, by przejść do dalszych cel. Wciąż starał się przeniknąć słowa Jokara, wciąż usiłował oddzielić słowa przeznaczone dla tego świata od przeznaczonych dla innego.

–Chan Lhabzang – odparła gniewnie Nyma, wchodząc do jednej z tylnych cel. Ostrożnie dotknęła czubkiem palca stare cedrowe drewno, jakby mogło się rozsypać.

– Chan Lhabzang z

Mongolii najechał na Tybet i porwał VI Dalajlamę. Jego armia przyszła od północy drogą przez Amdo.

To było przed trzystu laty, przypomniał sobie Shan, kiedy młody Szósty został porwany przez Mongołów, którzy zamierzali przekazać go w darze mandżurskiemu cesarzowi w Pekinie. Ale ich plany spełzyły na niczym, gdyż Szósty zmarł w drodze do Chin.

–Miejsca takie jak Norbu, w pobliżu drogi północnej, zostałyby splądrowane – zauważył. Wszedł do drugiej celi i zaczął naciskać tylną ścianę wzdłuż krawędzi. Nic się nie poruszyło. Przesunął palcem po wszystkich łączeniach desek. Nic. Żadnej szczeliny. Wrócił na korytarz i spostrzegł, że Nyma robi to samo w sąsiedniej celi.

–Ktoś może przyjść – powiedziała, nerwowo zerkając przez ramię.

Wszedł do celi.

–Jokar – westchnęła mniszka – mógł po prostu mówić o czymś, co widział podczas medytacji, o wizji.

Shan z rozczarowaniem pokiwał głową. W boczną ścianę celi wbudowana była półeczka z dwóch wąskich desek, na której mnich mógł postawić lampkę maślaną i kadzielnicę. Przeciągnął dłonią po ścianie nad i pod półką. Nie było żadnej dźwigni, żadnego ukrytego przycisku, nie było nawet miejsca na jakikolwiek mechanizm. W końcu przesunął palcem po deskach, z początku lekko, potem coraz mocniej. Gdy jego dłoń zbliżyła się do tylnego narożnika, koniec deski opadł o centymetr i ściana naprzeciw wejścia odchyliła się, ukazując otwór.

Było to wąskie pomieszczenie, najwyżej metrowej głębokości. Gdy weszli do środka, Nyma zapaliła zapałkę. Nie mieli świeczki ani lampki maślanej, ani elektrycznej latarki. Ale nie mieli też czasu ich szukać. Nyma poświeciła zapałką w jednym kierunku, potem w drugim. Zatęchły schowek ciągnął się przez sześć metrów. Na jednym końcu dostrzegli ławkę ze stertą poduszek, na drugim półki.

Brakowało czasu na dłuższe oględziny. Nyma zdmuchnęła zapałkę i oboje wycofali się do celi. Shan nacisnął przeciwny, uniesiony koniec deski i tylna ściana z cichym jękiem zamknęła się z powrotem. Deska zaskoczyła w dawne położenie.

Na zewnątrz kilkoro dropków obracało potężny młynek modlitewny. Jeden z mężczyzn zapytał z przejęciem przechodzącego mnicha, czy mogliby obracać go poza wyznaczonymi godzinami, dla uczczenia święta. Mnich odparł nerwowo, że przekaże prośbę komitetowi.

Chodząc po gompie, Shan uświadomił sobie nagle, że nigdzie nie widać ani śladu członków komitetu, ani śladu Khodraka lub Padmego. Ani śladu Tuana. Mimo iskry nadziei, która obudziła się w nim po doręczeniu listu Lina, wydało mu się teraz niemożliwością, aby Tenzin i Lokesh byli tutaj, aby obecność w gompie tak ważnego więźnia jak Tenzin mogła się w żaden sposób nie uzewnętrznić. Mogły być inne miejsca, uświadomił sobie z rozpaczą, tajne, o których purbowie nie mieli pojęcia. Wartownik mógł stać przy bramie najzwyczajniej po to, by mieć na oku Tybetańczyków obozujących pod klasztorem.

Oparł się plecami o jeden ze starych drewnianych budynków mieszczących niegdyś sypialnie mnichów i osunąwszy się po ścianie, usiadł na ziemi. Tybetańczycy siedzieli rozsiani po całym terenie gompy, jedni odmawiali różaniec, inni po prostu wygrzewali się w słońcu, być może zrobili sobie przerwę w modlitwach w lhakang. Rozejrzał się po oknach dwóch dużych budynków. W jednym ze środkowych okien nad salą jadalną od czasu do czasu pojawiał się mężczyzna w białej koszuli, niekiedy wyglądał na zewnątrz, częściej stał po kilka minut plecami do szyby. Dwie dwójki ludzi w białych koszulach patrolowały teren, rozmawiając żywo, niczym mnisi toczący debatę religijną. Na schodach prowadzących do kuchni siedział człowiek w fartuchu, trzymając postawioną na sztorc miotłę. Shan przyjrzał mu się uważnie. Był młodszy, bardziej atletyczny niż inni pracownicy kuchni, fartuch miał nieskazitelnie czysty i wydawał się niezbyt zainteresowany pracą.

Za pierwszego budynku wysypała się grupka mnichów, każdy z niedużym notatnikiem w ręce. Wiatr porwał wystający z jednego z nich świstek papieru i poniósł go przez dziedziniec. Niewiele myśląc, Shan podniósł się i złapał go. Była to kartka w linie. U góry widniał drukowany nagłówek: *Feudalizm to zacofanie*, poniżej zaś odręczne, pisane po chińsku notatki. Podał kartkę mnichowi, który przyjął ją zakłopotany, choć z uśmiechem.

Kątem oka dostrzegł podobną kartkę, pomiętą i podeptaną, na wpół zagrzebaną w ziemi. Jego uwagę przyciągnął szczególny układ jej zagięć i gdy pochylił się, żeby ją podnieść, serce zabiło mu mocniej. Był to niebiański koń.

Schował papierowego konia do kieszeni koszuli i zaczął kręcić się bliżej kuchni. W drzwiach pojawił się jeden z pracowników. Przyniósł kubek herbaty dla siedzącego na schodach mężczyzny, który wstał, opierając kij od miotły na ramieniu, jak karabin. Tybetańczyk z herbatą skulił się ze strachu i czmychnął, gdy mężczyzna ze śmiechem wziął od niego kubek.

Shan krążył po gompie dyskretnie, aby nie budzić niczyich podejrzeń, obserwując centralny budynek. Jakaś Tybetanka w średnim wieku zawołała coś radośnie i schyliwszy się, złapała kolejnego papierowego konia, przywianego pod ścianę budynku. Uniosła go ze śmiechem, przyglądając się, jak trzepoce niczym chorągiewka.

Na piętrze, ze środkowego okna, znów wyjrzał krzykacz. Bojąc się, że zostanie dostrzeżony, Shan schylił głowę i wmieszał się w grupę przechodzących obok dropków, modląc się w duchu, żeby zwolnili kroku. Gdy zbliżali się do narożnika budynku, zaryzykował kolejne spojrzenie na piętro, oceniając odległość od ziemi.

Ktoś młodszy zdołałby może spuścić się z okna i uciec. Ale Lokesh prawdopodobnie połamałby kości.

Na frontowym dziedzińcu przygotowania do festynu trwały już na dobre. Na budynku administracyjnym, na linach zwisających z dwóch górnych okien, rozpięto ogromną flagę Chin Ludowych. Liny nie były zamocowane wewnątrz, ale zaczepione o małe żelazne haki, których Shan nie zauważył wcześniej, a które sterczały rzędem pod parapetami wszystkich okien. Podczas tradycyjnych tybetańskich świąt na takich hakach zawieszano by okolicznościowe thanki. W niektórych wielkich gompach wznoszono wieże służące wyłącznie do wywieszania świętych malowideł przy takich okazjach. Ale prezes Khodrak wolał tę flagę.

–Specjalni goście – oznajmił z podnieceniem Gyalo, gdy Shan wrócił do ciężarówki purbów. – Jeden człowiek z kuchni

przyszedł na tory łucznicze. Ten stary stolarz znał go i dowiedział się, że kuchnia przygotowuje posiłki dla dwóch specjalnych gości, którzy są trzymeni w jednym z pokoi na górze.

Shan pokazał Nymie i pozostałym papierowego konika, po czym opowiedział o strażnikach w białych koszulach, pilnujących drugiego budynku.

–Kto znosi te posiłki? – zapytał.

–Strażnicy – odparł mnich z rozczarowaniem. – Ale oni nie wynoszą nieczystości. Każą to robić Tybetańczykom.

Po południu włączyli się do przygotowań. Shan, naciągnąwszy kapelusz na oczy, pomagał rozciągać między budynkiem administracyjnym a murem gompy sznury papierowych chorągiewek, później zaś znosił szczapy jałowcowego drewna do wielkich kadzielnic ustawionych pod murem po obu stronach bramy. Głośnik obwieścił, że prezes łaskawie zezwolił na przedłużenie czasu użytkowania młynka modlitewnego, a co więcej, postanowił, że każda z przybyłych rodzin może zabrać tyle jaczego łajna, ile zdoła unieść, a nawet wziąć zapas do swoich domowych palenisk. Shan uśmiechnął się na to i dźwigał wraz z Tybetańczykami koszyki łajna, aż jego twarz pokryła się ciemnym pyłem, a strażnicy w białych koszulach odsuwali się od niego, kiedy się zbliżał. Kilkakrotnie przechodził obok kuchni, aż wreszcie za którymś razem zobaczył, że strażnik siedzi z pochyloną głową, pogrążony we śnie, i przystanął, daremnie wypatrując znaków życia w narożnych oknach na górze. Kiedy oznajmił, że strażnik drzemie, Gyalo, który do tej pory nie ośmielił się drugi raz wejść na teren gompy, sięgnął do koszyka Shana i wysmarował sobie twarz brązowym pyłem, przyłączył się do niego z pustym koszem. Miał na sobie połataną kamizelkę, sznur niebieskich paciorków, ulubioną ozdobę dropków, oraz kapelusz z szerokim rondem, który ocieniał mu twarz.

Gdy dotarli do drzwi kuchni, strażnik w dalszym ciągu spał. Na schodach pojawił się stary stolarz i dał im znak, żeby poszli za nim. Wskazał dwa wiadra ze świeżą wodą przy wewnętrznych drzwiach i szepnął coś do niemłodego już Tybetańczyka w fartuchu, który nalał herbatę do kubka i szybko ułożył na talerzyku sześć herbatników. Ruszyli za nim, każdy z wiadrem wody w rękach, przez pustą salę jadalną i dalej na piętro, schodami w

centralnej części budynku. Tybetańczyk wesoło przywitał się ze strażnikiem, podsunął mu ciastka, po czym głową wskazał Shanowi i Gyalowi drzwi na końcu korytarza nad kuchnią, jedyne zamknięte na całym korytarzu.

W drzwiach nie było zamka. Weszli szybko do środka i Gyalo zamknął je za nimi. Na środku pomieszczenia stał nieduży stół, na którym leżał blok papieru i dwa ołówki. Na siennikach pod oknami siedzieli plecami do ściany dwaj mężczyźni.

–Lha gyal lo! – szepnął Gyalo.

Tenzin, z twarzą obwisłą i bladą, siedział w pozycji lotosu i ze znużoną, bezradną miną przesuwiał paciorki różańca. Obok, oparty o ścianę, pólleżał Lokesh. Miał zamknięte oczy, nogi okrywał mu koc. Tenzin spojrzał niepewnie na przybyłych. Długo wpatrywał się w Shana, jakby miał kłopoty ze skupieniem wzroku. Gdy wreszcie go rozpoznał, jego twarz przybrała wyraz udręki.

–Oni nie rozumieją – jęknął. – Nie chcą uwierzyć, że zostawiłem tamto życie za sobą. Oni...

Shan uciszył go, unosząc dłoń.

–Wiem. Tamten człowiek się udusił i narodził się nowy.

–Ale sprawiłem tyle zmartwienia – odparł Tenzin. Wydawał się bliski płaczu. – Nie możesz wpaść w ich ręce... Nie ty. Tu są strażnicy – ostrzegł. – Będiesz...

Shan przerwał mu, wskazując Lokesha.

–Co mu się stało? – zapytał, przyglądając się leżącemu bez władnie przyjacielowi. Dłonie starca ścisnęły paciorki różańca. Zdawał się spać. Przy każdym wydechu z jego piersi dobywał się suchy charkot.

Tenzin wskazał lewą stopę Lokesha.

–Oni mieli wielkie imadło – jęknął. – Takie, jakich używają stolarze. Ale Tuan nie jest stolarzem. – Spojrzał żałośnie na Shana. – Nie wiedziałem, że ludzie mogą robić takie rzeczy – wychrypiął jak ktoś znacznie starszy. – Kazali mi patrzeć.

Shan uniósł koc znad stopy Lokesha. Kostka była spuchnięta i sina. Najwyraźniej złamano mu jakąś kość.

–Lokesh nic nie mówił, po prostu powtarzał mantrę, kiedy oni dokręcali imadło. Wcześniej mnie uprzedził, że oni coś mu zrobią, i powiedział, żebym się nie martwił. Wyjaśnił, że to jest tylko sprawdzian wiary, nic więcej, a on jest przyzwyczajony do takich sprawdzianów. Ale powiedział też, że ten sprawdzian dotyczy nas obu.

Na chwilę w Shanie wezbrała wściekłość. Torturowali jego przyjaciela, powoli zaciskali imadło, dopóki kość nie pękła. W gompie. Dlaczego? By go wypytać o Shana? Nie. Chodziło o Tenzina. Chcieli, żeby wskazał purbów, którzy udzielali mu pomocy. Chcieli skłonić opata Sangchi do powrotu na jedynie słuszną drogę.

To dlatego straż była tak nieliczna. Lokesh nie mógł chodzić. A krzykacze nie spodziewali się, że Tybetańczycy mogliby podjąć próbę uwolnienia więźniów.

–Myślę, że wyostałbym się przez okno – powiedział Tenzin. – Ale nie zostawię go.

–Lekarze – zauważył Shan. – Tu jest ekipa medyczna, która mogłaby zająć się

jego nogą.

–Pytałem – odparł ze znużeniem Tenzin. – Khodrak i Tuan powiedzieli, że pomyślą o tym. Najpierw chcą, żebym podpisał papiery, wygłosił przemówienie, powiedział, że udałem się na samotne rozmyślania, by usprawnić Kampanię Pogodnego Dobrobytu, wyjaśnił, że urzędnicy w Lhasie mylą się, twierdząc, że próbowałem uciec. Że byłem w samotni, rozmyślając nad nadaniem myśli buddyjskiej rysów chińskiego socjalizmu. – Było to jedno z typowych sformułowań oficerów politycznych. Budować przemysł z rysami chińskiego socjalizmu. Usprawnić edukację z rysami chińskiego socjalizmu. – Powiedziałem im, że istotnie rozważałem tę kwestię – dodał znacząco, znów spoglądając żałośnie na Lokesha. – On się nie skarży. Kiedy jest przytomny, po prostu odmawia różaniec albo śpiewa te swoje pielgrzymie pieśni. Ale myślę, że takie złamanie musi być bardzo bolesne. On wciąż pisze list na papierze, który dali mu na samokrytykę. List do Przewodniczącego. Twierdzi, że chce doręczyć go osobiście. Czasem robi koniki z papieru i prosi, żebym wyrzucał je przez okno. Mówi, że przyjdą po nas silne konie, a wtedy skoczmy na nie przez okno i odjedziemy.

Shan z bólem w oczach wpatrywał się w przyjaciela.

–Ale jeśli trzymają was tutaj – zauważył – to znaczy, że wciąż mają nadzieję na twoją współpracę.

Tenzin westchnął.

–Khodrak traktuje mnie jak swoją prywatną zdobycz. Wspaniała okazja, byśmy zrobili karierę, powiedział raz do Tuana, najlepsze, co mogło nam się trafić. Zaprosili na obchody ważną delegację z Urzędu do spraw Wyznań.

Shan nie mógł oderwać oczu od Lokesha. Ujął jego dłoń i uścisnął ją. Starzec zamrugnął i otworzył oczy. Spojrzał sennie na Shana, po czym uniósł rękę i dotknął czubkami palców jego policzka, jakby chciał się przekonać, czy jest prawdziwy.

Nagle Gyalo szarpnął go za ramię.

–Strażnik kończy jeść – powiedział niespokojnie. – Jeśli zainteresuje się nami, przyjacielu, znajdziemy się w wielkich opałach.

Lokesh znów zamknął oczy. Tenzin złapał Shana za ramię.

–Musisz o czymś wiedzieć. Oni mogą przyjść w każdej chwili – oświadczył nagląco. Spojrzał mu w oczy. W jego wzroku

kryła się głęboka rozpacz. – Muszę to komuś powiedzieć, na wypadek, gdybyśmy zniknęli. On poszedł tam dla mnie. Zginął z mojego powodu. Shan i Gyalo zamarli. Opatowi Sangchi nagle jakby przybyło lat.

–W niektóre noce nie mogę spać, bo widzę, jak stoi, jak umiera na tej mandali.

Shan przełknął ślinę.

–Mówisz o Draktem? Chcesz powiedzieć, że to ty wysłałeś Draktego do Amdo?

Tenzin skinął głową.

–Wybierał się tam tak czy inaczej, ale ja prosiłem go, żeby

zdobył dla mnie egzemplarz tej *Księgi Lotosu*, żeby przyniósł mi ją. Poszedł tam i pałkarze zabili go za to. Stracił księgę. Stracił życie, z mojego powodu – oświadczył z beznadziejnym smutkiem.

Gyalo pociągnął Shana za ramię, ale Shan się nie poruszył. Przeniósł wzrok z udręczonej twarzy Tenzina na Lokesha, potem na papier na stole i powoli wyciągnął z kieszeni sakiewkę z różańcem z kości słoniowej.

–Drakte miał wykorzystać wszystko, co do ciebie należało, żeby stworzyć fałszywy trop na południu. Ale zatrzymał jedną rzecz. – Podał sakiewkę Tenzinowi, który otworzył ją i zajrzawszy do środka, sapnął zdumiony. Na jego twarzy odmalowało się zamyślenie.

–Dał mi go mój dziadek – szepnął. – Powiedział, że to jedyna cenna rzecz, jaką powinien mieć mnich, gdyż to jest coś, co łączy go z jego wewnętrznym bóstwem. – Owinął sobie różaniec wokół palców.

–Musisz im powiedzieć – rzekł wolno Shan – że wygłosisz to przemówienie. Jutro. Musisz znów zagrać opata – dodał przepraszająco. – Tylko przez kilka minut. – Nachylił mu się do ucha, żeby zapoznać go ze swoim planem.

Shan zawędrował na tyły obozowiska, by pospacerować pod gwiazdami. Gdy mijał namioty dropków koło stada jaków, jego uwagę przyciągnął dziwny dźwięk.

–Humm, humm an dy rendź – recytował śpiewnie młodzieńczy głos. Brzmiało to jak mantra, ale niepodobna do żadnej,

jaką Shan kiedykolwiek słyszał. Okrążył namiot i ujrzał gro madę dropków, młodych i starych, siedzących wokół wielkiego ogniska, w którym płonęło jacze łajno. Przy ognisku stał Winslow. Shan obrócił się gwałtownie, przerażony lekkomyślnością

Amerikanina, który opuścił swą górską kryjówkę, choć wszyscy się zgadzali, że to dla niego zbyt niebezpieczne. Ale potem

spozstrzegł na skraju kręgu dwóch szczupłych mężczyzn zwróconych twarzami do gomy. Jeden z nich stał wystarczająco

blisko, by Shan mógł go rozpoznać. Był to purba o kamiennej twarzy, jeden z tych, których widział z Tenzinem w Yapchi.

Winslow na widok Shana uśmiechnął się szeroko. Przez chwilę Shan sądził, że Amerykanin macha do niego, potem jednak uświadomił sobie, że Winslow podaje rytm śpiewającemu chłopcu.

–Uer de diiir endy entlop plaaaaj – ciągnął dropka. Była to śpiewana zniekształconą angielszczyzną amerykańska piosenka, jedna z dopuszczonych do systemów nagłaśniających w chińskich pociągach: *Home, Home on the Range*.

Shan usiadł przy ognisku. Próbował poddać się panującej tu atmosferze, ale coraz bardziej martwił się o Amerykanina.

Winslow zbyt wiele ryzykował, przychodząc do obozowiska, nawet pod eskortą purbów. Był teraz nielegalnym cudzoziemcem, nie chronionym przez paszport dyplomatyczny, z punktu widzenia władz człowiekiem bez tożsamości. Podobnie jak Shan, Winslow oficjalnie nie istniał i gdyby go schwytano, mógłby po prostu zniknąć.

W migotliwym świetle Shan dostrzegł po drugiej stronie ogniska posępnego Tybetańczyka w swoim wieku, siedzącego na wozie konnym pomiędzy dwoma purbami, których widział wcześniej w górach. Wstał i obszedł chyłkiem krąg, jednak gdy zbliżył się do wozu, bliższy z purbów zagroził mu drogę. Człowiek siedzący na wozie przyjrzał się Shanowi spod półprzymkniętych powiek, bez powitania, bez jakiegokolwiek emocji. W świetle ogniska Shan widział wyraźnie dwie głębokie blizny przecinające jego policzek oraz żar płonący w oczach. Były to oczy więźnia, pełne znużonej, smutnej inteligencji, ale jednocześnie przerażająco dzikie, rozpalone zarazem furią i prawością. Były to oczy, jakie Shan widywał na wizerunkach gniewnych bóstw opiekuńczych.

Gdy Shan zrobił krok w stronę wozu, purba silnie chwycił go za rękę i przycisnął ją do czegoś przy swojej piersi. Był to pistolet, w kaburze pod pachą. Shan zamarł, ale zaraz się cofnął, uwalniając się z uchwytu purby. Przyglądał się bliznom na policzkach mężczyzny na wozie. To był Tygrys, domyślił się nagle, legendarny dowódca purbów, człowiek o pręgowanej twarzy. Dwaj najbardziej poszukiwani ludzie w całym Tybecie znajdowali się w gompie Khodraka.

Wycofał się na drugą stronę kręgu. Odszedł na równinę, szukając pociechy wśród nocy, zmagając się z nowym lękiem, który rozbudziła w nim obecność Tygrysa. Zahukała sowa. Odległe góry lśniły w blasku księżyca. Przybycie dowódcy purbów przeraziło Shana tak, jakby ujrzął nagle wychodzących z ognia pałkarzy. Tygrys nie zjawił się, by pomóc Shanowi. Tygrys sływał jako człowiek czynu. Powiadano, że jego matka była muzułmanką, a muzułmanie wierzyli w odwet. Tygrys był ścigany tak zaciekle, że nawet w tej chwili mogła mu deptać po piętach armia pałkarzy. Znów rozbrzmiały mu w uszach słowa wyroczni, które ustami Anyi wypowiedziała owej pierwszej nocy na górze Yapchi: „Tylu już umarło. Tylu jeszcze umrze”.

Shan zreflektował się, że siedzi, wpatrzony w niebo, niemo błagając gwiazdy o pomoc. Gdyby tylko mógł po prostu zabrać Lokesha i odejść. Nie mógł dać Tybetańczykom żadnej nadziei, nie potrafił przeniknąć tajemnic, które spowijały gompę i dolinę Yapchi. Wszędzie widział tylko niebezpieczeństwo.

Czas mijał. Uplłynęła być może godzina. Nagle Shan dostrzegł jakiś ruch w ciemnościach. Człowiek siedzący na skale trzydzieści metrów przed nim trzymał coś połyskującego w świetle księżyca. Nie patrzył na Shana, ale na równinę.

–Lamowie nie mają do mnie cierpliwości – rozległ się nagle niski głos za plecami Shana. – Mówią, że nie powinienem się spodziewać, iż osiągnę tak wiele w ciągu jednego życia. – Był to niezwykły głos, ochryply i potężny pomruk, choć niezupełnie. Jak opisał go Lhandro? Jak gdyby ktoś krzychał szeptem, gdyż pałkarze uszkodzili mu krtań.

Odwracając się w stronę mężczyzny z pokiereszowaną twarzą, Shan spostrzegł na skale, piętnaście metrów dalej, kolejnego wartownika.

–Powiedziałem im, że w młodości miałem nauczycieli z tantrycznych szkół, którzy twierdzili, że przy odpowiedniej praktyce można osiągnąć stan buddy w ciągu

jednego wcielenia.

Shan z zaskoczeniem uświadomił sobie nagle, że nigdy nie słyszał, aby tego człowieka nazywano inaczej niż Tygrysem. Poruszył się niespokojnie, zastanawiając się, jak wielu jeszcze ludzi z karabinami czai się w ciemnościach. I jak często Tygrys rozmawia z Chińczykami po nocach.

– Powiedziałem im, że w porównaniu z tym to, do czego ja dążę, wydaje się błahostką. – Mężczyzna usiadł obok Shana i przez chwilę wpatrywał się w niebo. – Gdy jesteś wciąż w biegu, gdy ruszasz w drogę z każdym zachodem słońca, nocne niebo staje się twoim domem – powiedział, a w jego głosie zabrzmiało wielkie zmęczenie. – Masz człowieka, który napisał ten list. Pułkownik Lin nie jest przyjacielem Tybetu. Został zanotowany, i to nie raz.

Zanotowany. Tygrys miał na myśli notatkę w *Księdze Lotosu*, prowadzonym przez purbów zestawieniu wyrządzonych Tybetańczykom krzywd.

– Chciałbym spędzić trochę czasu z tym pułkownikiem – oświadczył rzeczowo przywódca purbów. – Zabrać go gdzieś. Można by się dowiedzieć cennych rzeczy.

Shan poczuł ucisk w żołądku.

– Lin jest ranny – odparł słabym głosem. – Dlaczego? – zapytał, patrząc na pokiereszowaną twarz mężczyzny. – Dlaczego zadajesz sobie kłopot, żeby o tym ze mną rozmawiać? Purbowie wiedzą, gdzie jest Lin.

Mężczyzna nie odpowiedział. Coś poruszyło się w oddali i jeden z purbów z karabinami zerwał się na nogi. Po chwili rozległ się tupot małych kopytek, dzikiej kozy albo gazeli, i wartownik wrócił na swój posterunek. Shan przyjrzał się Tygrysowi. Wydawał się jeszcze jedną skałą sterczącą w ciemnościach, samotny posąg o twarzy wyżeranej powoli przez wiatr. Shan uświadomił sobie, że ten człowiek mógłby znać odpowiedzi na wiele dręczących go pytań.

– Dlaczego nie ma tu żadnych pałkarzy? – zapytał nagle. –

Dlaczego pałkarze nie zabrali opata Sangchi?

Tygrys westchnął.

– Ci, którzy go mają, są i zarazem nie są pałkarzami. W tym okręgu nic nie jest jasne. Nawet ci lekarze w niebieskich uniformach nie są pewni, komu podlegają. Przechwyciliśmy pismo, które wysłali do Lhasy. Prosimy w nim o instrukcje. Chcieliby iść na Równinę Kwiatów, by schwytać lamę uzdrowiciela. Ale Tuan i ten opat, Khodrak, chcą zatrzymać ich tutaj.

– Lecz jeśli mnisi wdrażają politykę władz – odezwał się Shan – co mogą zrobić ludzie, żeby... – Nie dokończył.

– Właśnie – odparł ponuro Tygrys.

– Somo mówiła, że gdzieś jest jeszcze pięciu pałkarzy pracujących dla Tuana.

– Nie możemy ich znaleźć. Nikt nie wie, gdzie oni są. Zaostrzyliśmy środki bezpieczeństwa. Nie dopuszczamy na nasze zebrania żadnych nowych twarzy. Rozpuściliśmy wiadomość po całym okręgu. Ale ta piątka jest nieuchwytna. Wszyscy są czujni, bardzo nerwowi. To staje się coraz bardziej niebezpieczne.

Siedzieli w milczeniu. Gdzieś grały świerszcze.

–Poszedłem do tej pustelni, skąd wyruszyliście, ale już was nie było – odezwał się nagle Tygrys. – Dropkowie, których tam spotkaliśmy, powiedzieli nam o starym lamie, który zabrał ciało

Draktego. Poszliśmy tam i siedzieliśmy przy durtro, dopóki sępy nie skończyły. Próbowaliśmy zrozumieć, co mu się przydarzyło. Rozmawialiśmy długo w noc, a kiedy się obudziliśmy, twojego lamy już nie było. Odszedł w góry.

Czyżby mylił się co do Tygrysa? Czyżby przywódca purbów był tu z powodu Draktego, szukając zemsty?

–Wiem, że Drake był tamtej nocy w Amdo – powiedział Shan. – Miał sprowadzić stamtąd egzemplarz *Księgi Lotosu*. Ale dlaczego tam? Dlaczego nie mógł wybrać na spotkanie jakiegoś bezpieczniejszego miejsca?

–Przez tę przeklętą Kampanię Pogodnego Dobrobytu. Krzykacze prowadzą punktację sukcesów ekonomicznych. Z początku śmialiśmy się z tego. Ale ten Khodrak postanowił, że jego gomba będzie miała najlepszy wynik w całym Tybecie. I dopiął swego. – Tygrys zapatrzył się w jedną z jasnych gwiazd.

–Ale to muszą być kłamstwa – zauważył Shan.

–Otóż to. Drake dowiedział się o tym. Miał inne obowiązki, ale pochodził z tych stron i nie chciał dopuścić, żeby Khodrakowi uszły na sucho jego kłamstwa. Byłem temu przeciwny, ale on przyjął to za punkt honoru. Kiedy wykonał zadanie, które wyznaczyliśmy mu na południu, wędrował po tym okręgu, zbierając prawdziwe dane. Gdy odkrył, że jego przyjaciel z dzieciństwa jest zastępcą Tuana, powiedział, że to przeznaczenie, że los chce, aby przekazał je temu Chao. A Chao chętnie się zgodził, powiedział nawet, że da za nie Drake'emu coś równie dobrego.

–Ale zostali zaatakowani.

–To musiała być pułapka. Dla kogoś takiego jak Tuan, Chao był zwykłym zdrajcą. Chao zginął, a Drake został śmiertelnie ranny. *Księga Lotosu*, którą miał ze sobą, przepadła.

–Jak właściwie zginął Chao?

–Miał szeroką ciętą ranę w plecach, jak od noża rzeźnickiego albo siekiery. Byli w warsztacie. Zginął na miejscu. Gdyby Drake przyszedł do nas, przypuszczalnie moglibyśmy go uratować. Ale on poszedł do was.

–Mówisz tak, jakbyś był pewny, że oni nie zaatakowali się nawzajem.

–Ten sukinsyn Tuan musiał ich nakryć. Pewnie wściekł się na Chao. Chao mógł go zniszczyć. Najprostszym rozwiązaniem

było zabić ich obu. Tuan był tamtego wieczora w Amdo, na zebraniu w sprawie Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Mógł zabić Chao, powiedzieć, że zrobili to reakcyjniści, i obwołać go męczennikiem.

Słuchali świerszczy. Tygrys wskazał na spadającą gwiazdę.

–Dlaczego rozmawiasz ze mną? – znów zapytał Shan.

–Mówiłem ci. Z powodu tego pułkownika – odparł Tygrys. – Tam jest kobieta ze spalonej wioski. Mówi jak mniszka. Powiedziała, że nie wyda nam Lina, jeżeli ty się nie zgodzisz.

Znów zapadła cisza.

–Oni chcieli tylko załatać swoje bóstwo – przerwał ją smutny, bezradny głos Shana.

–Ja zawsze chciałem tylko uprawiać jęczmień z ojcem – odparł tym samym tonem Tygrys.

Ponownie umilkli.

–To bóstwo trzeba naprawić w świetle, nie w ciemnościach – powiedział w końcu Shan. Spojrzał w niebo, zdumiony słowa

mi, które spłynęły z jego ust. Usłyszał, że dowódca purbów wzdycha, ale nie doczekał się odpowiedzi. Odwrócił się i spostrzegł, że Tygrys zniknął.

Gdy wrócił do ogniska, dropkowie dawno już rozeszli się na spoczynek do namiotów i przy ogniu siedział jedynie Winslow z Nymą, Lhandrem i Somo. Sonio poprosiła Shana, żeby jeszcze raz dokładnie opowiedział, co zobaczył na terenie gompy, i ponownie omówili swój plan. Wszystko było gotowe, ale nikt nie przewidział, że Lokesh nie będzie mógł chodzić.

–To musi być powód – rzekł z uśmiechem Winslow – dla którego tu jestem.

Z oddali dotarł do Shana dźwięk dzwonka, pierwszym uderzeniem wdzierając się do jego świadomości. Usiadł na kocu. Było jeszcze przed świtem. Spał niespokojnie, wybijany ze snu przez Winslowa, którego Lhandro i Nyma uczyli w mroku na platformie ciężarówki kroków osobliwego tańca. Dzwonek odezwał się znowu. Jakaś część Shana wciąż słuchała – w lao gai nauczył się odróżniać rozmaite rodzaje dzwonek, syren i gwizdków używanych przez pałkarzy i obozowych strażników, nauczył się rozpoznawać, który dźwięk wzywa strażników do broni, a który zapowiada rewizję w celach lub obwieszcza przeniesienie więźnia do izby chorych. Powoli uświadomił sobie, że dzwonek, który słyszy, zwołuje mnichów do modlitwy przed wschodem słońca.

Wstał i minawszy śpiących Tybetańczyków, w szarym świetle przedświtę spojrzął w stronę bramy. Samotny wartownik opierał się o jeden z filarów. Elektryczne żarówki oświetlały salę zgromadzeń. Mnisi wysypywali się z pomieszczeń sypialnych, ciągnących się wzdłuż bocznych części muru gompy, i kierowali się do lhakang.

–W nocy przyjechały dwa długie samochody – odezwała się tuż obok Somo. – Czerwony sztandar, jak sądzę – dodała, mając na myśli limuzyny używane przez wielu tybetańskich urzędników wyższej rangi.

–Urząd do spraw Wyznań – domyślił się Shan. – Dygnitarze z regionalnej centrali, o których mówił Tenzin.

Godzinę później obserwowali z ciężarówki, jak mnisi strumieniem opuszczają świątynię, wynosząc ławki i poduszki na dziedziniec przed budynkiem administracyjnym. Z sali jadalnej przyniesiono stół i za pomocą desek kilku mnichów zmieniło go w prowizoryczną mównicę z drewnianą skrzynką służącą za stopień. W drzwiach pojawił się jakiś człowiek w koszuli z krawatem i z przodu mównicy umocował kolejną chińską flagę. Shan wszedł do gompy z pierwszą grupą Tybetańczyków. Strażnik nie obserwował teraz Tybetańczyków, ale dygnitarzy przy

wejściu.

Otworzyło się okno jednego z gabinetów na piętrze i pojawił się w nim wielki głośnik. Popłynęły dźwięki hymnu, a potem nagle ktoś przemówił do zebranych.

–Obywatele Chin – usłyszeli cienki głos. – Pozdrawiamy was. To wy, dzieci przemysłu, uczyniliście nas wielkim narodem i uczynicie jeszcze większym. – Głos płynął z radia. Ktoś włączył pierwszomajowe przemówienia z Pekinu. Przez dziedziniec przebiegł pomruk. Mówił sam Przewodniczący.

W drzwiach budynku administracyjnego stanął Padme. Spod jego mnisiej szaty wyzierały nogawki niebieskich dżinsów. Zmieszany przyjrzał się nie zorganizowanemu tłumowi, po czym

uniósł wzrok ku oknu, jakby się zastanawiał, czy nie wyłączyć radia, a następnie szybko kazał wszystkim zgromadzonym, by usiedli na ławach oraz dywanach i słuchali. Ktoś mógłby uznać, że to niepatriotyczne nie przerwać pracy i nie słuchać, gdy przemawia Przewodniczący, ale gdyby wyłączyli radio teraz, kiedy przemówienie już się rozpoczęło, zostałyby to odebrane jeszcze gorzej. Padme wysłał wartownika z poleceniem, żeby Tybetańczycy za bramą gompy przyłączyli się do obchodów, i wpadł do budynku administracyjnego. Chwilę później pojawił się znowu, bez dżinsów, i usiadł na jednym z krzeseł na podium. Shan przypomniał sobie niebieskie dżinsy, które widzieli przy spalonym poletku ziół, i żółtą kamizelkę, którą Winslow dał mnichowi. Kiedy przybyli do gompy z rannym Padmem, rozpoznano go już z daleka. Gdyż kamizelka, podobnie jak dżinsy, należała do niego.

Na dziedzińcu pojawił się wysoki, siwowłosy, dystyngowany Tybetańczyk w garniturze, za którym szedł niemal identycznie ubrany krępy Chińczyk, pospiesznie poprawiając sobie krawat. Delegacja Urzędu do spraw Wyznań. Obaj wspięli się na podium i usiedli obok Padmego. Dropkowie i rongpowie, którzy zaczęli się schodzić całymi rodzinami, rozsiadali się na dywanach pod murem.

Później, gdy tłum posłusznie wpatrywał się w wystawiony w oknie głośnik, Shan spostrzegł dwóch mężczyzn w błękitnych uniformach, którzy wyszli z za centralnego budynku i skierowali się w stronę punktu medycznego. Nieśli nosze, na których spoczywał stary człowiek. Westchnął z ulgą. Tenzin zrozumiał, jaki układ miał zawrzeć z Khodrakiem. Shan skinął na Gyala i obaj powoli ruszyli wzdłuż muru.

Dwie minuty później, schludnie odziani w białe kurtki pracowników kuchennych, Shan i Gyalo podeszli do ekipy medycznej i oświadczyli siedzącemu przy drzwiach pielęgniarzowi, że przysłano ich po starca z chorą stopą. Odczekali dziesięć minut, aż wreszcie drzwi punktu medycznego otworzyły się i mężczyzna w błękitnie, ze stetoskopem na szyi, zaprosił ich gestem do środka.

–Jest teraz pod wpływem środków uspokajających. Fatalny upadek. Musiałem nałożyć opatrunek gipsowy, żeby unieruchomić

kość. Będzie chodził o kulach co najmniej przez miesiąc. – Lekarz pochylił się nad niekompletnym formularzem, gdy nagle ktoś zawołał, żeby przyłączył się do obchodów. Prezes Khodrak i jego goście czekali. Lekarz westchnął i rzucił formularz na stół. Nagle w drzwiach pojawił się pielęgniarz. W pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na Shana i Gyala, potem jednak drgnął i powoli odwrócił się twarzą do mnicha.

–To jeden z tych! – krzyknął, wskazując Gyala. – To jeden ze skreślonych! Trzeba zawiadomić prezesa!

Lekarz, zdezorientowany, otworzył usta, po czym spojrzał na leżącą dwa metry dalej na stole krótkofalówkę. Pochylił się, jakby chciał po nią sięgnąć, gdy nagle nie wiadomo skąd pojawiła się lina, która owinęła się wokół pielęgniarskiego ramienia, przyciskając mu ramiona do boków. Zanim mężczyzna zdążył krzyknąć, uderzył go w głowę jeden z drewnianych palików, na których rozpięta była lina przed kliniką. Pielęgniarka runęła na podłogę, zderzając się z lekarzem, który rzucił się po krótkofalówkę. Przez pomieszczenie przemknął długi, smukły kształt i nagle Winslow siedział okrakiem na lekarzu, który szamotał się, szarpiąc go za ubranie. Amerykanin zamachnął się pięścią, która zakreśliwszy szeroki łuk, zderzyła się ze szczęką lekarza, i mężczyzna opadł bezwładnie na plecy.

Winslow spojrzał z uśmiechem na dwóch nieprzytomnych, potem na Shana i Gyala.

–Jak zawsze powtarzam, temu krajowi potrzeba paru dobrych kowbojów. – Miał na sobie chubę oraz wojskową wełnianą czapkę, która zakrywała jego jasne włosy. Policzki przyciemnił ziemią. Wczesnym rankiem on i Nyma wspięli się na drzewo pod murem na tyłach gomy i zeskoczyli po drugiej stronie.

Szybko związali lekarza i pielęgniarkę bandażami, zakleili im usta plastrem i przenieśli ich w ciemny kąt w głębi ambulatorium.

Na tyłach gomy nie było nikogo. Pospiesznie zanieśli Lokesha do cel medytacyjnych przy stajni. Gdy otworzyły się zamaskowane drzwi, z kryjówki wysunęły się ręce i pomogły wciągnąć starca do środka. Shan odniósł puste nosze do punktu medycznego, gdzie oparł je o ścianę obok trzech innych. Po chwili wrócił do ukrytego schowka, teraz oświetlonego elektryczną

latarką Winslowa. Lokesh spał na materacu, który Shan widział poprzedniego dnia. Winslow i Nyma stali w drugim końcu pomieszczenia, przyglądając się półkom. W świetle latarki było widać, że leżą na nich peche, ponad tuzin tybetańskich ksiąg ułożonych w stosy, każda owinięta w zakurzony płat czerwonej tkaniny. Shan zwalczył pokusę przejrzenia starych ksiąg. Spojrzał jeszcze raz na Lokesha i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Na zewnątrz przystanął na chwilę, zastanawiając się, czy może zaryzykować powrót pod salę zgromadzeń. Jego pojawienie się mogłoby rzucać się w oczy – przemówienie Przewodniczącego trwało już w najlepsze. Okrążył od tyłu teren gomy i skierował się w stronę biur. Po frontowej stronie budynku Przewodniczący wciąż przemawiał, teraz na temat przemysłu elektronicznego, wymieniając nazwy fabryk i wybitnych przodowników pracy. Shan wysłuchał dziesiątków przemówień pierwszomajowych na placu Tiananmen w Pekinie. Mogły trwać godzinę albo i dłużej. Tylnym wejściem wszedł do budynku. W przedsionku stał mały stolik zastawiony talerzami i kubkami. Wśród nich leżała porzucona w pośpiechu gazeta partyjna. Na kołku na ścianie wisiała granatowa marynarka od garnituru. Nałożywszy ją, Shan cicho przeszedł na korytarz i wspięł się po schodach na piętro. Minął pokój z głośnikami w oknie i ruszył dalej do sali konferencyjnej, przystając na chwilę na

widok szóstej szaty, która wisiała teraz na kołkach dla umarłych mnichów. Nie było jej podczas jego pierwszej wizyty. *Gyalo*, głosił wielki napis, *odstępca od Buddy*.

Przeszukał metodycznie pustą salę konferencyjną. Szafkę w kącie wypełniały pudełka plastikowych dorje i innych bibelotów, a także stos znajomych książeczek w czerwonych plastikowych okładkach. Święte księgi Pekinu. Na krześle leżała czarna skórzana torba na ramię, obok zaś kupka map takich jak ta, którą dał mu stolarz, przedstawiających postępy kampanii toczonej przez Norbu przeciwko staremu porządkowi. Mapa na wierzchu była w plastikowej koszulce, przypiętej do wielkiej koperty noszącej adres centrali Urzędu do spraw Wyznań w Lhasie.

Obok map leżało kilka kartek ze starej pechy. Ze słów, które Shan zdołał rozpoznać, oraz towarzyszących im rysunków roślin

wynikało, że są to wskazówki na temat zbioru i wykorzystywania ziół. Dwa metry dalej na długim stole leżały kolejne stare księgi, szersze niż peche, a pomiędzy nimi tabliczka ze znajomym nagłówkiem potępiającym feudalizm. Na tabliczce widniało może trzydzieści chińskich nazwisk. Przepisywano je ze starych papierów, które były rejestrami starej gompy. Były to, jak podejrzewał, imiona lamów i mnichów. Krzykacze notowali byłych mieszkańców Rapjung i Norbu, by sprawdzić, czy ktokolwiek z ich krewnych pozostał przy życiu. Shan w obozie otrzymał kiedyś podobne zadanie. Oficer polityczny kazał mu wyszukiwać w książkach telefonicznych nazwiska z wykazów dawnych mnichów. Pozostali przy życiu krewni mogli nie zostać ukarani, mogli nawet nigdy się nie dowiedzieć, że zostali zidentyfikowani. Ale Partia ceniła sobie takie dane, do ewentualnego wykorzystania w przyszłości, jako narzędzie wywierania nacisku, gdyby zaszła potrzeba uzyskania innych informacji albo zastraszenia. Do jednej ze stron przypięty był świstek białego papieru ze skrótowym chińskim tłumaczeniem. *Jokar Rinpocze*, mówiło, *starszy instruktor w Rapjung, a obecnie wysokiej rangi przedstawiciel kultu Dalai*. U góry świstka ktoś nabazgrał entuzjastyczną notatkę *Guru Dorje – to ten!* oraz dwukrotnie podkreślone słowa: *On pochodzi z Rapjung*. To był powód, dla którego ekipy medyczne pozostały w gompie. Odkryto cel podróży Jokara.

Na końcu stołu stała na stelażu tablica szkolna, na której widniała lista ponumerowanych reguł, z licznymi skreśleniami i poprawkami, jak gdyby wciąż były przeredagowywane i uściślane: *Zabrania się składania datków bezpośrednio mnichom i mniszkom. Wszystkie datki winny być przekazywane Komitetowi Kierowniczemu gompy i przezeń rejestrowane. Każdy, kto ofiarowuje więcej niż dwa procent dochodu, winien uiścić podatek wynoszący sto procent datku. Praca wkładana w odbudowę kaplic, kopców, gomp lub jakichkolwiek innych obiektów religijnych podlega zgłoszeniu, wycenie i stosownemu opodatkowaniu. Urząd do spraw Wyznań będzie ściśle egzekwował przestrzeganie prawa, zgodnie z którym wszystkie obiekty kultowe stanowią własność ludowego państwa. Osoby, które mają prywatne kapliczki, są zobowiązane płacić czynsz. Gompy zachęca się do podejmowania inicjatyw gospodarczych, a z czasem jednym z warunków przedłużenia licencji na działalność religijną będzie wykazanie zysku.*

Sprawiało to wrażenie dziwnego manifestu, platformy kampanii, której

powodzenie oznaczałoby prawdziwy koniec religijnego życia Tybetu.

Shan niespokojnie zerknął jeszcze raz na notatkę dotyczącą Jokara. *Guru Dorje*, nabazgrano na górze. Wyglądało to na bluźniercze przezwisko. „Guru” było sanskryckim słowem znaczącym to samo co „lama”, a dorje, piorunowe berło, stanowiło jeden z najważniejszych buddyjskich przedmiotów kultowych.

Pod tablicą na końcu stołu leżał stos raportów w lśniących okładkach. Każdy miał niemal dwa i pół centymetra grubości. *Pogodny Dobrobyt - rozkwit gospodarczy okręgu Norbu*, głosił tytuł. Shan spojrzął ponuro na raporty i przekartkował górny egzemplarz. Tekst przeplatały liczne diagramy, tabele i wykresy kołowe, w większości porównujące obecną aktywność gospodarczą w okręgu z dokonaniem w przeszłości. Okręg był wulkanem rozwoju, stwierdzał raport. Produkcja jęczmienia wzrosła o czterysta procent. Stada owiec powiększyły się trzykrotnie, stada kóz niemal pięciokrotnie. Poważne problemy zdrowotne, które niegdyś gnębiły ludność, zniknęły. Tarcia pomiędzy różnymi populacjami zostały zlikwidowane.

Obok raportów leżał przefaksowany krótki list z lhaskiej centrali Urzędu do spraw Wyznań, w którym gratulowano Khodrakowi i Tuanowi sukcesu w przeprowadzaniu Kampanii Pogodnego Dobrobytu i odnotowano, że ich propozycja spotkała się z entuzjastycznym poparciem w Lhasie i Pekinie. Lhasa z radością przyznała Norbu w nagrodę nowy instytut dla tybetańskich dzieci. Instytut. To dlatego Tuan wspominał, że trzeba więcej nauczycieli, to dlatego Drake był tak oburzony fałszowaniem danych przez Khodraka. Podpiszcie księgę, powiedział ludziom w Lamtso Gar, albo wasze dzieci będą was przeklinać, gdy dorosną.

Shan przystanął na chwilę w drzwiach i jeszcze raz spojrzął na tablicę, po czym wyszedł na wciąż pusty korytarz. Zaczerpnąwszy głęboki oddech, wszedł do biura. Trzymał się w cieniu, z dala od okna. Na zewnątrz siedziało przeszło stu ludzi, wpatrując się w stojący na parapecie głośnik. Nikt, miał nadzieję, nie odważył się zostać w środku i pracować podczas przemówienia Przewodniczącego. Szybko rozejrzał się po pomieszczeniu. Na ścianie nad szafką na akta wisiały przyklejone taśmą dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało Tenzina w sali konferencyjnej, gdzie niecałe dwa tygodnie wcześniej doszło do ich pierwszego spotkania z Khodrakiem, Drugie, wycięte z gazety, ukazywało Tenzina w mniszej szacie, z ogoloną głową, witającego kilku chińskich dygnitarzy. Podpis pod spodem głosił: *Tybetańczycy witają wicepremiera*. Nad drzwiami, niewidoczny dla tych, którzy zaglądali do środka z korytarza, rozwieszony był mały transparent z hasłem. *Uderzaj śmiało*, zachęcały chińskie znaki. Była to nazwa jednej z najbardziej agresywnych kampanii skierowanych przeciwko Tybetańczykom w ostatnich latach, w której krzykacze i pałkarze na pewien czas połączyli swe siły w kolejnej próbie oderwania palców Tybetu od różańca.

Zerknął na zegar. W tej chwili Somo i inni purbowie, przebrani w mundury 54. Brygady Strzelców Górskich, powinni już przeskakiwać przez tylny mur gompy. Nagle rozległy się brawa, zarówno z radia, jak i na dziedzińcu. Shan wypadł z biura i popędził do obszernego pomieszczenia zajmującego cały koniec piętra naprzeciw sali konferencyjnej, z oknami wychodzącymi na dziedziniec. Dotarł tam akurat na

czas, by ujrzeć Tenzina wyprowadzanego zza rogu budynku przez jednego z pałkarzy. Ukryty w cieniu, przyglądał się, jak Khodrak wstaje i przedstawia ważnych gości z Lhasy, po czym oświadcza, że czuje się zaszczycony, mogąc obwieścić nowinę, która odbije się echem po całym świecie. Słynny opat Sangchi, od tak wielu tygodni uważany za zaginionego, przybył do Khodraka i postanowił uhonorować Norbu, ogłaszając światu, w dniu pierwszomajowego święta, na stopniach ich własnej gomy, że nie uciekał ani nie został porwany, ale po prostu wycofał się w ustronie, żeby lepiej zrozumieć imperatyw socjalistyczny. Słuchacze przyglądali mu się z niedowierzaniem, aż wreszcie odpowiedzieli gradem oklasków. Dygnitarze z Urzędu do spraw Wyznań nachylili się do siebie, szepcząc z podnieceniem, po czym wstali i energicznie uścisnęli dłonie

Khodrakowi, a potem Tenzinowi. Opat Sangchi, zauważył Shan, miał na sobie jedną z obrzeżonych złotą frędzlą szat z Norbu.

Shanowi serce waliło jak młotem. Tenzin zabrał głos, wyrażając swą wdzięczność mnichom z gomy Norbu.

–Jeśli wprowadziłem lud Tybetu w błąd – mówił – proszę o wybaczenie. Być może sam przez długi czas byłem dezorientowany. Ale teraz, tu, w gompie Norbu, dzięki prezesowi Khodrakowi, zacząłem wyraźnie dostrzegać swoją ścieżkę. – Spojrzał na północ. – Jestem pustelnikiem wędrującym po bezdrożach – ciągnął melodyjnie. – Jestem samotnym żebrakiem. Zostawiłem za sobą kraj swego urodzenia i porzuciłem swoje żyzne pola.

Khodrak i Tuan wymienili nerwowe spojrzenia. Tenzin recytował jedną z pradawnych pieśni Milarepy, którą nucił niekiedy Lokesh. Niektórzy nazywali ją *Pieśnią kończącą*, gdyż powstała, gdy słynny nauczyciel leżał na łożu śmierci. Jeden z dropków podbiegł do podium i podał Tenzinowi khatę. Khodrak uśmiechnął się zimno i poruszył się niespokojnie, gdy kolejni Tybetańczycy zaczęli podchodzić do Tenzina z szalami modlitewnymi. Zerknął ze skrępowaniem na dygnitarzy, wstał i stanął obok Tenzina. Jeden z mnichów zbliżył się z aparatem fotograficznym i zrobił im zdjęcie.

Wzrok Shana powędrował ku ścianie przy oknie. Wisiała tam przypięta pinezką kolejna z map przedstawiających postępy kampanii wyjaławiania. Odwrócił się i rozejrzał po pomieszczeniu. Wzdłuż ściany przy drzwiach stał rząd szaf na dokumenty, nad którymi rozpięta była flaga Chin Ludowych. Za szafami, w kącie, stało otwarte kartonowe pudło. Jego zawartość pokrywała gruba warstwa kurzu. Były to fotografie, oprawione w jednakowe czarne ramki, w większości zrobione w salach bankietowych lub na stopniach ważnych gmachów państwowych. Na wszystkich był Tuan. Tuan w mundurze pałkarza, Tuan w garniturze, Tuan z Khodrakiem, Tuan wśród oficerów armii, nawet Tuan na Wielkim Murze. Shan uniósł wzrok. W każdym innym gabinecie takie zdjęcia stanowiłyby dumnie eksponowane trofea. Ale Tuan nie miał na ścianach żadnych własnych zdjęć, żadnych pamiątek swej kariery.

Zupełnie inne zdjęcie wisiało na ścianie za potężnym biurkiem. Był to wycięty z czasopisma lśniący obrazek przedstawiający małą chatkę nad okolonym drzewami

jeziorem, przed którą spoczywała wyciągnięta na brzeg łódka. Pod zdjęciem stał mały stolik z szufladą. Wysunął ją ostrożnie. W środku znajdował się wielki rzeźnicki nóż i kilkanaście paczek papierosów. Spojrzał znów na chatkę nad jeziorem. Scena miała w sobie coś z wyobrażeń o idealnej emeryturze. Spojrzał na nóż. Być może nim właśnie zabito Draktego.

Na pustym poza tym blacie biurka leżała porzucona strona z faksu. Shan przebiegł ją wzrokiem, nie dotykając jej. Notatka informowała, że zorganizowano transport dla delegacji z Norbu, zaproszonej na mającą odbyć się za dwa dni uroczystość z okazji inauguracji wydobywania ropy z doliny Yapchi. Lhasa uznała, że wydarzenie to stanowić będzie doskonałą okazję dla niecierpliwie wyczekiwanej ceremonii wręczenia nagród w ramach Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Wtedy też ogłoszona zostanie decyzja o założeniu instytutu Norbu. Delegacji towarzyszyć będzie fotograf oraz grupa ochroniarzy.

Od ściany do jednej z szuflad biurka biegł cienki czarny kabel. Shan wysunął szufladę i znalazł w niej biały telefon z tarczą, do którego z boku przyklejona była taśmą lista numerów. Podniósł słuchawkę, by się przekonać, czy jest podłączony, i ostrożnie odłożył ją z powrotem. Otworzył szufladę niżej i ujrzał buteleczki leków, przeszło dwa tuziny opakowań tabletek. Wstał i zaczął krążyć po pokoju. Po chwili zreflektował się, że znów stoi przy biurku i sięga po telefon. Szybko wykręcił pierwszy numer, wymieniony jako okręgowa centrala Urzędu do spraw Wyznań w Amdo.

Po piątym dzwonku w słuchawce rozległ się kobiecy głos:

–Wei. – Było to słowo, jakie słyszało się w telefonach w całym Chinach, nie powitanie, po prostu anonimowe zgłoszenie.

Shan zamarł i miał już odłożyć słuchawkę, spojrzał jednak na pięć cyfr wypisanych na tarczy telefonu i odczytał je kobiecie.

–Przykro mi – odparła. – Wszyscy inni są na obchodach. Jeśli mogę być w czymś pomocna...

–To święto bohaterów pracy – powiedział Shan.

–Tak – przyznała niepewnie kobieta.

–Chodzi o wyjazd do Yapchi – oświadczył Shan. – Ustalenia co do podróży.

Dyrektor kazał mi potwierdzić, że je otrzymaliśmy, i upewnić się, czy nie wprowadzono w ostatniej chwili żadnych zmian.

–Nie ma zmian.

Shan odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na zdjęcie chatki.

–Dyrektor przypomniał nam, że bohaterowie są wśród nas. Dlatego prosi o pełne nazwiska i adresy tych pięciu, aby mogli otrzymać uznanie, na jakie zasługują.

–Słucham?

–Dyrektor ma zamknięte zebranie z ludźmi z Lhasy. Postanowił, że w dniu takim jak ten należy uczcić wszystkich bohaterów ludu. Ci, którzy pracują w tajemnicy, zbyt często zostają przeoczeni.

–Ale musicie chyba...

–Wszyscy inni są na obchodach – przypomniał jej. – Jeśli obawiacie się o tajność,

podam wam ich numery ewidencyjne – powiedział, wyciągając kartkę, którą dała mu Somo, i starannie odczytał pięć numerów nie zidentyfikowanych pałkarzy Tuana.

–Dobrze – westchnęła kobieta. – Zaraz prześlę listę faksem.

Na zewnątrz znów rozległy się brawa. Shan odłożył słuchawkę, zamknął szufladę i rzucił się do frontowego okna. Khodrak klepał Tenzina po plecach. Shan, rozpinając swą pożyczoną marynarkę, odwrócił się i zamarł. W drzwiach stał dyrektor Tuan, wpatrując się w niego krwiożerczym wzrokiem.

–Mógłbym kazać was zastrzelić – wysyczał. – Mógłbym wpakować wam kulę w łeb, nim zapadnie noc. Kazałem was sprawdzić w Ministerstwie Edukacji. Podszywanie się pod pracownika rządowego. Naruszanie bezpieczeństwa państwowego.

–Zapominacie chyba, że nie pracujecie już w Urzędzie Bezpieczeństwa – zauważył drętwy Shan.

Dyrektor Urzędu do spraw Wyznań otworzył usta, by odpowiedzieć, ale przerwała mu kolejna salwa braw.

–Nie mamy czasu zaprzętać sobie głowy takimi subtelnościami – oświadczył szyderczo, gdy brawa ucichły, i wszedł do pokoju. – Kimkolwiek jesteście: uciekinierem, wyrzutkiem, a może dezterem, odkryjemy to. Potem będzie dość czasu, by zdecydować, co zrobić z kimś, kto podszywa się pod nauczyciela.

Ohyda. Są miejsca, gdzie możemy trzymać was w łańcuchach, dopóki nie zdecydujemy, jak najlepiej się was pozbyć. – Odwrócił się, jakby chciał wezwać pomoc.

–Nigdy nie twierdziłem, że jestem nauczycielem – odpalił

Shan. – Sami wyciągnęliście pochopne wnioski. Powiedzieliście też, że mógłbym się wam przydać. Daliście mi swoją wizytówkę. – Mógł liczyć jedynie na to, że zbije Tuana z tropu, kupi czas dla Somo i pozostałych.

Tuan otworzył usta, ale jego słowa utonęły w nagłym ataku kaszlu. Oparł się plecami o ścianę przy drzwiach, przyciskając chusteczkę do ust. Gdy kaszel ustał, zamknął na chwilę oczy, jakby zrobiło mu się słabo. Kiedy opuścił chusteczkę, Shan dostrzegł na niej różowe plamki.

–Co tu robiliście? – warknął Tuan, odpychając się od ściany. W jego głosie wciąż znać było gniew, ale ogień w oczach przygasł.

–Obserwowałem obchody, jak wszyscy. Byłoby niegrzecznie wchodzić między słuchaczy, kiedy przemawia tak znakomity gość.

–Wiedzieliście o opacie – stwierdził oskarżycielsko Tuan. – Byliście z nim. Tego pierwszego dnia, kiedy was widzieliśmy, prawdopodobnie ukrywał się za wzgórzem.

–Nigdy nam nie zdradził, że jest opatem.

Dyrektor minął Shana i podszedł do okna. Spojrzał na Tenzina, który w dalszym ciągu stał na podwyższeniu. Znów odwrócił się do Shana.

–Mieliśmy dzisiaj sporządzić raporty, zdecydować, kogo z niego zrobić, jeśli odmówi współpracy. Nielegalnego reakcjonistę. Może zabójcę naszego nieodżałowanego Chao – oświadczył zimno. Groźba była słabo zawołowana. Tuan musiał doprowadzić do końca polowanie na zabójcę Chao, ostatni etap wiodący do

ceremonii rozdania nagród w Yapchi. Tenzin byłby wygodnym kandydatem. Teraz trzeba będzie znaleźć kogoś innego.

–Ale to było zmartwienie Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego – odparł Shan, zerkając ku otwartym drzwiom. – Waszym zmartwieniem jest wygranie Kampanii Pogodnego Dobrobytu.

Tuan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem i westchnął. Wolnym krokiem podszedł do drzwi i zamknął je. Przez chwilę wyglądał jak stary, znużony człowiek, nie gniewny, ale zgorzkniały.

–To już osiągnęliśmy – oświadczył triumfalnie. Pozostaje tylko odebrać nagrodę.

Być może to była tajemnica, na której powinienem się skupić, pomyślał Shan. Być może nie przywiązywałem należytej wagi do stawki w dziwnej grze, którą rozgrywali Khodrak i Tuan.

–Wasze zdjęcie w lhaskiej gazecie? List gratulacyjny z Pekinu? – zapytał. Takie rzeczy zdawały się mieć niewielkie znaczenie dla człowieka, który trzymał swoje trofea w zakurzonej pudle. Przypomniawszy sobie tablicę w sali konferencyjnej, ową listę sprawiającą wrażenie manifestu. – Instytut? Pomnik w Amdo?

Oczy Tuana rozbłysły dziwnym blaskiem.

–Spokój – powiedział zmęczonym głosem. – Chcę tylko spokoju. – Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i przytrzymał je pod nosem, jak wtedy, gdy rozmawiał z Shanem w gabinecie na dole. Jego choroba, uświadomił sobie Shan, była w zaawansowanym stadium. – Problem z Tybetańczykami polega na tym, że oni wszyscy od małości uczeni są poprzestawać na małym. Tutaj są bogactwa, bogactwa ukryte w ziemi. Kiedy staniemy się wzorem dla innych, wszystko będzie możliwe.

My. Miał na myśli Khodraka i siebie. Miał na myśli ten okrąg, swój okrąg, jako model rozwoju gospodarczego. Był to zakurzony stary schemat: modelowe przedsiębiorstwo wykorzystywane do celów politycznych. Władze nie szczędziły takiemu przedsiębiorstwu subwencji, żeby zagwarantować jego sukces, stworzyć propagandowy model dowodzący poprawności przyjętej polityki. Wiele z najbardziej spektakularnych modeli okazało się później lipą, opartą na korupcji i sztucznie fabrykowanych wynikach produkcji. Przypomniawszy sobie fotografów i mnichów pozujących z młotkami w rękach, Padmego ustawiającego się do zdjęcia z młodymi pasterzami w nowych ubraniach, lekarzy fotografowanych z młodymi tybetańskimi matkami. Tuan i Khodrak dobrze znali tę grę. Przygotowali wszystko, ignorując prawdę, ignorując nawet reguły Kampanii Pogodnego Dobrobytu, ale przestrzegając reguły, jakich Tuan nauczył się podczas swej długoletniej kariery urzędnika państwowego oraz członka Partii. Ich instytut mógł się

wkrótce przerodzić w firmę, a mając kontrolę nad najważniejszym przedsięwzięciem gospodarczym w regionie, rządząliby małym państwem w państwie.

–Mój wspólnik kazał przekazać Urzędowi Bezpieczeństwa informację, że zabójca Chao uciekł do Qinghai. To było ryzykowne. Moi dawni koledzy bywają nadgorliwi.

Shan wpatrywał się w Tuana, próbując zrozumieć nie tyle jego słowa, ile jego samego. On również był niegdyś jednym z tych gorliwych oficerów, po czym przeszedł na emeryturę. Wycofał się i rozpoczął nową karierę, jeszcze twardszy, jeszcze bardziej bezduszny, bardziej zgorzkniały. Bardziej chory.

–Wasz wspólnik jest zapracowanym człowiekiem.

Tuan prychnął z rozbawieniem.

–Piorun pędzi szybko i uderza mocno. – Zabrzmiało to jak często powtarzany dowcip.

Shan zacisnął szczęki. Guru Dorje, mówiła notatka. Guru Piorun. To było przezwisko Khodraka. Ale Shan widział je już wcześniej, nabazgrane u góry żółtego świstka, który Somo znalazła w bucie Draktego, świstka z danymi funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

–Wasz wspólnik wypytywał Chao o waszą listę płac – oświadczył, obserwując uważnie Tuana. Chao nie przygotował tych danych dla Draktego. Być może pokazywał je Draktemu,

gdy nadszedł zabójca, ale notatka była przeznaczona dla Khodraka.

Dyrektor drgnął. Zerknął wściekle na Shana, nie zwracając uwagi na buczący faks przy biurku, po czym z wymuszonym uśmiechem wyjrzał przez okno na podium. Co dziwne, jego wzrok powędrował ku zdjęciu chatki nad jeziorem.

–Lubiłem tego Chao – wyznał lekkim tonem. – Był jedynym z moich pracowników, który opowiadał dowcipy. Zawsze potrafił dojść do ładu z pasterzami, kiedy zaczęli sprawiać kłopoty. – Jego oczy zwęziły się. – Znalazłem go w tej starej stajni. Nie żył od paru minut, rozplątany wzdłuż kręgosłupa jak świnia u rzeźnika. W pierwszej chwili myślałem, że te krwawe ślady są jego, ale potem uświadomiłem sobie, że nie mógłby podnieść się z taką raną. Wysłałem ludzi w pościg, ale zgubili trop w górach.

Shan przyjrzał się uważnie dyrektorowi, rozważając jego słowa. Tuan twierdził, a przynajmniej próbował przekonać Shana, że to nie on zabił Chao.

–Może ten, kto uciekł, wcale nie był zabójcą. Być może sam był ofiarą.

Tuan pokręcił głową.

–Przeczesaliśmy całe miasto. Założyliśmy blokady na drogach, zatrzymaliśmy cały ruch na dwadzieścia cztery godziny. Gdyby morderca był jeszcze w mieście, dopadlibyśmy go.

–Zakładacie, że nie zrobił tego nikt, kogo znacie.

Tuan wzruszył ramionami i przyjrzał się Shanowi, mrużąc oczy.

–Zakończę to, zamknę tę sprawę sam. Chao był jednym z moich ludzi. To do mnie należy decyzja. – W jego słowach pobrzmiwała nikła nuta żalu.

Shan poczuł, jak żołądek zaciska mu się na lodowaty supeł.

–Publiczna egzekucja wymaga raportów. Ktoś w Lhasie to sprawdzi. W aktach powinny być dowody.

Tuan wydawał się rozczarowany. Machnięciem ręki zbył sugestię Shana.

–Po tylu latach w Tybecie powinniście być mądrzejsi – powiedział drwiąco. – Człowiek dostaje państwową kulę w czaszkę niekoniecznie dlatego, że na to zasłużył.

Po prostu zawsze miał umrzeć w ten sposób. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech samozadowolenia, widać spodobał mu się własny dowcip. – To bardzo ułatwia pracę tutejszemu Urzędowi Bezpieczeństwa.

Shan odwzajemnił jego zimne spojrzenie.

–Tybetańczycy mówią też, że w życiu nie zdarza się nic, co nie miałoby wpływu na wszystko inne.

Tuan uniósł wargę, odsłaniając ząb. Z cichym, niemal bezgłośnym warknięciem rzucił ołówek na biurko.

–Następne kilka minut będzie najważniejsze w waszym życiu. Wyjdę teraz i przyślę strażnika, żeby pilnował drzwi od zewnątrz. Jeśli spróbujecie uciec, złapie was i zrobimy z waszymi stopami coś takiego, że już nigdy nie będziecie mogli uciekać. Kiedy obchody się skończą, możemy wrócić do naszej rozmowy, ale sprowadzę innych do pomocy. Nie jesteście głupi.

Jeśli napiszecie właściwe zeznanie, zanim przyjdę z powrotem, być może postanowię zatrzymać je i zostawić was przy życiu, zatrudnić was mimo wszystko. – Wyciągnął z górnej szuflady czystą kartkę. Mówił niedbałym tonem, bez cienia okrucieństwa. Spojrzał na Shana spod zmarszczonych brwi i wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Shan wpatrywał się przez chwilę w drzwi, próbując zrozumieć tego dziwnego człowieka. Nic z tego, co usłyszał, nie dawało mu powodów do zmiany poglądu, że to właśnie Tuan jest mordercą. A jednak Shan zmienił pogląd. Sprawiał to ton Tuana, jego zachowanie, brak gniewu lub pasji w jego głosie. Był zbyt swobodny, zbyt rozkojarzony, zbyt słaby, aby mógł być człowiekiem, który zadźgał Draktego i Chao. Ale, jak zasugerował Tygrys, Tuan mógł zastawić pułapkę, mógł stać obok ze swym nikłym uśmiechem i rozkazać jednemu ze swych ludzi, żeby wykonał całą robotę.

Wyrwał się z zamyślenia i rzucił się do frontowego okna. Prezes Khodrak znów na użytek fotografów ścisnął dłoń Tenzina. Pobiegł do okna po drugiej stronie pomieszczenia, wychodzącego na dziedziniec między budynkami, i otworzył je. Na dziedzińcu, jeśli nie liczyć łopoczących flag, nic się nie działo. Lina utrzymująca miniaturowe chińskie flagi była przywiązana do żelaznego haka nad oknem. Szarpnął ją, potem jeszcze raz, mocniej. Wychylił się z okna, ciągnąc obiema rękami. Mocowanie na ścianie przeciwległego budynku puściło.

Na korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków. Shan znieruchomiał na chwilę, po czym podbiegł do biurka, wyciągnął kartkę z faksu, zerwał ze ściany fotografię chatki nad jeziorem i wrócił pędem do okna. Wepchnąwszy papiery do kieszeni koszuli, złapał dyndającą luźno linę z flagami i zsunął się po niej. Chwilę później był już na ziemi.

Tuż po tym zza rogu wyłonił się Tenzin, prowadzony przez strażnika. Szli w stronę wejścia do drugiego budynku. Shan ruszył za nimi. Gdy dotarli do drzwi, drogę zagrodziło im nagle dwóch żołnierzy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, którzy wciągnęli Tenzina między siebie.

–To sprawa Urzędu do spraw Wyznań – mruknął strażnik.

–Już nie – warknął jeden z żołnierzy. – Ten człowiek jest

poszukiwany za naruszenie tajemnicy wojskowej. Z rozkazu pułkownika Lina.

Strażnik zerknął na drzwi, jakby miał nadzieję zobaczyć posiłki.

–Tu rządzi dyrektor Tuan. Urząd do spraw Wyznań...

–Powiedziałem: pułkownik Lin – odparł żołnierz, współczująco wzruszając ramionami. – Wszyscy tylko wykonujemy rozkazy, towarzyszu. Przekażcie to swojemu dyrektorowi – dodał i odwróciwszy się, pchnął Tenzina w stronę schodów.

Strażnik zawahał się, lecz z wyraźnie skonsternowaną miną ustąpił. Odwrócił się i podejrzliwie zmierzył Shana wzrokiem.

–Spójrzcie na to – niecierpliwie odezwał się Shan, wskazując zerwany sznur flag. – I to na Pierwszego Maja. – Strażnik obejrzał się na drzwi, spojrzął na Shana, na zwisającą linę,

wreszcie mruknął coś pod nosem i odszedł.

Chwilę później przy drzwiach kuchni Shan spotkał Tenzina oraz dwóch purbów w mundurach i pospiesznie zaprowadził ich do cel medytacyjnych. Tam pomógł Tenzinowi błyskawicznie zamienić mnisią szatę na strój dropki, po czym wszedł wraz z nim do ukrytej izby. Purbowie tymczasem odeszli w stronę muru na tyłach gompny.

Winslow wyglądał, jakby spał, ale Lokesh był najzupełniej rozbudzony. Ścisnął czule dłoń Nymy, niczym stary wujek na powrót połączony z rodziną. Oboje przeglądali jeden ze starych manuskryptów. Ze swym przekrzywionym uśmiechem uniósł wzrok znad księgi i Shan, obawiając się, by starzec nie wykrzyknął z radości, położył palec na ustach.

Gdy Tenzin usiadł obok niego, Shan wyjaśnił szeptem, że już wkrótce Khodrak i jego ludzie odkryją, że pomieszczenie, w którym go więziono, jest puste. Ale gdy pałkarze zaczną przeszukiwać teren, ktoś zwróci ich uwagę na dziwną scenę na stoku ponad gompą: będą to czterej ludzie w wojskowych mundurach prowadzący człowieka w bordowej szacie mnicha.

Tuan i Khodrak nie odważą się protestować zbyt głośno w obawie przed kompromitacją na oczach delegacji z Lhasy. Nawet gdyby Tuan zdecydował się ruszyć w pościg, dotarłby na szczyt zbyt późno, by znaleźć jakikolwiek ślad uciekinierów po drugiej

stronie grzbietu, gdyż na przebranych purbów czekały konie, które szybko uniosą ich poza zasięg wzroku. Nie będzie mógł wszcząć ogólnego alarmu, gdyż pomyśli, że Tenzin na powrót znalazł się tam, gdzie oficjalnie powinien być: pod nadzorem armii.

Potem, zanim jeszcze Khodrak i Tuan otrząsną się z zaskoczenia, Lhandro oświadczy, że ludność regionu chce złożyć hołd gompie i jej ważnym gościom, włączając się do obchodów. Długo oczekiwany wiosenny festyn Tybetańczyków wreszcie się rozpocznie.

Rozległ się gwizdek i chwilę później Shan usłyszał na zewnątrz tupot butów. Oparł się plecami o tylną ścianę. Niegdyś mnisi ukryli się tu przed mongolskimi najeźdźcami, powiedział sobie, zabrawszy z sobą najcenniejsze thanki i święte pisma. Myśl o pechach wciąż spoczywających na półkach, gdzie zostały ukryte, prawdopodobnie przed pięćdziesięciu laty, dodawała mu otuchy. Mimo wszystko

niektóre skarby udało się ocalić, a arogancja tych, którzy chcieli je zagarnąć, mogła i teraz posłużyć jako broń przeciwko nim samym.

Wyobraził sobie świąteczną procesję, tak jak opisał ją Lhandro. Pierwsze będą szły przystrojone jaki, wszystkie jaki z obozu, które dropkowie upiększali jeszcze poprzedniej nocy. Na samym przedzie, w girlandach czerwonej wełny, z sierścią zaplecioną w warkocze, pójdzie Jampa, prowadzony przez Gyala, mnicha, którego Khodrak ogłosił umarłym dla Buddy, z twarzą zasłoniętą świąteczną maską. Za jakami ruszą dropkowie w tradycyjnych odświętnych strojach, niekiedy przekazywanych z pokolenia na pokolenie, niektórzy z małymi bębenkami i damyem, tradycyjnym instrumentem strunowym z płaskowyżu Czangtang. Potem nadejdą tancerze w wymyślnych nakryciach głowy, jakich używano w tańcach cham, będących przedstawieniem ważnych historycznych lub mitycznych wydarzeń. Na koniec zaś dzieci poprowadzą w pochodzie swoje ulubione owce i psy. Będzie dużo hałasu i zamieszania, na co właśnie liczyli Shan i jego przyjaciele.

Nikt się nie odzywał. Kroki zadudniły jeszcze raz i ucichły w oddali. Przez chwilę skrzeczał głośnik, potem ktoś przemówił donośnym, choć nie wzmocnionym głosem. Lhandro. Nastąpiła cisza.

Po chwili dało się słyszeć narastający zgiełk zwierząt. Procesja okrążyła kompleks klasztorny, mijając salę jadalną i lhakang, punkt medyczny i młynek modlitewny. Shan nachylił się, wytężając słuch. Poprzez gwar wyłowił odgłos uderzeń, być może w bębny, a potem innych, głośniejszych, i nagle Tenzin dotknął jego ramienia. Ktoś stukał w ścianę od zewnątrz. Shan odsunął się od zamaskowanych drzwi, a one się otworzyły. Somo, z napięciem widocznym na twarzy, pomogła mu wyjść z kryjówki.

Gdy procesja jaków w ozdobnych uprzężach ciągnęła obok drewnianego budynku, Lhandro z kilkoma innymi rongpami stanął w drzwiach, żeby zasłonić wnętrze, i pogodnie nawoływał przechodzących przyjaciół.

–Lha gyal lo! Lha gyal lo! – Słowa te rozlegały się echem po całej gompie.

–Lha gyal lo! – wykrzyknął łamiącym się głosem Lokesh zza pleców Shana, który odwrócił się i ujrzał, że Nyma zasłania mu dłonią usta.

Wynieśli starego Tybetańczyka na korytarz, gdzie czekał Winslow, pochylony, z łokciami opartymi na udach. Somo i Nyma posadziły Lokesha na plecach Amerykanina, po czym przywiązały go grubym sznurem, który oplótły wokół piersi i talii Winslowa. Lokesh wybuchnął ochryplym śmiechem.

–Mój niebiański koń przybył! – wykrzyknął.

Gdy Amerykanin wstał, Somo zarzuciła na nich obu koc i spięła go na piersiach Winslowa szpilkami. Nagle pojawiło się sześciu tancerzy, dwaj w kostiumach szkieletów, pozostali przebrani za gniewne bóstwa opiekuńcze. Dwa kostiumy były dwuosobowe, przeznaczone dla tancerza i siedzącego mu na plecach pomocnika, z czworgiem ramion zakończonych dłońmi o długich szponach. Tancerze precyzyjnie się pod drzwi i przystanęli, jakby chcieli chwilę odpocząć, po czym wolno ruszyli dalej. Ale jeden dwuosobowy zespół zatrzymał się w drzwiach, a Lhandro i Somo ściągnęli z niego nakrycie, odsłaniając dwóch z dropków, których Shan widział poprzedniego dnia w ciężarówce purbów. W niecałą minutę naciągnęli rękawy

kostiumu na ręce Winslowa i Lokesha, a następnie nałożyli maskę na głowę starca. Winslow potknął się, wychodząc z budynku, zaraz jednak odzyskał równowagę i tanecznym krokiem włączył się w korowód. Słyszeli, jak Lokesh głośno chwali bogów. Shan odwrócił się i ujrzał, że Tenzin przebierany jest pośpiesznie w jeden z kostiumów szkieletów. W tej samej chwili czyjeś ręce nałożyły Shanowi na głowę maskę rozjuszonego jaka. Nyma podniosła długi, wąski pakunek owinięty w jej kurtkę. Była to, uświadomił sobie Shan, jedna z pech, które oglądała z Lokeshem. Rzuciła Shanowi porozumiewawcze spojrzenie i zamknęła zamaskowane drzwi. Resztę ksiąg mieli pozostawić w środku, ukryte w wonnym schowku.

Shan ruszył przed siebie niemal na oślep, ale przekonał się z ulgą, że ktoś go prowadzi, w stronę innych tancerzy. Już po chwili naśladował rytmiczne ruchy pozostałych, posuwając się trzy kroki naprzód, jeden w tył, potem jeden w bok, i powoli zmierzał w stronę bramy.

Za jego plecami beczwały owce, a ponurzy zazwyczaj mnisi z Norbu zaczęli wykrzykiwać zachęcająco do ciągnących z procesją dzieci. Gdy dotarli do ławek przy bramie, Shan zauważył, że Winslow zwalnia. Gdyby upadł i zsunąłby się z niego kostium, wszystko byłoby stracone.

Ale byli już niemal na zewnątrz, niemal przy bramie. Shan zbliżył się do Amerykanina, żeby go podeprzeć, gdyby zaszła taka potrzeba.

–Jeszcze raz! – zawołał przez megafon Padme. – Nasi dostojni goście proszą tancerzy o powtórkę!

Większość zgromadzonych wykrzyknęła radośnie. Shanowi zamarło serce.

Winslow odwrócił się, kierując ku Shanowi trupałą twarz maski. Potem, idąc za Tybetańczykami, fotografowani przez kilku mnichów, Shan, Winslow i opat Sangchi zatańczyli dla dygnitarzy Urzędu do spraw Wyznań.

Pół godziny później, ukryci w namiocie obok ciężarówki purbów, pozbyli się wreszcie kostiumów. Winslow, z twarzą zlaną potem, wyglądał na półżywego z wyczerpania, ale Lokesh promieniał radością. Śmiejąc się, gdy Somo i Nyma pomagały mu

zejść z pleców Amerykanina, wciąż wymachiwał rękoma, jak podczas tańca.

Winslow wyprostował się wreszcie i teraz dopiero spostrzegł, że jego ubranie zostało podarte w szamotaninie z lekarzem. Uniósł wiszący luźno strzęp kieszonki na piersi, oddartej z obu stron, i przyglądał mu się zdumiony.

–Czy miałem tu wizytówkę? – zapytał głucho.

Shan odpowiedział powolnym wzruszeniem ramion.

Winslow również wzruszył ramionami.

–Do diabła z nimi. Pokazaliśmy sukinsynom. – Zakręcił ręką w powietrzu, jakby rzucał lasso.

Milczący purbowie w pośpiechu realizowali końcowy etap planu. Przystrojone jak kłębiły się przy bramie. Dzieci bawiły się z psami wśród ławek. Dropkowie z bębnami i damyen usiedli przy podium i grali, podczas gdy purbowie zawinęli Lokesha w koc i zanieśli go do ciężarówki. Tenzin i Shan poszli za nimi. Pięć minut później zjeżdżali już na drogę wiodącą poza Norbu.

Nagle za nimi, na terenie klasztoru, rozległ się klakson jednej z białych terenówek, jakby jej kierowca usiłował pospieszyć się przez tłum i opuścić gompę. Purbowie dodali gazu.

–Nie ścigaliby wojska – zauważył z rozpaczą w głosie Lhandro, gdy dźwięk klaksonu rozległ się bliżej. – Muszą jechać po nas.

–Somo! Gdzie jest Somo?! – krzyknął jeden z purbów.

Gdy terenówka krzykaczy opuściła pędem dziedziniec gompy, Shan zmartwił. Rzucił koc na Tenzina i Lokesha i przyglądał się, jak biały pojazd usiłuje ich wyprzedzić.

Ale terenówka nie zatrzymała się. W środku siedziało pięciu krzykaczy Tuana, niecierpliwie dając znaki, żeby zjechali im z drogi.

Gdy ich stara ciężarówka z pomrukiem wolno wtoczyła się z powrotem na drogę, przy tylnych drzwiach pojawiła się czyjaś ręka i Somo wskoczyła do środka. Na jej twarzy malowała się mieszanina dumy i strachu.

–Nie mogłam pojąć, dlaczego oni tak łatwo zrezygnowali, dlaczego przynajmniej nie ruszyli w pościg za żołnierzami – mówiła niespokojnie. – Więc zostałam przy mównicy. Padme wybiegł z faksem i dał go do przeczytania Khodrakowi i gościom. W pierwszej chwili Khodrak osłupiał i zaczął mówić słowa, jakich nie powinien nigdy wypowiadać ktoś, kto nosi mnisią szatę. Potem nagle uspokoił się i uśmiechnął. Powiedział, że żołnierze przekonają się, że być może ukradł armii opata Sangchi, ale za to teraz armia ma więźnia, który powinien należeć do niego. Że ma na to dowód ze starych tybetańskich ksiąg. To będzie jeszcze większe zwycięstwo niż odkrycie zbiegłego opata, powiedział. W całym Tybecie nie znalazłoby się nikogo, kto lepiej uosabiałby dawną epokę ucisku i zacofania. – Spojrzała smutno na Shana, potem na Tenzina. – Cóż to za lekcja dla wszystkich, powiedział Khodrak. Cóż to za zwycięstwo.

To mogło oznaczać tylko jedno. Zostawili sędziwego lamę w górach wraz z Linem. Ale żołnierze Lina znaleźli w końcu swego pułkownika, który zrobił, co obiecał. Zaareztował Jokara.

Rozdział siedemnasty

Gdy następnego dnia rano wrócili na Skalę Mieszania, nie zastali tam nikogo.

–Żołnierze – powiedziała Somo, idąc z lampką maślaną przez puste izby. – Wypatrywali z helikopterów. Lin musiał dać im sygnał. To tak znaleźli Jokara Rinpocze.

Rodziców Lhandra i Anyi również, pomyślał gorzko Shan. Wszyscy zniknęli.

–To znaczy, że nie możemy tu zostać – oświadczył. – Musimy wrócić do wodnej jaskini. – Winslow, Tenzin i purbowie

zanieśli Lokesha na noszach do jaskini Larkin. Shan, Somo

i Nyma ruszyli wraz z Lhandrem dalej, na mały płaskowyż.

Skąpy dobytek tych, którzy ukrywali się na Skale Mieszania, leżał nietknięty, jakby musieli je opuścić, nie mając czasu się spakować. Naczelnik Yapchi z grobową miną uklęknął przy pustym posłaniu ojca. Jego rodzice nie przeżyją długo w więzieniu. Zostawił ich szczęśliwych, rozradowanych obecnością lamy uzdrowiciela,

ale zostali wyrwani stąd, przeniesieni w brutalny, bezduszny świat, którego nigdy nie pojmą. Drżącymi palcami dotknął rogu oprawionego zdjęcia spoczywającego w głowach posłania i z jego gardła wymknął się cichy, zdławiony dźwięk.

–Niektórzy dropkowie – odezwał się – nazywają helikoptery podniebnymi demonami. – Podniebny demon wylądował

i pożarł jego rodziców. Tak się zdarzało. Helikoptery zjawiały się bez ostrzeżenia i porywały kogoś, kogo nie widziano już nigdy więcej. W dawnych czasach, powiedział kiedyś Shanowi pewien dropka, podniebne demony robiły to samo, ale z pomocą błyskawic. Lhandro, ze wzrokiem utkwionym w zdjęciu, otworzył usta, jakby chciał zapytać dlaczego. Nie to, że jego rodzice mogli stracić życie, sprawiało mu największy ból, wiedział Shan, ale że nigdy nie będzie wiedział, czy odprawić rytuały pośmiertne, kiedy ani gdzie ich opłakiwać i czy w ogóle powinien to robić, czy też ich szukać po więzieniach.

–Chcieliśmy tylko odzyskać nasze bóstwo – szepnął Lhandro do zdjęcia. Opadł na kolana obok posłania, przed wizerunkiem dalajlamy, i rozpoczął mantrę do Bodhisattwy Współczucia.

Shan rozejrzał się po izbie.

–Dlaczego – zapytał powoli – żołnierze zostawili to zdjęcie na wierzchu?

Somo spojrzała na niego, potem znów na fotografię dalajlamy. Była to rzecz z gatunku tych, które żołnierze darzyli szczególną nienawiścią, rzecz, jaką rozbiliby o ścianę lub wdeptaliby w ziemię obcasem.

Lhandro, zbity z tropu, uniósł wzrok. Somo uklękła, czujnymi oczyma przepatrując izbę. Nagle zerwała się na równe nogi – od drzwi dobiegł ich przerażony krzyk Nymy.

Na zachodnim stoku pojawili się dwaj ludzie. Szli wolno, raz po raz przystając, by spojrzeć na roztaczający się w dole widok. Somo gestem odesłała wszystkich z powrotem za skały, dopóki nie stało się jasne, że zbliżający się są Tybetańczykami. Obaj byli w chubach dropków, jeden, wyższy, miał na głowie okrągłą czapkę. Przez lornetkę Shan zobaczył, że trzymają się za ręce. Potem nieznajomi zatrzymali się i usiedli na płaskim głazie dwieście metrów od nich.

Somo westchnęła.

–Możemy zapytać tych pasterzy, czy coś widzieli. Ale na razie musimy spakować wszystko, co zostało. Nie możemy zostawić żadnych dowodów. Jeśli oni wrócą, jeśli uznają, że to jest

kryjówka purbów, wysadzą wszystko w powietrze – oświadczyła ponuro i wróciła do środka. Pozostali weszli za nią.

Pięć minut później Shanowi zdało się, że słyszy śmiech. Zastygł w bezruchu. Spojrzał na Somo, która także znieruchomiała. Wstali od tobołków, które wiązali z kocy, i ostrożnie wyjrżeli na zewnątrz.

Na łączce Anya, ubrana w zbyt obszerną chubę, kopała jabłko jak piłkę, podczas gdy ktoś odwrócony do nich plecami starał się

ją zablokować. Był to ubrany w chubę i okrągłą czapeczkę mężczyzna, którego widzieli wraz z nią na stoku. Nagle Anya uśmiechnęła się z zaskoczeniem i pomachała do Shana, ruszając w jego stronę. Towarzyszący jej mężczyzna odwrócił się. Somo wydała zdławiony okrzyk. Był to Lin,

Pułkownik zamarł. Jabłko potoczyło się obok niego. Choć Shan uznał to za niewiarygodne, przez chwilę zdawało mu się, że dostrzegł na twarzy Lina błysk rozbawienia. Zaraz potem jednak rysy mu stężały, a resztki uśmiechu na wargach zmieniły się w gniewny grymas.

–Wieczny uciekinier – odezwał się szorstko, gdy Anya podbiegła do Nymy i rzuciła się w jej objęcia. – Wiedziałem, że nie odejdziesz daleko.

–Mam nauczyciela – odparł spokojnie Shan – który twierdzi, że jednym z moich problemów jest to, że nigdy nie uciekam. – Przyjrzał się Linowi. Pod grubą chubą, w której rozpoznał teraz własność ojca Lhandra, widać było wojskowe spodnie. Zamiast bluzy od munduru pułkownik miał na sobie czerwoną koszulę, jakie nosiło wielu dropków. Jego oczy patrzyły jasno, nogi były znów pewne. – Ale w Tybecie – dodał Shan – czasem trudno zrozumieć, co oznacza ucieczka.

–Pokazałam Aku Linowi, gdzie kwitną te różowe kwiaty, które nazywamy jagnięcymi noskami – wtrąciła się Anya. Stała przed Linem, jakby go osłaniała. – Zebraliśmy trochę zieleniny na obiad.

Aku Lin. Dziewczyna nazwała pułkownika wujkiem Linem. Shan spojrzał na nią, potem na Lina, wreszcie na Somo. Ich obecność oznaczała, że żaden helikopter nie odkrył ich kryjówek.

–Jak długo jesteście tu sami? – zapytał.

–Trzy dni – odparła dziewczyna, podchodząc bliżej. – Lama uzdrowiciel kazał mi zostać z Linem. Powiedział, że tego nam trzeba – dodała cicho. Zdawało się, że szuka czegoś w twarzy Shana, potem Somo, wreszcie z niepewną miną zwróciła wzrok w stronę świetlicie białego szczytu góry, jak gdyby działa się coś, czego nie rozumiała.

Shan przypomniał sobie radosną bez troskę na jej twarzy, kiedy bawiła się z Linem, i niski śmiech pułkownika. Tego właśnie, miał na myśli Jokar, było im trzeba.

–Ale oni zostali aresztowani. Jokar i inni. Gdzie ich zabrali?

–Aresztowani?! – krzyknęła Anya. – Nie! Powiedzieli, że wkrótce wrócą. Poszli tylko do Yapchi – wyjaśniła. – Najpierw rozmawiali o tym przez całą noc. Raz, kiedy się obudziłam, Lepka... – Spojrzała ponad ramieniem Shana na Lhandra, który właśnie podszedł do nich, i umilkła.

–Co? – zapytał Lhandro. – Co zrobił mój ojciec?

Anyą spojrzała na niego przepraszająco. – Płakał.

Lhandro zerknął na Lina oskarżycielskim wzrokiem. Lin odpowiedział mu spojrzeniem, zaciskając pięści, jakby szykował się do walki.

–Nie... chodziło o uzdrowienie doliny. Nie rozumiałam wszystkiego, o czym mówili. To dotyczyło dawnych spraw, z czasów, kiedy on i Jokar byli dziećmi.

–Uzdrowienie doliny? – zdziwiła się Somo. – Masz na myśli uzdrowienie ludzi z Yapchi?

Anya wolno pokręciła głową.

–Tak powiedzieli – odparła i spojrzała na Shana. – Doliny. Myślę, że mieli na myśli nasze bóstwo. Po tej rozmowie zdawało się, że wiedzą już, co się z nim stało. – Wzruszyła ramionami. – Następnego dnia odeszli o świcie. – Wpatrywała się w Lhandra, jakby szukała u niego odpowiedzi. – Patyki. Jokar powiedział, że patyki będą potrzebowały błogosławieństwa.

–Lekarstwo – powiedział Lhandro do Shana, zerkając z nie skrywanym gniewem na Lina. – Pewnie poszli po to lekarstwo. Po te zioła, których szukał Lokesh.

Ale Lin nie sprawiał wrażenia, jakby potrzebował jeszcze ziół. Najwyraźniej wyszedł ze wstrząsu. Łubki zniknęły z jego nadgarstka, który był teraz owinięty paskiem materiału.

Stali w milczeniu. Lin zerknął na Shana, podszedł do jabłka i wściekłym kopniakiem posłał je za krawędź urwiska.

–Oni dostali wasz list – odezwał się do niego Shan. – Wiedzą już, że żyjecie.

–Wróć do swoich ludzi – warknął wyzywająco Lin, jakby się spodziewał, że ktoś się sprzeciwi. Odszedł i usiadł na głazie za sękatym drzewem.

Anya odprowadziła go zatroskanym wzrokiem.

–On miał siostrę, dużo młodszą od niego, ale umarła. Czerwona Gwardia. Potem te wszystkie lata w wojsku – powiedziała. – Kiedyś przez cały rok mieszkał we wnętrzu góry przy granicy z Indiami. – Spojrzała na Shana i Nymę. – On nigdy nie nauczył się czcić swego wewnętrznego bóstwa. Myślę – dodała smętnie, lecz z uporem – że nigdy nie nauczył się, jak je znaleźć. – Nie wiedzieć czemu zabrzmiało to tak, jakby z tego właśnie powodu został przysypany przez skały.

–Musisz go zabrać na dół – oświadczyła napiętym głosem

Somo. – On jest zbyt niebezpieczny. Jeśli tu zostanie, ściągnie na nas wielkie nieszczęście.

Anya spojrzała na równinę. Shan nie był pewny, czy w ogóle słyszała te słowa.

–Mój dziadek, kiedy jeszcze żył, zabierał mnie do swojego małego sadu na zboczu. – Głos dziewczyny był ledwie odróżniany od wiatru. – Pokazywał mi, jak niektóre drzewa rosną skarłowaciałe i nie rodzą owoców, jeśli nie zostaną osłonięte przed zimnem. Chronił je małymi kamiennymi murkami, ale zawsze zostawiał jedno lub dwa bez osłony, żeby o tym pamiętać – ciągnęła. – Te drzewa, które musiały poświęcać wszystkie siły życiowe na walkę z mrozem, nigdy nie dawały owoców.

–Zabierz go na dół – powtórzyła z naciskiem Nyma. Dostrzegła, że do oczu Anyi napływają łzy, i otoczyła ją ramieniem, przyciskając jej głowę do swego barku. – Na stoku poniżej wioski Chemi jest ten mały czorten. Spotkamy się tam z tobą jutro w południe. Zdążymy potem pójść razem do Yapchi. Niektórzy mieszkańcy mogli wrócić do tego małego jaru. Może uda się nam dowiedzieć, co stało się z Lepką i Jokarem. Może jeśli po prostu porozmawiamy szczerze z tymi Chińczykami, oni zrozumieją – dodała, ale jej głos był pełen wątpliwości.

Anya, przygryzając dolną wargę, przyjrzała się uważnie chłodnej twarzy mniszki.

–Oni zabrali Jokara Rinpocze – dodała Nyma, jak gdyby chciała się upewnić, że dziewczyna rozumie.

Anya spuściła wzrok ku ziemi i powoli, z roztargnieniem, pokiwała głową.

Gdy pozostali wrócili do pakowania dobytku w ukrytych izbach, Shan znalazł sobie głąz obok Lina i usiadł, obserwując szybującego pod nimi jastrzębia. Nagle ogarnęła go fala bezradności,

pozostawiając w nim smutek i pustkę, i przez kilka minut nie mógł wypowiedzieć słowa.

–Kiedy byłem bardzo mały – odezwał się w końcu – ilekroć spadł śnieg, ulicami szły długim rzędem kobiety z miotłami z sitowia i zmiatały go do rynsztoka. Śniegu nigdy nie było wiele, trochę drobnego pyłu, a one zwykle przychodziły przed świtem, kiedy leżałem w łóżku między matką i ojcem. Zawsze budziliśmy się i słuchaliśmy, gdyż był to piękny dźwięk. Matka mawiała, że szuranie mioteł brzmi jak wodospad, i wyobrażała sobie, że jest w górach. Ojciec porównywał to z przejściem gąsienicy, gdyż tak właśnie wyglądał rząd zamiataczek: długie, szare stworzenie o wielu nogach wzbijające za sobą pył. Czasami one śpiewały. Nie polityczne pieśni, zwykle dziecinne piosenki o płatkach śniegu i wietrze. Czasami moja matka śpiewała wraz z nimi w ciemnościach, cichutko, szeptem. Teraz to wszystko powraca czasem do mnie w snach, ale tylko jako dźwięki, nie obrazy, bo było zawsze ciemno, kiedy to się działo. Po prostu słyszę tę gąsienicę i czuję, jak ogarnia mnie spokój. Czasem przez całe tygodnie jedynymi spokojnymi chwilami są dla mnie te sny.

Lin spojrzał na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczyma i bez słowa pokiwał głową. Znowu siedzieli w milczeniu. Shan pokazał sznur lecących w oddali białych ptaków. Lin śledził je wzrokiem, dopóki nie zniknęły za chmurą.

–Ona prosiła mnie, żebym już nigdy nie strzelał do ptaków – powiedział cienkim głosem i pytająco spojrzał w oczy Shana.

Shan tylko skinął głową.

Pułkownik odwrócił się znowu w stronę chmury, jakby wciąż widział ukryte w niej ptaki.

–W Tybecie wzrok sięga daleko.

Shan ponownie skinął głową.

–Aż na drugą stronę, powiedział mi kiedyś pewien lama.

Lin przyjrzał mu się badawczo.

–Chciał przez to powiedzieć, że czasem, spędziwszy tu pewien czas, zaczyna się inaczej widzieć siebie i swoją przeszłość – dodał Shan.

Lin zacisnął zęby.

–Wiecie, ona nigdy nie chodziła do szkoły. Ani jednego dnia. Mogłaby przejść specjalne testy. Mógłbym umieścić ją w

dobrej szkole. Miałaby jakąś przyszłość. – Spojrzał znowu na Shana. – Co za życie czekają tutaj? Ci ludzie zostali wysiedleni – dodał niepewnie, jakby nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Spojrzał na swoje dłonie. – Mógłbym zabrać ją do prawdziwych lekarzy, żeby obejrzeli jej nogę.

–Wasi żołnierze zabrali Jokara – zauważył Shan. – Lamę uzdrowiciela.

–Nie – zaoponował Lin. – To tylko stary człowiek. On nikogo nie skrzywdził.

Shan spojrział na niego zbity z tropu. Brzmiało to niemal jak obrona lamy uzdrowiciela.

–Myślę, że to się stało dlatego, że krzykacze zabrali opata Sangchi.

Lin znów spojrział w stronę horyzontu.

–To wszystko nie jest odpowiednie zajęcie dla żołnierzy. Naszym zadaniem jest strzeżenie granic. – Spojrział na stare drzewo. – Opat nie powinien był zabierać tamtych papierów. Ja chciałem tylko je odzyskać.

–Czy one były naprawdę tak ważne? – zapytał Shan, przyglądając mu się z uwagą. Przypomniawszy sobie, że purbowie unikali rozmów na ten temat.

Lin spojrział mu prosto w oczy, po czym odwrócił wzrok.

–Tajemnica wojskowa – mruknął.

–W takim razie dlaczego to nie Urząd Bezpieczeństwa go ściga? Wydaje mi się, że Urząd Bezpieczeństwa wcale nie wie o tej kradzieży. Wydaje mi się, że tu chodzi o 54. Brygadę – podsunął Shan. – Może o honor 54. Brygady.

–Ścisłe tajne – mruknął Lin. – Czterech moich żołnierzy oddało życie za tę tajemnicę.

–To Urząd do spraw Wyznań zabrał Tenzina – oświadczył Shan, obserwując Lina, ciekawy jego reakcji. – I mnich imieniem Khodrak. Khodrak widział Tenzina w Lhasie, zanim zabrano kamień. Widział go z byłym mnichem, Draktem. Myślę, że natknął się na Draktego jeszcze raz w ubiegłym miesiącu, niedaleko stąd, i zaczął szukać Tenzina.

–To kłamstwo – oświadczył Lin silniejszym głosem. – Nic takiego nie zgłoszono. W przeciwnym razie poszukiwania prowadzono by tutaj, nie wzdłuż granicy z Indiami.

–To nie kłamstwo – odparł Shan. – Khodrak i krzykacze, pewni krzykacze, nie chcieli, żeby ktokolwiek inny dowiedział się o tym. Podobnie jak wy nie zdradziliście nikomu, dlaczego naprawdę przybyliście do Yapchi. Wygląda na to, że mnóstwo oficjeli pracuje nieoficjalnie.

Lin skrzywił się i przymknął oczy. Mógł to być ból albo zmęczenie, a może po prostu próbował zakończyć rozmowę.

–Krzykacze chcą odebrać Jokara waszym ludziom. Jokar pomógł was wyleczyć – przypomniał mu Shan. – Naprawdę przekazalibyście go krzykaczom? – Gdy Lin nie odpowiedział, podniósł się na nogi. – Musicie wracać – powtórzył. – Jutro.

Gdy Shan odchodził, Lin rozchylił starą chubę i spojrział na czerwoną koszulę, którą teraz nosił.

–Nie mogę znaleźć mojej bluzy od munduru – powiedział, marszcząc brwi.

Ale w izbie jego bluza leżała złożona starannie na posłaniu. Shan i Somo wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Somo miała na sobie bluzę pułkownika w Norbu.

–Musimy wysłać ludzi, żeby go stąd zabrali – oświadczyła, gdy cofnęli się z powrotem do drzwi.

Wysłać purbów, uświadomił sobie Shan. Dziewczyna miała na myśli, że purbowie powinni przyjść i siłą usunąć Lina.

–Nie – odparł. – To byłoby gorsze rozwiązanie. Musimy... –

Przez chwilę szukał właściwego słowa.

–Zaufać? – dokończyła Somo. – Chcesz, żebyśmy zaufali Linowi?

–Nie Linowi – wyjaśnił Shan, spoglądając na szczyt góry

Yapchi. – Lokesh powiedział, że to miejsce ma potężną moc uzdrawiającą. Myślę, że musimy zaufać tej mocy.

Somo zmarszczyła brwi, obróciła się na pięcie i wyszła.

Kwadrans później pożegnali się z małym płaskowyżem, zostawiając Lina i Anyę z zapasem jedzenia wystarczającym jedynie na dwa posiłki. Shan skinął głową pułkownikowi, który wciąż jeszcze siedział przy karłowatym drzewie. Lin skrzywił się w odpowiedzi. Anya nie odprowadziła ich. Stała na uboczu, śpiewając jedną ze swych pieśni, która brzmiała jak lament, i przez chwilę Shan starał się nadaremnie przeniknąć jej twarz, zrozumieć,

jaką prawdę dostrzega tym razem. Kiedy obejrzał się za siebie, dziewczyna stała na samym skraju urwiska, spoglądając w przepaść.

Jaskinia Zielonej Tary wyglądała niczym noclegownia. Była tu Chemi, jej wuj Dzopa, wciąż nieprzytomny, oraz ponad tuzin Tybetańczyków, znanych już Shanowi z obozowiska za wioską Yapchi. Rongpowie rozmawiali podnieceni o wiosennym festynie i o cudownej ucieczce opata Sangchi. Siadali obok Tenzina, prosząc go o błogosławieństwo. Opowiadali, że ludzie z odległych wiosek przybywają i gromadzą się na górze, twierdząc, że to, co stało się w Norbu, jest zapowiedzią tego, co nastąpi, gdy tron Siddhiego zostanie wreszcie zajęty.

Shan przysłuchiwał się temu pełen złych przeczuć, które wzmogły się jeszcze, gdy spostrzegł, że Lokesh i Winslow prowadzą gorączkową rozmowę z kilkoma purbami, którzy przynieśli paczki zapasów. Jokar wciąż jest w Yapchi, potwierdzili, i nawet pozwolono mu poruszać się swobodnie, choć towarzyszył mu zawsze jeden z żołnierzy Lina. Kierownik obozu wezwał lekarza, by zbadał kruchego starca, ale Jokar nie zgodził się na badanie. Rodzice Lhandra byli z nim albo w pobliżu niego – niejako więźniowie, po prostu nie chcieli go samego.

–Najczęściej siedzą przy wykopaliskach z tym chińskim profesorem – dodała Larkin.

–Była pani tam? – zapytał Shan. Ponownie rozejrzał się po jaskini. Sprzęt laboratoryjny i starsi Tybetańczycy wyglądający na profesorów zniknęli.

–W górach nad doliną – odparła Amerykanka. – Wczoraj. Robiłam pomiary. Mieliśmy lornetki. W obozie przybyło żołnierzy. Postawili posterunek kontrolny u wejścia do doliny. Zatrzymują każdego, kto przybywa drogą. Rozstawili czujki na stokach nad obozem.

–Pomiary? – zdziwił się Shan, spoglądając to na nią, to na Winslowa. – Przecież nie szuka już pani ropy.

Larkin zignorowała go. Winslow uniósł dłonie na znak, że o niczym nie wie. Ale Shan spostrzegł rozłożoną na kamiennej płycie nową mapę, opatrzoną nazwą spółki

naftowej szczegółową

mapę plastyczną doliny Yapchi i drogi łączącej ją z główną szosą. Podszedł bliżej. Wzdłuż południowych stoków doliny naniesiono kilka nowych przerywanych linii, każdą w innym kolorze. Larkin wsunęła się przed niego, zakrywając ją przeglądową mapą prowincji Qinghai. Nyma opuściła grupę purbów i podeszła do Shana.

–W obozie wszyscy mówią, że spodziewają się ropy jutro lub pojutrze – oznajmiła zrezygnowana.

Słowa te brzmiały jak epitafium. Gdy ekipa Jenkinsa natrafi na ropę, będzie po wszystkim. Los doliny będzie przypieczętowany. Zbocza zostaną kompletnie ogołoczone z drzew. Pola jęczmienia zostaną zryte przez maszyny spółki. Pieśni skowronków zastąpi warkot silników, woń wiosennych kwiatów -gryzące wyziewy.

–Za niecałą dobę – potwierdziła ponuro Larkin. – Zaproсили już grupę dygnitarzy, z Lhasy i z Golmudu, na wielką fetę. Nyma zerknęła na purbę, który leżał na posłaniu.

–Kto wyjął mu kulę? – zapytała.

–Ja – odparła Larkin. – Nie było nikogo innego. Zaciskał w zębach rzemień. To tylko mięsień. Lokesh mówi, że jego krew wciąż jest silna.

Shan spojrział z przerażeniem na rannego purbę. Kula. Serce mu zamarło, gdy zauważył na półce nad mężczyzną wojskowy karabin.

Ponownie przyjrzał się Larkin, przypominając sobie, jak była rozczarowana, gdy musiała zostawić przysłane materiały wybuchowe.

–Nie możecie – usłyszał nagle własne słowa. – Ci ludzie – dodał z bólem, wskazując uciekinierów w jaskini – dość już wycierpieli.

Larkin spojrzała mu w oczy.

–Kowboj ma ich nazwiska i numery ewidencyjne. Dopilnuje, żeby ich przesiedlenie przebiegło prawidłowo. Przy następnej wizycie w Tybecie przedstawi mi raport.

Winslow uniósł wzrok, uśmiechając się szeroko do Shana. Kowboj.

Z drugiego końca sali dobiegł ich pomruk zaskoczenia. Shan uniósł wzrok i ujrzał sześciu barczystych Tybetańczyków wnoszących dwójkami ciężkie drewniane skrzynie na grubym drągu. Larkin podeszła do nich i pomogła im spiętrzyć pudła w głębi jaskini.

–Był wypadek – odezwała się obok niego Somo.

Głos miała niepewny, pobrzmiwał w nim niepokój. – Oni się śmiali, bo powiedzieli, że ciężarówka spółki zsunęła się z drogi.

Shan ruszył wokół sali, trzymając się z dala od Larkin. Podszedł do skrzyń. Były opisane po chińsku. *Przedsiębiorstwo Naftowe Qinghai*, głosiła etykieta. *Kruszące materiały wybuchowe*. Wyszedł na zewnątrz, walcząc z poczuciem klęski, które najwyraźniej ogarnęło Nymę i Lhandra. U wylotu jaskini natknął się na Winslowa, stojącego nad kłębiącą się wodą pogrzebaną rzeki.

–Niektórzy z Tybetańczyków przypisują temu miejscu wielkie znaczenie – powiedział Amerykanin. – Twierdzą, że to jest łącznik.

–Łącznik?

–Nie rozumiem wszystkich słów, jakich używają. Jeden z nich nazwał to bramą. Myślę, że oni mają na myśli przejście do innego świata, do jednej z tych ukrytych krain. Melissa powiedziała mi, że Tybetańczycy wierzą, iż jest wiele zamieszkanych przez ludzi światów, niektóre niewidzialne dla większości z nas, i wiele różnych piekieł i rajów. Nyma opowiadała, że dawno temu, nim się urodziła, pewna stara mniszka, która mieszkała w pobliżu, sprowadziła tu swoje uczennice i oświadczyła, że bóstwo żyjące w ukrytej krainie za tą bramą wezwało ją do siebie na rozmowę. Potem po prostu skoczyła w tę czeluść.

Shan spojrział na kłębowisko w dole. Tajemna rzeka Larkin. To już nie będzie to samo, pomyślał, kiedy geolodzy nadadzą jej nazwę i umieszczają na mapach. Rzeka ta była jedną z najdzikszych i najbardziej nieujarzmionych części tej dzikiej i niemal nieujarzmionej krainy. Była jak wir, pomyślał, ciemny wir, który otworzył się na suchej ziemi. Wyobraził sobie wodę pędzącą w dół, toczącą się ukrytym korytem. Być może patrzyli na szczyt wodospadu, który opadał przez olbrzymią podziemną pieczarę do jeziora, w którym mieszkają nagowie. Być może istotnie po jego drugiej stronie leży ukryta kraina, a w tej krainie na skale siedzi

pustelnik, spogląda w górę na wodospad i rozmyśla o świecie, z którego on wypływa. Być może tam właśnie jest miejsce kamiennego oka. Być może w tamtym świecie nie tak trudno jak w tym znaleźć bóstwa.

–Larkin będzie w poważnym niebezpieczeństwie – powiedział nagle, odrywając wzrok od hipnotyzujących wód – jeśli pozwoli, żeby jej obóz stał się bazą sabotażystów.

–Ona nie jest zwykłym geologiem – odparł w roztargnieniu Winslow, wciąż wpatrując się w wodę.

–Te materiały wybuchowe mogą im być potrzebne tylko do dwóch rzeczy – zauważył Shan. – Mogliby z ich pomocą zaatakować obóz, być może spuścić na niego lawinę. Albo umieścić je na drodze do obozu, żeby wysadzić ten konwój dygnitarzy. Tak czy inaczej, to nie rozwiąże niczego.

–Chodzi o drogę. Na pewno – stwierdził Winslow. Oczy miał ciężkie od troski. – Ale nie wierzę, żeby chcieli zabić tych ludzi. Po prostu zablokują przejazd.

–Tylko ściągnęliby tu więcej żołnierzy – odparł Shan. – Sprowadzili falę aresztowań. Zhu nie zrezygnował z poszukania Larkin. Gdy będzie miał do pomocy wojsko, znajdzie tę kryjówkę. Kiedy przyjdą żołnierze, ci wszyscy ludzie nie zostaną potraktowani jak uchodźcy, ale jak wrogowie ludu. Oni przyjdą, żeby wziąć więźniów, siać przemoc.

Winslow skrzywił się. Spojrział w stronę jaskini.

–Niektórzy twierdzą, że jeśli ocaliło się komuś życie, na zawsze już jest się jego strażnikiem – dodał cicho Shan. Wie dział jednak, że to, co połączyło Winslowa i Larkin, jest czymś o wiele bardziej złożonym.

Winslow westchnął.

–Gdyby moja żona była geologiem – powiedział głucho, zwrócony w stronę jaskini – taka właśnie by była. – Spojrział na Shana z zaskoczeniem, jakby zdumiały go

własne słowa. – To nie znaczy... – Utkwił wzrok w szalejącej wodzie i przez chwilę Shanowi zdawało się, że dostrzega na jego twarzy tęsknotę, jak gdyby Amerykanin zastanawiał się, czy nie rzucić się w dół, żeby zbadać ukrytą krainę. – To znaczy...

–W porządku – szepnął Shan. Odsunął się od urwiska i wrócił do jaskini. Podeszedł do posłania Lokesha, który rozmawiał właśnie po cichu z Somo. Starzec pochyłał się z podnieceniem

nad kartką, na której biegaczka coś rysowała. Ale na widok Shana zabrał papier i pospiesznie złożył go w czworo.

–Lokesh prosił o plan Pekinu – wyjaśniła Somo. – Byłam tam kiedyś na zawodach lekkoatletycznych. On pisze list do Przewodniczącego – dodała z entuzjazmem, zaraz jednak umilkła, dostrzegłszy napięcie w spojrzeniu, które wymienili obaj mężczyźni.

–Shan nie chce, żebym tam szedł – oświadczył rzeczowo Lokesh. – Ale właściwie bez żadnego powodu – dodał, wpychając papier do kieszeni koszuli. – Tylko dlatego, że to może być niebezpieczne. – Zapiął kieszeń i jego twarz się rozpogodziła. – Po drodze widzieliśmy wiele stad gęsi – oznajmił Shanowi, po czym ziewnął demonstracyjnie i pomasaował sobie nogę nad gipsem.

Shan westchnął i usiadł na skraju posłania, opierając się o skalną ścianę.

To budząc się, to znów przysypiając, z obawą obserwował Tybetańczyków. Nie znani mu ludzie przychodzili i szybko odchodzili, wymieniwszy wiadomości z purbami. Somo i Winslow siedzieli z kilkoma mieszkańcami Yapchi, przeglądając rejestr Draktego. Gdy Somo wyjaśniła, co zrobili Tuan i Khodrak, jeden z rolników parsknął śmiechem i powiedział, że musieli zebrać te dane w jakimś bayalu.

Była północ, kiedy obudził się i ujrzał nad sobą twarz Lokesha, który przyglądał mu się ze swym krzywym uśmiechem.

–I kto kogo pilnuje? – zapytał starzec.

Shan przyniósł mu talerz zimnej tsampy i czarbkę herbaty, a Lokesh z przejęciem opowiadał mu o drobiazgach, takich jak szary ptak, który kąpał się w kałuży u wylotu jaskini, albo chmura w kształcie wielbłąda, którą wypatrzył na niebie.

Jeśli nie liczyć skwierczenia kilku lampek maślanych, w sali panowała zupełna cisza. Larkin zasnęła przy stole, z głową opartą na splecionych ramionach. Większość purbów spała, pozostali trzymali straż na zewnątrz.

–Ta Amerykanka ma zieloną herbatę – wspomniał Lokesh, wiedząc, że Shan woli napar z zielonych liści.

Shan przyjrzał się przyjacielowi. Odniósł wrażenie, że starzec coś przed nim ukrywa.

–Co oni robią, Lokesh? To znaczy Larkin i purbowie. Boję się o nich.

Lokesh rozejrzał się po jaskini.

–Na ścianie w głębi widziałem ślady starych malowideł. Myślę, że kiedyś mieszkali tu pustelnicy.

–Co oni robią? – powtórzył Shan. Lokesh wzruszył ramionami.

–Próbują pogodzić bóstwa ziemi z bóstwami wody. Shan westchnął zrezygnowany.

–Myślę, że oni próbują się nauczyć, jak czyni się cuda -szepnął z podnieceniem stary Tybetańczyk.

–Oni mają materiały wybuchowe – powiedział Shan, wskazując stos drewnianych skrzynek, stojący przy śpiących purbach.

Lokesh wpatrywał się w nie długą chwilę.

–Nie wiem. Nyma i Somo nie robiłyby uników.

Uniki. Było to jedno z obozowych określeń, wywodzące się z kazania, jakie wygłosił tuż przed śmiercią pewien stary mnich z ich celi, uwięziony od dwudziestu pięciu lat. Karabiny i bomby, i czołgi, i działa są unikami, powiedział. Pozwalają tym, którzy posługują się nimi, unikać rozmowy ze swym wrogiem i trwać w przekonaniu, że mają słuszość, tylko dlatego, że dysponują skuteczniejszą techniką zabijania. Ale ci, którzy nie potrafią rozmawiać ze swym wrogiem, w ostatecznym rachunku skazani są na porażkę, gdyż prędzej czy później tracą nie tylko możliwość rozmawiania ze swym wrogiem, ale także ze swym wewnętrznym bóstwem. A utrata więzi z wewnętrznym bóstwem jest najcięższym ze wszystkich grzechów, gdyż bez wewnętrznego bóstwa człowiek staje się jedynie skorupą, niższą formą życia.

Shan spojrział na Somo i Nymę, śpiące na podłodze jaskini. Nie mógłby ich uważać za niższe formy życia.

–Rano musimy porozmawiać z tymi purbami – powiedział smutno Lokesh. – Jeśli wybuchnie choć jedna bomba, Jokar będzie stracony na zawsze. – Przez jego twarz przemknął niepokój. Opadł z powrotem na koc, a Shan zdmuchnął lampkę przy jego pośłaniu.

Ale rano w jaskini nie było już ani purbów, ani Amerykanki, ani materiałów wybuchowych.

–Odeszli trzy godziny temu – oświadczył zdezorientowany Lhandro. Stał plecami do wylotu jaskini, jakby właśnie wrócił z poszukiwań. – Nie chcieli ze mną rozmawiać. Tyle tylko, że niektórzy purbowie zostawili mi listy do swych rodzin. Zanim wyszli, usiedli w kręgu i modlili się, wszyscy, nawet Amerykanka, a potem zabrali te swoje skrzynki i poszli. Rozpalili ognisko na zewnątrz. – Machnął ręką w stronę otworu jaskini.

Shan i Somo wybiegli na półkę. Pod skalną ścianą znaleźli kopczyk popiołu, płatki zwęglonego papieru. Mapy. Larkin spaliła swoje mapy, notatki z badań. Wyglądało na to, że porzuciła myśl o publicznym ogłoszeniu swego odkrycia. Miało to alarmujący posmak ostateczności. Zabrali materiały wybuchowe. Spalili zapiski. A tego samego ranka przyjeżdżała delegacja dygnitarzy.

–Zostawiła to – odezwał się nad jego ramieniem Winslow.

Stał ze świstkiem papieru w ręku, kartką wyrwaną z notatnika Larkin. – Adres w Stanach, na który mam napisać, żeby zawiadomić jej rodziców, jeśli coś pójdzie źle. Numer telefonu w Lhasie, pod którym może będą mieli informacje na jej temat. Powiedziała, że nikt poza mną nie będzie znał tego numeru. Chce, żebym wrócił tu latem, to urządzimy sobie piknik nad świętym jeziorem. – Powiódł wzrokiem po spowitej mgłą ścieżce aż ku szarej plamie na niebie, gdzie zaczynało prześwitywać

światło dnia. – O ile jeszcze będzie żyła. Powiedziała, że ciężarówka dostawcza spółki wyjeżdża do Golmudu przed południem i że mam nią pojechać, bo jako amerykańska podatniczka życzy sobie widzieć mnie znowu w pracy.

Przed południem. Przed planowanym przyjazdem dygnitarzy.

–Trzeba sprowadzić wszystkich na dół – oświadczył nerwowo Shan. – Na drogę. Uciekać.

Lokesh spojrzał na niego znacząco. Shan uświadomił sobie, że mówi jak ktoś inny, kto również rozpaczliwie nawoływał do ucieczki. Być może Drake także już stracił nadzieję. Shan wskazał wuja Chemi, który zdawał się nareszcie odzyskiwać przytomność. Mężczyzna potrzebowałby pomocy podczas wędrówki. – Nim minie ten dzień, góry będą roić się od żołnierzy.

Uchodźcy spojrzeli na Shana dziwnym wzrokiem, jakby miał jakieś mylne wyobrażenia na ich temat, ale z niespokojnymi minami zaczęli małymi grupkami opuszczać pieczarę.

–Tron Siddiego! – wykrzyknął jeden z młodych rolników dumnym, wyzywającym tonem.

Shan zdrętwiał ze zgrozy. Ci ludzie szli w góry, na łąkę, gdzie gromadzili się inni rolnicy i pasterze. Będą tam czekać, ponieważ mieli wiarę, ponieważ wierzyli, że stary lama w jakiś sposób ucieknie i dotrze do nich, by poprowadzić ich w nową epokę.

W końcu pozostała jedynie garstka wieśniaków, którzy mieli nieść Lokesha i Dzopę. Lecz kiedy próbowali złożyć potężnego mężczyznę na kocu, olbrzym krzyknął i odepchnął siostrzenicę.

–Rinpocze! – zawołał z udręką.

Shan niepewnie zbliżył się do niego. Dzopa zamrugał gwałtownie powiekami, po czym mocno przeciągnął ręką po czole, jakby chciał siłą otworzyć sobie oczy. Podczas bombardowania wioski doznał wstrząsu mózgu i miał fatalnie rozciętą rękę. Wdała się infekcja, powiedziała Chemi, i wuj dostał wysokiej gorączki. Bredził w malignie. Shan ze smutkiem myślał o tym człowieku, który porzucił wolność w Indiach i wrócił do swej wioski tuż przed tym, jak została zniszczona. Teraz znów zapadł w malignę i wołał nauczyciela, którego pozostawił w Indiach.

Chemi zajęła się nim: gorączkowo pocieszała go kojącymi słowami i podała mu czarkę herbaty. Mężczyzna spojrzał na nią, najwyraźniej jej nie poznając, i jednym haustem opróżnił czarkę. Drżącymi rękami sięgnął po leżącą na ziemi patelnię z tsampą i zaczął wpychać sobie jedzenie do ust.

–Muszę znaleźć rinpocze – powiedział między kęsami.

Nieprzytomny wyraz jego oczu powoli ustępował.

–Zaniesiemy cię dzisiaj na drogę – odezwała się niepewnie Chemi.

Olbrzym zawahał się i spojrzał na nią szeroko otwartymi, pustymi oczyma.

–On znów mnie uleczył, siostrzenico, mnie całego. On zna

działanie cudów – oświadczył. Potem, rozglądając się po pieczarze, zapytał znowu, bardziej natarczywie: – Gdzie jest rinpocze?

Shan podszedł do niego.

–Jokar jest na dole – powiedział niepewnie. – W Yapchi.

–Jokar? – zdziwiła się Nyma. – Przecież on...

Dzopa utkwiał w Shanie przenikliwe spojrzenie. Jego wzrok nie był już mętny.

–Jokar Rinpocze jest w dolinie Yapchi? – zapytał gwałtownie, głosem niespodziewanie silnym i gniewnym. Gdy Shan skinął głową, olbrzym westchnął. – On zawsze mówił, że sprawy w Yapchi nie zostały doprowadzone do końca. Powiedział, że zanim wszystko się uładzi, znów dojdzie tam do wielkich zniszczeń. – Spojrzał z roztargnieniem na parę wielkich butów stojących obok jego posłania, po czym powoli sięgnął po nie i zaczął je wzuwać.

–Jak długo? – zapytał swą siostrzenicę, gdy się z tym uporał. – Jak długo byłem nieprzytomny?

–Tydzień.

Twarz olbrzyma obwisała. Zdawało się, że znów opuściły go siły.

–Czy te małe niebieskie kwiatki z szarymi liśćmi, które rosną przy urwiskach na południu, jeszcze kwitną? – zapytał siostrzenicę cichym, niespokojnym głosem.

Chemi spojrzała na wuja ze zdziwieniem. Ale Lokesh sięgnął do kieszeni i wyjął z niej cienką szarą łodyżkę z niebieskim kwiatem.

Dzopa z bólem wpatrywał się w kwiatek. Zdawało się, że zaraz się rozplacze. Wreszcie westchnął i rozejrzał się po otaczających go ludziach.

–On musiał pójść z kimś z doliny Yapchi – oświadczył i zmrużywszy oczy, utkwiał spojrzenie w Lhandrze. – Ty jesteś

chłopakiem Lepki? – zapytał. – Czy on poszedł z Lepką? –

Pokiwał głową, odpowiadając sobie na własne pytanie. – On musiał pójść z Lepką.

Chemi uklękła i położyła mu dłoń na ramieniu.

–Nie możesz iść do rinpocze. Został aresztowany.

Twarz Dzopy stężała. Jego oczy na chwilę znów się zaszklily, nagle jednak zapłonęły jak węgle. Rozejrzał się dokoła z wyzywającą, niemal groźną miną, po czym wpatrzył się w ścianę jaskini. Wyglądało na to, że przenika ją wzrokiem, że wypatruje Jokara gdzieś w dali. Sięgnął do stojącego metr od niego naczynia na żar i zagłębił w nim palce. Zaczął nacierać sobie policzki popiołem.

Dziwne zachowanie olbrzyma było przerażające i Shan ruszył ku niemu, chcąc go odprowadzić na posłanie. Ale nagle jeden z rongpów przy wejściu krzyknął ostrzegawczo. Do jaskini wpadło dwóch mężczyzn, wymachując karabinami. Jeden z nich uderzył kolbą w brzuch jednego z wieśniaków. Rongpa krzyknął i zwijając się z bólu, padł na ziemię. Dzopa z jękiem ruszył na czworakach w cień w głębi jaskini. Somo przyczaiła się jak do skoku. Obcy wymierzył w nią broń, po czym w powitalnym geście uniósł dłoń do swej futrzanej czapy. Drugi, ubrany w luźną skózaną kamizelkę i czarny filcowy kapelusz, oparł karabin o stół i zaczął przeglądać rozłożone na blacie przedmioty.

To nie byli żołnierze, ale nie byli to też purbowie, uświadomił sobie Shan. Zhu. Ludzie dyrektora do spraw projektów specjalnych mogli w dalszym ciągu przebywać w górach. Gdy jeden z napastników, machając bronią, zapędził ich wszystkich pod ścianę jaskini, zmusiwszy nawet Lokesha do powstania na nogi, jego towarzyszy

zaczął wrzucać do zaciąganego worka rzeczy leżące na stole. Paczka papierosów, metalowy kubek, torebki herbaty, linijka, ołówki. Ci ludzie nie przyszli tu, by ich aresztować albo zadawać pytania.

–Golokowie! – wyrzucił z siebie któryś z rongpów i mężczyzna w futrzanej czapie uśmiechnął się szeroko, prezentując rząd nierównych brązowych zębów. Mieli do czynienia z rabusiami.

Bandzior przy stole szybko uporał się ze swym zadaniem i odwrócił się do jeńców. Zdjął kapelusz, odsłaniając łysą czaszkę. Rozbłysły mu oczy, gdy przyglądał im się z uwagą, przeciągając palcem po swych rzadkich wąsach. Nagle jego wzrok padł na pozostawioną przez Larkin metalową kuchenkę. Ściągnął plecak i poszperawszy w nim, wyjął podobną, ale mniejszą. Wykręcił z niej nabój z gazem i zadowolony, uśmiechając się, przykręcił go do kuchenki Larkin. Gdy wepchnął obie do swego worka, Shan uświadomił sobie, że mniejsza wyglądała znajomo. Wymienił spojrzenie z Winslowem, który także ją rozpoznał.

Łysy z wąsem kazał im ustawić się rzędem pod ścianą i zaczął ich rewidować. Odbierał im bransoletki, naszyjniki, nawet relikwiarzyki, które wrzucał do sakiewki wiszącej mu u pasa. Kiedy

Nyma zacisnęła swoje gau w obu dłoniach, nie chcąc go oddać, drugi z rabusiów ruszył ku niej, sięgając po nóż.

–Idź do diabła – warknął Winslow, przesuwając Nymę za siebie.

–Nie! – zagrzemiał ktoś za plecami rabusiów w tej samej chwili, gdy błysnął wyciągany z pochwy nóż. Golokowie obrócili się, spoglądając w głęboki, pusty cień w głębi jaskini.

Shan zdrętwiał ze zgrozy. To mógł być tylko Dzopa, znów majaczący w malignie. Rozwścieczy tylko rabusiów, którzy zemszczą się na nim boleśnie. W jego stanie kolejny uraz może się skończyć śmiercią.

Łysy Golok złożył się do strzału.

–To tylko mój... – zaczęła Chemi, ale jej słowa przeszły w zdławiony okrzyk, gdy z ciemności wypadł olbrzymi rozjuszony mężczyzna w szarej szacie udrapowanej na byczych ramionach, z uczernionymi policzkami, z płonącymi oczyma. Trzymał jeden z grubych drągów, na których purbowie nosili skrzynie z materiałami wybuchowymi.

–Ajaj! – wykrzyknął Lokesh i przywarł do ściany, a za nim kilkoro rongpów.

Shan przyłapał się na tym, że także się cofa. Gardło nagle wyschło mu na pieprz. Już widział tego człowieka, tamtej straszliwej nocy, kiedy zginął Drake. Dobdob powrócił.

Golokowie nie cofnęli się, ale przyglądali mu się zdezorientowani, opuściwszy broń lufami ku ziemi. Dobdob wykorzystał ten moment wahania, by rzucić się do ataku. Zakręcił drągiem w powietrzu i spuścił go na głowę łysego, a chwilę później uderzył w czaszkę jego towarzysza. Nieprzytomni rabusie zvalili się na ziemię.

Oczyma, z których zniknęła już dzikość, dobdob poszukał Chemi.

–Rinpocze czasami zapomina, że jest śmiertelny – powiedział do siostrzenicy, jakby wyjaśniał coś istotnego. W jego cichym głosie pobrzmiwał grzmot.

–Byłeś z nim w Indiach – odezwał się zająkliwie Shan.

Utkwił wzrok w Chemi. Jej wuj był dobdobem, a dobdob był strażnikiem towarzyszącym lamie uzdrowicielowi. – Przybyłeś z nim z Indii.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zdawał się w ogóle nie słyszeć Shana. Zważył nowy kij w dłoni, podniósł z ziemi swój wyświechtany plecak i wyszedł z jaskini. W jego twarzy było coś ze zdziczałego zwierzęcia.

–Mój wuj... – szepnęła Chemi z dziwną mieszanką strachu, podziwu i czułości, wpatrując się w wylot jaskini. – Nie wiedziałam, że on może się stać... – Spojrzała na Shana. – Nie sądziłam nawet, że może utrzymać się na nogach.

Może nie mógł, pomyślał Shan, dopóki nie usłyszał o uwięzieniu Jokara. Odkąd Shan przybył do doliny Yapchi, zaczął sobie uświadamiać, że jest wiele sposobów leczenia.

–Słyszałam stare opowieści o tym, jak mężczyźni z naszej rodziny zostawali dobdobami – odezwała się znów Chemi. Wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia. – Ale to było bardzo dawno temu, jeszcze przed zniszczeniem Rapjung. Dzopa często stawał na swoim polu jęczmienia i opowiadał o Rapjung, ale nigdy o... Nie miałam pojęcia. Kiedy klasztor został zniszczony, Dzopy tam nie było. Przyszedł do naszej wioski, bo mój ojciec był chory, i już nie wrócił do gompy.

–Znalazł Jokara – wtrącił z podziwem Lokesh. – W Indiach znalazł ostatniego lamę z Rapjung.

Shan skinął głową.

–Przyszedł z nim aż tutaj, chroniąc go. – Przypomniał sobie rozpaczliwe ostrzeżenie Dzopy o palonych lamach. Przyłapał Padmego na próbie spalania Równiny Kwiatów. Prawdopodobnie widział tłące się ruiny Rapjung. – Co on miał na myśli, kiedy pytał, jak dawno temu Jokar odszedł w góry? Dlaczego właśnie na tę górę?

Chemi tępo wpatrywała się w posłanie, na którym wcześniej leżał jej wuj.

–Opowiadano, że najstarszy chłopiec z każdej rodziny mieszkającej wokół Yapchi szedł do klasztoru, by zostać mnichem policjantem. Strażnikiem cnoty, jak mówił mój ojciec. Twierdził, że zobowiązaliśmy się do tego wobec Rapjung przed stu laty.

Shan przyjrzał się jej uważnie i przeniósł wzrok na Lokesha. Oboje wpatrywali się nawzajem w swoje twarze. To, co powiedziała Chemi, brzmiało niemal tak, jak gdyby lamowie z Rapjung

nałożyli na te rodziny pokutę. Ale rodziny te sto lat temu padły ofiarą masakry w Yapchi.

–Drakte – szepnął Lokesh.

Dobdob nie przyszedł tamtej nocy, żeby zabić Draktego, ale po to, by zrobić coś, co robił zawsze: chronić jedyne go pozostałego przy życiu lamę z Rapjung. Z jakiegoś powodu Dzopa dostrzegł w Draktem zagrożenie. Shan przypomniał sobie ciemny siniak na szyi Jokara i procę, którą znaleźli u purby. Z pewnością Drakte nie atakowałby lamy. Ale dropkowie, u których Jokar spędził tamtą noc, twierdzili, że Drakte go zaatakował.

–To musiała być jakaś straszliwa pomyłka – odezwała się drżącym głosem Somo.

Myślała o tym samym co Shan. – Ludzie szli za Jokarem i Dzopą, a pałkarze traktowali lamę jak przestępcę. – Spojrzała na Chemi, przygryzając dolną wargę. – Dzopa go nie zabił – dodała pocieszająco.

–On idzie walczyć z tymi żołnierzami – jęknęła Chemi. – Jest ostatnim żyjącym mężczyzną z mojej rodziny.

Shan uklęknął przy nieprzytomnych rabusiach i wysypał na ziemię zawartość sakiewki tysego Goloka. Obrabowani Tybetańczycy szybko odebrali swoją własność. Shan przejrzał to, co zostało. Wśród srebrnych łańcuchów i innej biżuterii dostrzegł maleńki skórzany woreczek na długim rzemyku, który wydawał mu się znajomy. Podniósł go i przyjrzawszy mu się, poszperał w łupach rabusiów. Znalazł w nich bransoletkę z lazurytu i wymyślny scyzoryk ze składaną łyżką. Spojrzała na Somo, która znowu uklękła przy Lokeshu, po czym wstał i ze scyzorykiem, bransoletką i woreczkiem w dłoni sięgnął po worek ze swym dobytkiem.

–Lokesh nie może iść szybko z tym gipsem – zwrócił się do Chemi, patrząc na Lokesha. – Nie prowadźcie go stromymi ścieżkami. I nie pozwólcie mu dzisiaj zatrzymać się po tonde. Pilnujcie go. – Znajdę go, chciał dodać, wiedział jednak, że to mało prawdopodobne, by opuścił dolinę, chyba że w kajdankach.

–Nie możesz tam pójść – sprzeciwiła się Somo.

Shan ze smutnym uśmiechem spojrzał na Lokesha.

–Trzeba załatać pewne bóstwo.

Chemi podeszła do starca i uklękła przy nim, jakby na znak, że uszanuje prośbę Shana.

Zauważył, że Lhandro czeka na niego przy wejściu. Skinąwszy rolnikowi głową, uklęknął obok Lokesha.

–Rongpowie mają ciężarówkę. Zostań z nimi wszystkimi.

Oni znajdą purbów, a purbowie sprowadzą cię z powrotem do Lhadrung.

Stary Tybetańczyk wyciągnął rękę i mocno uścisnął dłoń Shana.

–Zaczęliśmy to razem – powiedział przygnębiony.

–I nigdy nie zrobiłbym tego bez ciebie, przyjacielu – odparł łamiącym się głosem Shan. Ścisnął dłoń Lokesha i szybkim krokiem ruszył ku wylotowi jaskini.

–Będzie lepiej, kiedy wrócę z Pekinu – odezwał się Lokesh do jego pleców. – Zobaczysz.

Shan odwrócił się po raz ostatni. Spojrzał przyjacielowi w oczy.

–Jeżeli pójdziesz do Pekinu, nie zobaczę cię już nigdy –

powiedział, walcząc ze sprzecznymi uczuciami. Mógłby powstrzymać Lokesha przed poświęceniem się w Pekinie, jedynie gdyby przy nim pozostał. Ale jedynie odchodząc w dolinę,

mógł liczyć na ocalenie Jokara.

Lokesh zacisnął dłoń na swoim gau i pomachał przyjacielowi na pożegnanie.

Somo i Nyma dogoniły go przy skalnym występie nad wodą.

–Lha gyal lo – szepnęła do nich. Spojrzał w oczy Somo. –

Możesz mimo wszystko zabrać Tenzina na północ – powiedział. – Zrealizować

plan. Trzymaj się z dala od spółki naftowej. Nie pokazuj się nikomu. Musisz zrealizować plan – powtórzył, widząc na ich twarzach ponurą determinację. – Coś trzeba doprowadzić do końca – dodał, starając się ze wszystkich sił, by jego głos nie zdradził poczucia klęski, i skierował się w stronę ścieżki. Kobiety ruszyły za nim.

Przystanął i bezradnie uniósł ręce.

–Muszę iść – oświadczył błagalnie. – To koniec. Drake cieszyłby się, że ocaliłyście Tenzina – dodał i poszedł dalej, one jednak wciąż szły za nim. Nagle we mgle przed nimi pojawiła się kolejna postać, Tenzin, wpatrzony w kłębiący się opar. Parę kroków wyżej stał Lhandro oraz Winslow z plecakiem w dłoni.

–Idźcie na północ – jęknął Shan. – Czekają na ciebie za granicą – zwrócił się do Tenzina. – W Ameryce.

Lama nadal wpatrywał się w mgłę.

–Nie ma dziś drogi na północ – westchnął.

–Co dobrego przyniesie nam to, że stracimy ciebie i Jokara? – zapytał błagalnie Shan.

–Gdybym poszedł na północ i zostawił Jokara na pastwę żołnierzy, nie zrobiwszy nic, żeby go ratować, z całą pewnością byłbym stracony – oświadczył Tenzin, uśmiechając się lekko.

Shan spojrzał w kotłujące się wody. Może jakikolwiek ukryty świat byłby piękniejszy i lepszy, skoro ten był tak okrutny. Nie mieli żadnych szans przeciwko żołnierzom i krzykaczom. Ale dla Tybetańczyków, dla ich dusz, mimo wszystko lepszym rozwiązaniem było trafić do więzienia albo stracić życie, niż odejść i porzucić Jokara.

–Jak możesz się upierać, że tam pójdziesz – zapytał powoli Tenzin – a nam wszystkim tego odmawiasz?

Dlatego, chciał wyjaśnić Shan, że tylko ja nie mam nic do stracenia, tylko mnie nikomu nie będzie brakowało, tylko ja mam wobec lamów tak wielki dług do spłacenia. Nim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Somo zerwała mu worek z ramienia i pobiegła ścieżką.

Shan i Nyma dogonili ją niemal półtora kilometra dalej. Stała na skalnym występie, skąd otwierał się widok na ciągnące się od północy i zachodu pofałdowane, surowo piękne wzgórza, za którymi leżała dolina Yapchi. W dłoni ścisnęła kawałek turkusu, prezent od Drakego. Jej twarz miała wyraz, jakiego Shan nie widział u niej nigdy przedtem: twarz zacieklego wojownika, twarz gniewnego bóstwa opiekuńczego. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Odniósł wrażenie, że Somo żegna się z czymś. Czy żegnała się z górą, która zostanie zmieniona na zawsze, gdy zacznie płynąć ropa? Czy może z samym życiem? Szła w dolinę, by stoczyć bitwę z chińskimi żołnierzami. Spojrzał na kamień w jej dłoniach. Drake chciał być mnichem, ale Pekin nie pozwolił. Ona chciała być nauczycielką, ale Pekin nie pozwolił. Potem, ponieważ oboje zostali odrzuceni przez Pekin, spotkali się i zakochali w sobie. Ale nie mogli zostać razem, nie w tym życiu,

ponieważ Pekin nie pozwolił.

Dziewczyna odwróciła się z wymuszonym uśmiechem i zerknęła w górę ścieżki,

gdzie w oddali widać było Lhandra i Tenzina.

Godzinę później w milczeniu, z ponurymi twarzami, szli przez ruiny wioski Chemi w stronę czortenu, pod którym obiecali spotkać się z Anyą. Kiedy walący się czorten pojawił się w zasięgu wzroku, Nyma z widoczną ulgą wskazała krążącą wokół niego drobną postać i przyspieszyła kroku. Gdy od celu dzieliło ich niespełna sto metrów, Shan zatrzymał się i uniósł dłoń.

–To ona, na pewno! – zawołała Nyma, machając do dziewczyny. Jednak gdy spojrzała tam, gdzie patrzył Shan, powoli opuściła rękę. Piętnaście metrów od nich na rozłożonej chubie siedział Lin, obserwując Anyę z melancholijnym uśmiechem. Znow miał na sobie mundur. Z kieszeni na piersi wystawała mu gałązka wrzosu. Gdy Shan zbliżył się, pułkownik uniósł wzrok i przestał się uśmiechać.

–Mówią, że ropa powinna trysnąć dzisiaj lub jutro – powiedział Shan, kucając obok Lina. – Delegacja kierownictwa spółki jest już w drodze.

Lin powoli skinął głową.

–Pamiętam te śnieżne gąsienice – odezwał się niechętnie i głucho, jakby zmuszony do kontynuowania rozmowy, którą rozpoczęli poprzedniego dnia. – Wczoraj w nocy ni z tego, ni z owego przypomniałem sobie te kobiety zmiatające śnieg, o których mówiliście. Czasami wróble tak marzły, że nie mogły latać, a one zmiatały je ze śniegiem. Kiedy kobiety przeszły, mój ojciec schodził czasem na ulicę szukać tych wróbli. Jeśli znalazł jakiegoś, wkładał go do kieszeni i zabieraliśmy go do domu, a po południu, kiedy się rozgrzał, wypuszczaliśmy go.

Któregoś dnia blokowa zwołała zebranie – ciągnął, mając na myśli strażniczkę politycznego ładu w blokach mieszkalnych. – Przyniosła płócienny worek i wysypała z niego na stół martwe wróble, może dwadzieścia. Powiedziała, że odtąd naszym patriotycznym obowiązkiem będzie zbieranie wróbli z rynsztoków po przejściu zmiataczek i zjadanie ich. Ponieważ Przewodniczący

nalegał, by wszystkie zasoby były wykorzystywane dla sprawy socjalizmu. Potem zrobiła nam wykład na temat zalecanych metod zabijania wróbli.

Shan przyglądał mu się ze smutkiem. Pamiętał dzieci z własnej młodości, pełne rewolucyjnego zapału, kamienujące gołębie i mewy, paradujące z trupkami myszy. Tak Przewodniczący wychowuje sobie dzielnych żołnierzyków, powiedział gorzko jego ojciec.

–Więc zabijaliśmy wróble – ciągnął Lin. – Kiedy spadł śnieg, zapuszczaliśmy się daleko poza nasz blok, żeby szukać i zabijać wróble. Pewnego dnia przyłapałem ojca z żywym wróblem w kieszeni i powiedziałem o tym komendantce. Myślałem, że spłatałem mu psikusa. Ale kiedy po południu wróciłem do

domu, było tam zebranie. Tamzing. Ojciec stał na środku, z posiniaczoną twarzą. Do koszuli miał przypiętą tabliczkę z napisem *reakcyjna świnią*. Nie chcieli przestać, dopóki ojciec nie zabił tego wróbla, na oczach wszystkich. Płakał, kiedy to robił. To był jedyny raz, kiedy widziałem, że płacze.

Długo milczeli.

–Dlaczego... – odezwał się znów Lin. Zmieszany wpatrywał się we własne dłonie. – Dlaczego nie pamiętałem o tym aż do wczoraj? – Zerknął na Shana najwyraźniej zawstydzony, że wypowiedział tę myśl, po czym spojrzął na Anyę. – Ona szuka jeszcze jednego tonde – wyjaśnił. – Mówi, że stare czorteny przyciągają czasem dobre tonde. Powiedziała, że potrzebuję go, aby chronił moją głowę przed skałami – oświadczył z powagą, jakby nagle zaczął żarliwie wierzyć w tonde. – Odwrócił się do Shana i zmarszczył brwi. – Wciąż mam rozkazy – powiedział, jak gdyby chciał zatrzeć wrażenie, że mięknie. – Ludziom nie można puścić płazem działania na szkodę państwa.

–Obowiązki – przyznał Shan z lekkim skinieniem głowy, wciąż obserwując Anyę. W wąskiej dolinie prowadzącej ku drodze do Yapchi poniósł się echem ryk potężnych silników.

–Dzisiaj, kiedy tu szliśmy – powiedział Lin – ona zrobiła coś dziwnego. Przy ścieżce pojawił się jeden z tych królików skalnych, pika, jak go nazwała. Odbiegł i zatrzymał się jakieś dziesięć metrów dalej. A ona usiadła i zaczęła śpiewać piosenkę.

Powiedziała: „Usiądź, Aku Lin”. – Pułkownik znów zmarszczył brwi, chyba niezadowolony, że zebrało mu się na zwierzenia. – Śpiewała tak, jak nie słyszałem nigdy wcześniej. Po tybetańsku. Nie mogłem zrozumieć. Ale słowa nie były ważne. To było jak... nie wiem. Tak mogłoby śpiewać zwierzę, gdyby umiało. A ten pika po prostu podszedł i usiadł jej na kolanach. Wzięła mnie za rękę i położyła ją na grzbiecie zwierzaka. Czułem, jak oddycha, jak te wróble z mojego dzieciństwa. – Zerknął na Shana. – To głupstwo – dodał szorstko. – Dziecinada.

–To pieśń bóstwa – odparł Shan. – Anya nazywa je pieśniami bóstwa. Ryk silników robił się coraz głośniejszy.

–Czołg – stwierdził znużonym głosem Lin. – I dwie albo trzy ciężarówki. Jadą tu.

Shan spojrzął na Lina. Czy pułkownik ostrzegał go, aby dać mu i Nymie szansę na ucieczkę?

Any, kopiąca w ziemi pod czortenem, wyprostowała się i pomachała do nich. Shan i Lin pomachali w odpowiedzi.

–Wy i ja – odezwał się nieśmiało Lin – jesteśmy chyba w tym samym wieku. – Westchnął. – Moja matka przed śmiercią

przysłała mi list. Napisała, że dwa pokolenia zostały stracone, ale następne będzie gotowe, będzie miało szansę zostawić to wszystko za sobą i znaleźć nową drogę.

Shan przyjrzał mu się uważnie. Te słowa nie pasowały do wysokiego oficera. Lin chciał powiedzieć, że zawierucha rozpętana przez Partię i polityków zniszczyła ludzi takich jak Shan i on sam, a także ich rodziców. Ale Anya należała do nowego pokolenia.

–Dobry lekarz mógłby coś zrobić z tą nogą. Obiecałem jej, że za tydzień lub dwa odwiedzę ją w obozie dla przesiedleńców.

Mam trochę urlopu. Chcę ją zabrać do dobrego szpitala. – Lin mówił nerwowo, jakby się bał, że jeśli nie wyrzuci z siebie tych

słów natychmiast, nie wypowie ich wcale. Shan uświadomił sobie, że pułkownik nie ma nikogo innego, komu mógłby je powiedzieć, że stał się dla Lina swego rodzaju spowiednikiem. – Jeśli będzie chciała, zapiszę ją do prywatnej szkoły. Są teraz takie. Mógłbym zapłacić... – Lin obrócił się gwałtownie. Tuż za nim, zaledwie metr dalej, stali Winslow i Tenzin, ten drugi z workiem na łajno przewieszonym przez ramię. Pułkownik spojrzał wściekle na Shana, jakby ten go oszukał.

–Odejdźcie stąd, proszę – powiedział im Shan. – Mogą przyjść żołnierze...

–Tenzin chce złożyć pewną propozycję – oświadczył Amerykanin. Nyma podeszła bliżej i uklękła w trawie. – Chce zwrócić papiery, których szukał pułkownik.

Tenzin zsunął worek z ramienia, uklękł, wziął od Winslowa scyzoryk i szybko przeciął nim szwy na wierzchu worka. Oderwał zewnętrzną z dwóch warstw grubej skóry, sięgnął do środka i wyjął cienki, liczący może dziesięć stron plik papierów.

Lin wpatrywał się w dokumenty. Z jego gardła wydobył się warczący dźwięk.

–To raport o katastrofie – odezwał się Tenzin, jakby musiał przypomnieć to pułkownikowi. – Oddział 54. Brygady Strzelców Górskich przebywał we wnętrzu góry na granicy z Indiami, w tajnej bazie dowodzenia, wciąż jeszcze w budowie. Góra się zawaliła. Wszystkie komputery i sprzęt monitorujący wart kilka milionów dolarów zostały zniszczone. Zginęło czterdziestu żołnierzy. I tybetańscy robotnicy, których zmuszono do pracy przy drążeniu skał. Ostatnia część jest bardzo drażliwa. Jest tam mowa o tym, że wszyscy robotnicy zginęli. Ale jeden stary mnich żył jeszcze kilka godzin. Bardzo się śmiał. Myśleli z początku, że majaczy. On jednak powiedział, że to zrobili więźniowie, że stopniowo podcinali filary i tak zniszczyli jedną z wyborowych jednostek armii. Że nikt z nich nie miał nic przeciwko zejściu na czworaki, ponieważ tak właśnie należało postąpić.

Zejdźcie na czworaki. Tak w obozie określano samobójstwo, pociągające za sobą odrodzenie się jako niższa, czworonożna forma życia.

Winslow położył dłoń na raporcie i Tenzin oddał mu go. Shan nie odrywał wzroku od papierów.

–Starzy mnisi zniszczyli najnowocześniejsze stanowisko na słuchowe armii. To jest ten sekret, którego pułkownik nie mógł pozwolić odkryć światu – oświadczył Amerykanin, z podziwem wpatrując się w dokument. – Zabierzcie swój raport, pułkowniku – powiedział po chwili z żalem – i oddajcie nam lamę.

Zdawało się, że Lin go nie słyszy. Jego oczy obróciły się znowu ku Anyi. Przez chwilę wyglądało na to, że chce zapytać dziewczynę o radę.

–Raport za lamę – naciskał Winslow.

Gdy Lin nie odpowiedział, Tenzin wstał.

–Nie tylko raport – powiedział do pułkownika. – Jeśli chcecie, możecie wziąć też opata Sangchi. Ale uwolnijcie Jokara.

Winslow zaklął pod nosem. Położył dłoń na ramieniu Tenzina, jak gdyby chciał go odciągnąć. Nyma jęknęła i chwyciła Tenzina za nogę.

Lin powoli przeniósł wzrok na Tybetańczyka. Zdawało się, że pułkownik zaraz się odezwie, gdy nagle Anya radośnie krzyknęła. Machała do niego, trzymając coś w dłoni. Lin pochylił się niespokojnie. Anya wspinała się na stary czorten, być może by lepiej widzieć zbliżające się pojazdy.

Za czortenem, niecały kilometr od miejsca, gdzie siedzieli, Shan spostrzegł żołnierzy, gęstą tyralierą wspinających się na zbocze. Nagle powietrze rozdarł skowyczący jęk i stok góry, sto metrów od nich, eksplodował. Shan, przerażony, obrócił się w tę stronę. Czy Somo zatrzymała się tam, żeby obserwować sytuację? Powinna już przejść na drugą stronę grzbietu. Być może czołg strzelał, żeby odstraszyć wszystkich Tybetańczyków będących jeszcze na wzgórzach, oczyścić drogę do doliny dla przybywających dygnitarzy. A może żołnierze słyszeli o zgromadzeniu na górskiej łące, o ludziach czekających na starego opata, który miał ich poprowadzić przeciwko najeźdźcom?

Anya niepewnie wpatrywała się w dymiący lej.

–Cholerny głupiec – mruknął Lin, wstając wolno. Powietrze przeciął ze świstem kolejny pocisk.

Ten jednak nie był wymierzony w stok góry. Jego celem był czorten. Rozległa się ogłuszająca eksplozja i kamienna budowla przestała istnieć.

Nyma krzyknęła rozdzierająco i pobiegła ku ruinom.

–Nieeee! – jęknął Lin, chwytając się za pierś, jakby został trafiony. – Nieeee! – powtórzył z udręką. Wstał, zrobił krok naprzód i padł na kolana.

Shan, wpatrując się z przerażeniem w dymiące ruiny, machinalnie pomógł Linowi wstać. Pułkownik, z pobladłą jak papier twarzą, rzucił się na niego z pięściami, po czym potykając się, pobiegł w dół zbocza.

–Anya! – wołał. – Anya, chodź do mnie! Xiao Anya, nic ci się nie stało?!

Shan ruszył za nim. Nogi ciążyły mu jak ołów, serce zmieniło się w bryłę lodu.

Nyma pierwsza dotarła do bezwładnego ciała leżącego na wiosennych kwiatach. Gdy Lin odepchnął ją i uklęknął obok Anyi, zdawało się, że nawet tego nie zauważyła. Nie krwawiła wiele, powiedział sobie Shan, ale potem zobaczył odłamek skały tkwiący u nasady jej szyi. Oczy dziewczyny były otwarte z zaskoczenia, ale nie dostrzegł w nich światła. Zginęła natychmiast.

–Xiao Anya – szepnął Lin słabym głosem, głaszcząc jej policzek. – Xiao Anya – powtarzał raz po raz. W zaciśniętej kurczowo dłoni miała zielony kamyczek, tonde dla wujka Lina.

Żołnierze zbliżyli się, lecz spostrzegłszy swego pułkownika, zatrzymali się trzydzieści metrów od niego. Któryś wykrzyknął z podnieceniem i rzucił się biegiem w stronę czołgu, widocznego już w dole. Lin jakby nie widział swoich ludzi. Uniósł Anyę za ramiona i na chwilę przycisnął jej martwy policzek do swej twarzy. Z rany w szyi zaczęła się sączyć krew. Pułkownik patrzył na zielony kamień w dłoni dziewczyny. Zaciśnął rękę na jej bezwładnych palcach i kamieniu. Zdawało się, że ma kłopoty z oddychaniem, i nagle skulił się, z głową wtuloną w jej ramię, z plecami wygiętymi w łuk, zanosząc się bolesnym szlochem.

Nikt się nie poruszył. Nikt się nie odezwał. Lin powoli wstał i sztywno, z zapadłą twarzą, niosąc martwą dziewczynę w ramionach, ruszył w dół, do swoich żołnierzy.

Rozdział osiemnasty

Kto będzie śpiewał dla mnie, gdy zabraknie ptaka? Kto będzie śpiewał? Słowa wyroczni rozbrzmiewały echem w umyśle Shana, dopóki, otępiały z bólu, nie uświadomił sobie, że

wypowiada je Nyma.

–Czy ona wiedziała? – pytała raz po raz mniszka. Wreszcie chwyciła Shana za ramię i wybuchnęła płaczem. – Błogosławiony Buddo, ona wiedziała. Nasza mała Anya wiedziała, że tak się stanie – wyszlochala.

Nie chciała odejść od zburzonego czortenu. Opadła na kępę kwiatów, gdzie wybuch rzucił ciało Anyi, i ocierając łzy, recytowała mantrę, nie zważając na kręcących się wkoło żołnierzy. Wzrok wbiła w jeden punkt, w to miejsce, gdzie krew dziewczyny upstrzyła kwiaty.

Shan zmartwiały przyglądał się, jak strzelcy górscy przeszukują gruz, jak gdyby szukając innych ciał. Kilku z nich spoglądało niepewnie to na pogrążoną w bólu kobietę, to w dół stoku na swego pułkownika, wciąż trzymającego w ramionach martwą dziewczynę, której krew spływała mu teraz po rękach i nogach. Jeden z żołnierzy najwyraźniej poznał Shana i kręcił się przy nim, jakby czekał na rozkaz, by go zaciągnąć do ciężarówek.

–Kto będzie śpiewał dla mnie, gdy zabraknie ptaka? – usłyszał znów Shan.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka i żołnierze zbiegli ze zbocza. Chwilę później najpierw czołg, a tuż po nim ciężarówki odjechały w kłębach kurzu.

–Tu może być niebezpiecznie – zwrócił się Shan do Nymy. – Odprowadzę cię przynajmniej do jednej z jaskiń.

Ale wyglądało na to, że mniszka go nie słyszy. Łzy znów popłynęły po jej policzkach, a inwokacja do Bodhisattwy Współczucia stała się głośniejsza.

–To już nieważne – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie widzisz? Tybetańczycy nie mają podstaw do nadziei. Taki właśnie los czeka tych, którzy mają nadzieję. Zostaliśmy

porzuceni – dodała z udręką.

–Muszę iść do Yapchi – rzekł Shan. Powtórzył to, a kiedy nie odpowiedziała, odwrócił się i ruszył w stronę doliny. Czuł się boleśnie osamotniony. Nagle zaczął żałować, że zostawił Lokesha. Tenzin i Winslow uciekli. Być może spotkają się z Lokeshem i zaopiekują się nim. Powtarzał to sobie, idąc, aż nagle zachwiał się, przystanął i przysiadł ciężko na kamieniu. Nikt nie był bezpieczny. W górach żołnierze strzelali do Tybetańczyków. Łagodna Anya, która rozmawiała z jagniętami, leżała martwa, ponieważ chciała znaleźć magiczny kamień mający przyciągnąć bóstwo do dowódcy żołnierzy, którzy ją zabili.

Wyszedł na szczyt grzbietu pomiędzy wieżą wiertniczą a wioską, po czym znalazł dziką ścieżkę i zaczął schodzić w dolinę. Pięć minut później usłyszał czyjś głos i przykucnął za skałą.

Sąsiednią ścieżką schodził zwawo Gyalo, rozmawiając z Jampą. Kilka kroków za nimi ciągnęli gęsiego Tybetańczycy o ponurych twarzach. Wyglądają jak kolumna żołnierzy, pomyślał z zaskoczeniem Shan, potem spostrzegł jednak, że na ramionach niosą nie broń, ale łopaty, siekiery i kilofy. Naliczył co najmniej czterdziestkę mężczyzn i kobiet, wśród których rozpoznał także widzianych poprzedniej nocy w jaskini uchodźców. Niektórzy śpiewali pieśni. Tu i tam widać było zielone kaski, jak gdyby Gyalo prowadził uciekinierów ze spółki. Tyle tylko, że szli w stronę doliny.

Być może, uświadomił sobie ze ściśniętym sercem Shan, istotnie byli swego rodzaju wojskiem. Wyszedł z kryjówki, a mnich przywitał go ciepłym uśmiechem.

–Na dole wciąż są żołnierze – ostrzegł Shan.

Mnich znów się uśmiechnął. Dał znak idącym z tyłu, żeby go

ominęli, i zszedł z Jampą ze ścieżki.

–Proszę – odezwał się Shan. – Jest już dość cierpienia. –
Opowiedział, co stało się z Anyą.

Wyklęty mnich na chwilę zamknął oczy, spojrzał na Shana i poważnie skinął głową.

–Ta wyrocznia mówiła o tym. – Wielki jak, który przyglądał się Shanowi, westchnął ciężko i zapatrzył się w dal. Gyalo przesunął w palcach jeden z przetykanych barwnymi paciorkami warkoczy Jampy, zaplecionych przez Anyę w Norbu.

–Nawet gdybyście potrafili podkopać wieżę wiertniczą – zauważył Shan, sądząc, że odgadnął zamiany prowadzonej przez Gyala grupy – oni nigdy nie dopuszczą was na tyle blisko, żeby dać wam po temu szansę.

Gyalo rzucił mu przeciągłe spojrzenie, po czym zszedł ze ścieżki na skalny występ wychodzący na południowy koniec doliny i pokazał coś palcem. Shan osłonił oczy dłonią. Były mnich wskazywał punkt leżący może sześćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie niegdyś sterczała malowana skała. Wyciągnął lornetkę. Zdawało mu się, że coś porusza się w cieniu pod drzewami.

–Musimy uwolnić bóstwo z pułapki – wyjaśnił z powagą Gyalo.

Spojrzał na Shana rozpromieniony. – Oni mówią, że je znalazłeś, że rozwiązałeś zagadkę – dodał z wdzięcznością i nie powiedziawszy nic więcej, ruszył znów ścieżką, pokazując Jampie ptaka.

Shan, zbity z tropu, patrzył za odchodzącym mnichem i jego jakiem. Niczego nie rozwiązał, ale nie miał czasu rozmyślać nad dziwnymi słowami Gyala. Przynajmniej, powiedział sobie, Tybetańczycy, pozostając w górnych partiach stoków, będą niedostępni. Być może żołnierzy niebędzie obchodziło, że wysiedleni postanowili poświęcić czas na wykopywanie gładów ze

zbocza.

Minął pogrążone w ciszy ruiny wioski Yapchi. Nieliczna ekipa robotników demontowała spalone belki domów i składała je w stosy na jednym z podwórek. Owce, które szły z nimi z Lamtso, znajdowały się w małej zagrodzie. Kilka wpatrywało się w jedną ze swych towarzyszek, która wisiała do góry nogami, oskórowana i wypatroszona, na rusztowaniu z belek. Owce karawany zarzynano dla robotników naftowych.

Gdy szedł dalej ścieżką w stronę wieży wiertniczej, w jego głowie znów rozległ się echem głos. Ty i bóstwo Yapchi uratujecie naszą ziemię, sprawicie, że Chińczycy odejdą, powiedziała mu Nyma nad Lamtso. Fala emocji, która przewaliła się przez niego, była tak potężna, że znów musiał przystanąć. Usiadł, walcząc o oddech. Anya nie żyła. Wioska Yapchi została zniszczona. Lokesh, okulawiony na torturach, wybierał się do Pekinu. Stary

lama był więźniem. Drake zginął. Lin, jedyny, który mógł usunąć żołnierzy z Yapchi, nie zmienił się, zgorzkniał tylko, stał się pustą skorupą człowieka. Tybetańczycy uparli się stawić opór i musieli przegrać, co tylko sprawi, że więcej ich straci życie lub trafi do więzień i obozów. Zginęli czterej żołnierze. Dolina była powoli niszczone. Oczekiwano, że wkrótce tryśnie ropa. Żadne z ich działań nawet przez chwilę nie rzuciło choćby cienia niepewności na ten wynik, ani przez moment nie było wątpliwości, że ci, którzy pożąдали ropy, wygrają. Bóstwo pozostanie ślepe na zawsze.

Przechodząc koło wieży wiertniczej, nie mógł się zmusić, by na nią spojrzeć. Była niczym wznoszący się nad nim zimny metalowy potwór. Kręcił się po niej tłum robotników. Wiertnią zgrzytała, dudniła i jęczała tak głośno, że zdawało się, iż toczy walkę z ziemią.

Za wieżą, w pobliżu obozu, została zbudowana platforma, wsparta na nie ociosanych kłodach ściągniętych ze stoku. Z przodu wisiał na niej świeżo wymalowany transparent obwieszający jaskrawoczerwonymi literami: *Pogodny Dobrobyt*. Po drugiej stronie platformy robotnicy pochylali się nad puszkami czerwonej farby, kończąc jeszcze jeden transparent, umocowany górną krawędzią do długiej liny. *Zwycięstwo dla doliny Lujun*, przeczytał napis widniejący na długim pasie tkaniny. U dołu biegł rząd maleńkich wież wiertniczych, niczym religijne symbole umieszczane niekiedy na brzegach thanek. Na platformie stały krzesła i ławy dla około dwudziestu osób, a z jej schodów Jenkins kierował robotnikami. Przerwał jednak pracę, gdy do obozu wjechał samochód terenowy, za nim zaś dwie pudełkowate czarne limuzyny. Przybyła delegacja dygnitarzy. Shan spojrział ze zdumieniem na północne zbocza, ponownie zastanawiając się, dlaczego Larkin zabrała Tybetańczyków właśnie tam, nie na drogę, nie tam, gdzie mogliby wywołać lawinę i zablokować konwojowi drogę, nie do gromadzących się na górze gniewnych Tybetańczyków, czekających na lamę, który miał ich poprowadzić.

Idąc w stronę obozu, Shan nie widział ani śladu Winslowa lub Somo. Być może Amerykanin znów był w przyczepie biurowej i rozmawiał z Jenkinsem. Wszystko wyglądało normalnie. Na tyłach obozu wciąż stały wojskowe namioty, z których i do których z

krzykiem wbiegali i wybiegali żołnierze. Odnalazł się ich zaginiony pułkownik. Nawet profesor Ma kontynuował swoje wykopaliska, prowadząc wyścig z czasem, teraz z większą liczbą pomocników pracujących pod okiem surowego wartownika uzbrojonego w gruby kij.

Lecz kiedy Shan mijał odległy o sześćdziesiąt metrów od

ścieżki teren wykopalisk, nagle stanął jak wryty. To nie żołnierz strzegł profesora Ma. To był dobdob. Jeszcze raz przyjrzał się wojskowym namiotom. Zdawało się, że nikt nie dostrzega obecności Dzopy. Niepewnie ruszył w stronę wykopalisk. Zbliżywszy się, rozpoznał pracowników. Był tam Lhandro, jego ojciec i Jokar, wszyscy na kolanach, dłubiący sumiennie łopatkami w kwadracie odsłoniętej ziemi, teraz o wiele większym niż poprzednio. Dzopa stał wyprostowany, z kijem u boku. U jego stóp leżał stos kocy, a parę kroków dalej jego plecak i kij Jokara.

Profesor Ma i jego asystentka siedzieli z sitami przy wykopie, zachowując się, jakby nic nie zakłócało ich prac, podczas gdy kopiący na zmianę znosili do nich wiadra z ziemią. Ławkę za nimi zapełniały znaleziska. Dlaczego Jokarowi pozwolono poruszać się bez nadzoru? zastanowił się Shan, po czym z dreszczem spostrzegł, że u stóp dobdoba nie leży stos kocy, lecz skulony żołnierz. Miejsce, w którym stał Dzopa, było oddalone nie więcej niż o piętnaście metrów od wielkiej skały u podstawy zbocza. Dobdob musiał obejść ją dookoła i zająć strażnika od tyłu. Najwyraźniej jednak przejął po prostu obowiązki wartownika, gdyż ani on, ani Jokar nie zdradzali najmniejszego zamiaru ucieczki. Co dziwne, zdawało się, że w szale aktywności nikt w obozie nie spostrzegł dobdoba ani nie zauważył braku żołnierza.

Shan podniósł jedną z łopat leżących obok wykopu i wszedł w luźną ziemię, by pomóc Lepce napełnić wiadro. Starzec, nie przerywając pracy, przywitał go niedbałym skinieniem głowy, jakby spodziewał się jego przybycia. Szuflując ziemię, Shan przyjrzał się twarzy mężczyzny. Dostrzegł na niej nie strach ani nie wyczerpanie, jak mógłby oczekiwać, lecz tylko głęboki duchowy ból.

Gdy wysypał ziemię z wiadra na sito profesora, stary

Chińczyk spojrział nań zatroskany. Na ławce za jego plecami leżały nowe znaleziska.

–Nie powinno was tu już być – zauważył Shan.

W oczach profesora ukazał się błysk zaciekawienia.

–Zbierałem się do odjazdu, kiedy przyszedł ten stary lama.

Nie przeszkadzałem mu, kiedy zaczął kopać, a po godzinie skinął na mnie, żebym do niego podszedł. Powiedział, że nie powinienem tak się spieszyć. Wyjaśnił, że moja dusza nie jest w równowadze i że powinienem się zająć swoim zaparciem serca.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Przystałem się pakować.

Shan odniósł puste wiadro i przykucnął przy ławce. Dostrzegł tam małą brązową tackę do palenia kadzidła oraz metalowe groty strzał. Znalazł kawałki nefrytu, fragmenty posążku. Co dziwne, jeden z nich wyglądał na nogę kopytnego zwierzęcia. Nie konia, gdyż kopyto było rozszczepione. Być może jaka albo krowy.

Obejrzał się na starego lamę i nagle usłyszał jęk Dzopy. Pogodna twarz Jokara znów traciła wyraz, jak w tamtej straszliwej chwili w pustelni. Ramiona zwisły mu bezwładnie. Dobdob zdecydowanym krokiem podszedł do niego i powoli, z szacunkiem uniósłszy jego dłoń do ust, mocno w nią dmuchnął. Jokar zamrugał, przez chwilę zmagając się z sobą, by skupić wzrok, i nagle znów był z powrotem.

–To była ciężka podróż, prawda, przyjacielu? Jestem gotów na długi sen – powiedział z przeproszającym uśmiechem do Dzopy i wrócił do kopania.

Po chwili przerwał pracę i spojrział na swoją dłoń. Ruchem, który z jakiegoś powodu przeraził Shana, dotknął jej drugą dłonią i przesunął po niej palcami, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Żyjący budda, nazwała go raz Nyma. Bodhisattwa. Pośród chaosu i strachu żyjący budda przystawał, by... co?

Kontemplować cud ludzkiego ciała?

Gdy do dobrej wrócił na skraj wykopu, Shan spostrzegł, że przy ławce stoi Winslow. Amerykanin przyglądał mu się z niepewną miną. Trzymał jakąś kartkę. Gdy Shan podszedł do niego, Winslow opuścił papier, jakby chciał go przed nim ukryć. Shan wyjął mu go z dłoni.

– Ten lekarz znalazł moją wizytówkę. Wypadła mi z koszuli tamtego dnia w Norbu – powoli wyszeptał Amerykanin. Jego wzrok spoczął na lamie. – Myślę, że go obraziłem.

Shan spojrzał na kartkę. Był to faks do wszystkich kierowników obozów spółki naftowej od ambasady Stanów Zjednoczonych w Pekinie, która podawała w nim rysopis Winslowa i prosiła, żeby niezwłocznie poinformowano ją o jego miejscu pobytu. Winslow stracił kontakt z ambasadą, a chińskie władze złożyły skargę na jego przestępczą działalność. Oficjalne pełnomocnictwa Winslowa zostały zawieszono i każdy, kto by go spotkał, winien mu polecić, aby nawiązał kontakt z ambasadą i oddał się, wraz z paszportem, w ręce Urzędu Bezpieczeństwa.

Shan dwukrotnie przeczytał tę wiadomość. Wyglądało na to, że ambasada wyparła się Winslowa. Pozbawiony immunitetu dyplomatycznego, zostałby postawiony przez pałkarzy w stan oskarżenia. Shan uniósł wzrok i chciał zwrócić mu notatkę, ale Amerykanin najwyraźniej przestał się nią interesować i stał teraz przy Jokarze, przytrzymując mu wiadro z ziemią.

Shan rozejrzał się po kopiających, wciąż zdezorientowany. Wszyscy oni zdawali się wiedzieć coś, co dla niego pozostawało niepojęte, wszyscy poza Lhandrem, który przystawał co parę chwil, przyglądając się innym z tą samą konsternacją, jaką czuł on sam.

To wszystko nie miało sensu. Czy Jokar przyszedł do doliny, żeby pomóc w wykopaliskach? Czy po to właśnie oddał się w

ręce żołnierzy? Wrócił do Yapchi, by przywrócić równowagę. Jokar i Lepka przybyli razem, by uleczyć dolinę, akurat wtedy, gdy wiertnica była o krok od natrafienia na ropę, akurat gdy dygnitarze przybywali świętować śmierć doliny.

Shan podszedł znów do profesora.

–Nie widzę waszej asystentki.

–Wykańcza raport, w biurze – odparł Ma, wskazując głową przyczepy. Widocznie uświadomił sobie Shan, nic z tego, co robił lub znajdował lama, nie miało już trafić do raportu.

–Więc nie znaleźliście nic wystarczająco ważnego, żeby powstrzymać wiercenia? – zapytał bez nadziei w głosie.

Ma spojrzał na niego, jakby Shan opowiedział mu jakiś dowcip.

–Chodzi wam o to, czy nie znalazłem brakującego ogniwa ewolucji? Albo grobowca chińskiego cesarza? – Roześmiał się

cienko. – Nie. – Spojrzał na odkryty spłacheć ziemi. – To nie jest aż takie stare. – Jego oczy przesunęły się ku małej skrzynce,

gdzie trzymał odłamek brązu pokryty chińskim i tybetańskim pismem.

Głośnik w obozie zaczął grać melodię wojskowej pieśni *Wschód jest czerwony*. Na przełęczu ukazał się sznur pojazdów.

Nagle Lhandro chrząknął głośno i zawołał profesora. Ma sprawiał wrażenie, jakby nie miał ochoty iść. Spojrzał na Shana, jakby go o coś błagał. Lhandro krzyknął raz jeszcze. Palcami rozgrzebywał ziemię pokrywającą trzydziestocentymetrowej długości walec.

–Kawałek rury – podsunął. – Czasami sprowadzano bambus na rury wodociągowe.

Shan klęknął obok rongpy. Był to istotnie bambus, solidny

kawałek o przeszło pięciocentymetrowej średnicy. Zagłębił palec w ziemię tam, gdzie się kończył, po czym raptownie cofnął dłoń i spojrzał na Ma, który odwzajemnił jego spokojne spojrzenie. Lhandro skończył kopać i uniósł swe znalezisko. To nie była rura wodociągowa. Była zamknięta na obu końcach, a gdy nią potrząsnął, coś w niej zagrzechotało. Shan przeniósł wzrok na Jokara, który z powagą skinął głową, jakby potwierdzał jego podejrzenia. Lhandro spostrzegł to i zdziwiony wodził wzrokiem od jednego do drugiego. Wreszcie spojrzał na ojca.

– Ten profesor to dobry człowiek – powiedział Lepka. – Po wiedzieliśmy mu, co przydarzyło się tobie i Shanowi.

Lhandro, z nadzieją w oczach, zaniósł walec profesorowi, ale Ma bez słowa odłożył go na ławkę, obok innych znalezisk. Shan wstał, podszedł do leżącej za profesorem drewnianej skrzynki i otworzył ją. Wewnątrz, obok filcu, który okrywał znany mu już odłamek brązu, znajdowało się kolejne zawiniątko. Uniósł górną warstwę. Pod filcem była ludzka czaszka z poszarpanym otworem na skroni.

– Nie rozumiem – usłyszał za sobą głos Winslowa. Uniósł wzrok i kierując się spojrzeniem Amerykanina, przyjrzał się Lepce, który powoli wstał i usiadł na skraju wykopu, wolno kołysząc się w przód i w tył. Winslow sięgnął po bambusowy walec i potrząsnął nim, Shan tymczasem wziął do ręki odłamek brązu, ponownie przyglądając się pokrywającemu go pismu. Przesunął palcami po chińskich znakach.

Wziął walec od Amerykanina. Sam również miał taki, prawdopodobnie starszy od tego, przekazywany z pokolenia na pokolenie od czasów jego pradziadka, który zostawił na przechowanie u lamów w Lhadrung. Przekręcił zamykające go wieczko, które odskoczyło swobodnie, i wysypał zawartość na ławkę. Były to poźółkłe ze starości, pokryte laką łodyżki

krwawnika.

–Sześćdziesiąt cztery – oświadczył napiętym ze wzruszenia głosem. – Powinny być sześćdziesiąt cztery. – Uniósł wzrok ku otaczającym go zdezorientowanym twarzom. – Patyczki do

losowania wersetów z *Tao Te Ching*. - Zerknął na Lepkę. Patyki, mówił. Sędziwy rongpa miewał koszmarne sny o patykach. Odwrócił się do Winslowa i szybko wyjaśnił, w jaki sposób posługiwano się takimi patyczkami do rytualnego wskazania numeru rozdziału, rzucając je i rozdzielając na grupy po trzy, a z tych, które pozostały po przeliczeniu, budując ciągłe lub przerywane linie, które z kolei tworzyły jeden z tetragramów, odsyłających, zgodnie z tabelami, których uczyli się na pamięć studiujący *Tao Te Ching*, do określonego rozdziału tej księgi. Jak tetragram, który Lepka narysował niespodziewanie na Skale Mieszania. – Kiedy byłem mały, godzinami rzucaliśmy je z ojcem – powiedział cicho – i na zmianę recytowaliśmy *Tao Te Ching*.

Znów przesunął w palcach odłamek brązu. Teraz, gdy wiedział już, czego szukać, rozszyfrowanie tekstu było proste.

–To ustęp siedemdziesiąty – wyjaśnił – po tybetańsku i po chińsku. – Wskazał na znaki. – To jego ostatnie słowa. – Popatrzył na Lepkę.

–„Mędrzec jest jak chropawa skorupa kryjąca cenny nefryt” – wyrecytował stary Tybetańczyk, wpatrując się w kupkę patyczków. Nefryt. Nefrytowa noga należała do wołu. To był posążek Lao-tsy, taoistycznego mędrca, z jego wołem.

Shan nadal wpatrywał się badawczo w twarz Lepki.

–Kiedy przyszli ci żołnierze, oddziały Lujun, nie tylko Tybetańczycy żyli w tej dolinie – podsunął.

Starzec pokręcił głową.

–Ojciec przed śmiercią przekazał mi tę tajemnicę – odparł,

patrząc ze skruchą na Lhandra. – Dwadzieścia albo trzydzieści lat przed żołnierzami Lujun przybyło tu paru Chińczyków,

by zbudować małą taoistyczną świątynkę. Byli uczonymi, którzy

żyli jak pustelnicy, mówił, i próbowali objaśniać podobieństwa między naukami tao a naukami Buddy, przerzucić most nad przepaścią między naszymi narodami. Czasem, gdy przychodzili mnisi z Rapjung, toczyli debaty albo rzucali patyczki i recytowali nam wersety *Tao Te Ching*. Cała wioska zbierała się i słuchała.

Spojrzał na Jokara, który skinął głową, zachęcając go, by mówił dalej.

– Ci ludzie nikomu nie wadzili. Byli spokojni i uprawiali w ogródkach zioła, których używali mnisi z Rapjung. Mówili, jak byłoby wspaniale, gdyby Chińczycy i Tybetańczycy mogli wspólnie zgłębiać sekrety medycyny, i sami brali lekcje u lamów. – Przez chwilę wpatrywał się w wojskowe namioty, po czym znów odwrócił wzrok ku świeżo odwróconej ziemi. – Mojego ojca nie było tu, kiedy to się stało. Służył w tybetańskiej armii. Mówił mi, że ci mnisi prawdopodobnie próbowali powstrzymać chińskich żołnierzy, że nie chcieli rozlewu krwi. Ale gdy żołnierze odeszli, nie było już żadnego z mieszkańców Yapchi, nie było nikogo, kto mógłby bronić tych chińskich mnichów. Gdy ludzie z pobliskich wiosek przyszli i znaleźli stertę trupów, wpadli w szal. – Lepka patrzył teraz tylko na Shana, jakby mu się zwierzał, jakby to była historia, którą musiał przekazać jakimukolwiek Chińczykowi. – Ojciec mówił, że ci chińscy mnisi próbowali pewnie pogrzebać ciała, próbowali pomóc. Ale ludzie byli zbyt wściekli.

Zbyt wściekli na Chińczyków, chciał przez to powiedzieć. Ludzie przyszli i oszaleli wściekłością oraz żądzą zemsty. Nie żołnierze, ale rolnicy i pasterze. Shan spojrzał na czaszkę we

wciąż otwartej skrzynce. Tego mnicha mogła zabić motyka lub kilof.

–Później nie mogli powiedzieć o tym nikomu – ciągnął żałościwie Lepka, wykręcając palce. Jego żona stała obok, ściskając go mocno za ramię. – Gdyby wieść o chińskich mnichach się rozeszła, żołnierze by wrócili. Tak więc nasze rodziny spaliły taoistyczną świątynię i zakryły to miejsce polem jęczmienia. – Po twarzy spływały mu łzy. – Potem mnisi z Rapjung usłyszeli o tym. Przyszli i wypowiedzieli słowa dla Chińczyków, dla wszystkich, którzy zginęli. Kazali ludziom otworzyć grób, który

wykopali dla mieszkańców Yapchi, i pogrzebać razem z wieśniakami wszystkie szczątki mnichów, jakie udało się znaleźć. Ludziom, którzy zabili mnichów, kazali przyrzec, że wyślą swych najstarszych synów do gompy, gdzie zostaną dobdobami, by coś takiego nie mogło zdarzyć się ponownie. – Zerknął na podobnego do jaka Dzopę. Strażnicy cnoty, tak nazwała mnichów policjantów Chemi. – Mój brat poszedł – ciągnął Lepka – ale zginął w Rapjung, gdy przyszły dzieci Mao.

Nagle od strony platformy rozległ się donośny głos, nakazujący robotnikom opuścić trybunę, żeby dygnitarze mogli zająć miejsca. Krzesła i ławki szybko zapełniły się Chińczykami i Tybetańczykami w garniturach. U szczytu schodów stała sekretarka Jenkinsa, witając gości. Wręczając im kartki z programem, zerknęła raz po raz w stronę jednego z wojskowych namiotów, przy którym stała zwarta grupa żołnierzy. W środku musiał być Lin, z Anyą. Pozostali żołnierze krążyli po obozie, obnosząc się z bronią.

Profesor Ma otworzył plecak Dzopy i wyciągnął z niego koc, by przykryć leżącego wartownika, Shan wiedział jednak, że prędzej czy później mężczyzna odzyska przytomność i zaczną

się następne kłopoty. Jeden z oficerów Lina wszedł na podium i stanął obok mikrofonu na stojaku, zwrócony twarzą do zgromadzonych dygnitarzy. Wymachując w powietrzu drewnianym wskaźnikiem, kierował ich uwagę na zrujnowaną wioskę, ogołoczone z drzew stoki, nawet na spłacheć wypalonej ziemi, pozostałość po malowanym gładzie. Wyjaśniał zwycięską rolę Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w otwarciu doliny i wskazywał żołnierzy, rozstawionych wokół obozu niczym płot.

Shan spojrzał znów na koc. Był mocno wybrudzony, pokryty smugami sadzy, ale wciąż biały. Koc Dzopy. Dzopy, który przyszedł z Indii z Jokarem. Wzrok zamglił mu się na chwilę i nagle oczyma wyobraźni Shan zobaczył przed sobą inną scenę. Zobaczył Jokara siedzącego nocą przy ogniu, owiniętego w koc Dzopy. Zobaczył Drakego, przerażonego, rannego, uciekającego przed krzykaczami Tuana, wiedzącego, że ludzie w białych koszulach ścigają go, chcą go dopaść, być może szykują zasadzkę. Zobaczył, jak Drake przystaje na widok mającej przed nim

białej postaci, zobaczył, jak sięga po procę, zakłada kamień i rzuca go w kark Jokara. Dreszcz, który przeszył jego ciało, powiedział mu, że domyślił się prawdy.

Na podium wspięła się zdecydowanym krokiem kolejna postać, obserwowana z wyczekiwaniem przez siedzących. Był to Jenkins, w czystej niebieskiej koszuli i czerwonym krawacie, prowadzący za sobą pół tuzina ludzi, w tym dwóch cudzoziemców, wszystkich w takich samych czerwonych krawatach i niebieskich koszulach. Gdy Jenkins usunął się w bok i gestem zaprosił swoją gromadkę na podium, Shan dostrzegł, że w pobliżu trybuny zbiera się inna grupa. Albo raczej jest zbierana. Przeszło pięćdziesięciu Tybetańczyków pod eskortą żołnierzy. Robotnicy przymusowi, domyślił się Shan, gdy

niektórzy z nich przywitali Lhandra i Nymę lekkimi, nerwowymi skinieniami głowy.

Na koniec pojawił się dyrektor do spraw projektów specjalnych oraz starsza kobieta w ciemnoszarym kostiumie i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, którzy zajęli ostatnie dwa miejsca w pierwszym rzędzie. Zhu zaczął siadać, lecz nagle wyprostował się, mrużąc oczy. Patrzył w stronę wykopalisk, na Shana, Jokara i Tenzina. Nawet z tej odległości Shan zauważył, że dyrektor jest poruszony. Widział, jak Zhu przywołuje pod trybunę jednego z pałkarzy i wskazuje w kierunku wykopalisk. Pałkarz już ruszył w stronę wykopu, zatrzymał się jednak na okrzyk oficera armii. Oficer, ze wzrokiem utkwionym w południowy kraniec doliny, wbiegł na podium, mówiąc coś z podnieceniem do radiotelefonu. Po chwili podbiegł do Jenkinsa i triumfalnie wskazał na południe.

Shan nie mógł słyszeć ich rozmowy, ale po reakcji oficera i oklaskach, którymi grupa w niebieskich koszulach nagrodziła Jenkinsa, poznał, że żołnierze zaliczyli kolejne zwycięstwo. Teren wykopalisk minęła pędem wojskowa ciężarówka i Shan dostrzegł w oddali żołnierzy biegnących południowym skrajem doliny.

– Nie martw się o nią, Winslow – rozległ się nagle niski głos. Obok wykopu stał Jenkins. Przyglądał się Winslowowi z przepaszającym wyrazem twarzy. – Pomyślałem, że będziesz chciał wiedzieć. Żołnierze mówią, że Larkin jest tam, na górze. Ukrywa się wśród drzew z gromadą Tybetańczyków. Coś tam kopią. Żołnierze poszli sprowadzić ją na dół. – Kierownik obozu spojrzał uważnie na Winslowa i westchnął, kręcąc głową. – Przykro mi z powodu tego faksu. Jeśli to coś da, złożę wyjaśnienia. Próbowaleś pomóc, wiem.

Winslow nie zareagował. Wpatrywał się tylko w odległy koniec doliny. Jenkins wrzucił ramionami i odszedł ku podium.

Z jakiegoś zakamarka umysłu Shana odezwał się drwiący głos. Trzynaście miesięcy wolności. Cztery lata lao gai i trzynaście miesięcy wolności. Tak właśnie, wiedział o tym, żyło wielu purbów, przedzielając długie okresy więzienia krótkimi, intensywnymi zrywami pracy dla swej sprawy.

Ale słyszał też inny głos, równie odległy jak pierwszy, krzyczący do niego z głębi długiego, ciemnego korytarza jego umysłu. Oko bóstwa. Nawet drobne zamieszanie mogłoby pozwolić niektórym Tybetańczykom na ucieczkę, być może nawet na odbicie Jokara. Gdyby tylko Tenzin i Jokar zdołali uciec, Shan zniósłby najgorsze z czekających go cierpień. Powoli ruszył w stronę ekipy wykańczającej ostatnimi pociągnięciami pędzla transparent Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Zanim się zorientował, co robi, stał już przy stercie puszek z farbą. Pochylił się i podniósł puszkę czerwonej. Gdy uniósł wzrok, spostrzegł, że zaledwie półtora metra dalej stoi Somo, śledząca żałosnym wzrokiem rząd więźniów idących doliną przez ruiny wioski. Podszedł do dziewczyny i podał jej puszkę. Wzięła ją zdziwiona. Przez chwilę patrzyli na siebie smutnym, dumnym spojrzeniem, jakie mogliby wymienić między sobą żołnierze tuż przed rozpaczliwym atakiem na przytłaczające siły wroga.

Uśmiechnął się smutno.

–Potrafisz biegać? – zapytał.

Dziewczyna przez chwilę rozważała jego pytanie. Nagle w jej oczach rozbłysnął zapal. Spojrzała na puszkę farby i uśmiechnęła się. Szeptem wyjaśnił jej swój plan i chwilę później Somo zniknęła w tłumie.

Tymczasem z megafonów znów popłynęła melodia pieśni *Wschód jest czerwony*. Tu i ówdzie rozległy się brawa, gdy dygnitarze wstali, by powitać ostatnią grupę gości zmierzającą od

obozu ku podium. Shan ze ściśniętym gardłem przyglądał się Khodrakowi, Padmemu i Tuanowi, idącym pod eskortą strażników w białych koszulach, ściskającym dłonie licznym ludziom z

tłumu, zachowującym się niczym goście honorowi. To był ich dzień w nie mniejszym stopniu co Jenkinsa. Khodrak szedł wolno, ceremonialnie podpierając się swym kijem żebraczym. Padme, o krok za nim, niósł czarną torbę, którą Shan widział w sali konferencyjnej w Norbu.

Ma ruszył w stronę delegacji z Norbu. Profesor uprzejmie przywitał się i nawiązał rozmowę najpierw z Padmem, a potem z Khodrakiem, którzy najwyraźniej czuli się swobodnie wobec starszego Chińczyka.

Lhandro wyrwał się z odrętwienia, które zdawało się ogarniać wszystkich przy wykopie.

– Ten profesor się naraża – szepnął do Shana. – Nie ma pojęcia, jaki mnich jest z tego Khodraka.

– On wyczuwa, że tu się dzieje coś ważnego – cicho, z troską powiedziała nad ramieniem Shana asystentka Ma, młoda studentka, która wykańczała raport. Trzymała wielką brązową kopertę. – On musi jechać. Wciąż go próbuję namówić do powrotu.

Miał być szefem całego uniwersytetu – ciągnęła niespiesznie. Studenci go uwielbiali. Uprosili go, żeby prowadził dodatkowe zajęcia, w nocy, nieoficjalnie. Pięć lat temu miał już zostać rektorem, ale ktoś z Pekinu podczas wizytacji odkrył, że jego wykłady odbiegają od zatwierdzonego podręcznika historii. – Umilkła, śledząc wychodzącą z obozu wojskowego małą grupkę żołnierzy. Pośrodku, przebrany w czysty mundur, szedł Lin. – Profesor roześmiał się. Powiedział, że historia to bogaty kobierzec, a w partyjnym podręczniku historii wygląda jak stara

szara szmata. Jego studenci też wybuchnęli śmiechem i zaczęli klaskać. Ale wizytatora to nie rozbawiło. Zrobili rektorem innego profesora i odebrali Ma zajęcia. Teraz wolno mu prowadzić tylko prace badawcze.

Shan przyjrzał się staremu Chińczykowi, który najwyraźniej dostrzegł w Khodraku coś, co wymagało bliższego zbadania. Co on robił? Lepka stwierdził, że profesor jest dobrym człowiekiem. W innym wcieleniu mógł być chińskim mnichem, próbującym na swój łagodny sposób przerzucić most nad przepaścią między narodami.

Choć Shan nie mógł go słyszeć, odniósł wrażenie, że Ma toczy z prezesem gompą Norbu przyjazną pogawędkę. Lecz oczy

profesora błędziły po Khodraku. Ma przyglądał się jego eleganckiej szacie, jego wytwornym skórzanym sandałom, perłowemu różańcowi wiszącemu u paska. Po chwili wskazał ręką kij żebraczy i Khodrak z wahaniem wyciągnął go ku niemu. Profesor przesunął palcami po eleganckich wolutach metalowej główki i nagle obaj zaczęli sobie wrywać kij, aż wreszcie Khodrak wyszarpnął go z rąk Ma i odszedł, rozdrażniony, zostawiając profesora wpatrującego się w jego plecy z dziwnie rozczarowaną miną. Jeden ze strażników w białych koszulach podbiegł do Khodraka i nachylił mu się do ucha. Prezes spojrział w stronę wykopu i jego oczy zapłonęły. Spostrzegł Jokara.

Muzyka ucichła i Jenkins podszedł do mikrofonu na podium, jakby chciał wygłosić przemówienie, jego wzrok przyciągnęło jednak rozgrywające się przy wykopie dziwne widowisko. Tłum zwrócił się w tę samą stronę i stopniowo zapadła cisza.

Ma przemknął obok Khodraka i stanął przed Jokarem, osłaniając starca. Obok, jak spod ziemi, wyrósł Lepka, który dołączył do niego, jak gdyby Jokar, Ma i on, trzech najstarsi z

obecnych, nagle uznali za swój obowiązek przeciwstawić się prezesowi Norbu. Khodrak zmarszczył brwi i zerknął znacząco na stojącego pięć metrów dalej Lina, najwyraźniej próbując nakłonić pułkownika do interwencji. Lin jednak zrobił krok w stronę profesora, tak że prezes gompys został sam wobec trzech starców. Zmieszany, obejrzał się, jak gdyby chciał przywołać swych ludzi w białych koszulach, w tej samej chwili jednak profesor omiółł szerokim gestem teren wykopalisk.

–Przed stu laty Tybetańczycy dopuścili się tu strasznej zbrodni – oświadczył głośno.

–Nie Tybetańczycy – wtrącił z irytacją Lin i choć zdawało się, że zamierza coś dodać, słowa uwięzły mu w gardle. Spojrzał na Shana, szukając u niego pomocy. Khodrak znów zrobił krok naprzód. Wyglądało na to, że nie może już powstrzymać gniewu i żądry, nawet na oczach tych, którzy przyszli świętować jego sukces. A może nie, pomyślał nagle Shan. Być może Khodrak uznał, że otrzymał już błogosławieństwo władz, i cała sytuacja stała się dla niego elementem przedstawienia dla dygnitarzy, demonstracją nowych sił.

–Ten stary Tybetańczyk jest przestępcą! – krzyknął prezes gompys Norbu do Lina, oskarżycielsko dźgając palcem w stronę Jokara, po czym powtórzył te słowa, zwracając się ku dygnitarzom na podium.

Shan stanął przed Jokarem, obok Lepki i Ma. Khodrak odpowiedział na to szyderczym uśmiechem.

–Główny przedstawiciel zbrodniczego kultu Dalai – ciągnął swym donośnym, publicznym głosem, wskazując Jokara -w otoczeniu swych przestępczych pachołków! Krzewiciel wsteczności! – Niecierpliwie łypnął na Lina i jego żołnierzy, obejrzał się na dygnitarzy, po czym, prostując się i wygładzając fałdy szaty, odwrócił się ku podium. – Ten dzień na długo

pozostanie w ludzkiej pamięci! – zagrział. – Dzień, w którym nowe Chiny oczyściły ten region z ostatnich nieprawomyślnych elementów za pomocą sił rozwoju gospodarczego i dobrobytu! – Prezes Norbu najwyraźniej przećwiczył tę przemowę i uznał, że właśnie jest odpowiedni moment, by ją wygłosić. Musiał dopilnować, by świat się dowiedział, że Jokar należy do niego. Gdyż Khodrak wyraźnie postanowił, że ten dzień nie będzie poświęcony sukcesowi spółki naftowej, ale jego osobistym zwycięstwom.

–To przełomowa chwila dla tej doliny i dla tego regionu – ciągnął – historyczny dzień dla Urzędu do spraw Wyznań oraz gompy Norbu. – Wskazał Jokara i długi rząd postaci prowadzonych pod lufami przez dolinę. – Dziś zmiatamy z powierzchni ziemi przestępcze elementy, które utrzymywały ten okręg w epoce feudalizmu. Od dziś rozpoczynamy nowe życie! Nową epokę! Wieść o tym dotrze do Pekinu! – Rzucił tęskne spojrzenie ku mikrofonowi. Jeden z mężczyzn w białych koszulach wskoczył na podium, ściągnął mikrofon ze stojaka i podał go Khodrakowi, który znów wskazywał lamę uzdrowiciela.

Jokar zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Ze znużonym, łagodnym uśmiechem wpatrywał się w ośnieżony wierzchołek góry Yapchi, w coś niewidocznego dla pozostałych.

–Przywódca jednej z najbardziej przesiąkniętych feudalizmem instytucji w całym Tybecie, jednego z najbardziej nie

bezpiecznych instrumentów ucisku! – Głos Khodraka niósł się

teraz po całej dolinie. Prezes uniósł wysoko swój nieodłączny kij żebraczy. – Spiskowiec, zbrodniczy współnik samego dalajlamy!

Agent wysłany z Indii z zadaniem obalenia nowego porządku!

Obok Shana przemknęła jakaś postać. To Dzopa pędził w stronę Khodraka, wymachując drągiem. Khodrak wydał usta i opuścił swój kij, trzymając go oburącz, metalową główką celując w dobdoba jak grotem włóczni.

Powietrze rozdarł metaliczny trzask. Dzopa okręcił się w miejscu i z jękiem zwałił się na ziemię. Towarzyszący Linowi żołnierze obrócili się, unosząc broń. W tej samej chwili Padme przyskoczył do Khodraka, a Winslow rzucił się w tłum Tybetańczyków. Jeden z krzykaczy trzymał w ręce pistolet. Lin z wściekłością wskazał go palcem. Najbliższy żołnierz podbiegł i uderzywszy w pistolet kolbą karabinu, wytrącił go z ręki mężczyzny, po czym przydepnął go butem.

Dzopa wił się z bólu, trzymając się za krwawiącą lewą łydkę. Lhandro przyskoczył do niego i przycisnął do rany chustkę. Jokar zrobił dwa kroki w stronę dobdoba, lecz powstrzymał go Lepka, kładąc mu dłoń na ramieniu. Tenzin uklęknął przy Lhandrze i Dzopie. Khodrak patrzył na niego ze zwycięskim uśmiechem.

Shan spoglądał to na Lina, to na Dzopę. Potem jego wzrok padł na kij żebraczy w dłoniach Khodraka.

–Aresztować ich! – krzyknął prezes Norbu do strażników. – Widzieliście, co zrobił ten człowiek z drągiem. Teraz ujawnił się jego wspólnik, ten z chigiem! I ten Chińczyk, który spiskuje z nimi! – wołał triumfalnie, wskazując Shana. – Aresztować ich wszystkich! Zdrajcy! Mordercy!

Chig. Shan rozglądał się zdziwiony. Słowo to oznaczało jedynekę. Spojrzał na Lhandra, który wciąż klęczał obok Tenzina. Najprostszą, najstarszą postacią cyfry jeden w tybetańskim piśmie było lekko przechylone w prawo, odwrócone U. Jak znamię na szyi Lhandra. Wodził wzrokiem od Khodraka do rongpy. Ten z chigiem.

Nagle spostrzegł, że Tenzin rysuje coś palcem na ziemi.

Jakiś zawijas. Przypominał przechyloną w lewo arabską trójkę, z dolną częścią wydłużoną niczym ogon. Tak właśnie wyglądała blizna na czole Draktego. Po tybetańsku symbol ten oznaczał *nyasha*. Rybę. Prezes szukał kiedyś człowieka z rybą.

Gdy Khodrak spostrzegł nakreślony na ziemi znak, jego uśmiech zgasł. Odwrócił się plecami do Tenzina i dobdoba.

–Mordercy! – krzyknął ponownie. – Ująć ich!

–Mordercy? – rozległ się czyjś głos za plecami Khodraka. Kilku dygnitarzy stało na skraju trybuny. Jeden z nich, szczupły, starszy mężczyzna w szarym mundurze, przyglądał się zdumiony prezesowi Norbu. – Nakazujecie aresztowanie?

–Zabili pracownika Urzędu do spraw Wyznań w Amdo – oświadczył wolno Khodrak. – Zostanie zapisane, że był bohaterem, który zginął za naszą słuszną sprawę, za Kampanię Pogodnego Dobrobytu, zginął jako wzór nowego porządku.

Zostanie zapisane. Khodrak pisał kłamstwa, by zdobyć władzę. Drake pisał prawdę, by mu to udaremnić, i za to zginął. Shan poczuł, że jego nogi poruszają się z własnej woli, i nagle znalazł się przed Khodrakiem, zagradzając mu drogę na trybunę. Khodrak, mierząc go wściekłym wzrokiem, zamachnął się kijem. Shan spojrzał na wieńczącą kij ozdobną główkę.

–Znam bohatera, który zginął za prawdę – oświadczył.

Nagle ciężarówka wioząca eskortę Larkin i Tybetańczyków zaczęła trąbić jak na wivat. Dygnitarze na trybunie spojrzeli na więźniów. Ale Khodrak i Shan wciąż patrzyli sobie w oczy, aż raptem prezes opuścił kij, mierząc jego główką w brzuch Shana, i rzucił się naprzód. Shan poczuł, jak chłodna stał dotyka jego ciała, jednak w tej samej chwili czyjaś dłoń odparła cios. Obok niego stał Ma, to on odepchnął główkę kija. Klakson ucichł. Khodrak z zadowoloną miną cofnął kij i obszedł ich dookoła.

Shan i profesor obserwowali Khodraka. Opadł na nich jakiś

dziwny spokój. Shan wolno się odwrócił i spostrzegł, że Ma wpatruje się w dłoń, którą sparował cios Khodraka. Widniała na niej długa rana. Krew spływała mu po palcach na ziemię.

Starzy Tybetańczycy twierdzili, że oświeceniu towarzyszą dźwięki, nie ludzkie słowa, lecz dźwięki, jakie dusza w jakiś sposób znajduje w sobie, nawiązując łączność z wewnętrznym bóstwem. Być może odgłos, który teraz wyrwał się z ust Shana, był właśnie taką próbą kontaktu, dziwnym ni to jękiem, ni to obwieszczeniem odkrycia, ni to krzykiem bólu.

Profesor, który najwyraźniej zignorował swoją ranę, spojrzał na niego z nagłą troską.

–Coś wam dolega? – zapytał.

Tak, chciał odpowiedzieć Shan. Jestem chory. Chory na prawdę. Chory na bolesną wiedzę o krzywdzie, jaką lata okupacji Pekinu wyrządziły im wszystkim.

Ale zamiast tego ktoś wykrzyknął donośnym, spokojnym głosem:

–Jeden jak! Tylko jeden jak! Lamtso Gar ma jednego jaka! – Shan miał już się rozejrzeć dookoła, gdy sobie uświadomił, że on sam wypowiada te słowa. – Osiemnaście owiec! Pięć kóz! – ciągnął, przypominając sobie, z jaką dumą kobieta nad jeziorem wskazała wpis w rejestrze Draktego. – I dwa psy!

Khodrak przystanął. Zbladł i zaraz poczerwieniał z gniewu. Nagle prezes Norbu znów znalazł się przed Shanem, uniósł swój kij, tym razem jednak uderzył go w brzuch tępym końcem. Shan, trzymając się za brzuch, padł na kolana. Z trudem łapał oddech, ale nie oderwał oczu od podium.

–W zeszłym roku umarło tu z głodu dziecko! – zawołał, dysząc.

–Tchórz! – warknął Khodrak. – Wytyczamy nową drogę. Zdobyliśmy uznanie. – Odwrócił się. – Tuan! – krzyknął ostro i

dyrektor Urzędu do spraw Wyznań ruszył ku Shanowi wraz z czterema białymi koszulami, niecierpliwie czekającymi, aż klęczący Chińczyk wpadnie im w ręce. W tej jednak chwili Shan wyjął z kieszeni kawałek papieru i rozprostował go: było to zdjęcie chatki nad jeziorem, które zabrał z gabinetu Tuana. Wyciągnął je przed siebie niczym broń. Tuan, będący już zaledwie trzy metry od niego, zatrzymał się. Z twarzy odpłynęła mu krew.

Lin rzucił krótki rozkaz i żołnierze stanęli po obu stronach krzykaczy, dając im do zrozumienia, że mają się zatrzymać. Była to błahostka, pomyślał Shan, rzecz bez znaczenia dla Lina. Po prostu pozwalał, by Shan sam pogrążył się na oczach dygnitarzy.

Khodrak nie był zbyt pewny, do kogo się zwracać, Shan jednak nie miał takich wątpliwości. Z wysiłkiem podniósł się na nogi i podszedł do podium, podczas gdy Khodrak zmierzył wściekłym wzrokiem najpierw jego, a potem Lina.

–Ludność okręgu sporządziła własny raport z działalności gospodarczej. Raport oparty na prawdzie. Ludzie także muszą

mieć głos. Gdy próbowali go wręczyć wicedyrektorowi Chao, Khodrak zabił Chao oraz Tybetańczyka, który przyniósł ten raport.

Choć wydawało się to niewiarygodne, Shan uświadomił sobie, że jedynym audytorium, które chciało go słuchać, jest to, które właśnie miał przed sobą: żołnierze, którzy nie ufali pałkarzom, i krzykacze, którzy nie ufali pałkarzom, i pałkarze, którzy nie ufali ani jednemu, ani drugiemu; audytorium, którego członkowie nie powiązani z Lhasą obawiali się tych, którzy mieli z nią związek, audytorium, które tolerowało jego oskarżenia tylko dlatego, że przywykło do języka oskarżeń i nauczyło się, że podejrzenia, strach i zarzuty są fundamentami władzy. Większość z tych ludzi

bez wątpienia zakładała, że Shan po swej przemowie zostanie odprowadzony w kajdankach, ale równie pewne było, że wszyscy się zastanawiali, czy nie usłyszą przypadkiem czegoś, co umocniłoby ich władzę.

–Zabił ich swoim kijem żebraczym. Zmierzcie go, a przekonacie się, że odpowiada ranie po uderzeniu, od którego zginął wicedyrektor Chao. – Shan nie miał już wątpliwości, że odpowiadał także innej ranie, tej, którą sam widział, straszliwemu cięciu na brzuchu Draktego, które purba próbował zszyć zgrzebną nicią i igłą do namiotów. Drake uciekł przed Khodrakiem, uciekł z Amdo, ale cios, który zadał mu Khodrak, zabił go w pustelni. I zabił ich świętą mandalę.

Kolumna aresztantów ciągnących przez dolinę zbliżała się. Od obozu dzieliło ją już tylko pięć minut marszu. Już wkrótce Melissa Larkin stanie oko w oko z Zhu.

Coś poruszyło się za plecami Shana i Ma znów przy nim stanął: dwaj Chińczycy przeciwko tybetańskiemu prezesowi gompy Norbu. Profesor bez słowa obrócił dłoń wnętrzem ku górze, tak że siedzący w przednim rzędzie dygnitarze z Lhasy mogli wyraźnie widzieć spływającą z niej krew. Surowa kobieta w szarej sukni wydała zduszony okrzyk i szepnęła coś do ucha siedzącego obok mężczyzny.

–Kłamstwa! – wrzasnął Khodrak. – Nie macie żadnych dowodów! – Obejrzał się niepewnie na swych ludzi, trzymany w szachu przez żołnierzy, potem na Tuana, który wciąż stał jak sparaliżowany. Wydawało się, że dyrektor nagle zrezygnował z walki. Ale Shan wiedział, że w istocie zrezygnował już dawno temu. Tuan nigdy nie miał energii Khodraka ani nie dążył do tych samych celów. Wizyta w jego gabinecie otworzyła Shanowi kolejne drzwi w ciemnym, odległym korytarzu pamięci, w którym kryło się jego pekińskie wcielenie. Dla inspektora Shana, który

specjalizował się w tropieniu korupcji, dowody były oczywiste. Ambicje Tuana były skromniejsze niż Khodraka. Chciał tylko przejść na emeryturę, zanim zabije go choroba, zamieszkać w swej skromnej chatce sfinansowanej przez widmowych żołnierzy, których umieścił na swej liście płac.

–Pojechaliście do Amdo, żeby nie dopuścić, by prawdziwe dane dotarły do urzędu – ciągnął Shan – żeby nie dopuścić, by wicedyrektor Chao otrzymał je i przekazał do Lhasy. Ale potem rozpoznaliście Tybetańczyka, który przyniósł te rejestry. Widzieliście go w Lhasie z opatem Sangchi, tuż przed tym, jak opat zniknął. Uświadomiliście sobie, że prawdopodobnie oznacza to, że nie uciekł na południe. Ale nie zawiadomiliście o tym nikogo w Lhasie. Pozwalaliście, żeby nadal poszukiwano go na południu, gdyż mieliście co do niego własne plany. Chcieliście znaleźć go i nakłonić, aby obwieścił sukces waszej kampanii. Nie Kampanii Pogodnego Dobrobytu. Waszej kampanii. Nie kampanii Lhasy. Nie kampanii Pekinu. Nowej kampanii, zmierzającej do przejęcia kontroli nad gompami od Urzędu Bezpieczeństwa i przekazania jej nowym siłom bezpieczeństwa, podlegającym Urzędowi do spraw Wyznań. Siłom takim jak te, które utworzyliście z dyrektorem Tuanem bez upoważnienia z Lhasy. – Shan wiedział, że najwyżsi dygnitarze nie będą się zbytnio przejmować morderstwem. Ale Khodrak popełnił zbrodnię o wiele gorszą niż morderstwo. Manipulował oficjalną kampanią partyjną. Był nielojalny.

–Kłamstwa! – wysyczał znów Khodrak. – Zobaczycie – powiedział w stronę podium. – Na koniec zachowałem dla was najważniejsze. – Odwrócił się i rozejrzawszy się po tłumie, zawołał Padmego. – Dowód całej ich zdrady!

Młody mnich przepchnął się przez ciżbę i wrócił z powrotem z czarną skórzaną teczką, którą Khodrak pospiesznie otworzył.

Wyciągnął z niej wielki, owinięty w tkaninę pakunek, który triumfalnie wręczył stojącej na trybunie kobiecie w szarym kostiumie.

Kobieta przyjęła pakunek. Dwóch innych dygnitarzy zaglądało jej przez ramię, gdy go rozwijała. Kiedy odsunęła materiał, Khodrak wydał zduszony okrzyk i zdawało się, że zamierza uderzyć Padmego kijem. Ale Padme także z niedowierzaniem w oczach wpatrywał się w to, co zawierał pakunek. Był to wyświechtany rejestr Draktego, księga, którą Shan widział po raz ostatni ubiegłej nocy w jaskini. Kobieta przekartkowała ją, po czym spojrzała wściekle na Khodraka. Trzęsąc się z gniewu, ściągnęła z głowy słomkowy kapelusz.

– Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego – warknęła. – Ujawnijcie się w ciągu sześćdziesięciu sekund, a unikniecie kary. To rozkaz waszego generała!

Krzykaczy nie trzeba było ponaglać. Niektórzy zaklęli, niektórzy jęknęli, ale wszyscy pospiesznie zrzucili białe koszule i pobiegli do obozu. Dwaj mężczyźni w szarych mundurach bezpieki podeszli do Khodraka i Padmego. Khodrak, z twarzą bladą jak płótno, wpatrywał się w kobietę, ściskając oburącz swój kij. Kolejny pałkarz podszedł do Shana, wyciągając dłoń. Shan podał mu zdjęcie chatki, złożoną stronę z faksu z listą widmowych nazwisk, które, jak wiedział, wskażą trop wiodący do Tuana, i wreszcie świstek papieru, który Chao przekazał Draktemu tuż przed śmiercią. Pałkarz spojrzał na niego niepewnie, a następnie zerknął na kobietę w szarym kostiumie. Wyciągnęła rękę po papiery.

Nagle Padme wskazał zбочe, na którym schwytano Larkin i Tybetańczyków.

– Poganie! – krzyknął z dziwną mieszaniną gniewu i nadziei, po czym rzucił się przez sznur żołnierzy, wciąż wskazując coś na

stoku.

Somo, spostrzegł Shan, dotarła tam, gdzie kopała Larkin, gdyż jeden z głazów był teraz pokryty jaskrawoszkarłatną farbą. Bóstwo znów się ujawniło.

Lin ze znużeniem pokręcił głową i odezwał się do stojącego obok oficera, który pobiegł w stronę obozu wojskowego. Większość dygnitarzy na podium nadal spokojnie obserwowała sytuację, jak gdyby wszystko, czego byli świadkami, stanowiło element zaplanowanej rozrywki.

Z metalicznym zgrzytem z cienia przy obozie naftowym wyłonił się czołg. Wysłany przez Lina oficer stał na pół wychylony z wjazdu na wieży. Czołg zatrzymał się sto metrów od obozu, błyskawicznie obrócił lufę w stronę stoku, po czym oddał jeden za drugim trzy strzały.

Zbocze na południowym krańcu doliny eksplodowało natychmiast, podobnie jak wtedy, gdy czołg zaatakował pierwszą skałę bóstwa, wzbijając w powietrze obłok pyłu i gruzu. Ale trzeci pocisk wywołał znacznie większą eksplozję niż pierwsze dwa. Ekipa Larkin nie tylko kopała, ale i założyła materiały wybuchowe. Oficer z czołgu zdziwiony wpatrywał się jakiś czas przez lornetkę w kulę ognia i chmurę pyłu oraz gruzu, aż w końcu obrócił się w stronę Lina i wzruszył ramionami. Kilka osób na platformie zaklaskało, wyraźnie zadowolonych z fajerwerków, którymi wojsko uświetniło ceremonię.

Lin przez chwilę patrzył na zbocze i przeniósł wzrok na Shana. Nagle otworzył usta i, jak większość zgromadzonych, wydał zduszony okrzyk, gdy spostrzegł potężnego jaka, który pojawił się na skraju wykopu. Był to Jampa, wdychający woń odsłoniętej ziemi. Jak wolno podszedł do skrzyni, w której Ma przechowywał swoje znaleziska, i powąchawszy ją, trącił nosem. Wszyscy w milczeniu patrzyli, jak zwierzę powoli rusza,

przechodzi między Shanem i Khodrakiem, mija Lina i zatrzymuje się, spoglądając na odległy stok. Jak przekrzywił potężny łeb, uniósł go wysoko i przeciągle, niezwykle głośno zaryczał. Wszyscy wpatrywali się w zwierzę, jedni z rozbawieniem, inni z powagą, jakby sądzili, że próbuje ono coś przekazać im lub czemuś, co kryje się w górach. Jak gdyby w odpowiedzi, z odległego zbocza dobiegł stłumiony grzmot. Właściwie nie grzmot, uświadomił sobie Shan. Brzmiało to raczej jak pomruk z wnętrza ziemi.

–Trzęsienie ziemi! – wykrzyknął jeden z robotników spółki.

Wciąż nikt się nie ruszał. Wszyscy spoglądali teraz tam, gdzie patrzył potężny jak, na zbocze, gdzie pomruk zdawał się przybierać na sile, zdradzając narastające parcie. Dał się słyszeć dziwny, stłumiony poszum, niczym mała erupcja, i nagle stok rozmył się w plamie ruchu.

Kruchą ciszę przerwał wreszcie Jenkins, który zerwał się z krzesła na podium, z nagłą trwogą wpatrując się w stok.

–Jeeezu! – ryknął rozpaczliwie, zeskoczył z podwyższenia i popędził ku najbliższej ciężarówce, wrzeszcząc na operatorów spychaczy, żeby ruszyli za nim. Przy drzwiach ciężarówki

przystanął na chwilę i jeszcze raz ocenił sytuację na stoku. – Pieprzona armia! – krzyknął, wyrzucając każdą sylabę jak wystrzał z armaty i patrząc na swych skonsternowanych robotników, wskazał na zbocze. – Ruszać się, ruszać! – wrzasnął

i wskoczył do ciężarówki.

W dłoniach Lina pojawiła się lornetka. Pułkownik ze zdumieniem wpatrywał się w stok, lecz po chwili, kiedy ją opuścił, w jego oczach załśniło coś na kształt podziwu. Spojrzał smutno na Shana, natychmiast jednak na jego twarz wrócił zwykły,

twardy wyraz. Rzucił szybko parę słów do stojącego obok oficera, który podniósł do ust krótkofalówkę i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Żołnierze ruszyli biegiem w stronę wieży wiertniczej. Lin znów nachylił się do oficera, który po chwili wahania, z rozczarowaniem na twarzy, powiedział coś do mikrofonu. Żołnierze eskortujący Larkin i Tybetańczyków, teraz już tylko sto metrów od podium, odbiegli od kolumny. Ich byli więźniowie, zdawało się, nie zwrócili na to uwagi, gdyż wszyscy skupili się wokół Larkin, wykrzykując radośnie i pokazując sobie zbrocze. Niektórzy powiewali khatami.

Lin podszedł do Shana i podał mu lornetkę.

Ale Shan nie chciał oglądać miejsca eksplozji. Rozpaczliwie lornetował zbrocze, wypatrując Somo. Jeśli zbyt długo zwlekała przy skale, mogła nie przeżyć. Nigdzie nie było jej widać.

–Nie rozumiem – odezwał się za nim profesor Ma.

–Bóstwo przemówiło – odparł Lhandro. Stał parę kroków od nich, podtrzymując ojca. Lepka wpatrywał się w zbrocze z szerokim uśmiechem, po twarzy spływały mu łzy. Obok Jokar klęczał nad rannym dobdobem, szepcząc cicho, z dłonią na ciemieniu Dzopy. Dobdob wskazywał ręką jaka.

–Woda – wyjaśnił Shan z podziwem w głosie. – Tam była podziemna rzeka, a teraz została uwolniona. – Słowa zdawały się proste, rzeczywistość – niewiarygodna. Melissa Larkin nie poszukiwała swej ukrytej rzeki dla potrzeb geologii. Ona i purbowie

starali się ją zlokalizować w nadziei, że zdołają wykorzystać ją przeciwko spółce, zmusić przedsiębiorstwo naftowe do porzucenia terenu wierceń.

Przez dolinę z rykiem pędziły ciężarówki. Jedne były już wypełnione robotnikami, inne przystawały, żeby zabrać robotników spod podium, jeszcze inne mknęły ze stosami łopat, kilofów i wiader. Goście na podium zaczęli się kręcić

niespokojnie, pytali, kiedy będzie dalszy ciąg ceremonii. Jedynie pałkarze, którzy zrzucili białe koszule, stali wstrząśnięci przed platformą, słuchając kobiety w szarym kostiumie, która sycząc gniewnie, wskazywała palcem Khodraka. Gdy skończyła, otoczyli go ciasno i pragnąc najwyraźniej gorliwie dowieść swej skruchy, wyrwali mu kij, a następnie pociągnęli go w stronę jednego z białych samochodów Urzędu do spraw Wyznań.

–Z ukształtowania doliny – powiedział Shan z westchnieniem, przyglądając się, jak najpierw Jampa, a potem Gyalo podchodzą do Jokara – wynika, że woda spłynie do wieży wiertniczej, do najniższego punktu w dolinie.

Dobdob przez chwilę ścisnął ramię Jokara, po czym puścił je, wydając odgłos, który brzmiał jak szloch, i przy pomocy mnicha lama wolno wdrapał się na szeroki grzbiet jaka. Lin podszedł powoli do skraju wykopu i demonstracyjnie odwrócił się plecami do Lepki i innych siedzących w pobliżu. Shan znów spojrzał na Gyala, przypominając sobie, co mnich powiedział mu tego ranka na stoku: że on, Shan, znalazł bóstwo, rozwiązał zagadkę. Tymczasem on tylko powiedział Lhandrowi, że słyszał dziwny, dochodzący z głębi ziemi szmer przy pierwszej skale bóstwa. Gyalo poprowadził Jampę i Jokara w górę stoku, nie zauważony wśród chaosu.

Shan spojrzał znów w stronę wykopu. Tenzin zniknął wśród drzew.

–Ta odrobina wody chyba nie może wiele zmienić? – zapytał Ma.

Shan zapatrzył się w ośnieżony szczyt na horyzoncie.

–Nie, najwyżej opóźni trochę prace. Ale być może z czasem wody będzie więcej. To zależy od góry – odparł i nagle uświadomił sobie, że zabrzmiało to, jakby mówił o bóstwie.

Jenkins z pewnością nie lekceważył zagrożenia. Shan widział

przez lornetkę, jak stoi na platformie ciężarówki koło ruin wioski, wykrzykując polecenia do operatorów spychaczy pełznących ku krańcowi doliny. Zamierzał zbudować groblę, zagrodzić wodzie drogę do wieży wiertniczej. Ale po stoku obok jego ciężarówki spływała już mała rzeczka, rozlewając się po polach jęczmienia dziesiątkiem drobnych strumyków.

Gdy Shan znów odwrócił się ku swym towarzyszom, Nyma opatrywała właśnie rozciętą dłoń profesora, a jego asystentka polewała ją wodą. Lepka wpatrywał się w wodę pokrywającą pola jęczmienia.

–Trudno odgadnąć, czego chcą bóstwa – powiedział.

Nagle przed twarzą Shana pojawiła się pokryta smugami czerwieni dłoń, a za nią lśniące oczy Somo.

–Widziałam Winslowa – oznajmiła dziewczyna. – Powiedział, że nasz Drake może już iść dalej. Powiedział, że ty tego dokonałeś.

Winslow.

–Gdzie on jest? – zapytał Shan.

–Na stoku. Biegł pod górę – odparła Somo, wskazując przełęcz. Gyalo i Jokar byli już w połowie wysokości, a teraz dołączał do nich Amerykanin. Winslow odchodził. Nareszcie uciekał.

–Chciałem mu podziękować – powiedział Shan. – Za to, że włożył tę księgę do teczki Padmego. – Po raz ostatni widział rejestr w grocie Larkin, ale przypomniał sobie, jak Amerykanin przyszedł ze swym plecakiem i jak później rzucił się w tłum, gdy tylko Padme postawił teczkę na ziemi. Przyglądając się, jak Winslow wspina się na zbocze, spostrzegł więcej rozsianych po przełęczu postaci. Tybetańczycy, którzy towarzyszyli Larkin.

–Dokąd oni pójdą? – zapytał dziewczynę.

–Na to miejsce spotkania – odparła. – Gdzie ludzie czekają

na Jokara.

Shan z obawą spojrział na odchodzących. Somo miała na myśli tron Siddhiego, buntowniczego mnicha. Po tym, co stało się w dolinie, Tybetańczycy będą bardziej niż kiedykolwiek skłonni przeciwstawić się władzom.

–Jokar nigdy nie zgodziłby się na przemoc – powiedział ze ściśniętym sercem i odwrócił się do Somo. Ale dziewczyna zniknęła.

Zrobił krok w stronę przełęczy, potem następny, znów czując, że ogarnia go lęk. Nic się nie zmieniło. Władze schwytają Jokara, a wraz z nim wielu Tybetańczyków. Wziął głęboki oddech i zaczął biec. I nagle usłyszał dźwięk bębna.

Gdy ruszył biegiem ku stokowi naprzeciw przełęczy, w stronę dźwięku, w stronę, jak miał nadzieję, kamienia bóstwa, dołączył do niego Lhandro. Jednak gdy po trzydziestu metrach wspinaczki dotarli na mały występ, skąd roztaczał się widok na całą dolinę, rongpa zwolnił kroku. Woda dotarła już do wieży wiertniczej i tworzyła wokół niej błotnistą sadzawkę. Robotnicy przerwali pracę i wpatrywali się w nią. Jeden z nich zeskoczył z wieży i pobiegł przez strumyki w stronę, z której płynęła. Nagle przystanął i padł na kolana w błoto, wyciągając w górę zaciśnięte pięści.

Lhandro patrzył z bólem na swą piękną dolinę pogrążoną w kompletnym chaosie. Shan położył mu dłoń na ramieniu.

–Woda się zatrzyma – zapewnił rongpę. – Dała Jokarowi i innym jeszcze jedną szansę, to wszystko – dodał, jakby do tego celowo doprowadziło jakieś bóstwo. Zakłopotany własnymi słowami odwrócił się i znów ruszył biegiem, podczas gdy Lhandro zawrócił ku ruinom wioski. Podwójne uderzenia bębna, jak bicie serca, wydawały się bliskie. Ich źródło było chyba niedaleko miejsca, skąd Shan pierwszego dnia zaczął ścigać

ulatującą khatę. Ale biegł pod kątem, równolegle do dna doliny, jakby był jeszcze jednym robotnikiem pędzącym w stronę zalewających dolinę wód. Po kilkuset metrach zbliżył się do skraju porastającego zbocze lasu i rzuciwszy się pod osłonę drzew, ruszył ku miejscu, z którego dobiegał dźwięk.

Wspiął się powyżej źródła dźwięku, po czym ruszył w dół. Dźwięk był teraz stłumiony, gdyż człowiek z bębniem znów usadowił się przed wielką płaską skałą zwróconą ku dolinie, tak stłumiony, że Shan usłyszał ludzkie głosy. Były piskliwe i sprawiały wrażenie wesołych. Nagle potknął się na luźnym rumowisku i runął w dół zbocza na łeb, na szyję. Zatrzymał się w kępie niskich krzewów. Podniósł się na kolana i stwierdził, że ma przed

sobą dwójkę rozbrykanych dzieci, chłopca i dziewczynkę niemal w jednym wieku. Wydawały mu się znajome i w pierwszej chwili pomyślał, że widział je w wiosce Yapchi. Ale potem dzieci krzyknęły cicho, najwyraźniej go poznawszy, i spojrzały na wpatzonego w dolinę człowieka siedzącego w kucki trzy metry dalej. Chłopiec rzucił się ku mężczyźnie, który odwrócił się i spojrzał na Shana szeroko otwartymi, zaskoczonymi oczyma, a następnie przeniósł wzrok na płaską skałę w pobliżu miejsca, gdzie bawiły się dzieci. Na skale spoczywało oko Yapchi.

Mężczyzna wstał. Był to Gang, chiński stróż Rapjung. Wyglądał na wymęczzonego i wynędzniałego. Poparzoną dłoń wciąż miał jeszcze owiniętą bandażem. Nie szukał zaczepki i nie odezwał się słowem, gdy Shan przeszedł obok niego, żeby spojrzeć na skały w dole.

Jakiś człowiek walił w wielki bęben dwiema pałkami zakończonymi skórzanymi główkami, spoglądając z dzikim błyskiem w oczach na dolinę. Shan zsunął się po skale i nie zauważony usiadł przy bębnie. Bicie straciło rytm, po czym

ucichło.

–To Shan – odezwał się Dremu, jakby był tam ktoś jeszcze.

Otworzył usta i spojrział na wznoszące się wyżej skały.

–Znalazłeś je – zauważył Shan. – Bęben i oko.

Golok z powagą skinął głową.

–Tego właśnie potrzebowaliśmy, ja i mój ojciec, przez te wszystkie lata w górach.

–Myślę, że kłamałeś, kiedy powiedziałeś mi, że zgarnęli cię ludzie spółki – oświadczył Shan. – Ci dwaj Golokowie próbowali nas okraść.

Dremu przygarbił ramiona i otoczył bęben rękoma, jakby instrument miał się przewrócić.

–To było przedtem – mruknął.

–Przed czym?

Golok, nie wypuszczając bębna, wpatrywał się w stopy Shana.

–Ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi – powiedział po długim milczeniu. – Oni są dzicy, jak pantery. Z początku myślałem, że jeśli będziemy pracować razem, uda nam się zarobić dość pieniędzy na następną zimę. Było w porządku, kiedy okradaliśmy tylko spółkę naftową. Ale kiedy spotkałem ich tutaj i usłyszałem, że mają zamiar obrabować rolników z Yapchi, próbowałem ich powstrzymać. Pobili mnie i zabrali mi wszystko, co miałem, nawet konia.

Shan sięgnął do kieszeni i wyciągnął skórzaną sakiewkę, bransoletkę z lazurytu i scyzoryk z łyżką. Położył to wszystko jedno obok drugiego na kamieniu przed Golokiem. Dremu wpatrywał się w nie jakiś czas, po czym nabożnie sięgnął po sakiewkę.

–Nie zostało mi nic poza łachmanami na grzbiecie. To było przedtem...

Przed czym? chciał zapytać Shan, ale już znał odpowiedź. Dremu mówił o tym, co było, nim bóstwo zaczęło przemawiać do niego poprzez bęben.

Podszedł do nich Gang, wspierając się na synu. Na wyciągniętej do Shana obandażowanej dłoni stróża spoczywało kamienne oko.

– Ten człowiek był niemal martwy – powiedział Dremu. – Najpierw znalazłem jego rodzinę. Szukali go, płakali, myśleli, że stracili go na zawsze, że poszedł cię zabić. Potem znaleźliśmy go z tym bębnem. Wyglądał jak szalony, nie mógł mówić. To nie on bił w bęben, ale bęben bił nim. – Spojrzał niepewnie na Shana. – Nie mogłem... Ja nie...

– Zrobiłeś, co należało – zapewnił go Shan. – Zatrzymałeś bóstwo.

Gang odsunął syna i pokuśtykał do Shana. W obu dłoniach trzymał kamień, spoglądając błagalnie zmęczonymi, szklistymi oczyma. Wstrząsało nim ciche łkanie. Nagle się rozszlochał i starczyło mu tylko tyle sił, żeby podejść do Shana i upuścić kamienne oko w jego dłoń.

Shan oderwał wzrok od kamienia i spojrzał na panujący w dolinie chaos. Czuł się pusty, wyczerpany, nie wiedział, dokąd powinien pójść, co jeszcze mógłby zrobić. Po długiej chwili ujął dłoń Ganga i zwrócił mu kamień. Potem podniósł pałeczki, wymienił z Dremu poważne spojrzenie i zaczął uderzać w bęben bóstwa.

Rozdział dziewiętnasty

Dremu z niedowierzaniem wpatrywał się w Shana, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Stopniowo na jego znużoną twarz wypłynął uśmiech i pokazał Shanowi, jak wykonywać szybkie, dwutaktowe uderzenia, w rytm serca. Przy dźwięku bębna, przy śmiechu dzieci przyglądali się, jak następni

robotnicy, rozpryskując wodę, skaczą z wieży wiertniczej w ogromną kałużę tworzącą się wokół ich maszyny. Shan obserwował swe dłonie, uderzające w bęben bez świadomego wysiłku, jak gdyby należały do kogoś innego, i stwierdził, że odpływa w jakieś nieznane mu miejsce. Słyszał o dawnych tybetańskich mnichach, którzy wykorzystywali takie dźwięki nie w obrzędach, lecz w ćwiczeniach medytacyjnych. Dudnienie bębna stało się biciem jego serca, a echo, które wracało do niego, zdawało się dochodzić nie z drugiej strony doliny, lecz z jakiegoś innego, odległego miejsca, gdzie coś potężnego przewalało się w rytm dźwięku, jak człowiek, nim się przebudzi, jak czasem przewalają się góry.

Wyglądało to, jakby doliną przetaczała się jedna z karmicznych burz Lokesha, jakby wszystko, co mogło się wydarzyć, właśnie się zdarzało, zbyt szybko, żeby umysł mógł pojąć, co się dzieje, zbyt nagle, aby bolesność zmian zdołała w pełni dotrzeć do świadomości. Nie mógł przestać uderzać w bęben. Stał się narzędziem bębna.

Stracił poczucie czasu, w końcu jednak uświadomił sobie, że Gang stoi tuż przy nim i przygląda mu się, przekrzywiając głowę. W jego oczach nie było goryczy ani gniewu, tylko pustka i błaganie. Shan oddał mu pałeczki i odszedł. Minęła godzina albo więcej. Podium na dole opustoszało, a dygnitarze skupili się przy stołach, celebrując bankiet, jakby nieświadomi, że woda wciąż zalewa ich wieżę wiertniczą lub, co bardziej prawdopodobne, nie zainteresowani tym, gdyż wiedzieli, że woda wkrótce opadnie i wiertnica znów będzie pracować.

Na wieży nikogo nie było. Błotnista sadzawka pod nią miała może dziewięćdziesiąt metrów średnicy, zdawało się jednak, że wody już nie przybywa. Na końcu doliny, gdzie Jenkins kazał operatorom spychaczy usypać długi, niski wał z ziemi z pół

obsianych jęczmieniem, pojawiła się kolejna sadzawka.

Shan przyglądał się Gangowi, który, jak się zdawało, odpłynął w to samo miejsce, gdzie bęben przeniósł wcześniej jego samego i Dremu. Oczy stróża straciły ostrość. Jego dłonie, mimo wciąż nie wygojonych oparzeń, ścisnęły pałeczki tak mocno, że aż zbielały mu kostki, jakby nie były to pałeczki bębna, lecz lina ratownicza. To on właśnie, Shan wiedział to teraz, ten zgorzkniały Chińczyk, zaatakował go i odebrał mu oko.

Ale dlaczego? Dlatego, że uważał, iż Shan nie zasłużył sobie na to, by zwrócić oko? Dlatego, że nie mógł uwierzyć, by na świecie mógł być jakiś inny prawy Chińczyk? Czy może, co bardziej prawdopodobne, dlatego, że poświęcił większość życia, próbując zrehabilitować się w oczach Tybetańczyków, próbując dowieść im swej dobrej woli, po czym zobaczył swój koronny dowód, swe odbudowane świątynie, ginący w płomieniach.

Shan szedł na dno doliny i wmieszał się w tłum robotników, którzy wciąż biegali w tę i z powrotem z łopatami i motykami. Obok niego przemknęła ciężarówka wioząca bale z obozowego składu. Żołnierze w ubłoconych mundurach gnali w stronę obozu, zapędzani do dwóch wojskowych ciężarówek czekających pod wieżą wiertniczą. Shan przyglądał się, jak pierwsza rusza gwałtownie, przecina pędem obóz i opuszcza dolinę.

– Za późno, żeby ubiec pałkarzy – usłyszał czyjś rozbawiony głos. Trzy metry dalej stał barczysty Tybetańczyk w zabrudzonym smarem kombinezonie. Nie zwracał się do nikogo konkretnego.

Shan podszedł do niego.

– Pałkarze już odjechali? – zapytał.

– Oni nie walczą o szyb naftowy – odparł z goryczą w głosie mężczyzna. – Dla nich stu buntowników zawsze będzie ważniejszych niż ropa.

Shan zamknął oczy, walcząc z falą strachu. Gdzieś w górach

była łąka, niewielka łąka, na której Tybetańczycy gromadzili się, czekając na Jokara. Spodziewali się tam znaleźć nową siłę do przeciwstawienia się Pekinowi – przywódcę darzonego czcią jak żaden inny, przywódcę, który mógłby się stać nowym symbolem, współczesnym Siddhim. Somo i wielu purbów zapewne szło tam teraz, żeby poczekać na Gyala, który wiozł Jokara. Niektórzy purbowie mieli karabiny.

Gdy dotarł do drzew po drugiej stronie doliny, puścił się biegiem. Nie wiedział, gdzie jest ta łąka. Mógł tylko biec na wschód, w stronę najwyższych szczytów potężnego masywu, licząc na to, że dostrzeże jakiś znak lub spotka po drodze Tybetańczyków, którzy zaprowadzą go do Jokara. Biegł, póki nie chwyciła go ostra kolka, potknął się i wpadł do strumienia.

Kłęcząc w wodzie, rozejrzał się dookoła, dysząc ciężko. Odległe bębnienie z Yapchi brzmiało teraz głucho i nagle zaczął w nim słyszeć odgłos zawodu, nie nadziei. Bóstwo nie przybyło, nie doczekano się współczucia. A teraz, pomyślał, spryskując sobie twarz lodowatą wodą, gdy żołnierze lub pałkarze znajdą Jokara na tajnym antypekińskim wiecu, nie okażą żadnego miłosierdzia.

–Lokesh! – usłyszał czyjś krzyk, który powtórzył się jeszcze dwukrotnie, nim sobie uświadomił, że wydobywa się z jego własnego gardła. Bez względu na to, jak bardzo chciał znaleźć Jokara, inna jego część wciąż rozpaczliwie trwała myślami przy Lokeshu, który już wkrótce, kuśtykając, wyruszy do Pekinu, gdzie zginie lub zostanie uwięziony.

Zerwał się na równe nogi i ruszył kozią ścieżką, potem następną, za każdym razem wybierając prowadzącą w górę. Minęła godzina, potem druga, i nagle zaczął rozpoznawać okolicę. Okrążył leżącą hen w dole jaskinię wodnych narodzin Larkin, a teraz wspinał się znów, w pobliżu miejsca, którądy

Chemi prowadziła ich na drugą stronę góry pierwszego dnia, gdy przybyli do Qinghai. Minał zakręt wokół sterczącej skały i zamarł. Na łące, trzydzieści metrów dalej, stał potężny czarny drong, który wpatrywał się w niego czujnym wzrokiem. Shan w końcu odważył się nieco zbliżyć do jaka i spostrzegł czerwone wstążki wplecione w sierść na jego karku, wstążki, które wiązał razem z Anyą.

—Jampa — powiedział cicho, podchodząc do zwierzęcia. Co robił w tym miejscu? I dlaczego był sam?

Potem z dreszczem zgrozy spostrzegł przed jakimś leje po bombach. Wielkie czarne oczy Jampy zdawały się wpatrywać w rozdartą ziemię i przez jedną, straszliwą chwilę Shan pomyślał, że Gyalo i Jokar zginęli. Ale potem poznał okolicę. Leje były trzy, rozmieszczone w równych odstępach wzdłuż linii prostej, nad nimi zaś piętrzyła się ośnieżona iglica góry Yapchi. Było to miejsce, w którym po raz pierwszy spotkali Zhu, miejsce, w którym wybuch zabił stado ptaków.

Pogłaskał kark jaka i rozejrzał się. Górską łąka, na której Tybetańczycy czekali na Jokara, musiała być gdzieś blisko. Jampa zapewne dowiózł tam starego lamę i odszedł. Ale nie było śladu niczyjej obecności, nie było słychać warkotu maszyn, krzyków żołnierzy, strzałów. Nie było nic prócz wiatru. I dwóch gęsi lecących wysoko nad granią na południe, za potężny grzbiet góry, w stronę świętego słonego jeziora. Śledził je wzrokiem, a kiedy zniknęły mu z oczu, ruszył skrajem łąki. Na jej północnym krańcu wznosiła się wysoka może na sześć metrów skalna iglica, na której w dolnej części spostrzegł cień mantry *OM MANI PADME HUM*, ledwo dostrzegalny ślad słów wymalowanych tu przed dziesiątkami lat. Jak drogowskaz albo pozdrowienie. Przesuwając dłonią po pradawnym piśmie, pomyślał o lamach z Rapjung. Wędrowali przez góry do Yapchi, by zbierać zioła,

dyskutować z chińskimi mnichami. Dolina Yapchi, trudno dostępna od południa i niemal całkiem odcięta od północy, stała się częścią Rapjung, swego rodzaju zielonym ogrodem tamtejszych lamów. A Tybetańczycy żyjący po tej stronie góry wypisali pozdrowienie dla lamów, którzy szli do nich. Wszystko to skończyło się pewnego strasznego dnia przed stu laty.

Okrażył smaganą wiatrem iglicę. Na jej wierzchołku, choć wydawało się to niewiarygodne, dostrzegł resztki flagi modlitewnej, strzęp bordowego materiału. Ruszył dalej wzdłuż polany, wciąż szukając, po czym wspiął się na stok, skąd spodziewał się zobaczyć wyraźnie szczyt iglicy, odległej teraz o sześćdziesiąt metrów, oraz dolinę, która musiała leżeć poza nią. Gdy wierzchołek znalazł się w jego polu widzenia, nie mógł uwierzyć własnym oczom. To nie była flaga modlitewna.

–Gyalo! – zawołał. Na iglicy, w pozycji lotosu, siedział znajomy mnich, żałośnie wpatrując się w niebo. Wykrzykując raz po raz jego imię, Shan popędził z powrotem ku łące, on jednak

nie dawał po sobie poznać, że go słyszy. Jampa nie zwracał najmniejszej uwagi na Gyala, a jednak coś najwyraźniej zaprzętało jego uwagę. Wielki jak zawędrował na południowy skraj łąki i Shanowi zdawało się, że na jego pysku maluje się smutek. Podeszedł do niego, znów pogłaskał po karku, próbując zrozumieć.

Gyalo i Jampa dotarli tutaj, ale nie dalej. Zmierzali ku ukrytej w górach łące, ku tym, którzy czekali na Jokara, by zasiadł na skale zwanej tronem Siddhiego. Jokar, a być może i Winslow, byli z nimi, ale teraz zniknęli. Mnich i jak nie wyglądali na zaniepokojonych lub przerażonych. Byli tylko smutni i dezorientowani. Wielkie, wilgotne oczy zwierzęcia wyczekująco wpatrywały się w Shana. Wreszcie, zwracając się ku wysokiemu

grzbietowi góry, Jampa wydał przeciągły dźwięk. Nie był to ryk lub parsknięcie, lecz długi, zawodzący jęk, ucięty raptownie przez wdech powietrza, niczym szloch.

Shan spojrział na jaka, na pogrążonego w smutku mnicha na skalnej iglicy, po czym wstał i pobiegł zdradliwą kozią ścieżką.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, nadając potężnej skalnej ścianie lekko różową barwę, gdy Shan znalazł wąską rozpadlinę, w której ukryli się przed helikopterem tamtego dnia, gdy po raz pierwszy przekroczyli górę Yapchi. Panująca tu cisza przywodziła na myśl pradawną świątynię. Nie zakłócał jej ani szum wiatru, ani krzyki ptaków. Blade światło było jedynym dowodem istnienia zewnętrznego świata.

Ruszył wzdłuż lewej ściany w gęstniejący cień, mijając mały kamienny filar z pokrytymi kurzem flagami modlitewnymi, gdy nagle do jego uszu dotarł wilgotny, syczący dźwięk. Zamarł, wpatrując się w ciemność, dopóki nie spostrzegł przed sobą pary nóg wyciągniętych w poprzek ścieżki, nóg Winslowa.

Amerykanin był tak słaby, że ledwo uniósł głowę, by powitać Shana.

–Do diabła, Shan, kiedy... oduczysz się... – wyrzucił pomiędzy urywanymi oddechami, jakby się dusił -...śledzić?

Shan sięgnął do bocznej kieszeni jego spodni, gdzie Winslow nosił latarkę. Włączył ją i zamarł ze zgrozy. Z ust Winslowa sączyła się różowa piana, skapywała mu na koszulę. Wpatrywał się w Amerykanina. Nie było czasu na rozmowy. Gorączkowo przeszukał pozostałe kieszenie jego spodni i wreszcie znalazł buteleczkę z tabletkami. Była pusta.

–Wziąłem., ostatnią... cztery godziny temu – wydyszał Winslow. – On musiał tu dotrzeć. Nie mogłem pozwolić, żeby szedł sam. Niosłem go przez pierwszą milę. Ledwo mi się udało. Stary Jokar... – Zdawało się, że Amerykanin próbuje się

uśmiechnąć, lecz tylko boleśnie wykrzywił usta. Z jego piersi wydobywało się chrapliwe rżenie. – Czasami musiał mi pomagać,

pozwalając mi podeprzeć się swoim kijem. Ja pomagałem jemu, a on mnie. Nie doszlibyśmy tu, gdybyśmy sobie nie pomagali – oświadczył zdziwiony. Jęknął i chciał unieść dłoń do czoła, ale nie zdołał. – Moja głowa... Nie wiedziałem, że może tak boleć... – Zamrugął.

Shan otarł pianę z ust Winslowa. Piana świadczyła o obrzęku płuc. Jego płuca wypełniały się płynem. Ból głowy wskazywał na obrzęk mózgu.

–Musimy zejść niżej – powiedział Shan zdławionym głosem. Dla Winslowa jedynym ratunkiem było zejście z góry, wąską, zdradliwą ścieżką, w ciemnościach.

Winslow zmagał się z opadającymi powiekami.

–Idź... zajrzyj do Jokara.

Shan zerknął w głąb rozpadliny, w najciemniejszy cień znaczący wejście do jaskini.

–Jokar chciałby, żebyś zszedł na dół – powiedział.

Coś dotknęło jego dłoni. Palce Winslowa, obejmujące jego własne. Amerykanin był słaby jak niemowlę. W ciszy niósł się jego wilgotny, wymuszony oddech.

Palce Winslowa drżały.

–Co to za dźwięk? – wydyszał. – Jak wiatr.

Nie było żadnego dźwięku, żadnego ruchu, jedynie jego własny świszczący oddech. Różowa piana znów spłynęła mu po podbródku.

–Zaczynam to rozumieć – szepnął. – To o przemijaniu. To dar, jak mówili starzy lamowie.

Jego słowa zawisły w powietrzu niczym modlitwa.

–Sprowadzę cię na dół – nalegał Shan, walcząc z

ogarniającą go bezradnością.

–Nie dasz rady – odparł pogodnie Winslow. – Nie tą ścieżką. Zabilibyśmy się obaj. Do diabła, nie mogę nawet wstać, a co dopiero iść. Jeśli spróbujesz mnie nieść, spadniemy.

Shan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem ku szczytowi góry, widocznemu w wylocie rozpadliny. Wznosił się nad nimi, oświetlony jaskrawym złotym blaskiem zachodzącego słońca, jakby znajdowali się na dnie tunelu prowadzącego ku niebu.

–Jokar wiedział to – wydyszał Winslow. – To znaczy wiedział, zanim tu przyszliśmy. Wiedział od tamtego dnia, gdy mnie dotknął.

Shan przypomniał sobie udrękę na twarzy Jokara, gdy owego dnia w pustelni lama oparł dłonie na głowie Amerykanina.

–Teraz rozumiem – słabo wychrypiał Winslow. – W tym wszystkim chodziło o zostawienie wszystkiego za sobą, prawda?

Shan wstał i pociągnął go za rękę, chcąc go podnieść. Ciężki Amerykanin ledwie drgnął. Shan spojrzał na niego. Winslow poświęcił swoją pracę, poświęcił swój paszport, poświęcił swój dobytek, poświęcił swój ból po stracie żony, odrzucił wszystko, co było przedtem, cały zamęt swego życia na dole. To była prawda. Od dnia, w którym Shan go spotkał, gdy igrał ze śmiercią, ujeżdżając dzikiego jaka, Amerykanin zostawiał wszystko za sobą.

–Myślę, że... powinieneś zajrzeć do Jokara – powiedział. – Weź latarkę. Potem możemy zejść na dół, nie ma sprawy. Shan niechętnie przekroczył nogi Winslowa.

–Zejdziemy tą ścieżką. Możemy po prostu czołgać się kawałek po kawałku. Niżej poczujesz się lepiej.

–Będzie mi lepiej. Wygrałeś – szepnął Amerykanin i jego palce wykonały ledwo dostrzegalny ruch, jakby kierował go ku

jaskini.

Wewnątrz poczuł zastałą woń kadzidła, której nie było tam przedtem, ale pieczara była pusta i nic się nie paliło. Shan podszedł do thanek z uzdrawiającymi zaklęciami i powiódł po nich wzrokiem, usiłując ukoić nerwy. Przy długiej thance, gdzie leżała kolekcja dorje, obok dorje z drewna sandałowego pojawiło się inne, z brązu, wypolerowane od długoletniego użycia.

Nieco dalej, pod ścianą, było coś jeszcze: długi drewniany kij, równie wytarty i zużyty jak dorje. Na półce obok dorje Shan spostrzegł dwa drobne zakurzone przedmioty, których nie zauważył poprzednio. Podniósł jeden z nich, strzepując kurz. Była to mała, doskonale uformowana kość. Sięgnął po drugi. W pierwszej chwili wziął go za kamień, ale uświadomił sobie, że jest za lekki. Ponownie przyjrzał się obu przedmiotom i stwierdził, że się mylił. Kamień był zręcznie obrobionym kawałkiem kości, a kość była precyzyjnie wyrzeźbiona z kamienia.

Odsunął thankę i woń kadzidła napłynęła silniejszą falą. Jak się spodziewał, za starym malowidłem był tunel. Prawie minutę szedł opadającym ostro w dół korytarzem, aż wreszcie podłoże wyrównało do poziomu i znalazł się w niskiej, szerokiej komorze. Na jednej ze ścian wisiała kolejna wielka thanka: nie wizerunek Buddy Uzdrawiciela, lecz gniewnego bóstwa opiekuńczego, Rahuli, groźnej istoty o kilku głowach i wężowym ciele zamiast nóg.

Shan zacisnął dłoń na wiszącym mu na szyi gau, po czym wszedł za thankę. Po prawej stronie wąskiego, długiego na dwanaście metrów pomieszczenia ciągnął się szeroki, metrowej wysokości występ, prosty i równy niczym ława. Po lewej, w połowie ściany, stał nieduży ołtarz z lakierowanego, zręcznie łączonego drewna, na którym stała czterdziestocentymetrowej wysokości złota figurka Buddy w otoczeniu tradycyjnych siedmiu

czarek ofiarnych. Shan wolno podszedł do ołtarza. Cztery czarki, w których powinna znajdować się woda, były puste i pokryte kurzem. Obok nich, na polerowanej kamiennej tacy, płonął ogarek świecy oraz laseczka kadzidła. Po obu stronach ołtarza stało kilka wielkich glinianych dzbanów, niektóre wysokie niemal na sześćdziesiąt centymetrów, wypełnionych suszonymi ziołami.

Stał przed Buddą, wciąż mocno zaciskając dłoń na gau, i przyglądał mu się przez chwilę, nim wreszcie odwrócił się twarzą do lamów. Naliczył ich piętnastu, siedzących na długim występie, po czym przeszedł na drugi koniec pomieszczenia, gdzie szereg zaczynał się od postaci w szacie ze zgrzebnego, workowego płótna, z kamienną miseczką do mieszania ziół u boku, ze złożonymi starannie na nogach dłońmi oplecionymi różańcem z

korali. Właściwie nie były to już dłonie, lecz kości palców obciążone wyschniętą pergaminową skórą. Głowa mężczyzny, niewiele więcej niż czaszka pokryta takim samym pergaminem, odchyłona była w tył. Na jego ustach widniał lekki uśmiech.

Musiał to być jeden z pierwszych lamów uzdrowicieli.

Prawdopodobnie siedział tu, we wnętrzu góry, od trzystu lat.

Shan ruszył powoli wzdłuż szeregu starych mędrców. Niektórzy mieli na sobie brokaty i złote naczynia u boku, większość jednak była w szatach prostych mnichów. U stóp jednego z nich leżał stos drewnianych klocek drukarskich.

Rząd lamów kończył się w pobliżu wejścia na Jokarze. Stary lama wrócił do domu. Dokonał tego, co było jego zamiarem, gdy opuszczał Indie. To wszystko, zrozumiał nagle Shan z dziwnym, ciepłym smutkiem w sercu. Nie było żadnego spisku. Jokar nigdy nie zamierzał prowadzić Tybetańczyków do buntu ani wzbudzać niepokojów politycznych. Pragnął tylko właściwie zakończyć swoje długie, dobrze przeżyte życie, pozostawić swe kości w zaszczytnym towarzystwie, oddać je umiłowanej przez

wszystkich górze.

Twarz Jokara, zastygła w pogodnym uśmiechu, była tak spokojna, jak gdyby spał tylko. Shan dotknął jego zaciśniętej na różańcu dłoni. Ciepło opuściło ją, ale nie była jeszcze całkiem zimna. Druga dłoń lamy spoczywała na nodze siedzącego obok zasuszonego mężczyzny o krótkich białych włosach, trzymającego na kolanach małą drewnianą miseczkę do mieszania leków. Jokar znał go. Lokesh znał go także. Stary przyjaciel Shana rozpoznał w leżącym w przedsionku dorje z drewna sandałowego własność swego dawnego nauczyciela, Chigu.

Rozejrzył się po grobowcu. Minęła nie więcej niż godzina, odkąd Jokar umieścił świeczkę na ołtarzu i zapalił laseczkę kadzidła. Lama usiadł na długiej kamiennej ławie obok swoich poprzedników, ujął różaniec, drugą dłoń położył na nodze starego przyjaciela i odpłynął po raz ostatni. W górze Yapchi zagrzebane są skarby, powiedział Dremu.

Shan resztką swej wody z czcią napełnił czarki ofiarne na ołtarzu i nagle przypomniał sobie o Winslowie. Przystanął na chwilę przy Jokarze, po czym cofając się tyłem, podszedł do thanki, wrócił do komory wejściowej i wyszedł na zewnątrz, w zmierzch. Amerykanin zniknął.

Przyświecając sobie latarką, szukał go gorączkowo, najpierw w głębokiej szczelinie za kamiennym filarem, potem za zewnątrz, na ścieżce. Po Winslowie nie było ani śladu. Musiał powlec się w dół zdradliwym szlakiem, by się upewnić, że Shan nie będzie ryzykował życia, próbując mu pomóc. Ścieżka była pusta, ale pogrążona w mroku, widoczna zaledwie na sto metrów w każdą stronę. Shan przeszedł kilka metrów i wychyliwszy się, zaświecił w głąb urwiska. Nie widział nic poza czernią. Do dna było niemal trzysta metrów.

Wrócił pod rozpadlinę, zgasił latarkę i przyglądał się niebu. W górze i w dole jedna po drugiej pojawiały się gwiazdy. Wiał wiatr. Nagle uświadomił sobie, że jego policzek jest zimny i mokry. Otarł łzę, wszedł do rozpadliny i zaczął przeszukiwać każdy kąt, każde zagłębienie.

Pięć minut później spostrzegł nad głową czubek buta. Wystawał z długiej, wysokiej rysy w licu skały, która kończyła się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią płaskim kamieniem, rodzajem półki zwróconej ku wejściu do jaskini. Podciągnął się i oświetlił półkę latarką. Winslow siedział tam, wciśnięty między skalne ściany.

–Musimy iść! – wykrzyknął nagłoco Shan, lecz Amerykanin wpatrywał się w coś za jego plecami i zdawał się go nie słyszeć. Shan wgramolił się na skałę i wyciągnął rękę, by otrzeć mu pianę z twarzy, po czym cofnął się z dreszczem. Piana była zimna. Oczy Winslowa, wciąż otwarte, nie widziały już nic.

Usiadł ciężko obok Amerykanina. Jego ciałem wstrząsnął długi, rozpaczliwy szloch. Tyle razy chciał, żeby Winslow wrócił do swej ambasady, tak wiele okazji do bezpiecznego powrotu przyszło i minęło nie wykorzystanych. Wystarczyłaby jedna rozmowa telefoniczna, jedno słowo w bazie w Golmudzie, jedna prośba do Jenkinsa w obozie nafciarzy. Mógł uciec. Ale za każdym razem postanawiał zostać.

Po chwili Shan uświadomił sobie, że na kolanach Winslowa leży owinięty w czarną tkaninę pakunek, a spoczywająca na nim dłoń Amerykanina jest zaciśnięta na zapisanej karteczce. Shan delikatnie wyjął papier z martwych palców. Pismo było niemal nieczytelne. Amerykanin pisał tuż przed śmiercią, po angielsku, drżącymi palcami, w ciemnościach. Shan wpatrywał się w karteczkę przez kilka minut, nim zdołał ją odczytać.

Zaklinam na wszystko, co święte, zostaw mnie tu, żebym

czuwał nad nimi. Nie mów nikomu poza Melissą. Niech inni łamią sobie głowę, to mój ostatni figiel spleatany świata. Nie jest tak źle, Shan. Myślę, że zaczynam chwytać tę sprawę przemijalności. Tli właśnie jest teraz moje miejsce. Każdy lama potrzebuje kowboja.

Shan długo walczył z ogarniającą go mroczną pustką. Śmierć była dla niego starą znajomą. Nie przerażała go, tylko wprawiała w onieśmienie. Czuł się do niej nie przygotowany, niepełny, czuł, że marnotrawi to, co jego tybetańscy przyjaciele nazywali cennym ludzkim wcieleniem.

Siedział, dopóki mrok nie opuścił jego serca, dopóki nie odważył się spojrzeć w oczy Winslowa, jak gdyby byli po prostu przyjaciółmi, którzy w milczeniu obserwują zapadanie nocy. Jeszcze raz przyjrzał się Amerykaninowi, jeszcze raz przeczytał list i wiedział już, że na swój sposób Winslow odnalazł to, czego szukał.

W końcu wstał, podniósł pakunek z kolan zmarłego, ułożył jego dłonie na udach i zamknął powieki. Zawahawszy się, przeszukał mu kieszenie. Znalazł maleńki woreczek napełniony przez Jokara solą. Wsunął go w dłoń Winslowa, zacisnął jego palce na czystej ziemi, a potem ruszył w dół.

Winslow zrozumiał, co kryło się za długą thanką, zrozumiał, dokąd szedł Jokar. Chciał czuwać nad starcami. Chciał zostać przy wszystkim, co święte.

Shan zreflektował się nagle, że wraca do wnętrza góry z pakunkiem, który Winslow, umierając, trzymał w dłoniach, z pakunkiem zabranym z torby Padmego, zamienionym przez Amerykanina na rejestry, które dowiodły kłamstw Khodraka. Szedł jak ślepiec w stronę komory grobowej, by złożyć tam pakunek, czując się tak, jakby prowadziła go jakaś zewnętrzna siła. To duch

Winslowa, powiedziała by Lokesh, duch proszący Shana, żeby wskazał mu drogę do lamów i złożył za niego ostatnią ofiarę. W tej chwili Shan nie zaprzeczyłby temu.

Świeczka na ołtarzu migotała jeszcze, wypalona już niemal do końca. Shan złożył księgę pod występem i jeszcze raz przyjrzał się lamom. Migotliwe światło nadawało ich twarzom pozór życia.

–On postanowił cię nie opuszczać – szepnął do Jokara. – Przybył z daleka – dodał, przypominając sobie, co powiedział lama do Winslowa na Skale Mieszania. Później Winslow, pod wrażeniem tego spotkania, opowiedział Shanowi swój sen, w którym unosił się w powietrzu z Jokarem. Być może tak właśnie się stało, być może teraz właśnie obaj wzbijali się nad szczyty, śmiejąc się z figla splatanego tym w dole. Shanowi przyszły na myśl dwie gęsi, które przeleciały nad górą.

–To doskonałe miejsce na koniec – rozległ się nagle głęboki, bezcielesny głos.

Shan wydał zduszony okrzyk i cofnął się z sercem walącym jak młotem, wpatrując się w Jokara.

A potem w wejściu pojawiła się wysoka, wychudła postać. Oczy miała otwarte tak szeroko, a na jej twarzy malowało się tak głębokie poruszenie i znużenie, że minęła chwila, nim Shan rozpoznał w niej Tenzina.

Opat Sangchi wyjął z kieszeni świeczkę, w milczeniu podszedł do ołtarza i zapalił ją od dogasającego już ogarka. Postawiwszy świeczkę, odwrócił się i powiódł wzrokiem po siedzących wzdłuż ściany lamach.

–Znalazłeś tron – szepnął nabożnie i ruszył wzdłuż szeregu zmarłych, zatrzymując się przed każdym. Poruszał wargami w milczącej modlitwie, dopóki nie dotarł do drugiego końca, do najstarszego ze starców, tego w szacie z worka, z uśmiechem na

obciążonej pergaminową skórą czaszce.

–Co masz na myśli? – zapytał Shan, gdy Tenzin przyglądał się martwemu lamie.

–Siddhi był pierwszym nauczycielem w Rapjung – odparł Tenzin. – Lepka powiedział mi coś na Skale Mieszania, kiedy usłyszał, jak ci purbowie rozmawiają, że Jokar będzie przywódcą rebelii. Wyjaśnił, że purbowie źle zrozumieli, że Siddhi był nauczycielem, który przyjął Buddę Uzdrowiciela, że nie prowadził ludzi do walki z Mongołami, lecz organizował grupy, które szły jako misjonarze między Mongołów, by uczyć ich o ścieżce współczucia. – Spojrzał znów na Shana. – Jokar nigdy by nie pozwolił, żeby jego imię służyło jako hasło przemocy. Gdy powiedział, że zajmie tron Siddhiego, to właśnie miał na myśli.

Tron Siddhiego. Stali przed tronem Siddhiego oraz jego następców, tronem łagodnych starców, którzy poświęcili życie, żeby przywracać wewnętrzną więź ludzi z ziemią.

Tenzin opadł na kolana i położył się plackiem. Przeszło minutę modlił się z ustami tuż nad ziemią, po czym wstał i delikatnie ucałował skraj starego worka. Powtórzył modły przed każdym z pozostałych lamów, dopóki nie dołączył do Shana, który stał naprzeciw Jokara.

–Purbowie powiedzieli, że pójdziemy na północ – powiedział cicho, wpatrując się w popękane, czarne, płócienne buty Jokara. – Powiedzieli, że wszystko jest zaplanowane. Miałem uciec przez Rosję i dotrzeć do Ameryki, gdzie ludzie daliby mi dom i od czasu do czasu prosiliby, żebym wygłaszał przemówienia. – W jego słowach pobrzmiewała odraza do siebie. Po policzku spłynęła mu samotna łza. – Kamienne oko było moim kamuflażem. Grupa purbów przekradająca się ze mną na północ prędzej czy później zostałaaby zauważona. Ale zwykli Tybetańczycy niosący oko... – Tenzin zerknął na Shana. – Ten

Tygrys powiedział, że jeśli pójdę z nimi, nikt nie będzie nic podejrzewał.

Nie miałem wcale zamiaru kraść Linowi tych dokumentów – ciągnął. – Zabrał mnie tam Drake. Towarzyszył mi przez cały tydzień podczas konferencji na temat Kampanii Pogodnego Dobrobytu ubrany w szatę mnicha. Chronił mnie przed krzykaczami, pilnował, żebym mimo woli nie ujawnił w jakiś sposób swych zamiarów. Ten Khodrak wciąż kręcił się koło mnie, powtarzając, że jest gorącym zwolennikiem kampanii, że uważa ją za genialną. Musiał się domyślić, że jestem w jego okręgu, gdy tamtej nocy zobaczył Drakego z Chao. – Umilkł na chwilę, wpatrując się w lamów. – Kiedy poszliśmy z Drakeem po kamień, ten raport leżał na biurku Lina i zacząłem go czytać. Miesiąc wcześniej Urząd do spraw Wyznań dał mi tekst przemówienia do odczytania na kongresie młodzieżowym w Lhasie. Powiedziałem tym młodym ludziom, że nie ma żadnych Tybetańczyków w obozach pracy, że to są kłamstwa rozpowszechniane przez wyznawców kultu Dalai, by zatruwać umysły Tybetańczyków. A potem znalazłem ten papier w gabinecie Lina, dowodzący, że nie miałem racji. Nie mogłem się od niego oderwać, kiedy Drake mnie ponaglał, bo oko było już w wiadrze i mieliśmy uciekać. W końcu, żeby nakłonić mnie do odejścia, powiedział, żebym zabrał ten dokument. Stwierdził, że nie powinienem się dziwić, bo przecież to właśnie tłumaczyli mi purbowie. Tenzin utkwiał wzrok w twarzy Shana.

–Kazali mi kłamać tym dzieciom. Nigdy nie wierzyłem w te historie o niewolniczej pracy, o starych lamach przetrzymywanych w więzieniach albo o mnichach grzebanych żywcem

w swych gompach. Kiedy powiedzieli mi, że mam zostać dyrektorem Urzędu do spraw Wyznań na cały Tybet, wiedziałem,

że muszę odejść, gdyż oni nigdy już nie pozwoliliby mi być opatem albo mnichem. Ale nawet wtedy, nawet kiedy postanowiłem odejść, nie wierzyłem, że tak wiele straszliwych rzeczy mogło...

Głos mu się załamał. Z przepaszającą miną spojrzął na Jokara.

–W tej pustelni rozmawialiśmy z Gendunem i Shopo o różnych sprawach – podjął. – Przychodzili też inni purbowie. Drake wyjaśnił mi, że wszystkie numery na końcu raportu Lina są numerami ewidencyjnymi: jedna grupa dotyczyła żołnierzy, druga więźniów, w większości starych mnichów, uwięzionych przed dwudziestu albo więcej laty, Tybetańczyków, którzy drążyli tę górę, wiedząc, że w niej zginą. – Tenzin powiódł wzrokiem po szeregu lamów i zawstydzony pochylił głowę.

Ostatecznie, domyślił się Shan, nie chodziło o to, że opat Sangchi był ślepy na popełniane przez Chińczyków zbrodnie, lecz że był ślepy na nie rzucającą się w oczy, ale głęboką wiarę i odwagę takich ludzi jak Lokesh, Gendun i Jokar, jak ci więźniowie, którzy drążyli dłutami wewnątrz góry, wiedząc przez cały czas, że stanie się ono ich grobem.

–Kiedy Drake powiedział mi o *Księdze Lotosu*, zapytałem go, czy może zdobyć dla mnie nazwiska tych dzielnych Tybetańczyków z góry. Po tygodniu przyniósł mi listę. – Tenzin westchnął ciężko. – Zapytałem, czy zdobędzie dla mnie egzemplarz *Księgi Lotosu*, pożyczę ją, żebym mógł wpisać nazwiska tych ludzi i podpisać się pod tym. – Utkwił wzrok w dłoniach. – Chciałem się tylko wykazać, oznajmić światu, że skończyłem z tymi, którzy zniewalali innych. To była pycha. Doprowadziłem do śmierci Drakego. Od tamtej nocy w pustelni wciąż widzę go w koszmarnych snach. Czasem, kiedy medytuję, ukazuje mi się jego twarz. Nigdy nie byłem wart tego, by

poświęcił za mnie życie.

–Drakte nie zginął za ciebie. Zginął za prawdę.

–Szukanie prawdy powinno być walką ducha, nie ciała – odparł ponuro Tenzin.

Zdawało się, że słowa te rozbrzmiały echem w całej pieczarze. Shan odniósł wrażenie, że niektórzy z dawno zmarłych lamów westchnęli ciężko.

–Pamiętam, co Drakte mówił tamtej nocy. On zabija to, czym sam jest, powiedział o zabójcy. Ten mnich, który nazywa siebie prezesem – stwierdził Tenzin, jakby nie chciał wymieniać imienia Khodraka, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało w Amdo – zniszczył wszystko, czym powinien być opat. A potem, tamtej nocy, zabił ich obu. Z powodu rejestru.

–Nie sądzę, żeby Drakte poszedł tam tylko po to, by przekazać Chao ten rejestr – odezwał się Shan. – Słyszałem kiedyś, jak rozmawiał z Gendunem. Gendun powiedział mu: Jeśli naprawdę chcesz zmienić krzykaczy, po prostu przeczytaj im *Księgę Lotosu*. Myślę, że on miał zamiar to zrobić, zanim przyniosłby ją tobie. Myślę, że uczył się, jak odkładać broń, jak dotrzeć do swego bóstwa.

–Co masz na myśli?

–Somo przyniosła mi od Genduna wiadomość na temat Draktego. Sądziła, że to nic ważnego. Ale Gendun uważał to za bardzo ważne i ja wiem już teraz, że miał rację. Powiedział, że Drakte nosił bóstwo w kocu, ale uczył się je odsłaniać. Somo sądziła, że chodzi o kamienne oko. Ale Gendun miał na myśli samego Draktego, jego próby trzymania się dróg współczucia. Drakte odsłaniał swoje bóstwo i postanowił potraktować Chao tak, jak zrobiłby to Gendun, nie jak purba.

W grobowej jaskini zaległa cisza.

Shan wyobraził sobie Draktego siedzącego nocą z

pracownikiem Urzędu do spraw Wyznań, opowiadającego mu o cierpieniach Tybetańczyków, próbującego nawrócić go na ścieżkę współczucia. Jak misjonarze, których dawno temu Siddhi wysyłał do wroga. Ale scena rozwijała się w jego umyśle, przenosząc go tam, gdzie nie chciał się znaleźć. Gdyż w głębi duszy wiedział już, co zdarzyło się w warsztacie. Zjawił się Khodrak. Zaczekajcie chwilę, powiedział pewnie, poprosił, żeby usiedli na podłodze i odmówili różaniec, a sam chodził wokół nich jak w stajni w Norbu. Dwaj Tybetańczycy nie odmówiliby opatowi. To wtedy właśnie Khodrak dźgnął Chao w plecy swym kijem żebraczym. On zabija modlitwy, powiedział Drake.

–Co byście o nas pomyśleli – odezwał się z rozpaczą Tenzin – gdybyście zobaczyli, co zrobiliśmy ze światem? – Mówił do martwych lamów.

Znów otoczyła ich cisza, niemal namacalna. Zdawała się zatrzymywać ich w grocie. Umysł Shana oczyścił się. Badając swą świadomość, po raz pierwszy, odkąd siedzieli przy mandali, odnalazł właściwy nastrój do medytacji. Czas płynął. Minął kwadrans. Nagle Shan poczuł gryzącą woń imbiru i po raz pierwszy od wielu miesięcy pojawił się przy nim ojciec, a potem przemówił, nie do Shana, ale do Jokara, i dwaj starcy stali na drugim końcu komory grobowej jak starzy przyjaciele, machając do niego, a następnie odeszli w zalegającą głębiej ciemność.

Gdy wrócił do rzeczywistości, zobaczył, że Tenzin wpatruje się w trzymaną w dłoni kartkę z długą listą nazwisk.

Jakaś siła kazała Shanowi wstać i nagle przyłapał się na tym, że podchodzi do owiniętego w tkaninę pakunku. Podniósł go i wyciągnął ku Tenzinowi.

–Prosiłeś Drakego, żeby pozwolił ci wpisać ich nazwiska – powiedział i rozwinął pakunek. Była w nim ciężka, oprawna w skórę księga z kwiatem lotosu na okładce.

Tenzin spojrział na nią, potem na Shana, wreszcie przyjął księgę z powagą.

–Winslow podmienił ją na ten rejestr – wyjaśnił Shan. – To jest ta, którą Drake niósł dla ciebie. Khodrak zabrał ją tam tej nocy w Amdo.

Tenzin zważył księgę w dłoniach i wpatrywał się w nią przez chwilę, nim uniósł okładkę. Powoli kartkował strony, aż znalazł pierwszą pustą, w pobliżu końca, po czym wyciągnął z kieszeni ołówek i zaczął pisać. Pracował niemal godzinę, początkowo wraz z Shanem, który dyktował mu nazwiska zmarłych więźniów, potem sam, od czasu do czasu unosząc wzrok i przyglądając się martwym lamom. Skończywszy, wstał i położył księgę na ołtarzu, wpatrzony w złotego Buddę. Wreszcie spojrział wyczekująco na Shana.

–Napisane – powiedział cicho.

–Szaleństwem byłoby schodzić tym szlakiem po nocy – oświadczył wolno Shan, kierując wzrok na *Księgę Lotosu*.

Tenzin spojrział na niego uważnie, wyciągnął z kieszeni trzy świece, ustawił je na ołtarzu i znów sięgnął po księgę.

Dwaj mężczyźni usiedli obok siebie u stóp ołtarza, pod świeczką, zwróceni twarzami ku lamom, i Tenzin podał księgę Shanowi.

Była pisana wieloma charakterami pisma, w kilku językach, ołówkiem, tuszem, a nawet, jak zauważył Shan, akwarelą. Otworzył ją na pierwszym z setek wpisów, spojrział na Jokara i odchrząknął.

–Pierwszy zapis pochodzi dokładnie sprzed piętnastu lat – oznajmił łagodnie i zaczął czytać: – „Nie zawsze byłam słabą starą kobietą bez rodziny, bez domu, bez mnicha, z którym mogłabym się modlić, bez dzieci, z którymi mogłabym się śmiać, nawet bez psa, by lizał mnie po rękach. Ale chcę opo

wiedzieć, jak do tego doszło, poczynając od dnia, w którym Chińczycy zabili nasze owce...”

I tak czytali, godzinami, przekazując sobie nawzajem księgę, od czasu do czasu zapalając nową świeczkę, gdy poprzednia wypaliła się do końca, czytali łamiącymi się głosami, niekiedy przerywając, by obetrzeć łzy. Czerwona Gwardia równała z ziemią gompy. Mnisi umierali na torturach. Mieszkańcy prastarych górskich wiosek byli wywożeni do dżungli, żeby zrobić miejsce dla chińskich kopalni odkrywkowych. Pięćsetletnie posągi Buddy przetwarzano na pociski dla wojska. Rodzice byli zabijani na oczach dzieci, a Tybetańczycy trafiali do więzień za świętowanie urodzin dalajlamy.

Shan stracił zupełnie poczucie czasu. Musiał przekazać księgę Tenzinowi, gdy doszedł do wpisów na temat 404. Ludowej Brygady Budowlanej, obozu lao gai, w którym spędził cztery lata, oraz nazwisk licznych Tybetańczyków, którzy tam zginęli. Wreszcie, ku swemu zdumieniu, dotarli do ostatnich stron i Shan rozpoznał pismo Tenzina. Przyjął od niego księgę, by dokończyć czytania.

„Trwające od pięćdziesięciu lat zniewolenie naszego kraju i narodu nie słabnie”, zaczynał się wpis. Po tym wstępie następował opis górskiej fortecy i podstępu, jakim posłużyli się niewolnicy, aby ją zniszczyć, a wreszcie lista nazwisk tych, którzy tam zginęli. Słowa były mocne i ostre, choć nie tak mocne i ostre jak w kolejnym, ostatnim już wpisie.

– „Trzydzieści lat temu pewien młody Tybetańczyk ukończył z najlepszą lokatą jedyną szkołę w jego okręgu, która pozwalała Tybetańczykom kształcić się wraz z chińskimi dziećmi” – czytał Shan. – „Ponieważ jego rodzice wstąpili do partii komunistycznej, dobrze mówił po chińsku i został wysłany na uniwersytet w Chinach, z obietnicą dobrze płatnej pracy po powrocie. Była to

praca w Urzędzie do spraw Wyznań. Pewnego dnia przyniesiono mu szatę i powiedziano, że ma zostać funkcjonariuszem politycznym w ważnej gompie. Znalazł w tej gompie wiele rzeczy, które go pociągały, i kiedy pięć lat później chciano go skierować na inną placówkę, poprosił o pozostawienie go tam, żeby mógł kontynuować naukę.

Ten mnich stał się mną, kimś odmiennym od politruka, który zaczynał pracę w tej gompie, ale wciąż ulubieńcem władz, które dopilnowały, bym stał się najmłodszym opatem w historii Tybetu. Uczyniłem z tej gompy wzorcową placówkę zasymilowanego buddyzmu i drogą przykładu uczyłem kraj, jak socjalizm i buddyzm mogą iść ramię w ramię. Próbowałem być posłuszny naukom Buddy, ale wcześniej, przez wiele lat, byłem posłuszny chińskiemu rządowi, swemu opiekunowi. Kiedy proszono mnie, żebym potępił ruch oporu, robiłem to na całe gardło, ponieważ rząd był wielkim dobroczyńcą Tybetu. Kiedy wprowadzano kampanię kładącą nacisk na ekonomiczne wyniki działalności religijnej, zaproponowałem, żeby nazwano ją Kampanią Pogodnego Dobrobytu i zainicjowałem ją przemówieniem w swojej gompie.

Potem pewnego dnia zobaczyłem starego człowieka malującego kaplicę i zganiałem go, że pracuje zbyt wolno” – ciągnął Shan. – „Uśmiechnął się i powiedział, że robi co może. Pokazał mi swoje dłonie. Nie miał kciuków. Wyjaśnił mi, że był kiedyś lamą, ale chińscy żołnierze sekatorem obcięli mu kciuki, żeby nie mógł odmawiać różańca. Tamtego dnia długo rozmawialiśmy, a następnego przyprowadził młodą kobietę, która opowiedziała mi o swym bracie, którego uwięziono za posiadanie zdjęcia dalajlamy, dzień później zaś ta kobieta przyprowadziła mężczyznę, którego nazwała purbą”.

Wpis ciągnął się przez kilka stron. Zapełniały go

wspomnienia i wyznania Tenzina na temat wybitnych nauczycieli, których kierował na przeszkolenie polityczne do Pekinu za głoszenie poparcia dla wygnanego tybetańskiego rządu, o tym, jak pomagał chińskim władzom usuwać z map miejsca będące celem pielgrzymek, nawet o tym, jak nauczył się od dwóch lamów imieniem Gendun i Shopo, że współczucie można kształtować z piasku. Pokazali mu, jak zacząć od nowa, pisał Tenzin, ucząc go szanować jacie łajno.

– „Grzeszyłem przeciwko swemu narodowi oraz własnej duszy” – odczytywał Shan ostatni akapit. – „Mój rząd okłamywał mnie, a ja okłamywałem swe wewnętrzne bóstwo. Zużyłem znaczną część swego ludzkiego wcielenia, pomagając unieszczęśliwiać innych. Gdy mówicie o wrogach Tybetu, wspomnij

cie opata Sangchi. Gdy mówicie o niższych formach życia, przedzierających się przez ciemności ku światłu, wspomnijcie pielgrzymka zwanego Tenzinem”.

Shan długo wpatrywał się w ostatnie słowa, zanim zamknął księgę. Kiedy wstał wreszcie, położył księgę przed Buddą, na oczach lamów z Rapjung.

– Myślę, że już świta – powiedział cicho.

Tenzin, wyglądający znów mizernie i żałośnie, ruszył za nim wzdłuż szeregu starców, składając hołd każdemu z nich modlitwą, po czym obaj opuścili grotę, zostawiając Jokara w jego ukochanej górze, nareszcie spoczywającego na tronie Siddhiego.

Rozdział dwudziesty

Gdy trzy godziny po wschodzie słońca Shan i Tenzin przekroczyli grzbiet dzielący ich od Yapchi, stanęli jak wryci. Dolina zmieniła się nie do poznania. Grobla Jenkinsa zawiodła i woda nadal spływała długą kaskadą po zboczu. Zmyła glebę aż

do skalnego podłoża, żłobiąc sobie w stoku nowe łożysko. Mała sadzawka wokół wieży wiertniczej stała się potężnym rozlewiskiem, długim niemal na półtora kilometra.

Shan przystanął, opierając się na kiju, który trzymał w dłoni, na kiju Jokara. Nie miał zamiaru zabierać go ze skalnego grobowca, ale gdy przechodził pod wielką thanką, jego ręka machinalnie sięgnęła po niego i kij jakby sam wskoczył mu w dłoń. Zawahał się, niepewnie wpatrując się w wygładzony ze starości kostur, który służył lamie uzdrowicielowi tak wiele lat, zważył go w dłoni i zabrał ze sobą. Obaj, Jokar i on, znali kogoś, kto potrzebował kostura.

–Dolina tworzy się na nowo – odezwał się zdziwiony Tenzin.

Shan usiadł na skale. Ogarnęło go poczucie nierzeczywistości. Armia i spółka z pewnością chciały powstrzymać wodę, zaczopować kaskadę na stoku góry. Ale w tej kampanii zostały pokonane przez górę. W stronę obozu ciągnęli robotnicy, wlokąc za sobą narzędzia niczym pobici żołnierze. U podnóża stoku leżał na boku spychacz na pół zagrzebany w nowym łożysku rzeki – najwyraźniej osunął się brzeg. Wieża wiertnicza stała na środku małego jeziora. Podmyta przez wodę, przechyliła się niemal o trzydzieści stopni.

Jedynie w samym obozie wrzała praca. Na polu, gdzie miał się odbyć festyn, kłębili się ludzie i sprzęt. Liny mocujące transparent zerwały się i zszargane hasło Kampanii Pogodnego Dobrobytu wzbijało się teraz wysoko w niebo, jak latawiec.

Robotnicy gorączkowo rzucali liny, beczki, wiadra i narzędzia na platformy ciężarówek. Połowa przyczep mieszkalnych zniknęła. Shan przyglądał się, jak potężna ciężarówka z rykiem silnika wciąga jedną z przyczep na prowadzącą poza dolinę przełęcz. Spółka naftowa opuszczała roponośny teren.

–Oni przygotowywali cud – oświadczył Tenzin z podziwem w

głosie. – To właśnie mówił nam Lokesh w jaskini.

Shan przyglądał się zarysom doliny. Istotnie tworzyła się na nowo. Gdy jezioro dosięgnie północnego końca doliny, droga przez przełęcz stanie się jego ujściem i wkrótce zostanie zmyta, przemieni się w strumień, który zamknie dostęp do doliny ciężarówkom, czołgom i wszelkim innym pojazdom. Na południowym krańcu woda podpłynie na kilkaset metrów do ruin wioski. Już teraz zmieniała wzgórek z kurhanem w maleńką wysepkę. Przybierając w takim tempie, za parę godzin całkowicie pokryje kurhan i dosięgnie terenu wykopalisk, pozostałości taoistycznej świątyni. Rana, która jątrzyła się przez stulecie, zostanie nareszcie opatrzona. Obmyj je, zwiąż je, zwiąż dolinę, powiedziała wyrocznia ustami ich ukochanej Anyi.

Shan spostrzegł, że Tenzin podwinął pod siebie nogi i siedzi z przekrzywioną głową, z na pół otwartymi ustami, z podziwem w oczach.

Nieco dalej na stoku, na występie skalnym wychodzącym na obóz nafciarzy, siedzieli inni, opanowani przez ten sam czar. Shan dostrzegł tam Jenkinsa, Larkin oraz tuzin innych osób wyglądających na kierowników spółki, a nawet dwóch ludzi w garniturach – przybyłych z wizytą dygnitarzy. Tybetańczycy także ciągnęli wolno w stronę występu, wszyscy wpatrzeni w obóz z niedowierzaniem na twarzach.

Gdy Melissa Larkin spostrzegła Shana, wstała i podeszła do niego na niepewnych nogach. Usiadł i zaczekał na nią.

– Powiedzieli mi, że poszedłeś szukać Winslowa i Jokara – odezwała się. – Martwiłam się. Zeszłej nocy kowboj miał w oczach coś dziwnego. Jakby coś go rozdzierało albo wrywało stąd.

– Znalazłem go – odparł cicho Shan. – Skończyły mu się tabletki. On nie wróci. Jest tam, gdzie musiał pójść z Jokarem.

Larkin zrozumiała. Ugięły się pod nią nogi i usiadła ciężko obok Shana. Machinalnie uniosła dłoń do ust i przygryzła kłykieć.

Oczy wypełniły jej się łzami. Spuściła głowę i wtuliła ją w oparte na kolanach ramię.

–Chciał, żebyś o tym wiedziała. Ty i nikt więcej – dodał Shan, gdy w końcu uniosła wzrok.

Uśmiechnęła się przez łzy.

–Kiedy pierwszy raz o nim usłyszałam, pomyślałam, że to po prostu jakiś nawiedzony urzędnik. Potem, kiedy się spotkaliśmy...

– Głos jej się załamał. Wpatrzyła się w powstające jezioro. –

Poczuliśmy, że coś nas łączy. Tamtej nocy na Skale Mieszania powiedział, że może znaliśmy się już w innym wcieleniu.

Myślałam, że żartuje. Ale ostatnio nie wiem już, co jest żartem, a

co... – Na chwilę odwróciła wzrok i otarła rękawem łzy. –

Powiedział mi o swojej żonie. Ja mu opowiedziałam, jak mój narzeczony zginął pod lawiną. Ostrzegałam go, nie sądziłam, że

kiedykolwiek jeszcze mogłabym... – Łzy spływały jej po

policzkach. Jenkins, siedzący dziesięć metrów dalej, patrzył na

nią pustym wzrokiem. – Przyjechał zabrać moje zwłoki, a w

końcu... z mojego powodu... – Zaszlochała.

–Nie – odparł Shan. – Tak właśnie miało się stać. –

Opowiedział jej o liście Winslowa. Tu właśnie jest teraz moje

miejsce, napisał Amerykanin. – On by przyszedł – dodał jeszcze –spotkać się z tobą przy tym świętym jeziorze.

Larkin skinęła głową, rzuciła mu smutny uśmiech i znów spojrzała na rozlewającą się wodę.

–Nic nie poszło tak, jak się spodziewałam – stwierdziła,

patrząc na wodę. – Nawet to – dodała, wskazując głową

tworzące się jezioro. – Nie spodziewaliśmy się, że będzie aż tyle wody.

–Gdy byłem młody, miałem pewnego nauczyciela... –

odezwał się ktoś słabym głosem.

Odwrócili się i ujrzeni tuż obok siebie Lepkę. Starzec wpatrywał się w nich smutnymi, wilgotnymi oczyma.

– On mawiał, że są na ziemi miejsca, w których rosną wielkie dusze. Nazywał je dojrzewalniami, ponieważ dusze wzrastają tam szybciej. Mawiał, że kiedy wielu ludzi gromadzi się w takich miejscach, pomnaża to ich moc, a wówczas mogą się

dziać wielkie rzeczy i wielu ludzi znajduje cel życia. Twierdził, że tu właśnie jest jedno z takich miejsc i że dlatego właśnie lamowie nigdy nie nazywali tej góry górą Yapchi, ale mieli dla niej inną, dawną nazwę, która została zapomniana. Nikt nie używał jej od wielu lat. – Stary rongpa spojrział na ośnieżony szczyt, po czym kucnął przy nich i ciągnął, zniżwszy głos: – Ale mój ojciec ją znał. To była długa nazwa, w starym dialekcie lamów, która znaczyła: „miejsce, gdzie obnaża się kręgosłup ziemi”. Mój ojciec nazywał ją po prostu Kościaną Górą -szepnął. – Czasem, kiedy starzy lamowie wystarczająco dojrzeli – dodał – tam właśnie odchodzili na spoczynek.

Shan odwzajemnił smutny uśmiech Lepki i poprosił, żeby usiadł przy nich.

– Myślę, że Winslow – zwrócił się Lepka do Amerykanki – jest teraz z Jokarem Rinpocze w jakimś bayalu i śmieje się do rozpuku.

Larkin położyła dłoń na dłoni starego rongpy i ścisnęła ją mocno.

– Co teraz zrobisz? – zapytał ją Shan.

Larkin spojrzała na wodę.

– Miałam zamiar później jakoś go odszukać, tego kowboja. Myślę, że po prostu wrócę do domu. Zhu tak naprawdę nie chce mojej śmierci, chce tylko, żebym zniknęła z Tybetu. –

Odwróciła się i długo wpatrywała się w szczyt góry, przez cały czas ściskając dłoń Lepki.

Kilka minut później podszedł do nich Jenkins.

– Gdybym nie widział tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył – powiedział, wpatrując się w straconą wieżę wiertniczą. – To już koniec. Kiedy wał puścił, straciliśmy niemal cały ciężki sprzęt. Całe szczęście, że zdążyliśmy wywieźć przyczepy. – Zdawało się, że uznał, iż jest winien Shanowi relację. – Dostałem wściekły telefon ze Stanów, chcieli wiedzieć, co się stało. – Spojrzał na Shana, jakby miał zamiar domagać się od niego wyjaśnień, ale w końcu wzruszył ramionami. – Powiedziałem, że to po prostu nieprawidłowa budowa geologiczna.

– Nie – wtrąciła Somo, która właśnie do nich podeszła. Buty i nogawki miała oblepione błotem, ale jej twarz jaśniała spokojem. – Myślę, że jest odwrotnie.

Co dziwne, najwyraźniej wszyscy zrozumieli jej myśl. Jenkins parsknął i rzucił jej smętny uśmiech. Somo sugerowała, że taka właśnie powinna być budowa geologiczna, że to takiej reakcji należało się spodziewać po górze, która zrozumiała, co ludzie chcą jej zrobić.

– Cały ten przeklęty projekt to klęska – oświadczył Jenkins. – To całe błoto, ta woda. Do diabła, nawet nie dowierciliśmy się do ropy. Teraz nikt nie wyłoży pieniędzy na wiercenia tutaj – zauważył, rzucając Larkin pytające spojrzenie. – Jezu – dodał, patrząc na swoją zmarnowaną pracę. – Jezu. – Spojrzał na Shana. – Tybetańczycy z tej wioski twierdzą, że to przemówiło bóstwo. Mówią, że jest im przykro, że sprawiło nam to tyle kłopotu, ale ono po prostu przemówiło. – Pokręcił głową. – Wysłuchiwanie bóstw nie należy do moich obowiązków – dodał ze znużeniem. – Wciąż słyszę w głowie ten bęben. Mam już dość wywlekania różnych rzeczy z ziemi. Wracam do domu. Ale

najpierw muszę napisać raport. – Pokręcił głową i znów westchnął. – Napiszę, że to siła wyższa.

–Ktoś cię szukał, Shan – przypomniała sobie nagle Larkin. – Myślę, że wszyscy ci Tybetańczycy, którzy uciekali czy szli na tę łąkę, po prostu przyszli tutaj, kiedy rozeszła się wiadomość. – Wskazała przeciwległe zbocze, gdzie wyrosło prowizoryczne obozowisko Tybetańczyków.

Shan stanął na niepewnych nogach i ruszył biegiem w dół, do Lokesha, którego dostrzegł na brzegu wzbierającego jeziora. Stary Tybetańczyk siedział tam, myjąc kamienie.

–Dotknij wody! – zawołał z podnieceniem do Shana. – Ona jest inna! – W dłoniach miał tondę. Lokesh omywał w wodzie swe magiczne kamienie.

Shan pochylił się nad wodą i dotknął jej, zaczerpnął ją dłonią i opłukał sobie twarz. Zdawało się, że czuje mrowienie na skórze. Być może woda, wciskana głęboko w skałę, nasyciła się dwutlenkiem węgla.

–Już teraz ludzie mówią, że te wody mają wielką moc – dodał Lokesh.

Shan podał przyjacielowi kij, który przyniósł z jaskini. Stary Tybetańczyk długo się w niego wpatrywał, po czym powoli, jakby dotknięcie mogło być bolesne, położył na nim czubki palców, jak mógłby badać puls.

–Mam nadzieję, że oni zdążyli znaleźć to miejsce – szepnął starzec i Shan dostrzegł smutek w jego oczach.

Znaleźć to miejsce.

–Tak, znaleźli je – odparł Shan, zastanawiając się, jak wielu Tybetańczyków wiedziało. Zarówno Lepka, jak i Lokesh najwyraźniej rozumieli, dokąd odeszli Jokar i Winslow, jakby odczytali w nich obu coś, co dla niego było niewidzialne. Jedna z dwóch wojskowych ciężarówek, które pozostały

jeszcze w obozie, odjeżdżała właśnie w ślad za ciężarówką ciągnącą ostatnią przyczepę. Druga ruszyła za nią, ale nagle skręciła pod kątem prostym i brzegiem jeziora ruszyła ku środkowi doliny. Zatrzymała się trzydzieści metrów od miejsca, w którym stał Shan. Wydawało się, że dwaj żołnierze siedzący w szoferce spierają się ze sobą. Wreszcie silnik zgasł i z platformy zeskoczyło czterech strzelców górskich. Szli wolno, bez zwykłej u nich agresji, bez śladu zwykłego ognia w oczach. Skupili się z tyłu przy klapie i ostrożnie ściągnęli coś z platformy, po czym pospiesznie przeszli na drugą stronę ciężarówki. Spomiędzy nich wyszedł Lin, niosąc długi pakunek owinięty w śnieżnobiałe prześcieradło. Spojrzał na Tybetańczyków na brzegu jeziora, którzy przerwali swe zajęcia i stali, obserwując go w milczeniu. Gdy ruszył ku Shanowi, Lhandro i Nyma, stojący na jednym ze zniszczonych pól, drgnęli i zaczęli się zbliżać do przyjaciela, czujnie popatrując na pułkownika. Lokesh wstał, podpierając się kijem.

Gdy Lin pochylił się, by złożyć spowitą w całun postać na ziemi obok Shana, Lhandro podszedł do niego, wyciągając ręce, i przyjął ciało Anyi. Lin oddał ją bez słowa, przez chwilę zatrzymując dłoń na zakrytej głowie dziewczyny.

– Ona powinna być wśród swoich – wyszeptał. Zachwiał się lekko, jakby miał upaść. – Ale nie oddawajcie jej ptakom – zwrócił się do Lhandra. – Proszę – dodał łamiącym się głosem. – Nie zniósłbym myśli, że została zjedzona przez ptaki.

Długo nikt się nie odezwał. Woda chlupotała tuż u ich stóp.

– Dolina przyjmie naszą Anyę – odezwał się Lepka. Lin odwrócił się i skinął mu głową, gdy starzec wszedł do ich małego kręgu. – Tam są też szczątki Chińczyków, z tej świątyni. –

Lepka trzymał łopatę. – Musisz mi pomóc – powiedział do Lina, unosząc ją.

Pułkownik patrzył na niego, mrużąc oczy, jakby miał problem z rozpoznaniem przedmiotu w jego dłoniach.

–Musisz mi pomóc, Xiao Lin – powtórzył łagodnie stary rongpa, wskazując podnóże zbocza, gdzie rzucało cień kilka wysokich drzew. Odwrócił się, a pułkownik ruszył za nim drobnymi krokami, ze spuszczonej oczyma, jak zawstydzony chłopiec.

Xiao Lin, nazwał go Lepka. Mały Lin. Shan obejrzał się na żołnierzy. Wpatrywali się w swego pułkownika, jedni ze strachem, inni z gniewem, niektórzy ze zdumieniem.

Gdy dwaj mężczyźni kopali w milczeniu, Nyma odsunęła całun z twarzy Anyi, pozwalając, by wiatr rozwiał jej długie czarne włosy. Zaczęła cicho śpiewać, naśladując sposób, w jaki Anya śpiewała swe pieśni bóstwa, splatając w warkocz długie pasmo jej włosów. Nadciągnęło więcej wieśniaków, żaden jednak nie miał ze sobą łopaty. Przyglądali się kopiącym z odległości paru kroków, aż nagle do grobu podszedł profesor Ma, niosąc swoją skrzynkę ze znaleziskami. Wieśniacy wpatrywali się weń przez chwilę, po czym podeszli, by pomóc, gdy stary Chińczyk złożył skrzynkę na ziemi i zaczął wyjmować z niej kawałki kości pochodzące z taoistycznej świątyni. Owinęli każdą z nich w tkaninę, w khaty i chustki ściągnięte z głów kobiet, a następnie każdy wziął jedną kość i usiadł, żeby wypowiedzieć nad nią mantrę, podczas gdy profesor podszedł do wykopanego dołu i wziął łopatę z rąk Lepki. Wybierał ziemię przez kilka minut, obserwowany przez Lina i Lepkę, i przekazał narzędzie Shanowi. Po kilku minutach kopania Shan miał już oddać łopatę Lhandrowi, kiedy uniósłszy wzrok, ujrzał stojący przed grobem rząd ludzi. Byli tam inni mieszkańcy Yapchi, młodzi mężczyźni, najprawdopodobniej przymusowi pracownicy spółki, za nimi Gyalo i Chemi, a wreszcie Amerykanie: Larkin i Jenkins.

Kopali przeszło godzinę. Lin czasami włączał się do pracy, a kiedy oddawał łopatę, stawał na uboczu z ponurą, zapadłą twarzą, przebierając coś w palcach. Shan spostrzegł w jego dłoni mignięcie zieleni. Był to kamień, który Anya znalazła przy czortenie, tonde dla wujka Lina. Kiedy Shanowi zdawało się, że grób jest już gotowy, Lin skinął na swoich ludzi. Żołnierze dotychczas stali przy ciężarówce, z zakłopotaniem obserwując całą scenę, lecz gdy podeszli do grobu, żadne wyjaśnienia nie były potrzebne. Młody chiński żołnierz z powagą wyciągnął rękę po łopatę i kopał przez dziesięć minut. Gdy skończył, łzy spływały mu po

policzkach. Jedna z Tybetanek przygarnęła go, pozwalając mu się wyplakać na swoim ramieniu.

Każdy żołnierz kopał, a kiedy skończyli, dwóch stanęło w grobie. Odbierali od Tybetańczyków spowite w tkaninę kości i z szacunkiem składali je w ziemi wzdłuż ścian dołu. Gdy wszystkie zostały już złożone, jeden z żołnierzy zawahał się, po czym zapisał na kartce cztery nazwiska i umieścił ją pod jednym z zawiniątek. Nazwiska czterech kolegów, którzy zginęli, wyjaśnił szeptem. Wreszcie Nyma pocałowała głowę Anyi i ponownie zakryła jej twarz. Lepka i Lhandro podali ciało żołnierzom.

Łopata znów przechodziła z rąk do rąk, gdy zasypywali grób. Na koniec przykryli go kamieniami. Z czasem powstanie tu kopiec, wiedział Shan, a pewnego dnia może i czorten. Milczenie nad grobem przerywały od czasu do czasu krótkie modlitwy lub parę słów wspomnień.

Lin nie odezwał się nad grobem. Odszedł się z pustym wyrazem twarzy, przystanął tylko na chwilę i bez słowa oddał Lhandrowi dokumenty, które odebrał mu przed dwoma tygodniami. Ale przy ciężarówce spojrział wyczekująco na Shana.

–Siedziałem z nią przez całą noc w swoim namiocie –

odezwał się, gdy Shan i Lhandro podeszli do niego. Z powagą rozłożył wojskową mapę i wskazał na niej dolinę Yapchi. Patrzyli na tereny przy granicy prowincji, z nową czerwoną linią nakreśloną na pokaźnym obszarze. – Dziś rano wydano rozkaz – powiedział cicho. – Stąd... – pokazał punkt leżący tuż na północ od Norbu, rząd niewielkich wzgórz ponad gompą – na północ aż do granicy prowincji jest teraz strefa zagrożenia toksycznego. Nikt nie ma prawa wstępu. Ani wojsko, ani Urząd Bezpieczeństwa. Nikt. Nawet Urząd do spraw Wyznań – dodał znacząco, silniejszym głosem. Zobaczył pytanie na ich twarzach. – Powiedziałem przełożonym, że tak musi być, z powodu tego, co odkryłem, kiedy tam byłem. – Mówił beznamiętnie, jak na odprawie wojskowej. – Każę ustawić tablice.

Shan i Lhandro przyglądali mu się z niedowierzaniem. Czerwona linia zakreślała obszar liczący co najmniej dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych, teren wielkości powiatu, obejmujący całą Równinę Kwiatów.

–I jeszcze ci ludzie z Norbu... Tuanem zajął się Urząd Bezpieczeństwa. Taka korupcja, na tak wysokim szczeblu... – Pułkownik pokręcił głową. – On jest skończony. Khodraka zabierają do specjalnego instytutu bezpieczeństwa – oświadczył i zdawało się, że tłumy dreszcz. Miał na myśli jeden z prowadzonych przez pałkarzy instytutów medycznych, gdzie byli przetrzymywani krnąbrni urzędnicy, zwykle przez długie lata, podczas gdy rządowi lekarze za pomocą narkotyków starali się leczyć ich antyspołeczne skłonności. – On już nie wróci.

Lin złożył mapę i przekazał ją Shanowi, przez chwilę badawczo się w niego wpatrując. Shan wolno skinął głową, a wówczas pułkownik wyciągnął z kieszeni kopertę, podał mu ją i bez słowa ruszył się do kabiny ciężarówki.

–Nie rozumiem – odezwała się Nyma, stając obok Shana.

–Gompa Rapjung i Równina Kwiatów zostały wyzwolone – wyjaśnił Lhandro z niedowierzaniem, przyglądając się żołnierzom wspinającym się na platformę ciężarówki. – Dla Anyi.

Shan obejrzał się na ciężarówkę. Lin stał przy drzwiach kabiny, wpatrując się w siedzącego na stopniu Dremu. Golok patrzył na pułkownika z niepewną, a jednak upartą miną.

–Ten człowiek mówi, że zabiliśmy jego dziadka – oświadczył ze znużeniem Lin, gdy Shan podszedł do nich.

–Właściwie nie wy. – Shan spostrzegł, że Dremu nerwowo przebiera palcami po wiszącej mu na szyi małej skórzanej sakiewce. – Chodzi tylko o to... Chodzi o to, że klan Goloków zwraca otrzymaną daninę.

Lin spojrzał na niego zdziwiony, lecz Dremu zdawał się starannie rozważać słowa Shana. Pokiwał poważnie głową, pogrzebał w sakiewce i wyciągnął ciężką złotą monetę. Uniósł ją ku północnemu wschodowi, wysoko, jakby pokazywał ją komuś w oddali, po czym podał ją Linowi, oburącz, jak ceremonialną ofiarę.

–Czy on nam płaci? – zapytał Lin, gdy Dremu odszedł z niezwykłym u niego wyrazem twarzy. Nie była to pogoda, lecz być może najbliższy pogody stan, jaki Golok osiągnął kiedykolwiek w życiu.

–Zwracają. Ta moneta należała do Armii Nowoczesnej.

–Co mam z nią począć? – westchnął Lin.

Shan przypomniał sobie, jaki użytek robił Lin z kamiennego oka.

–Potrzebny jest wam nowy przycisk do papieru – podsunął.

Lin uniósł brwi. Spojrzał na grób. Chwilę później silnik ożył z rykiem. Nie mówiąc nic więcej, pułkownik wsiadł do kabiny i ciężarówka odjechała pędem, uwożąc Lina, wciąż wpatrującego się w grób przez otwarte okno.

Shan otworzył kopertę, którą dał mu Lin, i przeczytał pojedynczą kartkę, którą z niej wyciągnął.

–Co to jest? – zapytała Nyma.

Przeczytał jeszcze raz, nie wiedząc, jak odpowiedzieć.

–Ktoś umarł – odparł i spojrzał na wyjeżdżającą z doliny ciężarówkę.

Milczący, nabożny nastrój Tybetańczyków utrzymywał się przez resztę dnia, gdy ostatni z pracowników spółki opuszczali dolinę. Niektórzy przyglądali się wodom jeziora chlupoczącym obok nowego grobu. Inni krzatali się przy kuchennych ogniskach rozpalanych wśród ruin wioski Yapchi.

Gdy wieczorny posiłek dobiegł końca, wszyscy wrócili nad brzeg jeziora i siedzieli tam, dopóki nie zaszło słońce. Do obozowiska zaczęli napływać inni Tybetańczycy, niedobitki tych, którzy nie rozumiejąc, ruszyli w góry, by czekać na starego lamę. Przybysze dotykali wody i rozmawiali z podnieceniem, niektórzy nabierali ją w dłonie i pili, inni napełniali czarki i wylewali ją sobie na głowy.

Shan siedział przy dogasającym ognisku obok Lokesha, gdy na obozowisko spłynęła cisza. Zaszczekał pies i Shan, unosząc wzrok, ujrzał purbę, twardego człowieka, którego widział z karabinem w Norbu. Purba skinął głową najpierw do Shana, potem do Tenzina i usunął się na bok. W cieniu za nim stał człowiek o pasiastej twarzy, Tygrys.

–Już czas – powiedział zwięźle dowódca purbów do Tenzina.
– Po drugiej stronie wzgórz czeka ciężarówka, którą pojedziesz na północ.

Tenzin przyjrzał się jego zaciętej twarzy.

–Dotarłem już wystarczająco daleko – odparł cicho.

Shan przeniósł wzrok za jego spojrzeniem. Tygrys nie był sam. Za jego plecami stało pięciu lub sześciu innych purbów.

Poszarpane blizny na twarzy Tygrysa poruszały się w górę i w dół, gdy zaciskał i rozwierał szczęki. Spojrzał oskarżycielsko na Shana.

– Opat Sangchi jest potrzebny za granicą. Mamy plany.

– Nie ma już opata Sangchi – oświadczył Tenzin. Wolno powiódł wzrokiem dokoła. Nyma, płacząca bez przerwy od czasu pogrzebu. Gyalo, w milczeniu głaszczący nos Jampy. Dremu, siedzący w cieniach, niepewnie wpatrujący się w ogień. Dzopa, olbrzymi dobdob, leżący na kocu twarzą w dół, wciąż pogrążony w bólu po stracie Jokara. – Jestem potrzebny tutaj – dodał. – My... – powiódł szerokim ruchem ręki po otaczającej go gromadce – mamy zamiar odbudować gompę. Mamy zamiar stworzyć miejsce, w którym Tybetańczycy będą uczyć się uzdrawiania. – Zerknął na Shana i znów odwrócił się do purby. – Ślubowałem to paru starcom we wnętrzu góry.

– Rapjung? – zapytał niecierpliwie purba, najwyraźniej mu nie dowierzając. – Ta stara gompa nigdy nie będzie...

– Jeśli Tybet ma się odrodzić – przerwał mu Tenzin – nowe trzeba budować na starym.

– Ale przyjdzie wojsko – zaprotestował Tygrys. – Przyjdą krzykacze. Jeśli spróbujecie odbudować gompę, zaaresztują was.

– Nie – oświadczył promiennie Lokesh. – Ten pułkownik uczynił z Rapjung ukrytą krainę.

Tenzin uśmiechnął się do starca.

– Mamy silne grzbiety i silne serca, możemy zbudować wszystko – powiedział. Jakby dla dodania wagi jego słowom, Jampa zrobił krok naprzód i parsknął. – Gompa Rapjung nie została zniszczona. Zburzono tylko jej budynki. Tego właśnie nauczył nas Jokar Rinpocze. Była po prostu skarbem wymagającym ponownego odkrycia.

–Władze cię poszukują. Wojsko. Krzykacze. Oni teraz cię nienawidzą. Będą cię tropić jako wroga politycznego.

–Nie – wtrącił Shan. – Nie będą. – Wyciągnął papier, który dostał od Lina. – Chiński wujek Anyi napisał raport. – Przeczytał im go. Dokument opatrzony był wczorajszą datą. Pułkownik stwierdzał w nim, że będąc w górach w poszukiwaniu reakcjonistów, natknął się na opata Sangchi, zatrzymał go i potwierdził jego tożsamość. Ale opat próbował uciec. Wywiązała się walka i na oczach Lina opat spadł z urwiska do wąwozu. Pułkownik Lin donosił o śmierci opata.

–Zhu też złożył fałszywy raport o śmierci Melissy Larkin - zauważył przywódca purbów. – Oni wiedzą, że kłamał.

–To jest pułkownik Armii Ludowo-Wyzwoleńczej – odparł Shan. – Odznaczony wieloma medalami dowódca elitarniej jednostki.

Tygrys westchnął i skinął głową, przyznając, że prawdopodobnie nikt nie będzie skłonny kwestionować raportu Lina. Przyjrzał się stojącym obok Shana Tybetańczykom.

–Wszystkie nasze plany... – mruknął ponuro. – Wszyscy ci ludzie... – Spojrzał na Somo. – Drakte – dodał znacząco.

–Drakte – odezwała się Somo, podchodząc do Tenzina – powiedziała, że on i ja powinniśmy budować gompę.

Dowódca purbów spojrział na nią bez słowa. Przyjrzał się każdemu z nich, aż wreszcie skinął głową do Shana.

–Lha gyal lo – szepnął i zniknął w mroku.

Ale jeden z towarzyszących mu purbów podszedł na skraj rzucanego przez ogień kręgu światła. Była to Melissa Larkin, w czapie z owczego runa i pasterskiej kamizelce.

–Zostaję – oświadczyła Shanowi z błyskiem w oku. – W Tybecie jest jeszcze wiele do odkrycia na temat zachowania się ziemi. – Miała już się odwrócić, ale dodała: – Któregoś dnia

Pekin dowie się o nowych źródłach Jangcy – i w ślad za Tygrysem zniknęła w ciemnościach.

Shan wraz z innymi jeszcze przez chwilę wpatrywał się w ogień, po czym odszedł w noc brzegiem wody, patrząc na gwiazdy. Nagle spostrzegł jakieś migotanie w połowie wysokości zbocza. Małe ognisko. Rozejrzył się dookoła, by się upewnić, że nikt za nim nie idzie, i ruszył szybkim krokiem w stronę światła.

Gdy Shan wstał o świcie, zobaczył, że kilkunastu Tybetańczyków stoi na skraju ruin wioski i spogląda w dół, w głąb doliny. Pojawił się Dremu – krążył w tę i z powrotem, jakby i on nagle poczuł lęk przed podnoszącą się wodą. Shan ruszył wzdłuż rzędu Tybetańczyków, wypatrując Nymy i Lhandra. Znalazł ich na czele tłumu. Nyma westchnęła, a on spojrzał tam gdzie ona, ku wodzie. Szybko się rozwidniało i Shan zaczął rozumieć. Powstawanie jeziora dobiegło końca. Nocą wzbierające wody sięgnęły do przełęczy na krańcu doliny i zaczęły przelewać się przez siodło. Pogrzebana rzeka wciąż wypływała ze stoku góry do jeziora, ale lustro wody osiągnęło najwyższy możliwy poziom.

Wieża wiertnicza przewróciła się i zniknęła pod wodą, podobnie jak kurhan. Gruzowisko w obozie nafciarzy zostało zalane. Jezioro było spokojne. Osad szybko osiadł i wody wyglądały niczym granatowy kryształ.

Shan przypomniał sobie nagle, co mówiła Larkin o spotkaniu z Winslowem nad świętym jeziorem. Sądził, że miała na myśli Lamtso. Ale ona, lepiej niż ktokolwiek inny, znała się na wodzie, skałach i ukształtowaniu terenu. Wiedziała, że jej jezioro będzie lśnić jak niebieska gwiazda w górach, jak jedno z tych, które Tybetańczycy uważali za święte.

Zebrali się wokół ogniska i zastanawiali się, jak rozumieć ten znak. Nagle wszyscy z powagą spojrzeli na Shana, który

przyniósł mały, owinięty w filc przedmiot. Lokesh porozumiewawczo spojrzał na przyjaciela i nadstawił otwarte dłonie, a Shan położył na nich zawiniątko i rozwinął je.

–Niech zwyciężą bogowie – szepnęła Nyma.

Lepka i Lokesh uśmiechnęli się, kiwając głowami, jakby zawsze wiedzieli, że koniec końców Shan zwróci kamienne oko.

–Kto to był? – zapytał Lhandro. – Kto cię zaatakował?

–Oko wróciło – odparł Shan. To było wszystko, co zamierzał powiedzieć na ten temat. – Czuwało nad doliną od wielu dni.

–Tak – szepnął jeden z wieśniaków. – Słyszeliśmy je.

Tybetańczycy skupili się wokół kamiennego oka, niepewnie dotykali je palcami i odmawiali przed nim modły. Nyma oddaliła się od nich i podeszła do Shana.

–Ale znów jesteśmy w punkcie wyjścia – oświadczyła ze zdumieniem w rozszerzonych oczach. – Największa zagadka nie została rozwiązana.

Wszyscy ucichli. Wszystkie oczy zwróciły się ku Shanowi, który wpatrywał się w Nymę. Co dziwne, nagle się zorientował, że się uśmiecha. Coś w jej słowach wydało mu się cudowne. Pomimo morderstw, kłamstw, zniszczeń dla Nymy największą zagadką wciąż było to, gdzie jest właściwe miejsce dla ich bóstwa.

–Ale ja już wiem, gdzie to jest – oznajmił Shan. – Góra sama przygotowała miejsce, w jakim lubią przebywać bóstwa

–
dodał, po czym zapytał Lhandra, czy wie, gdzie można ściąć młode topole.

Dwie godziny później małą procesją ruszyli nad brzeg jeziora. Z gałęzi topoli i skór sklecieli prymitywną łódeczkę, a z desek ocalałych z ruin wioski wycięli dwa wąskie wiosła. Shan po raz ostatni rozwinął oko z filcowego koca i uniósł obtłuczony kamień

nad głowę. Wśród zgromadzonych Tybetańczyków przebiegły pomruki podniecenia.

–Prawy Chińczyk – odezwał się z podziwem ktoś w tłumie.

Shanowi przyszło na myśl, że być może, koniec końców, prawym Chińczykiem, który ocalił dolinę, okazał się pułkownik Lin. Albo może byli nim po części oni wszyscy: Lin i Gang, Ma i Shan.

Kiedy schylił się po wiosło, tłum umilkł. Zakłopotany przyjrzał się pełnym wyczekiwania twarzom otaczających go ludzi i uświadomił sobie, że oni nie spodziewają się po nim, że popłynie sam. Podał jedno wiosło Tenzinowi i sięgnął po drugie, rozglądając się dokoła. Minał zebraną na brzegu gromadkę i wyciągnął wiosło do drobnego, wychudłego mężczyzny, który wraz z żoną i dwójką dzieci kręcił się w cieniu na uboczu. Shan znalazł ich poprzedniej nocy przy małym ognisku, wszystkich razem, wraz z bębniem i kamiennym okiem, i przekonał ich, że już czas wyjść z ukrycia.

Gang bez słowa przyjął wiosło i wszyscy trzej – poważna, milcząca załoga – wsiedli do łódki.

–Ono jest jak cenny kamień – odezwał się Tenzin, mówiąc o jeziorze.

Gang powtórzył jego słowa.

Powiosłowali na środek jeziora, do miejsca pomiędzy szybem naftowym a kurhanem, które zalała kilkumetrowa warstwa wody, i Shan dał znak Gangowi. Gdy ponury mężczyzna wziął oko od Shana, na jego twarzy odmalowała się radość. Uniósł kamień w stronę obserwujących ich z brzegu ludzi, po czym zanurzył go i wypuścił z rąk. Shan przyglądał się, jak oko bóstwa opada w mieniącą się kryształowej wodzie, nabierając niebieskiej barwy w tym przefiltrowanym świetle, aż wreszcie znika w głębi. „Głębokie jest oko”, powiedziała wyrocznia, „błękitne jest oko, nagowie

będą strzec go wiernie”.

Gdy wrócili na brzeg, Lepka i Lhandro podali im czarki herbaty. Minąwszy kółko nucących mantrę, usiedli na kocu na jednym z pól obsianych jęczmieniem. Tenzin wypytywał Ganga o jego prace przy odbudowie Rapjung. Shan położył się na plecach i w ciepłym porannym słońcu stopniowo zapadł w sen.

Minęły ponad dwie godziny, gdy do jego świadomości dotarł jakiś ruch nad jeziorem, śmiech dzieci. Usiadł na kocu i patrzył, przecierając oczy, na scenę tak zaskakującą, że minęła dobra chwila, nim w końcu zrozumiał, co widzi. Przy brzegu pojawiły się sznury flag modlitewnych, rozpięte pomiędzy słupami i stosami kamieni. Po trzech lub czterech Tybetańczyków, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, wlokło doliną bale ze składu spółki. Wśród ciągnących Shan spostrzegł nowe twarze, wiele nowych twarzy. Potem na przełęczy ukazała się mała grupka ludzi, którzy zbiegli z boczem ku jezioru. Łańcuch ciągnących bale posuwał się brzegiem. Zatrzymywali się kolejno na skraju wody, gdzie jakaś mniszka zanurzała czarkę w jeziorze i polewała kłody, jak gdyby je chrzcila.

Shan niepewnie zbliżył się do mniszki, ale dziesięć metrów od niej stanął jak wryty. Była to Nyma. Zdobyła nową szatę i obcięła swe długie warkocze. Była ostrzyżona na klasztorną modłę, tuż przy skórze. Gdy spostrzegła Shana, roziskrzyły jej się oczy. W końcu uznała, że mimo wszystko może być prawdziwą mniszką. Pomachał jej lekko, a ona z uśmiechem wskazała południowy koniec doliny.

Ludzie z kłodami nie szli, jak w pierwszej chwili pomyślał, do ruin wioski Yapchi, ale dalej, ku prowadzącej w góry ścieżce. Z tyłu dobiegł go śmiech dziecka i odwróciwszy się, na jednej z kłód, dźwiganej przez trzech krzepkich, wesołych Tybetańczyków, ujrzał córeczkę Ganga, siedzącą na niej jak na

koniu. Drzewa ścięte przez spółkę naftową szły do Rapjung. Niesiono je na drugą stronę góry, by posłużyły do budowy nowej gompy.

–Zamknęliśmy krąg – oświadczyła z podnieceniem Nyma, gdy podszedł do niej. – Krąg modlitewny, który zaczęliśmy w jarze. Powiedzieli, że nigdy go nie przerwą. Poszli do jaskini, wysoko nad doliną, i modlili się dniami i nocami bez przerwy. Kiedy oko wróciło, wiedzieli, że mogą już przestać.

Dołączyłam

do nich nad brzegiem jeziora, a kiedy skończyliśmy, poprosiłam, żeby pomogli mi obciąć włosy – dokończyła pogodnie.

Za jeziorem, w pobliżu wioski, Shan znalazł Lokesha. Siedział na skale, pogrążony w rozmowie z Lhandrem. Wodził ręką po polach, a rongpa słuchał go z uwagą.

–Koniec z jęczmieniem – odezwał się Lhandro, gdy spostrzegł Shana. – Teraz będzie jak za dawnych czasów, same lecznicze zioła

dla Rapjung. A Lokesh dał nam rysunki – ciągnął radośnie – żebyśmy mogli odbudować ogrody ziołowe w Rapjung w dawnej postaci. Ludzie przyniosą w koszykach nową ziemię z dolin. Przyślemy trochę także stąd.

–Rysunki się przydadzą – przyznał niepewnie Shan – ale byłoby jeszcze lepiej, gdybyście mieli kogoś, kto pamięta starą gompe.

Lokesh utkwiał w nim spokojne spojrzenie.

–Tam właśnie mnie znajdziesz, za rok. Może wcześniej.

–Mamy niewiele pieniędzy, ale zaproponowaliśmy, że oddamy mu wszystkie – dodał Lhandro. – Na autobusy do Pekinu, żeby mógł wrócić jak najprędzej. Ale odmówił.

Powiedział, że musi powędrować do Pekinu jak pielgrzym. Kiedy zgłodnieje, będzie żebrał. Mówi, że mnisi żebrali i że to żadna hańba.

Shan spojrział na jezioro, próbując się uspokoić. Przez wszystkie te lata, odkąd poznał tego łagodnego starca, była to jedyna sprawa, jaka stała między nimi. Ale nie mógł się z nim spierać, gdyż do Lokesha przemówiło jego wewnętrzne bóstwo.

–Z tą twoją stopą to będzie trudne – powiedział cicho Shan.

–Mam kij Jokara. – Lokesh wskazał wygładzony przez czas kostur u swego boku.

–Droga do Golmudu jest zdradliwa – dodał niepewnie Shan.

– Zgódź się, przyjacielu, żebym odprowadził cię przynajmniej tam. – Poczul w ustach smak strachu, strachu, że Lokesh odmówi. – Potem pójdę w swoją stronę, szukać Genduna. Muszę zdobyć dla niego jakieś nowe buty.

Stary Tybetańczyk uśmiechnął się.

–Dobrze. Po drodze pomożesz mi podciągnąć się w chińskim. W stolicy będę musiał lepiej mówić po chińsku. Ruszam w drogę jutro rano.

–Tak szybko? Przecież musisz chyba narysować dużo szkiców dla Ganga i Lhandra?

–Dlatego właśnie nie wyruszyłem dziś rano – odparł z uporem Lokesh.

Shan dostrzegł wyzwanie w jego oczach.

–A więc jutro rano – powiedział pogodzony z decyzją Lokesha.

Nad jezioro przybywało coraz więcej Tybetańczyków, pasterzy i rolników, którzy ścigali tu, by na własne oczy zobaczyć cud.

Rozbijali namioty i Lokesh usiadł przed jednym z nich wraz z Lhandrem. Rysował z pamięci plany ogrodów, rzuty budynków, schematy sposobów łączenia drewna w okapach dachów, a

nawet zapamiętane detale płaskorzeźb na drzwiach do sali, w której drukowano księgi. Nadeszła Nyma, niosąc w ramionach długi pakunek, który rozwinęła na kocu. Była to pecha wyniesiona ze schowka w Norbu.

Lokesh przerwał i dotknął drżącą dłońią wierzchniej strony, wodząc oczyma po wydrukowanych na niej słowach.

–*Dzieje Rapjung* – odczytał drżącym głosem i ścisnął dłoń Nymy, gdy pokazywała mu stronice z mapami i planami budynków.

W zamęcie Shan stracił z oczu Tenzina. W końcu znalazł go w małym jarze za zrujnowaną wioską. Siedział w wielkim kręgu Tybetańczyków pomiędzy Dzopą po jednej stronie i Gangiem po drugiej. Na skale nad ich głowami, niczym wartownik, przycupnął Dremu. Poniżej siedziała Somo, wpatrzona w dwa trzymane w dłoniach przedmioty: scyzoryk ze składaną łyżką oraz bransoletę z lazurytu i srebra. Golok zwrócił to, czym mu zapłaciła w pustelni.

Tybetańczycy w jarze rozmawiali o ekipach roboczych i dostawach. Shan usiadł na głazie za Tenzinem i przyglądał się im. Większość była w podeszłym wieku, po sześćdziesiątce. Jeden z mężczyzn oświadczył, że był kamieniarzem, inny przedstawił się jako były malarz thanek, jeszcze inny – wytwórca kadzideł. Trzech parało się stolarką, dwaj zaś specjalizowali się niegdyś w wytwarzaniu młynków modlitewnych.

–Znaleźlibyśmy pracę dla was wszystkich – rzekł niepewnie Tenzin – ale nie mamy pieniędzy, żeby płacić wam pensje.

–Pieniądze? – parsknął śmiechem jeden ze starców. – Słyszeliśmy o raporcie tego krzykacza. Podobno już jesteście bogaczami. – Salwa śmiechu, która zawtórowała tym słowom urwała się nagle, gdy na skraju kręgu pojawił się wysoki szczupły Chińczyk o długich białych włosach. Kilku Tybetańczyków rzuciło

Shanowi oskarżycielskie spojrzenia.

– Nie znam się na stolarce – oświadczył napiętym głosem przybysz. Mówił po tybetańsku. – Jedyne kamienny murek, jaki kiedykolwiek zbudowałem, wyszedł koślawo. Ale znam się na książkach. Ta gompa wydawała niegdyś księgi, ważne księgi. – Był to profesor Ma; sprawiał wrażenie ogromnie zmęczonego. – Wyjechałem z doliny – wyjaśnił, patrząc na Tenzina i Shana – ale po paru kilometrach wysiadłem z ciężarówki. Jokar twierdził, że powinienem zająć się swoim zaparciem serca. W jarze zapadła cisza.

– Jeśli mnie zechcecie, zostanę – dodał po chwili. – Chiny nie są już moim domem. – Starsza Tybetanka zrobiła mu miejsce w kręgu. – Tyle tylko, że kiedy będę pisał księgi – ciągnął, siadając – chciałbym pisać je zarówno po tybetańsku, jak i po chińsku. I czasami – dodał, wyjmując z kieszeni znajomą bambusową tubę – chciałbym rozmawiać o *Tao Te Ching*.

Lokesh i Shan wyruszyli przed świtem, gdy inni spali jeszcze. Gdy opuszczali dolinę, ostatnie nocne gwiazdy migotały na tafli jeziora, a odbity rumieniec świtu sprawiał, że woda jarzyła się jak ogniem. W bladym świetle Shan dostrzegł dwóch mężczyzn, którzy obserwowali ich z drugiego brzegu. Nawet z tej odległości poznał, że to Tenzin i Lhandro, były opat Sangchi, który umarł i odrodził się, oraz rolnik, który stracił swą dolinę i ją odnalazł. Obaj pomachali im na pożegnanie i jakby w salucie unieśli długi kij z flagą modlitewną.

Poprzedniej nocy, gdy Shan ułożył się na pościeli, Tenzin uklęknął przy nim i milcząc, wpatrywał się w niego tak długo, że Shan zapytał, czy znów musi odrosnąć mu język.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze odbędę taką podróż jak ta, którą właśnie zakończyliśmy – powiedział w końcu Tenzin, ściskając oburącz dłoń Shana. – Ale jeśli tak będzie,

chciałbym, żebyś był wtedy ze mną.

Kiedy zatrzymali się, żeby zjeść nieco zimnej tsampy na płaskiej skale oświetlonej pierwszymi promieniami słońca, Lokesh z ożywieniem opowiadał o tym, jak będzie wyglądać Rapjung, kiedy wróci tu za rok, a potem o tym, że Somo powiedziała mu o pewnym pekińskim sklepiku z makaronem, gdzie będzie mógł dostać tsampę.

–Znam pewne miejsce – oświadczył nieśmiało Shan. – Taoistyczną świątynię. Jeśli nie masz pieniędzy, tamtejsi mnisi dadzą ci jedzenie i poślanie. Mogą pamiętać moje nazwisko.

Lokesh rzucił mu czujne spojrzenie.

Shan westchnął.

–Narysuję ci plan.

Lokesh wydał z siebie coś, co brzmiało jak śmiech, który echem odbił się od skał, i Shan wyczuł, że mur, który wyrósł pomiędzy nimi, znika. Rozmawiali z ożywieniem o dzielnicy, w której niegdyś mieszkał Shan, i o tym, że niebezpiecznie poruszać się po mieście, w którym jeździ tak wiele samochodów.

Wreszcie spakowali jedzenie i Lokesh wstał, podpierając się kijem.

–Idę do Pekinu! – wykrzyknął bez żadnego wiadomego powodu. Ale kiedy zrobił pierwszy krok, kij pozostał w miejscu. Szarpnął go mocno, lecz kij ani drgnął. Utkwił w skalnej szczelinie.

Lokesh szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w Shana, pocierając swój biały zarost.

–Czy ta szczelina była tu wcześniej? – zapytał szeptem. – Nie zauważyłem jej.

–Nie wiem. Myślę, że tak – odparł zdziwiony Shan.

Lokesh szarpnął jeszcze raz, bez skutku, potem pozwolił spróbować Shanowi. Wyglądało na to, że kij wrósł w skałę.

Lokesh obracał go, popychał i znów szarpał. Na próżno.

Stary Tybetańczyk zachmurzył się. Opadł na pobliski głaz, wpatrując się w kij – kij Jokara – tkwiący niemal pionowo w szczelinie.

– Mogę przynieść trochę wody, żeby wylać na kamień – podsunął Shan.

– To nie to – odparł ponuro Lokesh i rozpoczął mantrę. Po pięciu minutach znów pociągnął za kij, bez skutku. Ujął go oburącz za koniec i spojrzał na szczyt góry Yapchi. – W Pekinie jest mnóstwo chorych – powiedział donośnie. – Cierpią tam na zaparcie serca, epidemię zaparcia serca. – Ponownie spróbował poruszyć kij, ale bez powodzenia.

– Znajdę ci jakiś inny – zaproponował Shan. – Do tej pory możesz opierać się na mnie.

Lokesh, nie patrząc na niego, ponuro pokręcił głową. Odmówił kolejną mantrę, przez cały czas patrząc na szczyt góry, jakby z nią rozmawiał. Po kwadransie znów szarpnął za kij, który ani drgnął. Starzec opuścił głowę między ramiona, wciąż trzymające koniec kostura, i westchnął. Ze znużoną miną spojrzał na Shana.

– Nigdy bym się tego nie spodziewał – mruknął i znów opadł na głaz. Siedział tak prawie pięć minut, wpatrując się w swoje dłonie, wreszcie wstał i utkwiał w szczycie góry zdecydowane spojrzenie. – Nie pójdę do Pekinu, żeby zobaczyć się

z Przewodniczącym – oświadczył równie głośno jak przedtem.

Obrócił kij, a ten swobodnie wyszedł ze szczeliny. – W porządku – oznajmił Shanowi po dłuższej chwili, przez którą wpatrywał się w kostur. – Niech będzie tak, jak ty chcesz.

Shan pytająco przechylił głowę.

–Wiesz – westchnął starzec – będziemy musieli łątać bóstwa po jednym naraz.

Shan nic nie powiedział, podniósł tylko ich bagaże i ruszył za Lokeshem, który kuśtykał już ścieżką, wpatrując się w szczyt góry Yapchi. Zerwał fioletowy kwiatek i przyglądał mu się w milczeniu.

Niecały kilometr dalej przystanął znowu.

–Jeśli idziemy do Rapjung – rzucił, oglądając się za siebie – będziemy musieli wybrać łatwy szlak. Stopa mi dokucza. Przepraszam.

Szli wzdłuż strumienia, aż dotarli do małego pagórka, pod którym Lokesh uniesioną dłonią zatrzymał Shana i ciężko usiadł na szerokim głazie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął list do Przewodniczącego. Shan z zakłopotaniem przyglądał się, jak Lokesh rozkłada go i czyta. W końcu stary Tybetańczyk rozprostował papier na kamieniu i zaczął starannie składać go na nowo, inaczej. Po kilku minutach skończył i pokuśtykał na szczyt pagórka, zwrócony plecami do wiatru. Shan ruszył za nim i gdy starzec uniósł papier w wyciągniętych rękach, poznał wreszcie, co w nich trzyma. Lokesh złożył jednego ze swych niebiańskich koni. Poczekawszy, aż Shan dołączy do niego, uniósł konika nad głowę i wypuścił go. Papier przez chwilę szybował leniwie na lekkim wietrze, po czym nagle porwał go silniejszy podmuch i konik poszybował w dal, pędząc z wiatrem na północny wschód, w stronę Pekinu.

–Ten Przewodniczący – odezwał się Lokesh – może któregoś dnia jechać przez góry. Jego limuzyna może się zepsuć i będzie zdany na własne siły. Kiedy znajdzie mojego papierowego konika, zadziała magia figurki. Będzie mógł dotrzeć na miejsce na dobrym tybetańskim koniu.

Śledzili figurkę wzrokiem, aż stała się zaledwie maleńką

kropką na niebie i w końcu zniknęła. Lokesh odwrócił się znów ku dawnej, zalanej drodze i nie mówiąc ani słowa, ruszył dalej. Przez długą chwilę Shan przyglądał się, jak starzec kuśtyka na nierównej ścieżce, i ruszył za nim.

Przez kolejną godzinę szli brzegiem wypływającego z doliny strumienia, gdy nagle Lokesh znów przystanął i opierając dłonie na kiju, przyjrzał się formacji skalnej na szczycie niskiego wzgórza po drugiej stronie wody, niespełna kilometr od nich.

Shan rozpoznał wyraz twarzy przyjaciela i położył bagaże na ziemi.

– Ta skała – powiedział wolno Lokesh. Wpatrując się we wzgórze spod półprzymkniętych powiek, gładził się po białej szczecinie na szczęce – bardzo przypomina inną, którą kiedyś

opisała mi matka. Mówiła, że to właściwie jest boski żółw, udający tylko, że jest skałą, a nocami unoszący się ponad górą. – Spojrzał na Shana z przeprosinami w oczach. – Twierdziła, że on mówi jak budda.

Shan spojrział na wartki, płytki strumień dzielący ich od wzgórza i na rozległy otwarty teren w oddali.

– Droga do Rapjung zajmie nam bardzo dużo czasu, prawda? – zapytał przyjaciela.

Lokesh wzruszył ramionami.

– Mógłbym po drodze zbierać zioła – podsunął. Balansując na zdrowej nodze, podał Shanowi swój kij. – A ty musisz się nauczyć, jak się szuka tonde.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, Shan się uśmiechnął. Podpierając się dla równowagi kijem starego lamy, pochylił się, żeby Lokesh mógł mu wejść na plecy, po czym wszedł w strumień i ruszył na poszukiwanie żółwiego buddy.

Od autora

O ile fabuła *Kościanej Góry* jest fikcją literacką, o tyle walka Tybetańczyków o zachowanie swej duchowej i kulturowej tożsamości jest aż nazbyt realna. Naprawdę istnieje Urząd do spraw Wyznań wystawiający armię biurokratów do walki z wierzeniami i obrzędami oraz wydający mnichom licencje na podstawie ich politycznej, a nie religijnej wiary. Ziemia Tybetu ucierpiała równie dotkliwie jak jego mieszkańcy. Nie jest zbiegiem okoliczności, że na pekińskich mapach Tybet nosi nazwę Xizang, „Zachodni Skarbiec”. Święte góry były ogalane z lasów, po czym zrównywane z ziemią z powodu kryjących się w nich bogactw naturalnych, tysiące chińskich górników wyparły dotychczas zamieszkujących te tereny rolników i pasterzy, a niejeden Tybetańczyk został uwięziony za próbę powstrzymania buldożerów przed zniszczeniem miejsc świętych.

Od przeszło tysiąca lat tybetańska medycyna czerpała z bogatego zasobu miejscowych ziół oraz nauk buddyzmu, w niepowtarzalny sposób łącząc duchowe i fizyczne aspekty leczenia. Stojące na wysokim poziomie uczelnie medyczne uczyły nieinwazyjnych metod diagnostycznych i kuracji nieznanych na Zachodzie. Ta bogata spuścizna została w znacznej mierze unicestwiona podczas chińskiej okupacji, a wiele z jej cennych tekstów i nauk zginęło na zawsze. Ale garstka lamów uzdrowicieli istotnie przeżyła, chroniąc się w Indiach, gdzie w skrytości pracują nad odtworzeniem z zachowanych szczątków tej tradycyjnej wiedzy.

Czytelnicy pragnący dowiedzieć się więcej na temat walki Tybetańczyków znajdą wiele cennych informacji w *The Dragon in the Land of Snows* Tseringa Shakyi oraz/n *Exile from the Land of Snows* Johna Avedona. W ostatnich latach ukazało się wiele znakomitych relacji pisanych przez lub o ocalałych z pogromu Tybetańczykach, wśród których wymienić można: *Arna Adhe*:

The Voice that Remembers Ahde Tapontsanga i Joy Blakeslee, *In the Presence of My Enemies* Sumnera Car-nahana, *A Strange Liberation: Tibetan Lives in Chinese Hands* Davida Patta, *Born in Lhasa* Namgyala Lhamo Taklhi oraz *The Autobiography of a Tibetan Monk* Paldena Gyatso. Działania wymierzone przeciwko środowisku naturalnemu Tybetu zostały obszernie omówione w *Tibet 2000: Environment and Development Issues*, dostępnym w International Campaign for Tibet. Wprowadzić w godną uwagi tybetańską medycynę tradycyjną może *Tibetan Buddhist Medicine and Psychiatry* Ter/ego Clifforda oraz *Healing from the Source* doktora Yeshiego Dhondena. I wreszcie czytelnicy chcący dokładniej się dowiedzieć, jak tybetańscy buddyści łączą piasek i bóstwa, znajdą cenny punkt wyjścia w *Mandala of Vajrabhairava* Davida Cozorta.

Słowniczek terminów obcojęzycznych

Słowniczek ten nie obejmuje terminów użytych tylko raz, których znaczenie zostało wyjaśnione bezpośrednio w tekście

Amdo tybet. Jeden z najbardziej wiernych tradycji tybetańskich regionów, obejmujący północno-wschodnie tereny historycznego Tybetu. Obecnie prowincja Qinghai Chińskiej Republiki Ludowej.

bardo tybet. Trwający 49 dni pośredni stan między śmiercią a ponownymi narodzinami.

bayal tybet. Dosłownie „ukryta kraina”, miejsce zamieszkiwane przez bóstwa i inne święte istoty.

bharal tybet. „Błękitne” owce żyjące w najwyższych partiach Wyżyny Tybetańskiej, dziś niemal zupełnie wymarłe.

chakpa tybet. Lejek z brązu służący do nanoszenia barwnych piasków na piaskowe mandale.

chang tybet. Tybetańskie piwo, zwykle warzone z jęczmienia.

Czangtang tybet. Rozległy płaskowyż zajmujący większą część północno-środkowego Tybetu.

czorten tybet. Tybetańska stupa, tradycyjna buddyjska kaplica w postaci zwieńczonej iglicą kopuły, zazwyczaj spełniająca funkcję relikwiarza.

chuba tybet. Gruby, podobny do peleryny kozuch z owczej skóry lub, rzadziej, płaszcz z grubej wełnianej tkaniny.

dhakang tybet. Sala zgromadzeń w klasztorze.

dobdob tybet. Mnich policjant zatrudniany dla utrzymywania dyscypliny w wielkich klasztorach.

dongma tybet. Drewniany ubijak służący do sporządzania tradycyjnej maślanej herbaty.

doją tybet. Czerwona maść uzyskiwana z serwatki, stosowana przez koczowników dla ochrony przed wysokogórskim słońcem.

dorje tybet. Dosłownie „pan kamieni”, w sanskrycie zwany wadźrą. Przedmiot obrzędowy o zbliżonym do berła kształcie, symbolizujący drogę do oświecenia, określany jako „niezniszczalny jak diament” i „potężny jak piorun”.

drong tybet. Dziki jak.

dropka tybet. Koczownik z płaskowyżu Czangtang, dosłownie „mieszkaniec czarnego namiotu”.

dungchen tybet. Obrzędowy instrument w postaci długiej trąby.

durtro tybet. Kwatera zmarłych, gdzie zwłoki są rozczłonkowane, a następnie pozostawiane sępom.

gau tybet. „Przenośna kaplica”, zazwyczaj noszony na szyi mały metalowy relikwiarzyk na tekst modlitwy lub

amulet.

Golok Członek tybetańskiego plemienia tradycyjnie zamieszkującego góry Amnye Machen w południowo-środkowej części prowincji Amdo.

gompa *tybet.* Klasztor buddyjski, dosłownie „miejsce medytacji”.

gonkang *tybet.* Kaplica bóstwa opiekuńczego, często stawiana w klasztorach.

goserpa *tybet.* Dosłownie „żółta głowa”, jedno z określeń cudzoziemca.

khata *tybet.* Szal modlitewny.

kora *tybet.* Ścieżka pielgrzymia, trasa biegnąca wokół świętego miejsca.

lama *tybet.* Tybetańskie tłumaczenie sanskryckiego *gogura*, tradycyjnie oznaczające w pełni wyświęconego, starszego rangą mnicha nauczyciela.

lao gai *chin.* Dosłownie „poprawa przez pracę”, obóz pracy przymusowej.

lha gyal lo *tybet.* Tradycyjne tybetańskie zawołanie wyrażające cześć lub radość, dosłownie „niech zwyciężą bogowie”.

lhakang *tybet.* Buddyjska kaplica lub świątynia.

mai xiao nu *chin.* Dosłownie „kobieta sprzedająca uśmiechy”, slangowe określenie prostytutki.

mala *tybet.* Buddyjski różaniec, zazwyczaj składający się ze 108 paciorków.

mandala Dosłownie, w sanskrycie, „okrąg”. Mistyczny symbol wszechświata, w buddyzmie tybetańskim często wykonywany z barwnego piasku.

mani *tybet.* Kamień z wykutym lub/i wymalowanym tekstem buddyjskiej modlitwy lub mantry, zazwyczaj *OM*

MANI PADME HUM.

mudra sansk. Ściśle ustalony układ dłoni i palców symbolizujący określoną modlitwę, ofiarę lub stan umysłu.
naga tybet. Wodne bóstwo.

nei lou chin. Tajemnica państwowa, dosłownie „wyłącznie do użytku władz”.

pecha tybet. Tybetańska święta księga, zazwyczaj złożona z nie zszywanych, długich, wąskich kart owiniętych w tkaninę, niekiedy ujętych w rzeźbione drewniane okładki.

purba tybet. Dosłownie „gwóźdź” lub „klin”, mały sztylet z trójgraniastą głownią, używany w rytuałach buddyjskich do okiełznywania demonów.

rinpocze tybet. Honorowy tytuł przysługujący wybitnym mistrzom duchowym, dosłownie „drogocenny (nauczyciel)”.

RMB chin. Renminbi, własc. yuan renminbi, jednostka monetarna w Chinach.

rongpa tybet. Rolnik.

samkang tybet. Kadzielnica, głównie sprzęt klasztorny, służący do spalania wonnego drewna.

tamzing chin. „Zebranie krytyki”, z reguły publiczna krytyka osoby, w ramach której poniżenie oraz słowna i/lub fizyczna przemoc wykorzystywane są jako narzędzia indoktrynacji politycznej.

tangzhou chin. Towarzysz.

Tara sansk. Dosłownie „zbawicielka”. Żeńskie bóstwo medytacyjne, czczone jako uosobienie współczucia i uważane za szczególną opiekunkę Tybetańczyków.

thanka tybet Malowidło na tkaninie, zwykle o charakterze religijnym, często uważane za święte.

tonde *tybet*. Drobne obiekty wykopywane z ziemi, zazwyczaj kamyki, uważane za obdarzone szczególną mocą lub sprowadzające błogosławieństwo.

taampa *tybet*. Prażona mąka jęczmienna, podstawowe pożywienie Tybetańczyków.

Spis treści

Podziękowania 10

Część pierwsza: Sól 11

Część druga: Popiół 131

Część trzecia: Kamień 325

Część czwarta: Kość 445

Od autora 588

Słowniczek terminów obcojęzycznych 590

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-14

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/